

# POŻEGNALNY BLUES IAN RANKIN

OSTATNIA POWIEŚĆ Z INSPEKTOREM REBUSEM





## IAN RANKIN

John Rebus, nadużywający alkoholu, zgorzkniały inspektor policji z Edynburga, to bohater serii książek Iana Rankina, najpopularniejszego autora kryminałów w Wielkiej Brytanii (zarazem najpoczytniejszego współczesnego szkockiego pisarza). Każda jego powieść jest bestsellerem # 1. Nazwisko bohatera nie jest przypadkowe – zdaniem Rankina, największa przyjemność dla pisarza to prowadzenie gry z czytelnikiem.

Późna jesień w Edynburgu zbiega się w czasie z końcem kariery policyjnej zasłużonego inspektora Rebusa. Kilka dni dzielących go od przejścia na emeryturę zostaje zakłóconych przez brutalne morderstwo. Ofiarą jest rosyjski poeta i opozycjonista Aleksander Todorow znany z niepochlebnych opinii na temat polityki swojego kraju. Do zbrodni dochodzi w momencie, gdy w mieście przebywa delegacja wpływowych biznesmenów z Rosji. Wszyscy bez wyjątku są zainteresowani błyskawicznym zakończeniem śledztwa – nim sprawa zaszkodzi relacjom szkocko-rosyjskim. Rebus i jego koleżanka, detektyw sierżant Slobhan Clarke, stopniowo uświadamiają sobie, że zabójstwo poety ma drugie dno. Utwierdza ich w tym kolejne morderstwo.



**POŻEGNALNY  
BLUES  
IAN RANKIN**

Z angielskiego przełożył  
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

Tytuł oryginału: EXIT MUSIC

Copyright © John Rebus Ltd. 2007

AH rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2009

Redakcja: Dorota Stańczak Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz Skład:

ISBN 978-83-7359-814-0

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I Druk: OpolGraf SA, Opole

*Granica nigdy nie jest gdzieś indziej.  
I żadne palisady nie powstrzymają północy.*

Norman MacCaig, *Hotel Room, 12th Floor*

*Ojciec zawsze twierdził, że policyjnego  
pukania nie da się z niczym pomylić, i miał  
rację; walnięcie w drzwi jest jak rozkaz  
bazujący na poczuciu winy słuchającego.*

Andrew O'Hagan, *Be near me*

**DZIEŃ PIERWSZY**

**Środa,**

**15 listopada 2006**

# 1

Dziewczyna krzyknęła tylko raz —jeden jedyny raz — ale to wystarczyło. Gdy małżeństwo w średnim wieku dotarło do wylotu Raeburn Wynd, klęczała na ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach, a jej ramionami wstrząsał szloch. Mężczyzna przez chwilę przypatrywał się ciału, potem zwrócił się ku żonie, by zasłonić jej oczy, ale ona zdążyła już odwrócić głowę. Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił pod numer alarmowy. Radiowóz policyjny przyjechał dopiero po dziesięciu minutach; w tym czasie dziewczyna próbowała odejść, ale mężczyzna jej to wyperswadował i łagodnie głaszcząc po ramieniu, przekonał, że powinna poczekać. Jego żona przysiadła na krawężniku, jakby nie czując wieczornego chłodu. Listopad w Edynburgu nie niesie jeszcze mrozu, ale w powietrzu czuć nadchodzącą zimę. King's Stables Road nie należy do najruchliwszych. Ustawiony znak zakazu wjazdu uniemożliwia przejazd nią z Grassmarket na Lothian Road, przez co w nocy uliczka jest całkiem wymarła. Po jednej stronie stoi wielopoziomowy parking, po drugiej sterczy Skala Zamkowa z leżącym u jej stóp cmentarzem. Wydaje się, że latarnie uliczne świecą na pół gwizdka i ludzie przemykają tędy z duszą na ramieniu. Para w średnim wieku właśnie wracała z kościoła św. Cuthberta, gdzie uczestniczyła w koncercie kolęd zorganizowanym w celu zbiórki pieniędzy na miejski szpital dziecięcy. Kobieta kupiła poświęcony wieniec, który leżał

teraz na jezdni obok ciała. Jej mąż nie mógł się uwolnić od myśli, że wystarczyło wyjść minutę wcześniej lub minutę później, a wracaliby teraz samochodem do domu, wieniec leżałby sobie na tylnym siedzeniu, a z radia płynęła muzyka z Classic FM.

— Chcę iść do domu — pojękiwała dziewczyna.

Miała poobcierane kolana i nerwowo wierciła się obok ciała.

Mężczyzna uważał, że jej spódniczka jest o wiele za krótka, a dżinsowa kurtka nie ochroni jej przed zimnem. Twarz wydała mu się znajoma i przez chwilę — jedną krótką chwilę — zastanawiał się, czy nie okryć dziewczyny swoim płaszczem. Nie zrobił tego jednak i tylko po raz kolejny powtórzył, że powinna zostać na miejscu i poczekać. Chwilę potem twarze obojga zaniebieściły się od błysku lamp na dachu podjeżdżającego radiowozu.

— O, już są — powiedział mężczyzna i ojcowskim gestem położył jej rękę na ramieniu, zaraz ją jednak zabrał, widząc, że jego żona ich obserwuje.

Radiowóz zatrzymał się, ale prowadzący nie wyłączył lamp i nie zgasił nawet silnika. Ze środka wysiadło dwóch policjantów w mundurach, którzy nawet nie założyli czapek. Jeden z nich miał w rękę długą, czarną policyjną latarkę. Zaulek Raeburn Wynd opada dość stromo w stronę dawnych stajni, w których niegdyś trzymano królewskie powozy i konie, a gdzie teraz parter zajmują garaże, a piętra przerobiono na lokale mieszkalne. Gdy w zimie nawierzchnię pokrywa lód, robi się tu ślisko i niebezpiecznie.

— Może się poślizgnął i uderzył głową — rzekł mężczyzna. — Albo może to jakiś bezdomny. Albo za dużo wypił...

— Bardzo panu dziękujemy — powiedział policjant, który miał w tej sprawie zupełnie inne zdanie. Jego kolega poświecił latarką i dopiero wtedy mężczyzna zobaczył kałużę krwi na jezdni. Krew była też na rękach i ubraniu leżącego, a obrazu dopełniały zlepione krwią włosy i zakrwawiona twarz. — Albo go ktoś skatował — uzupełnił. — Chyba że sam parę razy przejechał gębą po tarce.

Jego młodszy kolega skrzywił się z niesmakiem. Siedział przykucnięty przy ciele, przyświecając sobie latarką.

— Czyj to wieniec? — zapytał, prostując się.



— Mojej żony — odrzekł mężczyzna. Nie umiał sobie później wytłumaczyć, dlaczego po prostu nie powiedział: „mój”.



— Jack Palance — rzekł detektyw inspektor John Rebus.

— Już ci mówiłam, nie znam go.

— Gwiazdor filmowy.

— To wymień jakiś film z jego udziałem.

— Jego nekrolog był w „Scotsmanie”.

— Więc powinieneś wiedzieć, w czym go mogłam widzieć. — Detektyw sierżant Siobhan Clarke wysiadła z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

— Zwykle był czarnym charakterem w westernach — upierał się Rebus.

Clarke wylegitymowała się starszemu z policjantów i przejęła latarkę od młodszego. Ekipa techników z kryminalnego była już w drodze. Migające lampy na radiowozie zdążyły przyciągnąć gapiów, którzy zaczęli się gromadzić w pobliżu ciała. Wiadomość o zabójstwie dotarła do Rebusa i Clarke, gdy ślęczeli w komisariacie przy Gayfield Square nad pewną starą sprawą, która pozostawała nierozwiązana z braku głównego podejrzanego. Powitali z radością wezwanie, które pozwoliło im oderwać się od biurka. Pojechali rządzonym ze starości saabem 900 Rebusa, z którego bagażnika wyciągnęli polietylenowe ochraniacze na buty i piankowe rękawice. Gorzej było z ponownym zatrzaśnięciem klapy — udało się to dopiero po kilku donośnych walnięciach.

— Powinieneś go już wymienić na nowy — mruknął Rebus.

— A kto go weźmie? — parsknęła Clarke, naciągając rękawice. Nie zareagował, więc dodała łagodniej: — Czy mi się zdawało, czy w bagażniku widziałam traperki?

— Też w tym samym wieku — burknął Rebus, ruszając w stronę zwłok. Podążyła za nim i oboje w milczeniu zaczęli przyglądać się denatowi.

— Ktoś go nieźle sponiewierał — powiedział w końcu Rebus.

— Jak się nazywasz, synu? — zwrócił się do młodszego z policjantów.

— Goodyear, proszę pana... Todd Goodyear.

— Todd?

— To nazwisko panięskie mojej matki, proszę pana.

— Słyszałeś kiedyś o Jacku Palansie?

— Czy on nie grał w *Jeźdźcu znikąd*?

— Marnujesz się w tym mundurze, chłopcze.

— Niech pan mu tylko da szansę — parsknął jego starszy kolega — a za chwilę pana też weźmie w obroty.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — spytała Clarke.

Policjant — co najmniej piętnaście lat starszy i trzy razy grubszy od partnera — kiwnął na młodzieńca głową.

— Bo ja już Toddowi nie wystarczam. Chce się załapać na śledczego.

Goodyear zignorował uwagę kolegi. Stał, trzymając notes w pogotowiu.

— Mam zacząć spisywać zeznania? — zapytał.

Rebus spojrzął w stronę chodnika. Para w średnim wieku siedziała na krawężniku, trzymając się za ręce. Dygocąca z zimna nastolatka stała oparta plecami o ścianę. Nie zważając na napomnienia, tłumek gapiów zaczynał podchodzić coraz bliżej.

— Najlepiej zajmij się tymi wścibskimi. Dopilnuj, żeby się nie zbliżali, póki nie ogrodzimy miejsca. Lekarz powinien być lada chwila.

— Tętna nie ma — powiedział Goodyear. — Już sprawdziłem.

Rebus spojrzął na niego z wyrzutem.

— A mówiłem ci, że to im się nie spodoba — parsknął znów jego partner.

— To zanieczyszcza miejsce przestępstwa — wyjaśniła Clarke, pokazując młodzieńcowi swoje rękawiczki i ochraniacze na butach. Wyraźnie go to zmieszało.

— A lekarz i tak musi stwierdzić zgon — dodał Rebus. — Na razie zajmijcie się tą hałastrą i namówcie ich, żeby sobie stąd poszli.

— Jak wykidajło, tyle że w mundurze — mruknął starszy, ruszając za Goodyearem.

— A my zostajemy w miejscu dla VIP-ów — powiedziała cicho Clarke. Raz jeszcze przyjrzała się denatowi. — Jak na bezdomnego jest za przyzwoicie ubrany.

— Zobacz, czy ma jakieś dokumenty.

Podeszła bliżej, przykucnęła i dłonią w rękawiczce obmacała kieszenie spodni i marynarki.

— Niczego nie czuję — oznajmiła.

— Nawet współczucia?

Spojrzała na niego.

— Powiedz mi, czy jak już ci wręczą złoty zegarek, to zrzucisz wreszcie tę swoją cholerną zbroję?

Rebus zrobił bolesciwą minę i ułożył wargi w bezgłośnie „ała”. Jego przesiadywanie w biurze do późna brało się ostatnio stąd, że do przejścia na emeryturę zostało mu zaledwie dziesięć dni i na gwałt próbował czyścić niedokończone sprawy.

— Napad rabunkowy, który wymknął się spod kontroli? — zastanowiła się głośno.

Rebus w milczeniu wruszył ramionami, co znaczyło, że jest innego zdania. Ruchem ręki poprosił, by poświęciła na ciało ofiary: czarna skórzana marynarka, niegdyś niebieska wzorzysta koszula z rozpiętym kołnierzykiem, sprane dżinsy z czarnym skórzanym pasem, czarne zamszowe buty. Denat miał twarz pooraną zmarszczkami, włosy lekko szpakowate, mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i wyglądał na nieco ponad pięćdziesiąt lat. Na jego rękach brak było wszelkiej biżuterii i zegarka. Który to już truposz na osobistej liście Rebusa? Trzydziesty, może czterdziesty w trakcie ponad trzydziestoletniej pracy w policji. Jeszcze dziesięć dni i ten nieszczęśnik stałby się problemem dla kogoś innego. Zresztą wciąż może tak być. Od wielu tygodni Rebus wyczuwał w Siobhan Clarke nastrój oczekiwania. Część jej — być może ta najlepsza — chciała, żeby już odszedł. Wiedziała, że tylko w ten sposób będzie mogła w pełni się sprawdzić. Poczul na sobie jej spojrzenie i podniósł głowę. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby czytała mu w myślach. Uśmiechnął się kwaśno.

— Jeszcze żyję — mruknął, obserwując podjeżdżający van ekipy kryminalistycznej.



Lekarz oficjalnie stwierdził zgon. Technicy rozciągnęli taśmę policyjną i zamknęli Raeburn Wynd od góry i od dołu. Rozstawili przenośne reflektory i osłonili miejsce zbrodni płóciennym parawanem,

tak że gapie mogli już tylko widzieć ruszające się cienie. Rebus i Clarke włożyli takie same jednorazowe białe kombinezony z kapturami, jakich używali technicy. Chwilę wcześniej dojechała ekipa fotograficzna, furgon miejskiej kostnicy stał już zaparkowany obok. Ktoś zorganizował gorącą herbatę i nad trzymanymi na zimnie kubkami unosiły się obłoczki pary. Z oddali słychać było wycie syren pędzących gdzieś radiowozów, z niedalekiej Princess Street dochodziły pijackie wrzaski, z pobliskiego cmentarza zaś — pukiwanie sowy. Policjanci spisali już zeznania nastolatki i pary w średnim wieku i Rebus czytał je teraz w ich obecności. Wiedział już, że starszy z funkcjonariuszy nazywa się Bill Dyson.

— Podobno niedługo pan odchodzi — odezwał się Dyson.

— W następny weekend — skinął głową Rebus. — Tobie też już chyba dużo nie zostało.

— Siedem miesięcy i odliczanie trwa. Już na mnie czeka fajna robota na taksówce. Nie wiem, jak biedny Todd sobie beze mnie poradzi.

— Postaram się trzymać fason. — Goodyear się skrzywił.

— Bo tylko w tym jesteś dobry — odciął się Dyson.

Rebus wrócił do czytania zeznań. Dziewczyna, która znalazła ciało, nazywała się Nancy Sievewright, miała siedemnaście lat i wracała do domu od koleżanki. Koleżanka mieszkała przy Great Stuart Street, Nancy zaś na Blair Street, w pobliżu Cowgate. Skończyła już edukację i była bezrobotna, choć w planach miała podjęcie nauki w zawodzie asystentki dentystycznej. Rozmowę przeprowadził Goodyear i Rebus musiał przyznać, że zrobił to bardzo solidnie. Protokół był spisany schludnym, czytelnym pismem i zawierał mnóstwo szczegółów. W porównaniu z nim protokół Dysona był żalną parodią pełną kreślonych na chybcika, nieczytelnych kulfonów. Widać było, że czekające go jeszcze siedem miesięcy bardzo się konstablowi Billowi Dysonowi dłuży. Rebus musiał odgadywać, że ludzie w średnim wieku to państwo Roger i Elizabeth Anderson, zamieszkali przy Frogston Road West, na południowych krańcach miasta. Dyson zanotował wprawdzie ich numer telefonu, ale nie napisał, w jakim są wieku ani czym się zajmują. Rebusowi udało się odczytać, że „tylko tędy przechodzili”

i „wezwali pomoc”. Oddał oba notatniki bez słowa komentarza, wiedząc, że i tak całą trójkę wezwą na szczegółowe przesłuchanie. Spojrzał na zegarek. Ciekawe, ile jeszcze przyjdzie im czekać na patologa. Dopóki się nie zjawi, nie bardzo było co robić.

— Powiedźcie im, że mogą już iść.

— Dziewczyna jest mocno roztrzęsiona — powiedział Good-year. — Myśli pan, że powinniśmy ją podrzucić do domu?

Rebus kiwnął przyzwalająco głową i spojrzął na Dysona.

— A co z tamtymi?

— Mają samochód zaparkowany na Grassmarket.

— Wieczorne zakupy?

Dyson pokręcił głową.

— Nie, koncert kolęd u Świętego Cuthberta.

— Rozmowa, której mogliśmy sobie oszczędzić, gdybyś raczył to wszystko napisać. — Przewiercił wzrokiem konstabla, jednocześnie czytając w jego oczach nieme pytanie: „No i po jaką cholere?”.

Na szczęście stary wyga miał dość oleju w głowie, by nie powtórzyć tego na głos... a przynajmniej nie zrobić tego w zasięgu uszu Rebusa.

Rebus dołączył do Clarke. Stała przy vanie techników i rozmawiała z szefem ekipy. Nazywał się Thomas Banks i wśród przyjaciół znany był jako Tam. Skinął głową i spytał, czy Rebus nie zapomniał umieścić jego nazwiska na liście zaproszonych na poże-gnalną balangę.

— Dlaczego wam wszystkim tak zależy, żeby być świadkami mojego końca?

— Nie zdziw się — odrzekł Tam — jeśli szarża z centrali przyjdzie na wszelki wypadek z drewnianymi kołkami i młotkami. — Puścił oko do Clarke. — Siobhan mówi, że tak wszystko usta-wiłeś, by twoja ostatnia służba wypadła w sobotę. Czy dlatego, żebyśmy siedząc po domach przed telewizorami, nie byli świadkami, jak wyruszasz na swój długi spacer?

— Tak wypadło, Tam — zapewnił go Rebus. — Jest jeszcze herbata?

— Przedtem się na nią wypiąłeś.

— Ale to było pół godziny temu.

— A teraz już po ptokach, John.

— Pytałam właśnie Tama — wtrąciła Clarke — czy jego ludzie mają coś dla nas.

— I pewnie ci powiedział, że mamy zachować cierpliwość.

— Bo do tego się to mniej więcej sprowadza — potwierdził Tam, zerkając jednocześnie na wyświetlacz swojej komórki. — Bójka nożowników pod pubem przy Haymarket — powtórzył treść otrzymanego SMS-a.

— Dużo się dziś dzieje — bąknęła Clarke.

Spojrzała na Rebusa i dodała: — Lekarz sądzi, że ofiarę zatłuczono, a może nawet skopano na śmierć. Jest gotów się założyć, że sekcja zwłok wykaże śmiertelne obrażenia zadane tępym narzędziem.

— Ja się nie zakładam. — Rebus się skrzywił.

— Ani ja — powiedział Tam, pocierając sobie nos palcem. — Wiesz, kim jest ten młody gliniarz? — zwrócił się do Rebusa, pokazując głową radiowóz. Todd Goodyear pomagał właśnie Nancy Sievewright usadowić się na tylnym siedzeniu, Bill Dyson siedział z przodu i niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę.

— Nigdy go wcześniej nie widziałem.

— Ale mogłeś znać jego dziadka... — Zawiesił głos, czekając, aż Rebus sam do tego dojdzie. Nie potrwało to długo.

— Chodzi ci o Harry'ego Goodyeara?

Tam pokiwał głową, pewien, że Clarke nie wytrzyma i spyta, kim był Harry Goodyear.

— Stare dzieje — poinformował ją Rebus.

Co jak zwykle u Rebusa nie stanowiło zbyt wyczerpującej odpowiedzi.

## 2

Rebus odwoził już Clarke do domu, gdy jej komórka piknięciem zasygnalizowała nadejście wiadomości.

Zawrócili i ruszyli w stronę Cowgate, gdzie mieści się miejska kostnica. Przy rampie stał nieoznakowany biały furgon, Rebus zaparkował obok i ruszył przodem. Nocna zmiana liczyła tylko dwie osoby. Jeden z mężczyzn był po czterdziestce i zdaniem Rebusa w jego oczach można było wyczytać, że ma za sobą odsiadkę. Spod rozpiętego kołnierza kombinezonu wyzierał mu sięgający aż do gardła bladospiny tatuaż i chwilę trwało, nim Rebus uzmysłowił sobie, że rysunek przedstawia węża. Drugi z mężczyzn był znacznie młodszy, nosił okulary i robił wrażenie trochę nieobecnego myślami.

— Domyślam się, że to ty jesteś tym poetą — zagaił Rebus.

— Mówimy na niego „lord Byron” — zarechotał starszy z mężczyzn.

— Dlatego go rozpoznałem — potwierdził młodszy. — Nie dalej jak wczoraj byłem na jego wieczorze poetyckim... To znaczy przedwczoraj — poprawił się, zerkając na zegarek i uzmysławiając Rebusowi, że minęła już północ. — Był tak ubrany.

— Bo trochę trudno rozpoznać go po samej twarzy—wtrąciła Clarke, chcąc wystawić go na próbę.

Młodzieniec pokiwał głową.

— Ale mimo wszystko... jego włosy, ta jego marynarka i pasek...

— Jak on się nazywa? — spytał Rebus.  
— Todorow. Aleksander Todorow. Rosjanin. W służbowce mam tomik jego poezji z autografem.  
— To parę funciaków z tego będzie — ożywił się starszy kolega.  
— Mógłbyś mi go pokazać? — powiedział Rebus.  
Młody człowiek kiwnął głową i ruszył do wyjścia na korytarz.  
Rebus popatrzył na rząd drzwiczek. — W której lodówce go macie?  
— W trójce. — Pielęgniarka stuknęła zwiniętą w pięść dłonią w drzwiczki oznaczone numerem trzy. Znajdowała się na nich ramka na kartkę z nazwiskiem, była jednak pusta. — Ja bym tam obstawiał, że lord Byron wie, co mówi. Ma łeb na karku.  
— Od jak dawna tu pracuje?  
— Dwa miesiące. Naprawdę nazywa się Chris Simpson. Clarke też miała pytanie.  
— Wie pan może, kiedy przeprowadzą sekcję?  
— Zależy kiedy panowie patolodzy przywloką tu swoje tyłki.  
Rebus wziął do ręki egzemplarz wczorajszego „Evening News”.  
— Heartsi mają przerabane — uprzedził go pielęgniarz. — Pressleya wypieprzyli z funkcji kapitana i mają nowego trenera.  
— To muzyka dla uszu sierżant Clarke — parsknął Rebus. Uniósł gazetę i pokazał jej nagłówek na pierwszej stronie. W Pilrig Park napadnięto nastoletniego Sikha, któremu obcięto włosy.  
— Bogu dzięki nie nasz rewir — powiedziała Clarke. Odgłos kroków spowodował, że wszyscy troje odwrócili głowy. Chris Simpson wracał z cienką książeczką w twardej oprawie. Rebus przejął ją i zajrzał na tylną stronę okładki, z której patrzyła ząsępiona twarz poety. Detektyw pokazał zdjęcie Clarke, a ta wzruszyła ramionami.  
— Wygląda na tę samą skórzaną marynarkę — potwierdził — Tyle że na zdjęciu facet ma na szyi jakiś łańcuch.  
— Na swoim wieczorze też go miał — potwierdził Simpson.  
— A ten, którego przywieźliście dzisiaj?  
— Bez łańcucha. Już to sprawdziłem. Może mu go zabrali... znaczy ci, którzy go napadli.  
— Albo to nie on. Od jak dawna ten Todorow u nas gościł?



— Był tu na jakimś stypendium. W Rosji nie mieszkał już od dawna. Sam mówił o sobie: „uchodźca”.

Rebus zaczął wolno kartkować tomik. Zatytułowany był *Astapowo Blues* i zawierał przełożone na angielski wiersze o tytułach takich jak *Raskolnikow*, *Leonid* i *Gułag umysłu*.

— Co znaczy ten tytuł? — zwrócił się do Simpsona.

— To nazwa miejscowości, w której umarł Tołstoj. Starszy pielęgniarz aż cmoknął.

— Mówiłem wam, że łeb to on ma.

Rebus podał książkę Clarke, która zajrzała na pierwszą stronę. Widniała na niej odręczna dedykacja zaczynająca się od słów „Drogiemu Chrisowi”. Autor mu życzył, by „zachował wiarę tak jak ja zachowałem i nie zachowałem”.

— I co to miało znaczyć? — spytała.

— Powiedziałem mu, że próbuję zostać poetą. Odparł, że wobec tego już nim jestem. Może chodziło mu o to, że zachował wiarę w poezję, ale nie w Rosję. — Na twarzy młodzieńca pojawił się rumieniec.

— I gdzie się to wszystko działo? — spytał Rebus.

— W Szkockiej Bibliotece Poetyckiej, koło Canongate.

— Ktoś mu towarzyszył? Żona, ktoś od wydawcy?

Simpson oświadczył, że nie jest pewien.

— Wiecie, on jest bardzo znany. Mówiło się nawet o Nagrodzie Nobla.

Clarke zamknęła tomik.

— Możemy się zawsze zwrócić do rosyjskiego konsulatu — powiedziała, a Rebus pokiwał głową. Z ulicy dobiegł ich dźwięk podjeżdżającego samochodu.

— To na pewno któryś z nich — orzekł starszy z sanitariuszy.

— Najlepiej od razu przygotuj salę, lordzie Byron.

Simpson wyciągnął rękę po książkę, ale Clarke cofnęła swoją.

— Pozwoli pan, że ją na trochę zatrzymam? Obiecuję, że jej nie puszcze w obieg na eBayu.

Młodzieniec nie wyglądał na zbyt zachwyconego i pewnie by oponował, ale kolega ponaglał go, by zabierał się do roboty, a sprawę przesądziła Clarke, która schowała książkę do kieszeni płaszcza. W drzwiach pojawił się wyraźnie wyrwany ze profesor Gates, dwa kroki za nim podążał jego partner, doktor Curt. Towarzyszyli

sobie w pracy tak często, że w oczach Rebusa stanowili niemal jedność. Detektywowi wręcz trudno było sobie wyobrazić, że poza tym wiodą dwie oddzielne, niezależne od siebie egzystencje.

— A, John — przywitał się Gates, podając Rebusowi lodowatą dłoń. — Zimno się zrobiło. No proszę, pani sierżant Clarke też obecna. Pewnie nie może się już pani doczekać, żeby wyjść z cienia swojego mentora.

Clarke skrzywiła się, ale nie podjęła tematu. Nie było sensu przekonywać go, że w swoim przeświadczeniu dawno już wyszła z cienia Rebusa. Sam Rebus uśmiechnął się porozumiewawczo i podał rękę trupio blademu Curtowi. Jedenaście miesięcy wcześniej patolog przeżył alarm nowotworowy i chociaż rzucił wtedy palenie, do pełnej formy fizycznej już nie wrócił.

— Co u ciebie, John? — zapytał. Rebus pomyślał, że to chyba on powinien zadać to pytanie, ale tylko bez słowa kiwnął głową.

— Stawiam na lodówkę numer dwa — rzucił Gates, zwracając się do swojego partnera. — Stoi?

— Akurat trójka — wtrąciła pospiesznie Clarke. — Podejrzewamy, że to rosyjski poeta.

— Ale chyba nie Todorow? — spytał Curt, unosząc lekko brew.

— Nigdy bym nie pomyślał, doktorze, że taki z ciebie miłośnik poezji — zdziwił się Rebus.

— Czy to znaczy, że mamy do czynienia z aferą dyplomatyczną? — parsknął Gates. — Mam szukać śladu po ukłuciu zatrutym czubkiem parasola?

— Wygląda mi to bardziej na atak psychologa — mruknął Rebus. — Chyba że jest taka trucizna, która potrafi sprawić, że z twarzy odpadają płaty skóry.

— Nekrotyczne zapalenie powięzi — mruknął Curt.

— Zapalenie tkanki wywołane bakterią pochodną od *Streptococcus pyogenes* — uzupełnił Gates. — Chociaż chyba nigdy nie mieliśmy z nią bezpośrednio do czynienia.

W jego tonie Rebus dosłyszał wyraźny zawód.



Lekarz policyjny trafił bezbłędnie: obrażenia zadano tępym narzędziem. Rebus siedział po ciemku w swoim mieszkaniu, zaciągając

się papierosem. Po wydaniu zakazu palenia w miejscach pracy i pubach władze szykowały się teraz do objęcia zakazem prywatnych domów i mieszkań. Rebus był ciekaw, jak mają zamiar wyegzekwować jego przestrzeżenie. W odtwarzaczu CD grał kompakt Johna Hiatta, ale dźwięk był mocno ściszony. Utwór nosił tytuł *Porusz każdy kamień* i Rebus pomyślał, że przez te wszystkie lata pracy w policji nie robił nic innego. Tyle że Hiatt chciał z tych kamieni budować mur, a Rebus je przesuwiał i przyglądał się ukrytym pod nimi mrocznym formom życia. Ciekaw był, czy ów tekst można by uznać za poetycki i co rosyjski poeta powiedziałby na takie jego brzmienie. Próbowali zadzwonić do rosyjskiego konsulatu, ale bez skutku — nie odezwał się nawet automat zgłoszeniowy — uznali więc, że pora wracać do domu. Siobhan przysnęła już w trakcie sekcji, co Gatesa wyraźnie zirytowało. Rebus wiedział, że to jego wina. Ostatnio za długo trzymał ją w biurze i próbował wciągać w różne stare sprawy, które wciąż leżały mu na sercu. Miał nadzieję, że może w ten sposób pamięć o nich pozostanie żywa...

Odwiózł partnerkę do domu i ruszył cichymi, opustoszałymi ulicami w stronę Marchmont, swojego miejsca parkingowego i mieszkania na drugim piętrze starej kamienicy, gdzie w salonie znajdowało się wykuszowe okno ze stojącym pod nim fotelem. Detektyw obiecywał sobie wprawdzie, że tym razem pójdzie prosto do sypialni, ale za kanapą na wszelki wypadek trzymał zapasową kołdrę. W pokoju była też butelka whisky — osiemnastoletnia Highland Park, którą kupił w ubiegły weekend i w której zostało jeszcze parę solidnych łyków. Fajki, gorzała i trochę nocnej muzyki. Kiedyś stanowiło to wystarczającą pociechę, nie był jednak pewien, czy po rozstaniu się z pracą będzie tak nadal. Ale cóż innego mu zostało?

Córka w Anglii, gdzie żyje na kocią łapę z wykładowcą ze swojej uczelni.

Była żona, która wyniosła się na stałe do Włoch.

Pub.

Nie widział się w roli taksówkarza czy prywatnego detektywa obsługującego jakiegoś obrońcę w sprawach kryminalnych. Nie wyobrażał sobie też zaczynania „życia na nowo”, jak to robili jego koledzy wynoszący się do Marbelli, na Florydę czy do Bułgarii. Niektórzy ładowali pieniądze w nieruchomości i żyli z wynajmu

mieszkań studentom — pewien znany mu starszy inspektor zrobił na tym majątek — ale Rebus obawiał się związanych z tym kłopotów. Ciągłego wyklócania się o wypalone papierosami dziury czy stosy brudnych naczyń w zlewie.

Uprawiany sport? Żadnego.

Ulubione zajęcia i rozrywki? Właśnie to, co robił.

— Coś ci się zebrało na uzalenie się nad sobą, John — powiedział na głos. Potem cicho zachichotał na myśl, że może zawsze ponarzekać na Szkocję. Zapewniony złoty medal na olimpiadzie marudzenia. Ale przynajmniej nie zszywają teraz jego zmasakrowanego ciała i nie wpychają go do lodowy numer trzy. Przebiegł w myślach listę bandziorów, znanych z wyjątkowej brutalności. Większość siedziała za kratkami albo łykała środki uspokajające na zamkniętych oddziałach dla psycholi. Nawet Gates to zauważył: „Czuje się w tym jakąś furię”, powiedział.

— Albo wiele furii — uzupełnił Curt.

To prawda. Mogli mieć do czynienia z więcej niż jednym napastnikiem. Ofiara dostała w tył głowy cios wymierzony z taką siłą, że pękła od niego czaszka. Młotek, pałka, kij baseballowy lub coś w tym rodzaju. Rebus domyślał się, że od tego ciosu się zaczęło. Ofiara była po nim ogłuszona i nie mogła już stawiać oporu. Tylko skoro tak, to po co to późniejsze masakrowanie twarzy? Jak stwierdził Gates, zwykły rabuś nie zwracałby sobie tym głowy. Opróżniłby kieszenie napadniętego i zwiął. Z palca ofiary ściągnięto sygnet, jaśniejszy pasek na lewym przegubie wskazywał na to, że zabrano też zegarek. Lekkie otarcie naskórka z tyłu szyi sugerowało, że łańcuszek zerwano siłą.

— Na miejscu zbrodni nic nie było? — upewnił się Gates, biorąc do ręki nożyce do rozcinania klatki piersiowej.

Rebus potrząsał głową.

A może ofiara stawiała jednak opór... i może posunęła się w tym za daleko? Albo napaść miała podłoże rasowe, a ofiarę zdradził jej akcent?

— Skazaniec spożył suty posiłek — zauważył chwilę później Gates, po otwarciu żołądka. — O ile się nie mylę, krewetkowe bhuna curry popłukane piwem. Ale czuję też woń koniaku albo whisky. A ty, doktorze Curt?

— Bez wątplenia.

Sekcja zwłok ciągnęła się w nieskończoność. Siobhan Clarke walczyła z sennością, siedzący obok niej Rebus przysłuchiwał się uwagom obu patologów.

Knykcie palców nieobtarte, brak drobin skóry pod paznokciami — nic nie wskazywało na to, żeby ofiara próbowała się bronić. Ubranie mężczyzny kupiono w popularnej sieci sklepowej, ale i tak je prześle do laboratorium kryminalistycznego. Po obmyciu z krwi twarz ofiary nabrała podobieństwa do zdjęcia na okładce. Rebus skorzystał z drzemki Siobhan i wyciągnął jej z kieszeni książkę, po czym ze skrzydełka okładki odczytał krótki życiorys autora. Urodził się w 1960 roku w Moskwie w dzielnicy Żdanow, pracował jako wykładowca literatury i był laureatem licznych nagród i wyróżnień. Wydał sześćdziesiąt tomików poezji dla dorosłych i jeden zbiór wierszy dla dzieci.

Siedząc w fotelu pod oknem, Rebus próbował przebiec w myślach wszystkie indyjskie restauracje w okolicach King's Stables Road. Pomyślał, że jutro trzeba to będzie sprawdzić w książce telefonicznej.

— Nie, John — upomniał się na głos. — Już jest jutro.

W drodze powrotnej stanął na nocnej stacji benzynowej i kupił wczorajsze wydanie „Evening News”, by raz jeszcze przejrzeć nagłówki. Proces w sprawie strzelaniny w pubie Marmion w Gramsmount nadal toczył się przed Sądem Koronnym — jedna ofiara śmiertelna, jednemu poszkodowanemu udało się ujść z życiem. U nastoletniego Sikha skończyło się tylko na paru siniakach i obtarciach, ale utrata włosów była w jego religii świętokradztwem, o czym napastnicy musieli wiedzieć lub co najmniej się tego domyślali.

I do tego Jack Palance nie żyje. Rebus nie wiedział, jakim człowiekiem aktor był prywatnie, ale w filmach zawsze grał twardzieli. Nalał sobie kolejną porcję whisky Highland Park i uniósł szklankę w geście toastu.

— Za wszystkich twardzieli — powiedział, jednym haustem wypijając całą zawartość.



Siobhan dotarła do końca wykazu restauracji w książce telefonicznej. Podkreśliła sześć możliwych adresów, choć tak naprawdę

należało brać pod uwagę wszystkie indyjskie knajpki w mieście. Edynburg to małe miasto i przemieszczanie się w nim nie jest trudne. Postanowili jednak zacząć od restauracji położonej najbliższej miejsca zdarzenia i dopiero potem zataczać coraz większe kręgi. Clarke włączyła też laptopa i zajrzała do Internetu w poszukiwaniu stron zawierających hasło „Todorow”. Okazało się, że są ich tysiące, a nazwisko poety trafiło nawet do Wikipedii. Część linków odsyłała do stron po rosyjsku, ale Siobhan znalazła też artykuły publikowane w Stanach Zjednoczonych, gdzie dzieła Todorowa włączono do programów nauczania w wielu tamtejszych college'ach. Znalazła też recenzje jego zbioru poezji *Astapowo Blues*. Wynikało z nich, że wprawdzie wiersze mówiły o dawnych sławach literatury rosyjskiej, niemniej zawierały też krytyczne odniesienia do współczesnej sceny politycznej w ojczyźnie poety, choć Mateczka Rosja od dziesięciu lat nie była krajem jego zamieszkania. Miał rację, nazywając siebie uchodźcą, a jego zapatrywania na sytuację w Rosji w czasach po *glasnosti* wywołały wrogość i niechęć ze strony członków Politbiura. Gdy w jednym z wywiadów spytano go, czy uważa się za dysydenta, oświadczył, że tak, ale za „dysydenta konstruktywnego”.

Clarke upiła kolejny łyk wystygłej kawy. To teraz twoja sprawa, dziewczyno, powiedziała sobie w duchu, bo Rebusa za chwilę nie będzie. Próbowwała zbytnio się nad tym nie zastanawiać. Od lat pracowali razem i poznali się tak dobrze, że niemal potrafili sobie czytać w myślach. Czuła, że będzie jej go brakowało, ale wiedziała też, że musi zacząć planować swoją przyszłość bez niego. Och, na pewno spotkają się czasem przy drinku czy na koleżeńskim obiedzie w restauracji. Clarke będzie się z nim dzielić ploteczkami z pracy. A Rebus pewnie nie przestanie jej męczyć o te starocie, które próbuje jej teraz wciskać...

Telewizor był ustawiony na program BBC News 24, ale bez dźwięku. Wykonała parę telefonów, upewniając się, że jak dotąd nikt nie zgłosił zaginięcia poety. Nie miała już nic więcej do zrobienia, wyłączyła więc telewizor i komputer i poszła do łazienki. Żarówka była przepalona i musiała się po ciemku rozebrać i umyć zęby. Pomyliła krany i wypłukała szczoteczkę pod gorącą wodą zamiast zimnej. Zapaliła przy łóżku lampkę osłoniętą bładoróżowym szalem, wzruszyła poduszki i podciągnęła kolana, opierając

na nich tomik *Astapowo Blues*. Liczył zaledwie czterdzieści parę stron, ale Chris Simpson i tak wybulił na niego całą dychę.

„Zachowaj wiarę, tak jak ja zachowałem i nie zachowałem...”  
Pierwszy wiersz w zbioru kończył się słowami:

*I gdy jego kraj krwawił i płakał, płakał i krwawił,  
on odwrócił wzrok,  
by nie musieć świadczyć.*

Zajrzała na stronę tytułową i stwierdziła, że wiersze zostały przełożone z rosyjskiego przez samego Todorowa „przy współpracy Scarlett Colwell”. Wróciła do tekstu i zaczęła czytać drugi wiersz. Przy trzeciej zwrotce usnęła.

**DZIEŃ DRUGI**

**Czwartek,**

**16 listopada 2006**



### 3

Szkocka Biblioteka Poetycka mieściła się w jednym z wielu zaułków odchodzących w bok od Canongate. Przy pierwszej próbie przeoczyli go i dojechali aż do gmachu parlamentu i pałacu Holyrood. Zawrócili i jadąc wolniej pod górę, znów go przegapili.

— Zresztą i tak nie ma gdzie zaparkować — rzekła Clarke. Tym razem jechali jej samochodem i na Rebusie spoczywał obowiązek wypatrywania Crighton's Close.

— Chyba właśnie go minęliśmy — powiedział, odwracając się. — Stań na chodniku i się przejdziemy.

Clarke włączyła światła awaryjne, zamknęła samochód i złożyła boczne lustro, żeby ktoś o nie nie zaczepił.

— Jak mi wlepią mandat, to ty płacisz — ostrzegła.

— Policja w akcji, Shiv. Odwołamy się.

Biblioteka Poetycka mieściła się w nowoczesnej plombie sprytnie wpasowanej między stare kamienice. Siedząca za kontuarem pracownica powitała ich promiennym uśmiechem, który na widok legitymacji służbowej Rebusa szybko zamarł.

— Chodzi nam o wieczór poezji Aleksandra Todorowa sprzed paru dni.

— A tak, przepiękny. Mamy w sprzedaży kilka jego książek.

— Czy autor był w Edynburgu sam? Miał tu rodzinę lub kogoś w tym rodzaju...?

Kobieta zmrużyła oczy i położyła dłoń na sercu.

— Czy coś się stało?

— Niestety, pana Todorowa napadnięto wczoraj wieczorem — włączyła się Clarke.

— O mój Boże — westchnęła kobieta. — Czy on...?

— Nie żyje — dokończył za nią Rebus. — Musimy skontaktować się z kimś z rodziny albo przynajmniej z kimś, kto będzie mógł potwierdzić jego tożsamość.

— Aleksander był gościem PEN i uniwersytetu. Przebywał w mieście od paru miesięcy. — Drżały zarówno głos bibliotekarki, jak i całe jej ciało.

— PEN?

— Grupa literacka... bardzo zaangażowana w kwestię praw człowieka.

— I gdzie mieszkał?

— Uniwersytet wynajmował mu mieszkanie przy Buccleuch Place.

— Ktoś z rodziny? Może żona...?

Kobieta potrząsnęła głową.

— O ile wiem, jego żona nie żyje. Chyba nie mieli dzieci. I pewnie trzeba Bogu dziękować.

Rebus się zamyślił.

— To kto zorganizował to spotkanie? — spytał po chwili. — Uniwersytet, konsulat...?

— Scarlett Colwell.

— Jego tłumaczka? — upewniła się Clarke.

Kobieta skinęła głową.

— Scarlett pracuje w katedrze rusycystyki. — Zaczęła nerwowo grzebać w karteczkach na biurku. — Gdzieś tu mam jej numer... Co za straszna tragedia. Nawet nie umiem wyrazić, jak to mną wstrząsnęło.

— Podczas tamtego wieczoru nic się nie wydarzyło? — Rebus dopilnował, by jego głos zabrzmiał zupełnie obojętnie.

— Wydarzyło? — Spojrzała na niego zaskoczona, ale stwierdziwszy, że nie ma zamiaru rozwinąć swego pytania, pokręciła głową. — Wszystko poszło wspaniale. Cudowne wyczucie rytmu i metafory... Nawet kiedy recytował swoje wiersze po rosyjsku, czuło się zawartą w nich pasję. — Przez moment zatopiła się myślami we wspomnieniach. — Potem Aleksander z chęcią podpisywał swoje książki — dodała z westchnieniem.

— Powiedziała to pani tak — odezwała się Clarke — jakby nie zawsze tak było.

— Aleksander Todorow był poetą, bardzo wybitnym poetą. — Z jej tonu wynikało, że to wszystko wyjaśnia. — O, jest.—Uniosła karteczkę, ale widać było, że nie ma zamiaru się z nią rozstać. Clarke wpisała numer do pamięci swojej komórki i podziękowała bibliotekarce za pomoc.

Rebus rozejrzał się po pomieszczeniu biblioteki.

— Gdzie dokładnie odbyło się to spotkanie?

— Na piętrze. Mamy tam salkę na ponad siedemdziesiąt osób.

— Pewnie nikt tego nie sfilmował?

— Sfilmował?

— Wie pani, dla potomności.

— Dlaczego pan pyta?

Rebus wzruszył ramionami.

— Rzeczywiście, spotkanie było nagrywane — przyznała kobieta. — Przyjechał ktoś ze studia nagrań.

W ręku Clarke pojawił się notes.

— Nazwisko?

— Abigail Thomas. — Chwilę trwało, nim kobieta zorientowała się w pomyłce. — Ach, chodzi pani o nazwisko osoby, która nagrywała, tak? Charlie jakiś tam... — Abigail Thomas z wysiłku aż zacisnęła powieki, potem znów je otworzyła. — Charles Riordan. Ma własne studio muzyczne w Leith.

— Dziękuję, pani Thomas — powiedział Rebus. — Czy przychodzi pani do głowy ktoś, z kim moglibyśmy się skontaktować?

— Możecie porozmawiać z kimś z PEN.

— A był tu ktoś z konsulatu?

— Nie sądzę.

— Bo?

— Bo Aleksander ostro krytykował obecną sytuację w Rosji. Parę tygodni temu wziął udział w panelowej dyskusji w programie *Question Time*.

— W telewizji? — upewniła się Clarke. — Czasem to oglądam.

— Czyli musiał dobrze mówić po angielsku — zauważył Rebus.

— Kiedy mu na tym zależało. — Bibliotekarka uśmiechnęła się kwaśno. — Jak mu się nie podobało coś, co ktoś do niego mówił, znajomość angielskiego nagle go zawodziła.

— Wygląda na niezłego gagatka — mruknął Rebus. — To wszystko jest na sprzedaż? — dodał, wskazując głową wystawkę książek Todorowa na stoliku obok schodów.

— Oczywiście. Chciałby pan coś kupić?

— I wszystkie są z jego autografami? — zapytał i odczekał, aż kobieta przytaknie. — To wezmę sześć. — Sięgnął do kieszeni po portfel i gdy kobieta poszła po książki, w odpowiedzi na pytające spojrzenie Clarke bezgłośnie poruszył wargami.

Można było z nich odczytać coś podobnego do „eBay”.



Za wycieraczką nie było mandatu, powitały ich za to wściekłe spojrzenia kierowców, którzy musieli przeciskać się obok ich samochodu. Rebus rzucił torbę z książkami na tylne siedzenie.

— Czy nie powinniśmy jej uprzędzić? — zastanowił się.

— Byłoby lepiej — zgodziła się Clarke. Wybrała numer na komórce i uniosła ją do ucha. — Słuchaj, czy ty w ogóle umiesz sprzedać coś na eBayu?

— Zawsze można się nauczyć. — Wzruszył ramionami. — Powiedz jej, że spotkamy się u niego w mieszkaniu. Żeby się nie okazało, że on leży sobie urżnięty w domu, a w kostnicy mamy sobowtóra. — Wetknął sobie pięść do ust, tłumiąc ziewnięcie.

— Pospałeś trochę? — spytała Clarke.

— Pewnie tyle co ty.

Zgłosiła się centrala uniwersytetu, Clarke poprosiła o połączenie ze Scarlett Colwell i po chwili ktoś podniósł słuchawkę.

— Panna Colwell? — Zamilkła i szybko się poprawiła. — Przepraszam, doktor Colwell. — Spojrzała na Rebusa i przewróciła oczami.

— Zapytaj ją, czy może mi wyleczyć podagrę — powiedział szeptem. Clarke walnęła go w ramię i zaczęła przekazywać doktor Scarlett Colwell smutną wiadomość.

Chwilę później podjeżdżali już pod Buccleuch Place — cztero-piętrową georgiańską kamienicę, stojącą w otoczeniu dużo

nowocześniejszych (i dużo brzydszych) budynków uniwersyteckich. Szczególnie jeden ze znajdujących się tu wieżowców cieszył się powszechną niechęcią mieszkańców Edynburga i być może atmosfera potępienia spowodowała, że wieżowiec podjął dzieło samozniszczenia. Co jakiś czas bez żadnego ostrzeżenia odpadały z niego wielkie kawały tynku.

— Ty tu nie studiowałaś, prawda? — zapytał Rebus, gdy ich samochód zaczął się trząść na rowkowanym podjeździe.

— Nie — odparła, wypatrując wolnego miejsca na parkingu. — A ty?

— Ja należę do dinozaurów, Shiv — parsknął Rebus. — W epoce brązu zostawało się detektywem bez dyplomu i biletu na głowie.

— Zdawało mi się, że w epoce brązu dinozaurów już nie było.

— No widzisz. Ale skąd człowiek bez studiów może o tym wiedzieć? Myślisz, że skoro już tu jesteśmy, udałoby się napić kawy?

— Masz na myśli jego mieszkanie? — zdziwiła się. — Chcesz pić kawę denata?

— Pijałem już dużo gorsze rzeczy.

— Wiesz, co ci powiem? W to akurat wierzę. — Clarke wysiadła pierwsza, Rebus podążył za nią. — To pewnie ona.

„Ona” stała na podeście schodów, przytrzymując otwarte drzwi wejściowe na klatkę. Pomachała do nich, a oni odpowiedzieli tym samym: Clarke, bo tego wymagała grzeczność; Rebus, bo Scarlett Colwell była kobietą o wyjątkowej urodzie. Długie kasztanowe włosy opadały jej falującą kaskadą na ramiona, oczy miała ciemne, figurę obdarzoną smakowitymi wypukłościami. Miała na sobie obcisłą zieloną minispódniczkę, czarne rajstopy i brązowe kozaki do pół łydki, kubraczek Czerwonego Kapturka zaś sięgał jej tylko do pasa. Podmuch wiatru przystonił jej twarz kosmykiem włosów i Rebus, patrząc, jak kobieta odgarnia loczek, poczuł się jak na planie zdjęciowym reklamy płatków czekoladowych Cadbury's. Zauważył też, że tusz do rzęs miała lekko rozsmazany. Zapewne świadczyło to o tym, że pani doktor uroniła kilka łez. Teraz wyglądała już jednak na całkiem opanowaną.

Poszli za nią schodami na czwarte, ostatnie piętro, gdzie wyjęła z kieszeni klucz do drzwi mieszkania Aleksandra Todorowa.

Rebus musiał na chwilę przystanąć piętro niżej i złapać oddech, więc gdy sapiąc dotarł na górę, drzwi były już otwarte. Mieszkanie było bardzo skromne: z krótkiego wąskiego przedpokoju wchodziło się do pokoju dziennego z wnęką kuchenną, małej łazienki z prysznicem oddzielnej toalety i niedużej sypialni z oknem wychodzącym na park The Meadows. Ze względu na spadek dachu ściana z oknem była pochylona pod dość ostrym kątem i Rebusowi przemknęło przez myśl, że poecie musiało nieraz zdarzyć się podebrać na łóżku i wyrznąć w nią głową. Mieszkanie sprawiało wrażenie nie tyle pustego, ile opustoszałego, jakby naznaczonego odejściem ostatniego lokatora.

— Jest nam naprawdę bardzo przykro — powiedziała Clarke, gdy stanęli w trójkę na środku pokoju. Rebus się rozejrzał: kosz na śmieci pełen zgniecionych kartek z brudnopisami wierszy, pusta butelka po koniaku na podłodze obok wygniezionej kanapy, mapka linii autobusowych Edynburga na ścianie nad składanym stolikiem z elektryczną maszyną do pisania. Ani śladu komputera, telewizora czy sprzętu grającego, poza przenośnym radiem z ułamaną anteną teleskopową. Wszędzie poniewierały się porzucane książki — część po angielsku, pozostałe po rosyjsku i w paru innych językach. Na oparciu kanapy leżał słownik języka greckiego, na etażerze przeznaczony na bibeloty stało kilka pustych puszek po piwie, na półce nad kominkiem leżała kupka zaproszeń na przyjęcia z ubiegłego miesiąca. Po drodze w przedpokoju widzieli leżący na podłodze aparat telefoniczny i Rebus spytał, czy poeta miał też telefon komórkowy. Colwell potrząsnęła przecząco głową, a jej długie loki zatańczyły w zgodnym rytmie. Rebus chętnie zadałby jej jeszcze jakieś pytanie, na które też mogłaby odpowiedzieć przecząco, ale Clarke chrząknęła ostrzegawczo.

— I komputera też nie miał? — spytał mimo to.

— Mógł zawsze skorzystać z komputera w moim gabinecie — odrzekła. — Ale Aleksander nie miał zaufania do techniki.

— Dobrze go pani знаła?

— Byłam jego tłumaczką. Kiedy pojawiła się sprawa stypendium, bardzo popierałam jego kandydaturę.

— A gdzie mieszkał przed przyjazdem do Edynburga?

— Przez jakiś czas w Paryżu... Przedtem w Kolonii... Jeszcze wcześniej w Stanford, Melbourne, Ottawie... — Zdobyła się na uśmiech. — Był bardzo dumny ze stempli w swoim paszporcie.

— A skoro o tym mowa — wtrąciła się Clarke — jego kieszenie zostały opróżnione. Czy wie pani może, co zwykle nosił przy sobie?

— Notes, długopis... pewnie trochę pieniędzy...

— Miał jakieś karty kredytowe?

— Miał kartę płatniczą. O ile wiem, otworzył sobie konto w First Albannach. Gdzieś tu powinny być jakieś wyciągi bankowe. — Rozejrzała się. — Mówicie, że został napadnięty?

— Na pewno ktoś go zaatakował.

— Jakim był człowiekiem, pani doktor? — spytał Rebus. — Jeśli ktoś by go zaczepił na ulicy, to czy pani zdaniem stawiałby opór, podjął walkę?

— Myślę, że tak. Był silnie zbudowany. Lubił dobre wino i dobrą rozróbę.

— Łatwo się złościł?

— Niespecjalnie.

— Ale powiedziała pani, że lubił rozrabiać.

— W tym sensie, że lubił się spierać, wyklócać — wyjaśniła Colwell.

— Gdzie widziała go pani po raz ostatni?

— W Bibliotece Poetyckiej. Wybierał się potem do pubu, ale ja wolałam wrócić do domu. Musiałam zdążyć z oceną prac studentów jeszcze przed przerwą świąteczną.

— I z kim w końcu poszedł?

— Na sali było kilku miejscowych poetów: Ron Butlin, Andrew Greig... Myślę, że dołączyła też do nich Abigail Thomas. Choćby po to, żeby zapłacić za ich drinki. Aleksander nie śmierzdział groszem.

Rebus i Clarke wymienili się spojrzeniami: będą musieli jeszcze raz porozmawiać z panią bibliotekarką. Detektyw odchrząknął, by choć trochę odwlec zadanie następnego pytania.

— Czy zechciałaby pani zidentyfikować zwłoki, doktor Colwell?

Twarz Scarlett Colwell zbladła.

— Wydaje się, że znała go pani lepiej od innych. Chyba że jest

jakiś członek rodziny, do którego moglibyśmy się zwrócić z tą prośbą.

Ale Colwell podjęła już decyzję.

— Dobrze. Zrobię to.

— Moglibyśmy od razu tam pojechać — wtrąciła Clarke. — Jeśli to pani odpowiada.

Ze wzrokiem nieruchomo utkwionym przed siebie, Colwell powoli skinęła głową. Rebus spojrzął na Clarke.

— Zadzwoń do firmy — powiedział. — Sprawdź, czy Hawes i Tibbet mogą przyjechać i przeszukać mieszkanie. Szukamy paszportu, karty płatniczej, notesu... Jeśli ich tu nie będzie, to znaczy, że ma je napastnik, o ile jeszcze się ich nie pozbył.

— Nie mówiąc o kluczach — dodała Clarke.

— Słusznie — przytaknął Rebus, raz jeszcze rozglądając się po pokoju. — Trudno ocenić, czy ktoś obcy tu buszował. Chyba że pani to pozna, doktor Colwell.

Colwell potrząsnęła głową i znów musiała odgarnąć z oczu niesforny kosmyk włosów.

— To mieszkanie zawsze wyglądało mniej więcej tak jak teraz.

— Czyli technicy od daktyloskopii niepotrzebni — rzucił w stronę Clarke. — Wystarczą Hawes i Tibbet. — Clarke kiwnęła głową i sięgnęła po komórkę. Równocześnie Colwell powiedziała coś, czego detektyw nie dosłyszał.

— Za godzinę mam ćwiczenia — powtórzyła.

— Odwieziemy panią grubo przed czasem — zapewnił ją, choć wcale nie miał zamiaru się tym przejmować. Wyciągnął rękę do Clarke. — Kluczyki.

— Słucham?

— Zostaniesz i poczekaasz na Hawes i Tibbeta. Ja zawiozę doktor Colwell do kostnicy.

Próbowała go zgromić wzrokiem, w końcu się jednak poddała.

— Niech cię później któreś odwiezie na Cowgate — dodał, w nadziei że to jej trochę osłodzi gorycz.



## 4

Mimo że niemal całe ciało było okutane w biały całun, który miał ukryć efekty działań patologów, identyfikacja denata odbyła się błyskawicznie. Colwell na moment oparła czoło o ramię Rebusa i upuściła po jednej łezce z każdego oka. Rebus natychmiast pożałował, że nie ma przy sobie czystej chustki, ale kobieta sięgnęła do torebki na ramieniu i wyciągnęła swoją. Najpierw osuszyła sobie oczy, potem wysiąkała nos. Trzecim uczestnikiem identyfikacji był profesor Gates w trzyczęściowym garniturze, który nie pasował na niego już od dobrych czterech lub pięciu lat. Stał z rękami założonymi na piersiach i głową pochyloną z szacunkiem.

— To Aleksander — wykrztusiła Colwell.

— Jest pani pewna? — upewnił się Rebus.

— Absolutnie.

— Zanim przejdziemy do spraw papierkowych, może doktor Colwell chciałaby się napić herbaty? — spytał Gates, unosząc głowę.

— To tylko dwa krótkie formularze — wtrącił pospiesznie Rebus. Colwell wolno skinęła głową i wszyscy troje przenieśli się do gabinetu patologa. Był to ciasny pokoik bez okna, w którym stale unosiła się woń wilgoci pochodząca z oddzielonej drzwiczkami kabiny prysznicowej. Dyżur pełniła dzienna zmiana i Rebus nie znał twarzy mężczyzny, który przyniósł im herbatę. Gates nazwał go Kevinem i polecił, by wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Po-tem otworzył leżącą na biurku teczkę z papierami.

— A tak przy okazji — podjął — czy pan Todorow był szczególnym miłośnikiem samochodów?

— Nie sędzę, żeby potrafił odróżnić komorę silnika od kufra — odparła Colwell, smutno się uśmiechając. — Kiedyś poprosił mnie, żebym mu wymieniła żarówkę w lampie na biurku.

Gates też się uśmiechnął, potem spojrzął na Rebusa.

— Laboratorium pytało, czy może pracował jako mechanik. Na brzegu marynarki i na kolanach spodni znaleźli ślady oleju.

Rebus pomyślał o miejscu zabójstwa.

— Mogło być coś na jezdni.

— King's Stables Road — zastanowił się patolog. — To tam, gdzie dawne stajnie pozamieniano na garaże, prawda?

Rebus przytaknął i spojrzął ukradkiem na Colwell, chcąc sprawdzić, jak sobie radzi.

— Wszystko w porządku — uspokoiła go. — Już nie będę chli-  
pała.

— Kto ci to powiedział? — zapytał Gatesa.

— Ray Duff.

— Ray jest w tym niezły — kiwnął głową Rebus. W rzeczywistości uważał, że Ray Duff należy do najlepszych kryminalogów, jakimi dysponuje policja.

— Chcesz się założyć — spytał Gates — że jest w tej chwili na miejscu i węszy za śladami oleju?

Rebus pokiwał głową i uniósł kubek z herbatą.

— Skoro już wiadomo, że to Aleksander — przerwała ciszę Colwell — czy muszę trzymać to w tajemnicy? To znaczy, czy zależy wam, żeby się to nie przedostało do mediów?

Gates głośno parsknął.

— Nie ma szansy, pani doktor, żeby to ukryć przed czwartą władzą. Policja Lothian i Borders przecieka jak sito, podobnie zresztą jak ta szacowna instytucja. — Wskazał głową drzwi. — Czyż nie tak, Kevin? — zawołał głośniejszym głosem, po czym rozległ się odgłos szybko oddalających się kroków. Gates uśmiechnął się z widoczną satysfakcją i podniósł słuchawkę telefonu, który właśnie zadzwonił.

Rebus czuł że to Siobhan Clarke, która czeka już w recepcji...



Odwieźli Colwell na uniwersytet i Rebus zaprosił Clarke na lunch. Usłyszawszy jego propozycję, wlepiała w niego wzrok i spytała,

czy na pewno dobrze się czuje. Gdy potwierdził, oświadczyła, że pewnie potrzebuje od niej jakiejś przysługi.

— Kto wie czy prędko nadarzy się okazja, kiedy już odejdę z pracy — wyjaśnił.

Poszli do bistro na piętrze przy West Nicolson Street, gdzie daniem dnia była francuska zapiekanka z sarniną. Podano ją z frytkami i zielonym groszkiem, a Rebus wszystko obficie polał sosem HP. Ograniczył się do małego piwa Deuchar's, a przed wejściem do środka zdążył jeszcze pociągnąć cztery dymy. Pomiędzy kolejnymi kęsami chrupiącego ciasta opowiedział Clarke o odkryciu Raya Duffa i upewnił się, że ich koledzy dojechali do mieszkania Todorowa.

— Myślisz, że między Colinem a Phyllidą coś zaiskrzyło? — odpowiedziała pytaniem. Detektywi Phyllida Hawes i Colin Tibbet dzielili z Rebusem i Clarke pokój w wydziale śledczym komisariatu przy Gayfield Square. Do niedawna cała czwórka pracowała tam pod czujnym okiem detektywa inspektora Dereka Starra, którego ostatnio na zasadzie awansu — zdaniem samego zainteresowanego w pełni mu należnego — oddelegowano czasowo do komendy głównej przy Fettes Avenue. Panowała powszechna opinia, że gdy Rebus odpłynie w siną dal, Clarke awansuje do stopnia inspektora i zajmie jego miejsce. Sama Clarke milczała, nie reagując na krążące plotki.

— A czemu pytasz? — Rebus uniósł kufel i stwierdził z żalem, że jest już niemal pusty.

— Bo wydaje mi się, że jest między nimi porozumienie.

Rebus wlepił w nią wzrok, starając się, by jego spojrzenie wyrażało bolesne zdziwienie.

— A między nami nie?

— Między nami też. — Clarke uśmiechnęła się. — Ale odnoszę wrażenie, że spotykają się też poza pracą, tylko nie chcą się z tym afiszować.

— Myślisz, że się teraz migdałą w mieszkaniu denata?

Clarke z niesmakiem zmarszczyła nos i ostentacyjnie zamilkła.

Dopiero po dłuższej chwili podjęła temat na nowo.

— Tak się zastanawiam, jak powinnam do tego podejść.

— Masz na myśli to, kiedy mnie już nie będzie, a ty będziesz szefować, tak? — Rebus odłożył widelec i wlepił w nią spojrzenie.

— To tobie zależy na tym, żeby nie zostawiać po sobie żadnych niedokończonych spraw — obruszyła się.

— Może i tak, ale jakoś nigdy nie próbowałem prowadzić kącika złamanych serc. — Uniósł kufel, ale okazało się, że jest już pusty.

— Masz ochotę na kawę? — spytała pojednawczo.

Pokręcił głową i zaczął obmacywać kieszenie marynarki.

— Mam ochotę na porządną porcję dymu. — Znalazł paczkę i wstał od stolika. — Ty sobie wypij kawę, a ja wyjdę na zewnątrz.

— Co robimy dziś po południu?

Przez chwilę się wahał.

— Będzie lepiej, jak się podzielimy. Zajmij się tą bibliotekarką, a ja zajrzę na King's Stables Road.

— Dobrze. — Kiwnęła głową, nawet nie starając się ukryć niezadowolenia. Przez chwilę zdawało się, że Rebus podejmie wyzwanie i coś odpowie, on jednak tylko machnął ku niej papierosem i ruszył do wyjścia.

— I dzięki za lunch — mruknęła pod nosem, wiedząc, że już jej nie słyszy.



Rebus podejrzewał, że wie, dlaczego nie potrafią wytrzymać więcej niż pięć minut, by nie zacząć na siebie powarkiwać. Oboje żyli w stanie napięcia — on, bo schodził z pola walki; ona, bo liczyła na rychły awans. Przez tyle lat ze sobą współpracowali i niemal równie długo się przyjaźnili... Nie mogło się więc teraz obywać bez napięć.

Wszyscy wokół byli przeświadczeni, że już się dawno ze sobą przespali, prawda była jednak taka, że ani jedno, ani drugie nie chciało do tego dopuścić. Jak mogliby potem pracować jako partnerzy? Trzeba się było zdecydować: wszystko albo nic, a oboje zbyt kochali to, co robią żeby coś im miało stanąć na drodze. Jedno, przy czym Rebus się uparł i co Clarke mu solennie przyrzekła, to to, że w ostatnim tygodniu pracy nie zaskoczą go żadnymi przyjęciami niespodziankami. Ich bezpośredni szef w komisariacie przy Gayfield Square zaproponował nawet, że coś zorganizuje, ale Rebus odmówił kategorycznym potrząśnięciem głową.

— Jesteś oficerem o najdłuższym stażu pracy w całym wydziale śledczym — próbował argumentować starszy inspektor Macrae.

— Więc na medal zasługują ci, którzy tak długo ze mną wytrzymali, nie ja — odparł Rebus.

Raeburn Wynd wciąż jeszcze było od dołu zagrodzone taśmą policyjną, choć jakiś miejscowy właśnie wcisnął się pod białoniebieską wstęgę. Sprawiał wrażenie jednego z tych, którzy nie przyjmują do wiadomości, że w Edynburgu może być jakieś miejsce, do którego nie mają wstępu. W każdym razie Rebus tak odczytał jego lekceważące machnięcie ręką, którym zareagował na uwagę zwróconą przez Duffa, że przechodząc, zanieczyszcza miejsce przestępstwa. Gdy Rebus podszedł bliżej, Duff wciąż jeszcze kręcił głową, choć bardziej z frustracji niż ze złości.

— Gates przewidział, że cię tu znajdzie — zagaił na powitanie, ale Duff tylko przewrócił oczami.

— A teraz ty mi tu jeszcze leziesz.

Siedział przykucnięty, obok leżała jego skrzynka na narzędzia z czerwonego plastiku, którą kupił kiedyś w supermarkecie dla majsterkowiczów i która mieściła jego zestaw do badań kryminalistycznych. Boki skrzynki rozkładały się jak harmonia, dając dostęp do licznych szufladek. Duff był właśnie w trakcie ich zamykania.

— Myślałem, że już sobie odpuściłeś — powiedział.

— Nie wierzę.

— I masz rację Rebus — roześmiał się.

— Znalazłeś coś? — spytał Rebus.

Duff zamknął obie połowy skrzynki i dźwignął ją z ziemi.

— Sprawdziłem wszystkie garaże do samego dołu ulicy. Chodziło mi o to, że gdyby go tam napadnięto, na jezdni byłyby ślady krwi. — Stuknął nogą, by podkreślić wagę swych słów.

— No i?

— No i ślady krwi są, tylko że gdzie indziej. — Kiwnął na Rebusa, żeby za nim poszedł, i skręcił w lewo w King's Stables Road. — Widzisz coś?

Rebus wlepił wzrok w chodnik i wypatrzył ciągnący się rząd plamek, które utraciły już wprawdzie zabarwienie, ale były nadal łatwo rozpoznawalne. Ślady krwi.

— Jak to możliwe, że przegapiliśmy to wczoraj wieczorem?

Duff wzruszył ramionami. Podszedł do zaparkowanego przy krawężniku samochodu, otworzył bagażnik i schował do środka swoją magiczną skrzynkę.

— I dokąd się to ciągnie? — spytał Rebus.

— Właśnie miałem zamiar sprawdzić, kiedy się zjawiłeś.

— No to zróbmy to razem.

Ruszyli chodnikiem, nie odrywając wzroku od powtarzających się co kawałek śladów krwi.

— Masz zamiar dołączyć do ZAX-u? — zapytał Duff.

— Myślisz, że by mnie chcieli? — ZAX było skrótem od Zespołu Archiwum X, grupy śledczej kierowanej przez trzech oficerów policji na emeryturze, która zajmowała się rozgrzebywaniem na nowo poprzednio niewyjaśnionych spraw.

— Słyszałeś, co nam się udało w zeszłym tygodniu? Użytkaliśmy kod DNA z odcisku spoczonej dłoni. Tego rodzaju metody mogą być bardzo przydatne w rozwiązywaniu starych zagadek. Podbicie DNA oznacza, że możemy rozszyfrować wielokrotności DNA.

— Szkoda, że nie potrafię rozszyfrować tego, co teraz do mnie mówisz.

— Czasy się zmieniają, John — zachichotał Duff. — Tak szybko, że większość z nas nie nadąza.

— Chcesz powiedzieć, że nadają się już tylko na śmietnik?

Duff wruszył ramionami. Zdażyli już przejść około stu metrów i znaleźli się przy wyjeździe z wielopoziomowego parkingu. Kierowcy opuszczający parking mieli do wyboru dwa wyjazdy zamknięte szlabanami, które unosiły się po wsunięciu do czytnika opłaconego wcześniej biletu.

— Udało wam się zidentyfikować ofiarę? — spytał Duff, nie przestając wypatrywać wzrokiem dalszych śladów.

— Rosyjski poeta.

— Miał tu samochód?

— Nawet nie umiał wymienić przepalonej żarówki.

— Bo na takich parkingach, John, zawsze można znaleźć na podłodze ślady oleju.

Rebus zauważył, że oba wyjazdy wyposażone były w interkomy. Nacisnął przycisk jednego z nich i odczekał. Po chwili z głośniczka zachrypiał męski głos.

— Co jest?

— Chciałbym prosić o pomoc...

— A co, zgubiłeś się pan? Słuchaj no, koleś, tu jest parking

samochodowy. Zajmujemy się tu tylko parkowaniem samochodów.

Rebusowi wystarczyła sekunda, by połapać się w sytuacji.

— Widzę, że mnie widzisz — powiedział. Rzeczywiście, wysoko w narożniku tkwiła kamera, której obiektyw był zwrócony wprost na bramki wyjazdowe. Rebus uniósł rękę i pomachał.

— Coś się stało z samochodem? — spytał głos.

— Nie, jestem glina—odrzekł Rebus. — Chcę chwilę pogadać.

— A o czym?

— Gdzie jest to twoje biuro?

— Piętro wyżej — odrzekł głos z wahaniem. — Chodzi o tą stłuczkę, co ją miałem?

— To zależy. Rąbnięłeś w faceta i go zabiłeś?

— Chryste, skąd!

— No to chyba nie masz się czym martwić. Zaraz tam będziemy.

Rebus obszedł szlaban i podszedł do Duffa, który na czworakach zaglądał pod zaparkowane bmw.

— Te nowe beemy wcale mnie nie rajcują — powiedział, czując za plecami obecność Rebusa.

— Znalazłeś coś?

— Zdaje się, że pod spodem jest krew... nawet dość dużo. Jakbyś mnie zapytał, tobym odpowiedział, że dotarliśmy do początku tropu.

Rebus obszedł auto dookoła. Na desce pod szybą leżał bilet parkingowy, z którego wynikało, że wóz wjechał na parking dziś o jedenastej rano.

— Ten samochód obok — zagadnął Duff. — Widzisz tam coś pod nim?

Rebus obszedł ogromnego lexusa, ale niczego nie dostrzegł, więc nie pozostało mu nic innego, jak też opaść na kolana. Pod samochodem leżał jakiś kawałek drutu czy sznurka. Detektyw wsunął rękę i zaczął macać końcami palców. W końcu udało mu się dosięgnąć i wyciągnąć to coś spod samochodu. Podniósł się, trzymając znaleziony przedmiot końcami dwóch palców.

Srebrny łańcuszek na szyję.

— Ray, chyba powinieneś przynieść tu tę swoją skrzynkę.

## 5

Clarke uznała, że nie musi jechać do bibliotekarki, bo wystarczy, jak do niej zadzwoni z mieszkania Todorowa, które Hawes i Tibbet wciąż jeszcze przeszukiwali. Nie zdążyła nawet wybrać numeru Biblioteki Poetyckiej, gdy Hawes wkroczyła do pokoju, wymachując paszportem denata.

— Pod narożnikiem materaca w sypialni — oświadczyła. — Pierwsze, od czego zaczęłam.

Clarke skinęła głową i wyszła do przedpokoju, żeby spokojnie porozmawiać.

— Panna Thomas? — zaczęła. — Tu detektyw sierżant Clarke. Przepraszam, że znów panią niepokoję...

Trzy minuty później wróciła do pokoju z nowymi informacjami: tak, po skończonym wieczorze poetyckim Abigail Thomas poszła z Todorowem do pubu, ale ograniczyła się tylko do tego jednego, wiedząc, że poeta nie spocznie, póki nie odwiedzi czterech lub pięciu innych.

— Uznałam, że w towarzystwie pana Riordana będzie bezpieczny — dodała przez telefon.

— Tego nagraniowca?

— Tak.

— Nikt więcej wam nie towarzyszył? Żaden inny poeta?

— Tylko my troje i jak już mówiłam, długo z nimi nie zabawiłam...

Colin Tibbet zdążył w tym czasie przejrzeć zawartość szuflad w biurku i kuchennych szafek i zabierał się do podniesienia kanapy,



chcąc sprawdzić, czy poza kurzem znajdzie tam coś jeszcze. Clarke podniosła z podłogi książkę — kolejny egzemplarz *Astapowo Blues*. Zdażyła wcześniej zajrzeć do encyklopedii i wiedziała, że hrabia Tołstoj zmarł na niewielkiej stacyjce kolejowej, uciekając od żony, która nie chciała dzielić z nim życia w siermiężnym ubóstwie. Pozwoliło jej to lepiej zrozumieć kończący zbiorek wiersz *Kod kodeksu*, w którym jak refren powtarzała się fraza o „zimnej, oczyszczającej śmierci”. Wyglądało na to, że Todorow nie uważał wierszy zamieszczonych w zbiorze za skończone, bo w książce znajdowało się mnóstwo naniesionych ołówkiem uwag i poprawek. Clarke sięgnęła do kosza i wyjęła jedną ze zmiętych kartek.

*Niewidzialne dźwięki miasta*  
*Powietrze krzyczące na alarm*  
*Zgęstniałe od*

Resztę kartki wypełniały bohomazy ze znaków przestankowych.

Na biurku leżała pusta obwoluta na dokumenty, książeczka z rozwiązanymi łamigłówkami sudoku i korytko z długopisami i ołówkami, obok zestaw do kaligrafii wraz z instrukcją. Clarke podeszła do ściany, stanęła przed mapką linii autobusowych Edynburga i przejechała palcem od King's Stables Road do Buccleuch Place. Mógł wybrać jeden z wielu wariantów trasy. Mógł ruszyć w obchód pubów i trochę się pogubić. Nie było powodu sądzić, że od początku zmierzał w kierunku domu. Mógł też wyjść z mieszkania, przejść przez George Square, skierować się w stronę Candlemaker Row i zejść w dół na Grassmarket. Pubów tam nie brakuje, a od King's Stables Road dzieliłby go tylko jeden zakręt w prawo...

Zadzwoił telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko dzwoniącego: Rebus.

- Phyl znalazła jego paszport — powiedziała Clarke.
- A ja znalazłem jego łańcuszek na szyję. Leżał pod samochodem na tym parkingu przy King's Stables Road.
- Czyli tam go zabito, a potem porzucono zwłoki w zaułku?
- Ślady krwi na to wskazują.

— Albo jeszcze żył i sam tam dotarł.

— Taka możliwość też istnieje — zgodził się Rebus. — Pytanie tylko, skąd się w ogóle wziął na tym parkingu? Jesteś u niego w mieszkaniu?

— Właśnie wychodziłam.

— To zanim wyjdiesz, dodaj do listy poszukiwań kluczyki od samochodu albo prawo jazdy. I spytaj Scarlett Colwell, czy Todorow miał do dyspozycji samochód. Jestem pewien, że zaprzeczy, ale tak na wszelki wypadek...

— A na parkingu nie stoją jakieś porzucone samochody?

— Słuszna uwaga, Shiv. Każę im to sprawdzić. Odezwę się później. — Połączenie zostało przerwane i Clarke uśmiechnęła się pod nosem. Od wielu miesięcy nie słyszała takiego podtekstowania w głosie Rebusa. Zaraz potem, nie po raz pierwszy, przemknęła jej przez głowę myśl: co on, u diabła, pocznie ze sobą po odejściu z pracy?

Odpowiedź: pewnie się jej uczepli. Będzie ją zamęczał codziennymi telefonami i wypytywaniem o szczegóły jej śledztw.

Dodzwoniła się do doktor Colwell na komórkę, bo widać tłumaczka zapomniała ją wyłączyć.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedziała Clarke. — Jest pani w trakcie ćwiczeń?

— Musiałam odwołać.

— Doskonale to rozumiem. Myślę, że powinna pani w ogóle zrobić sobie dziś wolne. Przeżyła pani silny wstrząs.

— Zrobić sobie wolne i co dalej? Mój chłopak jest w Londynie. Mam siedzieć sama w pustym mieszkaniu?

— Jest chyba ktoś, do kogo może pani zadzwonić. — Clarke uniosła głowę i spojrzała na wchodzącą do pokoju Hawes. Ta wrzusiła tylko ramionami: ani śladu notesu, kluczy i karty płatniczej. Nie lepiej powiodło się Tibbetowi, który przysiadł na krześle i ze zmarszczonymi brwiami czytał jeden z wierszy ze zbioru *Astapowo Blues*. — A ja dzwonię, żeby spytać, czy Aleksander miał samochód.

— Nie miał.

— A prawo jazdy?

— Nie mam pojęcia. Mogę panią tylko zapewnić, że nie wsiałabym do samochodu, w którym on byłby kierowcą.

Clarke spojrzała na mapę i pokiwała głową. Logiczne. Todorow korzystał z autobusów.

— W każdym razie dziękuję — powiedziała.

— I co, rozmawiała pani z Abi Thomas? — spytała nagle Colwell.

— Poszła z nim do pubu.

— No pewnie.

— Ale tylko na krótko.

— Czyżby?

— Zabrzmiało to tak, jakby nie bardzo pani w to wierzyła, pani doktor.

— Abi Thomas dostawała rumieńców od samego czytania wierszy Aleksandra... może pani sobie wyobrazić, co czuła, siedząc wciśnięta obok niego w kąt w jakiejś knajpie.

— No cóż, dziękuję za pomoc... — zaczęła Clarke, ale okazało się, że mówi w próżnię. Połączenie zostało już przerwane. Popatrzyła na telefon, czując na sobie wzrok tamtych dwojga.

— Myślę, Siobhan, że niczego już tu nie znajdziemy — oznajmiła Hawes, a jej partner chrząknął na znak, że się z nią zgadza. Był od niej o dwa centymetry niższy i o wiele mniej bystry, ale miał dość oleju w głowie, żeby mówienie zostawić jej.

— To co, z powrotem do bazy? — Oboje entuzjastycznie kiwnęli głowami. — Dobra, ale przed wyjściem zróbcie jeszcze jedną rundkę. Teraz szukamy kluczyków do samochodu albo czegoś, co świadczyłoby, że denat mógł potrzebować miejsca na parkingu.

Potem przejęła książkę od Tibbeta i usiadła na jego miejscu. Chciała się upewnić, że nie przegapiła czegoś w *Kodzie kodeksu*.



Technicy z ekipy dochodzeniowej spróbowali przepchnąć bmw, ale samochód nawet nie drgnął, zaczęli się więc zastanawiać nad podlewarowaniem wszystkich kół lub sprowadzeniem lawety z wyciągarką. Całe piętro zaroilo się od policjantów w białych kombinizonach, którzy utworzywszy tyralierę, zaczęli na kolanach przepatrywać podłogę centymetr po centymetrze. Był wśród nich Todd Goodyear, który na powitanie skinął Rebusowi głową. Do pracy zabrała się też ekipa dokumentacyjna, której paru członków

fotografowało i filmowało wewnątrz parkingu, pozostali robili to samo na zewnątrz, podążając za śladami krwi. Wszyscy mieli świadomość, że powinni byli wykryć je od razu wczoraj i starali się teraz robić dobrą minę do złej gry. Nie przeszkodziło im to obrzucać złymi spojrzeniami Raya Duffa, gdy ten na nich nie patrzył.

Taką scenę ujrzała właścicielka bmw, która w pewnej chwili wróciła do swego samochodu z teczką i pękiem toreb z zakupami. Toddowi Goodyearowi kazano przerwać poszukiwania i spisać jej krótkie zeznanie.

— Tylko streszczaj się — warknął Tam Banks, który nie mógł się już doczekać możliwości przyjrzenia się podłodze pod samochodem.

Rebus stał parę kroków dalej z parkingowym, który przed chwilą skończył obchód pozostałych pięter parkingu. Nazywał się Joe Wills i ubrany był w służbowy uniform, uszyty wyraźnie na kogoś innego. Zdążył już wyjaśnić Rebusowi, że odnalezienie porzuconego samochodu wśród pozostałych będzie bardzo trudne.

— Czy parking jest czynny całą dobę? — spytał go wcześniej Rebus.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie, zamykamy o jedenastej.

— I nie sprawdzacie, czy na noc nie zostały jakieś samochody?

Wills wzruszył ramionami, w sposób wskazujący na coś więcej niż tylko obojętność. Chyba niezbyt kocha tę pracę, pomyślał wtedy Rebus.

Parkingowy tłumaczył teraz, że po zrobieniu obchodu wciąż nie potrafi powiedzieć, czy któreś z miejsc parkingowych było zajęte przez noc.

— Robimy przegląd tablic rejestracyjnych, ale tylko raz na dwa tygodnie — wyjaśnił.

— Czyli kradziony samochód mógłby tu stać czternaście dni i nikt by tego nie wiedział, czy tak?

— Taka jest polityka firmy — mruknął. Rebus domyślał się w nim człowieka, który nie wylewa za kołnierz: kilkudniowy siwy zarost, włosy proszące się o szampon, czerwone obwódki wokół oczu. Pewnie w służbówce ma schowaną butelkę i pociąga z niej między kolejnymi filiżankami kawy i herbaty.

— Jakie macie tu zmiany?

— Od siódmej do trzeciej i od trzeciej do jedenastej. Ja tam wolę te poranne. Pięć dni pracy, dwa wolnego; inni zwykle mają weekendy.

Rebus zerknął na zegarek. Dwadzieścia minut do końca zmiany.

— Czyli kolega niedługo przejmie służbę. Ten sam, który był tu wczoraj wieczorem?

Wills skinął głową.

— Ma na imię Gary.

— I od wczoraj pan z nim nie rozmawiał?

Wills kolejny raz wzruszył ramionami.

— O Garym wiem tyle, że mieszka w Shandon, kibicuje Heart-som i ma fajną laskę za żonę.

— Zawsze coś — mruknął Rebus. Po chwili zaś dodał: — To chodźmy teraz obejrzeć nagrania z kamer monitoringu.

— A po co? — Strażnik wlepił w Rebusa szkliste spojrzenie.

— Zobaczymy, czy coś się nagrało na taśmie. — Z miny Willsa nietrudno było przewidzieć jego reakcję.

— Na taśmie...? — powtórzył ze zdziwieniem.

Mimo wszystko ruszyli pochylnią na wyższe piętro. Służbówka okazała się ciasną pakamerą z brudnymi szybami i grającym radiem. Ścianę zajmowało pięć migających czarno-białych monitorów, szósty był wyłączony.

— To z najwyższego piętra — wyjaśnił Wills. — Ale zepsuty.

Rebus przyjrzał się pozostałym pięciu. Obrazy na nich były zaśnieżone i nie sposób było odczytać numerów na tablicach rejestracyjnych. Również sylwetki ludzi kręcących się na parterze były rozmazane.

— Po jaką cholerę w ogóle to trzymacie? — prychnął.

— Szeffowie uważają, że klientom daje to poczucie bezpieczeństwa.

— Całkowicie fałszywe, o czym najlepiej świadczy truposz w kostnicy. — Rebus odwrócił twarz od monitorów.

— Jedna kamera to nawet patrzyła prawie dokładnie w to miejsce, ale od czasu do czasu ją przestawiają...

— I nie zachowujecie żadnych nagrań?

— Nagrywarka padła w zeszłym miesiącu. — Parkingowy głową pokazał puste miejsce pod monitorami. — Ale nikt się tym

specjalnie nie przejmuję. Jedyne, co szefów interesuje, to żeby nikt nie wymknął się bez zapłacenia. Ale system jest dość szczelny i rzadko się to zdarza. — Wills nagle coś sobie przypomniał. — Jest też klatka schodowa. Prowadzi od samej góry aż do ulicy. W zeszłym roku napadli tam jednego klienta.

— Tak?

— Mówiłem im wtedy, że tam też powinni zainstalować monitoring, ale nic w tej sprawie nie zrobili.

— Przynajmniej pan próbował.

— Nie wiem, po co ja się w ogóle przejmuję... I tak jestem na wylocie. Wszystkich nas zwalniają i zastępują jednym facetem na motorowerze, który będzie kursował między sześcioma parkingami.

Rebus rozejrzał się po ciasnym wnętrzu. Elektryczny czajnik i parę kubków, kilka wystrzępionych książek w miękkich okładkach, parę czasopism i radio — wszystko sfoczone na stoliku naprzeciw monitorów. Domyślał się, że strażnicy i tak spędzają większość czasu odwróciwszy tyłem do ekranów. I właściwie dlaczego nie? Głódowa pensja, szefowie gdzieś daleko, żadnej ochrony praw pracowniczych. W ciągu całej zmiany jedna czy dwie rozmowy przez interkom: jakiś klient, który zgubił bilet albo który nie ma drobnych. Niewielki stojak na kompaktki wypełniony był płytami z nazwami zespołów, które niewiele Rebusowi mówiły: Kaiser Chiefs, Razorlight, Killers, Strokes, White Stripes...

— Płyty są, ale bez odtwarzacza — zauważył.

— To Gary'ego. Nosi ze sobą taki mały, przenośny.

— Na słuchawki, tak? — domyślił się Rebus. Wills pokijał głową. — No to pięknie — mruknął pod nosem. — Pracował tu pan już w ubiegłym roku, panie Wills?

— W przyszłym miesiącu będą trzy lata, jak tu pracuję.

— A pański kolega?

— Osiem, może dziewięć miesięcy. Próbowałem pracować na jego zmianie, ale się nie wyrabiam. Lubię mieć wolne popołudnia i wieczory.

— Żeby można było sobie popić? — spytał z troską w głosie Rebus. Twarz Willsa spochmurniała, co tylko utwierdziło detektywa w podejrzeniach. — Miał pan kiedyś kłopoty, panie Wills?

— Jakie kłopoty?

— Kłopoty z prawem.

Wills zajął się nagle wyczyszczeniem łupieżu.

— Dawno temu — mruknął po dłuższej przerwie. — Moi szefowie wszystko wiedzą.

— Chodziło o bójkę?

— Kradzież — poprawił go Wills. — Ale to było dwadzieścia lat temu.

— A jak to było z tym samochodem? Wspominał pan coś o jakiejś stłuczce.

Ale Wills odwrócił już głowę i wpatrzył się w szybę.

— Jest już Gary.

W pobliże służbówki zajechał bladoniebieski samochód. Kierowca zaparkował, wysiadł i zamknął drzwi na klucz. Drzwi służbówki otworzyły się z impetem.

— Joe, co się tam, do cholery, dzieje na dole? — Gary nie był jeszcze do końca przebrany w służbowy uniform i Rebus domyślał się, że kurtkę upchnął wraz z kanapkami w trzymanej w rękę plastikowej torbie. Był od Willsa trochę młodszy, znacznie szczuplejszy i o dobrych piętnaście centymetrów wyższy. Rzucił na stolik dwie gazety, sam jednak nie wszedł do środka, bo obecność Rebusa powodowała, że nie bardzo miał się jak zmieścić. Stojąc w otwartych drzwiach, zdjął płaszcz, ukazując świeżo odprasowaną białą koszulę bez krawata. Pewnie w którejś kieszeni ma gotowca na gumce, pomyślał Rebus.

— Detektyw inspektor Rebus — przedstawił się. — Wczoraj wieczorem doszło tu do brutalnego pobicia mężczyzny.

— Na poziomie zero — uzupełnił Wills.

— I co, nie żyje? — spytał nowo przybyły, wytrzeszczając oczy. W odpowiedzi Wills przejechał sobie dłonią po gardle i wydał odpowiednio chrapliwy dźwięk. — Jasna cholera. Baba-Jaga już wie?

Wills potrząsnął głową i spojrzawszy na Rebusa, uznał, że potrzebne jest wyjaśnienie.

— Tak mówimy na naszą szefową — powiedział. — Ona jedna tu do nas zagłada. Chodzi zawsze w długim czarnym płaszczu z takim szpiczastym kapturem.

Stąd jej przezwisko. Rebus ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Będę musiał spisać protokół — powiedział do nowo przybyłego.

Willsonowi wyraźnie zaczęło się bardzo spieszyć, bo upychał teraz swoje rzeczy do plastikowej torby na zakupy.

— To było na twojej zmianie, Gary — prychnął. — Baba-Jaga nie będzie zadowolona.

— No i mamy historię jak z książki — mruknął Gary, usuwając mu się z drogi. Rebus też wyszedł, by zaczerpnąć świeższego powietrza.

— Jeszcze pogadamy — zawołał za oddalającym się Willsem, ale ten tylko machnął ręką, nawet nie odwracając głowy.

Rebus przyjrzał się Gary'emu. Był wysoki, wręcz tyczkowaty, i lekko przygarbiony, jakby chciał w ten sposób wydawać się niższy. Miał pociągłą twarz z kwadratową szczęką, mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i strzechą ciemnych włosów na głowie. Rebus już miał na końcu języka uwagę, że z takim wyglądem powinien się załapać do kapeli rockowej, a nie marnować w robocie bez perspektyw, ale pomyślał, że Gary może wcale tak nie uważać. Na pewno jednak można było uznać go za przystojnego, co by tłumaczyło posiadanie „fajnej laski”. Tylko czy w tej kwestii można polegać na guście Joe Willsa?

Dwudziestominutowa rozmowa niewiele wzbogaciła wiedzę Rebusa ponad to, co już wiedział wcześniej: mężczyzna z popołudniowej zmiany nazywał się Gary Walsh, mieszkał w piętrowym szeregowcu w Shandon, od dziewięciu miesięcy pracował na stanowisku parkingowego, wcześniej przymierzał się do jeżdżenia na taksówce, ale nie odpowiadały mu nocne godziny pracy, wczoraj wieczorem nie widział ani nie słyszał nic szczególnego.

— A jak to wygląda o dwudziestej trzeciej? — zapytał Rebus.

— Zamykamy interes. Na wjazdach i wyjazdach opuszczamy stalowe żaluzje.

— I nikt nie może ani wejść, ani wyjść? — Walsh pokręcił głową. — A sprawdzacie, czy nie został ktoś w środku? — Parkingowy potwierdził. — Zostały jakieś samochody na poziomie zero?

— Niczego takiego sobie nie przypominam.

— Zawsze parkuje pan tuż obok służbówki?

— Zawsze.



— Ale wyjeżdżając z parkingu, musi pan przejechać przez poziom zero? — Kiwnięcie głową. — I niczego pan nie zauważył?

— Ani niczego nie słyszałem.

— Bo na podłodze musiała być krew.

Wzruszenie ramion.

— Lubi pan muzykę, panie Walsh?

— Uwielbiam.

— Zdarza się więc panu rozsiaść na krzesło, położyć nogi na stole, nasunąć na uszy słuchawki, przyknać oczy... Niezły z pana stróż, nie ma co.

Zignorował wściekłe spojrzenie Walsh'a i ponownie wpatrzył się w ekrany monitorów. Na dwóch widać było fragmenty poziomu zerowego. Jedna z kamer monitorowała szlabany wyjazdowe, obiektyw drugiej zwrócony był na daleki narożnik. Rebus pomyślał z goryczą, że pewnie więcej pożytku byłoby z funkcji wideo w pierwszym lepszym telefonie komórkowym.

— Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocny — odezwał się Walsh, nawet nie próbując udawać żalu. — A kim on był?

— Rosyjskim poetą. Nazywał się Todorow.

Zapadła cisza.

— Nie znam, nie czytuję poezji — mruknął po chwili Walsh.

— Może pan wstąpić do mojego klubu. Tylko uprzedzam, że kolejka oczekujących jest długa.

## 6

CR Studio mieściło się na najwyższym piętrze zaadaptowanego magazynu, tuż obok Constitution Street. Dłoń, którą Charles Riordan podał Clarke, była miękka i wilgotna. Siobhan miała wrażenie, jakby ten uścisk zostawiał po sobie ślad, którego zwykłe pocieranie skóry nie da rady usunąć. Palce prawej ręki Riordana zdobiły pierścienie, na lewej mężczyzna miał tylko masywnie wyglądający złoty zegarek na luźnej bransoletce. Na jego fiołkowej koszuli widać było plamy potu pod pachami, z podwiniętych rękawów wystawały ramiona porośnięte gęstym, czarnym owłosieniem. Patrząc, jak się miota po pomieszczeniu, Clarke nie miała wątpliwości, że chce sprawiać wrażenie człowieka okropnie zajętego. Obok wejścia stało biurko recepcjonistki i coś w rodzaju konsoli, a siedzący przy niej technik z rękami na przyciskach nie spuszczał wzroku z ekranu, na którym wił się wykres fal dźwiękowych.

— Nasze królestwo hałasu — oznajmił Riordan.

— Imponujące. — Clarke skinęła głową. Przez szybę widać było dwie oddzielne kabiny nagraniowe, obie puste. — Tylko troszkę mało miejsca jak na orkiestrę.

— Możemy nagrywać solistów — odparł Riordan. — Wokalistów z gitarą i własnym repertuarem, tego typu rzeczy. Ale tak naprawdę specjalizujemy się w nagraniach słownych: reklamy radiowe, książki audio, listy dialogowe dla telewizji...

Czyli dość wyspecjalizowane królestwo, przemknęło jej przez głowę. Spytała, czy jest jakieś biuro, w którym mogliby spokojnie

porozmawiać, ale Riordan tylko wymownym gestem rozpostarł ręce. Wyspecjalizowane i maleńkie królestwo.

— No więc — zaczęła — jak już powiedziałam przez telefon...

— Tak, wiem — przerwał jej. — I wprost nie mogę w to uwierzyć.

Ani recepcjonistka, ani dźwiękowiec nie mrugnęli nawet okiem. Widocznie Riordan zdążył już podzielić się z nimi wiadomością.

— Próbujemy odtworzyć ostatnie chwile życia Todorowa — powiedziała Clarke i dla większego efektu otworzyła notes. — O ile wiem, przedwczoraj wieczorem byli panowie razem w pubie.

— Widziałem się z nim już po tym, kochana. — W ustach Riordana zabrzmiało to niemal jak przechwałka. Dopiero teraz zdjął okulary przeciwsłoneczne, ukazując duże oczy w ciemnej oprawie. — Poszliśmy na kolację do Hindusa.

— Wczoraj wieczorem? — Oczekwała, aż skinie głową. — Do jakiego Hindusa?

— Przy West Maitland Street. Wcześniej wypiliśmy parę piw w okolicach Haymarket. Todorow był po całym dniu spędzonym w Glasgow.

— Wie pan może, po co tam pojechał?

— Chciał się rozejrzeć. Interesowały go różnice dzielące oba miasta. Miał nadzieję, że pozwoli mu to lepiej zrozumieć nasz kraj. Biedny naiwniak! Przeżyłem tu większą część życia i nadal nic z tego nie kapuję. — Riordan wolno pokręcił głową. — Próbował mi to nawet wyłożyć, swoją teorię na nasz temat, ale jednym uchem mi wchodziło, drugim wychodziło.

Widząc, jak recepcjonistka i dźwiękowiec wymieniają się spojrzzeniami, Clarke pomyślała, że pewnie w jego przypadku to nic nowego.

— Czyli spędził cały dzień w Glasgow — powtórzyła. — O której się spotkaliście?

— Koło ósmej. Cekał, aż minie godzina szczytu, żeby kupić tańszy bilet. Wyjechałem po niego na dworzec i zaliczyliśmy parę pubów. I nie były to jego pierwsze drinki tego dnia.

— Był podпиты?

— Był mocno ożywiony. Zawsze z nim tak było. Po alkoholu robił się bardzo elokwentny. Co było męczące, bo jak się z nim piło, to człowiek szybko tracił wątek jego intelektualnych wywodów.

— A co się działo po kolacji?

— Nic specjalnego. Powiedziałem, że wracam do domu, a on odparł, że musi się jeszcze napić. Jak go znam, poszedł do Mather's.

— Na Queensferry Street?

— Ale równie dobrze mógł wpaść do hotelu Caledonian.

Czyli rozstali się na zachodnim końcu Princess Street, rzut kamieniem od King's Stables Road.

— O której to było godzinie?

— Gdzieś koło dziesiątej.

— W Szkockiej Bibliotece Poetyckiej powiedziano mi, że poprzedniego wieczoru nagrywał pan wieczór poezji Todorowa.

— Tak. Nagrałem mnóstwo poetów.

— Charlie nagrał mnóstwo wszystkiego — wtrącił dźwiękowiec, wywołując tym u Riordana nerwowe parsknięcie.

— Pije do mojego pomysłu... Próbuję stworzyć coś w rodzaju dźwiękoramy Edynburga. Od wieczorów poetyckich po gwar w pubach. Odgłosy ulicy, Water of Leith o wschodzie słońca, wrzaski kibiców na meczu piłkarskim, ruch uliczny na Princess Street, plaża w Portobello, psy wyprowadzane na spacer po Hermitage... mam setki godzin nagrań.

— Prędej już tysiące — poprawił go dźwiękowiec.

Clarke wołała trzymać się tematu.

— Zetknął się pan już wcześniej z Todorowem? — spytała.

— Wcześniej nagrałem inny jego wieczór w jakiejś kawiarni.

— W której?

Riordan wzruszył ramionami.

— Organizowała to księgarnia Word Power.

Clarke zwróciła uwagę na tę nazwę ledwie parę godzin wcześniej. Księgarnia mieściła się dokładnie naprzeciwko lokalu, w którym byli z Reubem na lunchu. Przypomniała sobie frazę z jednego z wierszy Todorowa — „Nic tu nie pasuje” — i pomyślała, że bardzo się mylił.

— Kiedy to było?  
— Trzy tygodnie temu. Wtedy po skończeniu też poszliśmy na drinka.

Clarke postukała długopisem w notes.

— Ma pan może rachunek z tej hinduskiej restauracji?

— Pewnie gdzieś mam. — Riordan sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel.

— Chyba pierwszy raz go widzę w tym roku — bąknął dźwiękowiec, wywołując tym parsknięcie recepcjonistki. Wetknęła sobie długopis między zęby i poruszała nim językiem. Clarke pomyślała, że tych dwoje coś łączy i tylko ich szef nic o tym nie wie. Riordan wyciągnął cały plik rachunków.

— Muszę pamiętać, żeby to wszystko przekazać księgowemu — mruknął pod nosem. — O, jest. — Podał rachunek Clarke. — Wolno spytać, po co to pani?

— Zawiera godzinę wystawienia, proszę pana. Dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem, prawie dokładnie tak, jak pan mówił. — Wsunęła rachunek między kartki notesu.

— Ale o jedno mnie pani nie spytała — powiedział Riordan zacepnym tonem. — Po co w ogóle się spotkaliśmy?

— No dobrze... więc po co?

— Bo Aleks chciał mieć kopię nagrania swojego wieczoru. Uważał, że dobrze wypadło.

Clarke przypomniała sobie mieszkanie Todorowa.

— Czy prosił o konkretny rodzaj nośnika?

— Wypaliłem mu kompakt.

— Ale on nie miał odtwarzacza kompaktów.

Riordan wzruszył ramionami.

— Mnóstwo ludzi ma.

To prawda, tyle że sam kompakt też gdzieś zniknął. Pewnie zabrano go z resztą jego rzeczy.

— Czy mógłby pan zrobić jeszcze jedną kopię dla mnie, panie Riordan? — powiedziała.

— A do czego może się to pani przydać?

— Sama nie wiem. Chyba chciałabym go usłyszeć, że tak powiem, na żywo.

— Oryginał mam w domowym studiu. Ale mogę zrobić dla pani kopię na jutro.

— Pracuję w komisariacie przy Gayfield Square. Jest szansa, żeby mi to ktoś podrzucił?

— Poproszę któreś z dzieciaków — powiedział Riordan, spoglądając na recepcjonistkę i dźwiękowca.

— Dzięki za pomoc — rzekła z uśmiechem Clarke.



Gdy w marcu wprowadzono zakaz palenia w miejscach publicznych, Rebus obawiał się, że dla lokali w rodzaju Oxford Bar — tradycyjnych pubów, bazujących na podstawowych potrzebach gości: kufel, papieros, wyścigi konne w telewizorze i gorąca linia do lokalnego bukmachera — skończy się to katastrofą. A jednak większość z odwiedzanych przez niego barów przetrwała kataklizm, choć istotnie ich obroty spadły. Zawzięci palacze stanęli na wysokości zadania i zaczęli się organizować w zwarte grupy oporu, zbierające się przed wejściem i umilające czas opowieściami i plotkami. Dzisiejszy wieczór też się niczym nie różnił: ktoś dzielił się wrażeniami z nowo otwartego baru, w którym serwowano hiszpańskie przekąski tapas; któraś z kobiet próbowała ustalić, kiedy najlepiej wybrać się do IKEA, żeby uniknąć tłumów; mężczyzna z fajką w zębach opowiadał się za niepodległością Szkocji, podczas gdy jego mówiący z angielskim akcentem towarzysz pokpiwał, że Południe chętnie przystanie na rozwód, byle tylko „bez żadnych zasranych alimentów”.

— Wystarczą nam alimenty w postaci ropy z Morza Północnego — obruszył się fajkarz.

— Tylko że ta ropa już się kończy. Jeszcze ze dwadzieścia lat i wyładujecie na ulicy jako żebracy.

— Za dwadzieścia lat będziemy Norwegią.

— Albo Albanią.

— Problem w tym — wtrącił ktoś inny — że jeśli laburzyści utracą szkockie mandaty w londyńskim parlamencie, to na Południu nikt już nigdy na nich nie zagłasuje.

— To prawda — zgodził się Anglik.

— Znaczy zaraz po otwarciu albo tuż przed zaniknięciem? — upewniała się kobieta.

— Kawalki kałamarnicy z pomidorami — mówiła jej towarzyszka. — Całkiem niezłe, trzeba się tylko rozsmakować...

Rebus zdusił niedopałek i wrócił do środka. Kolejka drinków i wydana reszta już na niego czekały. Colin Tibbet wyłonił się z tylnej salki, żeby mu pomóc.

— Wiesz, krawat możesz już zdjąć — rzekł ze śmiechem Rebus. — Nie jesteście w biurze.

Tibbet uśmiechnął się milcząco, Rebus schował resztę do kieszeni i wziął dwa kufle. Podobało mu się, że Phyllida Hawes pije piwo, i to dużymi kufkami. Tibbet pił tylko sok pomarańczowy, Clarke jak zwykle białe wino. Siedzieli przy stoliku w kącie tylnej salki, przed Clarke leżał otwarty notes. Hawes uniosła pełny kufel w geście toastu, Rebus kiwnął głową i opadł na krzesło.

— Szykowanie drinków potrwało dłużej, niż myślałem — powiedział przepraszająco.

— Więc sobie wyskoczyłem na szybkiego dyma — dopowiedziała zjadliwie Clarke.

Rebus postanowił zignorować zaczepkę.

— No więc co mamy? — spytał.

Przede wszystkim mieli zapis ostatnich kilku godzin życia Todorowa, a także wydłużającą się listę brakujących przedmiotów należących do denata, które zapewne zostały zabrane przez napastnika. No i mieli nowe miejsce przestępstwa: wielopoziomowy parking.

— Czy coś wskazuje na to, że mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko brutalnym napadem rabunkowym? — zapytał Tibbet.

— Właściwie nie — odrzekła Clarke. Zerknęła na Rebusa i zauważyła, jak powolnym przymknięciem powiek sygnalizuje, że jest odmiennego zdania. Właściwie ona też czuła przez skórę, że coś tu nie gra. Jego leżący na stoliku telefon zaczął gwałtownie wibrować i stojący obok kufel z piwem aż zabrzączał. Rebus wziął aparat do ręki i odszedł od stolika. Clarke nie była pewna, czy chodzi mu o lepszy sygnał, czy może o poszukanie cichszego miejsca. W tylnej salce nie byli sami. Przy jednym ze stolików siedziało troje turystów wyraźnie zauroczonych otoczeniem i wystrojem tego miejsca. Przy innym dwóch biznesmenów w garniturach nachylało się ku sobie, cicho o coś spierając. Na ekranie telewizora toczył się jakiś quiz.

— Powinniśmy zgłosić naszą czwórkę — odezwał się Tibbet, po czym na pytanie Hawes wyjaśnił: — W tygodniu przedświątecznym komenda organizuje drużynowy quiz w pubie.

— W tygodniu przedświątecznym będzie nas już tylko troje — przypomniała Clarke.

— Masz jakieś wiadomości w sprawie awansu? — spytała Hawes.

Clarke w milczeniu pokręciła głową. — Coś im się nie spieszy. — Jej pozorna troska przypominała dotykanie obolałej rany.

Rebus już do nich wracał.

— Z każdą chwilą robi się coraz dziwniej — powiedział, siadając. — Howdenhall przekazało mi nową informację. Z analizy wynika, że nasz rosyjski poeta w którymś momencie ostatniego dnia życia miał wytrysk. Podobno stwierdzili spermę na jego bieliźnie.

— Może poszczęściło mu się w Glasgow? — zastanowiła się Clarke.

— Może — zgodził się Rebus.

— A może on i ten nagraniowiec? — podsunęła Hawes.

— Todorow był żonaty — przypomniała Clarke.

— Z poetami nigdy nic nie wiadomo — orzekł Rebus. — Oczywiście mogło się to też wydarzyć w którymś momencie po kolacji.

— W każdym momencie przed napaścią — powiedziała Clarke i znów wymienili się z Rebusem spojrzeniami.

— Albo mogło też być tak, że... — zaczął Tibbet, poprawiając się na krześle — ...no wiecie. — Odchrząknął i poczerwieniał.

— Co wiemy? — spytała Clarke.

— No wiecie... — powtórzył.

— Myślę, że Colinowi chodzi o masturbację — wtrąciła Hawes, a Tibbet spojrział na nią z wyraźną wdzięcznością.

— John? — Stał nad nimi barman z gazetą w ręku. — Pomyślałem, że to cię może zainteresować. — Pokazał Rebusowi ostatnie wieczorne wydanie „Evening News”. Na pierwszej stronie widniał nagłówek: „Śmierć poety”, pod nim wytłuszczonym drukiem umieszczono podtytuł: „Dziwak, który miał śmiałość powiedzieć *niet!*”. Obok zamieszczono wyciągnięte z archiwum zdjęcie Todorowa. Stał na nim w parku Princess Street Garden, za jego plecami



wznosił się masyw zamku, szyję miał obwiązaną szalikiem w szkocką kratę. Zapewne jego pierwszy dzień w Szkocji. Człowiek, któremu w owym momencie zostały już tylko dwa miesiące życia.

— Kot wydostał się z worka — powiedział Rebus, biorąc do ręki gazetę. Potem potoczył wzrokiem po swych ludziach, jakby szukając kogoś, kto się na tym zna. — Czy można to uznać za metaforę?

**DZIEŃ TRZECI**

**Piątek,**

**17 listopada 2006**

Pracowników wydziału śledczego komisariatu policji przy Gayfield Square od dawna nękały jakieś dziwne zapachy. Najczęściej czuć je było w środku lata, choć w tym roku zapowiadało się, że mimo późnej jesieni nie mają zamiaru ustąpić. Zapachy pojawiały się i znikwały, niekiedy całymi tygodniami pozwalając o sobie zapomnieć po to tylko, by któregoś kolejnego poranka znów wypełnić powietrze. Składano regularne skargi na warunki pracy i Szkocka Federacja Policyjna zagroziła nawet, że jej członkowie będą zmuszeni zrezygnować z pracy na Gayfield Square. Zrywano podłogi, czyszczono rury kanalizacyjne i rozkładano trutki na gryzonie, wszystko na nic.

— Śmierdzi tu śmiercią — mawiali doświadczeni gliniarze i Rebus wiedział, do czego piją. Co jakiś czas zdarzało im się natknąć na rozkładające się zwłoki w fotelu stojącym w bliźniaku z lat sześćdziesiątych czy wyłowić topielca z doków w Leith. W miejskiej kostnicy wydzielono dla nich nawet osobne pomieszczenie, a personel postawił na podłodze radio. Włączano je w razie potrzeby, żeby „odwrócić uwagę od fetoru”.

W komisariacie przy Gayfield Square jedynym wyjściem było otwieranie wszystkich możliwych okien, przez co temperatura w pomieszczeniach gwałtownie spadała. W rezultacie gabinet starszego inspektora Jamesa Macrae, oddzielony szklanym przepierzeniem od reszty sali wydziału śledczego, przypominał jedną wielką lodówkę. Tego poranka Macrae postanowił temu zaradzić i ze swego domu w Blackhall przywiózł elektryczny grzejnik.

Rebus czytał gdzieś artykuł, w którym lokalne władze Blackhall chwalały się, że domy w ich dzielnicy zajmują najzamożniejsi mieszkańcy spośród wszystkich dzielnic miasta. Nie bardzo trafiało mu to do przekonania, bo całe Blackhall było zabudowane parterowymi bungalowami i nie dawało się nawet porównać z Barnton czy Nowym Miastem, gdzie zdarzały się domy kosztujące miliony. Ale może to właśnie tłumaczyło, dlaczego mieszkający w nich ludzie nie byli tak zamożni jak mieszkańcy Bungalowlandu. Macrae umieścił wtyczkę w gniazdku i włączył grzejnik, stawiając go po swojej stronie biurka, przez co ciepło promieniowało tylko na jego część gabinetu. Starając się być jak najbliższej ciepła, Phyllida Hawes tak się do niego przysunęła, że niemal usiadła szefowi na kolanach, co wywołało u niego gniewne zmarszczenie brwi.

— Dobra — burknął, składając dłonie jak do modlitwy. — Raport o stanie śledztwa. — Nim jednak Rebus zdążył otworzyć usta, Macrae poczuł, że skądś wieje. — Colin, bądź łaskaw zamknąć drzwi. Zostawmy nasze ciepło dla nas.

— Kiedy nie ma już miejsca, panie inspektorze — odparł Tibbet. Stał w otwartych drzwiach i wcale nie przesadzał. Macrae, Rebus, Clarke i Hawes zajmowali całą wolną przestrzeń w maleńkim pomieszczeniu i Colin praktycznie już się nie mieścił.

— To wracaj do siebie — zarządził Macrae. — Jestem pewien, że Phyllida potrafi cię zastąpić.

Ale Tibbeta wcale to nie ucieszyło. Wiedział, że gdy Clarke dostanie awans na stopień inspektora, na szczeblu sierżanta powstanie wakat i oboje z Phyllidą z partnerów zamienią się w konkurentów. Wciągnął brzuch, wcisnął się do środka i na siłę zamknął za sobą drzwi.

— Raport o stanie śledztwa — powtórzył Macrae i w tym momencie zadzwonił jego telefon. Prychnął ze złością i podniósł słuchawkę. Rebus był ciekaw, jakie ma ciśnienie. Wprawdzie sam nie miał się czym chwalić, ale twarz szefa miała typową, sinofioletową barwę wysokociśnieniowca i choć jej właściciel był od niego o parę lat młodszy, niemal zupełnie już wyłysiał. Jak to ujął lekarz Rebusa podczas jego ostatniego okresowego badania: „Dotąd ci się udawało, John, ale szczęście zawsze może człowieka opuścić”.

Macrae wydał z siebie kilka mruknięć, odłożył słuchawkę i spojrzął na Rebusa.

— W dyżurce czeka ktoś z rosyjskiego konsulatu.

— Byłem ciekaw, kiedy się wreszcie odezwą. — Rebus się uśmiechnął. — Myślę, panie inspektorze, że Siobhan i ja powinniśmy z nim porozmawiać. W tym czasie Phyl i Colin będą mogli odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania. Wczoraj wieczorem mieliśmy naradę wojenną.

Macrae kiwnął głową i Rebus spojrzął na Clarke.

— W pokoju przesłuchań?

— Też tak pomyślałam.

Wyszli z gabinetu szefa i ruszyli przez salę wydziału śledczego. Tablice na ścianie były jeszcze puste, ale wiedzieli, że w ciągu paru godzin zapełnią się fotografiami z miejsca przestępstwa, listami nazwisk, wykazami spraw do załatwienia i harmonogramem służb, zamieniając się w coś, co nazywali Ścianą Pamięci. W przypadku niektórych morderstw organizowano polowe centra operacyjne w pobliżu miejsca przestępstwa, tym razem jednak Rebus nie widział takiej potrzeby. Uznał, że starczy, jak przy wyjeździe z parkingu rozstawiać plansze z prośbą o informacje, Hawes, Tibbet i paru mundurowych rozmieszczają ulotki pod wycieraczkami, a bazą operacyjną pozostanie ta wielka, zimna sala. Clarke obejrzała się przez ramię na przeszklony gabinet Macrae. Wyglądało na to, że Hawes i Tibbet prześcigają się w serwowaniu szefowi co smaczniejszych kąsków.

— Chyba rozpoczęły się podchody do stanowiska detektywa sierżanta — odezwał się Rebus. — Na kogo stawiasz?

— Phyllida ma o wiele dłuższy staż — odrzekła Clarke. — Nie wierzę, żeby nie była faworytką. Jeśli wybiorą Colina, to myślę, że odejdzie.

Rebus pokiwał głową.

— Który pokój przesłuchań? — spytał.

— Lubię trójkę.

— A to dlaczego?

— Bo stół jest brudny i porysowany, a na ścianach wydrapane graffiti. Tam jest taka atmosfera, że człowiek od razu czuje się tak, jakby coś przeszkobał.

Rebus się uśmiechnął. Wiedział z doświadczenia, że przebywanie w PP3 to nawet dla całkiem niewinnych prawdziwe przeżycie.

— Też tak myślę.

Pracownik konsulatu nazywał się Nikołaj Stachow i przedstawiając się, skromnie się uśmiechnął. Miał chłopięcy wygląd, gładką twarz i jeszcze go odmładzające, uczesane z przedziałkiem jasnobrązowe włosy, co nie przeszkadzało mu mieć około metra osiemdziesięciu wzrostu i potężnych barów. Ubrany był w czarny wełniany płaszcz do kolan z paskiem i postawionym kołnierzem, z kieszeni wystawała mu para czarnych skórzanych rękawiczek z jednym palcem, które całą dłoń prócz kciuka mieściły w jednej, zaokrąglonej pochewce. Patrząc na niego, Rebus miał ochotę zapytać: „To mamusia cię tak ubrała, chłopczyku?”. Bez słowa uściśnął dłoń Rosjanina.

— Przykro nam z powodu pana Todorowa — powiedziała Clarke, wyciągając rękę. Stachow uściśnął ją i lekko skłonił głowę.

— Mój konsulat pragnie uzyskać zapewnienie — powiedział — że podejmowane są wszelkie niezbędne wysiłki w celu schwywania i ukarania tego bandyty.

Rebus wolno pokiwał głową.

— Pomyśleliśmy, że będzie nam wygodniej rozmawiać w jednym z naszych pokoi przesłuchań...

Poprowadzili Rosjanina w głąb korytarza i zatrzymali się przed trzecimi z rzędu drzwiami. Drzwi nie były zamknięte na klucz, Rebus otworzył je i ruchem ręki zaprosił Clarke i Stachowa do środka. Potem wysunął tabliczkę z ramki i obrócił ją ze strony „Wolne” na stronę „Zajęte”.

— Niech pan siada — powiedział. Stachow usiadł, rozejrzał się i już miał położyć ręce na blacie stołu, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i złożył je na kolanach. Clarke usiadła naprzeciwko, Rebus jak zwykle oparł się plecami o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. — Zatem cóż pan nam może powiedzieć o Aleksandrze Todorowie?

— Przyszedłem tu tylko uzyskać zapewnienie zgodnie z wymogami protokołu, panie inspektorze. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że jako dyplomata nie mam obowiązku odpowiadać na żadne pańskie pytania.

— Bo chroni pana immunitet. — Rebus kiwnął głową. Myśleliśmy tylko, że będzie pan chciał nam pomóc na tyle, na ile to możliwe. Bo przecież zabito pańskiego rodaka, i to dość znanego. — W jego głosie pojawiła się nutka żalu.

— Oczywiście, oczywiście, bez wątpienia. — By rozmawiać z obojgiem, Stachow musiał co chwilę obracać głowę.

— To świetnie — ucieszyła się Clarke. — Zatem nie zdziwi pana, jeśli spytam, na ile bolesnym cierniem był dla was Todorow?

— Cierniem? — Trudno było ocenić, czy pytanie Stachowa bierze się z nieznamomości tego angielskiego słowa, czy z czegoś innego.

— Mam na myśli kłopoty, jakie mieliście z racji pobytu w Edynburgu znanego poety dysydenta?

— Nie mieliśmy żadnych kłopotów.

— Jego przyjazd was ucieszył? — spytała Clarke, udając że zgaduje jego myśli. — W konsulacie odbyło się z tej okazji jakieś przyjęcie? Przecież mówiło się nawet o Noblu, więc... więc jego obecność tutaj musiała wam sprawiać nie lada satysfakcję, czy tak?

— We współczesnej Rosji Nagroda Nobla nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

— W ostatnich tygodniach pan Todorow wystąpił na kilku publicznych spotkaniach... był pan może na któryś z nich?

— Miałem inne obowiązki.

— A ktoś inny z konsulatu?

Stachow uznał, że pora zaprotestować.

— Nie bardzo rozumiem, jaki związek z waszym śledztwem mogą mieć te wszystkie pytania. Odnoszę wrażenie, że mają służyć za zasłonę dymną. To, czy pobyt Aleksandra Todorowa tutaj nas cieszył, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Został zamordowany w waszym kraju i w waszym mieście. W Edynburgu nie brakuje problemów o charakterze narodowościowym i religijnym. Co chwilę słyhać o napaściach na polskich pracowników. Założenie niewłaściwej koszulki piłkarskiej może być wystarczającym powodem do ataku.

Rebus spojrział na Clarke.

— I kto tu mówi o zasłonie dymnej...

— Mówię, jak jest. — Głos Stachowa zaczynał lekko wibrować i widać było, że mężczyzna stara się panować nad sobą. — Mojemu konsulatowi chodzi tylko o to, inspektorze, żeby nas na bieżąco informowano o postępach śledztwa. Pozwoli nam to zapewnić Moskwę, że śledztwo jest intensywne i prowadzone bezstronnie, a to z kolei pozwoli im powiadomić wasz rząd, że jesteśmy nim usatysfakcjonowani.

Wyglądało, jakby Clarke i Rebus się zastanawiali. Rebus rozplótł ręce i wsadził je do kieszeni.

— Bo zawsze istnieje też taka możliwość — powiedział cicho — że Todorowa napadł ktoś mający do niego osobiste pretensje. I mógłby to być ktoś należący do rosyjskiej społeczności w Edynburgu. Sądzę, że konsulat dysponuje listą swoich obywateli, którzy tu mieszkają i pracują, czy tak?

— Z tego, co nam wiadomo, panie inspektorze, Aleksander Todorow stał się po prostu ofiarą zwykłej ulicznej przestępczości w tym mieście.

— Byłoby nierozsądne, gdybyśmy na tym etapie śledztwa cokolwiek wykluczali.

— A taka lista bardzo by się nam przydała, proszę pana — dodała Clarke.

Stachow nie przestawał patrzeć to na jedno, to na drugie. Rebus miał nadzieję, że nie będzie się długo zastanawiał. Błąd, jaki popełnili, decydując się na PP3, polegał na tym, że było tu zimno jak w psiarni. Płaszcz Rosjanina wyglądał na dość ciepły, ale patrząc na Siobhan, Rebus obawiał się, że lada chwila kobieta zacznie dzwonić zębami. Aż dziw, że im nie leciała para z ust.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział w końcu Stachow. — Ale coś za coś. Czy mogę liczyć na informacje o bieżących postępach śledztwa?

— Proszę mi podać swój numer — rzekła Clarke.

Dla młodego Rosjanina było to zapewne równoznaczne z obietnicą spełnienia jego prośby, ale Rebus wiedział, że słowa Clarke wcale tego nie znaczą.



W dyżurce na Siobhan czekała paczuszka. Rebus wyszedł na zewnątrz na papierosa, ale także by sprawdzić, czy Stachow przyjechał



z szoferem. Siobhan otworzyła puchatą kopertę i znalazła w środku kompakt z jednym tylko słowem: „Riordan”, napisanym na okładce grubym czarnym flamastrem. To, że umieścił na nagraniu swoje nazwisko, a nie Todorowa, było bardzo wymowne. Wzięła płytkę na górę, ale okazało się, że w całym wydziale nie ma ani jednego odtwarzacza kompaktów, zeszła więc ponownie i wyszła na parking. Po drodze natknęła się na Rebusa.

— Czekał na niego duży czarny mercedes, z kierowcą w ciemnych okularach i rękawiczkach — poinformował ją. — A ty dokąd?

Powiedziała mu o przesyłce, a on oświadczył, że chętnie będzie jej towarzyszył, choć lojalnie uprzedził, że „może do końca nie wytrzymać”. Okazało się, że oboje przesiadali bez ruchu godzinę i kwadrans w samochodzie Clarke, w którym z uwagi na ogrzewanie przez cały czas pracował silnik. Riordan nagrał dokładnie wszystko: rozmowy na widowni, wprowadzenie wygłoszone przez Abigail Thomas, półgodzinną recytację wierszy w wykonaniu Todorowa i końcową sesję pytań i odpowiedzi. Większość zadawanych pytań szerokim łukiem omijała tematy polityczne. Potem — mimo że oklaski już umilkły i publiczność zaczęła się rozchodzić — mikrofon Riordana pozostał włączony, wychwytyjąc już tylko gwar głosów.

— Ten facet ma jakąś obsesję — mruknęła Clarke.

— Skoro tak mówisz — zgodził się Rebus. Niemal na samym końcu nagrania usłyszeli głos mrużący coś po rosyjsku. — Pewnie mówi: „Dzięki Chruszczowowi, że to już koniec”.

— A co to za jeden, ten Chruszczow? — spytała Clarke. — Jakiś kolega Jacka Palance'a?

Występ poety przykuł ich uwagę. Todorow czytał swoje wiersze — część po angielsku, część po rosyjsku, ale większość w obu językach, zwykle najpierw po rosyjsku, potem po angielsku — głosem chwilami donośnym, chwilami szorstkim, chwilami melancholijnym, chwilami niemal przechodzącym w krzyk.

— Przypomina tym trochę Szkotów, nie uważasz? — spytała w pewnym momencie Clarke.

— Może komuś z Południa — odciął się.

Nie pierwszy raz wsadzał jej taką szpilę. Jej „południowy” akcent od początku ich znajomości był ulubionym tematem złośliwości

pod jej adresem. Tym razem nie dała się jednak sprowokować.

— Ten ma tytuł *Raskolnikow* — powiedziała po chwili. — Pamiętam to z literatury. Raskolnikow to postać ze *Zbrodni i kary*.

— Którą czytałem, zanim w ogóle przyszedłaś na świat.

— Czytałeś Dostojewskiego?

— Wyobrażasz sobie, że bym cię w takiej sprawie okłamywał?

— To o czym to jest?

— O poczuciu winy. Moim zdaniem to jedna z największych rosyjskich powieści.

— Ile ich jeszcze przeczytałeś?

— To nie ma znaczenia.

Gdy wyłączyła odtwarzacz, odwrócił się i wlepił w nią wzrok.

— Wysłuchałeś jego wieczoru poetyckiego i przeczytałeś jego wiersze. Czy znajdujesz w tym wszystkim coś, co mogłoby choć sugerować motywy zabójstwa?

— Nie — przyznała. — I wiem, do czego zmierzasz. Macrae będzie chciał to uznać za zwykły rabunek, który wymknął się spod kontroli.

— Wygląda na to, że konsulatowi też na tym zależy. Pokiwała głową w zamyśleniu.

— To z kim on uprawiał seks? — odezwała się po chwili.

— A czy to ważne?

— Nie będziemy tego pewni, póki się nie dowiemy. Najbardziej prawdopodobną kandydatką jest Scarlett Colwell.

— Tylko dlatego, że jest urodziwa? — W głosie Rebusa było powątpiewanie.

— Mierzi cię myśl, że mogłaby się z kimś puścić? — Clarke zaśmiała się.

— A dlaczego nie panna Thomas z Biblioteki Poetyckiej?

Tym razem Clarke się zachnęła.

— Zupełnie jej nie widzę w roli kandydatki.

— Doktor Colwell była chyba innego zdania.

— Co nam mówi więcej o panie Colwell niż o panie Thomas.

— A może nasz młody Colin miał rację? — zastanawiał się Rebus. — Albo równie dobrze możemy założyć, że nasz jurny poeta zadał się z jakąś dziwką w Glasgow. — Spojrzał na Siobhan

i szybko się poprawił. — Przepraszam, miałem na myśli „pracownicę seksualną”. A może od czasu, jak dostałem po łapach, obowiązująca terminologia znów się zmieniła?

— Gadaj tak dalej, to ode mnie też dostaniesz. — Zamilkła, ale nie przestawała mu się przyglądać. — Wiesz, trudno mi sobie wyobrazić ciebie czytającego *Zbrodnię i karę*. — Głęboko zaczerpnęła powietrza. — Zajrzałam do akt Harry'ego Goodyeara.

— Przypuszczałem, że to zrobisz. — Odwrócił wzrok i zapatrzył się przez przednią szybę na posępny obraz policyjnego parkingu. Clarke czuła, że marzy o tym, by otworzyć okno i zapalić papierosa. Ale prawdziwy smród był na zewnątrz, czekając w gotowości tuż nad powierzchnią asfaltu.

— W połowie lat osiemdziesiątych prowadził pub przy Rose Street — powiedziała. — Ty w tym czasie byłeś sierżantem w śledczym i doprowadziłeś do tego, że trafił za kratki.

— Handlował prochami.

— Zmarł w więzieniu, prawda? Rok czy dwa po wsadzeniu... na serce czy coś w tym rodzaju. W tym czasie Todd Goodyear był jeszcze małym dzieckiem. — Zamilkła, w nadziei że może będzie chciał coś dodać, potem znów zaczęła mówić. — Todd ma brata, wiedziałeś o tym? Nazywa się Sol i już parę razy miał z nami do czynienia. Mówię „z nami”, ale tak naprawdę mieszka w Dalkeith i zajmuje się nim Okręg E. Zgadnij, za co go zatrzymali.

— Narkotyki?

— Wiedziałeś?

Rebus pokręcił głową.

— Kazałaś mi zgadywać.

— I nie wiedziałeś też, że Todd Goodyear pracuje w policji?

— Możesz mi wierzyć lub nie, Shiv, ale nie śledzę losów wnuków drani, których dwadzieścia lat temu wsadziłem za kratki.

— Chodzi o to, że Sol wpadł nie tylko z racji posiadania narkotyków. Próbowano oskarżyć go o dealerkę, ale sąd uznał, że nie ma wystarczających dowodów.

Rebus spojrzął na nią badawczo.

— Skąd wiesz o tym wszystkim?

— Przyszłam dziś do biura przed tobą. Starczyło parę minut przy komputerze i jeden telefon do wydziału śledczego w Dalkeith. Podejrzewali, że Sol Goodyear handluje towarem Dużego Gera.

Od razu zauważyła, że jej słowa dotknęły wrażliwego nerwu: Cafferty stanowił jedną z niezagojonych ran — bolesnych niezagojonych ran — i zajmował czołowe miejsce na liście „spraw do załatwienia” Rebusa. Od jakiegoś czasu pozował na nawróconego gangstera na emeryturze, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Ger Cafferty nadal rządził Edynburgiem.

I dlatego trafił na czołowe miejsce także jej listy.

— Czy z tego wszystkiego coś wynika? — zastanowił się Rebus, znów odwracając wzrok ku szybie.

— Właściwie nie. — Wsunęła kompakt z odtwarzacza i radio nagle ożyło: Forth 1 i didżej mówiący z szybkością karabinu maszynowego. Zgasła radio.

Rebus nagle coś zauważył.

— Nie wiedziałem, że mają tam podgląd — powiedział, gapiąc się na narożnik budynku. Między pierwszym a drugim piętrem sterczała kamera z obiektywem zwróconym na parking.

— Chcą w ten sposób przeciwdziałać wandalizmowi. A przy okazji... myślisz, że warto przejrzeć zapis z kamer miejskiego monitoringu z nocy zabójstwa Todorowa? Na zachodnim końcu Princess Street muszą być jakieś kamery, może na Lothian Road też. Więc jeśli ktoś za nim chodził... — zawiesiła głos.

— Jest to jakiś pomysł — przyznał.

— Jak szukanie igły w stogu siana. — Nie zaprzeczył, a ona oparła głowę o zagłówek i się zamyśliła. Jakoś żadne z nich nie kwapiło się z powrotem do biura. — Czytałam w jakiejś gazecie, że jesteśmy najściślej monitorowanym krajem na świecie. W samym Londynie jest podobno więcej kamer niż w całych Stanach Zjednoczonych... Myślisz, że to możliwe?

— W każdym razie nie zauważyłem, żeby to wpłynęło na spadek liczby przestępstw. — Zmrużył powieki. — Co to za hałas?

Clarke dojrzała w oknie na górze sylwetkę Tibbeta, który wymachiwał rękami i coś do nich krzyczał.

— Chyba nas wołają — powiedziała.

— Może zabójcę ruszyło sumienie i przyszedł oddać się w nasze ręce?

— Może. — Kiwnęła głową, nie mając wątpliwości, że Rebus żartuje.

## 8

— Byłaś tu już kiedyś? — spytał Rebus po przejściu przez bramkę wykrywacza metalu. Zebrał z tacki bilon i wsypał go z powrotem do kieszeni.

— Byłam na wycieczce z przewodnikiem zaraz po otwarciu.

W sklepieniu widać było wyciśnięte wzory, które zdaniem Rebusa miały nawiązywać do krzyży z czasów wypraw krzyżowych. W głównym holu trwała gorączkowa krzątanina. Na kilku stołach rozłożono plakietki identyfikacyjne dla uczestników wycieczek grupowych, których nazwy widniały na ustawionych obok planszach. Wszędzie kręcili się przewodnicy, pomagający kierować ruchem zwiedzających. W głębi holu grupa dzieci w szkolnych mundurkach zasiadała właśnie do wczesnego lunchu.

— Bo ja tu jestem pierwszy raz — przyznał Rebus. — Ale zawsze ciekawiło mnie, jak wygląda czterysta milionów funtów...

Siedziba szkockiego parlamentu podzieliła opinię publiczną od chwili, gdy zamiar jej budowy został po raz pierwszy ujawniony przez media. Niektórzy uznawali to za posunięcie odważne, wręcz rewolucyjne, inni uważali za sadzenie się i kwestionowali związane z tym koszty. Autor projektu architektonicznego zmarł przed zakończeniem budowy, podobnie jak urzędnik, który projekt zatwierdził. Budowę jednak dokończono, parlament funkcjonował i Rebus musiał przyznać, że pokazywana czasem w telewizji sala obrad plenarnych wygląda dość imponująco.

Gdy poinformowali recepcjonistkę, że są umówieni z Megan Macfarlane, ta wręczyła im dwie jednorazowe przepustki dla gości,

wcześniej jednak dzwoniąc do sekretariatu poselskiego i upewniając się, że są oczekiwani. Po chwili ktoś do nich podszedł i kazał iść za sobą. Ich przewodnik był postawnym mężczyzną o energicznych ruchach i podobnie jak recepcjonistka był w wieku emerytalnym. Podążyli za nim w głąb holu, wjechali windą na górę i ruszyli labiryntem korytarzy.

— Strasznie tu dużo betonu i drewna — zauważył Rebus.

— I szkła — dodała Clarke.

— Oczywiście specjalnego, na pewno kosztownego.

Ich przewodnik przez całą drogę nie wypowiedział ani jednego słowa. Okrążywszy kolejny narożnik, natknęli się na czekającego na nich młodego mężczyznę.

— Dzięki, Sandy — powiedział. — Dalej już się państwem zajmę.

Przewodnik zawrócił i tą samą drogą ruszył z powrotem. Clarke zdążyła jeszcze rzucić: „dziękujemy” i usłyszeć w odpowiedzi krótkie mruknięcie. Może brakowało mu tchu.

— Nazywam się Roddy Liddle — przedstawił się młodzieniec. — Jestem pracownikiem sekretariatu Megan.

— A kim właściwie jest Megan? — zapytał Rebus.

Liddle spojrział na niego tak, jakby podejrzewał, że Rebus z niego pokpiwa.

— Bo szef nam tylko powiedział, że mamy tu przyjść i zgłosić się do kogoś o tym nazwisku. Pewnie do niego dzwoniła.

— To ja zadzwoniłem w jej imieniu. — Liddle powiedział to tak, jakby należała mu się pochwała za wykonanie kolejnego trudnego zadania.

— Brawo, synu — uśmiechnął się Rebus.

To „synu” nie nastroiło go zbyt przyjaźnie. Uważał, że jak na dwudziestoparolatka zaszedł daleko na drodze kariery politycznej i nie omieszkał dać temu wyraz. Najpierw zmierzył Rebusa wzrokiem od stóp do głów, potem uznał, że nie ma się czym przejmować.

— Niewątpliwie Megan sama to panu wyjaśni — burknął i obróciwszy się na pięcie, ruszył w głąb korytarza.

Pomieszczenia poselskie były obszerne, dobrze rozplanowane i wyposażone w biurka dla personelu pomocniczego i samych polityków. Rebus po raz pierwszy miał okazję zobaczyć na własne oczy sławetne „alkowy dumania” — niewielkie, wyposażone w miękkie

siedzenia wnąki w głębi wystających okien. Posłowie do szkockiego parlamentu mieli w nich podobno spędzać czas, dumając nad nowymi, genialnymi pomysłami. W jednej z takich wnąk czekała na nich Megan Macfarlane, która na widok przybyłych wstała i wyciągnęła rękę na przywitanie.

— Cieszę się, że dalsie radę tak szybko przyjechać — powiedziała. — Wiem, że macie na głowie śledztwo, więc nie będę was długo trzymać. — Była nieduża, szczupła i zadbana. Każdy włoszek na głowie był na swoim miejscu, twarz zdobił perfekcyjny makijaż. Okulary z połówkami szkieł miała zsunięte na koniec nosa i na swych gości patrzyła ponad nimi.

— Jestem Megan Macfarlane — przedstawiła się, co miało ich zapewne zachęcić do tego samego. Liddle od razu skierował się do swojego biurka i wlepił wzrok w ekran komputera. Rebus i Clarke wymienili swoje nazwiska, a pani poseł rozejrzała się za miejscem, gdzie mogliby usiąść. Potem widać wpadła na lepszy pomysł, bo powiedziała:

— Nie, chodźmy na dół na kawę. Roddy, przynieść ci?

— Nie, dzięki, Megan. Jedna dziennie zupełnie mi wystarczy.

— I słusznie. Czy ja nie muszę być później na sali? — Odczekała, aż Liddle pokręci przecząco głową, i obrzuciła Clarke porozumiewawczym spojrzeniem. — Wie pani, efekt moczopełny. Nie można sobie pozwolić, żeby człowieka dopadło w środku debaty nad ważnym punktem porządku dziennego...

Ruszyli z powrotem tą samą drogą i dotarli do imponująco rozłożystych schodów. Po drodze Macfarlane zdążyła ich uświadomić, że szkoccy nacjonałiści wiążą duże nadzieje z majowymi wyborami.

— Według ostatnich sondaży mamy pięciopunktową przewagę nad laburzystami. Blair nie cieszy się popularnością, podobnie zresztą jak Gordon Brown. Wojna w Iraku, afera z handlem tytułami szlacheckimi. To jeden z moich kolegów rozpoczął dochodzenie w tej sprawie. Laburzyści wpadli w panikę, bo Scotland Yard twierdzi, że natrafiono na „ważne i wartościowe informacje”. — Uśmiechnęła się z satysfakcją. — Wychodzi na to, że nasi konkurenci mają na drugie imię „skandal”.



— Więc liczycie na głosy niezadowolonych? — upewnił się Rebus, ale Macfarlane uznała, że jego pytanie nie zasługuje na odpowiedź. — Czyli jeśli zwyciężycie w maju, to będziemy mieć referendum w sprawie niepodległości Szkocji?

— Absolutnie.

— I staniemy się nagle celtyckim tygrysem?

— Partia Pracy, panie inspektorze, już od pięćdziesięciu lat nie spełnia nadziei narodu szkockiego. Czas na zmiany.

Stając w kolejce do bufetu, uprzedziła, że to jej „poczęstunek”. Rebus poprosił o espresso, Clarke o małe cappuccino, dla siebie Macfarlane zamówiła czarną kawę, do której wsypała trzy saszetki cukru. W pomieszczeniu było kilka wolnych stolików i wybrali jeden z nich, odsuwając na bok pozostawioną zastawę.

— Wciąż nie wiemy, o co chodzi — oświadczył Rebus. — Proszę mi wybaczyć, że od razu przejdę do rzeczy, ale jak sama pani zauważyła, czeka na nas śledztwo.

— Absolutnie — skinęła głową Macfarlane. Potem na chwilę zamilkła, jakby zbierając myśli. — Co wiecie na mój temat?

Rebus i Clarke wymienili się spojrzeniami.

— Do chwili, gdy nam polecono się z panią skontaktować — odrzekł Rebus — nawet o pani nie słyszeliśmy.

Pani poseł zajęła się gorliwym dmuchaniem na kawę w filiżance, co zapewne miało jej pomóc w ukryciu wyrazu zawodu na twarzy.

— Jestem szkocką nacjonalistką — oznajmiła.

— Tego już się domyśliliśmy.

— A to znaczy, że gorąco kocham swój kraj. Jeśli po wyzwoleniu się z okowów ograniczeń w łonie Zjednoczonego Królestwa Szkocja ma rozkwitnąć w nowym stuleciu, to pilnie potrzebne nam przedsiębiorczość, inicjatywa i inwestycje. — Wymieniając potrzeby, odliczała je kolejno na palcach. — Dlatego aktywnie włączyłam się do KRM, parlamentarnej Komisji Rewitalizacji Miasta. Choć należy pamiętać, że nie zajmujemy się tylko problemami miasta i nawiasem mówiąc, już zaproponowałam zmianę nazwy, żeby to odzwierciedlić.

— Przepraszam, że pani przerwę — wtrąciła Clarke, widząc, że Rebus coraz bardziej niespokojnie się wierci — ale czy mogłabym zapytać, jaki to wszystko ma związek z nami?

Macfarlane spuściła wzrok i uśmiechnęła się przepraszająco.

— Obawiam się, że kiedy jestem w coś bardzo zaangażowana, to często mnie ponosi.

Spojrzenie, jakie Rebus rzucił Clarke, mówiło wszystko.

— Ten nieszczęsny incydent — powiedziała Macfarlane — związany z tym rosyjskim poetą...

— Mianowicie? — ponaglił ją Rebus.

Obecnie w Szkocji przebywa grupa biznesmenów, bardzo ważnych biznesmenów rosyjskich. Reprezentują sektory ropy naftowej, gazu i stali, a także parę innych gałęzi przemysłu. Patrzą w przyszłość, panie inspektorze, w przyszłość Szkocji. Musimy dopilnować, aby nic nie przeszkodziło w dalszym umacnianiu wzajemnych relacji, które od kilku lat staramy się rozwijać. Z całą pewnością chcielibyśmy uniknąć opinii kraju niegościnnego, w którym wrogo traktuje się inne kultury i narodowości. Pomyślcie, co zrobiono temu młodemu Sikhowi...

— Innymi słowy, pyta nas pani — zreasumowała Clarke — czy zabójstwo poety miało podtekst rasistowski, tak?

— Jeden z członków delegacji wyraził taką obawę — przyznała Macfarlane. Spojrzała na Rebusa, ale on znów siedział ze wzrokiem utkwionym w suficie, jakby nie bardzo wiedział, o co tu naprawdę chodzi. Słyszał, że te wklęsłe ornamenty nad głowami mają imitować łodzie. Opuścił głowę i stwierdził, że Macfarlane nadal na niego patrzy, z niepokojem czekając na jego opinię.

— Na tym etapie nie możemy niczego wykluczyć — powiedział szczerze. — Zabójstwo mogło mieć podłoże rasistowskie. To samo usłyszeliśmy dziś rano od przedstawiciela rosyjskiego konsulatu. Zdarzają się napaści na przyjezdnych z Europy Wschodniej. Musimy brać taką ewentualność pod uwagę.

Wyglądało na to, że te słowa mocno ją poruszyły, co znaczyło, że detektyw osiągnął swój cel. Clarke ukryła uśmiech w uniesionej do ust filiżance, Rebus postanowił jednak jeszcze trochę podręczyć panią poseł.

— A czy któryś z tych biznesmenów zetknął się ostatnio osobiście z Todorowem? Bo jeśli tak, to chętnie byśmy z nim porozmawiali.

Przy stoliku pojawił się ktoś nowy, wybawiając posłankę od konieczności odpowiedzi. Jak Rebus i Clarke miał przypięty do klapy identyfikator z napisem „Gość”.

— Meegaan — powiedział, przeciągając samogłoski. — Doj-  
rzałem cię z recepcji. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

— Ależ skąd. — Pani poseł z trudem udało się ukryć poczucie  
ulgi. — Zapraszam na kawę. To jest Stuart Janney z First Alban-  
nach Bank — dodała, zwracając się do Rebusa i Clarke. — Stuart,  
ci państwo są z policji i prowadzą śledztwo w sprawie śmierci To-  
dorowa. — Janney przywitał się i usiadł przy stoliku.

— Mam nadzieję, że jesteście naszymi klientami — powiedział  
z uśmiechem.

— Zważywszy na stan moich finansów — skrzywił się Rebus  
— powinien pan się cieszyć, że korzystam z konkurencji.

Janney zrobił bolesną minę i ułożył sobie na kolanach pro-  
chowiec, który dotąd miał przerzucony przez ramię.

— Przykra sprawa z tym morderstwem — odezwał się.

Siedzieli w trójkę, bo Macfarlane stanęła znów w kolejce przy  
bufecie.

— Przykra — potwierdził Rebus.

— Ze słów pani Macfarlane domyślam się — wtrąciła Clarke  
— że państwo już to omawiali.

— Rzeczywiście, ten temat pojawił się dziś w naszej porannej  
rozmowie — potwierdził Janney i przeczesał sobie palcami blond  
czuprynę. Twarz miał różową, lekko piegowatą i wyglądem przy-  
pominał Rebusowi Colina Montgomeriego [Colin Montgomerie —  
słynny w Europie szkocki golfista] w młodości. Krawat i oczy były w  
jednakowym ciemnobłękitnym kolorze. Bankowiec uznał widać,  
że jest detektywom winien bliższe wyjaśnienie, bo dodał: — Roz-  
mawialiśmy dziś z sobą przez telefon.

— Ma pan osobiście coś wspólnego z tą rosyjską delegacją? —  
spytał Rebus.

— FAB nigdy nie odtrąca potencjalnych klientów, panie in-  
spektorze.

FAB był powszechnie używanym akronimem nazwy First Al-  
bannach Bank. Brzmiał dość familiarnie, ale krył się pod nim jeden

z największych pracodawców i być może jedna z najbardziej dochodowych firm w Szkocji. W reklamach telewizyjnych lansowano obraz FAB jako jednej wielkiej rodziny, a fabuły spotów przypominały mini opery mydlane. Nowa siedziba centrali banku, którą mimo licznych protestów zbudowano na terenie zielonego pasa wokół miasta, była małą enklawą, łącznie z własną galerią handlową i licznymi kafejkami. Pracownicy mogli na miejscu pójść do fryzjera albo zrobić zakupy przed powrotem do domu. Mogli też korzystać z własnej sali gimnastycznej lub rozegrać partyjkę golfa na należącym do banku dziewięćdołkowym polu golfowym.

— Więc jeśli potrzebny wam ktoś do zarządzania waszym debetem... — Janney zawiesił głos i obojgu wręczył po wizytówce. Macfarlane wróciła z filiżanką czarnej kawy i na widok wizytówek parsknęła śmiechem. To ciekawe, pomyślał Rebus: pije to samo co ona. Detektyw był gotów się założyć, że Janney w identyczny sposób dopasowuje się do gustu każdego ważnego klienta. Rok czy dwa lata temu, w szkole policyjnej w Tulliallan zorganizowano nawet specjalny kurs szkoleniowy pod hasłem „Empatyczne techniki przesłuchiwania”. W trakcie przesłuchiwania świadka czy podejrzanego należało poszukiwać wspólnych cech, które łączyły obie strony, nawet jeśli w tym celu trzeba było uciekać się do kłamstwa. Rebus nigdy nie próbował skorzystać z tego w praktyce, czuł jednak, że ktoś taki jak Janney byłby do tego stworzony.

— Stuart jest niepoprawny — stwierdziła posłanka. — Ile razy ci mówiłam, że takie nagabywanie klientów jest nieetyczne? — Powiedziała to jednak z uśmiechem, a Janney tylko odchrząknął i przesunął wizytówki bliżej obojga policjantów.

— Pan Janney właśnie wspomniał — odezwała się Clarke — że rozmawiali państwo o śmierci Aleksandra Todorowa.

Megan Macfarlane wolno pokiwała głową.

— Stuart występuje w roli doradcy KRM.

— Nie sądziłem, panie Janney, że FAB ma inklinacje nacjonalistyczne — zdziwił się Rebus.

— Jesteśmy całkowicie neutralni — zachnął się Janney. — Komisja Rewitalizacji Miasta liczy dwanaścioro członków, którzy reprezentują pięć partii politycznych.

— A z iloma z tej dwunastki rozmawiał pan dziś rano?  
— Na razie tylko z Megan — przyznał bankowiec — ale nie ma jeszcze południa. — Znacząco spojrział na zegarek.  
— Stuart jest naszym konsultantem z zakresu trzech I — wyjaśniła Macfarlane. — Innych Inicjatyw Inwestycyjnych.  
Zdawało się, że Rebus jej nie słucha.  
— Czy pani Macfarlane prosiła, żeby pan do niej wpadł, panie Janney? — zapytał. Spłoszone spojrzenie, jakim bankowiec obrzucił posłankę, starczyło za odpowiedź. Rebus też na nią popatrzył.  
— A który to biznesmen?  
Zamrugła powiekami.  
— Słucham?  
— Pytam, który z biznesmenów tak się przejął losem Todorowa?  
— Dlaczego to pana interesuje?  
— A czy jest jakiś powód, dla którego nie powinno mnie to interesować? — Dla lepszego efektu Rebus uniósł jedną brew.  
— No i inspektor zapędził cię w kozi róg, Megan — powiedział Janney z krzywym uśmiechem.  
Macfarlane skarciła Stuarta złowrogim błyskiem oczu, ale gdy przeniosła wzrok na Rebusa, nie było już po nim śladu.  
— Nazywa się Siergiej Andropow — powiedziała.  
— Kiedyś Rosją rządził człowiek o tym nazwisku — zauważyła Clarke.  
— Przypadkowa zbieżność nazwisk — zapewnił ją Janney i upił łyk kawy. — W naszej centrali mówią na niego Svengali.  
— A dlaczego? — Clarke powiedziała to takim tonem, jakby ją to naprawdę zaciekawiło.  
— Z uwagi na liczbę sztuczek, jakie wykonał przy przemówieniu innych firm i tworzeniu z własnej gracza globalnego. Te wszystkie wygrane potyczki, użyte strategie, spryt w pokonywaniu przeciwników... — Janney mówił to z takim zachwytem, z jakim zwykle rozprawia się o swoim hobby. — Nie mam wątpliwości, że to jego przezwisko odzwierciedla podziw, jakim się cieszy.  
— Widzę, że w panu też wzbudził nieklamany podziw — zauważył Rebus. — Domyślam się, że First Albannach chętnie zaliczyłby tych Rosjan do grona swoich klientów.

— Już to zrobił.

Rebus postanowił zetrzeć uśmiezek zadowolenia z twarzy bankowca.

— Cóż, Aleksander Todorow też był waszym klientem i proszę, co mu się przytrafiło.

— Inspektor Rebus mówi o tym nie bez powodu — wtrąciła szybko Clarke. — Czy dałoby się przy pańskiej pomocy uzyskać informacje o rachunkach bankowych Todorowa i wykaz jego ostatnich transakcji?

— Obowiązują pewne procedury...

— Jasne, proszę pana, ale tego rodzaju informacje mogą nam pomóc w schwytaniu jego zabójcy, a to z kolei pomogłoby uspokoić waszych klientów.

Janney zmarszczył twarz.

— Czy jest wyznaczony egzekutor jego majątku?

— Nic nam o tym nie wiadomo.

— W którym oddziale naszego banku miał swój rachunek? Clarke rozłożyła tylko ręce, wzruszyła ramionami i bezradnie się uśmiechnęła.

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni, proszę pana — powiedział Rebus. — Nasze biuro mieści się przy Gayfield Square. — Ostentacyjnie rozejrzał się wokół. — Może nie jest aż tak eleganckie jak to tutaj, ale przynajmniej podatnicy nie zbankrutowali...

Droga z parlamentu do magistratu zajęła im tylko parę minut. Rebus poinformował recepcję, że na czternastą są umówieni z panią burmistrz i przyjechali trochę za wcześnie, i poprosił, czy mimo to mogą zostawić samochód na parkingu dla gości. Zdawało się, że nikt nie ma nic przeciwko temu, więc Rebus spytał jeszcze z uśmiechem, czy wobec tego mogą skorzystać z okazji i odwiedzić Graeme'a MacLeoda. Wypisano im przepustki, przepuszczono przez kolejną bramkę bezpieczeństwa i po chwili byli już w środku. Czekaając na windę, Clarke zwróciła twarz ku Rebusowi.

— Chciałam ci powiedzieć, że fajnie sobie poradziłeś z Macfarlane i Janneyem.

— Domyśliłem się po tym, jak całą robotę zwałaś na mnie.

— Pewnie już za późno na wycofanie komplementu — mruknęła, ale oboje się przy tym uśmiechnęli. — Jak myślisz, ile potrwa, zanim się zorientują, że stoimy na parkingu pod fałszywym pretekstem?

— Zależy od tego, czy wpadną na pomysł, żeby zadzwonić do sekretariatu pani burmistrz.

Wsiedli do windy i zjechali dwa piętra w dół, gdzie już czekał na nich ktoś, kogo Rebus przedstawił Clarke jako Graeme'a MacLeoda. MacLeod poprowadził ich do pomieszczeń CSM, wyjaśniając po drodze, że CSM oznacza Centralną Stację Monitorowania. Rebus znał to miejsce, ale Clarke nigdy wcześniej tu nie była i oczami szeroko otwartymi z podziwu rozejrzała się po sali pełnej

monitorów. Była ich co najmniej setka, rozmieszczonych w trzech rządach, a przy stanowiskach komputerowych siedziało kilkanaście obsługujących je osób.

MacLeod lubił, kiedy na odwiedzających go gościach robiło to wrażenie, i nie trzeba go było namawiać, by zechciał dorzucić trochę szczegółów.

— System monitoringu miejskiego działa już od dziesięciu lat — wyjaśnił. — Zaczęło się od zainstalowania kilkunastu kamer w centrum, obecnie jest ich ponad sto trzydzieści, a wkrótce ich liczba jeszcze wzrośnie. Mamy stałe łącze z Centrum Interwencji Policyjnej w Bilston i w ciągu roku dochodzi do około tysiąca dwustu interwencji w sytuacjach przestępczych, wychwyconych przez nasz personel stłoczony w tej dusznej norze.

Ciepło wydzielane przez ogromną liczbę monitorów powodowało, że w pomieszczeniu rzeczywiście było gorąco i Clarke po chwili zdjęła płaszcz.

— Działamy non stop w systemie dwadzieścia cztery na siedem — mówił dalej MacLeod — i śledząc zachowanie podejrzanego możemy na bieżąco informować policję o jego ruchach. — Wszystkie monitory były ponumerowane i MacLeod wskazał jeden z nich. — Na tym widać Grassmarket. Naciskając odpowiednie klawisze, Jenny może obracać kamerą i robić zbliżenie na parkującą samochód czy wychodzącego ze sklepu lub pubu.

Siedząca przy klawiaturze operatorka Jenny zademonstrowała możliwości kamery i Clarke z podziwem pokiwała głową.

— Obraz jest bardzo wyraźny — powiedziała — i do tego w kolorze. Spodziewałam się czarno-białego. Ale na King's Stables Road pewnie nie macie żadnych kamer?

MacLeod zachichotał.

— Czułem, że to o to chodzi. — Wziął do ręki dziennik dyżurnów i przerzucił kilka stron do tyłu. — Tamtego wieczoru stanowisko obsługiwał Martin. Odnotował przyjazd radiowozów i ambulansu. — Przejechał palcem po wpisie. — Cofnął nawet nagranie, żeby sprawdzić, czy wcześniej się coś działo, ale nie zauważył nic podejrzanego.

— Co wcale nie znaczy, że na tym nagraniu nic nie ma.

— Oczywiście.



— Siobhan twierdzi — wtrącił Rebus — że Zjednoczone Królestwo jest najbardziej podglądanym krajem.

— Dwadzieścia procent wszystkich kamer monitorujących na świecie. Po jednej na każdy tuzin mieszkańców.

— To rzeczywiście bardzo dużo.

— I wszystko jest archiwizowane? — spytała Clarke.

— Robimy, co się da. Całość trafia na twarde dyski i dyski wideo, ale istnieją pewne ograniczenia, które nas obowiązują...

— Graeme chce przez to powiedzieć — wyjaśnił Rebus — że nie może nam ot, tak sobie pokazać tych nagrań. Obowiązuje go ustawa o ochronie danych osobowych z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego.

— Ściślej mówiąc, z dziewięćdziesiątego ósmego — Graeme pokiwał głową. — Wolno nam udostępnić wam nagrania, ale dopiero po dopełnieniu formalności.

— I dlatego nauczyłem się polegać na opinii Graeme'a. — Rebus spojrzął na MacLeoda. — Domyślam się, że przeczesales te nagrania najgęściejszym cyfrowym grzebieniem, prawda?

MacLeod się uśmiechnął.

— Wspólnie z Jenny. Posłużyliśmy się fotografiami ofiary z paru agencji prasowych. Wydaje nam się, że wypatrzyliśmy go na Shandwick Place. Szedł sam chodnikiem. To było tuż po dwudziestej drugiej. Po raz drugi pojawia się na nagraniu pół godziny później na Lothian Road. Ale jak słusznie przypuszczacie, na samej King's Stables Road nie mamy kamery.

— Czy odnieśliście wrażenie, że ktoś go śledził? — spytał Rebus.

MacLeod pokręcił głową.

— Ani ja, ani Jenny.

Clarke nie spuszczała wzroku z ekranów.

— Jeszcze parę lat i będę bezrobotna — powiedziała w zadumie.

— Nie sądzę — roześmiał się MacLeod. — Inwigilacja to delikatna sprawa. Wkraczanie w czyjąś prywatność zawsze budzi wątpliwości i obrońcy praw człowieka bez przerwy się nas czepiają.

— Nigdy bym się nie domyślił — skrzywił się Rebus.

— Ale nie w mówisz mi, że chciałbyś, żeby jedna z naszych kamer zagłądała ci w okno? — parsknął MacLeod.

Clarke wyraźnie się nad czymś zastanawiała.

— Charles Riordan zapłacił rachunek w restauracji o dziewiątej czterdzieści osiem — powiedziała. — Todorow ruszył w miasto i znalazł się na Shandwick Place. Jak to możliwe, żeby przejście czterystu metrów do Lothian Road zajęło mu aż pół godziny?

— Zatrzymał się po drodze na drinka — zawyrokował Rebus.

— Riordan wspomniał o Mather's albo barze w hotelu Caledonian. Ale niezależnie od tego gdzie, o dziesiątej czterdzieści był już znów na ulicy, a to znaczy, że pięć minut później znalazł się pod parkingiem.

Odczekała, aż Rebus skinie głową.

— Parking zamykają o jedenastej — dodał detektyw. — Czyli atak musiał nastąpić bardzo szybko. Co było dalej, Graeme?

MacLeod był przygotowany na to pytanie.

— Ten, kto natknął się na ciało, zadzwonił o dwudziestej trzeciej dwanaście. Przejrzelśmy nagrania z Grassmarket i Lothian Road dziesięć minut przed tą godziną i po niej. — Wzruszył ramionami. — Zwykły wieczorny ruch bywalców pubów, grupki kolegów z pracy, ludzi na późnych zakupach... Żadnych szaleńców biegnących po ulicy z młotkiem w ręku.

— Chętnie rzucilibyśmy na to okiem — powiedział Rebus. — Możemy rozpoznać jakieś twarze, których wy nie znacie.

— To prawda.

— Tylko chciałbyś, żebyśmy odbyli całą drogę przez mękę?

MacLeod plótnł ręce w geście, który starczał za odpowiedź.



Szli już do wyjścia obok recepcji i Rebus właśnie sięgał do kieszeni po świeżą paczkę papierosów, gdy drogę zastąpił im ktoś ubrany w ceremonialny strój rajcy miejskiego. Rebus uniósł głowę i stwierdził, że parę kroków dalej stoi pani burmistrz ze złotym łańcuchem na szyi. Nie miała zbyt przyjaznej miny.

— Podobno jesteśmy umówieni — rzuciła. — Tylko poza wami jakoś nikt o tym nie wie.

— Wyszło jakieś nieporozumienie — powiedział Rebus, uśmiechając się przepaszająco.

— A nie przypadkiem sztuczka, żeby się wkreślić na parking?

— Boże uchwaj.

Przewierciła go wzrokiem.

— Całe szczęście, że już odjeżdżacie. Potrzebujemy tego miejsca dla ważniejszych gości.

Rebus poczuł, jak palce zaciskają mu się na paczce papierosów.

— Co może być ważniejsze od śledztwa w sprawie morderstwa? — burknął.

Od razu wiedziała, o czym mówi.

— Chodzi o tego rosyjskiego poetę? Trzeba tę sprawę jak najszybciej wyjaśnić.

— Żeby się przypodobać tym ważniakom znad Wołgi? — Rebus zamilkł i po chwili zastanowienia dodał: — Rada miejska też jest w to zaangażowana? Bo od Megan Macfarlane wiemy, że uczestniczy w tym Komisja Rewitalizacji Miasta.

Pani burmistrz pokiwała głową.

— Rada miejska też ma w tym swój udział.

— I to dlatego tak się pani cacka z tymi burżujami? Fajnie wiecieć, że moje miejskie podatki idą na szczytny cel.

Pani burmistrz zrobiła krok do przodu, a w jej wzroku pojawiły się groźne błyski. Już się szykowała do wygłoszenia ostrej reprimendy, ale w tym momencie jej asystent znacząco chrząknął. Przez okna widać było długi czarny samochód, próbujący się zmieścić pod łukiem na podjeździe do budynku. Burmistrz bez słowa odwróciła się plecami i ruszyła do wyjścia. Odczekawszy chwilę, Rebus i Clarke podążyli jej śladem.

— Jak ty potrafisz zdobywać sobie nowych przyjaciół — mruknęła.

— Został mi tydzień do emerytury, Shiv. Ani mi się śni przejmować.

Podeszli kawałek chodnikiem, potem Rebus zatrzymał się i zapalił papierosa.

— Czytałeś dzisiejszą gazetę? — spytała Clarke. — Wczoraj Andy Kerr zdobył tytuł Polityka Roku.

— A co to za jeden?

— Ten, który przeforsował zakaz palenia.

Rebus prychnął pogardliwie. Przechodnie przystawali, przyglądając się dostojnie wyglądającemu czarnemu samochodowi i stojącej w grugu pani burmistrz. Jej asystent w ceremonialnym

stroju podszedł do samochodu i otworzył tylne drzwi. Przyciemnione szyby uniemożliwiały zajrzenie do wnętrza, ale gdy pasażer wysiadł, Rebus nie miał wątpliwości, że jest Rosjaninem. Długi płaszcz, czarne rękawiczki i jakby wykuta w kamieniu, pozbawiona uśmiechu twarz. Miał około czterdziestu lat, krótko przyszczyżone, lekko siwiejące na skroniach włosy, a jego stalowoszare oczy niemal przewiercały na wylot wszystko wokół, łącznie z Rebusem i Clarke. Gość nie przestał obserwować otoczenia, nawet witając się z burmistrz i coś do niej mówiąc. Rebus zaciągnął się i odprowadził wzrokiem całą grupę, która po krótkim powitaniu zniknęła wewnątrz budynku.

— Wygląda na to, że rosyjski konsulat bierze się do biznesu taksówkowego — powiedział, przypatrując się czarnemu mercedesowi.

— To ten sam, którym przyjechał Stachow — domyśliła się Clarke.

— Możliwe.

— A kierowca?

— Trudno powiedzieć.

Z budynku wyłonił się pracownik magistratu, który machaniem rąk zaczął ich ponaglać, by odjechali i ustąpili miejsca mercedesowi. Rebus wystawił jeden palec, co miało znaczyć „jedną minutkę”, potem zauważył, że Clarke ma wciąż przypięty identyfikator.

— Lepiej im to oddać — powiedział. — Potrzymaj. — Wyciągnął ku niej palącego się papierosa, ale ponieważ nie kwapiła się do przejęcia, położył go na parapecie pobliskiego okna. — Tylko uważaj, żeby go nie zdmuchnęło. — Wziął od niej identyfikator i odpiął swój.

— Jestem pewna, że im to do niczego niepotrzebne. — Skrzywiła się, on jednak tylko się uśmiechnął i zawrócił do wejścia.

— Pomyślałem, że lepiej to pani oddać — powiedział do recepcjonistki. — Nadają się do recyklingu, prawda? Powinniśmy dbać o nasze środowisko. — Uśmiechnął się, ona odpowiedziała tym samym. — A przy okazji — dodał, pochylając się nad jej biurkiem — ten gość pani burmistrz. Czy dobrze mi się zdaje...

— Jakiś rekin biznesu — dokończyła.

Leżąca przed nią księga gości znalazła się w zasięgu wzroku Rebusa, a ostatni wpis zrobiony wiecznym piórem z ciemnoniebieskim atramentem potwierdzał słowa recepcjonistki. — Nazywa się Siergiej Andropow.



— Dokąd teraz? — spytała Clarke.

— Do pubu.

— Myślisz o jakimś konkretnym?

— Mather's, oczywiście.

Clarke ruszyła w dół Johnston Terrace, ale Rebus polecił jej jechać naokoło; po serii skrętów w lewo dotarli do King's Stables Road od strony Grassmarket i zaparkowali pod wielopoziomowym parkingiem. Kręcili się tu już Hawes i Tibbet, więc Clarke nacisnęła klakson i zgasiła silnik. Tibbet obejrzał się i do nich pomachał. Obchodził kolejno samochody i przyklejał do przednich szyb kartki z wypisanym tłustym drukiem nagłówkiem: „Uwaga, Policja. Potrzebne informacje”, Hawes rozstawiała na chodniku plansze z identycznym wezwaniem. Poniżej umieszczono lekko rozmazane zdjęcie Todorowa i treść komunikatu. „W środę 15 listopada około godziny 23.00 na terenie parkingu napadnięto tego mężczyznę, który w wyniku odniesionych obrażeń zmarł. Czy zauważyłeś coś podejrzanego? Czy tamtego wieczoru parkował tu ktoś, kogo znasz? Prosimy o kontakt z ekipą śledczą...”. Podany numer telefonu należał do centralki komisariatu.

— I słusznie — pochwalił Rebus. — W wydziale i tak w tej chwili nikogo nie ma.

— To samo powiedział Macrae. — Hawes kiwnęła głową, przyglądając się swojemu dziełu. — Pytał, ilu ludzi nam jeszcze potrzeba.

— Lubię, kiedy moja drużyna jest nieduża i zwarta — powiedział Rebus.

— Czyli kibicem Heartsów nie mógłbyś być — mruknął Tibbet pod nosem.

— A ty tak jak Siobhan kibicujesz Hibsom?

— Livingston.

— Heartsi należą teraz do jakiegoś Rosjanina, nie?

— Ścisłej mówiąc, do Litwina — wtrąciła Clarke. Hawes prze-  
wała im pytaniem, dokąd się teraz wybierają.

— Do pubu — odrzekła Clarke.

— Takim to dobrze.

— W celach służbowych, nie dla przyjemności.

— To co Colin i ja mamy robić dalej? — zwróciła się do Rebu-  
sa.

— Wracajcie do firmy — odrzekł — i czekajcie na lawinę tele-  
fonów.

— Chciałabym też, żeby ktoś z was zadzwoniło do BBC i po-  
prosiło o dostarczenie nagrania z tym wydaniem *Question Time*, w  
którym wystąpił Todorow. Ciekawa jestem, jak bardzo lubił się  
wyklócać.

— Pokazali kawałek tego programu we wczorajszych wia-  
domościach wieczornych — wtrącił Tibbet. — Mówili o mor-  
derstwie Todorowa i zdaje się, że to był jedyny materiał z nim,  
jakim dysponowali.

— Dzięki za informację. — Clarke kiwnęła głową. — To może  
ty się skontaktujesz z BBC w moim imieniu?

Wzruszył ramionami, co miało świadczyć, że chętnie to zrobi.  
Uwagę Clarke przyciągnęła sterta ulotek, które wciąż trzymał w  
garści. Wprawdzie wydrukowano je na różnobarwnych kartkach,  
ale większość zdawała się w wyjątkowo krzykliwym różu.

— Spieszyło nam się — wyjaśnił Tibbet, widząc jej spojrzenie.  
— Akurat to było pod ręką.

— Jedziemy — rzucił Rebus do Clarke. Uznawszy rozmowę za  
zakończoną, ruszył w stronę samochodu, ale okazało się, że Hawes  
coś jeszcze chodzi po głowie.

— Powinniśmy przeprowadzić dodatkowe przesłuchania świad-  
ków! — zawołała za nim. — Colin i ja możemy się tym zająć.

Rebus udał, że się chwilę zastanawia, potem przecząco pokręcił  
głową.

Wsiedli do samochodu i obrzucili wzrokiem znak zakazu, za-  
braniający przejazdu do Lothian Road.

— Myślisz, żeby zaryzykować? — spytała Clarke.

— Twoja decyzja, Shiv.

Zagryzła dolną wargę i po chwili namysłu zawróciła. Dziesięć  
minut później znaleźli się niemal w tym samym miejscu, przejeżd-  
żając Lothian Road obok wyłom King's Stables Road.

— Trzeba było zaryzykować — mruknął Rebus.

Dwie minuty później parkowali na podwójnej żółtej linii przed wejściem do Mather's. Wcześniej zignorowali znak, z którego wynikało, że skręt w Queensferry Road dopuszcza się tylko dla taksówek i autobusów. To samo zrobił biały van przed nimi, w ich ślady poszło jadące za nimi kombi.

— Karawana piratów drogowych — zauważył Rebus.

— To miasto mnie dobija — powiedziała Clarke, ze złością wykrzywiając usta. — Kto wymyśla te wszystkie uliczne idiotyzmy?

— Chyba drink dobrze ci zrobi. — Rebus się uśmiechnął. Nieczęsto odwiedzał Mather's, ale lubił to miejsce. Panowała w nim nieco staroświecka atmosfera, a większość nielicznych miejsc do siedzenia zajęta była przez mężczyzn w podeszłym wieku. Teraz, wczesnym popołudniem telewizor był nastawiony na Sky Sports. Clarke wybrała z zapasu Tibbeta garść ulotek — głównie żółtych — i obeszła z nimi stoliki. Rebus podsunął jedną z nich pod oczy barmana.

— Przedwczoraj — powiedział — koło dziesiątej wieczorem, może troszkę po.

— Nie moja zmiana — odrzekł barman.

— A czyja?

— Terry'ego.

— Gdzie on teraz jest?

— Pewnie w wyrze.

— Będzie tu dziś wieczorem? — Barman przytaknął i Rebus wcisnął mu do ręki ulotkę. — Ma do mnie zadzwonić, wszystko jedno, czy widział tego gościa, czy nie. Jak nie zadzwoni, to ty za to odpowiesz.

Barman wykrzywił tylko usta. Obok Rebusa pojawiła się Clarke.

— Ten gość w rogu chyba cię zna — powiedziała.

Rebus spojrział w kierunku, w którym wskazywała ręką, kiwnął głową i ruszył w stronę stolika. Clarke poszła za nim.

— Wszystko w porządku, Wielki Po? — rzucił Rebus zamiast powitania.

Mężczyzna siedział samotnie nad drinkiem — połówką jasnego, wzmocnioną dużą porcją whisky — i sprawiał wrażenie całkowicie

zadowolonego ze swego losu. Jedną nogę trzymał opartą na przysuniętym krześle, ręką czochrał się po piersi pod rozchełstaną spłowiata koszulą dżinsową. Rebus nie widział go już od siedmiu, może ośmiu lat. Nazywał się Podeen i z racji swej postury nazywany był „Wielkim Po”. Eksmarynarz i eksochroniarz, u którego wiek zrobił już swoje. Jego wielka, wysmagana wiatrem twarz wyraźnie się zapadła, spoza mięsistych warg wyzierały niemal bezzębne dziąsła.

— Nie najgorzej, panie Rebus.

Nie uścisnęli sobie rąk. Tylko lekko skinęli głową, obrzucając się ukradkowymi spojrzzeniami.

— To jest teraz twoje miejsce? — zapytał Rebus.

— Zależy, co masz na myśli.

— Myślałem, że mieszkasz na wybrzeżu.

— Mieszkalem, ale dawno temu. Ludzie się zmieniają, przynoszą. — Na stoliku leżała sakiewka z tytoniem, obok zapalniczka i paczuszka bibułek papierosowych. Podeen wziął ją do ręki i zaczął się bawić.

— Masz dla nas coś ciekawego?

Wielki Po wydał policzki i z sykiem wypuścił powietrze.

— Byłem tu przedwczoraj wieczorem i tego twojego koleśia tu nie było. — Wskazał głową ulotkę. — Ale znam człowieka, widywałem go tu często tuż przed zamknięciem. Nocny marek z niego, jak chcesz wiedzieć.

— Tak jak ty, Wielki Po.

— I jak ty, o ile dobrze pamiętam.

— Teraz to już tylko fajka i kapie, Wielki Po — powiedział Rebus. — Kakao przed snem i o dziesiątej w łóżeczku.

— Jakoś tego nie widzę. Ale zgadnij, na kogo niedawno wpadłem. Na naszego starego kumpla Cafferty'ego. Jak to się stało, że nigdy nie udało ci się go wsadzić?

— Parę razy go dopadliśmy, Wielki Po.

Podeen zmarszczył nos.

— Parę razy, tu i tam. Ale jakoś zawsze wychodził na swoje, nie? — Ich oczy znów się spotkały. — Mówią, że się już przymierzasz do złotego zegarka. Niezła kariera w wadze ciężkiej, inspektorze Rebus, ale zawsze to o tobie mówili...

— Co o mnie mówili?



— Że brakuje ci ciosu na nokaut. — Podeen uniósł szklanę z mieszanką piwa i whisky. — W każdym razie, za te twoje lata o zmierzchu. Może zacniemy cię tu częściej widywać. Tylko że w większości pubów w tym mieście powinieneś zawsze stać plecami do ściany. Narobiłeś sobie dużo wrogów, inspektorze Rebus, i teraz, jak już nie będziesz reprezentował prawa... — Podeen teatralnie wzruszył ramionami.

— Dzięki, żeś mnie pocieszył, Wielki Po. — Powrócił wzrokiem do ulotki. — Rozmawiałeś z nim kiedyś? — Podeen skrzywił się i potrząsnął głową. — A jest tu ktoś inny, kogo mógłbym popytać?

— Zawsze stał przy barze, możliwie najbliżej drzwi. Przychodził tu na drinka, nie dla towarzystwa. — Na chwilę zamilkł. — Nie zapytałeś mnie o Cafferty'ego.

— No dobra, więc pytam.

— Powiedział, żeby cię pozdrowić.

— I to wszystko?

— To wszystko.

— I gdzie ta wiekopomna rozmowa się odbyła?

— Niedaleko stąd, pod drugiej stronie ulicy. Wpadłem na niego, jak wychodził z hotelu Caledonian.



Właśnie tam udali się w następnej kolejności. Do ogromnego gmachu o bladoróżowych ścianach prowadziły dwa oddzielne wejścia: jedno, obsługiwane przez odźwiernego w liberii, wiodło do głównego holu recepcyjnego, drugim wchodziło się bezpośrednio do baru, z którego korzystali zarówno goście hotelowi, jak i spragnieni wędrowcy z ulicy. Rebus uznał, że może być jednym z nich, i zamówił duże piwo, Clarke oświadczyła, że zostanie przy soku pomidorowym.

— Po drugiej stronie ulicy piwo jest tańsze — zauważyła.

— I dlatego ty płacisz — mruknął. Jednak gdy przyniesiono rachunek, położył na nim banknot pięćofuntowy w nadziei na resztę.

— Ten twój koleżka w Mather's miał rację, nie uważasz? — powiedziała Clarke. — Kiedy wychodzę gdzieś wieczorem, zawsze obserwuję, kto wchodzi i wychodzi. W razie gdyby się miała pojawić jakaś znajoma twarz.

Rebus pokiwał głową.

— Jakby się rozejrzeć po tych wszystkich łotrach, których wsadziliśmy, to z całą pewnością niektórzy są już z powrotem. Po prostu staraj się wybierać przyzwoitsze lokale.

— Na przykład takie jak ten? — Clarke rozejrzała się po barze.  
— Jak myślisz, czego Todorow tu szukał?

— Sam nie wiem — odrzekł Rebus po chwili zastanowienia. — Może po prostu wyczuwał tu odmienne wibracje.

— Wibracje? — powtórzyła ze śmiechem.

— Pewnie nauczyłem się tego słowa od ciebie.

— Nie sądzę.

— No to od Tibbeta. A w ogóle to co się czepiasz? To absolutnie przyzwoite słowo.

— W twoich ustach tak nie brzmi.

— Trzeba mnie było słyszeć w latach sześćdziesiątych.

— W latach sześćdziesiątych jeszcze mnie nie było na świecie.

— Przestań mi to wypominać. — Wychylił jednym haustem połowę kufła i skinął ręką na barmana. W drugiej trzymał przygotowaną ulotkę. Barman, niski i chudy jak patyk, miał głowę ogoloną do skóry i ubrany był w kraciastą kamizelkę, białą koszulę i krawat. Spojrzawszy na zdjęcie Todorowa, od razu pokiwał głową, aż załśniły odbite w niej lampy znad baru.

— Był tu ostatnio parę razy.

— Przedwczoraj też? — upewniła się Clarke.

— Chyba tak. — Barman zamyślił się, ściągając brwi.

Rebus wiedział, że tego rodzaju ostentacyjne zastanawianie się często służy próbie uwiarygodnienia kłamstwa. Plakietka przyczepiona do kamizelki barmana zawierała tylko jego imię: Freddie.

— Tak trochę po dziesiątej wieczorem — pomógł mu Rebus.  
— Był już po paru drinkach.

Freddie znów pokiwał głową.

— Zamówił duży koniak.

— Tylko jeden?

— Tak mi się zdaje.

— Rozmawiałeś z nim?

Freddie pokręcił głową.

— Ale już sobie przypominam. Mówili o nim w wiadomościach. Paskudna historia.

— Paskudna — zgodził się Rebus.  
— Siedział przy barze czy zajął miejsce przy stoliku? — spytała Clarke.  
— Przy barze. Zawsze siedział przy barze. Widać było, że jest obcokrajowcem, ale na poetę nie wyglądał.  
— A jak według ciebie wyglądają poeci?  
— Chodzi mi o to, że zawsze siedział sam z ponurą miną. Chociaż muszę przyznać, że widziałem też, jak coś pisze.  
— Podczas tej ostatniej wizyty?  
— Nie, przedtem. Miał taki nieduży notes, który wyjmował z kieszeni i coś w nim pisał. Jedna z kelnerek myślała nawet, że może być tajniakiem albo że spisuje spostrzeżenia do recenzji w gazecie. Ale ja powiedziałem, że chyba nie.  
— A jak był ostatnio, to też widziałeś ten notesik?  
— Nie, ale z kimś rozmawiał.  
— Z kim? — zapytał Rebus. Freddie wzruszył ramionami.  
— Z kimś przy barze. Siedzieli mniej więcej tam, gdzie wy teraz.  
Rebus i Clarke wymienili się spojrzeniami.  
— I o czym rozmawiali?  
— Zdrowiej jest nie podsłuchiwać.  
— Nie znam barmanów, którzy by nie lubili słuchać rozmów klientów przy barze.  
— Mogli nawet nie rozmawiać po angielsku.  
— A po jakiemu?... Po rosyjsku? — Rebus przymrużył lekko oczy.  
— Możliwe. — Wydawało się, że Freddiemu to pasuje.  
— Macie tu jakieś kamery? — spytał Rebus, rozglądając się po barze.  
Freddie potrząsnął głową.  
— A ten jego rozmówca to mężczyzna czy kobieta?  
Freddie na moment zamilkł.  
— Mężczyzna — odparł z wahaniem.  
— Rysopis.  
Kolejny moment zawahania.  
— Trochę od niego starszy... tęższy. Wieczorami światła są tu przyciemnione, było dość tłoczno... — wzruszył bezradnie ramionami.

— Nic się nie przejmuj, i tak nam bardzo pomagasz — zapewniła go Clarke. — Długo ze sobą rozmawiali? — Kolejne wzruszenie ramion. — Wyszli stąd razem?

— Poeta wyszedł sam. — Zdawało się, że przynajmniej w tej kwestii Freddie nie miał wątpliwości.

— Pewnie koniak nie jest u was tani, co? — zauważył Rebus.

— Piekielnie drogi — przyznał barman. — Ale jak klient ma otwarty rachunek na pokój, to tak tego nie zauważa.

— Dopiero kiedy na koniec dostaje rachunek do zapłacenienia w kasie — pokiwał głową Rebus. — Tylko problem w tym, Freddie, że nasz rosyjski przyjaciel nie mieszkał w tym hotelu. — Zawiesił głos dla lepszego efektu. — Więc o czym pokoju rozmawiamy?

Do barmana chyba dopiero teraz dotarło, że popełnił błąd.

— Słuchajcie, nie chcę się nikomu narazić...

— Z całą pewnością nie radzę ci narażać się mnie — zgodził się Rebus. — Ten drugi był gościem hotelowym?

Freddie niepewnie przenosił wzrok z Rebusa na Clarke.

— Chyba tak — wybąkał.

Wyglądał tak, jakby nagle zeszło z niego powietrze. Detektywi spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

— Gdybyś przyjechał z Moskwy w interesach — powiedziała cicho — na przykład w ramach oficjalnej delegacji... to w którym hotelu byś się zatrzymał?

Pewną odpowiedź na to pytanie można było uzyskać w recepcji, jednak obsługa odmówiła jakichkolwiek informacji i zadzwoniła po zastępcę kierownika. Rebus powtórzył pytanie:

— Mieszkają tu u was rosyjscy biznesmeni?

Pełniący dyżur kierownik najpierw skrupulatnie obejrzał legitymację służbową Rebusa, potem zapytał, czy coś się stało.

— Stanie się, jeśli wasz hotel będzie nam utrudniał śledztwo w sprawie morderstwa.

— Morderstwa? — Kierownik, który przedstawił się jako Richard Browning, ubrany był w elegancki stalowoszary garnitur, koszulę w kratkę i gładki krawat w kolorze lawendy. Słowa Rebusa spowodowały, że krew napłynęła mu do twarzy.

— Przedwczoraj wieczorem pewien mężczyzna wyszedł z waszego baru, dotarł do King's Stables Road i został tam zakatowany

na śmierć. A to znaczy, że ostatnimi, którzy widzieli go żywego byli goście waszego hotelowego baru. — Rebus zrobił krok w stronę Browninga. — Oczywiście mogę zażądać wydania rejestru osób, które zatrzymały się w tym hotelu, i sprawić, że wszyscy wasi goście zostaną po kolei dokładnie przesłuchani. Mogę w tym celu ustawić w holu duży stół, tak żeby każdy z wchodzących widział, co się dzieje... — Rebus zawiesił głos. — Mogę to wszystko zrobić, ale zajmie to trochę czasu i wywoła mnóstwo zamieszania. Chyba że... — kolejne zawieszenie głosu — ...dowiem się od pana, jacy Rosjanie u was mieszkają.

— Mógłbyś również przejrzeć paragony z baru — dodała Clarke — i sprawdzić nazwisko gościa, który parę minut po dziesiątej płacił za duży koniak.

— Nasi goście mają prawo do prywatności — zachnął się Browning.

— Nam chodzi tylko o nazwiska — powiedział Rebus — a nie o listę pornosów, które wasi goście oglądają na hotelowym wideo.

Browning aż zeszytniał.

— No dobrze, więc to nie jest tego rodzaju hotel. Ale jakichś Rosjan tu macie, tak?

Browning powoli skinął głową.

— Nie jestem pewien, czy pan wie, ale w mieście przebywa teraz delegacja rosyjskich biznesmenów. — Rebus zapewnił go, że o tym wie. — Szczerze mówiąc, mamy tu u siebie tylko trzech czy czterech delegatów. Pozostali są rozmieszczeni w innych hotelach w mieście, takich jak Balmoral, George, Sheraton, Prestonfield...

— Nie chcą ze sobą mieszkać? — zdziwiła się Clarke.

— Brak odpowiedniej liczby apartamentów prezydenckich — skrzywił się Browning.

— Jak długo tu jeszcze zostaną?

— Kilka dni. Mają w tym czasie zaplanowany wyjazd do Glenegles, ale pokoi nie zwolnią żeby nie musieć się wymeldowywać i ponownie meldować.

— Fajnie mieć taki wybór — zauważył Rebus. — To kiedy możemy dostać te nazwiska?

— Muszę to najpierw uzgodnić z dyrektorem.

— Kiedy? — powtórzył Rebus.

— Naprawdę nie umiem powiedzieć — wykrztusił Browning.  
Clarke wręczyła mu wizytówkę z dopisanym numerem swojej komórki.

— Im szybciej, tym lepiej — ponagliła go.

— A jak nie, to stół na środku holu — przypomniał Rebus.

Ruszyli do wyjścia, zostawiając Browninga kręcącego z niedowierzaniem głową. Odźwierny na ich widok otworzył drzwi, ale Rebus zamiast napiwku wręczył mu jedną z jaskrawych ulotek. Podchodząc do samochodu, który Clarke zostawiła na pustym postoju dla taksówek, Rebus dostrzegł, że pod wejście do hotelu podjeżdża wielki czarny mercedes, widziany wcześniej przed budynkiem magistratu, i że wysiada z niego ten sam pasażer, Siergiej Andropow. Jakby czując na sobie wzrok detektywa, Rosjanin odwrócił głowę i na moment ich spojrzenia się skrzyżowały, zaraz jednak Andropow zniknął we wnętrzu hotelu, a samochód odjechał spod wejścia i wjechał na hotelowy parking.

— Ten sam szofer, który przywiózł Stachowa? — spytała Clarke.

— Wciąż nie mogę mu się dobrze przyjrzeć — odrzekł Rebus.

— Ale to mi przypomina, że miałem o coś spytać pana kierownika. Jakim cudem taki przyzwoity hotel wpuszcza za próg takich rzezimieszków jak Duży Ger Cafferty?

Z rozmowami ze świadkami odczekali do szóstej, w nadziei że o tej porze zastaną wszystkich w domach. Roger i Elizabeth Andersonowie mieszkali w wolno stojącej willi z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Zbudowano ją na południowych krańcach miasta, skąd roztaczał się widok na pasmo górskie Pentland. Ścieżka prowadząca od furtki do domu była oświetlona, dzięki czemu było dobrze widać pieczołowicie zakomponowane skalniaki, które wyrastały z dużej połaci trawnika przyszczyżonego tak równo, jakby robiono to nożyczkami.

— Pewnie to hobby pani Anderson — domyśliła się Clarke.

— Kto ich tam wie. Może to ona jest od zarabiania, a on siedzi w domu.

Jednak gdy Roger Anderson otworzył drzwi, był jeszcze w garniturze. Zdążył tylko poluzować krawat i rozpiąć kołnierzyk koszuli. W rękę trzymał wieczorną gazetę, okulary do czytania miał odsunięte na czoło.

— A, to wy — powiedział. — Tak się właśnie zastanawiałem, kiedy przyjdzie nasza kolej. — Zostawił otwarte drzwi i wycofał się do środka. — To policja — zawołał w stronę kuchni. Wyjrzała z niej pani Anderson i Rebus uśmiechnął się do niej.

— Widzę, że nie powiesiła pani jeszcze tego wieńca — zagadnął, pokazując głową drzwi.

— Kazała mi go wyrzucić do śmieci. — Anderson nacisnął przycisk na pilocie i wyłączył telewizor.

— Właśnie mieliśmy siadać do kolacji — bąknęła jego żona.

— To nie potrwa długo — zapewniła ją Clarke. Przyniosła ze sobą teczkę ze wstępnymi zeznaniami świadków, w której miała przepisane na maszynie protokoły Todda Goodyeara i Billa Dysona. Tekst Goodyeara był bez zarzutu, Dysona pełen błędów ortograficznych. — To nie państwo znaleźli ciało, prawda?

Elizabeth Anderson podeszła bliżej i stanęła za fotelem męża, który rozsiadłszy się na nim, nie raczył zaproponować, by policjanci też usiedli. Zresztą Rebus wolał nie siadać, bo dzięki temu mógł się pokręcić po pokoju i lepiej rozejrzeć. Pan Anderson odłożył gazetę na stolik przy fotelu, na którym stała już kryształowa szklanka pełna przezroczystego płynu — sądząc po zapachu, mieszanka ginu z tonikiem ze znaczną przewagą tego pierwszego.

— Usłyszeliśmy krzyk tej dziewczyny — powiedział — i podeszliśmy sprawdzić, co się stało. Myślałam, że może ktoś ją napadł czy coś w tym rodzaju.

— A państwa samochód stał na... — Clarke udała, że sprawdza w protokole.

— Na Grassmarket — dokończył Anderson.

— Dlaczego akurat tam, proszę pana? — zapytał Rebus.

— A dlaczego nie?

— Bo to dość daleko od kościoła. Byli państwo na koncercie kolęd, prawda?

— Tak, byliśmy.

— Trochę wcześniej jak na kolędy.

— W przyszłym tygodniu włączają już świąteczne oświetlenie ulic.

— I koncert skończył się tak późno?

— Potem wstąpiliśmy jeszcze coś zjeść. — Anderson powiedział to naburmuszonym tonem, wyraźnie poirytowany, że musi się tłumaczyć.

— Wolał pan nie korzystać z wielopoziomowego parkingu?

— Zamykają go o jedenastej. Nie byłem pewien, czy zdążymy do tej pory wrócić.

Rebus pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Czyli zna pan ten parking? I godziny jego otwarcia?

— Kiedyś z niego korzystałem. Ale od osiemnastej trzydzieści parkowanie na Grassmarket nic nie kosztuje.



— Pewnie, proszę pana, każdy grosz się liczy. — Rebus skinął głową, rozglądając się po bogato urządzonej wnętrzności. — W protokole mamy napisane, że pracuje pan w...

— Jestem zatrudniony w First Albannach. — Rebus ponownie skinął głową, udając, że go to nie zaskoczyło. W rzeczywistości Dyson nie raczył zapisać żadnych danych o miejscu pracy Andersona. — Macie szczęście, że zastaliście mnie w domu tak wcześnie. Ostatnio mamy piekielnie dużo pracy.

— Zna pan Stuarta Janneya?

— Wielokrotnie miałem z nim do czynienia... Słuchajcie, jaki to wszystko ma związek z tym martwym biedakiem?

— Prawdopodobnie żadnego, proszę pana — przyznał Rebus. — Ale zawsze staramy się budować możliwie najpełniejszy obraz.

— Innym powodem parkowania na Grassmarket — wtrąciła niemal szeptem Elizabeth Anderson — jest dobre oświetlenie tej ulicy i to, że zawsze kręcą się tam jacyś ludzie. Bardzo zwracamy na to uwagę.

— Ale nie przeszkodziło to wam wybrać powrotu przez ciemny zaułek — zauważyła Clarke. — O tej porze King's Stables Road bywa zupełnie pusta.

Rebus prześlizgnął się wzrokiem po kilku oprawionych w ramki zdjęciach na szafce.

— To państwo w dniu ślubu — domyślił się.

— Dwadzieścia siedem lat temu — potwierdził Anderson.

— A to państwa córka? — Pytanie było retoryczne, bo połowa fotografii ukazywała tę samą dziewczynkę w różnych momentach życia.

— Deborah. W przyszłym tygodniu przyjeżdża z college'u do domu.

Rebus wolno pokiwał głową. Odnosił wrażenie, jakby fotografii młodej kobiety były świadomie ukryte za podobiznami szczerbatej dziewczynki i szkolnego podlotka.

— Widzę, że ma za sobą okres fascynacji gothami — zauważył detektyw, przyglądając się jej kruczoczarnym włosom i silnie podmalowanym na czarno oczom.

— Raz jeszcze muszę spytać, inspektorze — obruszył się Anderson — co to wszystko ma wspólnego...

Rebus machnął obojętnie ręką, Clarke oderwała wzrok od protokołu i uniosła głowę.

— Wiem, że to banalne pytanie — uśmiechnęła się — ale mieli państwo czas jeszcze raz wszystko przemyśleć. Czy jest coś, co chcielibyście dodać? Nikogo więcej nie widzieliście, nic nie słyszeliście?

— Nikogo i nic — oznajmił Anderson.

— Nic — powtórzyła za nim żona, po czym dodała: — To był jakiś znany poeta, prawda? Bo wydzwaniali do nas reporterzy.

— Najlepiej się z nimi nie zadawać — poradził Rebus.

— Bardzo chciałbym się dowiedzieć, skąd, u diabła, w ogóle coś o nas wiedzą — warknął Anderson. — Myśli pan, że to już koniec?

— Chyba nie bardzo rozumiem.

— Czy będziecie nas jeszcze nachodzić, mimo że nie mamy wam nic do powiedzenia?

— Będą jeszcze państwo musieli przyjechać na Gayfield Square i złożyć formalne zeznanie — powiedziała Clarke. Wyjęła swoją wizytówkę i położyła na stoliku. — Proszę najpierw zadzwonić pod ten numer i umówić się ze śledczą Hawes albo śledczym Tibbetem.

— I po jaką cholere? — zaperzył się Anderson.

— Bo chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa, proszę pana — odparł sucho Rebus. — Bo zakatowano na śmierć człowieka, a morderca wciąż jest na wolności. Naszym zadaniem jest go znaleźć... przykro mi, jeśli sprawia to panu jakiś kłopot.

— Muszę powiedzieć, że jakoś nie wierzę, żeby było panu przykro — burknął Anderson.

— Ależ moje serce aż krwawi, panie Anderson. Przepraszam, jeśli nie zawsze to widać. — Rebus odwrócił się, jakby szykując się do wyjścia, potem jednak coś go powstrzymało. — A przy okazji, cóż to za samochód, że parkuje go pan tylko w dobrze oświetlonych miejscach?

— Bentley. Continental GT.

— Z czego wnioskuję, że nie pracuje pan w FAB w charakterze gońca.

— Co nie znaczy, że od tego nie zaczynałem. A teraz, jeśli pozwolicie, chcielibyśmy usiąść do kolacji, zanim się wszystko spali.

Pani Anderson dramatycznym gestem przykryła sobie usta i po-  
pędziła do kuchni.

— Jeśli się coś przypaliło — mruknął Rebus — to zawsze  
będzie pan mógł się pocieszyć paroma następnymi ginami.

Uznawszy, że złośliwości Rebusa nie zasługują na odpowiedź,  
Anderson bez słowa wstał z fotela.

— Smaczna była kolacja? — spytała obojętnym tonem Clarke,  
zbierając papiery i utykając je w teczce. — Ta po koncercie kolęd.

— Całkiem smaczna, owszem.

— Zawsze ciekawią mnie nowe restauracje.

— I zapewne będzie panią na nią stać — powiedział z uśmie-  
kiem, który miał znaczyć coś wręcz przeciwnego. — Nazywa się  
Pompadour.

— Dopilnuję, żeby to on zapłacił rachunek — z uśmiechem  
wskazała głową Rebusa.

— I dobrze pani robi — parsknął Anderson. Zamykając za  
nimi drzwi, wciąż jeszcze chichotał pod nosem.

— Nie dziwię się, że jego żona lubi zajmować się ogrodem —  
mruknął Rebus. — Pozwala jej to uciec od tego nadętego kutasa.  
— Ruszył ścieżką i sięgnął do kieszeni po papierosa.

— Jak ci powiem coś ciekawego — rzuciła Clarke — to zapro-  
sisz mnie na kolację do Pompadour?

Zajęty zapalaniem, milcząco kiwnął głową.

— Menu restauracji Pompadour widziałam na stoliku portiera  
w holu.

Rebus wypuścił kłęb dymu w zimne, wieczorne powietrze.

— A to dlaczego?

— Bo Pompadour to nazwa restauracji w hotelu Caledonian.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, potem bez sło-  
wa zawrócił i kilkakrotnie walnął pięścią w drzwi. Minę Rogera  
Andersona trudno było uznać za przyjazną, ale Rebus nie pozwolił  
mu nawet otworzyć ust.

— Krótco przed śmiercią Aleksander Todorow pił w barze ho-  
telu Caledonian.

— No i co?

— A pan był w restauracji. Nie widział go pan?

— Elizabeth i ja nawet nie zbliżyliśmy się do baru. To duży ho-  
tel, inspektorze...

Pociągnął drzwi z zamiarem zamknięcia i Rebusowi przemknęło przez myśl, czy nie wsadzić nogi w szparę. Od lat nie zrobił czegoś takiego, ale nie przyszło mu do głowy żadne nowe pytanie, ograniczył się więc tylko do przewiercenia Andersona wzrokiem przez szparę w masywnych drewnianych drzwiach. Nawet gdy drzwi ostatecznie się zamknęły, Rebus jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, jakby licząc na to, że siłą woli zmusi gospodarza do ich ponownego otwarcia. Usłyszał jednak kroki oddalającego się Andersona i chcąc nie chcąc musiał zrobić to samo.

— Co o tym myślisz? — spytała Clarke, gdy dołączył do niej na ścieżce.

— Pogadajmy z tym drugim świadkiem. Potem ci powiem, co mi chodzi po głowie.



Nancy Sievewright mieszkała na trzecim piętrze kamienicy przy Blair Street. Po przeciwnej stronie ulicy widać było podświetlony szyld informujący, że w piwnicach domu znajduje się sauna. Nieco dalej ulica zaczynała ostro bieć w górę i widać było grupkę palaczy pod wejściem do baru. Z Hunter Square — miejsca, gdzie bezdomni często urządzali swoje sejmiki, nim policja ich nie przepędziła — dochodziły sporadyczne piski i krzyki.

Wejście do kamienicy pogrążone było w mroku, toteż Rebus zapalił zapalniczkę i poświecił Clarke, starającej się odczytać nazwiska na tabliczce domofonu.

Duża rotacja lokatorów w wynajmowanych mieszkaniach powodowała, że przy niektórych przyciskach widniało po kilka nazwisk, i to często na papierowych naklejkach, którymi zakrywano nazwiska poprzednich mieszkańców. Nazwisko Sievewright było prawie nieczytelne, ale gdy Clarke nacisnęła przycisk, ktoś bez pytania odblokował drzwi. Klatka schodowa była dość dobrze oświetlona i zasłana na dole workami ze śmieciami i stertą książek telefonicznych z ostatnich paru lat.

— Ktoś tu ma kota — powiedział Rebus, pociągając nosem.

— Albo kłopoty z pęcherzem — dodała Clarke.

Ruszyli schodami na górę i Rebus przystawał po drodze na każdym piętrze, udając, że studiuje nazwiska na drzwiach. W rzeczywistości brakowało mu tchu i gdy wreszcie dotarł na trzecie piętro, Clarke zdążyła już zadzwonić. Drzwi otworzył młody mężczyzna z włosami w nieładzie i tygodniowym zarostem na twarzy. Miał podmalowane oczy i czerwoną bandanę na głowie.

— Ty nie jesteś Kelly — burknął.

— Przykro mi, że sprawiam ci zawód. — Clarke wyjęła legitymację służbową. — Przyszliśmy do Nancy.

— Nie ma jej — wycedził.

— Mówiła ci, że znalazła trupa?

— Co? — Młody człowiek otworzył usta i zeszytniał.

— To twoja znajoma?

— Sublokatorka.

— I nic ci nie powiedziała? — Clarke odczekała chwilę, ale bez rezultatu. — Dobra, nieważne. Chodzi tylko o uzupełnienie zebrań. Nie zrobiła nic złego...

— Więc jakbyś nas wpuścił do środka — wtrącił Rebus — to będziemy udawać, że nie czujemy smrodu marychy w całym mieszkaniu. — Okrasił swoje słowa uśmiechem, który w jego mniemaniu miał dodawać otuchy.

— Jasne. — Chłopak otworzył szerzej drzwi, jednocześnie w głębi przedpokoju uchyliły się następne i wyjrzała zza nich twarz Nancy Sievewright.

— Witaj, Nancy — powiedziała Clarke, wchodząc do środka. Przedpokój był zastawiony kartonami śmieci do recyklingu, odpadkami do wyrzucenia i rzeczami, które nie zmieściły się w ciasnym szafach. — Chcielibyśmy omówić jeszcze parę spraw.

Nancy wyszła do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi do pokoju będącego zapewne jej sypialnią. Miała na sobie krótką, obcisłą spódniczkę, czarne legginsy i kusy top, który kończył się pod piersiami i odślaniał pepek ozdobiony kolczykiem.

— Właśnie wychodziłam — powiedziała.

— Na twoim miejscu coś bym włożył na siebie — poradził Rebus. — Jest cholernie zimno.

— To nie potrwa długo — zapewniła ją Clarke. — Gdzie możemy pogadać?

— W kuchni.

No pewnie, pomyślał Rebus. Słodka woń marihuany najsilniej dobywała się spoza zamkniętych drzwi, za którymi musiał znajdować się duży pokój. Dochodziły stamtąd stłumione dźwięki muzyki, coś pulsującego i elektronicznego. Rebus nie potrafił rozpoznać wykonawcy, ale przypominało to trochę Tangerine Dream.

Kuchnia była wąska i zagracona i jej wygląd wskazywał na to, że lokatorzy polegali głównie najedzeniu na wynos. Uchylone okno nie pomagało w pozbyciu się smrodu bijącego od zlewu.

— Ktoś olał swój dyżur ze zmywaniem — zauważył Rebus.

Nancy zbyła jego uwagę milczeniem. Złożyła ręce na piersiach, czekając na pytanie. Clarke sięgnęła po teczkę z papierami i wyciągnęła z niej protokół Goodyeara i kolejną wizytówkę.

— Chcielibyśmy, żebyś nas możliwie najszybciej odwiedziła na Gayfield Square i złożyła formalne zeznanie. Zadzwoń i umów się z którymś z tej dwójki śledczych — wręczyła dziewczynie wizytówkę. — A na razie chcemy tylko uściślić parę kwestii. Kiedy natknęłaś się na ciało, to szłaś tutaj?

— Tak.

— I wracałaś od koleżanki z... — Udała, że szuka adresu w protokole. Miała nadzieję, że Nancy dokończy za nią zdanie, ale zdało się, że dziewczyna ma kłopoty z pamięcią. — Z Great Stuart Street — podpowiedziała Clarke. Nancy kiwnęła głową. — Jak się nazywa ta koleżanka?

— Do czego wam to potrzebne?

— Tacy już jesteśmy, Nancy. Lubimy zbierać wszelkie możliwe informacje.

— Ma na imię Gili. Clarke zapisała.

— A nazwisko?

— Morgan.

— Gdzie dokładnie mieszka?

— Pod szesnastym.

— Świetnie. — Clarke znów coś zapisała. — Dzięki za pomoc.

Drzwi do dużego pokoju się uchylily, wyjrzała zza nich jakaś dziewczyna i zderzywszy się wzrokiem z badawczym spojrzeniem Rebusa, natychmiast znów się schowała.

— Kto jest właścicielem tego mieszkania? — spytał Rebus.

Nancy wzruszyła ramionami.

— Czynsz płacę Eddiemu.

— Eddie to ten, który nam otworzył?

Skinęła głową. Rebus wyszedł z kuchni i stanął w przedpokoju. Na jednym z kartonów leżała kupka nieotwartej korespondencji. Słuchając kolejnych pytań Clarke, zaczął przeglądać koperty. Na jednej z nich zamiast znaczka pocztowego widniał stempel „Opłata zryczałtowana” i nazwa nadawcy: „Agencja wynajmu MGC”. Odłożył kopertę i skupił uwagę na odpowiedzi Nancy.

— Nie mam pojęcia, czy parking był czynny. A co za różnica?

— Niewielka — zgodziła się Clarke.

— Podejrzewamy, że ofiarę napadnięto właśnie tam — wtrącił z przedpokoju. — Do tego miejsca, gdzie go znalazłaś, albo sam doczłapał, albo go tam zaniesiono.

— Ale ja nic nie widziałam! — jęknęła dziewczyna.

Była bliska płaczu i jeszcze ciaśniej splotła ręce. Drzwi pokoju znów się otworzyły i wyrzwał zza nich Eddie.

— Przestańcie ją dręczyć! — warknął.

— Nie dręczymy jej, Eddie — powiedział spokojnie Rebus.

Usłyszawszy swoje imię w ustach policjanta, Eddie wyraźnie oklapł, dla zachowania twarzy coś jeszcze mruknął i wycofał się do środka. — Dlaczego mu nie powiedziałaś, co się stało?

Wolno pokręciła głową, przełykając łzy.

— Bo chcę o tym zapomnieć.

— Wcale ci się nie dziwię — stwierdziła współczującym tonem Clarke. — Ale jeśli jednak coś sobie przypomnisz... — Zawiesiła głowę i ruchem głowy wskazała wizytówkę.

— To zadzwonię.

— I na komisariat też się zgłosisz — przypomniała jej Clarke.

— O dowolnej porze w poniedziałek.

Nancy Sievewright skinęła głową. Wyglądała na zrezygnowaną. Clarke dała Rebusowi znak oczami, że skończyła i że jeśli chce, może przejąć pałeczkę. Rebus nie omieszkał skorzystać z okazji.

— Nancy — powiedział cicho. — Czy byłaś kiedyś w hotelu Caledonian?

— No pewno — parsknęła dziewczyna. — Przesiaduję tam całym dniami.

— Pytam poważnie.

— A jak pan myśli?

— Rozumiem z tego, że zaprzeczasz. — Kiwnął głową na Clarke, że to już wszystko. W przedpokoju zatrzymał się jednak i szeroko otworzył drzwi do dużego pokoju. Powietrze zasnuwała gęsta niebieska mgielka. Brak było górnego oświetlenia i paliło się tylko kilka stojących lamp z purpurowymi żarówkami oraz kilka grubych białych świec na półce nad kominkiem. Niski stolik do kawy zastany był bibułkami papierosowymi, strzępami kartonu i drobinami tytoniu. W pokoju poza Eddiem znajdowały się osoby — wszystkie leżały powyciągane na kanapie i podłodze. Rebus skinął im głową i się wycofał.

— Ty też się tak czasami bawisz? — zwrócił się do Nancy. — Popalasz hasz albo coś w tym rodzaju?

— Czasami — przyznała, otwierając drzwi wyjściowe.

— Dzięki za szczerość — uśmiechnął się Rebus. Okazało się, że pod drzwiami stoi jakaś dziewczyna, zapewne oczekiwana wcześniej Kelly. Była w wieku podobnym do Nancy, ale w takim makijażu zapewne nie miałaby trudności z wejściem do nocnych klubów od 21 lat.

— To na razie — rzuciła Nancy i wpuściła dziewczynę do środka. Przez zamknięte drzwi usłyszeli jej pytanie: „Co to za jedni?” i cichą odpowiedź Nancy, że są od właściciela lokalu.

— Wiesz, kto jest tym właścicielem? — prychnął ze złością Rebus. Odczekał chwilę, ale Clarke wzruszyła tylko ramionami. — Morris Gerald Cafferty jako Agencja wynajmu MGC.

— Podobno ma parę mieszkań — potwierdziła Clarke.

— W tym mieście trudno jest zrobić krok, żeby się nie nadziać na Cafferty'ego — powiedział Rebus w zamyśleniu.

— Nancy kłamała — przerwała jego rozważania Clarke.

— W sprawie tej koleżanki, u której podobno była? — Kiwnął głową, że się zgadza.

— Tylko dlaczego?

— Pewnie ze stu ważnych powodów.

— Na przykład takich, jak jej naćpani kolesie. — Ruszyli schodami w dół. — Myślisz, że w ogóle warto rozmawiać z niejaką Gili Morgan, która mieszka przy Great Stuart Street pod szesnastym?

— Jak uważasz — powiedział Rebus. Obejrzał się przez ramię



w stronę mieszkania Nancy Sievwright. — Tyle że dziewczyna jest wyjątkiem.

— W jakim sensie?

— Wydaje się, że wszyscy pozostali traktują hotel Caledonian jak drugi dom.

Clarke uśmiechnęła się półgębkiem i w tym momencie drzwi za ich plecami otworzyły się, wybiegła z nich Nancy Sievwright i nie zamykając, zbiegła po schodach.

— Jest coś, co moglibyście dla mnie zrobić — powiedziała ścisłym głosem.

— Co takiego, Nancy?

— Uwolnić mnie od tego starucha.

Clarke i Rebus wymienili się spojrzeniami.

— O jakim staruchu mówisz? — spytała Clarke.

— O tym żonatym, tym, który dzwonił na pogotowie...

— Chodzi ci o Rogera Andersona? — Rebus przymrużył powieki.

Nancy nerwowo pokiwała głową.

— Przyłazł tu wczoraj. Nie było mnie w domu, ale uparł się, że na mnie zaczeka. Jak wróciłam, to siedział w samochodzie pod domem.

— I czego chciał?

— Powiedział, że się o mnie martwił i chciał sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. — Zawróciła w górę schodów. — Mam to z głowy.

— Co masz z głowy? — zawołał za nią Rebus, ale dziewczyna nie odpowiedziała i chwilę potem drzwi cicho się za nią zamknęły.

— Cholera — szepnęła Clarke. — Co tu jest grane?

— Warto spytać pana Andersona. To zabawne, bo właśnie przed chwilą pomyślałam, że Nancy przypomina mi jego córkę.

— A skąd on miał jej adres?

— Nie mam pojęcia. — Wzruszył ramionami. — Ale to może poczekać. Na dziś mam dla ciebie inne zadanie...



Inne zadanie Rebusa wymagało stawienia czoła starszemu inspektorowi Macrae w jego gabinecie. Widać wracał z jakiegoś oficjalnego przyjęcia, bo był ubrany w smoking, a na szyi miał

zawiązaną czarną muszkę. Pod budynkiem czekał samochód z szoferem, żeby go odwieźć do domu. Mężczyzna usiadł za biurkiem, zdjął muszkę i rozpiął guzik pod szyją. Nalał też sobie szklanek wody z dystrybutora i bez słowa wlepił wzrok w Clarke, czekając, aż zacznie. Odchrząknęła, przeklinając w duchu Rebusa i jego argumentację, że Macrae posłucha tylko jej. I że tylko o to mu chodzi.

— Szefie — zaczęła — chodzi o sprawę Aleksandra Todorowa.

— Macie już kogoś na oku? — Twarz Macrae pojaśniała, ale zaraz znów przygasła, bo Clarke przecząco potrząsnęła głową.

— Chodzi o to, że naszym zdaniem całe to zajście mogło być czymś więcej niż tylko zwykłym napadem rabunkowym, który wymknął się spod kontroli.

— Czyżby?

— Jak dotąd nie dysponujemy żadnymi przekonującymi dowodami, ale istnieje mnóstwo... — Mnóstwo czego? Brakowało jej właściwego słowa. — Należałoby zbadać wiele tropów, ale większość z nich oddala nas od koncepcji przypadkowej napaści.

Macrae odchylił się do tyłu i oparł o fotel.

— To mi za bardzo pachnie Rebusem. Przysłał cię, żebyś orędownała w jego imieniu.

— Ale to nie znaczy, szefie, że się z nim nie zgadzam.

— Im szybciej się spod niego uwolnisz, tym lepiej. — Skrzywiła się i Macrae wykonał przeproszający gest. — Siobhan, przecież wiesz, o co mi chodzi. Ile mu jeszcze zostało? Tydzień... A co potem? Zdążycie zakończyć śledztwo, zanim się spakuje i wyniesie?

— Wątpliwe.

— A to znaczy, Siobhan, że sprawa w całości spadnie na ciebie.

— Nie mam nic przeciwko temu, szefie.

— I uważasz, że te jego przeczucia warte są paru dodatkowych dni?

— To coś więcej niż przeczucia — powiedziała z przekonaniem. — Od Todorowa wiodą tropy do wielu osób i bardziej chodzi nam o ich wykluczenie niż dodanie czegoś nowego.

— A jeśli sprawa jest prostsza, niż się wydaje? W końcu znamy Johna nie od dziś.

— W swoim czasie rozwiązał wiele trudnych spraw przypomniała Clarke.

— Byłby z ciebie niezły adwokat, Siobhan — stwierdził Macrae z wyrazem znużenia na twarzy, po chwili namysłu zaś dodał: — Wiem, że John jest od ciebie starszy stopniem, ale chcę, żebyś to ty przejęła śledztwo w sprawie Todorowa. Uprości nam to parę spraw i on na pewno sam to przyzna.

Clarke w milczeniu skinęła głową.

— Dwa, trzy dni i zobaczymy, co ci się uda znaleźć. Masz do dyspozycji Hawes i Tibbeta. Kogo jeszcze chciałabyś w to włączyć?

— Dam panu znać.

Macrae znów się zamyślił.

— Ktoś z rosyjskiej ambasady zadzwonił do Scotland Yardu... rozmawiali z naszym drogim głównym komendantem. — Westchnął. — Gdyby się dowiedział, że daję Rebusowi maczać w tym palce, dostałby kota.

— To miłe zwierzątko, szefie.

Nie tylko go to nie rozbroiło, ale aż poczerwieniał.

— Więc od teraz ty dowodzisz, Siobhan, nie John. Czy to jest jasne?

— Tak jest, panie inspektorze.

— Domyślam się, że gdzieś się przyczaił i czeka na wynik naszej rozmowy.

— Za dobrze go pan zna, szefie.

Macrae dał jej znak ręką, że może już iść. Przeszła przez pustą salę wydziału śledczego i zeszła na dół. W holu natknęła się na znajomą twarz. Todd Goodyear albo skończył służbę, albo wykonywał jakieś tajne zadanie, bo był ubrany po cywilnemu, w czarne drelichowe spodnie i czarną watowaną lotniczą kurtkę. Clarke udała, że próbuje go sobie umiejscowić w pamięci.

— Miejsce zabójstwa Todorowa? Posterunkowy Goodyear? Skinął głową i spojrzał na teczkę w jej rękę.

— Ma pani mój protokół?

— Jak widzisz... — Przystanęła, zaciekawiona, co policjant robi tu o tej porze.

— I jak?

— W porządku. — Widać było, że liczył na bardziej zdecydowaną pochwałę, ale ona tylko powtórzyła: „W porządku” i spytała, co tu robi.

— Czekam na panią — przyznał. — Mówili mi, że pracuje pani do późna.

— Akurat przyszedłam dopiero dwadzieścia minut temu.

— Wiem, siedziałem w samochodzie — powiedział i skinął głową. — Inspektora Rebusa nie ma z panią?

— Słuchaj no, Todd, o co ci, u diabła, chodzi?

Goodyear oblizwał wargi.

— Myślałem, że posterunkowy Dyson już pani powiedział. Chciałbym popracować w śledczym.

— Gratuluję.

— Więc pomyślałem, że może pani kogoś potrzebuje...

— Chodzi ci o sprawę Todorowa?

— Miałbym okazję czegoś się nauczyć. Po raz pierwszy w życiu byłem wtedy na miejscu morderstwa... Bardzo bym chciał wiedzieć, jak to się potoczy.

— Potoczy się tak, że trzeba będzie żmudnie grzebać w tysiącu spraw, z których większość nie wniesie do śledztwa nic nowego.

— Brzmi świetnie — uśmiechnął się. — Umiem pisać dobre raporty, pani sierżant... Niewiele umyka mojej uwadze. Ale myślę, że mógłbym dać z siebie jeszcze więcej.

— Twarda z ciebie sztuka, co?

— Proszę mi pozwolić przekonać panią przy drinku.

— Jestem umówiona.

— To może jutro? Zaprosiłbym panią na kawę.

— Jutro jest sobota, a w budzecie starszego inspektora Macrae nie ma miejsca na takie rzeczy.

— Chodzi o nadgodziny? — Goodyear ze zrozumieniem pokiwał głową.

Na moment się zamyśliła.

— Dlaczego przychodzisz z tym do mnie, a nie do inspektora Rebusa? On jest starszy stopniem.

— Może pomyślałem, że pani lepiej umie słuchać.

— Czyli jestem bardziej łatwowierna?

— Czyli tak, jak powiedziałem.

Potrzebowała jeszcze chwili zastanowienia, by ostatecznie podjąć decyzję.

— Tak się składa, że to ja kieruję tym śledztwem, więc spotkajmy się na tej kawie z samego rana w poniedziałek. Przy Broughton Street jest taka kafejka, do której czasami zaglądam. — Podała mu nazwę i godzinę.

— Dziękuję, pani sierżant — powiedział Goodyear. — Nie pożałuje pani.

Wyciągnęła do niego rękę i uścisnęła mu dłoń.

**DZIEŃ CZWARTY**

**Poniedziałek,**

**20 listopada 2006**

Siobhan Clarke przyszła dziesięć minut przed czasem, ale Goodyear już na nią czekał. Włożył kurtkę lotniczą z piątku, którą zapiął pod samą szyję, zasłaniając bluzę munduru.

— Wstydzisz się w nim pokazywać? — spytała.

— Wie pani, jak to jest...

Rzeczywiście, wiedziała. Już od bardzo dawna nie chodziła w mundurze policyjnym, ale wciąż miała w pamięci chwile, kiedy wołałaby się do niego nie przyznawać. Choćby na tych wszystkich prywatkach, na których obecni goście, dowiadując się, gdzie pracuje, dyskretnie się od niej odsuwali. Albo na randkach z nowo poznanymi facetami, którzy albo szybko tracili zainteresowanie, albo zaczęli się popisywać: „Przykujesz mnie do poręczy łóżka? Poczekaj, aż zobaczysz moją pałę. Nic się nie martw o sąsiadów, nie będę stawiał oporu, pani posterunkowa”.

Na jej widok Goodyear zerwał się na nogi i spytał, czego sobie życzy.

— Oni już wiedzą — zapewniła go.

Jej zwyczajowe cappuccino już się parzyło i Goodyearowi pozostało tylko za nie zapłacić i przynieść do stołu. Siedzieli na wysokich stołkach przy stole pod oknem, ale ponieważ kawiarnia mieściła się w podziemiu, mogli tylko przyglądać się pochodowi nóg przechodniów na ulicy. Zacinał zimny deszcz znad Morza Północnego i wszystkim było spieszo, by jak najszybciej gdzieś się schronić. Clarke podziękowała za cukier i poradziła Toddowi, żeby się rozluźnił.

— Nie jesteś na rozmowie kwalifikacyjnej w sprawie pracy.

— A ja myślałem, że tak — odparł z nerwowym chichotem, ukazując przy okazji rząd nieco koślawych zębów. Miał też lekko odstające uszy, a jego rzęsy były niemal pozbawione pigmentu. Stał przed nim kubek filtrowanej kawy, a okruchy na talerzyku świadczyły o zjedzonym wcześniej croissancie. — Udany weekend?

— Bardzo udany weekend — poprawiła go. — Hibsi wygrali sześć do jednego, a Heartsi przegrali z Rangersami.

— Kibicuje pani Hibsom. — Pokiwał wolno głową, wyraźnie odnotowując tę informację w pamięci. — Była pani na meczu?

Potrząsnęła głową.

— Nie, grali na wyjeździe w Motherwell. Musiałam zadowolić się kinem.

— Była pani na *Casino Royale*?

— Nie, na *Infiltracji*. — Zapadło milczenie i dopiero po chwili coś jej przyszło do głowy. — Jak długo czekałeś, zanim przyszedłem?

— Niezbyt długo. Wcześniej się obudziłem, więc pomyślałem sobie, że równie dobrze mogę... — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Jeśli mam być szczerzy, to nie byłem pewien, czy od razu trafię, więc zostawiłem sobie zapas czasu. Zawsze przesadzam z ostrożnością.

— Zakonotowałam, posterunkowy Goodyear. To opowiedz mi trochę o sobie.

— Znaczy o czym?

— O czym chcesz.

— No cóż, domyślałam się, że pani wie, kim był mój dziadek... — Spojrzał na nią pytająco, a ona skinęła głową. — Większość ludzi wie, tylko nie wszyscy mi to mówią prosto w twarz.

— Byłeś jeszcze dzieckiem, kiedy zmarł.

— Miałem cztery lata. Ale przez ostatni rok prawie go nie widywałem. Rodzice nie zabierali mnie ze sobą.

— Mówisz o odwiedzinach w więzieniu?

Tym razem Goodyear kiwnął głową.

— Mamę to rozłożyło... Zawsze była przewrażliwiona na tym punkcie, a jej rodzice wbijali jej do głowy, że o klasę przerasta



mojego tatę. Więc kiedy jego ojciec trafił do więzienia, uznali to za wystarczający dowód na to, że się nie mylili. W dodatku mój tata nie wylewał za kołnierz. — Uśmiechnął się smutno. — Może niektórzy ludzie nigdy nie powinni się żenić.

— Tylko że wtedy nie byłoby Todda Goodyeara.

— Pewnie Bóg miał swoje powody.

— Czy coś z tego tłumaczy twoją decyzję o wstąpieniu do policji?

— Może, ale dzięki, że nie przyjęła pani tego z góry za pewnik. Bo bardzo wielu ludzi próbowało mnie o tym przekonać. Mówili: „Musisz to odpokutować, Todd” albo: „W ten sposób udowodnisz, że nie wszyscy Goodyearowie są z tej samej gliny”.

— Szukali prostych odpowiedzi. — Clarke kiwnęła głową.

— A pani, pani sierżant? Dlaczego pani została policjantką?

Chwilę się zawahała, postanowiła jednak mówić prawdę.

— Myślę, że w ramach buntu przeciwko rodzicom. Oboje byli typowymi liberalnymi lewakami, którzy dorastali w latach sześćdziesiątych.

— I jedynym możliwym buntem było przystąpienie do establishmentu, tak? — Goodyear uśmiechnął się i pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Nieźle to ująłeś — powiedziała Clarke, unosząc do ust filiżankę. — A co twój brat o tym myśli?

— Wie pani, że już kilkakrotnie miał kłopoty z prawem?

— Wiem, że jest u nas notowany — przyznała Clarke.

— Sprawdzają mnie pani? — Popatrzył na nią, ale Clarke nie miała zamiaru odpowiadać na tak postawione pytanie. — W ogóle się z nim nie widuję. Choć to niezupełnie prawda. Kiedy wylądował w szpitalu, poszedłem go odwiedzić.

— Coś poważnego?

— Wdał się w jakąś idiotyczną awanturę w pubie. Cały Sol.

— Jest od ciebie starszy czy młodszy?

— Dwa lata starszy. Chociaż trudno to poznać. Kiedy byliśmy dziećmi, to sąsiedzi zawsze powtarzali, że wydaję się dużo dojrzałszy i doroślejszy od niego. Chodziło im pewnie o to, że byłem od niego grzeczniejszy. Poza tym robiłem zakupy, zajmowałem się domem... — Wyglądało, jakby na chwilę przeniósł się myślami do przeszłości, potem potrząsnął głową. — Inspektora Rebusa łączą

jakieś dawne sprawy z Dużym Gerem Caffertym, prawda?

Clarke zaskoczyła ta nagła zmiana tematu.

— Zależy co rozumiesz pod słowem „łączyć” — powiedziała ostrożnie.

— Bo takie plotki krążą wśród mundurowych. Że się dobrze znają.

— Wzajemnie się nienawidzą — usłyszała własny głos.

— Naprawdę?

— Naprawdę — potwierdziła. — Czasem się zastanawiam, jak się to wszystko skończy... — Powiedziała to bardziej do siebie niż do niego. W ciągu ostatnich tygodni często o tym myślała. — A jest jakiś konkretny powód, że o to pytasz?

— Bo kiedy Sol zajął się dealerką, to chyba właśnie dla Cafferty'ego.

— Chyba czy na pewno?

— Nigdy się do tego nie przyznał.

— To dlaczego tak sądzisz?

— A czy glinom nie wolno mieć przeczuć?

Uśmiechnęła się, bo od razu przypomniało jej to Rebusa.

— Nie jest to dobrze widziane.

— Ale się zdarza, prawda? — Zagapił się na resztkę kawy w kubku. — Cieszę się, że mnie pani uspokoiła w sprawie inspektora Rebusa. Ale jak wspominałem o Caffertym, nie wyglądała pani na zdziwioną.

— Jak się domyśliłeś, trochę pogrzebałam w aktach.

Uśmiechnął się i spytał, czy życzy sobie jeszcze jedną kawę.

— Jedna mi wystarczy. — Wysączyła do końca zawartość filiżanki i w ciągu paru następnych sekund podjęła decyzję. — Pracujesz obecnie w Torphichen, tak?

— Tak jest.

— I myślisz, że się przez chwilę bez ciebie obejda? — Twarz Goodyeara pokraśniała niczym twarz dziecka na widok prezentu pod choinką. — Zadzwonię do nich i powiem, że cię ukradłam na parę godzin. — Uniosła palec i pokiwała mu przed nosem. — Ale tylko na parę godzin, pamiętaj. Zobaczymy, jak nam pójdzie.

— Nie pożałuje pani — zapewnił ją.

— To samo powiedziałeś w piątek. I rzeczywiście się o to postaraj. — Moje śledztwo, pomyślała Clarke, moi ludzie... Właśnie dokonała rekrutacji jednego z nich. Może przekonał ją niekłamany entuzjizm Todda, czym przypominał ją samą z początków jej kariery policyjnej, a może Siobhan po prostu chciała wyrwać go spod demoralizującego wpływu kogoś takiego jak Dyson. Ale prawdą było też to, że po odejściu Rebusa może jej się przydać bufor między nią a resztą ekipy...

Więc przejaw jej egoizmu czy wielkoduszności?  
Czy coś może być jednocześnie jednym i drugim?



Roger Anderson był już w połowie podjazdu do garażu, gdy w lusterku zauważył, że drogę blokuje mu jakiś samochód. Brama była otwarta, bo zdążył już nacisnąć guzik na pilocie, ale wyjazd na ulicę zagrażał zaparkowany saab.

— Żeby tych bezmyślnych, cholernych kretyńców... — prze-rwał, by się zastanowić, który z sąsiadów mógł mu zrobić coś takiego. Archibaldowie dwa domy dalej wciąż mają jakichś robotników albo nocujących u nich gości. U Graysonów z naprzeciwka mieszkają ich dwaj synowie, którzy mają roczną przerwę między szkołą średnią a studiami i się byczą. Zdarzają się też niezapowiedziani goście i różni domokrażcy, którzy wtykają w furtkę pisemka i ulotki reklamowe... Nacisnął klakson w swoim bentleyu, co przy-ciągnęło jego żonę do okna w jadalni. Czy mu się zdaje, czy w tym saabie ktoś siedzi na miejscu pasażera? Nie... siedzi, ale na pie-przonym miejscu kierowcy! Anderson jeszcze parę razy wściekle zatrąbił, potem odpiął pas, wysiadł i zdecydowanym krokiem ru-szył w stronę zagrażającego wyjazd samochodu. Szyba po stronie kierowcy zjechała i w oknie pojawiła się twarz.

— A, to pan! — Detektyw z tej dwójki, która go wczoraj od-wiedziła, pomyślał Anderson... Inspektor jakiś tam.

— Detektyw inspektor Rebus — przypomniał mu kierowca. — Jak się dziś czujemy, panie Anderson?

— Inspektorze, naprawdę mam zamiar wpaść do was w ciągu dnia...

— Kiedy tylko będzie to panu na rękę. Ale nie w tej sprawie tu jestem.

— Oo?

— Po wizycie u państwa w piątek pojechaliśmy do domu drugiego świadka. Do panny Sievewright.

— Ach tak?

— Powiedziała nam, że ją pan odwiedził.

— To prawda. — Anderson obejrzał się przez ramię, jakby upewniając się, że żona jest poza zasięgiem ich głosów.

— Miał pan jakiś konkretny powód?

— Chciałem się tylko upewnić, że nie odniosła żadnych... cóż, przeżyła okropny wstrząs, prawda?

— Ale wygląda na to, że dzięki panu przeżyła następny.

Policzki Andersona oblał rumieniec.

— Pojechałem tam tylko po to, żeby...

— Już pan to mówił — przerwał mu Rebus. — Mnie bardziej interesuje to, skąd pan znał jej nazwisko i adres. Bo panna Sievewright nie figuruje w książce telefonicznej.

— Dowiedziałem się od was.

— Od sierżant Clarke? — Rebus zmarszczył czoło, ale Anderson potrząsnął głową.

— Od tych policjantów, którzy nas spisywali. A ściślej mówiąc, zaraz potem. Bo zaoferowałem, że ją odwiezę do domu, i wtedy policjant wymienił jej nazwisko i nazwę ulicy.

— I co, chodził pan po Blair Street i szukał domofonu z jej nazwiskiem?

— Nie widzę niczego niewłaściwego w tym, co zrobiłem.

— Zatem na pewno opowiedział pan o tym pani Anderson, prawda?

— Zaraz, chwileczkę...

Ale Rebus już uruchomił silnik.

— Czekamy na pana w komisariacie... oczywiście w towarzystwie szanownej małżonki.

Ruszył z miejsca i z otwartym oknem przejechał pierwsze kilkaset metrów. Wiedział, że o tej porze ruch w kierunku centrum będzie się ślimaczył. Wczoraj wieczorem wypił tylko trzy kufle piwa, ale głowę miał ociężałą. W sobotę posiedział trochę przed telewizorem, z rozrzwinięciem oglądając wspomnienie o następnym zmarłym, piłkarzu Ferencu Puskasie. Kiedy w Hampden

rozgrywano finał Pucharu Europy między Realem Madryt a Eintrachtem Frankfurt, Rebus był jeszcze nastolatkiem. Real wygrał wtedy 7:3 i mecz przeszedł do historii piłki nożnej, a jednym z jego bohaterów był właśnie Puskas. Rebus pamiętał, że poszukał wtedy w atlasie Węgier, ojczyzny Puskasa, i postanowił je odwiedzić.

Najpierw Jack Palance, teraz Puskas — obaj odeszli na zawsze. Taki jest los bohaterów.

Sobotni wieczór Rebus spędził w barze Oxford na topieniu smutków i zażartych dyskusjach, po których rano nie zostaje w głowie żaden ślad. Następnego dnia niedzielną wizyta w pralni i supermarkecie i obejrzenie dziennika telewizyjnego, w którym podano, że w Londynie otruto rosyjskiego dziennikarza Litwinienkę. To go aż poderwało i spowodowało, że podkreślił głos. Gates i Curt kpili na temat zatrutych czubków parasoli, ale tu chodziło o coś, co wydarzyło się naprawdę. Jedna z wersji mówiła, że trucizna mogła się znajdować w potrawie zjedzonej przez Litwinienkę w barze sushi. Za wszystkim miała stać rosyjska mafia, a Litwinienko trafił do szpitala, gdzie trzymają go pod zbrojną ochroną policyjną.

Po chwili zastanowienia Rebus postanowił jednak nie dzwonić do Siobhan. To musiał być tylko zbieg okoliczności. Ostatnio detektyw bywał mocno spięty i z lękiem oczekiwał każdego kolejnego poranka. Jego ostatni weekend w służbie policyjnej, jutro rozpocznie się ostatni tydzień jego pracy. Siobhan dobrze się sprawiła w piątkowej rozmowie, ale gdy przyszło jej poinformować go o decyzji Macrae, że to ona ma przejąć kierowanie śledztwem, wyglądała na zmieszaną.

— To sensowne — rzucił tylko i poszedł do baru po drinki. Pomyślał, że rozumie tok myślenia Macrae. „Może sprawa jest prostsza, niż się wydaje”... Siobhan powiedziała, że starszy inspektor tak to sformułował. Ale zgodził się, żeby do ostatniego dnia pracy Rebus mógł się tym zajmować po swojemu i dopiero potem Siobhan zostanie nakierowana na właściwą ścieżkę: napad rabunkowy, który wymknął się spod kontroli.

— To sensowne — powtórzył teraz pod nosem, wlokąc się w tłumie pojazdów. Dziesięć minut później wjeżdżał już na parking przy Gayfield Square. Samochodu Siobhan nie było. Rebus wszedł na górę i zastał Hawes i Tibbeta siedzących przy jednym biurku i wpatrzonych w milczący telefon.

— Nic z tego? — domyślił się.

— Jak dotąd jedenaście telefonów — powiedziała Hawes, stukając palcem w rozłożony notatnik. — Jeden od kierowcy, który wyjechał z parkingu o dziewiątej piętnaście i w związku z tym nie miał nic do powiedzenia, ale i tak chciał pogadać. — Spojrzała na Rebusa. — Lubi jogging i chodzenie po górach, jeśli chcesz wiedzieć. — Nie odwracając głowy, wyczuła, że Tibbet ironicznie się uśmiecha, i łokciem dała mu kuksańca w żebra.

— Co nie przeszkodziło im gadać przez pół godziny — parsknęła, rozcierając sobie bolące miejsce.

— Kogo jeszcze mamy?

— Anonimowych świrów i zartownisiów — odparła Hawes. — I jednego faceta, co do którego mam nadzieję, że jeszcze raz zadzwoni. Zaczął coś mówić o kobiecie kręcącej się po ulicy, ale zanim zdążył podać więcej szczegółów, połączenie zostało przerwane.

— Pewnie widział Nancy Sievewright — domyślił się Rebus, choć jednocześnie zastanowiło go, dlaczego Nancy miałyby się tam „kręcić”. — Ale mam dla was zadanie. — Sięgnął po notatnik Hawes i otworzywszy go na czystej stroniczce, zapisał nazwisko i adres koleżanki Nancy, Gili Morgan. — Odwiedźcie ją i sprawdźcie, czy to się zgadza. Sievewright twierdzi, że owej nocy wracała do domu z Great Stuart Street. Jeśli rzeczywiście mieszka tam ktoś taki, weźcie ją na spytki.

Hawes spojrzała na adres.

— Myślisz, że Nancy kłamie?

— Miała trudności z przypomnieniem sobie szczegółów. Ale jeśli nawet to prawda, to pewnie zdążyła już uprzedzić swoją koleżankę.

— Zwykle potrafię wyczuć, kiedy ktoś próbuje mi sprzedać kit — oznajmił Tibbet.

— To dlatego, Colin, że z ciebie taki dobry gliniarz.

Tibbet lekko wypiął pierś do przodu, na co Hawes parsknęła śmiechem.

— Właśnie kupiłeś niezłą porcję kitu — powiedziała, wstając z krzesła. — Chodź, jedziemy. — Tibbet podążył za nią i dopiero w drzwiach zatrzymał się i spojrzał na Rebusa.

— Poradzisz sobie z tymi telefonami? — spytał z troską w głosie.

— Telefon dzwoni, ja podnoszę słuchawkę... Mniej więcej o to chodzi?

Hawes cofnęła się i pociągnęła go za rękę.

— Przy okazji — rzuciła w stronę Rebusa. — Jak ci się znudzi, możesz sobie obejrzeć telewizję. Mamy to wideo, o które prosiła Siobhan.

Rebus spojrzął na leżącą na biurku kasetę. Na etykiecie widniał tytuł *Question Time*.

— Może czegoś się dowiesz — usłyszał rzuconą od drzwi uwagę. Głos należał do Tibbeta, nie Hawes.

Rebus uśmiechnął się w duchu.

— Jeszcze zrobimy z ciebie człowieka, Colin — mruknął pod nosem, sięgając po kasetę.

Charlesa Riordana nie było w studiu. Recepcjonistka poinformowała ich, że szef spędza przedpołudnie w domu, i podała im adres w Joppa. Dojazd drogą wijącą się nad szarymi, spokojnymi wodami zatoki Firth of Forth zajął im piętnaście minut. W pewnej chwili Goodyear postukał w szybę okna.

— Widzi pani to schronisko dla zwierząt? — spytał. — Byłem tam kiedyś, żeby wziąć jakiegoś zwierzaka do domu. Nie mogłem się zdecydować... ale obiecałem sobie, że kiedyś jeszcze tam wrócę.

— Nigdy nie miałam żadnego zwierzaka. Mam dość kłopotów z sobą samą.

Parsknął śmiechem.

— A chłopaka?

— Znalazłoby się ze dwóch przez te wszystkie lata.

Znów się roześmiał.

— Miałem na myśli teraz.

Oderwała wzrok od drogi i spojrzała na niego przeciągle.

— Za mocno szarżujesz, Todd.

— To z nerwów.

— I dlatego zadajesz tyle pytań?

— Nie, wcale nie dlatego. Po prostu... po prostu się interesuję.

— Mną?

— Wszystkimi. — Zrobił przerwę. — Bo myślę, że znaleźliśmy się na ziemi w jakimś celu. A bez zadawania pytań nie da się zrozumieć w jakim.



- I twoim „celem” jest grzebanie w moim życiu uczuciowym? Zarumienił się i nerwowo odchrząknął.
- Złe mnie pani rozumiała.
- W kawiarni też coś wspominałeś o boskich zamiarach. Czy chcesz mi w ten sposób dać do zrozumienia, że jesteś człowiekiem religijnym?
- Jeśli o to chodzi, to tak, jestem religijny. Czy to coś złego?
- Skąd. Inspektor Rebus też był kiedyś religijny, a jakoś sobie z nim radziłam przez te wszystkie lata.
- Kiedyś?
- W tym sensie, że kiedyś chodził do kościoła... — Zamilkła i zamyśliła się. — Tak naprawdę, to chodził do wielu kościołów — dodała po chwili. — Co tydzień do innego.
- Szukał czegoś i nie mógł znaleźć — domyślił się Goodyear.
- Jakby się dowiedział, że ci powiedziałam, to pewnie by mnie zabił — ostrzegła go.
- Ale pani, pani sierżant, nie jest osobą religijną?
- Boże, skąd — odparła ze śmiechem. — W tej robocie trudno być religijną.
- Tak pani myśli?
- Te wszystkie brudy, w których musimy się babrać... ludzie, którym odbiło i którzy krzywdzą siebie i innych. — A czy nie mówi się, że Bóg nas stworzył na swój obraz i podobieństwo?
- To temat, o którym moglibyśmy dyskutować do wieczora.
- No to teraz ja zapytam: masz dziewczynę?
- Skinał głową.
- Ma na imię Sonia i pracuje jako technik od oględzin miejsc przestępstw.
- I co robiliście przez weekend, poza wizytą w kościele?
- W sobotę umówiła się na babskie spotkanie, więc nie mieliśmy dużo czasu dla siebie. Sonia nie chodzi do kościoła...
- A co u brata?
- Chyba dobrze.
- Czy to znaczy, że nie wiesz?
- Wyszedł już ze szpitala.
- Ze szpitala? Myślałam, że chodziło o zwykłą bójkę.
- Użyto noża...

— On czy ten drugi?

— Ten drugi, stąd u Sola szwy.

Clarke się zamyśliła.

— Mówiłeś, że kiedy dziadek trafił do więzienia, twoi rodzice się rozstali...

Goodyear oparł się plecami o fotel.

— Mama zaczęła się faszerować lekarstwami. Wkrótce potem tata odszedł i zaczął jeszcze ostrzej pić. Zdarzało się, że natykałem się na niego pod sklepem, a on mnie nawet nie poznawał.

— Dla dzieciaka to musiało być straszne.

— Sol i ja mieszkaliśmy głównie u ciotki Susan, siostry mamy. Właściwie nie było u niej dość miejsca, ale nigdy się nie skarżyła. To z nią zacząłem chodzić w niedziele do kościoła. Czasem była tak zmęczona, że usypiała w ławce. Zawsze miała przy sobie torebkę z cukierkami i pamiętam, jak raz zsunęła jej się z kolan i cukierki potoczyły się po kościelnej posadzce. — Uśmiechnął się do wspomnienia. — I właściwie to tyle.

— I dobrze, bo właśnie dojeżdżamy. — Jechali po Portobello High Street, na której po raz pierwszy, odkąd Clarke pamiętała nie prowadzono żadnych robót drogowych. Dwie minuty później skręcili z Joppa Road i wjechali w uliczkę zabudowaną szeregowymi segmentami z epoki wiktoriańskiej.

— Tam, numer osiemnaście — powiedział Goodyear, który jako pierwszy go wypatrzył. Na ulicy było mnóstwo wolnych miejsc do zaparkowania. Mieszkańcy pewnie dojeżdżają samochodami do pracy, pomyślała Clarke. Zaciągnęła ręczny hamulec i zgasiła silnik. Goodyear zdążył już wysiąść i ruszyć ścieżką do wejścia.

— Najbardziej mi teraz potrzebny jakiś pieprznięty dewot... — mruknęła Siobhan pod nosem, odpinając pas, ale od razu uzmysłowiła sobie, że naprawdę wcale tak nie myśli. Nie miała też wątpliwości, skąd u niej takie słowa, a przynajmniej kto jest ich emocjonalnym źródłem.

John Rebus.

Dogoniła Goodyeara w chwili, gdy w otwartych drzwiach stał już Charles Riordan. Wyraźnie zaskoczył go widok policyjnego munduru, poznał jednak Clarke i bez słowa wpuścił oboje do środka.

Przedpokój był zabudowany półkami na książki, jednak żadna nie służyła do dźwigania literatury. Każdy centymetr powierzchni wypełniony był staromodnymi szpulami taśm i pudłami kaset.

— Wchodźcie, jeśli uda wam się precyzyjnie — powiedział Riordan. Poprowadził ich do pomieszczenia, które kiedyś musiało służyć jako główny pokój dzienny, a które Riordan przerobił na studio nagraniowe. Ściany wyłożone były akustycznymi zastawkami, na środku stał stół mikserski, wszędzie leżały sterty kaset, minidysków i szpul z taśmą magnetofonową. Po podłodze wiły się kable, w różnych miejscach widać było przykurzone mikrofony. Zdawało się, że kotary zasłaniające jedyne okno mają centymetrową grubość.

— Królestwo Riordana — oświadczył z dumą Charles Riordan.

— Wnoszę z tego, że nie jest pan żonaty — powiedziała Clarke.

— Byłem, ale żona nie umiała się z tym pogodzić.

— Ma pan na myśli tę całą maszynię?

Riordan potrząsnął głową.

— Lubię nagrywać. Wszystko — dodał z naciskiem. — A ją po jakimś czasie zaczęło to męczyć. — Wsadził ręce do kieszeni. — Czym mogę służyć władzy tym razem?

Clarke rozejrzała się po pomieszczeniu.

— Czy w tej chwili też jesteśmy nagrywani?

Riordan zachichotał i zamiast odpowiedzi pokazał ręką smukły czarny mikrofon.

— A wtedy, podczas wizyty w pańskim studiu?

— Użyłem DAT-a. — Kiwnął twierdząco głową. — Choć obecnie częściej stosuję technikę cyfrową.

— Zdawało mi się, że DAT oznacza technikę cyfrową — zdziwił się Goodyear.

— Ale w odniesieniu do taśmy. A ja mówię o nagrywaniu wprost na twarde dyski.

— Zechce pan to wyłączyć? — poprosiła Clarke. Powiedziała to jednak tonem niepozostawiającym wątpliwości, że pod prośbą kryje się kategoryczne polecenie. Riordan wzruszył ramionami i przełączył coś na stole mikserskim.

— Jeszcze jakieś pytania w sprawie Aleksandra?

— Jeszcze kilka.  
— Dostała pani kompakt?  
— Tak, dziękuję. — Clarke kiwnęła głową  
— Umiał to świetnie odegrać, prawda?  
— Umiał — potwierdziła. — Ale chciałabym pana popytać jeszcze o ten wieczór, kiedy zginął.  
— Tak?  
— Mówił pan, że rozstaliście się zaraz po kolacji. Pan ruszył do domu, Todorow poszedł się jeszcze napić.  
— Tak było.  
— I powiedział pan, że mógł pójść albo do Mather's, albo do hotelu Caledonian. Dlaczego akurat do tych dwóch, panie Riordan? Riordan wzruszył ramionami.  
— Bo oba były po drodze.  
— Oraz kilkanaście innych — powiedziała z naciskiem.  
— Nie wiem, może coś wspomniał na ten temat.  
— Nie pamięta pan?  
— A to ma jakieś znaczenie?  
— Może mieć. — Clarke zerknęła na Goodyeara, który wyraźnie wczuł się w rolę. Stał na lekko rozstawionych nogach, ramiona miał cofnięte, ręce złożone na piersi... i milczał. Wyglądał bardzo urzędowo i Clarke była niemal pewna, że Riordan nie zwróci uwagi na jego lekko odstające uszy, krzywe zęby czy białe rzęsy... natomiast na pewno zapamięta policyjny mundur, który w takiej sytuacji dodaje powagi.  
Riordan w zamyśleniu potarł brodę.  
— Cóż, pewnie musiał coś powiedzieć — przyznał w końcu.  
— Ale nie tego ostatniego wieczoru? — Przygwożdżony jej badawczym spojrzeniem, Riordan przecząco pokręcił głową. — Czyli nie był wtedy z nikim umówiony?  
— Jak to?  
— Bo po waszym rozstaniu Todorow poszedł prosto do baru w Caledonian i tam wdał się z kimś w rozmowę. Ciekawa jestem, czy często tak robił.  
— Aleksander lubił towarzystwo. Szczególnie takie, które stawało mu drinki, słuchało jego opowieści i dorzucało coś o sobie.

— Nigdy nie myślałam o Caledonian jako o miejscu do snucia towarzyskich opowieści.

— I tu się pani myli. Bary hotelowe są do tego idealne. Spotyka się zupełnie obcych ludzi i przez dwadzieścia czy trzydzieści minut wspólnego picia opowiada się całe życie. To wręcz niewiarygodne, co ludzie potrafią opowiadać nieznanym, których widzą pierwszy raz w życiu.

— Może właśnie dlatego — wtrącił Goodyear.

— Myślę, że pan policjant może mieć rację — powiedział Riordan.

— Ale skąd pan o tym wie, panie Riordan? — spytała Clarke. — Czy mam rozumieć, że potajemnie nagrywał pan w takich miejscach jak Caledonian?

— Wielokrotnie. A także w pociągach i autobusach. Ludzie chrapią albo mówią do siebie, albo snują plany obalenia rządu. Lumpy na parkowych ławkach i postowie na mównicach, łyżwiarze na lodowisku, goście na pikniku i kochasie dzwoniący do swoich kobiet. — Zwrócił twarz ku Goodyearowi. — Takie moje małe hobby.

— A kiedy to pańskie hobby przerodziło się w obsesję? — spytał grzecznie Goodyear. — Pewnie jeszcze zanim odeszła od pana żona.

Uśmiech zniknął z twarzy Riordana. Zdawszy sobie sprawę z tego, że przesadził, Goodyear zerknął niepewnie na Clarke. Nie patrząc na niego, wolno pokręciła głową.

— Są jeszcze jakieś pytania? — zapytał zimno Riordan.

— Nie przychodzi panu do głowy nikt, z kim Aleksander Todorow mógłby się spotkać na drinka w barze hotelowym? — Spróbowała jeszcze Clarke.

— Nie. — Riordan bez słowa ruszył ku wyjściu. Idąc za nim, Goodyear spojrział błagalnie na Clarke i bezgłośnie powiedział: „przepraszam”.

W samochodzie Clarke powiedziała mu, żeby się nie martwił.

— Myślę, że i tak wycisnęliśmy z niego tyle, ile było można.

— Mimo wszystko. Nie powinienem był się w ogóle odzywać.

— No to czegoś się nauczyłeś — uznała Clarke, przekręcając kluczyk w stacyjce.

— Co ten Grzeczny Jasio tu robi? — zapytał Rebus. Siedział na krześle odchyłony do tyłu, opierając nogi na biurku. W rękę trzymał pilota od magnetowidu, na którym wcisnął pauzę i zatrzymał obraz na ekranie.

— Oddelegowano go z Torphichen — oświadczyła Clarke. Rebus obrzucił ją pytającym spojrzeniem, ale ona udała, że tego nie widzi, i nie podniosła głowy. Todd Goodyear podszedł z wyciągniętą ręką, ale Rebus tylko na nią popatrzył i nie podał swojej. Ręka Goodyeara opadła, Clarke głośno westchnęła i nastąpiła chwila milczenia.

— Oglądasz coś ciekawego? — spytała w końcu.

— To wideo, o które prosiłaś. — Powiedział to zwyczajnym tonem, jakby sprawy z młodym człowiekiem w ogóle nie było. — Chodź i zobacz. — Ponownie włączył taśmę i jednocześnie mocno ściszył dźwięk. Zaproszeni politycy i eksperci odpowiadali na pytania zadawane przez inteligentnie wyglądającą publiczność. Wielkie litery na podłodze układały się w napis „Edynburg”.

— Program nagrywano w sali The Hub — wyjaśnił Rebus. — Byłem tam kiedyś na koncercie jazzowym i od razu to poznałem.

— Lubi pan jazz? — zapytał Goodyear.

— Widzisz to co ja? — odezwał się Rebus do Clarke, ignorując pytanie Todda.

— Megan Macfarlane.

— Ciekawe, że nic o tym nie wspomniała — zastanowił się Rebus.

Przedstawiając uczestników, prowadzący nazwał ją obecnym numerem dwa i potencjalnym numerem jeden w SNP [SNP — Scottish National Party (Szkocka Partia Narodowa)], który po wycofaniu się obecnego lidera zajmie jego miejsce. A to, dodał, czyni z niej „kandydatkę na stanowisko prezydenta niepodległego państwa szkockiego”.

— A reszta dyskutantów?

— Laburzyści, torysi i liberalni demokraci.

— Oraz Todorow. — Poeta siedział przy półokrągłym stole tuż obok prowadzącego, sprawiał wrażenie rozluźnionego i gryzmołił coś długopisem na kartce. — Jak on sobie radzi?

— W każdym razie wie o polityce więcej ode mnie — przyznał Rebus. — I zdaje się, że ma swoje zdanie w każdej sprawie.

Goodyear splótł ręce na piersi i z uwagą wpatrywał się w ekran. Rebus znów spojrzał na Clarke i tym razem udało mu się przyciągnąć jej wzrok. Wzruszyła ramionami i lekko, jakby ostrzegawczo zmrużyła powieki. Rebus odwrócił wzrok i spojrzał na Goodyeara.

— Wiesz, że przyczyniłem się do posadzenia twojego dziadka?

— To stare dzieje.

— Może i stare, ale jeśli ma to mieć jakieś znaczenie, najlepiej powiedz mi to od razu.

— To nie ma żadnego znaczenia. — Goodyear nie odrywał wzroku od ekranu. — O co chodzi z tą Macfarlane?

— Jest posłanką do parlamentu z ramienia szkockich nacjonalistów — wyjaśniła Clarke. — Zależy jej, żeby zbytnio nie rozgrzebywać sprawy Todorowa.

— Z powodu tych rosyjskich bogaczy, którzy do nas zjechali?

— Goodyear dostrzegł, że jego uwaga zrobiła na Clarke wrażenie.

— Czytam gazety — dodał tonem wyjaśnienia. — Czyli Macfarlane z wami rozmawiała, ale zapomniała dodać, że zna ofiarę.

— Coś w tym rodzaju — powiedział Rebus. Jego zainteresowanie młodym policjantem zaczynało rosnąć.

— Cóż, jest politykiem. Najbardziej na świecie chce uniknąć negatywnego PR, a wmieszanie kogoś w śledztwo w sprawie morderstwa pewnie tym grozi.

Goodyear wzruszył ramionami, jakby dając do zrozumienia, że zakończył swój wywód.

Audycja dobiegała końca i żegnając się, prowadzący poinformował, że następny program zostanie nadany z Hull. Rebus wyłączył magnetowid i się przeciągnął.

— A tak w ogóle to gdzie was zaniósło? — spytał.

— Byliśmy u Riordana — odparła Clarke i pokrótce zrelacjonowała spotkanie. W połowie jej opowieści zjawili się Hawes i Tibbet i Clarke przerwała, by przedstawić im Goodyeara. Hawes przyniosła kupione po drodze ciastka — po jednym dla każdego — i przeprosiła Goodyeara, że dla niego zabraknie.

— Nie szkodzi, nie jestem amatorem słodczy — uspokoił ją, potrząsając głową.

Tibbet, który przed przejściem do wydziału śledczego spędził kilka miesięcy w służbie mundurowej w Torphichen, zaczął wypytywać Goodyeara o starych kolegów, Rebus zajął się kruchym ciastkiem z kremem karmelowym, Clarke poszła nastawić czajnik, sprawdzając po drodze, czy na horyzoncie nie ma inspektora Macrae.

— Jest na zebraniu w centrali — wyjaśnił Rebus, gdy postawiła przed nim parujący kubek, po czym ściszym głosem dodał: — Uzgodniłaś z nim tego kowboja?

— Jeszcze nie. — Rzuciła spojrzenie w głąb sali, gdzie Goodyear zdawał się pogrążony w przyjaznej pogawędce z Hawes i Tibbetem. Raz i drugi udało mu się nawet wywołać u nich wybuch śmiechu.

— Włączasz policjanta do śledztwa w sprawie morderstwa? — szepnęła Rebus. — Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

— Inspektor Macrae powierzył to śledztwo mnie.

— A to oznacza, że odpowiadasz głową za wszelkie możliwe wypadki.

— Dzięki za przypomnienie.

— Jak dużo o nim wiesz?

— Wiem, że jest młody i chętny, i że zbyt długo musiał znosić okropnego partnera.

— Mam nadzieję, sierżant Clarke, że nie doszukujecie się w tym żadnych paraleli — powiedział Rebus, siorbiąc z kubka.



— Boże uchwaj, inspektorze Rebus. — Znów zerknęła na Goodyeara. — Robię mu tylko sprawdzian, nic więcej. Parę dni i wróci na West End. A poza tym Macrae chciał, żeby trochę powiększyć ekipę...

Rebus wolno pokiwał głową. Zwłóknął się z krzesła, podszedł do rozmawiających i położył rękę na ramieniu Goodyeara.

— To ty spisałeś zeznanie Nancy Sievewright, tak? — Goodyear przytaknął. — Czy kiedy ci powiedziała, że tylko tamtędy przechodziła, coś cię w tym zastanowiło?

Młodzieniec zamyślił się, w skupieniu przygryzając sobie dolną wargę.

— Chyba nie — powiedział w końcu niepewnie.

— Nie ma chyba. Tak albo nie.

— Wobec tego: nie.

Rebus kiwnął głową i odwrócił się do Hawes i Tibbeta.

— Jak wam poszło na Great Stuart Street?

— Gili Morgan rzeczywiście tam mieszka i rzeczywiście zna Nancy Sievewright.

Rebus spojrzął na Hawes.

— Ale?

— Ale odnieśliśmy wrażenie — wtrącił szybko Tibbet, nie pozwalając się ubiec — jakby powtarzała coś, co ktoś jej kazał mówić.

— A detektyw Tibbet umie rozpoznać — zwrócił się Rebus do Goodyeara — kiedy ktoś wciska mu kit... Czyli co z tego wynika?

Goodyear znowu przygryzł wargę.

— Powiedziała koleżance, że ma ją kryć, bo tamtego wieczoru nas okłamała.

— Ciebie okłamała — poprawił go Rebus — a ty się nawet nie zorientowałeś. — Wyglądało na to, że detektyw osiągnął swój cel, bo odwrócił się i skierował całą uwagę na Hawes i Tibbeta. — Jaka jest ta Morgan?

— Mieszka w ładnym mieszkaniu... i chyba z nikim go nie dzieli.

— Na drzwiach jest tylko jej nazwisko — dodał Tibbet.

— Pracuje jako modelka, w każdym razie tak mówi. Ale dziś nie miała żadnych zajęć. Coś mi się zdaje, że jest na utrzymaniu mamusi i tatusia.

— Czyli zupełnie inna liga niż Nancy Sievewright — zauważył Rebus, a gdy Hawes potwierdziła ruchem głowy, dodał: — To skąd one się znają?

Hawes i Tibbet zamilkli, wyraźnie zmieszani. Rebus cmoknął jak nauczyciel, którego zawodzi ulubiony prymus.

— Myślę, że się po prostu znają towarzysko — pośpiesznie rzucił Tibbet.

Rebus zmierzył go wzrokiem.

— Chcesz powiedzieć, że bywają na tych samych regatach?

Hawes uznała, że powinna przyjść partnerowi z pomocą.

— Nie jest z niej aż taka persona.

— Chciałem to tylko uwypuklić, Phyl — mruknął Rebus.

— Może powinniśmy ją tu wezwać — odezwała się Clarke.

— Ty decydujesz, Shiv — przypomniał jej Rebus. — To tobie Macrae powierzył to śledztwo.

Dla Hawes i Tibbeta była to nowość, podobnie zresztą jak — sądząc po reakcji — dla Goodyeara, który wlepił wzrok w Rebusa, nie pojmując, jak inspektor może podlegać sierżantowi. Zapadła cisza i przerwał ją dopiero dzwonek telefonu. Rebus, jako stojący najbliżej, podniósł słuchawkę.

— Grupa dochodzeniowa Todorowa, inspektor Rebus przy telefonie.

— Och... halo... — Męski głos lekko drżał. — Dzwoniłem już wcześniej...

Rebus spojrzął na Hawes.

— W sprawie tej kobiety, proszę pana? Cieszymy się, że zechciał pan zadzwonić ponownie.

— Tak, no więc...

— Więc czym możemy panu służyć, panie...?

— Muszę podawać nazwisko?

— Możemy tę rozmowę potraktować ściśle poufnie, ale nazwisko by się przydało.

— Ale co to znaczy „poufnie”...?

Znaczy, żebyś to wreszcie wydusił z siebie! Rebus miał ochotę wrzasnąć do słuchawki, ale powstrzymał się, a jego ton pozostał spokojny i przyjazny. Miał w pamięci zdanie, które ktoś mu kiedyś powiedział: „Najważniejsza jest szczerść”. Jeśli potrafisz udawać szczerść, jesteś królem.

— No dobrze, niech będzie — powiedział w końcu mężczyzna.  
— Nazywam się... — Głos znów mu zadrżał. — Może mi pan mówić George.

— Dziękuję panu, George.

— George Gaverill.

— George Gaverill — powtórzył Rebus głośno, patrząc, jak Hawes zapisuje nazwisko w notatniku. — A więc co chce pan nam powiedzieć, George? Koleżanka wspomniała o jakiejś kobiecie...

— Tak.

— I dzwoni pan, bo przeczytał pan naszą ulotkę na parkingu?

— Waszą planszę przed parkingiem — poprawił go mężczyzna.

— To na pewno nic ważnego. No bo widziałem w telewizji... tego biedaka napadnięto, prawda? Więc ona nie mogłaby czegoś takiego zrobić.

— Zapewne ma pan rację, ale z reguły staramy się zebrać możliwie najwięcej informacji. Pomaga nam to zbudować w miarę kompletny obraz. — Rebus skrzywił się i wywrócił oczami. Clarke pokręciła palcem w kółko, co miało oznaczać: „nie pozwól, żeby przestał”.

— Bo ja bym nie chciał, żeby żona sobie pomyślała, że było w tym coś więcej, niż było — wymamrotał Gaverill.

— Ależ oczywiście, proszę pana. A więc ta kobieta...?

— Więc tego wieczoru, kiedy zamordowali tego nieszczęśnika... — Głos ucichł i Rebus pomyślał nawet, że połączenie znów zostało przerwane. Potem jednak usłyszał świszczący oddech w słuchawce. — Szedłem po King's Stables Road...

— Która wtedy była godzina?

— Dziesiąta... może piętnaście po.

— I widział pan tam jakąś kobietę?

— Tak.

— Słucham pana z uwagą. — Rebus znów wywrócił oczami.

— Zaczepiła mnie.

Tym razem Rebusa na chwilę zatkało.

— Chce pan powiedzieć, że...

— To, co powiedziałem. Zaproponowała mi seks, choć użyła bardziej dosadnego określenia.

— I było to na samej King's Stables Road?

- Tak.
- Gdzieś koło parkingu?
- Przed budynkiem parkingu, tak.
- prostytutka?
- Pewnie tak. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie, przynajmniej mnie.
- I co pan jej powiedział?
- Oczywiście odmówiłem.
- I działa się to koło dziesiątej albo kwadrans po dziesiątej, tak?
- Coś koło tego.

Rebus wzruszył ramionami na znak, że nie bardzo wie, co o tym myśleć. Chciałby uzyskać rysopis tej kobiety, ale łatwiej byłoby to zrobić w bezpośredniej rozmowie. Poza tym po oczach rozmówcy mógłby poznać, czy nie ma do czynienia z kolejnym świrem.

— Czy udałoby mi się przekonać pana — zaczął ostrożnie — do odwiedzenia nas w komisariacie? Chciałbym wyraźnie podkreślić, że pańskie informacje mogą się okazać kluczowe dla naszego śledztwa.

— Naprawdę? — Gaverill lekko się ożywił, ale zaraz znów przygasł. — Ale moja żona... W żadnym razie nie mógłbym...

— Na pewno wymyśli pan dla niej jakąś wymówkę.

— Dlaczego pan tak mówi? — Mężczyzna wyraźnie się nastroszył.

— Pomyślałem tylko, że... — Rebus nie zdążył dokończyć zdania, bo połączenie zostało przerwane. Zaklął pod nosem i odłożył słuchawkę. — Gdyby to był film, to ktoś by się teraz zajął namierzeniem numeru, z którego dzwoniło — mruknął ze złością.

— Nigdy nie słyszałam o tym, żeby jakieś pracownice seksualne działały w tym rejonie czy gdzieś w pobliżu. — W głosie Clarke było powątpiewanie.

— Ale to, co powiedział, zabrzmiało autentycznie — zaproponował Rebus.

— Myślisz, że Gaverill to jego prawdziwe nazwisko?

— Jestem gotów się założyć.

— No to poszukajmy go w książce telefonicznej. — Clarke spojrzała na Hawes i Tibbeta. — Do dzieła.

Przystąpili zatem do działania, Rebus zaś pozostał na miejscu, postukując palcem w telefon, jakby chciał go nakłonić do ponownego zadzwonienia. Chwilę potem istotnie zadzwonił i Rebus szarpnął słuchawkę.

— Nie powinienem był się tak zachować — powiedział Gaverill. — To było niegrzeczne.

— Wcale się nie dziwię, że zachowuje pan ostrożność — uspokoił go Rebus. — Mieliśmy tylko nadzieję, że jeszcze pan do nas zadzwoni. W takiej sprawie jak ta człowiek desperacko rozgląda się za jakimś punktem zaczepienia.

— Ale to nie była żadna bandytka ani ktoś taki.

— Ale mogła coś zauważyć. Według nas ofiarę napadnięto tuż przed jedenastą. Jeśli więc ta dziewczyna jeszcze się tam wtedy kręciła...

— Tak, rozumiem, do czego pan zmierza.

Hawes i Tibbet wypełnili zadanie i podsunęli Rebusowi pod nos kartkę z numerem telefonu i adresem George'a Gaverilla.

— Coś panu zaproponuję — powiedział Rebus do słuchawki.

— Ta rozmowa musi kosztować majątek. Lepiej będzie, jak odzwoimy do pana. Jest pan pod numerem zaczynającym się od dwieście dwadzieścia dziewięć?

— Tak, ale nie chcę... — Reszta zdania utonęła w jego gardłowym charkocie.

— No więc tak — oświadczył Rebus znacznie ostrzejszym tonem — albo przesłuchamy pana w domu, panie Gaverill, albo przyjedzie pan do nas na Gayfield Square. Co pan woli?

Głosem skarconego dziecka Gaverill poprosił, żeby mu dali pół godziny na dojazd.



Przed przyjazdem Gaverilla zjawiała się jeszcze trójka innych gości. Pierwsi przyjechali Andersonowie, ale ledwie Hawes i Tibbet zdążyli ich wprowadzić do pokoju przesłuchań, stawiała się też Nancy Sievewright. Rebus poprosił dyżurnego, żeby ją zaprowadził do jednego z pozostałych pokoi — „ale nie do PP trzy” — i poczęstował herbatą.

— Nie chcę, żeby się spotkała z Andersonem — wyjaśnił Clarke.

— Zresztą i tak musimy porozmawiać z Andersonem. Ciekawe, jak zareaguje na słowa Nancy.

— Już mu je przekazałem — przyznał Rebus. Spojrzała na niego z wyrzutem, ale on wzruszył tylko ramionami. — Akurat byłem dziś rano w tamtej okolicy, więc pomyślałem, że skorzystam z okazji.

— I co ci powiedział?

— Że się o nią martwił. I że dostał jej nazwisko i adres od... — Spojrzał na Goodyeara. — Chyba nie od ciebie, co?

— Pewnie od Dysona — powiedział Goodyear.

— Tak też pomyślałem. W każdym razie ostrzegłem go. — Przez chwilę się zastanawiał, potem spytał Clarke, czy chce wziąć ze sobą Goodyeara i formalnie przesłuchać Nancy Sievewright.

— W ramach ćwiczeń poglądowych — dodał.

— Zdaje się, John, że o czymś zapominasz. Teraz ja tu dowodzę.

— Chciałem ci tylko pomóc. — Rebus rozłożył ręce w geście dotkniętej niewinności.

— Dzięki, ale wolę posłuchać tego, co nam powie Gaverill.

— Odnoszę wrażenie, że łatwo go spłoszyć. Mnie już ufa, ale jak się znajdzie twarzą w twarz z trojgiem... — Pokręcił głową. — Nie chciałbym, żeby się znowu w sobie zamknął.

— Poczekamy, zobaczymy — ucięła Clarke.

Rebus raz jeszcze wzruszył ramionami i podszedł do okna.

— Czy w tym czasie chcesz poznać moją teorię? — zapytał.

— Na jaki temat?

— Dlaczego tak się boi, żeby żona się nie dowiedziała?

— Bo mogłaby pomyśleć — wtrącił Goodyear — że skorzystał z oferty.

Rebus potrząsnął głową.

— Wręcz przeciwnie, młody człowieku. A może sierżant Clarke chciałaby spróbować szczęścia?

— Lepiej już oświeć nas swoją mądrością — powiedziała Clarke, składając ręce na piersiach.

— Co jeszcze jest na King's Stables Road?

— Skała Zamkowa — rzucił Goodyear.

— I co jeszcze?

— Cmentarz — dodała Clarke.

— Otóż to. A w narożniku cmentarza stoi stara wieża strażnicza. Dawniej służyła do pilnowania grobów przed złodziejami zwłok i nawiasem mówiąc, nie byłoby źle, gdyby znów zaczęto z niej korzystać. Ponure miejsce w nocy, ten cmentarz... — Odczekał, by jego słowa zawisły w powietrzu.

— Gaverill jest gejem, a żona nic o tym nie wie — domyśliła się Clarke.

Rebus w milczeniu wzruszył ramionami, ale wyglądał na uradowanego tym, że doszła do takiego samego wniosku.

— Czyli skorzystanie z oferty tej kobiety w ogóle nie wchodziło w rachubę — zadumał się Goodyear.

W tym momencie zadzwonił telefon. Dzwoniono z dyżurki z informacją, że na dole czeka George Gaverill.

Ustalili wcześniej, że wezmą go na górę do pomieszczeń wydziału śledczego, co go powinno lepiej usposobić niż rozmowa w pokoju przesłuchań. Rebus zszedł na dół, uściśnił gościowi dłoń i poprowadził w głąb korytarza. Zatrzymał się obok PP2 i poprosił Gaverilla, żeby zajrzał przez judasza do środka.

— Widzi pan tę młodą kobietę? — spytał cicho.

— Widzę — odparł również cicho Gaverill.

— To ona?

Gaverill oderwał wzrok i spojrzał na Rebusa.

— Nie — oświadczył zdecydowanie. Rebus przyjrzał się swemu gościowi. Gaverill miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, mysiobrzowe włosy i bladą kościstą twarz ze śladami skórnych wyprysków. Wyglądał na trochę po czterdziestce i Rebus pomyślał, że ślady zostały mu jeszcze po młodzieńczym trądziku.

— Na pewno? — spytał.

— Prawie na pewno. Tamta kobieta była wyższa. I nie taka młoda i chuda jak ta.

Wrócili tą samą drogą do holu i weszli schodami na górę. Clarke spojrzała pytająco na Rebusa, a ten pokręcił głową — nic z tego. Skrzywiła się i bez słowa pokazała mu najświeższe wydanie „Evening News”. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Litwinienki, który leżał na łóżku opleciony przewodami szpitalnej aparatury. Trucizna spowodowała, że zupełnie wyłysiał.

- Zbieg okoliczności — mruknął Rebus.  
Clarke przedstawiła się Gaverillowi.  
— Jestem ogromnie wdzięczna, że zechciał pan nas odwiedzić — powiedziała.  
Goodyear wisiał na telefonie, rozmawiając z kimś, kto właśnie zadzwonił na gorącą linię. Siedział nad otwartym notesem i robił notatki, ale nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Clarke poprosiła Gaverilla, aby usiadł.  
— Czy możemy zaproponować panu coś do picia?  
— Chciałbym jak najszybciej załatwić tę sprawę.  
— To przejdźmy od razu do rzeczy — włączył się Rebus. — Zechce pan nam opowiedzieć wszystko, co się wtedy wydarzyło.  
— Jak już mówiłem, inspektorze, mniej więcej piętnaście po dziesiątej przechodziłem King's Stables Road i natknąłem się na tę kobietę. Kręciła się w pobliżu wyjazdu z parkingu i w pierwszej chwili pomyślałem nawet, że na kogoś czeka. Ale kiedy się z nią zrównałem, zaczęła mnie.  
— I co dokładnie powiedziała?  
— Spytała, czy chcę sobie... — Gaverill głośno przełknął ślinę, a jabłko Adama aż mu zatańczyło.  
— Popierdolić?  
— Dokładnie tak powiedziała — potwierdził Gaverill.  
— Wymieniła jakąś cenę?  
— Powiedziała, że... chyba „bez żadnych zobowiązań”, coś w tym rodzaju. Żadnych zobowiązań, żadnych powrotów. Powiedziała, że chce tylko... — Nadal nie mógł się zdobyć, by powiedzieć to na głos.  
— I miało się to odbyć tam, na ulicy? — spytał Rebus z niedowierzaniem.  
— Nie wiem, może na parkingu...  
— Tak powiedziała?  
— Naprawdę nie pamiętam. Od razu ruszyłem przed siebie. Jeśli mam być szczerzy, byłem trochę zszokowany.  
— Nie dziwię się — wtrąciła współczująco Clarke. — Co za okropna przygoda. Może pan nam opisać tę kobietę?  
— No cóż, była... nie jestem zupełnie pewien, ale chyba tego wzrostu co ja... trochę starsza od tej dziewczyny na dole, chociaż nie jestem za dobry w ocenianiu wieku... znaczy, wieku kobiet.



— Była mocno umalowana?

— Trochę umalowana... i pachniała perfumami, ale nie umiem powiedzieć jakimi.

— Czy pańskim zdaniem wyglądała na prostytutkę? — spytał Rebus.

— Nie na taką, jakie pokazują w telewizji. Nie była ubrana wyzywająco. Miała na sobie płaszcz z kapturem. Nie zapominajcie, że był zimny wieczór.

— Płaszcz z kapturem?

— Coś w rodzaju budrysówki... tylko że trochę dłuższy... Ale nie jestem pewien. — Zachichotał nerwowo. — Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocny.

— Dobrze panu idzie — zapewnił go Rebus.

— Lepiej niż dobrze — dodała Clarke.

— Jeśli mam być szczery — ciągnął Gaverill — to kiedy to sobie później odtwarzałem w pamięci, doszedłem do wniosku, że chyba była lekko walnięta. Pamiętam, jak kiedyś na stopniach kościoła koło Bruntsfield Links widziałem kobietę z rozłożonymi w górze nogami i zadartą do pasa spódnicą. Okazało się, że uciekła z Królewskiego Zakładu... — Uznał widać, że potrzebne jest jakieś wytłumaczenie. — Tego, w którym trzymają...

— Psychiczenie chorych — dokończyła Clarke, kiwając głową.

— Byłem wtedy jeszcze smarkaczem, ale wciąż to pamiętam.

— Takich rzeczy się nie zapomina — potwierdził Rebus. — Aż dziw, że nie zniechęciło to pana raz na zawsze do kobiet. — Zachichotał lekko na znak, że to tylko żart, ale Clarke i tak rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie: uważaj!

— Moja Irene to niezwykła kobieta, panie inspektorze.

— Nie wątpię. Długo jesteście małżeństwem?

— Dziewiętnaście lat. Była moją pierwszą prawdziwą dziewczyną.

Pewnie pierwszą i ostatnią, domyślił się Rebus.

— Czy zechciałby pan wyświadczyć nam jeszcze jedną przysługę? — wtrąciła szybko Clarke. — Chciałabym prosić, żeby pomógł pan naszemu specjalście w sporządzeniu portretu pamięciowego twarzy tej kobiety. Moglibyśmy to zrobić?

— Zaraz, teraz? — Gaverill spojrział na zegarek.

— Im wcześniej, tym lepiej, bo pamięć jest jeszcze świeża. Możemy sprowadzić specjalistę w ciągu dziesięciu, piętnastu minut... — Naprawdę znaczyło to co najmniej pół godziny.

— Zapomniałem pana spytać — odezwał się Rebus. — Czym się pan zajmuje zawodowo?

— Aukcjami — odparł Gaverill. — Wyszukuję przedmioty i sprzedaję na aukcjach.

— Czyli ma pan elastyczny czas pracy — rzekł Rebus. — Zawsze może pan wytłumaczyć Irene, że był pan z partnerem.

Clarke chrząknęła ostrzegawczo, ale Gaverill nie wyczuł żadnego podtekstu.

— Dziesięć minut? — upewnił się.

— Dziesięć, piętnaście...



Na lunch zjedli kanapki przy biurkach. Wystąpi po nie Goodyeara, którego Rebus zapewnił, że to też należy do programu zdobywania doświadczeń. Roger i Elizabeth Andersonowie oraz Nancy Sievewright zostali już zwolnieni do domu, a Hawes i Tibbet nie wydobyli z nich niczego nowego. Rebus siedział przed ekranem, wpatrzony w komputerowy obraz kobiecej twarzy. W trakcie sporządzania portretu pamięciowego Gaverill upierał się, że z powodu panujących ciemności i nisko opuszczonego kaptura znaczna część twarzy kobiety była niewidoczna.

— Nie kojarzy się z nikim nam znanym — nie po raz pierwszy stwierdziła Clarke. Naburmuszony Gaverill opuścił ich dopiero przed chwilą, jako że sporządzenie portretu pamięciowego z użyciem laptopa, drukarki i specjalnego oprogramowania zajęło specjalistę prawie godzinę.

— Albo z każdym — dopowiedział Rebus. — Ale przyjmijmy, że kimkolwiek jest, naprawdę tam była.

— Kupujesz tę opowieść Gaverilla?

— Chcesz powiedzieć, że ty nie?

— Mnie się wydał autentyczny — wtrącił Goodyear. — Na tyle, na ile mogłem się zorientować — dodał szybko.

Rebus prychnął, wyrzucił ostatni kęs bułki do kosza na śmieci i strząsnął okruchy z koszuli.

— Czyli co? — spytała Hawes. — Mamy do czynienia z kobietą, która próbuje wabić mężczyzn na parking, żeby tam uprawiać z

nimi szybki, bezosobowy seks? — zawiesiła głos. \_\_\_\_\_

Rozumiem, że Siobhan nie chce tego kupić.

— Nieczęsto się to zdarza — potwierdziła Clarke. — Chyba że nasi panowie mają inne doświadczenia.

Rebus spojrział na Tibbeta, Tibbet na Goodyeara, ale żaden się nie odezwał.

— Czyli po prostu dziwka — powiedział w końcu Tibbet.

— Pracownica seksualna — poprawił go Rebus.

— Ale Andersonowie i Nancy Sievewright tamtędy przechodzili i żadne nie zauważyło kobiety w kapturze.

— Co nie znaczy, że jej tam nie było — zauważył Rebus.

— Istnieje na to specjalny termin, prawda? — wtrącił Goodyear. — Kiedy kobieta wrabia mężczyznę, używając do tego...

— Miodowa pułapka — przerwał mu Rebus. — Czyli co, wracamy do wersji napadu rabunkowego, tak? Muszę powiedzieć, że nie słyszałem o takiej metodzie działania rabusiów, w każdym razie nie w Edynburgu. Poza tym jest jeszcze jedna sprawa. Laboratorium twierdzi, że Todorow w dniu śmierci uprawiał seks.

W pomieszczeniu zapadła cisza, bo wszyscy zadumali się nad możliwymi wersjami. Clarke oparła łokcie o biurko i przez chwilę siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. W końcu podniosła głowę.

— Czy komuś przychodzi do głowy coś, co ma mnie powstrzymać od sformułowania oczywistego wniosku i przekazania go inspektorowi Macrae? Ofiarę pobito, obrabowano i porzucono w przeświadczeniu, że nie żyje. — Wskazała głową portret pamięciowy na ekranie. — A tak wygląda nasza jedyna podejrzana.

— Macrae powiedział, że daje nam jeszcze parę dni na rozejście się — wtrącił Rebus. — No to je wykorzystajmy.

— I gdzie dokładnie zaczniemy się rozglądać?

Rebus przez chwilę próbował wymyślić jakąś odpowiedź, ale skapitulował. Wstał od biurka, kiwnął ręką na Clarke i skierował się do wyjścia. Z min Hawes i Tibbeta wynikało, że nie są tym zachwyceni. Rebus wyszedł na korytarz i stanąwszy przy schodach, poczekał na Clarke, która dołączyła do niego z rękami złożonymi na piersiach.

— Czy Phyl i Colin — zaczął — na pewno nie mają nic przeciwko temu, że w naszej drużynie pojawia się nagle jakiś Goodyear?

— O co ci chodzi?

— O to, że nie jest jednym z nas.

Przewierciła go spojrzeniem.

— Coś mi się zdaje, że to nie oni mają z tym problem. — Zrobiła przerwę. — Pamiętasz swój pierwszy dzień w wydziale śledczym?

— Ledwo, ledwo.

— Bo ja swój pamiętam tak, jakby to było wczoraj. I jak wszyscy wokół chichotali, że dostarczono „świeże mięso”. Wydali mi się wampirami. — Opuściła ręce i wsparła je o biodra. — John, Todd chce zasmakować pracy w śledczym.

— Wygląda mi na to, że w ciebie zdążył się już nawet wgryźć.

Uśmiech na jej twarzy przeszedł w grymas, ale skojarzenie z wampirami podsunęło mu nowy pomysł.

— Strzał może się okazać zupełnie niecelny — powiedział — ale parkingowi wspominali coś o szefowej, która ich tam odwiedza. Nazywali ją Babą-Jagą. Chcesz wiedzieć dlaczego?

— Słucham, proszę. Dlaczego? — Clarke nie była gotowa dać się tak łatwo ugłaskać.

— Bo zawsze chodzi w płaszczu z kapturem.

Gary Walsh siedział w parkingowej służbówce, w której jakąś godzinę wcześniej zastąpił Joe Willsa. Miał rozpiętą bluzę, był bez krawata i wyglądał na zrelaksowanego.

— Życ nie umierać w takiej pracy — rzucił Rebus, pukając w uchylone drzwi. Walsh zdjął nogi ze stołu, zsunął z uszu słuchawki i wyłączył odtwarzacz CD. — Czego pan słucha?

— Primal Scream.

— A co by było, gdyby zamiast mnie stał tu teraz ktoś z kierownictwa?

— Baba-Jaga jest jedyną osobą, która tu zagląda.

— Tak, już pan to mówił... Ktoś ją poinformował o morderstwie?

— Dowiedziała się od jakiegoś reportera.

— No i? — Rebus rzucił okiem na leżącą obok radia gazetę. Wieczorna edycja „Evening News” z rozwiązaną już krzyżówką.

— Chciała zobaczyć plamę krwi — odparł Walsh, wzruszając ramionami.

— Wygląda mi na uroczą osóbkę.

— Nie jest taka zła.

— Ma jakieś nazwisko?

Walsh przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Wsadziliście już kogoś?

— Jeszcze nie.

— A co chcecie od Cath?

— Tak ma na imię? Cath?

— Cath Mills.  
— Jest choć trochę podobna do tej kobiety?  
Walsh wziął do ręki komputerowy wydruk kobiecej twarzy w kapturze, przez chwilę mu się przyglądał, potem potrząsnął przecząco głową.  
— Na pewno nie?  
— Zupełnie do niej niepodobna. — Oddał portret Rebusowi. — A kto to ma być?  
— Świadek widział tę kobietę pod parkingiem w noc morderstwa Todorowa. Chodzi o eliminację potencjalnych podejrzanych.  
— No to Babę-Jagę możecie od razu wyeliminować. Tamtego wieczoru w ogóle jej tu nie było.  
— Mimo to poproszę o jej numer telefonu.  
Walsh wskazał na korkową tablicę za drzwiami.  
— Jest tam zapisany.  
— Jak często tu bywa? — spytał Rebus, przepisując numer telefonu komórkowego.  
— Ze dwa razy w tygodniu. Zwykle raz na zmianie Joe i raz na mojej.  
— Miewacie tu jakieś problemy z miejscowymi kurewkami?  
— Nie wiedziałem, że tu w ogóle jakieś są.  
Rebus już zamykał notes, gdy odezwał się brzęczyk i Walsh spojrzął na monitory. Na jednym z nich widać było samochód i stojącego obok kierowcę przy opuszczonym szlabanie wyjazdowym.  
— Coś się stało? — rzucił Walsh do mikrofonu.  
— To cholerstwo właśnie mi połknęło bilet.  
Walsh spojrzął na Rebusa i zrobił zboliałą minę.  
— Ciągłe są z nim kłopoty — powiedział. Nacisnął przycisk, ramię szlabanu uniosło się i kierowca bez słowa podziękki czy pożegnania wsiadł do samochodu. — Będę musiał zamknąć ten wyjazd, aż nie przyjadą i go nie naprawią.  
— Ani chwili spokoju, co?  
Walsh prychnął pogardliwie.  
— A ta kobieta? — zapytał, wstając z miejsca. — Myśli pan, że miała z tym coś wspólnego?  
— Czemu pan pyta?

— No bo chyba niewiele kobiet rabuje. — Walsh przystąpił do zapinania bluzu.

— Niewiele — przyznał Rebus.

— Bo to był napad rabunkowy, nie? W gazetach piszą, że kieszonki tego faceta zostały opróżnione.

— Na to wygląda. — Rebus zamilkł i po chwili dodał: — Zamykacie tu o jedenastej, tak?

— Tak, o jedenastej.

— Czyli prawie dokładnie wtedy, kiedy znaleziono ciało.

— Tak?

— Ale pan niczego nie zauważył?

— Niczego.

— Bo wyjeżdżając stąd, musiał pan przejechać tuż obok Raeburn Wynd.

— Nic nie widziałem i nic nie słyszałem. — Walsh wzruszył ramionami. — A już na pewno nie widziałem żadnej kobiety w pelerynie z kapturem. Przez ten cmentarz naprzeciwko pewnie bym się zesrał ze strachu... — przerwał i zmarszczył brwi.

— Tak? — zachęcił go Rebus.

— To pewnie nic takiego, ale pomyślałem o tych wycieczkach z duchami, które tu organizują... ubierają się w różne dziwne ciuchy i straszą turystów...

— Myślę, że nasza tajemnicza nieznajoma uczestniczyła w zupełnie innej maskaradzie. — Ale Rebus wiedział, o czym mówi parkingowy. W nocy w okolicach Royal Mile widywało się różnych przebierańców: przewodników wycieczek ucharakteryzowanych na wampiry i Bóg wie co jeszcze. — A poza tym nie słyszałem, żeby tędy wiodła trasa wycieczek.

— Bo cmentarz nie należy do najbezpieczniejszych miejsc — zgodził się Walsh. Był już gotów do wyjścia, trzymał w ręku plastikową odbłaskową tablicę z napisem: „Nieczynne”. Rebus wyszedł przed nim.

— A mewacie jakieś kłopoty z powodu tego sąsiedztwa? — zapytał.

— Czasem kręcą się narkomani i nagabują... Moim zdaniem to właśnie oni w zeszłym roku załatwili tego nieszczęśnika na klatce schodowej.

— Mówił mi o tym pański zmiennik. Nigdy tego nie wyjaśniono?

Pogardliwe parsknięcie Walsha starczyło za odpowiedź.

— Wie pan, który komisariat prowadził tę sprawę?

— Jeszcze tu wtedy nie pracowałem. — Walsh ironicznie przymrużył powieki. — To dlatego, że ten facet był obcokrajowcem, czy dlatego, że był takim waźniakiem?

— Nie bardzo rozumiem. — Schodzili razem po pochylni prowadzącej do wyjazdu.

— Dlaczego poświęćcie mu aż tyle czasu?

— Dlatego, panie Walsh, że został zamordowany — powiedział Rebus i sięgnął po komórkę.



Megan Macfarlane była na jakimś spotkaniu w Leith, ale Roddy Liddle oświadczył, że uda jej się wygospodarować dziesięć minut na szybką kawę w Starbucks koło parlamentu i Clarke z Goodyearem tam na nią czekali. Goodyear zamówił herbatę, Clarke poprosiła o americano z domieszką espresso. Pozwoliła też sobie na dwa kawałki ciasta marchewkowego i Goodyear dzielnie zaferował, że zapłaci.

— Moja kolej — oświadczyła, co nie przeszkodziło, że przy płaceniu poprosiła o rachunek. A nóż uda się to wcisnąć w koszty służbowe. Usiedli przy stoliku pod oknem, z widokiem na pogrążające się w mroku Canongate. — Idiotyczne miejsce na parlament.

— Co z oczu, to z myśli — bąknął Goodyear sentencjonalnie.

Uśmiechnęła się i spytała, jak mu się podoba w śledczym.

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Podoba mi się, że mnie pani zostawiła.

— Na razie — przypomniała.

— I wydaje mi się, że zespół się rozumie, to też mi się podoba. A jeśli chodzi o samo śledztwo... — głos mu zamarł.

— Wyduś to z siebie.

— Myślę, że wszyscy, i ja nie krytykuję, są troszkę stłamszeni przez inspektora Rebusa.

— Czy można być „troszkę” stłamszonym?

— Wie pani, o co mi chodzi... jest stary, doświadczony, przez te wszystkie lata widział różne rzeczy. I dlatego jak z czymś wychodzi, to wszyscy go słuchają.



— Tak to już jest przy niektórych sprawach. Wrzucasz do wody kamyk i obserwujesz rozchodzące się koła.

— Ale to wcale tak nie jest, prawda? — Przysunął się z krzesłem do stolika, pełen animuszu do rozmowy. — Naprawdę to proces liniowy. Przestępstwo popełnia ktoś konkretny i zadaniem śledczych jest go znaleźć. W większości przypadków sprawa jest dość prosta. Przestępca czuje wyrzuty sumienia i sam się zgłasza albo jest jakiś świadek zbrodni, albo zbrodniarz jest już notowany i znajdujemy go po odciskach czy kodzie DNA. — Na chwilę zamilkł. — Mam wrażenie, że inspektor Rebus nie znosi tego rodzaju spraw. Takich, w których motyw zbrodni jest oczywisty.

— Przecież prawie wcale nie znasz inspektora Rebusa — zachęcała się Clarke.

Chyba uznał, że się zagalopował, bo spuścił wzrok i cicho powiedział:

— Miałem na myśli tylko to, że inspektor lubi skomplikowane sprawy. Stanowią dla niego większe wyzwanie.

— Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem ta sprawa jest prostsza, niż się wydaje, tak?

— Chcę powiedzieć, że powinniśmy mieć oczy i uszy otwarte.

— Dzięki za radę. — Ton Clarke był równie zimny, jak ciasto marchewkowe na jej talerzyku. Goodyear zapatrzył się w swój pusty kubek i widać było, że z ulgą powitał pojawienie się przy ich stoliku Megan Macfarlane. Niosła pod pachą co najmniej trzykilogramowy segregator z dokumentami, który z hurgotem upuściła na podłogę. Roddy Liddle zatrzymał się przy bufecie, by zamówić dla nich kawę.

— Ile to się człowiek musi natyrać — parsknęła, obrzucając Todda zaciekawionym spojrzeniem. Clarke dokonała wzajemnej prezentacji.

— Jestem pani wiernym kibicem — powiedział Goodyear. — Byłem zachwycony pani stanowiskiem w sprawie tramwajów.

— Nie ma pan przypadkiem paru tysięcy znajomych, którzy myślą tak samo? — Macfarlane opadła ciężko na krzesło i uniosła wzrok ku sufitowi.

— I zawsze byłem zwolennikiem niepodległości — dodał radośnie Goodyear.

Macfarlane zwróciła ku niemu głowę, potem spojrzała na Clarke.

— Ten mi się bardziej podoba — mruknęła.

— A skoro mowa o inspektorze Rebusie — weszła jej w słowo Clarke — to proszę o wybaczenie, że nie mógł dziś przyjść. Ale to właśnie on zwrócił uwagę na pani obecność w tym programie *Question Time*. Ciekawi nas, dlaczego pani o tym nie wspomniała.

— I tylko o to chodzi? — W głosie Macfarlane słychać było zawód. — Myślałam, że może kogoś aresztowaliście.

— Czy zetknęła się pani z Todorowem tylko ten jeden raz?

— Tak.

— Poznali się państwo w studiu?

— W The Hub — poprawiła Macfarlane. — Tak, wszyscy mieli się tam spotkać godzinę przed nagraniem.

— Myślałem, że *to* idzie na żywo — zdziwił się Goodyear.

— Niezupełnie. Oczywiście Jim Bakewell jako laburzysta musiał się efektownie spóźnić. Ekipa realizatorska nie była tym zachwycona i pewnie dlatego tak mało go było na ekranie. — To wspomnienie wyraźnie ją ożywiło i wylewnie podziękowała Liddle'owi, który podszedł do stolika z czarną kawą dla niej i małym espresso dla siebie. Przyniósł sobie krzesło i przywitał się z Goodyearem.

— Myślisz, Roddy, że zaraz zaczną się ploty? — spytała Macfarlane, wsypując do kawy pierwszą szaszetkę cukru. — Że siedziałam pod strażą policjanta w mundurze?

— Pewnie tak — wycedził Liddle, unosząc do ust maleńką filiżankę.

— Zaczęła pani mówić o Todorowie — przypomniała Clarke.

— Wypytuje mnie o *Question Time* — Macfarlane wyjaśniła asystentowi. — Uważa, że pewnie coś ukrywam.

— Spytałam tylko, dlaczego nie wspomniała nam pani o tym programie.

— Proszę mi powiedzieć, pani sierżant, czy któryś z polityków biorących udział w tamtym programie zgłosił się, żeby się podzielić swoimi wrażeniami? — Pytanie było z gatunku retorycznych i Megan Macfarlane nie oczekiwała na nie odpowiedzi. — Nie, bo musieliby powiedzieć mniej więcej to samo: że nasz rosyjski gość wyżłopał trochę wina, opchnął parę kanapek i nie odezwał się do

nikogo. Odniosłam wrażenie, że nie jest szczególnym miłośnikiem polityków jako gatunku.

— A po programie?

— Po programie na wszystkich czekały taksówki... Mruknął coś na do widzenia i odjechał z butelką wina schowaną pod marynarką. — Zamilkła i po chwili dodała: — Muszę powiedzieć, że kompletnie nie rozumiem, jak cokolwiek z tego może się przydać w waszym śledztwie.

— I nigdy więcej go pani nie spotkała?

— Myślałam, że już to mówiłam. — Spojrzała na swego asystenta, jakby szukając u niego potwierdzenia. Clarke postanowiła zrobić to samo.

— A pan, panie Liddle? — spytała. — Rozmawiał pan z Todorowem w The Hub?

— Przedstawiłem mu się. Wydał mi się trochę gburowaty. Zwykle kiedy do programu zapraszają kogoś, kto nie jest politykiem, to wcześniej poddają go testowi, biorąc w krzyżowy ogień pytań. Dziennikarka, która przeprowadziła wywiad z Todorowem, nie była nim zachwycona. Z jej notatek wynikało, że był bardzo zamknięty w sobie. Do dziś nie wiem, dlaczego zaproszono akurat jego.

Clarke na moment się zamyśliła. Charles Riordan powiedział, że Todorow lubił rozmowy z ludźmi, z kolei facet w Mather's stwierdził, że poeta niemal się nie odzywał. Teraz to samo powtarzali Macfarlane i Liddle. Czy to znaczy, że Todorow miał dwie różne twarze?

— A czyj to mógł być pomysł, żeby go zaprosić? — zwróciła się do Liddle'a.

— Producenta, prowadzącego, kogoś z realizatorów... Przypuszczam, że każdy może zaproponować kandydaturę gościa.

— Czy mogło chodzić o wysłanie odpowiedniego sygnału do Moskwy? — wtrącił Goodyear.

— Pewnie tak — odparła Macfarlane i spojrzała na Goodyeara niemal z uznaniem.

— Co masz na myśli? — spytała Clarke.

— Niedawno zastrzelono tam dziennikarkę. Może BBC chciało w ten sposób dać sygnał, że swobody wypowiedzi nie da się tak łatwo zdławić.

— Tyle że ktoś ją jednak zdławił, nie? — przypomniał Liddle. — Bo inaczej byśmy o tym nie rozmawiali. No i spójrzcie, co zrobiono temu nieszczęśnikowi w Londynie...

Na twarzy Macfarlane pojawił się nieprzyjemny grymas.

— Właśnie tego rodzaju głupie plotki musimy zwalczać — rzuciła ze złością.

— Oczywiście, oczywiście — wymamrotał Liddle, zasłaniając sobie usta pustą filiżanką.

— Czyli reasumując — przerwała Clarke nagłą ciszę — oboje poznaliście Todorowa na nagraniu *Question Time*, ale nie mieliście okazji z nim rozmawiać. Nigdy przedtem ani nigdy potem go nie spotkaliście. Czy tak mam napisać w raporcie?

— W raporcie? — Głos Macfarlane zabrzmiał jak wściekłe warknięcie.

— Nie do użytku publicznego, pani poseł — zapewniła ją Clarke, zrobiła króciutką przerwę i zadała kończący cios. — Oczywiście przynajmniej do czasu rozprawy.

— Jak już wspominałam, pani sierżant, w mieście gościmy delegację bardzo ważnych i wpływowych osób, które mogą się łatwo zniechęcić.

— Ale zapewne zgodzi się pani ze mną, że w naszym interesie leży pokazanie, jak skrupulatnie i sprawnie działa nasza policja — odparła Clarke.

Wyglądało na to, że Macfarlane chce coś odpowiedzieć, ale w tym momencie odezwał się jej telefon. Wcisnęła przycisk i odwróciła się od stolika.

— Stuart, co słyhać? — Clarke pomyślała, że zapewne dzwoni ten bankowiec, Stuart Janney. — Mam nadzieję, że udało ci się zrobić rezerwację u Andrew Fairliego? — Macfarlane wstała od stolika i ruszyła przez salę. Wyszła na zewnątrz i stanęła na chodniku, i tylko przez szybę było widać, że kontynuuje rozmowę.

— Chodzi o tę słynną restaurację w Gleneagles — wyjaśnił Liddle.

— Domyślam się. — Clarke skinęła głową i zwróciwszy się do Goodyeara, dodała: — Zbawcy naszej gospodarki spędzą tam jedną dobę. Zapewne zjedzą wytworną kolację wieczorem i rozegrają partyjkę golfa po śniadaniu. — Potem skierowała wzrok na Liddle'a

i spytała, kto za to wszystko zapłaci. \_\_\_\_\_

Pewnie jak zwykle bezbronny podatnik, prawda?

Liddle wzruszył ramionami i spojrzął na Goodyeara.

— Todd, ty też uważasz, że świat przypadnie maluczkiemu?

— Psalm trzydziesty siódmy, wers jedenasty — powiedział śpiewnym tonem Goodyear. Przerwał mu kolejny dzwonek telefonu, tym razem Clarke. Wcisnęła guzik i uniosła telefon do ucha. John Rebus chciał wiedzieć, jak jej idzie.

— Posterunkowy Goodyear dokształca mnie w Piśmie Świętym — poinformowała go. — O przypadaniu świata maluczkiemu i takich tam.

Rebus zadzwonił głównie dlatego, że znudził się czekaniem, jednak ledwie Clarke odebrała, pod parking z rykiem zajechał czarny volkswagen golf i zaparkował tuż przy wjeździe. Kobieta, która z niego wysiadła, musiała być Cath Mills, więc Rebus pośpiesznie zakończył rozmowę.

— Pani Mills? — spytał, podchodząc bliżej.

Wraz ze zmierzchem pojawiły się ostre podmuchy zimnego wiatru znad Morza Północnego i Rebus nie bardzo wiedział, czego ma oczekiwać po stroju Baby-Jagi. Czyżby opończy do kostek? W rzeczywistości kobieta miała na sobie coś w rodzaju skafandra z kapturem obszytym futerkiem. Zbliżała się do czterdziestki, była wysoka, na głowie miała obcięte na pazia rude włosy, jej oczy zasłaniały okulary w czarnej oprawce. Twarz miała bladą i lekko pucułową, wargi pokryte czerwoną szminką. I zupełnie nie przypominała twarzy z portretu pamięciowego w jego kieszeni.

— Inspektor Rebus? — domyśliła się. Wyciągnęła rękę i po męsku uściśnęła mu dłoń. Miała czarne rękawiczki samochodowe, które chwilę potem zdjęła i schowała do kieszeni. — Nie znoszę tej pory roku — mruknęła, spoglądając w niebo. — Ciemno, kiedy człowiek wstaje, ciemno, kiedy wraca do domu.

— Pracuje pani w stałych godzinach? — spytał Rebus.

— W takiej robocie zawsze wypada coś ekstra. — Popatrzyła ze złością na tablicę z napisem „Nieczynne” na jednym ze szlabanów.

— W ostatnią środę też miała pani jakieś sprawy na mieście?

— O ile pamiętam, o dziewiątej byłam już w domu — odparła, nie odrywając wzroku od zepsutego szlabanu. — Mieliśmy mały problem na naszym parkingu przy Canning Street. Zmiennik nie stawiał się do pracy. Kazałam pracownikowi wydzwonić zastępstwo i po krzyku. — Powoli zwróciła twarz w stronę Rebusa. — Mówi pan o tym wieczorze, kiedy zabito tego człowieka?

— Właśnie. Szkoda, że wasze kamery monitorujące są tak kompletnie bezużyteczne... mogłyby nam bardzo pomóc.

— Nie instalowano ich z myślą o łapaniu morderców.

Rebus puścił jej złośliwość mimo uszu.

— Więc tamtego wieczoru nie było tu pani koło dziesiątej wieczorem?

— A ktoś mówi, że byłam?

— Nikt, ale widziano kobietę przypominającą panią z wyglądu... — Jego uwaga była mocno naciągana, ale chciał zobaczyć jej reakcję. Ograniczyła się do uniesienia jednej brwi i złożenia rąk na piersiach.

— Jestem bardzo ciekawa, skąd pan wiedział, jak wyglądam. — Spojrzała w stronę parkingu. — Chłopcy naopowiadali panu jakichś uczniowskich bajeczek? Będę musiała dopilnować, żeby dostali za to po łapach.

— Powiedzieli mi tylko, że czasem nosi pani płaszcz z kapturem. Pewien przechodzień zauważył kręcącą się tu kobietę, która miała na głowie kaptur...

— Kobietę w kapturze na głowie? O dziesiątej, w zimowy wieczór? I to ma być to kryterium zawężające krąg podejrzanych?

Rebus pomyślał, że właściwie dzień mógłby się już skończyć. Chciałby usiąść na stołku barowym z drinkiem w dłoni i głową wolną od zagadek.

— Jeśli tu pani nie było — westchnął — to wystarczyło powiedzieć.

Zapadło milczenie i dopiero po chwili kobieta odpowiedziała, przeciągając słowa.

— Nie jestem pewna.

— To znaczy?

— Rola podejrzanej w policyjnym śledztwie mogłaby trochę urozmaicić życie...

— Dziękuję, mamy wystarczająco dużo żartownisiów, przez których tracimy czas. A zdarza się, że najbardziej namolni trafiają do sądu.

Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Przepraszam, mam za sobą długi, żmudny dzień. Chyba wybrałam niewłaściwego adresata swoich żartów. — Jej uwagę przykuł znów nieczynny szlaban. — Muszę porozmawiać z Garym, sprawdzić, czy to zgłosił. — Odchyliła rękaw i spojrzała na zegarek. — Akurat wypełni mi to resztę czasu do końcowego dzwonka... — Powróciła wzrokiem do Rebusa. — Po czym, jak pozwolę sobie donieść, będzie można mnie zastać w Montpelier's.

— W tej winiarni na Bruntsfield? — Odszukanie nazwy w pamięci zajęło Rebusowi tylko parę sekund.

Uśmiech na jej twarzy jeszcze bardziej rozkwitł.

— Tak pomyślałam, że wygląda pan na kogoś, kto będzie wiedział.



Ostatecznie został aż na trzy drinki — wszystko przez promocję pod hasłem „Trzeci drink za darmo” — tyle że nie pił niczego szczególnego. Ot, trzy małe butelki importowanego piwa, co pozwalało zachować pełną kontrolę sytuacji. Pragnienie Cath Mills okazało się większe i jej trzy drinki złożyły się na pełną butelkę wina Rioja. Samochód zaparkowała tuż za rogiem, okazało się bowiem, że mieszka w pobliżu i może go tu zostawić na noc.

— Więc nie licz na to, że mnie dopadniesz za jazdę po pijaku — parsknęła, kiwając Rebusowi palcem przed nosem.

— Ja też się przejdę — powiedział, dodając, że mieszka w Marchmont.

Po wejściu do winiarni zalała go lawina dźwięków i ogłuszony dudniącą muzyką i gwarem rozmów dopiero po dłuższej chwili odnalazł Cath Mills w jednej z łóż.

— Liczyła pani, że tu pani nie znajdę?

— Nie można wyglądać na zbyt łatwą. — Uśmiechnęła się.

Rozmawiali głównie o jego pracy i dyżurnych tematach wszystkich mieszkańców Edynburga: ulicznych korkach, wiecznych robotach drogowych, radzie miejskiej, zimnie. Uprzedziła go, że nie ma zbyt wiele do powiedzenia o swoim życiu.



— Małżeństwo w wieku osiemnastu lat, rozwód w wieku dwudziestu; drugie podejście w wieku trzydziestu czterech, próba, która przetrwała całe sześć miesięcy. W tym wieku mogłabym już zmądrzeć, nie?

— Ale przecież nie byłaś przez ten cały czas kierowniczką parkingu?

Istotnie, nie: pracowała w kilku różnych biurach, później miała nawet własną firmę konsultingową, która padła po dwóch i pół roku działalności, w czym pomógł jej podbierający kasę mąż numer dwa.

— Potem pracowałam jeszcze jako osobista asystentka, ale się nie wyrabiałam... pobyłam trochę na zasiłku, jednocześnie próbując się przekwalifikować, w końcu trafiła się ta praca.

— I tak to zawsze u mnie wygląda — powiedział Rebus. — Ludzie wciąż mi coś opowiadają, ale zwykle ukrywają przede mną najciekawsze fragmenty.

— No to weź mnie na przesłuchanie. — Roześmiała się, rozkładając szeroko ramiona.

W końcu skierował rozmowę na Gary'ego Walsha i Joe Willsa. Okazało się, że Cath też podejrzewa Willsa o picie na służbie, ale jak dotąd go nie przyłapała.

— Ale ty jako śledczy mógłbyś mi w tym pomóc.

— Musisz zaangażować prywatnego detektywa. Albo zainstalować więcej kamer, ale tak, żeby o tym nie wiedział.

Parsknęła śmiechem, potem poinformowała kelnerkę, że jest już gotowa na promocyjnego drinka.

Po następnej godzinie zaczęli zerkać na zegarki i wymieniać się uśmieszkami.

— A jak jest z tobą? — spytała. — Masz kogoś, kto z tobą wytrzymuje?

— Od pewnego czasu już nie. Ale byłem żonaty i mam trzydziestoparoletnią córkę.

— Żadnych biurowych romansów? Funkcjonowanie w silnym stresie, praca w zespole... Znam to z autopsji.

— Mnie się to nie zdarzyło. — Wzruszył ramionami.

— No i nie masz się czym chwalić. — Pociągnęła nosem i wykrzywiła usta. — Ale ja już dałam sobie spokój z przygodami na jedną noc... w zasadzie. — Grymas z wolna przeszedł w uśmiech.

— Było bardzo miło — powiedział, czując, jak niezręcznie to brzmi.

— Nie będziesz miał kłopotów za konszachty z podejrzaną?

— A kto na mnie doniesie?

— Nikt nie musi. — Wskazała ręką kamerę przemysłową pod sufitem, której obiektyw był skierowany prosto na nich. Oboje się roześmiali. Gdy wciągnęła na siebie swój skafander, spytał ponownie: „To jak, byłeś tam wtedy wieczorem? Tylko szczerze...”, a ona w milczeniu pokręciła głową.

Na ulicy wręczył jej swoją służbową wizytówkę z dopisanym numerem komórki. Obyło się bez cmokania w policzki i aluzyjnych uścisków dłoni: ot, dwoje pokaleczonych rozbitków życiowych, którzy okazują sobie wzajemny szacunek. Po drodze wstąpił do smażalni po rybę z frytkami i zjadł ją na ulicy z kartonowego pudełka. Już nie pakowano tego jak kiedyś w kawałek gazety — przeważały kwestie higieny. Co gorsza, łupacz też już nie smakował tak jak kiedyś, a jego porcja znacznie się skurczyła. Winna temu była nadmierna eksploatacja łowisk na Morzu Północnym. Wkrótce łupacz stanie się rarytasem albo w ogóle zniknie ze sklepów i restauracji. Skończył jeść, nim dotarł do domu, i posapując, wszedł na drugie piętro. Za drzwiami nie było żadnej korespondencji, nawet rachunków za świadczenia. Zapalił światło w pokoju, nastawił muzykę i zadzwonił do Siobhan.

— Co się dzieje? — spytała.

— Tak się zastanawiam, co powinniśmy teraz zrobić.

— Co do mnie, to właśnie wybieram się do lodówki po coś do picia.

— Kiedyś to byłby mój tekst.

— Czasy się zmieniają.

— To też ja.

Usłyszał w słuchawce jej śmiech, potem spytała, jak mu poszła rozmowa z Cath Mills.

— Kolejna ślepa uliczka.

— Ale coś długo po niej błądziłeś.

— Nie było sensu wracać do firmy. — Zrobił przerwę. — A co, masz zamiar mnie zakablować, że urywam się z roboty?

— Umówmy się, że ci wierzę. Co to za muzyka?

— Płyta nazywa się *Mali przestępcy*. Jest na niej numer zatytułowany *Parada wesółych gliniarzy*.

— Czyli ktoś, kto niezbyt dobrze zna realia policyjne...

— To Randy Newman. Podoba mi się też jego inna piosenka: *Nie nabierzesz Tłuściocha*.

— A ten tłuścioch to może przypadkiem ty sam?

— Lepiej zostawię cię w niepewności. — Zamilkł i zapadła dłuższa cisza. — Czuję, że zaczynasz przechodzić na stronę Macrae. Uważasz, że powinniśmy się skupić na wersji napadu rabunkowego?

— Phyl i Colin już się tym zajmują — przyznała.

— Zaczynasz tracić zapach?

— Niczego nie tracę.

— Dobrze, źle to ująłem... Ostrożności nigdy nie za wiele, Shiv. Nie mam zamiaru cię za to krytykować.

— John, pomyśl przez chwilę. Czy ktoś szedł za Todorowem od hotelu Caledonian? Według twojego specja od monitoringu, nikt. Czy zaczęła go jakaś prostytutka? Być może. I być może chwilę później jej alfons skoczył na niego z kawałkiem rury w garści. Jak by na to nie patrzeć, poeta na pewno znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

— Co do tego się zgadzamy.

— A zadzieranie z posłami do szkockiego parlamentu, rosyjskimi potentatami i finansistami z First Albannach Bank nic nam nie da.

— Ale dostarczy dobrej zabawy. A czymże byłaby praca bez odrobiny dobrej zabawy?

— Dostarczy zabawy tobie, John... ty zawsze lubieś się bawić.

— No to mnie rozbaw. To mój ostami tydzień pracy.

— Zdawało mi się, że właśnie to robię.

— Nie, Shiv, to, co robisz, to spisywanie mnie na straty. Stąd cała sprawa z Goodyearem. Teraz on jest twoim numerem dwa, tak jak ty byłaś kiedyś moim. Już zaczęłaś go uczyć i pewnie sprawia ci to nawet frajdę.

— Zaraz, chwileczkę...

— I podejrzewam też, że stanie się drogą do osiągnięcia celu. Póki masz go pod ręką, nie musisz wybierać między Phyl a Colinem.

— Nie do wiary, że człowiek o takiej przenikliwości nie zaszedł wyżej na drabinie zawodowej.

— Problem z tą drabiną polega na tym, Shiv, że na każdym kolejnym szczeblu natykasz się na nowe tyłki do całowania.

— Cóż za uroczy obrazek.

— Wszystkim nam trzeba trochę poezji w życiu. — Zakończył rozmowę stwierdzeniem, że zobaczą się jutro, „zakładając oczywiście, że będę do czegoś potrzebny”, odłożył słuchawkę i przez następne pięć minut siedział przy telefonie, ciekaw, czy do niego zadzwoni. Nie zadzwoniła. W muzyce Randy'ego Newmana było coś drażniąco radosnego, więc wyłączył płytę. Miał dużo o wiele mroczniejszej muzyki — choćby wczesny King Crimson czy Peter Hamill — nie zdecydował się jednak na inną płytę i zaczął krzątać po pograżonym w ciszy mieszkaniu. Zatrzymał się w przedpokoju z kluczami do saaba w ręku.

— Właściwie dlaczego nie? — powiedział na głos. Nie pierwszy raz w życiu i pewnie nie ostatni. Nie wypił tyle, żeby mogło to stanowić problem. Zamknął drzwi, zszedł po schodach i wyszedł na ulicę, potem otworzył saaba i usiadł za kierownicą. Miał do przejechania krótki kawałek z powrotem koło Montpelier, potem skręt w prawo z Bruntsfield Place, następnie jeszcze raz w prawo i już wjeżdżał w cichą uliczkę, zabudowaną wolno stojącymi domami z epoki wiktoriańskiej. Bywał tu na tyle często, że zaczynał dostrzegać zmiany: nowe latarnie czy naprawione chodniki. Ustawione tablice ostrzegały, że od marca obowiązywać będą ograniczenia w parkowaniu samochodów nienależących do mieszkańców. Na Marchmont już je wprowadzono, ale parkowanie nie stało się przez to ani odrobinę łatwiejsze. Pojawiło się i zniknęło parę kontenerów na gruz, z budów dobiegały rozmowy polskich robotników. W paru domach coś dobudowywano, w dwóch rozebrano stojące w ogrodzie garaże. W ciągu dnia panował tu harmider, ale wieczorem robiło się spokojnie. Praktycznie każdy dom miał własny podjazd, ale na jezdni parkowały samochody z sąsiednich ulic. Nikt nigdy nie zainteresował się obecnością Rebusa, a jeden z psich spacerowiczów pomylił go nawet z kimś z mieszkańców i na jego widok uśmiechał się i go pozdrawiał. Jego mały i pełen wigoru piesek okazywał większą nieufność i gdy za którymś razem Rebus schylił się, by go poklepać, pies nerwowo odskoczył.

Ale nie działało się to często. Zazwyczaj zostawał w samochodzie, siedząc z rękami na kierownicy, opuszczoną szybą i papierosem w ustach. Czasami włączał radio. Nie musiał się nawet uważnie wpatrywać w dom, bo i tak wiedział, kto jest jego właścicielem. Wiedział też, że w głębi ogrodu jest domek, w którym mieszka ochroniarz. Za którymś razem samochód gospodarza zatrzymał się w połowie podjazdu. Z przodu siedział ochroniarz, ale to tylne okno otworzyło się bezszelestnie, pozwalając pasażerowi skrzyżować spojrzenia z Rebusem. W jego wzroku była mieszana pogardy, zniecierpliwienia, może nawet litości — choć ta ostatnia na pewno byłaby udawana.

Rebus miał poważne wątpliwości, czy Duży Ger Cafferty kiedykolwiek w swym dorosłym życiu miał okazję odczuwać litość dla innego osobnika rodzaju ludzkiego.

**DZIEŃ PIĄTY**

**Wtorek,**

**21 listopada 2006**

Powietrze było tak przesycone smrodem spalenizny, że Siobhan zasłoniła sobie usta i nos chusteczką, a Rebus rzucił resztkę kanapki na ziemię i rozgniółł butem.

— Jasna cholera — powiedział, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Todd Goodyear usłyszał wiadomość jako pierwszy i od razu powiadomił Clarke, ta zaś dopiero w połowie drogi na miejsce zdecydowała się zadzwonić do Rebusa. Stali teraz oboje na ulicy w Joppa, patrząc, jak ekipa strażaków zwija sflaczałe węże gaśnicze. Z domu Charlesa Riordana został tylko szkielet z pustymi oczodołami okien i zawalonym dachem.

— Możemy tam już wejść? — spytała Clarke jednego ze strażaków.

— Co wam tak spieszo?

— Tylko pytam.

— Pani spyta szefa...

Niektórzy z kręcących się strażaków mieli policzki mokre od potu i czoła powalane sadzą. Zdążyli już pozbyć się butli i masek tlenowych i dzielili się uwagami na temat wrażeń z dopiero co zakończonej akcji — zupełnie jak członkowie bandy po bijatyce. Któryś z sąsiadów przyniósł im sok i wodę, inni stali w drzwiach domów lub w ogródkach, gapie z sąsiednich ulic zbili się w gromadkę na jezdni. Terytorialnie sprawa należała do Okręgu D i dwóch detektywów z wydziału śledczego w Leith już zdążyło zapisać Clarke, co tu robią detektywi z Gayfield Square.

— Świadek w naszym śledztwie — odparła sucho, bo nie chciało jej się wtajemniczać ich w szczegóły. Jej odpowiedź ich nie zachwyciła i stali teraz parę kroków dalej, obaj z telefonami przy uchu.

— Myślisz, że był w środku? — zapytał Rebus.

— Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę? — odparła, wzruszając ramionami.

— Chodzi ci o naszą różnicę zdań? Że zbyt wiele się doszukuję w śmierci Todorowa?

— Lepiej nie zaczynaj.

Rebus postanowił jednak wystąpić w roli adwokata diabła.

— Oczywiście mógł to być tylko wypadek — powiedział. — Jeszcze może się okazać, że Riordan cały i zdrowy siedzi teraz w swoim studiu.

— Już dzwoniłam, ale nikt nie odbiera. — Pokazała na zaparkowane przy krawężniku sportowe TVR. — Sąsiadka dwa domy dalej mówi, że to jego samochód. Zaparkował go tu wczoraj wieczorem. Zawsze wie, kiedy przyjeżdża, bo ten wóz strasznie hałasuje.

Przednia szyba TVR była przysypana drobinami popiołu. Rebus przeniósł wzrok na zgliszcza domu i patrzył, jak dwóch strażaków ostrożnie przedziera się przez wciąż tłące się resztki. W wypalonym przedpokoju widać było fragmenty pótek, ale ich zawartość zdawała się kompletnie zniszczona.

— Inspektor pożarowy już w drodze? — zapytał Rebus.

— Inspektorka — poprawiła go Clarke.

— Oto droga postępu...

Na miejscu stała karetka pogotowia, ale jej załoga zaczynała się już niecierpliwie i znacząco spoglądać na zegarki. Pojawił się też zaaferowany Todd Goodyear, ubrany tym razem po cywilnemu. Kiwnął Rebusowi głową i zaczął przeglądać swój notes.

— Ile ty ich zużywasz w ciągu miesiąca? — Ironiczny ton Rebusa wywołał ostrzegawcze spojrzenie Clarke.

— Rozmawiałem z sąsiadami po obu stronach — Todd poinformował Clarke. — Oczywiście są w szoku. Boją się, że w ich domach może lada chwila dojść do wybuchu, i chcą wejść do środka i powynosić cenne rzeczy, ale dowódca akcji nie chce o tym słyszeć.



Wygląda na to, że Riordan wrócił do domu koło pół do dwunastej i później nikt już nic więcej nie słyszał.

— Przy takiej dźwiękoszczelnej izolacji domu...

Goodyear ochoczo przytaknął.

— Nie ma szans, żeby ktoś mógł coś usłyszeć. Jeden ze strażaków powiedział, że te akustyczne zastawki mogły się przyczynić do pożaru. Zwykle są bardzo łatwopalne.

— Nikt go w nocy nie odwiedził? — spytała Clarke.

Goodyear pokręcił przecząco głową i nie powstrzymał się od zerknięcia na Rebusa, jakby oczekiwał od niego pochwały.

— Jesteś po cywilnemu — mruknął tylko Rebus.

Młodzieniec popatrzył niespokojnie na oboje. Clarke odchrząknęła.

— Skoro pracuje z nami, to pomyślałam, że będzie się mniej rzucał w oczy...

Rebus obrzucił ją spojrzeniem i wolno pokiwał głową. Nie miał wątpliwości, że go okłamuje. Cywilne ubranie musiało być pomysłem Goodyeara, a ona go tylko kryła. Nie zdążył nic powiedzieć, bo w tym momencie zza rogu wypadł czerwony samochód z błyskającymi lampami na dachu i zahamował obok z piskiem opon.

— Inspektor pożarowa — powiedziała Clarke.

Z samochodu wysiadła elegancko ubrana kobieta i od razu skupiła na sobie pełną szacunku uwagę strażaków, którzy obstąpiwszy ją, zaczęli pokazywać na poszczególne fragmenty domu, zapewne przekazując swoje wersje wydarzeń. Tuż obok kręcili się obaj detektywi z Leith.

— Myślisz, że powinniśmy się przedstawić? — spytała Rebusa Clarke.

— Prędzej czy później będzie trzeba.

Postanowiła z tym nie zwlekać i ruszyła w stronę grupki strażaków. Rebus podążył za nią, dając Goodyearowi znak ręką, że ma zostać. Młodzieńca wyraźnie to nie zachwyciło, bo zaczął nerwowo przestępować z krawężnika na jezdnię i z powrotem. W ciągu swej kariery Rebus oglądał wiele pogorzelskich, w tym nawet jedno po pożarze, o którego wzniecenie był oskarżony. Wtedy też w płomieniach zginął człowiek... Zadanie patologów mających identyfikować ofiarę pożaru jest nie do pozazdroszczenia. Niewiele

brakowało, żeby sam kiedyś zginął w pożarze własnego mieszkania. W alkoholowym zamroczeniu usnął na kanapie z zapalonym papierosem i gdy się obudził, pokrycie kanapy już się tliło, a powietrze było gęste od dymu.

Nie trzeba się nawet specjalnie starać...

Clarke przedstawiła się inspektor pożarowej, ale nie spotkało się to z entuzjazmem otaczających ją strażaków, którzy uważali, że na tym etapie policja nie powinna się wtrącać. Choć Rebus ich rozumiał, ostentacyjnie zajął się zapalaniem kolejnego papierosa, w nadziei że któryś zwróci na to uwagę.

I nie zawiódł się.

— Cholerni palacze — warknął jeden ze strażaków. Cel został osiągnięty.

Inspektor pożarowa nazywała się Katie Glass i na prośbę Clarke opisała pokrótce czekające ich czynności: sprawdzenie, czy w środku są ofiary, kontrola szczelności instalacji gazowej, poszukanie oczywistych przyczyn pożaru.

— Od zostawionej na kuchence patelni do frytek po zwarcie w instalacji elektrycznej.

Clarke cierpliwie wysłuchiwała uwag inspektor, potem wyjaśniła rolę właściciela domu w prowadzonym przez nią śledztwie. Pamiętała, że detektywi z Leith czujnie przysłuchują się jej słowom.

— I dlatego coś pani podejrzewa — domyśliła się Glass. — Trudno, niech będzie, choć zawsze wolę wchodzić na pogorzelnisko bez jakichś wcześniejszych uprzedzeń. Jak się ma w głowie wstępne teorie, to często można coś przeoczyć.

Ruszyła w stronę furtki w otoczeniu grupki strażaków, Rebus i Clarke odprowadzili ich wzrokiem.

— Znam w Portobello jedną knajpkę — powiedział Rebus, przypatrując się wypalonemu szkieletowi domu. — Masz ochotę na porcję smażeniny?



Gdy po jedzeniu wrócili na Gayfield Square, powitały ich skwaszone miny Hawes i Tibbeta, którzy czuli się porzuceni. Usłyszawszy o pożarze, szybko się jednak rozchmurzyli i od razu spytali, czy w tej sytuacji mogą machnąć ręką na KNR. Goodyear zapytał o znaczenie tego skrótu.

— Kartoteka Notowanych Rabusiów — wyjaśniła Hawes.

— Choć to nazwa nieformalna — dodał Tibbet, waląc dłonią w stos teczek z aktami.

— Myślałem, że tego rodzaju informacje są w komputerze — zdziwił się Goodyear.

— Tylko trzeba je tam najpierw wprowadzić. Jeśli zgłaszasz się na ochotnika...

Goodyear pospiesznie zamachał ręką. Clarke usiadła za biurkiem i w zamyśleniu zaczęła się bawić długopisem.

— To co teraz, szefowo? — zapytał Rebus.

Clarke obrzuciła go pełnym wyrzutem spojrzeniem.

— Muszę jeszcze raz porozmawiać z Macrae — powiedziała, choć widać było, że pokój szefa jest pusty. — Był tu wcześniej?

— Od kiedy jesteśmy, to nie — odparła Hawes, wrzuszając ramionami.

— A co, przyjechaliście razem? — spytał niewinnym tonem Rebus.

Teraz Tibbet spojrział na niego z wyrzutem.

— Bo to wszystko zmienia — powiedziała w zamyśleniu Clarke.

— Chyba że to był wypadek — wtrącił Rebus.

— Najpierw Todorow, teraz człowiek, z którym spędził swój ostatni wieczór... — zadumał się Goodyear, a Clarke potakująco pokiwała głową.

— Ale wszystko może być tylko paskudnym zbiegiem okoliczności — powtórzył Rebus.

Clarke spojrzała na niego ze złością.

— Chryste, John, przecież to ty doszukiwałeś się spisku! A teraz, kiedy coś się zaczyna wyłaniać, lejesz na to zimną wodę!

— A nie tak postępuje się z pożarem? — Zobaczył, jak czerwienieje jej kark, i poczuł, że przesadził. — Dobrze, ale nawet jeśli masz rację, to i tak będziesz musiała to omówić z Macrae. Więc na razie poczekajmy na potwierdzenie, że znaleziono ciało. A jeśli się okaże, że tak, to zaczekamy na to, co powiedzą Gates i Curt. — Po chwili dodał: — Nazywają to „procedurą” i wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Wiedziała, że ma rację, i Rebus z ulgą stwierdził, że rozluźnia

naprężone ramiona i wypuszcza z ręki długopis, który przez chwilę toczył się po blacie i w końcu znieruchomiał.

— Tym razem John się nie myli — burknęła, wykrzywiając twarz w uśmiechu — choć przyznanie tego nie przychodzi mi łatwo. — Rebus też się uśmiechnął i lekko się skłonił.

— Wiedziałem, że kiedyś tego dożyję — powiedział. — Pewnie lepiej późno niż wcale. — Pozostali też się uśmiechnęli i Rebus poczuł, że to jest właśnie ten moment. Chwila, w której ich toczące się od paru dni śledztwo zaczyna nabierać nowego znaczenia.

Mimo boczenia się i wzajemnych przytyków naprawdę stanowili zespół.

I w takim właśnie podniosłym nastroju zastał ich Macrae, który niedługo potem wkroczył do pomieszczenia wydziału śledczego. Od razu wyczuł zmianę atmosfery, i to jeszcze zanim Clarke przedstawiła mu krótki raport z ostatnich wydarzeń. Na biurku Hawes zadzwonił telefon i Rebus pomyślał, że to może dzwonić kolejny świadek, który przeczytał ich apel. Znów wrócił myślami do prostytutki szukającej klientów w ślepym zaułku i do Cath Mills wlewającej w siebie całą butelkę wina Rioja. Todorow podobał się kobietom i zapewne on także nie pozostawał obojętny na ich wdzięki. Czy mogło być tak, że dał się zwabić obcej kobiecie pod pozorem uprawiania seksu? Byłaby to sytuacja żywcem wyjęta z książek Le Carrego...

Hawes odłożyła słuchawkę i podeszła do jego biurka.

— Znaleźli ciało — rzuciła krótko.

Rebus zapukał do drzwi pokoju Macrae i zajrząwszy do środka, przekazał wiadomość samym kiwnięciem głową i wymownym spojrzeniem. Clarke spytała szefa, czy może go na chwilę zostawić, wróciła na salę i poprosiła Hawes o szczegóły.

— Prawdopodobnie ofiara płci męskiej, znaleziona w salonie pod zawałonym sufitem.

— Czyli w studiu nagrań — wtrącił Goodyear. Zabrzmiało to tak, jakby chciał przypomnieć wszystkim zebranim, że on też był w tamtym domu.

— Ich ekipa wykonała zdjęcia i całą resztę — dodała Hawes. — Ciało jest już w drodze do kostnicy.

Gdzie pewnie trafi do specjalnego pomieszczenia na zwłoki w

stanie rozkładu, pomyślał Rebus. Był ciekaw, jak Goodyear zareaguje na widok upieczonego umarlaka.

— Powinniśmy tam pojechać — powiedziała Clarke, ale Rebus pokręcił głową.

— Weź ze sobą Todda — zaproponował. — To też należy do śledczych doświadczeń...



Hawes zadzwoniła do CR Studio, poinformowała o pożarze i uzyskała potwierdzenie, że Charles Riordan nie pojawił się w pracy. Tibbet dostał zadanie namierzenia Richarda Browninga z hotelu Caledonian i dowiedzenia się, jak długo jeszcze potrwa sprawdzanie paragonów z jednego wieczoru w barze hotelowym. Rebus był pewien, że Browning będzie się wykręcać, w nadziei że policja zapomni o swojej prośbie. Dlatego gdy drzwi na salę uchyliły się i pojawiła się w nich twarz oficera dyżurnego z dołu, Rebus był jedynym, który nie robił niczego konkretnego.

— Na dole jest ktoś do was — powiedział sierżant. — Chce wam przekazać listę jakichś Rosjan... Może zestawienie pierwszej jedenastki Heartsów na sobotni mecz?

Rebus wiedział, kto i z jaką listą przyszedł: Nikołaj Stachow z konsulatu z wykazem Rosjan w Edynburgu. Sporządzenie spisu zajęło konsulatowi mnóstwo czasu i Rebus wątpił, czy lista przyda im się teraz do czegokolwiek, bo od prośby o nią sytuacja radykalnie się zmieniła. Mimo to kiwnął głową i powiedział, że zaraz zjedzie. Zresztą i tak nie miał nic lepszego do roboty.

Po wkroczeniu do pomieszczenia recepcji stwierdził jednak, że gościem studiującym afisze na ścianach wcale nie jest Stachow.

Czekał na niego Stuart Janney.

— Pan Janney — przywitał się Rebus. Podał mu rękę, starając się nie okazywać zdziwienia.

— Detektyw inspektor...?

— Rebus — odpowiedział.

Janney zrobił przepaszającą minę, że nie zapamiętał nazwiska.

— Mam tylko do przekazania wiadomość. — Wyciągnął z kieszeni kopertę. — Nie spodziewałem się, że odbierze ją ktoś pańskiego kalibru.

— I wzajemnie. Nie wiedziałem, że bywa pan posłańcem dla rosyjskiego konsulatu.

Na twarzy Janneya pojawił się wymuszony uśmiech.

— Wpadłem na Nikołaja w Gleneagles. Akurat miał przy sobie tą kopertę... wspomniał, że ma ją wam przekazać.

— A pan zaferował, że wybawi go z kłopotu?

— Żaden kłopot. — Janney wzruszył ramionami.

— Jak się udała partyjka golfa?

— Ja nie grałem. FAB miał tam swoją prezentację i przypadkiem zbiegło się to z wizytą naszych rosyjskich przyjaciół.

— To rzeczywiście niezwykły zbieg okoliczności. Ktoś mógłby pomyśleć, że ich nagabujecie.

Tym razem Janney roześmiał się już głośno i aż odrzucił głowę do tyłu.

— Biznes to biznes, panie inspektorze. I nie zapominajmy, że z korzyścią dla Szkocji.

— To prawda. Z tego samego powodu trzymacie się też blisko SNP? Zakładacie, że w maju przejmą stery?

— Jak już wspomniałem podczas pierwszego spotkania, panie inspektorze, bank musi zachowywać neutralność. Ale prawdą jest też, że nacjonałiści stają się coraz silniejsi. Pewnie do niepodległości Szkocji jeszcze dość daleko, ale sprawa jest chyba przesądzona.

— Z korzyścią dla biznesu?

Janney wzruszył ramionami.

— Obiecują obniżkę podatku korporacyjnego.

Rebus przyjrzał się zaklejonej kopercie.

— Czy towarzysz Stachow powiedział, co w niej jest?

— Lista zamieszkałych w Edynburgu ludzi narodowości rosyjskiej. Powiedział, że to dotyczy sprawy Todorowa... — Janney przerwał, jakby oczekiwał, że Rebus coś powie, jednak ten bez słowa schował kopertę do kieszeni.

— A co z wyciągami bankowymi Todorowa? — zapytał — Udało się posunąć sprawę do przodu?

— Jak już mówiłem, panie inspektorze, obowiązują nas pewne procedury. Przy braku egzekutora majątku tryby niekiedy mocno zgrzytają...

— A ubiliście już jakiś interes?

— Interes? — Janney powiedział to tak, jakby nie rozumiał pytania.

— Z tymi Rosjanami, z którymi mamy się tak cackać.

— To nie ma nic wspólnego z cackaniem. Po prostu nie chcemy, żeby odnieśli fałszywe wrażenie.

— Na temat Szkocji? Ten człowiek nie żyje, panie Janney, i nie możemy nic na to poradzić.

Drzwi obok otworzyły się i stanął w nich starszy inspektor Macrae. Był ubrany do wyjścia, w płaszcz i szalik.

— Coś nowego w sprawie pożaru? — zwrócił się do Rebusa.

— Nic, panie inspektorze.

— A wyniki sekcji zwłok?

— Jeszcze ich nie mamy.

— Ale nadal uważasz, że to się wiąże z tym poetą?

— Panie inspektorze, to jest pan Stuart Janney. Pracuje w banku First Albannach.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Rebus miał nadzieję, że Macrae zrozumiał aluzję, ale na wszelki wypadek dodał, że Janney ma im dostarczyć wyciągi z kont bankowych Todorowa.

— Czy mam przez to rozumieć, że jeszcze ktoś nie żyje? — spytał Janney.

— Pożar domu — mruknął Macrae. — Znajomy Todorowa.

— Boże święty...

Rebus wyciągnął rękę do bankowca.

— Cóż — powiedział, uprzedzając jego dalsze pytania. — Raz jeszcze dziękuję, że się pan pofatygował.

— No tak. Pewnie macie teraz co robić.

— Cały katalog od A do Z — potwierdził Rebus z uśmiechem.

Uścisnęli sobie ręce i przez chwilę zanosilo się na to, że

Macrae i Janney wyjdą razem. W obawie, by szef jeszcze czegoś nie chlapnął, Rebus powiedział, że chciałby zamienić z nim słowo, i Janney ruszył do wyjścia sam. Nie czekając na zamknięcie się za nim drzwi, Macrae odezwał się pierwszy.

— Co myślisz o tym Goodyearze? — zapytał.

— Sprawia wrażenie rozgarniętego. — Z miny Macrae wynikało, że spodziewa się dalszego ciągu, ale Rebus na tym poprzestał.

— Chyba Siobhan też tak myśli. — Macrae zawiesił głos. —  
Po twoim odejściu na emeryturę w zespole zajdą pewne zmiany.

— Oczywiście, panie inspektorze.

— Myślę, że Siobhan dojrzała już do awansu na inspektora.

— Wydaje mi się, że dojrzała do niego już wiele lat temu.

Macrae się zamyślił.

— A o czym chciałeś porozmawiać? — spytał po chwili.

— To nic pilnego, panie inspektorze.

Odprowadzając wzrokiem wychodzącego szefa, Rebus przez chwilę walczył z sobą czy nie wyjść na parking i nie zapalić, w końcu jednak ruszył na górę. Po drodze rozdarł kopertę i rzucił okiem na listę. Pozycji było kilkadziesiąt, ale poza nazwiskami nie zapisano na niej żadnych szczegółów w rodzaju adresów czy miejsc pracy. Skrupulatność — a może swoiste poczucie humoru — kazała Stachowowi umieścić na niej także własne nazwisko. Dopisał je na samym końcu, wiedząc doskonale, że tego rodzaju informacje będą dla śledztwa zupełnie bezużyteczne. Po otwarciu drzwi Rebusowi wystarczył jeden rzut oka na twarze Hawes i Tibbeta, by wiedzieć, że mają dla niego jakąś wiadomość.

— Mówcie — ponaglił ich.

Tibbet trzymał w ręku jakąś kartkę.

— Przyszedł faks z hotelu Caledonian. Tamtego wieczoru kilku mieszkańców hotelu zamawiało w barze koniaki.

— Byli wśród nich jacyś Rosjanie?

— Zobacz sam.

Rebus wziął do ręki faks i spojrzał na trzy podane w nim nazwiska. Dwa nic mu nie mówiły, poza tym, że nie brzmiały cudzoziemsko. Trzecie też nie należało do obcokrajowca, ale na jego widok detektyw poczuł szum krwi w uszach.

Pan M. Cafferty.

M jak Morris. Morris Gerald Cafferty.

— Duży Ger — dodała Hawes, zupełnie zresztą niepotrzebnie.



Rebus nie mógł się zdecydować co do jednego: wezwać go czy przesłuchać w domu?

— Ja o tym decyduję, nie ty — przypomniała mu Clarke.

Pół godziny wcześniej wróciła z kostnicy z silnym bólem głowy. Tibbet zrobił jej kawę i Rebus patrzył, jak z blistera wyciska na dłoń dwie tabletki. Todd Goodyear zwymiotował tylko raz, i to dopiero na parkingu po wyjściu z kostnicy, choć w drodze powrotnej przeżył następny kryzys, gdy natknęli się na ekipę kładącą asfalt.

— Było coś w tym smrodzie — wyjaśnił.

Był błąd i wyraźnie poruszony, ale zapewniał wszystkich, że nic mu nie jest, nie patrząc czy ktoś go słucha, czy nie. Clarke przywołała ich do swojego biurka, by przekazać ustalenia patologów: mężczyzna, wzrost metr siedemdziesiąt pięć, dwa sygnety na palcach prawej dłoni, złoty zegarek na lewym przegubie, złamana szczęka.

— Mogła spaść na niego upalona belka z sufitu — wysunęła przypuszczenie Clarke. — Ofiara nie była przywiązana do żadnego mebla, nie miała też związanych rąk ani nóg. Po prostu leżała zwiniona na podłodze w studiu. Przypuszczalna przyczyna śmierci: uduszenie dymem. Gates podkreślił, że to tylko wstępne ustalenia...

— Ale nadal jest to śmierć w podejrzanych okolicznościach — wtrącił Rebus.

— Co znaczy, że to nasza sprawa — wtrąciła Hawes.

— A co z identyfikacją? — zapytał Tibbet.

— Jak się uda, to na podstawie karty dentystycznej.

— A może te sygnety? — zauważył Goodyear.

— Nawet jeśli należały do Riordana — powiedział Rebus — to nigdzie nie jest napisane, że Riordan był ostatnim, które je nosił. Jakies dziesięć czy dwanaście lat temu miałem do czynienia z próbą upozorowania śmierci przez faceta oskarżonego o malwersacje...

Goodyear powoli pokiwał głową na znak, że już rozumie.

I dopiero w tym momencie Rebus przekazał Clarke wiadomość z faksu i zadał nękające go pytanie.

Clarke siedziała przez chwilę w milczeniu, trzymając kartkę w jednej ręce i opierając głowę na drugiej.

— Zaczyna się robić coraz ciekawiej — powiedziała w końcu. Uniósła głowę i spojrzała na Rebusa. — To co, pokój przesłuchań trzy?

— PP trzy. — Kiwnął głową. — Tylko nie zapomnij włożyć czegoś ciepłego.



Cafferty rozsiadł się na krześle odsuniętym od stołu, założył nogę na nogę i splótł ręce za głową z taką miną, jakby siedział we własnym salonie.

— Siobhan — powiedział na jej widok. — Zawsze miło cię widzieć. Rebus, ona wygląda jak z obrazka. Wyszkoliłeś ją do perfekcji.

Rebus zamknął za sobą drzwi i stanął pod ścianą, Clarke usiadła na krześle po drugiej stronie stołu. Cafferty lekko skłonił przed nią głowę, błyskając przy tym swą rozległą łysiną, ale splecionych za nią dłoni nie rozplótł.

— Tak się właśnie zastanawiałem, kiedy mnie wreszcie wezwiecie — oznajmił.

— Czyli wiedział pan, że do tego dojdzie? — Clarke położyła przed sobą plik czystych kartek i zdjęła nasadkę z długopisu.

— W sytuacji, kiedy inspektorowi Rebusowi zostało już tylko parę dni do wysypiska? — Gangster zwrócił ku niemu głowę. — Wiedziałem, że znajdziesz jakiś pretekst, żeby mi zatruć życie.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to mamy ciut więcej niż pretekst...

— Siobhan, czy wiesz — przerwał mu Cafferty — że John przesiaduje w nocy pod moim domem i pilnuje, żebym grzecznie leżał w łóżku? Rzekłbym, że tego rodzaju opiekuńczość wykracza poza zwykłe obowiązki służbowe.

Clarke postanowiła nie dać się wytrącić z równowagi. Położyła długopis na stole, ale musiała go zaraz znów wziąć do ręki, bo zaczął się toczyć ku krawędzi.

— Proszę nam opowiedzieć o Aleksandrze Todorowie.

— Mogłabyś powtórzyć?

— O tym, któremu w ubiegłą środę wieczorem postawił pan koniak za dziesięć funtów.

— W barze hotelowym Caledonian — uzupełnił Rebus.

— Chodzi wam o tego Polaka?

— Akurat Rosjanina — poprawiła go Clarke.

— Mieszkaś niecałe dwa i pół kilometra stamtąd — dodał Rebus. — Ciekawe, po co ci tam pokój.

— Może po to, żeby móc się wymykać spod twojej kurateli? — Cafferty udał, że się zastanawia. — A może po prostu dlatego, że mnie na to stać.

— I spędza pan czas w barze na stawianiu drinków obcym ludziom? — wtrąciła Clarke.

Cafferty rozplótł dłonie i uniośł jeden palec, jakby dla podkreślenia wagi swych słów.

— Różnica między Rebusem a mną polega na tym, że on może przesiadzić w barze cały wieczór i nikomu nic nie postawi. — Zachichotał. — Więc to o to chodzi? Ściągacie mnie tutaj dlatego, że postawiłem drinka jakiemuś biednemu imigrantowi?

— Jak wielu „biednych imigrantów” twoim zdaniem zagląda do tego baru?

Cafferty znów udał, że się zastanawia. Przymknął swe głęboko osadzone oczy i po chwili znów je otworzył. Były jak dwa czarne kamyki zatopione w rozlanej białej masie.

— Trudno wam odmówić racji — przyznał. — Ale tego faceta naprawdę nie znałem. A co on takiego zrobił?

— Dał się zamordować — powiedział Rebus zupełnie obojętnym tonem. — I jak dotąd jesteś ostatnim, który go widział żywego.

— Zaraz, chwileczkę. — Cafferty przez chwilę przenosił wzrok z Rebusa na Clarke. — Chodzi o tego poetę, o którym piszą w gazetach?

— Napadnięto go na King's Stables Road jakieś piętnaście czy dwadzieścia minut po tym, jak pił z tobą drinka. O co się pokłóciliście?

Cafferty zignorował Rebusa i skupił wzrok na twarzy Clarke.

— Czy potrzebny mi adwokat? — zapytał.

— Na razie nie — powiedziała obojętnie.

Cafferty znów się uśmiechnął.

— Nie zastanawia cię, Siobhan, dlaczego pytam o to ciebie, a nie Rebusa? W końcu jest starszy stopniem. — Zwrócił twarz w stronę Rebusa. — Ale jak mówiłem, zostało ci już tylko parę dni do wysypiska, a Siobhan stale się pnie. Więc jeśli wy dwoje macie na tapecie jakąś sprawę, to zakładam, że stary Macrae ma na tyle oleju w głowie, żeby powierzyć ją Shiv.

— Tylko moim przyjaciołom wolno mnie tak nazywać.

— Proszę o wybaczenie, Siobhan.

— Dla pana jestem detektyw sierżant Clarke.

Cafferty gwizdnął z podziwem i klepnął się dłonią w mięsiste udo.

— Wyszkoliłeś ją do perfekcji — powtórzył. — A przy tym jest naprawdę zabawna.

— Co pan robił w hotelu Caledonian? — spytała Clarke. Powiedziała to tak, jakby go w ogóle nie usłyszała.

— Wybrałem się na drinka.

— A po co potrzebny był pokój?

— Złapanie taksówki na powrót do domu bywa okropnie trudne.

— W jaki sposób poznał pan Aleksandra Todorowa?

— Siedziałem w barze...

— Sam?

— Ale tylko dlatego, że tak chciałem. W odróżnieniu od inspektora Rebusa mam mnóstwo przyjaciół, z którymi mogę wypić i pogadać. Jestem gotów się założyć, że z panią, pani detektyw sierżant Clarke, też byłoby miło spotkać się przy drinku. Oczywiście, gdyby w pobliżu nie było tego ponuraka.

— I Todorow przypadkiem usiadł obok pana?

— Ja siedziałem na stołku przy barze, on stał obok i czekał aż barman go obsłuży. Barman był zajęty mieszaniem koktajlu, więc to chwilę potrwało i zaczęliśmy rozmawiać. Spodobał mi się na tyle, że kazałem jego drinka dopisać do mojego rachunku. — Cafferty ostentacyjnie wzruszył ramionami. — Wypił, podziękował i się zmył.

— Nie zaproponował, że ci też postawi? — spytał Rebus. Po-dejrzewał w Todorowie pijaczka starej szkoły, któremu honor nakazuje rewanz.

— Skoro pytasz, to tak, zaproponował — przyznał Cafferty. — Ale mu powiedziałem, że mam już dosyć.

— Miejmy nadzieję, że nagranie z barowej kamery to potwierdzi.

Po raz pierwszy kamienna twarz Cafferty'ego drgnęła, choć wyraz zmieszania tylko po niej przemknął.

— Potwierdzi — powiedział spokojnie.

Rebus w milczeniu pokiwał głową, ale Clarke z trudem stłumiła uśmiech. Dobrze wiedzieć, że Cafferty'ego można czymś poruszyć.

— Ofiarę bezlitośnie skatowano — mówił dalej Rebus. — Jak-by się tak zastanowić, to od początku pasowałoby mi to do ciebie.

— Zawsze lubiłeś dopasowywać niewinnych do czyichś przestępstw. — Cafferty przeniósł wzrok na Clarke. Na pierwszej stronie leżącego przed nią pliku widać było tylko rządęk bohomazów. — Trzy, cztery wieczory w tygodniu spędza w tym swoim starym rzęchu pod moim domem. Niektórzy mogliby to nawet uznać za policyjne nękanie, nie sądzi pani, detektyw sierżant Clarke? Myśli pani, że powinienem wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się?

— O czym wtedy rozmawialiście?

— Znów wracamy do tego Rosjanina? — W głosie Cafferty'ego słychać było zawód. — Jeśli dobrze pamiętam, mówił coś o Edynburgu. Nazwał go zimnym miastem. A ja chyba powiedziałem, że ma świętą rację.

— Może chodziło mu bardziej o ludzi niż o klimat.

— I nadal miałby rację. Oczywiście nie mówię o pani, detektyw sierżant Clarke. Pani jest jak promyk słońca. Ale ci z nas, którzy

spędzili tu całe życie, miewają skłonności do ponuractwa, nieprawdaż, inspektorze Rebus? Jeden ze znajomych wytłumaczył mi kiedyś, dlaczego tak się dzieje. Ponieważ nigdy nie przestaliśmy być obiektem inwazji. Oczywiście cichej inwazji, całkiem przyjemnej, czasem przypominającej bardziej mżawkę niż nawałnicę, ale w rezultacie staliśmy się dość... drażliwi. Niektórzy nawet bardziej od innych. — Spojrzał znacząco na Rebusa.

— Nadal nam nie wyjaśniłeś, dlaczego trzymałeś pokój w hotelu — przypomniał Rebus.

— Zdawało mi się, że tak.

— O ile przyjemniemy, że uważasz nas za półgłówków.

— Zgoda, uznanie was za półgłówków byłoby przesadą. — Cafferty znów ironicznie zachichotał. Rebus włożył ręce do kieszeni, aby ukryć dłonie same zaciskające mu się w pięści. — Słuchajcie — dodał nagle innym tonem, jakby chciał dać sygnał, że znudziła mu się już ta zabawa. — Postawiłem drinka nieznanemu, potem ktoś go napadł i sprawa skończona.

— Dopóki się nie dowiemy kto i dlaczego, to nie będzie skończona — burknął Rebus.

— O czym jeszcze rozmawialiście? — spytała Clarke.

Cafferty ostentacyjnie wzniosł oczy ku górze.

— Powiedział, że w Edynburgu jest zimno, a ja się zgodziłem. Stwierdził, że w Glasgow jest ciepłej, a ja odparłem, że to możliwe. Potem barman podał mu kieliszek i obaj powiedzieliśmy „na zdrowie”... Teraz sobie przypominam, że miał coś ze sobą. Co to było? Chyba jakaś płyta kompaktowa.

Tak, kompakt, który dostał od Riordana podczas kolacji zjedzonej przez dwóch nieboszczyków. Rebus czuł, jak jego dłonie się otwierają i na powrót zaciskają. Otwierają i zaciskają. Zdał sobie sprawę z tego, że Cafferty symbolizuje wszystkie jego porażki — wszystkie przegapione okazje i niedoprowadzone do końca śledztwa, wszystkich niewykrytych sprawców i nierozwiązane zagadki. Nie był jak ziarno piasku, które drażni ostrygę — był jak śmieć zatruwający wszystko wokół.

I nie ma żadnego sposobu, żeby go dopaść.

Chyba że na górze naprawdę jest dobry Bóg, który da mu ostatnią szansę.

— Przy ofercie nie znaleziono żadnej płyty — oświadczyła Clarke.

— Z baru ją zabrał — powiedział Cafferty, klepiąc się po prawym boku. — Wsunął ją do kieszeni.

— Widziałeś wtedy w barze jakichś innych Rosjan? — spytał Rebus.

— Teraz sobie przypominam, że w barze było słycać jakąś dziwną wymowę. Myślałem nawet, że mówią po gaelicku. Jeśli dobrze pamiętam, to obiecałem sobie, że jak tylko zaczną zawodzić te swoje songi, to idę do łóżka.

— Czy Todorow rozmawiał z którymś z nich?

— A skąd ja mogę wiedzieć?

— Bo z nim byłeś.

Cafferty wałnął dłońmi w brudny blat.

— Wypiłem z nim tylko jednego drinka!

— To ty tak twierdzisz.

Znowu cię poruszyło, ty bydlaku.

— A to znaczy, że był pan ostatnią osobą, z którą Todorow rozmawiał przed śmiercią — dorzuciła Clarke.

— Chcecie powiedzieć, że za nim poszedłem? Że to ja go załatwiłem? Dobra, no to sprawdźmy to wasze nagranie z barowej kamery... sprowadźmy tu barmana i zapytajmy, jak długo jeszcze zostałem w barze. Najwyraźniej sprawdzaliście mój rachunek. Zauważyliście, o której go podpisałem? Ruszyłem się stamtąd dopiero dobrze po północy. Tłum świadków w barze... podpis na rachunku... nagranie z barowej kamery. — Triumfalnym gestem uniósł trzy palce. W PP3 zapadło milczenie. Rebus oderwał się od ściany, zrobił parę kroków i stanął obok krzesła Cafferty'ego.

— Ale coś się w tym barze wydarzyło, prawda? — spytał niemal szeptem.

— Czasem ci zazdroszczę tej twojej wyobraźni, Rebus. Naprawdę.

Rozległo się pukanie i Clarke wypuściła powietrze, które niemal podświadomie wstrzymywała. Zwróciła głowę ku drzwiom i rzuciła: „Wejść”. W szparze drzwi pojawiła się głowa Goodyeara.

— Czego chcesz?! — warknął Rebus.

Choć słowa były adresowane do Clarke, Goodyear ani na chwilę nie odrywał wzroku od Cafferty'ego.

— Inspektor pożarowa ma do przekazania jakiejś informacji.

— Jest tutaj?

— Czekaj w wydziale.

— Widzę dopływ świeżej krwi — powiedział Cafferty, mierząc chłopaka wzrokiem od stóp do głów. — Jak się nazywasz, synu?

— Posterunkowy Goodyear.

— Policjant po cywilnemu? — Uśmiechnął się. — Wydział śledczy musi gonić w piętę. To na twoje miejsce, Rebus?

— Dziękuję, Goodyear — rzekł Rebus, podkreślając kiwnięciem głową, że chłopak może już odejść.

Cafferty był jednak innego zdania.

— Znałem kiedyś jednego nicponia o tym nazwisku...

— Którego? — odważył się zapytać Goodyear.

Uśmiech Cafferty'ego przeszedł w głośne parsknięcie.

— Słusznie. Kiedyś znałem starego Harry'ego, prowadził pub przy Rose Street. Ale miałem na myśli nowsze czasy.

— Solomona Goodyeara — podpowiedział Todd.

— O właśnie! — Oczy Cafferty'ego rozblęły się. — Wszyscy mówili na niego Sol.

— To mój brat.

Cafferty w zamyśleniu pokiwał głową. Rebus dał kolejny znak Goodyearowi, że ma się wynosić, ale młodzieniec stał w miejscu jak zauroczony.

— Teraz sobie przypominam, że Sol miał brata... ale nigdy nie chciał o nim rozmawiać. Czy to znaczy, posterunkowy Goodyear, że jesteście czarną owcą w rodzinie? — Znow parsknął śmiechem.

— Powiedz pani inspektor, że za chwilę przyjdziemy — rzuciła Clarke, ale Goodyear nawet nie drgnął.

— Todd? — syknął Rebus.

Dopiero na dźwięk swego imienia chłopak jakby się otrząsnął, skinął głową i wycofał się z pokoju.

— Sympatyczny dzieciak — powiedział Cafferty. — Znaczący, jak Rebus odjedzie na koniu w stronę zachodzącego słońca, to ten chłopak zostanie pani pupilkiem, sierżant Clarke. Tak jak kiedyś



pani była pupilką Rebusa. — Żadne z dwojga nie zareagowało i Cafferty postanowił wykorzystać chwilę przewagi. Przeciągnął się, rozłożył ręce na boki i zaczął wstawać z krzesła. — To już wszystko?

— Na razie — rzuciła Clarke.

— Nie chcecie, żebym podpisał jakieś dokumenty czy coś w tym rodzaju?

— Szkoda papieru na twoje podpisy — mruknął Rebus.

— Zbieraj wszystko, póki możesz — poradził Cafferty, patrząc prosto w oczy swemu wieloletniemu wrogowi. — Pewnie do zobaczenia wieczorem tam, gdzie zawsze. Będę myślał o tobie, jak zamarzasz na kość w tym swoim samochodzie. A przy okazji gratuluję pomysłu z zakręceniem ogrzewania w tej mordowni. Pozwoli mi to jeszcze bardziej docenić komfort mojego pokoju w hotelu.

— A skoro mowa o Caledonian — weszła mu w słowo Clarke — to tamtego wieczoru zapłacił pan za mnóstwo drinków. Jedenaście, jeśli dobrze pamiętam.

— Może miałem pragnienie, a może tylko szeroki gest. — Wzrok Cafferty'ego spoczął na jej twarzy. — Bo ja potrafię być szczodry, Siobhan, jeśli tylko okoliczności temu sprzyjają. Ale sama o tym wiesz, prawda?

— Wiem o wielu rzeczach, Cafferty.

— Och, nie wątpię. Więc jakbyś mnie teraz odwiozła do miasta, to moglibyśmy sobie pogadać po drodze.

— Przystanek autobusowy jest po drugiej stronie ulicy — syknął Rebus.

— Coś się w tym barze wydarzyło — powtórzył Rebus, idąc z Clarke na górę.

— Już to mówiłeś.

— Cafferty był tam nieprzypadkowo. Przez całe swoje życie nie wydał bez potrzeby choćby jednego funta, więc skąd nagle ten pokój w jednym z najdroższych hoteli w mieście?

— Nie sędzę, żeby nam to powiedział.

— Ale ten jego pobyt w hotelu zbiega się w czasie z wizytą oligarchów. — Spojrzała na niego zaskoczona, a Rebus wzruszył ramionami. — Zająłem do słownika. Myślałem, że może ma to związek z ropą naftową.

— A oznacza niewielką grupkę wpływowych ludzi, tak?

— Właśnie.

— Tylko że mamy jeszcze tę kobietę koło parkingu...

— Mógł ją tam wysłać Cafferty. W swoim czasie należało do niego parę burdeli.

— Albo nie miała z tym nic wspólnego. Każę Hawes i Tibbetowi porozmawiać ze świadkami i sprawdzić, czy ta komputerowa podobizna kogoś im nie przypomni. Ale na razie mam znacznie ważniejsze pytanie: co ty, do cholery, wyprawiasz z tą jednoosobową inwigilacją Dużego Gera Cafferty'ego?

— Zamiast słowa „inwigilacja” wolałbym „vendetta”. — Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała ją ruchem ręki. — Wczoraj wieczorem byłem u niego pod domem i mogę potwierdzić, że się stamtąd nie ruszał.

— No i co z tego?  
— To, że trzyma pokój w Caledonian, ale z niego nie korzysta.  
— Dotarli do drzwi wydziału śledczego. — A to znaczy, że coś kombinuje. — Rebus otworzył drzwi i weszli do środka.  
Zastali Katie Glass z kubkiem herbaty w dłoni, bez przekonania wpatrującą się w jego niemal czarną zawartość.  
— To specjalność detektywa Tibbeta — ostrzegł ją Rebus. — Jeśli nie boi się pani zatrucia taniną to zapraszam do wypicia.  
— Chyba jednak zrezygnuję — bąknęła kobieta, odstawiając kubek na krawędź biurka.  
Rebus przedstawił się i uściśnął jej rękę, Clarke podziękowała za przyjście i spytała, czy ma dla nich coś nowego.  
— To dopiero wstępne wyniki — zastrzegła się Glass.  
— Niemniej...? — zachęcił ją Rebus, czując, że ma im coś do powiedzenia.  
— Niewykluczone, że znaleźliśmy źródło ognia. Szklana buteleczka z jakąś substancją chemiczną w środku.  
— Jaką substancją? — zapytała Clarke.  
Stała z rękami założonymi na piersiach obok Rebusa. Glass, Hawes i Tibbet przysłuchiwali się rozmowie zza biurka i tylko Todd Goodyear stał odwrócony plecami i patrzył przez okno. Rebus był ciekaw, czy obserwuje odejście Cafferty'ego.  
— Posłaliśmy to do analizy — odrzekła inspektor. — Ale gdybym musiała zgadywać, postawiłabym na jakiś płyn czyszczący.  
— Taki do sprzątania? Glass pokręciła głową.  
— Za mała buteleczka. Ale w domu było mnóstwo nagrań...  
— Płyn do konserwacji — domyślił się Rebus. — Do zmywania nalotu tlenkowego z głowic magnetofonowych.  
— Brawo — uśmiechnęła się Glass.  
— Kiedyś miałem fioła na punkcie aparatury hi-fi.  
— Wygląda na to, że do jednej z buteleczek wetknięto zwitek bibuły. Znaleźliśmy ją pod stertą stopionych kaset.  
— W pokoju?  
Glass potwierdziła.  
— I myśli pani, że zrobiono to celowo?  
Wzruszyła ramionami

— Zwykle jak ktoś chce wywołać pożar domu, to polewa wszystko benzyną czy czymś takim. A tu użyto tylko paru listków papieru toaletowego i małej buteleczki rozpuszczalnika.

— Zaczynam rozumieć, do czego pani zmierza — powiedział Rebus. — Że mogło nie chodzić o śmierć Riordana. — Zawiesił głos, jakby pozwalając, żeby go ktoś ubiegł. — Celem podpalacza były nagrania.

— Nagrania? — powtórzyła Hawes, marszcząc czoło.

— Taśmy spalone na domowym stosie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że Riordan miał coś, na czym komuś zależało.

— Albo temu komuś zależało, żeby ta rzecz nie trafiła do kogoś innego — dodała Clarke, pocierając sobie podbródek. — Czy coś z tych taśm zostało, Katie?

Glass ponownie wzruszyła ramionami.

— Większość szpul uległa zwęgleniu, ale część kaset jest w nieco lepszym stanie.

— Na tyle lepszym, że mogą się dać odtworzyć?

— Niewykluczone — kiwnęła głową Glass. — Mamy całą furę kaset, których ogień tak bardzo nie uszkodził, ale nie wiem, które z nich nadają się do odtworzenia. Poza ogniem były poddane działaniu temperatury, dymu i wody. Zostało też trochę sprzętu nagrywającego i być może zawartość twardych dysków również dałoby się odzyskać. — Mówiła to jednak bez większego przekonania.

Rebus porozumiał się wzrokiem z Clarke.

— Wymarzone zadanie dla Raya Duffa — powiedział. Dopiero teraz Goodyear odwrócił się od okna.

— Kto to jest Ray Duff? — zapytał.

— Laboratorium kryminalistyczne — odparła Clarke, nie odwracając wzroku od Rebusa. — A ten technik w studiu Riordana? Może on mógłby coś pomóc.

— Może też mieć kopie nagrań — wtrącił Tibbet.

— To gdzie mam to wszystko przesłać? — spytała Glass, składając ręce na piersiach. — Tutaj, do laboratorium czy do studia denata? W każdym razie mam obowiązek informować o wszystkim waszych kolegów z Okręgu D.

Rebus na moment się zamyślił, zaraz jednak wydał policzki i ze świstem wypuścił powietrze.

— O wszystkim decyduje detektyw sierżant Clarke — powiedział.



Barman Freddie i tym razem był w pracy. Rebus stanął na chwilę pod budynkiem Caledonian i pałac, obserwował ruch przed hotelem. Kierowcy dwóch stojących na postoju taksówek wysiedli i wdali się w pogawędkę. Odźwierny w liberii tłumaczył coś parze turystów, ktoś — zapewne też turysta — zajęty był fotografowaniem bogato zdobionego zegara na rogu domu towarowego Frase-ra. W Edynburgu wciąż brakowało miejsc hotelowych dla rosnącego tłumu przyjezdnych i bezustannie dyskutowano, projektowano i podejmowano budowę nowych obiektów. Rebus mógłby bez trudu wymienić pięć czy sześć hoteli, które zbudowano od zera w ciągu ostatnich dziesięciu lat, oraz kilka, których budowa właśnie trwała. Kreowało to obraz Edynburga jako miasta dynamicznego rozwoju. Coraz więcej ludzi chciało w nim pracować, odwiedzać go i robić tu interesy, a powstanie parlamentu stworzyło wiele nowych możliwości. Niektórzy uważali, że ogłoszenie niepodległości wszystko przyhamuje, inni upierali się, że zmiany pozwolą na dalszy rozwój, przy jednoczesnym pozbyciu się ograniczeń wynikłych z dewolucji. Rebusa zaciekawiło to, że tak pragmatyczny bankowiec jak Stuart Janney uznawał za stosowne przymilanie się do zagorzałej nacjonalistki w rodzaju Megan Macfarlane, ale jeszcze bardziej zaintrygowała go wizyta rosyjskich biznesmenów. Rosja to ogromny kraj, opływający we wszelkiego rodzaju bogactwa naturalne, a na jej terenie zmieściłoby się kilkadziesiąt Szkocji, więc czego oni tu szukają? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Skończył palić i wszedł do środka. Usiadł na stołku przy barze i rzucił do Freddiego przyjacielskie „dzień dobry”. Widać było, że barman pamięta jego twarz, ale chyba jej nie kojarzy i myli z którymś z bywalców. Położył przed Rebusem kartonową podstawkę i zapytał, co podać.

— To co zwykle — odparł Rebus, śmiejąc się w duchu z popłochu, jaki to zamówienie wywołało na twarzy barmana.

Potem potrząsnął głową i dodał: — Jestem tym gliniarzem z piątku. Ale małą whisky z kropelką wody mogę sobie strzelić byle na koszt firmy.

Freddie się zawahał, ale odwrócił się do baterii butelek na półkach.

— Tylko żeby była malt — upomniał go Rebus. Bar świecił pustkami, detektyw był jedynym gościem. — Widzę, że o tej porze wesoło tu jak na cmentarzu.

— Mam dziś podwójną zmianę, więc chwila spokoju mi się przyda.

— I mnie. Bo to znaczy, że możemy swobodniej pogadać.

— Pogadać?

— Mamy paragony barowe z tego wieczoru, kiedy był tu ten Rosjanin. Pamiętasz? Siedział przy barze, a jeden z gości postawił mu koniak. Ten gość nazywa się Morris Gerald Cafferty.

Freddie postawił przed Rebusem szklaneczkę z whisky i napełnił dzbanuszek wodą z kranu. Rebus dolał sobie parę kropli i podziękował.

— Musisz znać Cafferty'ego — powiedział z naciskiem. — Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, chciałeś mi wmówić, że go nie znasz. Pewnie po to wypuściłeś fałszywkę, że Todorow mógł rozmawiać po rosyjsku z człowiekiem, który mu postawił drinka. Nie mam o to do ciebie pretensji, Freddie. Komuś takiemu jak Cafferty strach się narazić. — Złowróżbnie zawiesił głos. — Problem w tym, że mnie też.

— Trochę mi się pomieszało, nic więcej. Był wtedy duży ruch. Zjawił się Joseph Bonner z piątką znajomych... przy stoliku siedziała lady Helen Wood z szóstką przyjaciół...

— Widzę, że już nie masz trudności z przypomnieniem sobie nazwisk, co? — Rebus się uśmiechnął. — Ale mnie interesuje Cafferty.

— Wiem, kim jest ten dżentelmen — przyznał w końcu barman.

Uśmiech rozjaśnił twarz Rebusa.

— Pewnie wynajął pokój w tym hotelu dlatego — powiedział — że go tu nazywają dżentelmenem. Nie znajdziesz w tym mieście wielu innych takich miejsc, możesz mi wierzyć.

— Wiem, że miewał kłopoty.

— To żadna tajemnica — potwierdził Rebus. — Może nawet sam ci o tym wspomniał i poradził, żebyś kupił książkę o nim, która wyszła w zeszłym roku, co?

Freddiemu nie udało się ukryć uśmiechu.

— Sam mi ją dał, i to z własnoręcznym autografem.

— Strasznie jest rozrzutny. Często się tu zatrzymuje?

— Wynajął pokój w zeszłym tygodniu. Podobno za parę dni ma się wynieść.

— Ciekawe. — Rebus udał, że przygląda się zawartości swojej szklaneczki. — Bo to akurat pokrywa się z pobytom tych Rosjan.

— Naprawdę? — Ton, jakim barman zadał to pytanie świadczył niebicie, że wie, o czym mowa.

— Chciałbym ci tylko przypomnieć — głos Rebusa stał się groźny — że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa... a właściwie już dwóch morderstw. Tego wieczoru, kiedy ten poeta tu był, wcześniej jadł kolację z człowiekiem, którego właśnie znaleziono martwego. Sprawa robi się poważna, Freddie, i powinieneś o tym pamiętać. Nie chcesz nic mówić, twoja sprawa. Po prostu przyślę po ciebie radiowóz, założą ci kajdanki, wsadzą do naszej gościnnej celi i posiedzisz sobie do czasu, aż nam nie przygotują pokoju przesłuchań... — Zrobił przerwę i odczekał, by jego słowa w pełni dotarły do świadomości chłopaka. — Staram się być miły, Freddie, tak żeby nie „wywierać presji” i uwzględniać „dobro człowieka”. Ale to wszystko może się zmienić. — Włał sobie do gardła resztkę whisky.

— Jeszcze jedną? — skwapliwie spytał barman.

Z jego tonu wynikało, że jest już gotowy do współpracy.

Rebus potrząsnął głową.

— Opowiedz mi o Caffertym.

— Przychodzi prawie co wieczór. Ma pan rację co do tych Rosjan. Jeśli wygląda na to, że się nie pojawia, on też się zmywa. Wiem, że zagląda również do restauracji. Rozgląda się i jeśli nigdzie ich nie ma, wycofuje się.

— A jak są?

— To siada przy sąsiednim stoliku. To samo tutaj. Mam wrażenie, że wcześniej ich nie znał, ale teraz z kilkoma zdążył się już poznać.

- Zaprzyjaźnili się i sobie gawędzą?
- Niezupełnie. Mówią słabo po angielsku. Ale każdy ma swojego tłumacza, a częściej tłumaczkę, zwykle atrakcyjną blondynkę...
- Rebus pamiętał, że Andropowowi pod budynkiem magistratu nie towarzyszyła żadna blond laska.
- Ale nie wszyscy z nich potrzebują tłumaczy, prawda?
- Pan Andropow mówi płynnie po angielsku — przytaknął Freddie.
- Czyli pewnie lepiej od Cafferty'ego.
- Też mi się tak czasem zdaje. I akurat w tym przypadku odniosłem wrażenie, że mogli się już znać wcześniej...
- To znaczy?
- Kiedy pierwszy raz się tu spotkali, wyglądało na to, że nie muszą się sobie przedstawiać. Kiedy pan Andropow podał rękę panu Cafferty'emu, to drugą jakoś tak mu położył na ramieniu... sam nie wiem. — Freddie wzruszył ramionami. — Po prostu wydało mi się, że się znają.
- A co możesz powiedzieć o Andropowie?
- Barman ponownie wzruszył ramionami.
- Daje dobre napiwki, nigdy dużo nie pije. Najczęściej wodę. Zawsze prosi o szkocką mineralną.
- Chodziło mi o to, co wiesz o jego biznesie.
- Absolutnie nic.
- To tak jak ja — przyznał Rebus. — Ile razy Cafferty i Andropow się tu spotkali?
- Ja ich widziałem ze dwa razy... mój zmiennik Jimmy mówił, że też ich raz widział przy długiej pogawędce.
- Wiesz, o czym rozmawiali?
- Nie mam pojęcia.
- Mam nadzieję, Freddie, że nie próbujesz niczego przede mną ukrywać.
- Nie próbuję.
- Powiedziałeś, że angielski Andropowa jest lepszy niż Cafferty'ego.
- Ale nie na podstawie ich rozmowy ze sobą.
- Rebus przygryzł dolną wargę.
- No to o czym Cafferty rozmawia z tobą? — zapytał.



— Głównie o Edynburgu. O tym, jak tu kiedyś było... jak wiele się zmieniło...

— Brzmi fascynująco. Nic o Rosjanach?

Freddie pokręcił przecząco głową.

— Powiedział, że najlepszym momentem jego życia było wyjście na „legal”.

— Jego legal jest równie autentyczny jak rolex za dwadzieścia funciaków.

— Mnie też je parę razy wciskano — przyznał barman. — Zauważyłem, że ci wszyscy panowie z Rosji mają ładne zegarki i garnitury szyte na miarę, za to liche buty. Nie pojmuję tego. Ludzie powinni bardziej dbać o stopy. — Widać uznał, że jest winien wyjaśnienie, bo dodał: — Moja dziewczyna jest pedikiurzystką.

— Wasze rozmowy w łóżku muszą być pasjonujące — mruknął pod nosem Rebus. Oczyma wyobraźni widział, jak pusty teraz bar pulsuje obecnością rosyjskich bogaczy i ich urodziwych tłumaczy.

I kręcącego się wśród nich Dużego Gera Cafferty'ego.

— Tego wieczoru, kiedy był tu ten poeta... Wypił tylko jeden koniak z Caffertym i zaraz potem wyszedł?

— Tak było.

— A co zrobił Cafferty? — Rebus miał w pamięci paragon z baru: łącznie jedenaście drinków.

Freddie się zamyślił.

— Chyba jeszcze trochę został... tak, siedział tu prawie bez przerwy aż do zamknięcia.

— Prawie?

— No bo może wyskoczył na chwilę do kibla. Pamiętam też, że przeniósł się do stolika pana Andropowa. Siedział z nim jeszcze ktoś, chyba jakiś polityk.

— Chyba?

— Bo ile razy się pokazują w telewizorze, to od razu ściszam głos.

— Ale tego rozpoznałeś?

— Tak jak mówię. Wydaje mi się, że ma coś wspólnego z parlamentem.

— Który to był boks?

Barman pokazał ręką, Rebus zsunął się ze stołka i podszedł do stolika.

— Gdzie siedział Andropow?

— Trochę głębiej... o tak, tam.

Z tego miejsca widać było tylko bliższy koniec lady barowej. Stołek, z którego detektyw zszedł przed chwilą i na którym wcześniej siedział Todorow, był stąd niewidoczny. Rebus wstał i wrócił do baru.

— Jesteś pewien, że nie macie tu kamer?

— Nie są nam potrzebne.

Rebus na chwilę zamilkł.

— Zrób coś dla mnie, dobrze? Podczas następnej przerwy znajdź sobie jakiś komputer.

— Komputery są w centrum biznesowym.

— Zajrzyj na stronę szkockiego parlamentu. Znajdziesz na niej jakieś sto dwadzieścia dziewięć twarzy... sprawdź, czy rozpoznasz wśród nich tego gościa.

— Mam tylko dwudziestominutowe przerwy.

— Zadzwoń do mnie, jak tylko ustalisz jego nazwisko — powiedział Rebus, ignorując jego uwagę i wręczając wizytówkę.

Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy drzwiczki wahałkowe się otworzyły i do baru wkroczyło dwóch mężczyzn w garniturach. Po ich minach można było poznać, że przychodzą opić jakąś korzystną transakcję.

— Butelkę kruga! — rzucił jeden z nich, nie zważając na to, że barman jest zajęty innym klientem. Freddie spojrzał pytająco na Rebusa, a ten lekko skinął głową na znak, że może już wracać do swych barmańskich powinności.

— Założę się, że ci nawet nie zostawią napiwku — parsknął pod nosem.

— Może nie — mruknął Freddie — ale przynajmniej zapłacą...

Clarke postanowiła wyjść z sali, żeby Goodyear nie usłyszał jej pytania do Rebusa, czy mu już zupełnie odbiło.

— Przecież już nas ostrzeżono — powiedziała prawie szeptem do słuchawki. — Z jakiej racji mielibyśmy go wzywać?

— Każdy, kto pije przy jednym stoliku z Caffertym, jest podejrzany.

Westchnęła na tyle głośno, żeby to usłyszał.

— Póki nie będziemy mieć czegoś konkretnego, nie chcę, żebyś się zbliżał do rosyjskiej delegacji na mniej niż sto metrów.

— Zawsze psujesz mi zabawę.

— Zrozumiesz to, jak dorośniesz.

Rozłączyła się i wróciła na salę, gdzie Todd Goodyear ślęczał nad uruchomieniem magnetofonu wypożyczonego z jednego z pokoi przesłuchań. Okazało się, że Katie Glass udało się zebrać w domu Riordana kilka plastikowych woreczków kaset, i Goodyear przed chwilą przytaskał je z bagażnika jej samochodu.

— Jeździ priusem — poinformował kolegów.

Woreczki zostały rozpieczętowane i pomieszczenie wypełniła woń spalonego plastiku. Zdawało się, że część kaset jest nietknięta, podobnie jak dwie cyfrowe nagrywarki. Goodyear wsunął kasetę do magnetofonu i nacisnął klawisz odtwarzania. Wewnętrzny głośnik kasetowca nie był najwyższej jakości i wszyscy podeszli bliżej, aby lepiej słyszeć. Z taśmy dochodziło pobrzękiwanie naczyn i daleki, niewyraźny gwar rozmów.

— Jakiś pub albo kawiarnia, albo coś w tym rodzaju — zauważył Goodyear. Jednostajny gwar ciągnął się przez wiele minut i przerywały go tylko czyjeś kaszlnięcia bliżej mikrofonu.

— To na pewno Riordan — zawyrokowała Clarke.

Kazała Toddowi przewinąć taśmę do przodu, ale nic się nie zmieniło. Nadal to samo miejsce i ten sam monotony, niezrozumiały gwar.

— Tańczyć by się przy tym nie dało — parsknął Goodyear.

Clarke poleciła mu wyjąć kasetę i przełożyć na drugą stronę.

Tym razem dźwięki wskazywały na dworzec kolejowy. Słysząc było głośny gwizdek zawiadowcy i odgłos ruszającego pociągu, potem mikrofon powędrował do holu dworcowego i usłyszeli głosy ludzi stojących pod tablicą odjazdów czy przyjazdów pociągów. Ktoś w pobliżu mikrofonu kichnął i usłyszeli Riordana mówiącego „na zdrowie”. Potem mikrofon wychwycił głosy dwóch kobiet rozmawiających o swych partnerach i podążył za nimi. Kobiety podeszły do stoiska z kanapkami i zaczęły roztrzasać zalety różnych nadziei bagietek. Dokonawszy wyboru, przeszły do sąsiedniego stoiska z napojami, gdzie zamówiły po kawie i wróciły do rozmowy o partnerach. Na taśmie słysząc było syk ekspresu do kawy, potem wszystko utonęło w głośnej zapowiedzi przez dworcowy megafon, z której można było wyłowić nazwy Inverkeithing i Dunfermline.

— To musi być dworzec Waverley — zauważyła Clarke.

— Może też być Haymarket — wtrącił Goodyear.

— Na Haymarket nie ma bufetu z kanapkami.

— Chylę głowę przed pani rozległą wiedzą.

— Nawet gdybym się myliła, to i tak powinienes chylić.

Zrobił to, uzupełniając ukłon dworskim wymachem ręki i wywołując tym jej uśmiech.

— Ten człowiek miał obsesję — powiedziała, a Goodyear skwapliwie przytaknął.

— Myśli pani, że jego śmierć naprawdę ma jakiś związek z Todorowem? — zapytał.

— Na razie traktujemy to jako zbieg okoliczności... ale liczba morderstw w Edynburgu jest niewielka, a tu w odstępie paru dni mamy dwa i w dodatku wiemy, że ofiary się znały.

— A to znaczy, że pani wcale nie uważa tego za zbieg okoliczności.

— Problem w tym, że Joppa należy do Okregu D, a my to Okręg B. Jeśli nie uda nam się przekonać kogo trzeba, sprawą zajmie się wydział śledczy w Leith.

— No to musimy się postarać.

— A to się równa przekonaniu starszego inspektora Macrae, że obie sprawy się łączą. — Zatrzymała taśmę i wysunęła kasetę. — Myślisz, że wszystkie będą takie?

— Można się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

— Ale tu jest kilkaset godzin nagrań.

— Tego jeszcze nie wiemy. Ogień mógł spowodować, że dużej części nie da się odsłuchać. Najlepiej żeby któreś z nas wszystko przesłuchało i dopiero w sprawach wątpliwych moglibyśmy się zwracać o pomoc do laboratorium albo do dźwiękowca Riordana.

— Słusznie — zgodziła się Clarke, choć nadal nie podzielała zapału Todda. Pamiętała swoje początki w policji... nie było to tak dawno, jeśli się nad tym zastanović. Podobnie jak Goodyeara rozpieierały ją wtedy entuzjazm i wiara, że potrafi nadać nowy bieg każdej sprawie. Że dzięki niej nastąpi znaczący zwrot w śledztwie. Tak się nawet czasem działo, ale wtedy i tak wszystkie zasługi przypisywane były któremuś z jej zwierzchników. Nie Rebusowi — było to jeszcze w czasach, zanim zaczęli ze sobą współpracować. Na St Leonard's wciąż jej wbijano do głowy, że najważniejsza jest praca zespołowa i nie ma miejsca dla osobistych ambicji i primadonn. A potem pojawił się Rebus, którego przeniesiono na St Leonard's po tym, jak jego rodzimy komisariat spłonął w wyniku krótkiego spięcia. Na myśl o tym uśmiechnęła się w duchu.

Krótkie spięcie: całkiem trafne określenie na nekające Rebusa problemy. Jego niechęć do pracy w zespole, jego ponad dwudziestoletnie życiowe asekuranctwo, jego wieczne przekraczanie granic i łamanie reguł.

I jego co najmniej jedna bardzo osobista vendetta.

Goodyear zaproponował, żeby sprawdzić jedną z cyfrowych nagrywarek. Urządzenie nie miało głośników, ale do gniazda słuchawkowego pasowała wtyczka słuchawek od jego prywatnego iPod'a. Clarke nie miała ochoty wtykać sobie do uszu końcówek cudzych słuchawek, oświadczyła więc, że może sam to prze słuchać.

Przez jakieś pół minuty próbował ustawiać przełączniki w różnych konfiguracjach, w końcu się poddał.

— To zadanie dla któregoś ze specjalistów — oznajmił, biorąc w obroty drugą nagrywarke.

— Miałam cię zapytać — przypomniała sobie Clarke. — Co myślisz o spotkaniu z Caffertym?

Goodyear chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Wystarczy na niego spojrzeć, żeby wiedzieć — powiedział w końcu — że jest pełen grzechu. Grzech widać w jego oczach, w sposobie patrzenia, w zachowaniu...

— Oceniasz ludzi na podstawie ich wyglądu?

— Nie zawsze. — Nie zdejmując słuchawek, znowu zajął się przełącznikami i po chwili unióś palec na znak, że coś słyszy. Przez chwilę słucał w skupieniu, potem podniósł wzrok na Clarke. — Nie uwierzy pani. — Zdjął słuchawki i jej podał. Wzięła je niechętnie i zbliżyła do uszu, tak jednak, by ich nie dotknąć. Goodyear cofnął nieco nagranie i ze słuchawek popłynęły głosy. Ciche, nieco skrzekliwe, ale pozwalające zrozumieć wypowiedane słowa: „Bo po waszym rozstaniu Todorow poszedł prosto do baru w Caledonian i tam wdał się z kimś w rozmowę...”

— To ja — zachnęła się. — A powiedział, że nas nie nagrywa.

— Skłamał. To się ludziom zdarza.

Skrzywiła się i jeszcze przez chwilę słucała, potem kazała Toddowi przewinąć do przodu. Wykonał polecenie i w słuchawkach zapadła cisza.

— Cofnij trochę — poleciła.

Na co liczyła? Że uwiecznione zostały ostatnie chwile życia Riordana? Albo głos jego mordercy? Że Riordan zza grobu pomoże wymierzyć choć częściową sprawiedliwość?

W słuchawkach była jednak tylko cisza.

— Jeszcze do tyłu.

Głosy Clarke i Goodyeara, którzy przepytują Riordana w jego studiu.

— Nasza rozmowa była jego ostatnim nagraniem — skostatowała.

— Czy to robi z nas podejrzanych?

— Jeszcze jeden taki dowcip i wracasz do noszenia wełniaka — ostrzegła go.

Goodyear zrobił skruszoną minę.

— Wełniak? — powtórzył. — Nie znałem tego określenia.

— Nauczyłam się go od Rebusa — przyznała.

Ilu to rzeczy się od niego nauczyła... niektórych całkiem niepotrzebnie.

— On mnie chyba nie lubi — powiedział Goodyear.

— On nikogo nie lubi.

— Panią tak — zaproponował.

— Mnie toleruje — poprawiła go. — A to coś zupełnie innego... Nie mogę uwierzyć, że jednak nas nagrał — dodała, wpatrując się w nagrywarę.

— Zdaje się, że gdybyśmy nie zostali nagrani przez pana Rior-dana, znaleźlibyśmy się w zdecydowanej mniejszości.

— To prawda.

Goodyear wziął do ręki następny z przezroczystych woreczków i potrząsnął.

— Tu jest jeszcze mnóstwo do słuchania.

Skinęła głową, potem wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu.

— To ty masz mnóstwo do słuchania.

— W ramach zdobywania doświadczeń? — domyślił się.

— W ramach zdobywania doświadczeń — potwierdziła.



— Masz ochotę na coś dziś wieczorem? — spytała Phyllida Hawes. Ona prowadziła, Tibbet siedział obok na fotelu pasażera. Irytowało ją, że cały czas trzyma rękę na uchwycie drzwi — zupełnie jakby się szykował do wyskoczenia z auta, w razie gdyby ją zawiodły umiejętności kierowcy. Chwilami celowo go straszyla, gwałtownie przyspieszając i niemal najeżdżając na samochód jadący przed nimi albo wykonując nagły niesygnalizowany skręt. Dobrze mu tak za to, że jej nie ufa. Za którymś razem bąknął nawet, że jedzie tak, jakby uciekali samochodem gwizdniętym komuś spod domu.

— Możemy się wybrać na drinka — odpowiedział na jej pytanie.

— No, to coś zupełnie oryginalnego.

— To możemy nie iść na drinka. — Przez chwilę się zastanawiał. — Możemy pójść na chińszczyznę. Albo do Hindusa.

— Ktoś, kto miewa tak fantastyczne pomysły, Col, powinien uczestniczyć w burzy mózgów.

— Widzę, że masz dzisiaj niezły humor.

— Co ty nie powiesz? — rzuciła zimno.

— Przepraszam — bąknął.

To też zaczynało ją już irytować. Zamiast się postawić i bronić swego, od razu kapitulował, gotów przyznawać jej we wszystkim rację.

Jeszcze osiem tygodni temu Hawes miała kochasia — prawdziwego kochasia na stałe, który z nią mieszkał. Colinowi udało się zaliczyć kilka rwań na jedną noc, a nawet mieć dziewczynę, która wytrzymała z nim prawie miesiąc. Niespodziewanie dla obojga, trzy tygodnie temu po wieczornej służbie wylądowali razem w łóżku i dotąd ani jedno, ani drugie nie otrząsnęło się jeszcze z przeżenienia, jakie poczuli, budząc się rano twarzą w twarz.

Wypadek przy pracy.

Najlepiej o tym zapomnieć.

I nigdy do tego nie wracać.

Udawać, że się to nigdy nie zdarzyło...

Ale się nie dało. Bo naprawdę się zdarzyło i wbrew samej sobie Hawes nie miałaby nic przeciwko temu, żeby się powtórzyło. Przerzucała odczuwaną do siebie złość na Colina, w nadziei że on coś z tym zrobi. Ale on był jak wielka gąbka, która wszystko wsysa.

— Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Shiv zaprosiła nas wszystkich na drinka dziś wieczorem — powiedział. — Żeby skonsolidować zespół. Tak robią dobrzy szefowie.

— Chcesz powiedzieć, że woli to, niż mieć tylko dla siebie Rebusa?

— To możliwe.

— Ale może też chce tylko dla siebie tego młodziaka Todda...

Spojrzał na nią z ukosa.

— Chyba nie mówisz tego poważnie?

— Kobietami rządzą tajemnicze siły, Colin.

— To zauważyłem. Jak myślisz, dlaczego w ogóle włączyła go do zespołu?



- Może uległa jego urokowi.
- Nie, ale poważnie.
- Stary obarczył ją kierowaniem śledztwem. To znaczy, że może sobie dobierać kogo chce, a młody Todd aż za bardzo się starał.
- Myślisz, że zbyt łatwo dała się przekonać? — Tibbet się zamyslił, a na jego czole pojawiły się zmarszczki.
- Co nie znaczy, że tobie uda się ją przekonać, żeby wysunęła cię do awansu.
- Nawet o tym nie pomyślałem — zachnął się. — Następna w prawo, prawda? — dodał, spoglądając przez okno.
- Hawes nie włączyła migacza i wykonała skręt w chwili, gdy z naprzeciwka nadjeżdżał autobus.
- Wolałbym, żebyś tego nie robiła — jęknął.
- Wiem. — Phyllida rozciągnęła usta w ironicznym uśmiechu.
- Ale jak się prowadzi samochód gwizdnięty sprzed czyjegoś domu...
- Na polecenie Clarke jechali do mieszkania Nancy Sievwright, żeby ją wypytać o kobietę w kapuzie. To Clarke użyła słowa „kapuza” i Hawes upewniła się nawet, czy na pewno nie chodzi jej o kaptur.
- Kaptur czy kapuza, Phyl, co za różnica? — W ciągu ostatnich dwóch tygodni Shiv zrobiła się strasznie zadziorna.
- Tu w lewo — powiedział Tibbet. — Kawalek dalej masz wolne miejsce.
- Którego bym w żaden sposób nie dostrzegła bez waszej wydatnej pomocy, detektywie Tibbet.
- Colin pominął jej przytyk milczeniem.
- Drzwi na klatkę były otwarte na oścież, postanowili więc machnąć ręką na domofon. Tuż za progiem wchodziło się do zimnej, ponurej klatki schodowej, w której kafelki na ścianach, niegdyś białe, były poobtłukiwane i wymazane graffiti. Z góry słychać było jakieś głośnie: bardziej agresywny kobiecy i cichszy, wyraźnie mitygujący głos męski.
- Weź się ode mnie odpiardol! Dlaczego nie słuchasz, jak się do ciebie mówi?
- Myślę, że wiesz dlaczego.
- Nic mnie to, kurwa, nie obchodzi!

Kłócąca się para najwyraźniej nie zważała na zbliżających się detektywów.

— Gdybyś zechciała tylko chwilę ze mną porozmawiać.

— Mamy tu jakiś problem? — odezwał się Tibbet. Trzymał w ręku otwartą legitymację służbową, by nie było wątpliwości, z kim mają do czynienia.

— Chryste, co znowu? — jęknął mężczyzna.

— Dokładnie to samo pytanie zadałam sobie trzydzieści sekund wcześniej, proszę pana — wtrąciła Hawes. — Pan Anderson, prawda? To ja i mój partner spisywaliśmy zeznania pana i pańskiej żony.

— A, tak. — Mimo pozornej pewności siebie Anderson wyglądał na zmieszanego.

Hawes zauważyła, że jedne z drzwi pół piętra wyżej są otwarte i że stoi w nich wychudzona i skąpo odziana dziewczyna. Nancy Sievewright.

— Nancy, z tobą też już rozmawialiśmy, pamiętasz? — odezwała się.

Sievewright kiwnęła potakująco głową.

— Dwie kaczki za jednym strzałem — wtrącił Tibbet.

— Nie wiedziałam, że wy się znacie — ciągnęła Hawes.

— Bo się nie znamy! — prychnęła Nancy. — On mnie tu tylko nachodzi.

— To bardzo nie fair — obruszył się Anderson.

Hawes i Tibbet wymienili się spojrzeniami. Wiedzieli, co do nich należy.

— Wejdzmy do środka — powiedziała Hawes do Nancy Sievewright.

— A pan zechce mi towarzyszyć w drodze na dół — zwrócił się Tibbet do Andersona. — Jest pewna sprawa, o którą chcielibyśmy pana spytać...

Sievewright obróciła się na pięcie, weszła do środka i ruszyła wprost do kuchni. Nalała wody do czajnika i włączyła.

— Myślałam, że tamtych dwoje się tym zajmuje.

Hawes domyśliła się, że dziewczyna mówi o Clarke i Rebusie.

— Po co on się tu kręci? — spytała.

— Nie mam pojęcia. Mówi, że chce się upewnić, czy u mnie wszystko w porządku. Ale ja mu powtarzam, że tak, a on mimo to

przyłazi! Zdaje mi się, że on się tu kręci po to, żeby mnie dorwać, jak będę sama w domu... — Zwinęła sobie kosmyk włosów w ciśniejszy lok. — Ale ja go olewam — dodała zadziornie i zaczęła grzebać wśród kubków na suszarce w poszukiwaniu najmniej brudnego.

— Możesz złożyć formalną skargę — powiedziała Hawes. — Zawiadomić, że on cię napastuje...

— Myśli pani, że to coś pomoże?

— Może go zniechęcić — dodała Hawes, choć miała co do tego równie poważne wątpliwości, jak dziewczyna. Sievewright opłukała wybrany kubek, wrzuciła do środka torebkę z herbatą i niecierpliwie pomacała czajnik.

— A wy co, przyszlście w celach towarzyskich? — spytała zaczepnie.

Hawes uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Niezupełnie. Pojawiły się pewne nowe informacje.

— Znaczy, nikogo żeście nie przymknęli.

— Nie — przyznała Hawes.

— Co to za nowe informacje?

— Przy wyjeździe z parkingu widziano kobietę w kapturze na głowie. — Pokazała jej komputerową podobiznę. — Jeśli jeszcze tam była, to musiałabyś przejść tuż obok niej.

— Nikogo nie widziałam... Już mówiłam!

— Nie denerwuj się, Nancy — powiedziała cicho Hawes. — Uspokój się.

— Jestem spokojna.

— Herbata dobrze ci zrobi.

— Chyba ten czajnik nawalił. — Sievewright dotknęła dłonią obudowy.

— Nie, wszystko w porządku — uspokoiła ją Hawes. — Słyszę, że grzeje.

Sievewright popatrzyła na lśniąca powierzchnię czajnika.

— Czasami robimy zawody, kto dużej wytrzyma z ręką na wrzącym czajniku.

— My?

— Ja i Eddie. — Uśmiechnęła się melancholijnie. — Zawsze wygrywam.

— A Eddie to...?

— Mój współlokator. — Spojrzała na Hawes. — Ale nie kręcimy z sobą.

Otworzyły się drzwi wejściowe i obie kobiety odwróciły głowy. Do przedpokoju wszedł Colin Tibbet.

— Już go nie ma — oznajmił.

— I krzyż mu na drogę — mruknęła Sievewright.

— Dowiedziałeś się czegoś? — spytała Hawes.

— Stanowczo stwierdził, że ani on, ani jego żona nie widzieli żadnej kobiety w kapturze. Zapytał, czy to nie jakiś duch.

— Pytam o to — powiedziała spokojnie Hawes — czy wyjaśnił, dlaczego tak nachodzi Nancy.

— Powiedział, że przeżyła wstrząs — wzruszył ramionami Tibbet — i chciał się tylko upewnić, że nie tłamsi tego w sobie. Że, cytując jego słowa, „nie kumuluje zmartwień na później”.

Stojąc z jedną dłonią przytkniętą do czajnika, Sievewright parsknęła drwiąco.

— Bardzo szlachetne z jego strony — skrzywiła się Hawes. — A to, że Nancy wcale sobie nie życzy jego troski...?

— Przyrzekł, że to się więcej nie powtórzy.

— Akurat! — mruknęła Nancy.

Tibbet spojrział na dłoń dziewczyny i uznał za stosowne zaintereseniować.

— Ten czajnik jest gorący! — powiedział ostrzegawczo.

Spojrzała na niego z wyrazem twarzy pośrednim między grymasem a uśmiechem.

— Może ktoś chciałby się przyłączyć?

W artykule na piątej stronie „Evening News” zatytułowanym „Das Kapitalists” opisano kolację Rosjan w jednej z ekskluzywnych edynburskich restauracji, rekomendowanej w przewodniku Michelin. Cały lokal zarezerwowano dla czternastu osób, które spożyły ucztę złożoną z *foie gras*, małży Św. Jakuba, homara, cielęciny, polędwicy, serów i deseru. Pito szampana, biały burgund i stare czerwone bordeaux, a na zakończenie porto sprzed pierwszej wojny światowej. Same alkohole kosztowały parę tysięcy funtów, cały rachunek wyniósł sześć tysięcy. Reporter zwrócił szczególną uwagę na to, że szampanem był Roederer Cristal — ulubiony trunek carów w przedrewolucyjnej Rosji. Żadnego z uczestników uczyty nie wymieniono z nazwiska i Rebusa gryzła ciekawość, czy Cafferty'emu udało się wcisnąć na listę zaproszonych gości. Na sąsiedniej stronie znalazł się materiał na temat przestępczości w Edynburgu. Wynikało z niego, że liczba morderstw spadła z dwunastu przed rokiem do dziecięciu w roku ubiegłym.

Siedzieli przy dużym narożnym stole w pubie przy Rose Street. Zapowiadał się głośny wieczór, bo właśnie zaczynała się transmisja meczu Celticu z Manchester United w ramach rozgrywek w Lidze Mistrzów i większość gości siedziała ze wzrokiem utkwionym w ogromny ekran telewizyjny. Rebus złożył gazetę i rzucił ją w stronę siedzącego naprzeciw Goodyeara. Zdał sobie sprawę z tego, że umknął mu ostatni fragment relacji Hawes, i zażądał, by powtórzyła słowa Andersona o „niekumulowaniu zmartwień na później”.

— Już ja mu dam powód do zmartwień — mruknął pod nosem.  
— I nie może powiedzieć, że go nie ostrzegąłem...

— Czyli jak dotąd — zreasumował Tibbet — mamy tylko jedną relację o tajemniczej kobiecie. — Dopiero teraz zauważył, że Todd Goodyear zdjął krawat, więc pospiesznie przystąpił do zdejmowania swojego.

— Co wcale nie znaczy, że jej tam nie było — zauważyła Clarke. — I nawet jeśli sama nie brała w tym udziału, mogła coś wiedzieć. W jednym ze swoich wierszy Todorow pisze o odwracaniu wzroku po to, by nie musieć świadczyć.

— Niby jaki to może mieć związek? — zapytał Rebus.

— Że może się celowo ukrywać. Ludzie nie zawsze chcą być zamieszani w różne rzeczy.

— I czasem mają ku temu istotne powody — potwierdziła Hawes.

— Czy nadal uważamy, że Nancy Sievewright coś przed nami ukrywa? — spytała Clarke.

— Ta jej „koleżanka” na pewno próbowała nam mydlić oczy — przypomniał Tibbet.

— Więc może powinniśmy jeszcze raz zweryfikować jej opowieść.

— A z tych taśm coś wynika? — spytała Hawes. Clarke pokręciła głową i spojrzała na Todda.

— Na razie tyle, że denat lubił nagrywać cudze rozmowy — posłusznie zaraportował Goodyear. — Nawet jeśli to wymagało śledzenia rozmawiających.

— Czyli jakiś walnięty, nie?

— W pewnym sensie tak — przyznała Clarke.

— Chryste Panie, czy wy nie dostrzegacie znacznie ważniejszych spraw? — wtrącił Rebus. — Ostatnie spotkanie Todorowa przed śmiercią... drink z Dużym Gerem Caffertym w barze pełnym Rosjan? — Potarł sobie czoło.

— Czy mógłbym o coś prosić?

Rebus podniósł wzrok na Goodyeara.

— O co mianowicie, młody człowieku?

— Żeby pan nie używał imienia Pańskiego nadaremno.

— Jaja sobie robisz?

Goodyear z powagą pokręcił głową.

— Byłbym panu bardzo wdzięczny...  
— Do którego kościoła chodzisz, Todd? — zapytał Tibbet.  
— Świętego Fothada w Saughtonhall.  
— I tam mieszkasz?  
— Tam się wychowałem.  
— Też chodziłem do kościoła — powiedział Tibbet. — Ale przestałem w wieku czternastu lat. Moja mama umarła na raka i po tym nie widziałem już powodu.  
— „Bóg jest miejscem, które się zawsze goi” — wyrecytował Goodyear — „nieważne, ile razy je rozdrapiemy”. — Uśmiechnął się. — To też z wiersza, tylko nie Todorowa. Pozwala we wszystkim dostrzec sens, przynajmniej mnie.  
— Diabli nadali — mruknął Rebus. — Wiersze, cytaty i Szkocki Kościół. Nie przychodzę do pubu po to, żeby słuchać kazań.  
— Nie jest pan wyjątkiem — powiedział Goodyear. — Wielu Szkotów kryje się ze swoją inteligencją. Nie ufamy ludziom inteligentnym.  
— Bo wszyscy mamy być „dziećmi Jocka Tamsona” [Dzieci Jocka Tamsona (oryg. Jock Tamson's bairns) — popularne w Szkocji i północnej Anglii powiedzenie, używane w znaczeniu „wszyscy jesteśmy dziećmi Adama”. W latach 1805—1840 Jock Tamson był pastorem w jednym z edynburskich kościołów] — pokiwał głową Tibbet — a to znaczy, że wszyscy jesteśmy jednakowi.  
— I nie wolno nam się wywyższać — dodał Goodyear.  
— Widzisz, co stracisz kiedy pójdziesz na emeryturę — powiedziała Clarke, spoglądając na Rebusa. — Jakie intelektualne rozmowy.  
— Czyli że odchodzę w samą porę. — Podniósł się z krzesła.  
— A teraz, jeśli panowie jajogłowi mi wybaczą, muszę się udać na konsultację z Profesorem Nikotyńą...  
Na Rose Street panował wzmożony ruch z okazji babskiego wieczoru w pubach. Chodnikiem przeszła grupa kobiet ubranych w większości w identyczne T-shirty z napisem: „Cztery wesela i popijawa” i kilka z nich posłało Rebusowi całusy. Kawalek dalej natknęły się na równie liczną grupę młodych mężczyzn idących w

przeciwnym kierunku. Wyglądali na uczestników wieczoru kawalerskiego, którzy mają w planie dopełnienie tradycji i wytarzanie przysłego żonkosia w piance do golenia, jajkach i mące. Mijali go ludzie z okolicznych biur, wracający do domów po dwóch szybkich drinkach z kolegami z pracy, i włączące się całymi rodzinami watahy turystów, przyglądających się niepewnie grupom rozbawionych kobiet i mężczyzn. Szybkim krokiem przemykali mężczyźni, chcąc jeszcze zdążyć na mecz.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i z wnętrza wyłonił się Goodyear.

— Nie podejrzewałem, że palisz — zdziwił się Rebus.

— Idę do domu — odrzekł Goodyear, wkładając marynarkę. — Na stoliku zostawiłem kasę na następną kolejkę.

— A co, jesteś umówiony?

— Z moją dziewczyną.

— Jak ma na imię?

Goodyear się zawahał, ale widać nie przyszedł mu do głowy żaden rozsądny powód, żeby odmówić udzielenia odpowiedzi.

— Sonia — rzekł. — Pracuje w ekipie techników od oględzin miejsc przestępstwa.

— I w ostatnią środę też była w tej ekipie?

— Tak, krótkie włosy blond, dwadzieścia parę lat...

— Jakoś sobie jej nie przypominam — przyznał Rebus.

Goodyear się skrzywił, jakby go to dotknęło, jednak zreflektował się i zmienił temat.

— Pan też kiedyś chodził do kościoła, prawda?

— Kto ci to powiedział?

— Tak słyszałem.

— Najlepiej nie wierzyć plotkom.

— Ale ja czuję, że tak było.

— Może i było — przyznał Rebus, wypuszczając kłęb dymu.

— Lata temu przymierzałem się do różnych kościołów. Ale nie znalazłem żadnych odpowiedzi.

Goodyear wolno pokiwał głową.

— To, co powiedział Colin, dotyczy bardzo wielu ludzi, prawda? Umiera ktoś bliski, a my obwiniamy o to Boga. Panu też się tak przydarzyło?



— Nic mi się nie przydarzyło — powiedział opryskliwie Rebus, przyglądając się kolejnej grupce kobiet, zmierzającej do kolejnego wodopoju. Z boku stała grupka mężczyzn, taksujących je wzrokiem i naradzających się, czy ruszyć za nimi.

— Przepraszam — bąknął Goodyear — chciałem tylko...

— No to nie chciej.

— Będzie panu brakowało pracy?

Rebus wzniósł oczy ku niebu.

— No i nie popuści — powiedział ze złością. — Człowiek chce sobie tylko spokojnie popalić, a trafia do *Question Time*.

Goodyear znów uśmiechnął się przepaszająco.

— Chyba lepiej sobie pójdę, póki jeszcze mogę.

— Ale zanim pójdziesz...

— Tak?

— To spotkanie z Caffertym w pokoju przesłuchań — zaczął, nie odrywając wzroku od stożka popiołu na końcu papierosa. — Widziałeś go wtedy po raz pierwszy w życiu? — Goodyear przytaknął. — Bo powiedział, że znał twojego brata, dziadka zresztą też. — Rozejrzał się po ulicy. — Pub dziadka był za tamtym rogiem, nie? Zapomniałem już, jak się nazywał...

— Breezer's.

Rebus wolno pokiwał głową.

— Zeznawałem przeciw niemu w sądzie.

— Tego nie wiedziałem.

— W akcji uczestniczyło nas trzech, ale ja zeznawałem przed sądem.

— Z Caffertym też się to panu kiedyś udało?

— Dwa razy i w obydwu przypadkach trafił za kratki. — Rebus splunął na chodnik. — Shiv mi mówiła, że twój brat brał udział w jakiejś bójce. Już się wylizał?

— Chyba tak — powiedział niepewnie Goodyear. — Naprawdę powinienem już iść.

— To idź. Zobaczymy się jutro.

— No to dobranoc.

— ...branoc — mruknął Rebus, odprowadzając go wzrokiem. Nie najgorszy dzieciak. I robi wrażenie przyzwoitego gliniarza. Może Shiv wyprowadzi go na ludzi... Pamiętał doskonale Harry'ego Goodyeara. Prowadzony przez niego pub był słynny: amfa,

koka i hasz, wszystko do kupienia na miejscu. Harry sam był drobnym dealerem i parę razy wpadł. Rebus nie mógł zrozumieć, jakim cudem wydano mu licencję na prowadzenie pubu. Pewnie posmarował gdzie trzeba. Musiał mieć swojego człowieka w radzie miejskiej. Zawsze byli w niej ludzie, których łatwo przekupić. Kiedyś Cafferty też miał swoich radnych. Dzięki nim był zawsze o krok do przodu, a koszt był nieporównywalnie mały w stosunku do korzyści. Próbował też kupić Rebusa, ale to nie wchodziło w rachubę. Rebus wcześniej dostał już nauczkę.

— Nie moja wina, że dziadek Goodyear wykorkował w pudle...

Przydeptał niedopałek i ruszył do drzwi, ale coś go powstrzymało. Bo właściwie co go tam czekało w środku? Jeszcze jeden drink w młodzieżowym gronie przy stole. Shiv, Phyl i Col będą rozmawiać o sprawie, strzelając pomysłami. A co on może do tego wnieść? Zapalił następnego papierosa i ruszył przed siebie.

Skrecił w lewo we Frederick Street, potem w prawo w Princess Street. Bryła zamku była podświetlona od dołu i wyraźnie rysowała się na tle ciemnego nieba. W parku Princess Street Gardens trwała budowa wesołego miasteczka, u podnóża The Mound szykowano stragany i budki na jarmark, który w okresie przedświątecznym przyciągnie tłumy kupujących. Rebusa dobiegły dźwięki muzyki — może sprawdzano nagłośnienie lodowiska na wolnym powietrzu. Chodnikami przemykały tabuny dzieciaków, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Od kiedy to stałem się niewidzialny? — zastanowił się. Odbicie w szybie wystawowej ukazywało zwalistą sylwetkę mężczyzny, dzieciaki jednak mijały go tak, jakby w ich świecie w ogóle go nie było.

Czy tak właśnie czują się duchy?

Przeszedł na światłach na drugą stronę i pchnął drzwi baru w hotelu Caledonian. W środku było tłoczno. Z głośników wieży hi-fi płynął jazz, Freddie z zapamiętaniem potrzasał shakerem, przy barze stała kelnerka z tacą, w oczekiwaniu na zamówione drinki. Goście baru wyglądali na rozluźnionych i zadowolonych z życia. Niektórzy trzymali przy uchu telefony komórkowe, jednocześnie rozmawiając z kimś obok. Rebus przez chwilę poczuł złość, że ktoś śmiał zająć jego stółek przy barze, ale prawdę mówiąc, zajęte były wszystkie siedzenia. Freddie skończył rozlewać koktajl i gdy

kelnerka z tacą na wyciągniętej ręce odeszła do roześmianego towarzystwa przy stoliku, dopiero wtedy zauważył Rebusa. Popatrzył na niego bez cienia uśmiechu, dając mu do zrozumienia, że sytuacja się zmieniła. Bar nie jest już pusty i Freddie nie ma czasu na rozmowy.

— To co zwykle — powiedział jakby nigdy nic Rebus. — Nie przesadziłeś z tą podwójną zmianą...

Tym razem szklaneczce whisky towarzyszył też paragon i Rebus uśmiechnął się na znak, że nie będzie protestował. Dolał parę kropli wody, zakręcił szklanką, uniósł ją do nosa i rozejrzał się po sali.

— Już ich nie ma — rzucił Freddie.

— Kogo?

— Rosjan. Wymeldowali się dziś po południu. Podobno odlecieli do Moskwy.

Rebus starał się nie okazywać uczucia zawodu.

— Bardziej mnie interesuje — powiedział — czy masz dla mnie to nazwisko.

Freddie skinął głową.

— Miałem jutro do pana zadzwonić.

Podeszła kelnerka z kolejnym zamówieniem i barman zajął się nalewaniem drinków. Dwa duże kieliszki czerwonego wina i kieliszek firmowego szampana. Rebus mimo woli zaczął się przysłuchiwać rozmowie po sąsiedzku. Dwaj biznesmeni z irlandzkim akcentem smętnie wpatrzni w ekran telewizora z wyłączonym dźwiękiem. Nie wyszedł im jakiś interes w nieruchomościach i teraz topili swój żal przy barze. „I niech ich Pan Bóg pokarze po wolną śmiercią” zdawało się ich ulubionym toastem.

Rebus pomyślał, że jedną z głównych zalet picia na stojąco przy barze jest możliwość podsłuchiwania cudzych rozmów. Czy to znaczy, że jest podglądaczem w stylu Charlesa Riordana?

— Jak się tylko nawinie okazja, żeby im dopieprzyć... — mówił jeden z Irlandczyków.

Freddie wetknął butelkę z szampanem do wiaderka z lodem i podszedł do Rebusa.

— Jest ministrem rozwoju gospodarki — powiedział. — Na szczęście zaraz na początku strony internetowej parlamentu pokazani są wszyscy ministrowie. Inaczej trochę by to potrwało...

— Jak się nazywa?

— James Bakewell. — Nazwisko wydało się Rebusowi znajome. — Parę tygodni temu widziałem go w telewizji.

— W programie *Question Time*? — upewnił się Rebus a barman przytaknął. Oczywiście, sam też go tam widział! Bakewell spierał się z Megan Macfarlane, a pomiędzy nimi siedział Aleksander Todorow. Wszyscy zwracali się do niego per Jim... — I to on zajął miejsce przy stoliku Andropowa owego wieczoru, kiedy był tu ten poeta? — Freddie znów przytaknął

I tego samego wieczoru co Morris Gerald Cafferty. Rebus położył ręce na blacie baru i przeniósł na nie ciężar ciała W głowie mu wirowało. Pamiętał taśmę z nagraniem *Question Time*. Jim Bakewell reprezentował Nową Labour Party i chwilami wydawał się nieokrzesany. Albo nie korzystał z doradców do spraw wizerunku publicznego, albo celowo tak się zachowywał. Zbliżał się do pięćdziesiątki, miał gęste ciemnobrązowe włosy i nosił okulary w drucianej oprawce. Odnaczał się kwadratową szczęką, niebieskimi oczami i zachowaniem pełnym autoironii. W Szkocji zdobył uznanie po tym, jak z własnej woli zrezygnował z ciepłego stołka w Westminsterze i stanął do walki wyborczej o miejsce w szkockim parlamencie. Należał pod tym względem do zdecydowanej mniejszości, bo wiadomo było, że większość ambitnych polityków nadal ma wzrok zwrócony na Londyn. Freddie nie wspomniał też ani słowem o jakiejś świcie, co wydawało się ciekawe. Jeśli Bakewell spotykał się z Rosjanami w oficjalnym charakterze, winien mieć ze sobą grono asystentów i doradców. Minister rozwoju gospodarczego... późnowieczorne drinki z zagranicznymi biznesmenami w hotelowym barze... przysiadający się do stolika Duży Ger Cafferty... Zbyt wiele pytań cisnęło się Rebusowi do głowy. Czuł walące w głowie tętno. Dopił whisky, zostawił na ladzie pieniądze i już chciał ruszyć do wyjścia, gdy piknęła jego komórka, sygnalizując nadejście SMS-a. Siobhan pytała, co się z nim stało.

— Długo się do tego zbierałaś — mruknął pod nosem.

Przechodząc obok Irlandczyków, usłyszał, jak jeden charczy drugiemu do ucha:

— Jak go szlag trafi na Boże Narodzenie, to mi to wystarczy za wszystkie prezenty.

Miał do wyboru dwie drogi wyjścia z baru: bezpośrednio na lice lub przez hotelową recepcję. Sam nie umiałby powiedzieć, dlaczego wybrał tę drugą. Idąc przez hol, zobaczył, jak z obrotach drzwi wejściowych wynurzają się dwie postacie. Rozpoznał mężczyznę idącego przodem — szofer wożący Andropowa.

Drugim mężczyzną był Andropow we własnej osobie. Zauważył Rebusa i zmrużył powieki, jakby starał się sobie przy pomnieć, gdzie go wcześniej widział. Zrównując się z nim, Rebus lekko skłonił głowę.

— Myślałem, że już wszyscy wyjechali — rzucił obojętnym tonem.

— Zostają jeszcze parę dni. — Angielski Andropowa był niemal całkowicie pozbawiony obcego akcentu. Po jego minie było widać, że wciąż nie potrafi umiejscowić sobie detektywa w pamięci.

— Znajomy Cafferty'ego — odpowiedział Rebus.

— Ach, tak. — Szofer ustawił się po jego drugiej stronie, złożył ręce na piersi i lekko rozstawił nogi. Szofer i ochroniarz w jednej osobie.

— Dla przyjemności czy w interesach? — zapytał Rebus.

— Robienie interesów to dla mnie przyjemność. — Zabrzmiało to jak wyczona formułka, której często używa i po której oczekuje wybuchu śmiechu lub co najmniej uśmiechu. Rebus też go nie zawiódł.

— Widział się pan dziś z Caffertym? — spytał zaraz potem.

— Przykro mi, ale chyba pańskie nazwisko wyleciało mi z głowy...

— Mam na imię John.

— A pański związek z Caffertym...?

— O to samo mógłbym zapytać pana, panie Andropow. — Rebus uznał, że dłużej tego nie pociągnie. — Zadawanie się z możliwymi tego świata i odbieranie hołdów od polityków prezentujących różne zapatrywania to jedno... ale gdy zaczyna się mieć konszachty z zatwardziałym kryminalistą w rodzaju Cafferty'ego, to muszą się odezwać dzwonki alarmowe.

— To pana widziałem pod magistratem — powiedział Andropow, kiwając palcem w rękawicze. — A potem stał pan tu, pod hotelem.

— Jestem policjantem z wydziału śledczego. — Wyjął legitymację i otworzył, a Andropow skrupulatnie ją obejrzał.

— Czy zrobiłem coś niewłaściwego, panie inspektorze?

— Tydzień temu rozmawiał pan w barze z Jimem Bakewellem i Morrisem Geraldem Caffertym.

— A jeśli nawet?

— W barze znajdował się ktoś jeszcze. Poeta Aleksander Todorow. Niecałe dwadzieścia minut po wyjściu stąd został zamordowany.

— Tak, to wielka tragedia. — Andropow pokiwał głową. — Światu potrzebni są poeci, panie inspektorze. Niektórzy nawet utrzymują, że to nasi „niedocenieni legislatorzy”.

— Powiedziałbym, że w tym zakresie borykają się ze wzmożoną konkurencją.

Andropow pominął jego uwagę milczeniem.

— Od paru osób słyszałem — ciągnął — że tutejsza policja nie chce uznać śmierci Aleksandra za zwykły rozbój uliczny. Proszę mi powiedzieć, inspektorze, a co pan o tym myśli?

— O takich sprawach najlepiej porozmawiać w komisariacie. Czy zechciałby pan nas odwiedzić?

— Nie widzę sensu takiego spotkania.

— Rozumiem, że to znaczy „nie”.

— Proszę pozwolić, panie inspektorze, że zaproponuję własną teorię. — Andropow zrobił krok do przodu, to samo uczynił jego szofer. — *Cherchez la femme*, inspektorze.

— To znaczy?

— Nie mówi pan po francusku?

— Wiem, co to znaczy, tylko nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

— W Moskwie Aleksander Todorow miał szczególną reputację. Musiał zrezygnować ze stanowiska wykładowcy z powodu oskarżeń o niemoralne prowadzenie. Wie pan, chodziło o jego studentki. Podobno im młodsze, tym lepiej. A teraz, jeśli zechce mi pan wybaczyć... — Andropow ruszył w stronę wejścia do baru.

— Znów ma pan spotkanie ze swoim zaprzyjaźnionym gangsterem?! — zawołał za nim Rebus.

Andropow zignorował zaczepkę i nawet nie odwrócił głowy. W przeciwieństwie do swego szofera, który uznał, że Rebus zasługuje

na przeciągłe spojrzenie, mówiące: „Jeszcze się spotkamy w ciemnej uliczce...”.

Spojrzenie, którym zrewanżował się Rebus, było równie wymowne. „Jesteście obaj na moim celowniku, kolego, ty i ten twój boss”.

Wyszedł na ulicę i odetchnąwszy rześkim nocnym powietrzem, postanowił, że tym razem naprawdę wróci do domu piechotą. Przeszedł kilkaset metrów, ale poczuwszy, jak mu wali serce, w ustach robi się sucho, a krew buzuje w całym ciele, zatrzymał się i machnął na pierwszą z brzegu taksówkę.

**DZIEŃ SZÓSTY**

**Środa,**

**22 listopada 2006**



Dźwiękowiec nazywał się Terry Grimm, sekretarka Hazel Harmison. Oboje sprawiali wrażenie zszokowanych tragiczną wiadomością i kompletnie zagubionych.

— Nie wiemy, co robić dalej — jęknął Grimm. — Znaczący... kto nam teraz zapłaci na koniec miesiąca? I co mamy zrobić z tymi wszystkimi pracami w toku?

Siobhan pokiwała ze zrozumieniem głową. Grimm siedział przy stole mikserskim i nerwowo kręcił się z fotelem na boki, Harmison stała przy biurku z rękami złożonymi na piersiach.

— Pan Riordan na pewno zostawił coś w rezerwie — powiedziała Clarke, choć w jej głosie zabrakło pewności.

Stojąc nad konsolą, Todd Goodyear wpatrywał się w masę pokręteł, wskaźników i suwaków. Wczoraj wieczorem w pubie Hawes niedwuznacznie dała do zrozumienia, że to ona lub Tibbet powinni dziś towarzyszyć Clarke, Siobhan zaś, słysząc to, raz jeszcze zastanowiła się w duchu, czy nie po to właśnie ściągnęła Goodyeara, żeby nie musieć stawać przed takimi wyborami.

— Żadne z was nie ma uprawnień do podpisywania czeków? — spytała.

— Charlie nie był aż tak ufny — parsknęła Hazel Harmison.

— No to musicie porozmawiać z księgowym.

— Tylko że akurat jest na urlopie.

— A ktoś inny w jego firmie?

— To jednoosobowa orkiestra — mruknął Grimm.

— Na pewno jakoś się ułoży — powiedziała sucho Clarke, mając dość ich biadolenia. — Powodem naszej wizyty jest to, że większość nagrań Riordana poszła z dymem i tylko część się uratowała. Chciałam spytać, czy były gdzieś trzymane kopie?

— W magazynku może coś być — odparł Grimm. — Zawsze mu mówiłem, że się odpowiednio nie zabezpieacza... — Spojrzał na Clarke. — A twarde dyski też się sfajczyły?

— Większość tak. Przynieśliśmy ze sobą trochę z tego, co się uratowało. Pomyślałam, że może panu lepiej się powiedzie z odtworzeniem.

— Mogę spróbować. — Wzruszył ramionami Grimm.

Clarke dała Goodyearowi kluczyki od samochodu.

— Idź, przynieś torby — poleciła.

W tym momencie zadzwonił telefon i Harmison podniosła słuchawkę.

— CR Studios, w czym mogę pomóc? — Przez chwilę słuchała. — Nie, przykro mi. Z uwagi na nieprzewidziane okoliczności w tej chwili nie przyjmujemy żadnych nowych zleceń.

Clarke zauważyła, że dźwiękowiec nie spuszcza z niej wzroku.

— Moglibyście zacząć działać na własną rękę — odezwała się cicho. — We dwójkę... — dodała, kierując wzrok na Harmison.

Grimm skinął głową, podszedł do biurka i wyciągnął rękę po słuchawkę.

— Jedną chwileczkę — powiedziała Harmison. — Przekażę telefon panu Grimmowi.

— Czym mogę służyć? — rzucił do słuchawki.

Harmison podeszła do Clarke z rękami znów splecionymi na piersiach, jakby miała ją to uchronić od kolejnych ciosów.

— Kiedy byłam u was pierwszy raz — rzekła Clarke — Terry wspomniał, że Riordan nagrywał dosłownie wszystko.

Dziewczyna kiwnęła potakująco głową.

— Kiedyś poszliśmy w trójkę na kolację. Kelner przyniósł nam coś, czego nie zamawialiśmy. Wtedy Charlie wyciągnął z kieszeni dyktafon, odtworzył nagranie naszego zamówienia i udowodnił, że to oni się pomylili. — Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

— Czasami chętnie zrobiłabym to samo — mruknęła Clarke.

— Ja też. Na przykład hydraulik, który umówił się na jedenastą... albo klient, który przez telefon zarzeka się, że czek jest już w drodze...

Teraz Clarke się uśmiechnęła, a twarz Harmison spochmurniała.

— Tak bardzo współczuję Terry'emu. Angażował się tak samo jak Charlie, a pod względem przepracowanych godzin to pewnie nawet bardziej.

— Jakie zamówienia macie obecnie w robocie?

— Reklamy radiowe... parę książek audio... opracowanie materiałów dla parlamentu.

— Jakich materiałów dla parlamentu?

— Wie pani, że co roku urządzają Festiwal Polityczny.

— Szczerze mówiąc, nie, nie wiedziałam.

— Musiało do tego dojść. Mamy już festiwale wszystkiego. Na przyszłoroczny festiwal zaangażowali artystę malarza, który ma im przygotować prezentację. Wykorzystuje w niej różne materiały audio i wideo i zażyczył sobie podkładu dźwiękowego w postaci zestawu nagrań z parlamentu.

— Nagrywacie coś w parlamencie?

— Setki godzin nagrań. — Harmison pokazała głową urządzenia do obróbki dźwięku.

W tym momencie Grimm pstryknął palcami, chcąc przyciągnąć jej uwagę.

— Oddam teraz telefon asystentce — powiedział do słuchawki.

— Proszę umówić z nią termin spotkania.

Harmison ruszyła truchtem do biurka i sięgnęła po kalendarz. Clarke czuła, że pewnie ta „asystentka” tak ją zmobilizowała. Już nie była zwykłą sekretarką czy recepcjonistką...

Grimm wrócił do Clarke i z wdzięcznością pokiwał głową.

— Dzięki za pomysł — powiedział z uśmiechem.

— Hazel wspomniała coś o Festiwalu Politycznym.

Grimm wzniosł oczy ku sufitowi.

— Koszmar. Pan artysta sam nie wie, czego chce, więc miota się między Genewą, Nowym Jorkiem i Madrytem... Co jakiś czas wysyła nam e-mail albo faks. Nagracie mi to czy tamto albo jakąś debatę, tylko żeby była gorąca. Albo wszystkie posiedzenia jakiejś komisji... albo zwiedzanie parlamentu z przewodnikiem... rozmowy

z turystami... Najpierw nam coś mgliście tłumaczy, a potem ma pretensje, że nagraliśmy nie to, o co mu chodziło. Na szczęście zachowujemy każdą wiadomość od niego.

— A Charlie oczywiście nagrywał wszystkie spotkania i rozmowy telefoniczne?

— Skąd pani wie?

— Hazel mi powiedziała.

— Muszę pani powiedzieć, że pan artysta był tym zachwycony. Bo wiadomo, że nie wszyscy lubią być potajemnie nagrywani...

— Wyobrażam sobie.

— Ale on to uznał za coś fantastycznego.

— Wygląda mi to na wielką robotę.

— Już prawie skończoną. Zmontowałem dwugodzinny kolaż i na razie się nie czepia. Ma zamiar to wykorzystać jako podkład dźwiękowy do swojej instalacji wideo w budynku parlamentu. — Grimm wzruszył pogardliwie ramionami, dając tym wyraz swojego stosunku do takich „artystów”.

— Jak on się nazywa?

— Roddy Denholm.

— I nie ma go w Szkocji?

— Ma mieszkanie na Nowym Mieście, ale prawie nigdy go tam nie ma.

Odezwał się brzęczyk domofonu, sygnalizując powrót Goodyeara z ocalałym archiwum Riordana.

— I czego po nas oczekujecie? — spytał Grimm, przypatrując się polietylenowym torbom z taśmami.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — przyznała Clarke.

Hazel Harmison skończyła umawiać spotkanie i z osłupieniem wpatrywała się w torby. Znów zasłoniła się rękami splecionymi na piersiach, mimo że jak dotąd ta taktyka nie okazywała się zbyt skuteczna.

— Umówiłaś mnie na dziś czy na jutro? — spytał Grimm, by odwrócić jej uwagę.

— Jutro w południe.

— A te wasze nagrania z parlamentu... — zaczęła Clarke. — Wspomniał pan o nagrywaniu którejś z komisji. Można wiedzieć której?

— Komisji Rewitalizacji Miasta. Choć trudno się w niej doszukać dramatycznych zwrotów akcji.

— Wierzę panu. — Pomyślała, że to ciekawe. — Pan zajmował się nagrywaniem czy robił to pan Riordan?

— Obaj się tym zajmowaliśmy.

— To komisja, którą kieruje Megan Macfarlane, prawda?

— A skąd pani wie?

— Można by rzec, że ostatnio zainteresowałam się polityką. Pozwoli pan, że sobie tego posłucham?

— Obrad Komisji Rewitalizacji Miasta? — W jego głosie sły-chać było niedowierzanie. — To wykracza poza zwykłe zainteresowanie polityką. To już coś więcej, pani sierżant...

— Co takiego? — spytała, połykając przynętę.

— To masochizm — oświadczył, odwracając się do konsolyty.



— Pani Gili Morgan? — powiedział Rebus do domofonu. Stał pod drzwiami kamienicy przy Great Stuart Street, za jego plecami koła samochodów mruczały na nierównościach, tocząc się w kierunku Queen Street i George Street. Poranny szczyt jeszcze się nie skończył i chcąc dosłyszeć odpowiedź, Rebus musiał przytknąć ucho do kratki domofonu.

— A o co chodzi? — odezwał się zaspany głos.

— Przepraszam, jeśli panią obudziłem — udał skruchę Rebus. — Jestem oficerem policji i chciałbym pani zadać kilka dodatkowych pytań odnośnie do panny Sievewright.

— To chyba jakiś żart. — W głosie słychać było senność, ale już także irytację.

— Dopiero pointa będzie śmieszna.

Przejeżdżająca ciężarówka narobiła hałasu i kobieta chyba go nie dosłyszała, a jemu nie chciało się powtarzać, więc powiedział tylko, żeby go wpuściła.

— Muszę się ubrać.

Powtórzył swą prośbę i wreszcie odezwał się brzęczyk. Rebus pchnął drzwi i schodami wszedł na drugie piętro. Drzwi mieszkania były lekko uchylone, ale i tak zapukał.

— Proszę zaczekać w pokoju! — Dobiegł go jej głos, zapewne z sypialni. Wejście do pokoju znajdowało się w głębi obszernego

holu, jaki często bywa nazywany „holem jadalnym”. Oznacza to, że właśnie w nim ustawia się stół i podejmuje gości kolacją, unikając w ten sposób bałaganu w głównym pokoju. Rebus uznawał takie postępowanie za charakterystyczne dla mieszkańców Edynburga: gościnność, ale bez przesady. Pokój był cały utrzymany w bieli — miał śnieżnobiałe ściany i białe meble; wchodziło się do niego trochę jak do igloo. Nawet posadzkę wycyklinowano i pomalowano na biało i Rebus lekko zmrużył oczy, jakby w obawie przed śnieżną ślepotą. Pokój był ogromny, wysoki i miał dwa wielkie okna, a panujący w nim ład dowodził, że Gili Morgan nie musi go dzielić z kimś innym. Na ścianie nad kominkiem wisiał duży płaski telewizor, ale poza tym na ścianach nie było żadnych ozdób. Całość przypominała trochę wnętrze prezentowane w niedzielnym dodatku do gazet — takie, które nadają się do fotografowania, ale nie do mieszkania.

— Przepraszam za zamieszanie — powiedziała młoda kobieta, wchodząc do pokoju. — Dopiero po wpuszczeniu pana zdałam sobie sprawę z tego, że może pan być kimś zupełnie innym. Oficerowie, którzy tu byli poprzednio, mieli legitymacje służbowe. Mogę zobaczyć pańską?

Rebus wyjął legitymację i gdy kobieta zabrała się do studiowania identyfikatora, John przyjrzał się jej. Była osobą filigranową — niemal karlicą — o wzroście nie sięgającym metra pięćdziesięciu. Miała lekko szpiczastą głowę, małą twarzyczkę z migdałowymi oczami, związane w koński ogon brązowe włosy i patykowate ramiona. Hawes i Tibbet wspominali, że pracuje jako modelka, ale patrząc na nią, Rebus nie bardzo umiał to sobie wyobrazić. Czy modelki nie muszą być wysokie? Uspokoiwszy się co do jego tożsamości, Morgan oddała mu legitymację, usiadła na fotelu pokrytym białą skórą i podwinęła nogi pod siebie.

— To czym mogę służyć, panie inspektorze? — spytała, obejmując dłońmi kolana.

— Moi koledzy poinformowali mnie, że pracuje pani jako modelka. Widzę, że musi pani sobie nieźle radzić. — Udał, że z poziwem rozgląda się po pokoju.

— Właściwie to wchodzi już w aktorstwo.

— Doprawdy? — Rebus starał się, by w jego głosie słychać było zainteresowanie. Większość osób na jej miejscu zapytałaby zapewne, co go to obchodzi, ale nie ona. W jej wszechświecie rozmowa o niej była czymś naturalnym.

— Od pewnego czasu biorę lekcje.

— Miałem już okazję w czymś panią widzieć?

— Pewnie jeszcze nie, ale już się zapowiada praca na ekranie — powiedziała z dumą.

— Na ekranie? To wspaniale... — Rebus usiadł na krześle naprzeciwko jej fotela.

— Na razie tylko niewielka rólka w sztuce telewizyjnej...

Rebus pomyślał, że pewnie celowo bagatelizuje znaczenie swoich sukcesów, bo chce wyjść w jego oczach na osobę skromną.

— Ależ to fascynujące — zapewnił ją, podejmując grę. — I chyba tłumaczy coś, co nas wszystkich nurtowało.

— Tak? — To ją zaskoczyło.

— Bo kiedy rozmawiali z panią moi koledzy, od razu wyczuli, że ich pani zwodzi. Ale teraz chyba rozumiem: jako aktorka wyobraziła pani sobie, że się na tym nie poznają. — Pochylił się do przodu i ściszył głos, jakby zdradzał jej tajemnicę. — Tylko problem w tym, panno Morgan, że teraz prowadzimy śledztwo już w sprawie dwóch morderstw, a to znaczy, że nie możemy sobie pozwolić na słuchanie bajeczek. Więc jeśli nie chce pani narobić sobie poważnych kłopotów, to byłoby lepiej, gdyby była pani z nami szczerą.

Wargi Morgan zrobiły się blade jak jej policzki. Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i przez chwilę zdawało się, że zemdleje.

— Nie wiem, o czym pan mówi — wydusiła.

— Na pani miejscu nie rezygnowałbym z tych lekcji, panno Morgan. Myślę, że musi się pani jeszcze nauczyć paru rzeczy z zakresu wygłaszania kwestii. Krew odpłynęła pani z twarzy, głos pani drży i porusza pani powiekami, jakby ktoś świecił pani reflektorem po oczach. — Rebus się wyprostował. Był tu raptem pięć minut, ale mógłby już odtworzyć jej całe dotychczasowe życie: cieplarniane dzieciństwo, rodzice nieoszczędzający jej miłości ani pieniędzy, od dziecka uczona pewności siebie i niewyobrażająca sobie sytuacji, z której nie dałoby się wybrnąć za pomocą słodkiego szczebiotu.

Aż do teraz.

— Ułatwmy to sobie — powiedział łagodnie Rebus — i zaczniemy od początku. Jak pani poznała Nancy?

— Chyba na jakiejś imprezie.

— Chyba?

— Pamiętam, że odwiedziłam z przyjaciółmi kilka barów... a potem wylądowaliśmy na imprezie w czyimś domu i Nancy albo już tam była, albo przyłączyła się do nas po drodze.

Rebus pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Jak dawno temu?

— Trzy, cztery miesiące. Gdzieś tak w okolicach Festiwalu [Doroczny festiwal sztuki, odbywający się w Edynburgu w sierpniu].

— Domyślam się, że wywodzicie się z całkiem odmiennych środowisk?

— Absolutnie.

— Zatem co was zbliżyło? — Wyglądało na to, że Morgan nie ma gotowej odpowiedzi. — No bo przecież coś was połączyło.

— Jest fajną kumpelką.

— Dlaczego odnoszę wrażenie, że znów pani kłamie? Czyżby nowo to drżenie głosu i trzepotanie powiek?

Morgan zerwała się z fotela.

— Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania! Wie pan, kim jest moja matka?

— Tak się właśnie zastanawiałem, kiedy do tego dojdziemy — powiedział Rebus z uśmiechem. — No więc ulżyj sobie i mnie pognęb. — Splótł dłonie za głową.

— Jest żoną sir Michaela Addisona.

— Rozumiem z tego, że nie twojego ojca.

— Mój ojciec umarł, jak miałam dwanaście lat.

— Ale nadal nosisz jego nazwisko? — Na policzki młodej kobiety wróciły już kolory. Postanowiła znów usiąść, choć tym razem zostawiła stopy na podłodze. Rebus rozplótł dłonie i położył ręce na oparciach krzesła. — A kim jest sir Michael Addison?

— Dyrektorem banku First Albannach.

— Czyli pewnie kimś, kogo opłaca się znać.

— Wyciągnął moją matkę z alkoholizmu — powiedziała, świdrując Rebusa wzrokiem. — I bardzo nas obie kocha.



— To miłe, ale niestety w niczym to nie pomogło temu martwemu biedakowi na King's Stables Road. Ciało znalazła twoja koleżanka Nancy, a potem skłamała w kwestii tego, skąd wraca. Bo podała nam twoje nazwisko, Gili, i twój adres. A to znaczy, że musi cię uważać za niezwykle oddaną przyjaciółkę, która będzie wolała pójść za nią do więzienia, niż powiedzieć prawdę...

Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak podniesionym głosem to mówi, i dopiero po zamknięciu usłyszał, że wracają do niego odbite od pustych ścian ostatnie słowa.

— Czy myślisz, Gili, że twój ojczym byłby tym zachwycony? — ciągnął łagodniejszym tonem. — Czy myślisz, że twoja matka by tego chciała?

Gili Morgan opuściła głowę i wlepiła wzrok w swoje dłonie.

— Nie — powiedziała cicho.

— Jasne, że nie — zgodził się Rebus. — A czy gdybym cię teraz zapytał o adres Nancy, umiałabyś odpowiedzieć?

Po policzku młodej kobiety spłynęła pojedyncza łza. Gili ścisnęła powieki dwoma palcami i mrugając, rozpedziła dalsze łzy.

— Gdzieś w okolicach Cowgate.

— Coś mi się widzi, że ty wcale jej tak dobrze nie znasz. A zatem jeśli nie jesteście, jak to mówią, przyjaciółkami od serca, to czemu ją kryjesz?

Morgan wymamrotała pod nosem coś, czego nie zrozumiał. Kazał jej powtórzyć, a ona spojrzała mu prosto w oczy i tym razem powiedziała to głośno i wyraźnie.

— Kupowała mi dragi. — Na chwilę zawiesiła głos. — Właściwie powinnam powiedzieć, że kupowała je nam, część sobie, część mnie. Tylko trochę haszu, nic, co by rzuciło świat na kolana.

— I dlatego się zaprzyjaźniłyście?

— Powiedziałabym, że nie było to bez znaczenia. — Morgan uznała widać, że nie ma już sensu kłamać. — A właściwie miało bardzo duże znaczenie.

— A ta impreza, na której ją poznałaś... Czy Nancy miała wtedy trawkę?

— Tak.

— Do częstowania czy na sprzedaż?

— Nie mówimy o jakimś kartelu narkotykowym z Medellin, panie inspektorze...

— Czyli miała też kokainę — domyślił się Rebus i Morgan dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że chlapnęła. — Musiałaś ją chronić, bo inaczej dałaby ci popalić. Wybacz niezamierzoną grę słów.

— Czy to jest ta pointa, którą pan zapowiadał?

— Myślałem, że nie dosłyszesałaś.

— Słyszałam.

— Nancy Sievewright nie było u ciebie tamtego wieczoru?

— Miała się zjawić koło północy z dostawą. Było mi to akurat nie na rękę, bo musiałam się spieszyć do domu, żeby zdążyć.

— Skąd?

— Pomagałam jednemu z moich instruktorów aktorstwa. Zajmuje się dodatkową działalnością w postaci nocnych wycieczek po mieście.

— Spotkania z duchami?

— Wiem, że to szmira, ale turyści to lubią, a poza tym jest się z czego pośmiać.

— I ty jesteś jedną z postaci? Wyskakujesz z ciemności i robisz: „Buu!”?

— Gram parę różnych ról. — Wydawała się dotknięta jego kpiącym tonem. — A między występami muszę pędzić na złamanie karku do następnego miejsca i jeszcze po drodze zmieniać kostium.

Rebus pamiętał, że Gary Walsh wspominał coś o wycieczkach z duchami.

— I gdzie się to odbywa? — spytał.

— Od św. Gilesa do Cannongate, co wieczór tą samą trasą.

— Czy słyszałaś, żeby któraś z tras zahaczała o King's Stables Road?

— Nie.

Rebus pokiwał głową w zamyśleniu.

— To kogo dokładnie odgrywasz?

— A skąd to nagle zainteresowanie? — parsknęła.

— Zaspokój moją ciekawość.

Wydeła usta i przez chwilę milczała.

— No więc — odezwała się w końcu — jestem medykiem od dżumy... muszę nosić maskę podobną do dzioba jastrzębia. W tamtych czasach medycy napychali je mieszaniną płatków kwiatowych, żeby zneutralizować fetor bijący od pacjentów.

— Urocze.

— A potem jestem duchem... czasem też Szalonym Mnichem.

— Szalonym Mnichem? To chyba niezbyt odpowiednia rola dla kobiety, nie?

— Muszę tylko trochę pojęczeć i postękać.

— Tak, ale przecież chyba widać, że nie jesteś mężczyzną.

— Twarz mam zakrytą kapturem — uśmiechnęła się.

— Kapturem? — powtórzył. — Chętnie bym go zobaczył.

— Wszystkie kostiumy trzymamy w firmie, inspektorze. Dzięki temu jeśli któryś z wykonawców zachoruje, to może go zastąpić ktoś inny.

Rebus kiwnął głową, jakby to wyjaśnienie go satysfakcjonowało.

— Powiedz mi, czy Nancy przyszła kiedyś, żeby zobaczyć twój występ?

— Parę tygodni temu.

— Podobało jej się?

— Chyba tak. — Zaśmiała się nerwowo. — Czyja się pakuję w jakąś pułapkę? Bo nie bardzo rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z pana sprawą.

— Pewnie nic.

Morgan się zamyśliła.

— Zapewne porozmawia pan teraz z Nancy, prawda? Ona od razu się domyśli, że ją wsypałam.

— Obawiam się, panno Morgan, że trzeba będzie znaleźć sobie innego dostawcę. Ale bez paniki, na rynku ich nie brakuje. — Podniósł się z krzesła, Morgan też wstała. Stojąc na palcach, czubkiem głowy nie sięgała mu do podbródka.

— Czy z jakiegoś... — Zdusiła w gardle resztę zdania, uznała jednak, że musi je dokończyć. — Czy z jakiegoś powodu moja matka będzie musiała się dowiedzieć?

— To zależy — odparł Rebus, udając, że się zastanawia. — Bo jak złapiemy mordercę i postawimy przed sądem... kolejność zdarzeń może zostać sprawdzona minuta po minucie. Obrona będzie

chciała zasiać ziarno wątpliwości w umysłach przysięgłych, więc zapewne spróbuje udowodnić, że nie wszyscy świadkowie są wiarygodni. Mogą się ucześcić tego, że zeznanie Nancy Sievwright było stekiem bzdur i rozejdzie się smród... Ale to najgorszy możliwy scenariusz — dodał uspokajająco, patrząc na nią ze swej wysokości. — Może w ogóle do tego nie dojść.

— Ale może dojść.

— Trzeba było od razu mówić prawdę, Gili. Dla aktora kłamstwo to chleb powszedni, ale w prawdziwym świecie nazywamy to zwykle krzywoprzysięstwem.

— Trochę się pogubiłam — przyznała Clarke. Spotkali się wszyscy w sali wydziału śledczego i Clarke niepewnie wpatrywała się w Ścianę Pamięci, na której umieszczono fotografie Aleksandra Todorowa za życia i po śmierci, fotokopię protokołu sekcji zwłok, wykazy nazwisk i numerów telefonów. Rebus pałaszował kanapkę z sałatką i szynką i popijał polistyrenową herbatą, Hawes i Tibbet siedzieli przy swych biurkach, lekko się kołysząc, jakby w duszach grało im coś niesłyszalnego dla innych. Todd Goodyear sączył mleko z półlitrowego kartonu.

— Mam powtórzyć? — zapytał Rebus. — Ojczym Gili Morgan jest szefem banku First Albannach, ona sama kupuje prochy od Nancy Sievewright i ma dostęp do peleryny z kapturem. — Wzruszył obojętnie ramionami, jakby nic specjalnego z tego nie wynikało. — Aha, no i Sievewright wiedziała o istnieniu tej peleryny.

— Musimy ją tu wezwać — postanowiła Clarke. — Phyl, Col, jedźcie po nią.

Udało im się równocześnie kiwnąć głowami i wstać z krzesel.

— A jeśli jej nie będzie? — zapytał Colin.

— To ją znajdźcie.

— Tak jest, szefowo — powiedział, wkładając marynarkę.

Clarke spojrzała na niego podejrzliwie, ale Rebus był pewien, że Tibbet powiedział to bez krztyny ironii. Nazwał ją „szefową”, bo nią naprawdę była, i tyle. Clarke widocznie też doszła do tego

wniosku, bo w milczeniu przeniosła wzrok na Rebusa, który zgniół w kulkę opakowanie po kanapce i rzucił w stronę kosza. Zabrakło mu prawie metr.

— Nie sprawia wrażenia dealerki — powiedziała.

— I pewnie nią nie jest — odrzekł Rebus. — Może jest dobrą koleżanką, która lubi się dzielić.

— Ale jeśli każe sobie za te dragi płacić — wtrącił Goodyear — to czy tym samym nie staje się dealerką? — Podszedł do kosza, podniósł z podłogi kulkę Rebusa i wrzucił do środka. Rebus podejrzewał, że zrobił to całkiem podświadomie.

— Skoro tamtego wieczoru nie była u Morgana, to gdzie się podziewała? — zastanowiła się Clarke.

— Skoro wrzucamy różne grzyby do barszczu, to masz tu jeszcze jeden. Tego wieczoru, kiedy zamordowano Todorowa, barman z Caledonian widział Andropowa i Cafferty'ego w towarzystwie jeszcze kogoś, niejakiego Jima Bakewella, ministra z ramienia laburzystów.

— On też występował w *Question Time* — przypomniała sobie Clarke i Rebus pokiwał głową. Postanowił nie wspominać o swoim spotkaniu z Andropowem w holu hotelowym.

— Rozmawiał z poetą? — spytała Clarke.

— Nie sędzę. Cafferty postawił mu drinka przy barze i dopiero po jego odejściu dosiadł się do Andropowa i Bakewella. Usiadłem przy tym samym stoliku. Nie widać stamtąd całości baru i wątpię, żeby Andropow zauważył Todorowa.

— Zbieg okoliczności? — zastanowił się Goodyear.

— W pracy śledczej nie ma miejsca na takie rzeczy — burknął Rebus.

— Ale czy przez to nie szuka się związku tam, gdzie go nie ma?

— Wszystko się ze sobą łączy, Todd. Nazywają to sześcioma stopniami separacji. Myślałem, że ktoś studiujący Biblię wie o tym.

— Nigdy w życiu nie studiowałem Biblii.

— Powinieneś spróbować. Dobrze robi na nerwy.

— Dalibyście spokój tym szczeniackim gadkom — ofuknęła ich Clarke. — Powinniśmy porozmawiać z tym Bakewellem.

— Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będziemy mieć na głowie cały parlament — odezwał się Goodyear.

— O co ci chodzi? — zapytał Rebus.

Z kolei oni opowiedzieli wszystko, czego dowiedzieli się rano o projekcie Roddy'ego Denholma i nagraniach z posiedzeń Komisji Rewitalizacji Miasta. Na dowód Goodyear uniósł w górę pudełko minikaset.

— Teraz potrzebny nam tylko odtwarzacz — zakończył.

— Już do nas jedzie z Howdenhall—przypomniała mu Clarke.

— Czekają nas upojne godziny — powiedział, wykładając kasetki na biurko. Ustawił je sztorcem jak klocki domino.

— Coś mi się zdaje, że magia pracy w wydziale śledczym zaczyna się ulatniać — rzucił Rebus, robiąc oko do Clarke.

— Niewykluczone, że masz rację. — Kiwnęła głową i szturchnęła biurko, powodując, że wszystkie kasety się przewróciły.

— Myślisz, że powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z Megan Macfarlane?

— Ponieważ?

— Ponieważ prawdopodobnie znała Riordana. To ciekawe, że łączy ją coś z obiema ofiarami.

Clarke pokiwała głową, ale bez specjalnego przekonania.

— Cała sprawa przypomina jedno wielkie pole minowe. — Westchnęła, przypatrując się Ścianie Pamięci. Rebus dopiero teraz zauważył, że do kolekcji dodano już zdjęcie Riordana.

— Ten sam zabójca? — zastanowił się.

— Czekaj, zaraz spytam kryształowej kuli — prychnęła.

— Tylko nie przy dzieciach. — Rebus się uśmiechnął.

Goodyear podniósł z podłogi celofan po herbatnikach i wrzucił do kosza.

— Todd, od tego są sprzątaczkę. — Rebus się skrzywił i przeniósł wzrok na Clarke. — No to jak, jeden zabójca czy dwóch?

— Naprawdę nie wiem.

— Dobrze, ale nie do końca. Bo prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: to nie ma znaczenia. Na tym etapie znaczenie ma tylko to, że uważamy obie śmierci za powiązane.

Przytaknęła ruchem głowy.

— Macrae będzie chciał zwiększyć ekipę.

— Im nas więcej, tym weselej.

Ale patrząc na nią, widział w jej oczach brak pewności siebie.

Nigdy przedtem nie kierowała wielowątkowym śledztwem. Sprawa śmierci podczas ubiegłorocznego spotkania G8 została odgórnie wyciszona i uniknięto szumu w gazetach. Teraz jednak można było mieć pewność, że gdy media zwęszą podwójne morderstwo, wiadomość trafi na pierwsze strony gazet, a oni znajdą się pod presją wezwań o wzmożoną akcję i szybkie rezultaty.

— Macrae będzie chciał, żeby śledztwem pokierował ktoś w stopniu inspektora — bąknęła.

Rebus wolałby, żeby Goodyeara nie było w pobliżu i żeby mogli ze sobą szczerze porozmawiać. W tej sytuacji potrząsnął tylko głową.

— Musisz mu przedstawić swoją koncepcję. Jeśli potrzebujesz kogoś nowego do zespołu, powiedz mu to. Będziesz mogła pracować z tym, z kim zechcesz.

— Ja już pracuję, z kim chcę.

— Czyż to nie urocze? Tylko że opinia publiczna woli słyszeć, że dwudziestoosobowa ekipa detektywów przeczesuje każdy centymetr kwadratowy miasta i lada chwila złapie złoczyńcę. Pięcioro ludzi w czterech ścianach komisariatu nie spełnia tych oczekiwań.

— Enid Blyton [Enid Blyton — pisarka brytyjska (1897—1968), autorka powieści dla dzieci, m.in. 21 książek z serii *Famous Five*, w których czworo dzieci i pies rozwiązują liczne zagadki] pięcioro wystarczyło — powiedziała Clarke z bladym uśmiechem.

— Scooby Doo też — dodał Goodyear.

— I to łącznie z psem. — Clarke kiwnęła głową. — To kogo mam zacząć nękać pierwszego? — zwróciła się do Rebusa. — Macrae, Macfarlane czy Jima Bakewella?

— Idź po całości i zalicz hat tricka — odrzekł.

Telefon na jego biurku zaczął dzwonić i Rebus podniósł słuchawkę. — Detektyw inspektor Rebus.

Słuchając, wydał wargi, wydał z siebie parę mruknięć i rzucił słuchawkę na aparat.

— Szefowie żądają krwi — mruknął, wstając z fotela.





W gabinecie na drugim piętrze komendy policji przy Fettes Avenue na Rebusa czekał James Corbyn, komendant okręgu Lothian i Borders. Był niewiele po czterdziestce, miał czarne włosy uczesane z przedziałkiem i twarz tak gładką, jakby dopiero co się ogolił i spryskał wodą kolońską. Podwładni zwykle specjalnie skupiali się na tym jego świeżym wyglądzie, by nie musieć patrzeć na ogromne znamię na prawym policzku. Znający go wiedzieli, że podczas wystąpień w telewizji zawsze zajmuje miejsce po prawej stronie ekranu, tak by widoczny był tylko jego lewy profil. Trwały nawet dyskusje, czy znamię kształtem bardziej przypomina linię brzegową Fife, czy głowę teriera. Jego początkowe przezwisko „Prasowalnica” szybko ustąpiło miejsca nowemu, bardziej wymownemu: „Plamiarz”. Rebus jak przez mgłę pamiętał, że pod tym samym imieniem występuje pewien negatywny bohater komiksu. Jak dotąd zetknął się z Corbynem osobiście zaledwie trzy czy cztery razy, nigdy jednak nie dostał zaszczytu przyjacielskiego klepnięcia w plecy czy gratulacyjnego uścisku dłoni. Ton rozmowy telefonicznej nie zapowiadał, żeby tym razem miało być inaczej.

— No, wchodź, wchodź — rzucił Corbyn, który osobiście uchylił drzwi i wystawił głowę. Zanim Rebus zdążył podnieść się z ławki na korytarzu i pchnąć drzwi, Corbyn wrócił już na miejsce i rozsiadł się za ogromnym, nienaturalnie uporządkowanym biurkiem. Przed biurkiem siedział ktoś jeszcze — korpulentny, łysawy mężczyzna z pucułowatą, sinorożową twarzą sygnalizującą nadciśnienie. Uniósł się lekko, uściśnął Rebusowi dłoń i przedstawił jako sir Michael Addison.

— Szybko działa pańska pasierbica — powiedział Rebus. I ty też się nie lenisz, dodał w myśli. Od jego wyjścia z mieszkania Gili Morgan nie minęło więcej niż półtorej godziny, a ten już zdążył zadziałać. — Fajnie mieć przyjaciół, prawda?

— Gili wszystko mi opowiedziała — powiedział Addison. — Wygląda na to, że wpadła w niewłaściwe towarzystwo, ale jej matka i ja już się tym zajmujemy.

— Czy to znaczy, że jej matka też wie? — upewnił się Rebus.

— Mamy nadzieję, że to nie będzie konieczne...

— Bo mogłaby znów zacząć pić.

Słowa te wyraźnie zaskoczyły bankiera. Zapadło milczenie i Corbyn uznał, że najwyższy czas się włączyć.

— Słuchaj, John, nie rozumiem, co mielibyśmy osiągnąć przez nagłośnienie tej sprawy. — Zwrócenie się do Rebusa po imieniu miało go upewnić, że wszyscy trzej są po tej samej stronie barykady.

— Jakiej sprawy, panie komendancie? — zapytał Rebus.

Nie z nim takie numery.

— Wiesz, o co mi chodzi. Młode dziewczęta bywają podatne na wpływy... Może Gili bała się powiedzieć prawdę.

— Bo bała się stracić dostawcę? — Rebus udał, że dopiero teraz przyszło mu to do głowy i spojrzał pytająco na Addisona. — Przy okazji, chodzi o jej koleżankę, Nancy Sievewright. Mówi to coś panu?

— Nigdy się z nią nie zetknąłem.

— Czego nie da się powiedzieć o pańskim pracowniku, Roge-rze Andersonie. Wygląda na to, że nie może się od niej odczepić.

— Znam Rogera — potwierdził Addison. — Znalazł ciało tego poety.

— Znalazła je Nancy Sievewright — poprawił go Rebus.

— Ale czy to ma jakiś związek z Gili? — wtrącił Corbyn.

— Złożyła fałszywe zeznania w śledztwie dotyczącym morderstwa.

— Ale teraz powiedziała prawdę — powiedział z naciskiem Corbyn. — Przecież to chyba wystarczy?

— Niezupełnie, panie komendancie. — Rebus spojrzał na Addisona. — Mam dla pana jeszcze jedno nazwisko: Stuart Janney.

— Tak?

— Też u pana pracuje.

— Pracuje nie tyle u mnie, ile w banku.

— I spędza czas na rozmowach z posłami do szkockiego parlamentu i na kryciu podejrzanych Rosjan.

— Zaraz, chwileczkę. — Pucułowata twarz Addisona zmieniła barwę z sinoróżowej na sinoczerwoną, przez co zadrapanie na szyi po goleniu stało się jeszcze bardziej widoczne.

— Właśnie rozmawialiśmy z kolegami, jak wszystko się ze sobą łączy — ciągnął Rebus. — W kraju wielkości Szkocji i tak małym mieście jak Edynburg wszystko widać jak na dłoni.

Pański bank liczy na wielkie interesy z Rosjanami, prawda? Może nawet udało się panu oderwać na chwilę od obowiązków i zagrać z nimi partyjkę golfa w Gleneagles? Janney na pewno by dopilnował, żeby wszystko poszło gładko...

— Doprawdy nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z moją pasierbicą.

— Gdyby się okazało, że jest zamieszana w śmierć Todorowa, nie obyłoby się bez wielkiego smrodu... i to bez względu na liczbę stopni separacji, którymi chciałby się pan odgrodzić. I tak prowadziłoby to prosto do pana, do dyrekcji FAB. Pewnie Andropow i jego koledzy nie byłiby tym zachwyceni.

Corbyn walnął pięścią w biurko i wlepił w Rebusa wściekle spojrzene. Addison podniósł się z miejsca. Wyglądał na mocno poruszonego.

— To był błąd — powiedział. — Moja wina, że chciałem ją ochronić.

— Michael... — zaczął Corbyn, ale przerwał. Chyba nie bardzo wiedział, co mógłby w tej sytuacji powiedzieć.

— Zauważyłem, że pasierbica nie przyjęła pańskiego nazwiska — rzekł Rebus. — Ale nie przeszkadza jej to szukać u pana pomocy. A to jej piękne mieszkanie... Pewnie jest własnością banku, prawda?

Addison ruszył ku drzwiom, na których wisały jego płaszcz i szalik.

— Chciałem tylko zaapelować do zwykłego poczucia przyzwyczajenia — powiedział bardziej do siebie niż do nich. Udało mu się wetknąć jedną rękę w rękaw, ale tak mu było spieszno opuścić gabinet, że nawet nie próbując tego z drugą, wyszedł z płaszczem krzywo zwisającym z jednego ramienia. Zostawił za sobą otwarte drzwi i stojących twarzą w twarz Corbyna i Rebusa.

— Nieźle poszło — zauważył Rebus.

— Jesteś cholernym głupcem, Rebus.

— O, a gdzie się podział „John”? Boi się pan, że Addison ze złości podwyższy panu ratę hipoteczną?

— To przyzwoity człowiek... i mój przyjaciel — warknął Corbyn.

— A jego pasierbica jest kłamliwą ćpunką — wzruszył ramionami Rebus. — Ale, jak to mówią, rodziny się nie wybiera. Można natomiast wybierać sobie przyjaciół... tyle że ci przyjaciele z FAB to też mocno podejrzane typki.

— First Albannach to historia jednego z największych sukcesów, jakie zna ten kraj! — wybuchnął Corbyn.

— Ale to jeszcze nie świadczy o ich uczciwości.

— Wyobrażam sobie, że uczciwym według ciebie jest tylko ktoś taki jak ty! — Corbyn złowieszczo prychnął. — Chryste, ależ ty masz tupet.

— Czy to już wszystko, panie komendancie? A może jakiś inny pański znajomy chciałby skorzystać ze skromnych możliwości wydziału śledczego w sprawie kradzieży ogrodowego krasnala?

— Jeszcze tylko jedno. — Corbyn ponownie usiadł za biurkiem i swoje następne słowa wypowiedział dobitnie, robiąc między nimi wyraźne przerwy. — Ciebie... już... nie ma.

— Dzięki za przypomnienie.

— Mówię serio. Wiem, że zostały ci tylko trzy dni do emerytury, ale spędzisz je w zawieszeniu.

Rebus wlepił w niego wzrok.

— Nie sądzi pan, że to troszkę małostkowe i melodramatyczne?

— W takim razie mam dla ciebie coś jeszcze, co też ci się spodoba. — Corbyn głęboko zaczerpnął powietrza. — Jeśli usłyszę, że choćby przekroczyłeś próg komisariatu przy Gayfield Square, zdegraduję każdego funkcjonariusza w twoim otoczeniu, bez wyjątku. Życzę sobie, Rebus, żebyś zniknął i zajął się tylko odliczaniem dni w kalendarzu. Od tej chwili nie jesteś detektywem w czynnej służbie i już nigdy nim nie będziesz. — Wyciągnął ku niemu otwartą dłoń. — Legitymacja służbowa.

— Chce się pan o nią szarpać?

— Jeśli jesteś gotów trafić stąd do celi. Myślę, że bez większych kłopotów uda nam się zamknąć cię na trzy doby. — Poruszył dłonią, jakby go ponaglał. — Przychodzą mi na myśl co najmniej trzej poprzedni komendanci, którzy marzyliby, żeby być teraz na moim miejscu.

— Mnie też. — Rebus kiwnął głową. — Moglibyśmy razem stworzyć kwartet rewelersów i pośpiewać siedzącemu przed nami kutasowi.

— I to jest właśnie powód waszego zawieszenia, Rebus — parsknął triumfalnie Corbyn.

Rebus z niedowierzaniem spojrzął na wciąż wyciągniętą ku sobie rękę.

— Jak chcesz moją legitymację — powiedział spokojnie — to przyślij po nią swoich chłopców.

Odwrocił się i ruszył do wyjścia, w którym stała zeszytywniała ze zgrozy sekretarka. Miała przyciśnięty do piersi segregator i otwarte ze zdumienia usta. Rebus kiwnął jej głową na znak, że się nie przesłyszała, i na wszelki wypadek mruknął pod nosem: „kutas”.

Wyszedł na parking i otworzył drzwi saaba, ale nie wszedł od razu. Z ręką opartą na klamce zastygł w bezruchu i zapatrzył się przed siebie. Już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że groźniejsze od przestępczego podziemia bywa legalne nadziemie i to jego należy się naprawdę obawiać. Może to tłumaczyło, dlaczego tacy jak Cafferty oficjalnie wychodzą z ukrycia i Zaczynają działać w legalu. Wystarczy mieć paru przyjaciół we właściwych miejscach i wszystko da się załatwić, o wszystkim można decydować. Przez całe życie Rebus nigdy nie czuł się jak „swoj”. Chwilami nawet próbował — zwłaszcza w czasach służby wojskowej i w pierwszych miesiącach pracy w policji — ale im bardziej czuł się „nie swój”, tym mniejszym zaufaniem darzył wszystkich wokół z ich partyjkami golfa, „słówkami na boku”, intrygami i sytuacjami, smarowaniem dłoni i drapaniem po plecach. Było oczywiste, że ktoś w rodzaju Addisona nie zawaha się sięgnąć samej góry. Robił to, bo mógł, bo w jego świecie takie postępowanie było czymś normalnym i akceptowanym. Rebus musiał zaś przyznać, że nie docenił Corbyna. Nie spodziewał się, że komendant posunie się do czegoś takiego. Że go zawiesi na trzy dni przed pożegnalnym uściskiem dłoni.

— Kutas — powiedział na głos, tym razem zwracając się do jedynego słuchacza w zasięgu głosu: siebie samego.

No i to by było na tyle. Koniec jazdy, koniec pracy. Przez ostatnie tygodnie robił wszystko, żeby o tym nie myśleć. Rzucał się na nie swoją pracę, wszystko jedno co. Zaczął nawet odkurzać stare, nierozwiązane sprawy i próbował wciągać w to Siobhan, jakby i bez tego nie miała dość roboty z obecnymi śledztwami, a

co na pewno nie zmieni się po jego odejściu. Alternatywą było zabranie wszystkiego do domu... uczynienie z tego swego rodzaju prezentu pożegnalnego, który pozwoli mu zająć czymś myśli, kiedy nie będzie miał ochoty na pub. Od trzydziestu lat praca trzymała go przy życiu, doprowadzając do rozpadu małżeństwa i zerwania wielu przyjaźni i znajomości. Nie miał szans na powrót do cywilnego życia — było za późno na to, żeby się przestawić. Po prostu stanie się niewidzialny dla reszty świata, nie tylko dla rozbrykanych nastolatków.

— Kurwa! — warknął, mocno przeciągając słowo.

Zareagował na beczelną arogancję — zarówno Addisona, który przyszedł pewien swej potęgi, jak i jego pasierbicy, która uznała, że starczy jeden płaczliwy telefon, żeby wszystko załatwić. I właśnie tak to funkcjonuje w nadziemiu, pomyślał. Addisona nigdy nie skatowano do nieprzytomności na zasikanej klatce schodowej, jego pasierbica nigdy nie musiała się sprzedawać na ulicy, żeby zarobić na następną działkę i jedzenie dla dzieciaków. Żyli w zupełnie innym świecie — w świecie, w którym Gili Morgan rajcowało utrzymywanie kontaktów z kimś takim jak Nancy Sievewright.

Podobnie jak Corbyna rajcowało to, że jeden z najpotężniejszych ludzi w Europie przychodzi go prosić o przysługę.

A Cafferty'ego musiało rajcować stawianie drinków biznesmenom i politykom... Cafferty: niespełniona vendetta Rebusa, która już taką pozostanie, jeśli zastosuje się do polecenia Corbyna. Pozbawiony wszelkich skrupułów Duży Ger, poruszający się swobodnie między podziemiem a nadziemem. Chyba że Rebus zdobędzie się na to, by wrócić do środka, przeprosić komendanta i obiecać posłuszeństwo.

Już i tak za chwilę wyląduję na śmietniku... proszę mi dać jeszcze tę jedną, ostatnią szansę... proszę, panie komendancie... bardzo proszę...

— A, tam — mruknął. Otworzył drzwi samochodu, wsiadł i wsadził klucz do stacyjki.

— Nancy, będziemy to nagrywać, zgoda?

— Potrzebny mi adwokat? — powiedziała Sievewright, wykrzywiając usta.

— A chcesz adwokata?

— Nie wiem.

Clarke dała znak Goodyearowi, by włączył magnetofon. Sama wsunęła do niego dwie kasety — jedną dla nich, drugą dla przesłuchiwaną — ale Goodyear się zawahał i Clarke uprzytomniła sobie, że nigdy wcześniej tego nie robił. W pokoju przesłuchań nr 1 było duszno i gorąco — zupełnie jakby wysysane tu było całe ciepło z pozostałych pomieszczeń. W rurach centralnego coś bulgotało i pojękiwało i ogrzewania nie dawało się wyłączyć. Nawet Goodyear się poddał i zdjął marynarkę, a na koszuli pod pachami widać było ciemne plamy potu. W znajdującym się kawałek dalej PP3 było wciąż zimno jak w psiarni, ale tu, w PP1, panował trudny do wytrzymania upał.

— Ten i ten — pomogła mu, pokazując odpowiednie przyciski. Nacisnął je, zapaliła się czerwona lampka i obie kasety ruszyły z miejsca. Clarke wymieniła nazwiska obojga przesłuchujących, ale jej ostatnie słowa zagłuszyło szurnięcie krzesła, które Goodyear zamasyżuje przysunął sobie do stołu. Uśmiechnął się przepraszająco, Clarke powtórzyła ostatni fragment, potem po prosiła Sievewright o podanie imienia i nazwiska i zakończyła wstępną prezentację podaniem daty i godziny nagrania. Skończywszy formalności, odchyliła się lekko do tyłu i rozparła na krześle. Na stole przed sobą

położyła teczkę Todorowa, w której na samym wierzchu umieściła fotografię z sekcji zwłok. Aby teczka prezentowała się okazalej i groźniej, do środka wepchnęła kilkadziesiąt arkuszy czystego papieru wyjętego z kopiarki, co Goodyear skwitował pełnym podziwu skinieniem głowy. Również leżąca na wierzchu fotografia zwłok denata została na czas przesłuchania zdjęta ze Ściany Pamięci, by unaocnić Sievewright powagę sytuacji. Zresztą dziewczyna i tak wyglądała na przejętą. Hawes i Tibbet, którzy po nią pojechali, nie powiedzieli ani słowa o celu wezwania i przez całą drogę na Gayfield Square zachowali głuche milczenie. Potem posadzono ją w PP1 i przez blisko czterdzieści minut trzymano w samotności, nie proponując czegokolwiek do picia. Gdy Clarke i Goodyear wreszcie się pojawili, oboje mieli w dłoniach kubki świeżo zaparzonej herbaty (choć Goodyear próbował się wymigać, mówiąc, że nie chce mu się pić).

— Chodzi o efekt psychologiczny — wyjaśniła Clarke.

Obok teczki z papierami położyła telefon komórkowy i blok z długopisem. Goodyear też rozłożył przed sobą notes.

— A zatem, Nancy — zaczęła Clarke. — Zechcesz nam powiedzieć, co naprawdę robiłaś tego wieczoru, kiedy natknęłaś się na ofiarę?

— Co? — Sievewright rozdziawiła usta i zamarła.

— Kiedy podobno byłaś u swojej koleżanki... — Clarke udała, że szuka nazwiska w papierach — ...Gili Morgan. — Podniosła wzrok na Sievewright. — U twojej przyjaciółki Gili.

— Tak?

— Powiedziałaś nam, że byłaś u niej w domu i że właśnie wracałaś do siebie. Ale skłamałaś, prawda?

— Nie.

— No cóż, Nancy, któraś z was na pewno kłamie.

— A co ona wam powiedziała? — W jej głosie pojawiła się nutka hardości.

— Powiedziała, że byłaś w drodze do niej, nie od niej. Czy jak natknęłaś się na ciało, to miałaś przy sobie prochy?

— Jakie prochy?

— Te, które miałaś jej dostarczyć.

— To kłamliwa suka!



— A ja myślałam, że to twoja przyjaciółka. I to na tyle serdeczna, żeby podtrzymywać wersję, którą jej podałaś.

— Kłamie — warknęła Sievewright, mrużąc oczy.

— Ale dlaczego, Nancy? Dlaczego twoja przyjaciółka miałaby kłamać?

— Musicie ją zapytać.

— Już to zrobiliśmy. Chodzi o to, że jej wersja pasuje do innych znanych faktów. Pod parkingiem widziano kobietę...

— Już mówiłam, że nikogo nie widziałam.

— A może dlatego, że to ty nią byłaś?

— Wcale nie jestem podobna do tej, którą mi pokazywaliście!

— Bo ta kobieta proponowała seks, a przecież wiemy, dlaczego niektóre kobiety to robią, prawda?

— Dlaczego?

— Żeby zarobić na dragi, Nancy.

— Co?

— Potrzebowałaś pieniędzy na kupno dragów dla Gili.

— Ona mi już dawno dała kasę, idiotko.

Clarke postanowiła spokojnie przeczekać wybuch dziewczyny. Sievewright zdała sobie sprawę z tego, że powiedziała za dużo, i jej twarz jakby się zapadła.

— Znaczy się, chciałam powiedzieć... — zająknęła się.

— Że Gili Morgan dała ci pieniądze na kupno trawki — wtrąciła Clarke. — Szczerze mówiąc, i mówię to do protokołu, mam to gdzieś. Nie wyglądasz mi na poważną dealerkę, bo gdybyś nią była, tamtego wieczoru wzięłabyś nogi za pas i nie czekała na nasz przyjazd. Ale to pozwala mi sądzić, że w tym momencie byłaś czysta, a skoro tak, to albo czekałaś na dostawcę, albo do niego szłaś.

— Tak?

— Chciałabym usłyszeć, jak było naprawdę.

— To drugie.

— Szłaś na spotkanie ze swoim dealerem?

Sievewright w milczeniu przytaknęła.

— Nancy Sievewright kiwa twierdząco głową — powiedziała Clarke do mikrofonu. Potem zwróciła się do przesłuchiwaney:

— Więc nie kręciłaś się pod parkingiem?

— Już mówiłam, nie?

— Wolę się upewnić. — Clarke udała, że przegląda papiery w teczce. — Podobno panna Morgan ma ambicje aktorskie.

— Mhm.

— Widziałaś ją już w czymś?

— A była już w czymś?

— Zabrzmiało to dość sceptycznie.

— Najpierw miała pisać do gazet, potem chciała być prezen-terką w telewizji, później modelką...

— Czyli można ją nazwać motylkiem, który z kwiatka na kwia-tek...

— Nazywajcie ją, jak wam się podoba.

— Ale pewnie zadawanie się z nią sprawia ci frajdę.

— Dostaje fajne zaproszenia — przyznała Sievewright.

— Tylko nie zawsze cię ze sobą zabiera — domyśliła się Clar-ke.

— Rzadko. — Sievewright poprawiła się na krześle.

— Wyleciało mi z głowy. Jak wyście się poznały?

— Na imprezie na Nowym Mieście... zaczęłam w pubie gadkę z jednym z jej koleśków, a potem ona powiedziała, że mogą się do nich przyłączyć.

— Wiesz, kim jest ojciec Gili?

— Wiem, że musi mieć niezłą kasę.

— Kieruje bankiem.

— Pasuje.

Clarke znów przełożyła pustą kartkę w teczce. Tak naprawdę brakowało jej Rebusa. Chciałaby usłyszeć jego reakcję, móc na chwilę przekazać mu pałeczkę, a samej zebrać myśli do następnej rundy. Todd Goodyear wyglądał na spiętego i niezbyt pewnego siebie. Cały czas obgryzał długopis jak bóbr, który dorwał się do wyjątkowo soczystego kawałka drewna.

— Wiedziałaś, że pracuje w firmie organizującej wycieczki z duchami? — spytała po przerwie.

— Mogłabym dostać coś do picia?

— Niedługo kończymy.

Sievewright zrobiła minę jak dziecko, które za chwilę się roz-placze. Clarke spokojnie powtórzyła pytanie.

— Kiedyś zabrała mnie ze sobą.

— No i jak to wyglądało?

— Tak sobie. — Sievewright wzruszyła ramionami. — Trochę nudno.

— Nie bałaś się?

W odpowiedzi pogardliwe parsknęła i Clarke powoli zamknęła teczkę, jakby zamierzała na tym skończyć. W rzeczywistości miała jeszcze parę pytań, ale z ich zadaniem czekała do chwili, gdy Sievewright będzie się już szykować do wstania.

— Pamiętasz tę pelerynę Gili?

— Jaką pelerynę?

— Którą nosi jako Szalony Mnich.

— No i co?

— Widziałas ją kiedyś u niej w mieszkaniu?

— Nie.

— A ona ciebie kiedyś odwiedziła?

— Raz była na imprezie.

Clarke udąła, że się zastanawia.

— Jak wiesz, nie mam zamiaru ściagać cię za posiadanie narkotyków, ale chętnie bym poznała adres twojego dostawcy.

— A w życiu! — Głos dziewczyny zabrzmiał zdecydowanie. Wciąż się szykowała do wstania i w myślach już stąd wychodziła, co znaczyło, że na wszelkie dalsze pytania będzie udzielać jak najkrótszych odpowiedzi. Clarke postukała paznokciami w zamkniętą teczkę.

— Ale znasz go dobrze.

— Kto tak mówi?

— Domyślam się, że na tej pierwszej imprezie coś przy sobie miałaś. To by tłumaczyło, dlaczego tak szybko się ze wszystkimi zaprzyjaźniłaś.

— No i co z tego?

— Nie masz zamiaru podać mi jego nazwiska?

— Za cholerę.

— Jak go poznałaś?

— Przez kolegę.

— Twojego współlokatora? Tego z umalowanymi oczami?

— Nie pani interes.

— Kiedy u was byłam, z pokoju dochodziły bardzo silne zapachy... — Sievewright nie dała się sprowokować. — Utrzymujesz kontakt z rodzicami, Nancy?

Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło.

— Tata się zmył, jak miałam dziesięć lat.

— A z mamą?

— Mieszka w Wardieburn.

W dzielnicy miasta cieszącej się nie najlepszą opinią.

— Często ją widzisz?

— Zaczynamy teraz wywiad dla opieki społecznej?

Clarke uśmiechnęła się z pobłażaniem.

— Miałś jeszcze kłopoty z Andersonem?

— Na razie nie.

— Sądzisz, że się jeszcze pojawi?

— Lepiej niech dwa razy pomyśli, zanim to zrobi.

— Ciekawe, że pracuje w banku ojca Gili.

— No i co z tego?

— Gili nie zabierała cię nigdy na firmowe przyjęcia? Może Anderson tam cię poznał?

— Nie — rzuciła zdecydowanie.

Clarke zamilkła na dłuższą chwilę, potem odchyliła się do tyłu i położyła dłonie na stole.

— Pytam tylko dla porządku: ty nie jesteś prostytutką, a on nie jest jednym z twoich klientów? — Sievewright obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem i widać było, że zbiera się do riposty, ale Clarke nie dała jej szansy. — Myślę, że to by było na tyle. Chcę ci podziękować, że nas odwiedziłaś.

— Nie miałam specjalnego wyboru — mruknęła dziewczyna.

— Przesłuchanie kończy się o godzinie... — Clarke spojrzała na zegarek, odczytała czas, potem wyłączyła magnetofon, wyjęła kasety i włożyła do oddzielnych plastikowych torebek. — Raz jeszcze dziękuję — powiedziała, podając jedną z kaset Sievewright, która ją niemal wyszarpnęła z ręki Siobhan. — Post-runkowy Goodyear odprowadzi cię do wyjścia.

— Ktoś mnie odwiezie do domu?

— Nie jesteśmy firmą taksówkową.

Grymas na twarzy Sievewright świadczył o tym, co myśli o takim traktowaniu. Goodyear ruszył z nią do wyjścia, Clarke ruchem głowy dała mu znak, że spotkają się na górze. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, chwyciła komórkę i przytknęła do ucha.

- Wszystko słyszałeś?
- Z grubsza — zabrzmiał głos Rebusa. Słysząc było, jak zapala papierosa.
- Te telefony nas zrujnują.
- Zależy, gdzie będą przesłuchania. Wszędzie poza terenem komisariatu mogę siedzieć obok i słuchać. Corbyn zabronił mi tylko wstępu na Gayfield Square.
- Clarke wsunęła do teczki torebkę z kasetą i wsadziła ją pod ramię.
- Myślisz, że wydobyłam z niej wszystko, co się dało? — zapytała.
- Dobrze się sprawiłaś. Dobrym pomysłem było zostawienie kluczowych pytań na sam koniec... bałem się tylko, czy nie zapomnisz ich zadać.
- Coś pominęłam?
- Nic nie przychodzi mi do głowy.
- Szła już korytarzem, rozkoszując się temperaturą o dobre osiem stopni niższą.
- Tylko jedno — powiedział Rebus. — Po co pytałaś ją o rodziców?
- Właściwie sama nie wiem. Może dlatego, że spotykamy tak wielu takich jak ona: rozbita rodzina, matka zarabiająca na życie, brak opieki nad córką, która schodzi na manowce...
- Dasz mi teraz lekcję liberalizmu społecznego?
- No bo wychowujesz się w Wardieburn... a potem nagle zaczynasz chodzić na przyjęcia na Nowym Mieście.
- Handlując dragami — przypomniał jej Rebus.
- Clarke pchnęła ramieniem drzwi na parking. Rebus siedział w saabie z telefonem przy uchu i papierosem w drugiej dłoni. Przerwała połączenie, otworzyła drzwi po stronie pasażera i wślizgnęła się do środka. Rebus wyłączył telefon i schował go do kieszeni.
- To wszystko? — zapytał, wyciągając rękę po teczkę.
- Tyle, ile zdołałam skopiować bez wzbudzania podejrzeń.
- Wyjął z teczki dwucentymetrową ryzę nietkniętego papieru do kopiarki.
- Poznałaś wszystkie niezbędne sztuczki, Kwai Chang Caine.
- Czy to znaczy, że ty jesteś Mistrzem Po?

— Nie myślałem, że w twoim wieku możesz pamiętać *Kung Fu*.

— Są jeszcze powtórki — powiedziała, patrząc, jak Rebus sięga za siebie i rzuca teczkę na tylne siedzenie. — Przez cały czas modliłam się, żeby ci się nie zachciało kaszlnąć albo kichnąć.

— Bałem się nawet zapalić — odrzekł Rebus.

Czuł na sobie jej wzrok, ale nawet na nią nie spojrział.

— Jak to jest — powiedziała w końcu — że nawet tym razem nie potrafiłeś odpuścić?

— Ludzie w rodzaju Corbyna działają mi na nerwy.

— Podobnie jak przeważająca większość wszystkich innych.

— Może i tak — przyznał. — Masz zamiar rozmawiać z Bakewellem w parlamencie? — Clarke kiwnęła głową. — To jak, jestem zaproszony?

— John, przypomnij mi, proszę, co to znaczy być „zawieszonym”?

— Ostatnio jak tam byłem, Shiv, to do parlamentu bez trudu wpuszczano wszystkich zwiedzających. Zaproś faceta na kawę, a ja sobie usiądę przy sąsiednim stoliku.

— Albo mógłbyś też usiąść sobie w domu i dać mi pogadać z Corbynem. Może uda mi się go przekonać.

— Nie ma szans.

— Na co nie ma szans? Żebyś posiedział w domu czy żebym go przekonała?

— Jedno i drugie.

— Boże, dodaj mi siły — westchnęła.

— Amen... A skoro mowa o Wszchemogącym, nie słyszałem, żeby młody Goodyear choć raz włączył się do przesłuchania.

— Był tam po to, żeby obserwować.

— Wiesz, nie musisz się z tym kryć... możesz się przyznać, że ci mnie brakowało.

— Ale powiedziałeś przed chwilą, że niczego nie pominęłam.

Rebus wzruszył ramionami.

— Może ukryła coś, o czym nawet nie wiemy.

— Chcesz powiedzieć, że ty byś z niej wyciągnął nazwisko tego dealera?

— Stawiam dwadzieścia funciaków, że będę je miał przed końcem dnia.

— Jak się Corbyn dowie, że się wciąż mieszasz do tej sprawy...

— Ależ nic podobnego, detektyw sierżant Clarke. Będę się nią interesował tylko jako cywil. A tego nie może mi zabronić, prawda?

— John... — zaczęła ostrzegawczo, ale dała spokój, wiedząc, że i tak nic nie wskóra. — Bądźmy w kontakcie — mruknęła tylko, otworzyła drzwi i wysiadła.

— Zauważyłaś? — rzucił za nią.

— Co zauważyłam? — Clarke wsadziła głowę do środka.

Machnął ręką w stronę parkingu.

— Przestało śmierdzieć... Ciekawe, czy to jakiś znak.

Z uśmiechem przekręcił kluczyk w stacyjce i zostawił Clarke z pytaniem, którego nie zdążyła zadać.

Dobry to znak czy zły?

— Nancy w domu? — spytał Rebus, gdy współlokator Sievewright otworzył przed nim drzwi.

— Nie ma.

Nie zaskoczyło go to, bo kilka minut wcześniej minął ją swym saabem na Leith Street. Zakładając, że idzie prosto do domu, Rebus miał około dwudziestu minut.

— Eddie, prawda? — upewnił się. — Byłem tu parę dni temu.

— Pamiętam.

— Ale nie przypominam sobie twojego nazwiska.

— Gentry.

— Tak jak Bobbie Gentry?

— Niewielu ją dziś pamięta.

— Bo niewielu jest tak starych jak ja. W domu mam parę jej płyt. Mogę wejść? — Rebus zauważył, że tym razem chłopak nie ma na głowie bandany, ale jego oczy są znów podmalowane. — Powiedziała, że będzie o trzeciej — skłamał bez zająknięcia.

— Przed chwilą ktoś się już do niej dobijał... — Gentry wyraźnie się wahał, ale twarde spojrzenie Rebusa mówiło wyraźnie, że wszelki opór mija się z celem. Otworzył szerzej drzwi, Rebus skłonił lekko głowę i wszedł do środka. Powietrze w pokoju było przesycone zatechłą wonią tytoniu i czegoś, co przypominało olejek paczuli. Rebus już od dawna nie zetknął się z tym zapachem. Podeszedł do okna i wyjrzał w dół na Blair Street.

— Opowiem ci zabawną historię — powiedział, stojąc plecami



do Gentry'ego. — Po drugiej stronie ulicy jest ciąg piwnic, w których zespoły urządzały sobie próby. Właściciel domu postanowił go przebudować i sprowadził ekipę budowlanców. Najpierw zabrali się do tych podziemi, które, jak się okazało, ciągnęły się całymi kilometrami, i wtedy zaczęły do nich docierać jakieś upiorne jęki...

— Salon masażu w sąsiednim domu — mruknął Gentry, uprzedzając dalszy ciąg opowieści.

— Słyszałeś o tym. — Rebus odwrócił się od okna i przebiegł wzrokiem grzbiety okładek płytowych, w większości starych albumów długogrających. — Caravan. Najlepsze czasy Canterbury... nie sądziłem, że ktoś jeszcze tego słucha. — Wypatrzył kilka innych znajomych nazw z dawnych lat: Fairports, Davey Graham, Pentangle. — Ktoś tu jest miłośnikiem archeologii?

— Lubię starocie. Sam też gram na gitarze — powiedział Gentry, wskazując głową narożnik pokoju.

— Rzeczywiście. — Rebus spojrział na sześciostunową gitarę akustyczną na stojaku i dwunastostunową na podłodze. — Dobry w tym jesteś?

Zamiast odpowiedzi Gentry wziął do ręki gitarę akustyczną, przysiadł na kanapie i skrzyżowawszy nogi, zaczął grać. Rebus dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że długie paznokcie mężczyzny wyhodowane na palcach prawej ręki służą za naturalne kostki do gry. Melodia wydała mu się znajoma, choć nie bardzo potrafił ją umiejscowić w pamięci.

— Bert Jansch? — domyślił się dopiero przy końcowym akordzie.

— Z płyty z Johnem Renbournem.

— Od lat tego nie słyszałem. — Rebus z uznaniem pokiwał głową. — Całkiem niezły jesteś, synu. Szkoda, że nie możesz się z tego utrzymać, co? Może nie musiałbyś wtedy zajmować się dealką.

— Co?

— Nancy wszystko nam powiedziała.

— Zara, chwila. — Gentry odłożył gitarę i wstał z kanapy. — Co pan powiedział?

— No proszę, muzyk, a głuchy — stwierdził z podziwem Rebus.

— Tekst słyszałem, tylko nie rozumiem, dlaczego miałyby coś takiego powiedzieć.

— Tego wieczoru, kiedy zamordowano poetę, szła po towar do dostawcy, z którym ty ją poznałeś.

— Nie mogła tego powiedzieć. — Gentry starał się mówić pewnym tonem, ale w jego oczach czaił się strach. — Z nikim jej nie poznawałem.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, Rebus wzruszył ramionami.

— Mnie to akurat wisi. Ona mówi, że handlujesz, ty mówisz, że nie... Ale wszyscy i tak wiemy, że tu jaracie.

— Tylko to, co przynosi od swojego chłopaka — prychnął Gentry, ale zaraz się poprawił. — Nawet nie jest jej chłopakiem... tylko ona tak myśli.

— Co to za jeden?

— Nie wiem. Znaczy, był tu parę razy, ale wiem tylko, że każe się nazywać „Sol”. Mówi, że to po łacinie „słońce”. Ale nie zauważyłem, żeby aż tak błyszczał.

Rebus wybuchnął śmiechem, jakby to był jeden z najlepszych dowcipów, jakie ostatnio słyszał.

Gentry nawet się nie uśmiechnął.

— Nie wierzę, żeby chciała mnie w coś takiego zrobić — mruknął do siebie.

— Wrobiła też swoją kumpelkę — oświadczył Rebus. — Namówiła ją, żeby jej dała fałszywe alibi... — Detektyw zamilkł, by to ostatnie słowo zrobiło na Eddiem odpowiednie wrażenie.

— Alibi? — powtórzył Gentry. — Chryste, wy myślicie, że to ona zabiła tego faceta?

Rebus ponownie wzruszył ramionami.

— Czy Nancy ma coś w rodzaju peleryny albo oponczy? Coś podobnego do habitu mnicha?

— Nie. — Gentry wydawał się zaskoczony pytaniem.

— Poznałeś kiedyś jej koleżankę Gili?

— Lalunię z Nowego Miasta? — Skrzywił się.

— Widzę, że ją znasz?

— Była tu kiedyś na imprezie.

— Podobno ona też wydaje niezłe imprezy. Mógłbyś u niej wystąpić.

— Wolę nabijać sobie szpilek do oczu.

— Pewnie wiesz, co mówisz. To tak jak ja wolę słuchać Dicka Gaughana, a nie Jamesa Blunta. — Głośno pociągnął nosem i wyjął z kieszeni chusteczkę. — A ten Sol... znasz jego adres?

— Skąd.

— Nie szkodzi. — Rebus wrócił do okna i chowając chusteczkę, wyjrzał na ulicę. Do powrotu Nancy Sievewright zostało już niewiele czasu. Miała do przejścia do końca Leith Street, potem tylko przez most Północny i Hunter Square... — Tylko grasz czy też śpiewasz?

— Trochę też.

— Ale nie w zespole?

— Nie.

— Powinieneś się wybrać do Fife. Znajomy mi mówił, że zrobiło się tam coś w rodzaju mekki dla muzyki akustycznej.

Gentry pokiwał głową.

— Grałem w Anstruther.

— Aż trudno sobie wyobrazić, żeby East Neuk mogło być mekką dla czegokolwiek... kiedyś w zimie i w weekendy wszystko było zamknięte.

Gentry się uśmiechnął.

— Pan poczeka chwilę. — Wyszedł z pokoju, ale po krótkiej chwili wrócił z czymś, co podał Rebusowi. Płyta kompaktowa w przezroczystej plastikowej koszulce. W środku widać było karteczkę z tytułami trzech utworów. — Moje demo — oznajmił z dumą.

— Świetnie. Mam ci to oddać po posłuchaniu?

— Mogę sobie wypalić następną — odparł, kręcąc przecząco głową.

Rebus klepnął płytką w otwartą dłoń.

— Naprawdę to doceniam, Eddie. Tylko nie wyobrażaj sobie, że to jakaś łapówka.

Gentry obrzucił go spłoszonym wzrokiem.

— Skąd, ja tylko chciałem...

Rebus poklepał go po ramieniu i zapewnił, że tylko zażartował.

— Lepiej już sobie pójdę — dodał. — Raz jeszcze dziękuję — Pomachał kompaktem, wyszedł do przedpokoju i ruszył do wyjścia. Znalazszy się na klatce, spojrzął w dół schodów i zobaczył idącą na górę Nancy Sievewright. W ręku wciąż trzymała polietylenową torebkę z kasetą z przesłuchania. Rebus kiwnął na powitanie

głową i uśmiechnąwszy się, minął dziewczynę bez słowa. Czuł na plecach jej spojrzenie, ale obejrzał się dopiero na samym dole. Stała w miejscu, nie spuszczać z niego wzroku.

— Właśnie mu powiedziałem! — zawołał.

— Komu i co?

— Twojemu koledze Eddiemu. Temu, na którego próbowałam nas napuścić...

Wyszedł na ulicę i podszedł do samochodu. Zostawił go w strefie zakazu parkowania, ale tym razem obyło się bez mandatu.

Mój szczęśliwy dzień, pomyślał. Zdobył się wreszcie na zainstalowanie w saabie odtwarzacza kompaktów, wyjął więc płytkę Genry'ego z koszulki i włączył. Potem spojrzął na karteczkę z tytułami. *Wzgórek Meg. Obolały minstrel. Blues wielebnego Walkera*. Tytuły brzmiały zachęcająco. Ściszył dźwięk, wyjął komórkę i zadzwonił do Clarke.

— Powiedz mi, że siedzisz teraz w pubie — rzuciła zamiast powitania.

— Dokładnie to w samochodzie na Blair Street. I jesteś mi winna dwie dychy.

— Nie wierzę.

— Nie uwierzysz dopiero jak ci powiem. — Zawiesił głos dla większego efektu. — Sievewright kupuje towar od niejakiego Sola. Jej współlokator sądzi, że ma to coś wspólnego ze słońcem, ale my znamy prawdę, co?

— Sol Goodyear?

— Zakładam, że Todda nie ma w pobliżu.

— Robi mi kawę.

— Jakież to urocze.

— Sol Goodyear? — powtórzyła, jakby nie mogąc uwierzyć. W końcu spytała, co to za muzyka, której słucha.

— Współlokator Nancy gra na gitarze.

— I zakładam, że nie siedzi obok ciebie w samochodzie.

— Prawdopodobnie właśnie wrzeszczą na siebie z Sievewright. Ale dał mi w prezencie swoje demo.

— To miło z jego strony. Założę się, że już nie pamiętasz, kiedy ostatni raz słuchałeś czegoś nagranego po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku.

— Dostałem od ciebie płytę Elbow...  
— To prawda. — Zatoczywszy koło, wrócili do początku.  
— Czyli muszę dodać do listy brata Todda.  
— Fajnie jest mieć co robić. Jesteś już umówiona z Bakewel-  
lem?

— Nie udało mi się jeszcze go złapać.  
— A co z Macrae?  
— Chce zwiększyć ekipę o dwudziestu ludzi.  
— Jeśli się pomieszczą...  
— Myśli nawet o ściągnięciu Dereka Starra z centrali.  
— To by znaczyło twoją redukcję do pozycji wiceszefowej.  
— Znam lepsze wice...  
— Trzeba było ze mną porozmawiać, Shiv. Mogłem ci udzielić  
paru rad. Zobaczymy się później w pubie?

— Chyba pójde dziś wcześniej spać... nie gniewaj się.  
— Skąd, tylko niech ci się nie zdaje, że zapomnę o tej dwudzie-  
stce. — Rebus się rozłączył i podkręcił głośniej muzykę. Gentry  
nucił pod nosem graną melodię i słuchając go, Rebus nie był pe-  
wien, czy Eddie chciał, żeby to też się nagrało. Wciąż jeszcze cią-  
gnął się pierwszy utwór *Wzgórek Meg* i Rebus był ciekaw, czy  
Gentry miał na myśli konkretną kobietę. Przypatrując się złożonej  
karteczce z tytułami, dojrzał, że po drugiej stronie jest coś napisane.  
Wyciągnął ją z plastikowej koszulki i rozłożył. Na wewnętrznej  
stronie nadrukowana była nazwa studia nagraniowego, które wy-  
produkowało demo Gentry'ego.

CR Studios.

Rebus siedział przed przydzielonym mu monitorem. Graeme MacLeod znalazł dla niego miejsce w rogu sali i położył przed nim stertę taśm wideo. Monitoring zachodniego fragmentu centrum Edynburga, wieczór zabójstwa Todorowa.

— Rozstrzelają mnie przez ciebie — jęknął, wyjmując kasety z zamkniętej na klucz szafy.

Już od godziny siedział w Centralnej Stacji Monitorowania, wciskając na przemian klawisze „przełączaj” i „pauza”. Kamery, z których pochodziły nagrania, były rozmieszczone na Shandwick Place, Princess Street i Lothian Road, Rebus wypatrywał na taśmach śladu Sergieja Andropowa, jego kierowcy lub Cafferty'ego. A właściwie każdego, kto miał jakiś związek ze sprawą. Jak dotąd wszystkie jego wysiłki spełzły na niczym. Oczywiście w hotelu mieli własny system monitorowania, ale Rebus wątpił, by dyrektor był skłonny udostępnić mu nagrania bez walki, a nie bardzo sobie wyobrażał, jak mógłby skłonić Siobhan do wystąpienia o to drogą oficjalną.

W pozornie leniwym podglądactwie, jakie odbywało się wokół niego, było coś kojącego. Odnotowano jeden akt wandalizmu, na George Street wypatrzone znanego złodziejaszka sklepowego. Operatorzy gapili się w ekrany z otępieniem typowym dla widzów dziennej telewizji i Rebusowi przemknęło nawet przez myśl, że można by z tego zrobić jakiś reality show. Podobało mu się to, że za pomocą joysticka mogli dowolnie kierować kamerami i robić zbliżenia, kiedy ich coś zainteresowało, i wcale nie kojarzyło mu się

to z państwem policyjnym, na co media wiecznie utyskiwały. Gdyby jednak przyszło mu tu pracować na co dzień, pewnie na ulicy zachowywałby się mniej swobodnie, w obawie że kamera przyłapie go na dłubaniu w nosie czy drapaniu się w tyłek. Równie ostrożnie należało się zachowywać w sklepach i restauracjach.

No i pewnie nabrałby wstępu do oglądania telewizji w domu.

Za plecami pojawił się MacLeod.

— I co, masz coś? — zapytał.

— Wiem, Graeme, że przeglądaliście te nagrania nie raz, nie dwa, ale mogą na nich być jakieś twarze, których wy nie rozpoznacie, a ja tak.

— Przecież nic nie mówię.

— Ale będąc na twoim miejscu, myślałbym tak samo.

— Szkoda tylko, że nie mieliśmy kamery na samej King's Stables Road.

— Już zauważyłem, że w nocy prawie nikt tamtędy nie chodzi. Mnóstwo ludzi skręca w Castle Terrace, ale w King's Stables prawie nikt.

— I ani śladu kobiety w kapturze?

— Jak dotąd nie.

MacLeod przyjaźnie klepnął go w ramię dla dodania otuchy i wrócił do swoich zadań. Rebus nie bardzo mógł pojąć, dlaczego jakaś kobieta miałaby się tam kręcić po nocy i proponować seks. Mieli w tej sprawie tylko jedną relację świadka. Czy to możliwe, że dał się zwieść nękającej go fantazji? Przeciągnął się i poczuł, jak zebra z chrzęstem wskakują na swoje miejsce. Marzył o przerwaniu papierosa, ale bał się, że jeśli się teraz oderwie, może mu zabraknąć determinacji, by tu jeszcze wrócić. Miał świadomość, że w każdej chwili może pójść do domu, a w dodatku wszyscy go do tego namawiają. Potem jednak zadzwoniła komórka i sięgnął po nią do kieszeni. Na ekranie wyświetliło się imię dzwoniącego: Siobhan.

— Co jest? — spytał Rebus, osłaniając dłonią słuchawkę.

— Przed chwilą do Macrae zadzwoniła Megan Macfarlane. Poskarżyła się, że nękaasz Andropowa. — Zrobiła przerwę. — Zechciałbyś mi to wyjaśnić?

— Wpadłem na niego przypadkiem wczoraj wieczorem.

- Gdzie?
  - W hotelu Caledonian.
  - To ostatnio twój ulubiony wodopój.
  - Zupełnie zbędny sarkazm, młoda damo.
  - I nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?
  - Naprawdę, tylko na niego wpadłem, Shiv. Nic takiego.
  - Dla ciebie może nie, ale Andropow jest innego zdania, a teraz dołączyła do niego Megan Macfarlane.
  - Andropow jest Rosjaninem, więc pewnie przywykł do tego, że to politycy rządzą policją... — powiedział z namysłem Rebus.
  - Macrae chce cię zobaczyć.
  - Powiedz mu, że mam zakaz wstępu na Gayfield.
  - Powiedziałam. To go też wściekło.
  - To już wina Corbyna, że go nie zawiadomił.
  - To samo mu powiedziałam.
  - Jakiś odzew z biura Bakewella?
  - Nic.
  - To co teraz robisz?
  - Próbuję znaleźć miejsce dla nowych ludzi. Czterech z Torphichen, dwóch z Leith.
  - Ktoś znajomy?
  - Ray Reynolds.
  - On nawet nie przypomina przyzwoitego śledczego — mruknął Rebus, potem zapytał, czy Clarke ma zamiar coś zrobić w sprawie Sola Goodyeara.
  - Jak tylko wymyślę, co mam powiedzieć Toddowi — odrzekła.
  - Życzę powodzenia.
- W tym momencie jedna z operatorek zawołała do koleżanki, że na dziesiątce ma tego złodzieja sklepowego, który właśnie wchodzi na dworzec autobusowy.
- Jęknęcie Clarke było aż nazbyt ostentacyjne.
  - Jesteś w magistracie.
  - Jeszcze kiedyś będzie z ciebie detektyw.
  - John, ty jesteś zawieszony!
  - Wciąż wylatuje mi to z głowy.
  - Przeglądasz nagrania z tamtego wieczoru?



— Zgadłaś.  
— I kogo próbujesz wypatrzeć?  
— A jak myślisz?  
— Na litość boską, dlaczego Cafferty miałby chcieć śmierci rosyjskiego poety?  
— Może nie lubi, jak wersy się nie rymują. Ale, ale, mam dla ciebie ciekawostkę. Ten kompakt, który dostałem od współlokatora Sievewright, został nagrany w studiu Riordana.  
— Kolejny zbieg okoliczności — mruknęła i na moment zamilkła. — Myślisz, że warto porozmawiać o tym z dźwiękowcem z tego studia?  
— Masz teraz kupę ludzi, Shiv. Warto sprawdzać każdy trop, choćby nie wiem jak nikły.  
— Nie jestem za dobra w wysługiwaniu się innymi.  
— Ani ja. Nadal wybierasz się po pracy prosto do domu?  
— Taki mam zamiar.  
— No to będę z tobą myślami.  
— John, tylko jedno mi obiecaj. Już żadnych drinków w hotelu Caledonian.  
— Tak jest, szefowo. Do usłyszenia. — Rozłączył się i przez chwilę wpatrywał się w telefon. Macrae, Macfarlane i Andropow, a wszyscy wściekli na niego jak diabli.  
— No i bardzo dobrze — mruknął pod nosem, sięgając po następną kasetę.



— Czy mogłabym cię zapytać o brata?  
Clarke wyszła z Toddem na korytarz, by spokojnie z nim porozmawiać. Wszystkim nowym członkom ekipy przydzieliła już zadania. Część zajmowała się tworzeniem „biblii” — gromadzeniem i wiązaniem wszystkich fragmentów sprawy — reszta przesłuchiwała taśmy Riordana. Do tej pory nie trafili najbystriejsi i najlepsi pracownicy, bo żaden wydział śledczy nie dzielił się swoimi gwiazdami z rywalami. Jeden ze śledczych wypożyczonych z komisariatu Goodyeara rozpoznał go i nie odmówił sobie zadania głośnego pytania, co tu robi, „udając prawdziwego gliniarza”.  
— O Sola? — zdziwił się Todd. — A o co chodzi?

— Brał udział w jakiejś bójce. Kiedy to dokładnie było?  
— Tydzień temu, w środę wieczorem.  
Clarke pokiwała głową. Tego dnia, kiedy napadnięto Todorowa.  
— Możesz mi podać jego adres?  
— Ale co się stało?  
— Wygląda na to, że może znać Nancy Sievewright.  
— Żartuje pani. — Zaczął się śmiać.  
— To nie żart — zapewniła go. — Podejrzewamy, że mógł być jej dealerem. Wiedziałaś, że nadal się tym zajmuje?  
— Nie. — Widać było, jak czerwienieje mu kark.  
— Dlatego potrzebny mi jego adres.  
— Nie wiem, gdzie dokładnie mieszka. Znaczący wiem, że gdzieś w okolicach Grassmarket...  
— Myślałam, że mieszka w Dalkeith.  
— Sol wciąż się przeprowadza.  
— A skąd wiesz o tej bójce?  
— Zadzwoił do mnie.  
— Czyli jesteście w kontakcie.  
— Ma mój numer komórkowy.  
— A ty jego?  
Goodyear pokręcił głową.  
— Ciągłe go zmienia.  
— A ta bójka... Wiesz, gdzie się to odbyło?  
— W pubie przy Haymarket.  
Clarke pokiwała w zadumie głową. Tam Banks z ekipy technicznej dostał wiadomość i wspominał o tym podczas oględzin miejsca zabójstwa Todorowa. Bójka na noże...  
— Czyli nie utrzymujecie ze sobą kontaktu i brat dzwoni do ciebie tylko wtedy, jak go pokroją, tak?  
Goodyear zignorował ironię w jej głosie.  
— A jakie to ma znaczenie, czy on zna Nancy Sievewright?  
— Po prostu jeszcze jedna osobna nitka, która wymaga wplecenia w całość.  
— Więcej tych osobnych nitek niż w prującym się swetrze. — Clarke blade się uśmiechnęła, Goodyear westchnął i opuścił ramiona. — Jak pani dostanie jego adres, to mam z panią pójść?  
— Nie da się. Jesteś jego bratem.  
Kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Zakładam, że West End zajął się wtedy tą sprawą? —  
upewniła się. Miała na myśli komisariat przy Torphichen Place.

Goodyear potwierdził.

— Przesłuchali go od razu w izbie przyjęć. Jak do niego poje-  
chałem, leżał już na sali szpitalnej. Ale lekarze zostawili go tylko  
na jedną noc na obserwacji.

— Myślisz, że coś zeznał?

— Wszystko, co zeznał, to tyle — odparł, wruszając ramio-  
nami — że stał w pubie z drinkiem w rękę i ten facet się do niego  
pryczepił. Wyszli na zewnątrz i Sol dostał nożem.

— A ten drugi?

— Nic mi o nim nie mówił. — Goodyear przygryzł dolną war-  
gę. — Jeżeli Sol jest w to wszystko zamieszany... czy to znaczy, że  
mamy konflikt interesów? Że wracam do chodzenia w mundurze?

— Będę musiała zapytać inspektora Macrae.

Znów pokiwał głową, tym razem ze smutkiem.

— Nie wiedziałem, że on wciąż handluje. A może Sievewright  
kłamie...

Clarke chciałyby położyć mu rękę na ramieniu i dodać otuchy,  
jednak bez słowa go wyminęła i wróciła na pękającą w szwach salę  
wydziału śledczego. Poznoszono tam krzesła z pokoi przesłuchań i  
w drodze do swego biurka Siobhan musiała się między nimi prze-  
cisnąć. Przy boku jej biurka też już ktoś siedział i wprawdzie prze-  
prosił, ale i tak się nie ruszył; przy biurku Rebusa tłoczyło się ko-  
lejnych trzech śledczych. Clarke podniosła słuchawkę i zadzwoniła  
do komisariatu przy Torphichen. Przełączono ją do wydziału  
śledczego i telefon odebrał detektyw inspektor Shug Davidson.

— Jesteśmy ci wdzięczni — zachichotał — że nas uwolniłaś od  
Reynoldsa. — Uniosła głowę i spojrzała na oddelegowanego z  
Torphichen Raya Reynoldsa, od dziewięciu lat szeregowego detek-  
tywa, którego awanse omijały szerokim łukiem. Stał właśnie przed  
Ścianą Pamięci i gładził się po żołądku, zapewne szykując się do  
jednego ze swoich sławetnych beknięć.

— To świetnie — odrzekła — bo teraz ja cię chcę prosić o  
przystługę.

— Słyszałem, że wywalili Johna.

— Wiadomości szybko się rozchodzą...  
— Z wiekiem nic a nic nie złagodniał. To cytat.  
— Shug, pamiętasz środowy wieczór tydzień temu? Pod pubem przy Haymarket doszło do jakiejś bójki.  
— Chodzi ci o Sola Goodyeara?  
— Właśnie.  
— Słyszałem, że wzięłaś do siebie jego brata. Robi dobre wrażenie. Myślę, że się wstydzi brata. I ma rację. Sol to zupełnie inna bajka.  
— A ta bójka, w której wziął udział...  
— Moim zdaniem poszło o kasę. Któryś z ćpunów Sola był mu winien forszę, nie miał ochoty płacić i postanowił go unieszkodliwić. Zastanawiamy się nad postawieniem mu zarzutu usiłowania zabójstwa.  
— Todd mi mówił, że Sol spędził w szpitalu tylko jedną noc.  
— I wyszedł z ośmioma szwami. Ale był bardziej pokrojony niż pokłuty, czyli że miał szczęście.  
— Ustaliliście tożsamość tego nożownika?  
— Oczywiście powołuje się na działanie w obronie własnej. Niejaki Larry Fintry. Mówią na niego „Larry Wariat”. Według mnie powinien siedzieć w wariatkowie.  
— Pod społeczną opieką, Shug.  
— No, a farmaceutyki zapewnia mu Sol Goodyear.  
— Chciałabym porozmawiać z Solem.  
— A po co?  
— W sprawie morderstwa Todorowa. Uważamy, że dziewczyna, która znalazła ciało, szła na spotkanie z Solem.  
— Bardzo możliwe — przytaknął Davidson. — Ostatni jego znany adres to Raeburn Wynd.  
Clarke na moment zeszywniała.  
— Właśnie tam znaleźliśmy ciało.  
— Wiem — zaśmiał się Davidson. — I gdyby Sol akurat nie dawał się w tym samym czasie kroić nożem na Haymarket, to może przyszedłoby mi nawet do głowy, żeby ci o tym wspomnieć.



Ostatecznie wzięła z sobą Phyllidę, na co Tibbet zareagował żalostną miną, jakby to przesądzało, kto zostanie sierżantem po awansie

Clarke. Nie chciało jej się mu tłumaczyć, że w sprawie awansu i tak będzie miała bardzo mało do powiedzenia, jeśli w ogóle. Oświadczyła natomiast, że do jej powrotu on tu dowodzi, i to go trochę udobruchało.

Pojechały samochodem Clarke i ich rozmowa kręcąca się wokół spraw biurowych co chwilę się rwała i zapadało niezręczne milczenie. Hawes chciały się czegoś dowiedzieć o życiu po Rebusie, ale nie śmiała pytać, a Clarke nie zdobyła się na pytanie o jej związki z Tibbetem. Dotarły wreszcie do Raeburn Wynd, co obie powitały z ulgą.

Słupy zaułek miał kształt litery L i od strony wjazdu widać było tylko ciąg garaży i pomieszczeń magazynowych. Dopiero po obejściu narożnika rozciągał się widok na budynki, w których niegdyś mieściły się stajnie i powozownie, a które później zaadaptowano na mieszkania.

— Nikt z sąsiadów nic nie słyszał? — upewniła się Hawes.

— Można by jeszcze raz ich przepyttać, a przy okazji pokazać im tę komputerową podobiznę — odparła Clarke.

— Czy mogłabyś oddelegować do tego Raya Reynoldsa?

— Widzę, że to długo nie potrwało. — Clarke zdobyła się na błady uśmiech.

— Słyszałam o nim różne opowieści, ale są niczym w porównaniu z rzeczywistością...

Obeszły narożnik i wkroczyły na wewnętrzny dziedziniec. Clarke zatrzymała się pod jednymi z drzwi, sprawdziła zapisany w notesie numer i nacisnęła dzwonek. Odczekała dwadzieścia sekund i ponowiła próbę.

— Już idę! — rozległ się wrzask ze środka. Usłyszały tupot nóg na schodach, drzwi się otworzyły i stanął w nich Sol Goodyear. Clarke nie miała co do tego wątpliwości: oprawę oczu i kształt uszu miał takie same jak brat.

— Solomon Goodyear? — upewniła się mimo to.

— Chryste, czego wy znów chcecie?

— Brawo za spostrzegawczość. Jestem detektyw sierżant Clarke, a to jest detektyw Hawes.

— Macie nakaz?

— Chcemy zadać parę pytań w sprawie morderstwa.

— Jakiego morderstwa?

— Tego u wylotu pańskiej uliczki.

— W tym czasie byłem w szpitalu.

— A jak pańska rana?

Uniósł koszulę i pokazał duży biały opatrunek tuż nad krawędzią majtek.

— Swędzi jak wszyscy diabli — poskarżył się. Zaraz się jednak połapał i spytał podejrzliwie: — A wy skąd o tym wiecie?

— Od inspektora Davidsona z Torphichen. Powiedział mi też o Larrym Wariacie. To dla pana nauczka. Zanim się z kimś zacznie, warto poznać jego ksywę.

Sol Goodyear parsknął śmiechem, co nie przeszkodziło mu nadal tarasać sobą drzwi i nie kwapić się do wpuszczenia ich do środka.

— Mam brata gliniarza — oznajmił.

— Doprawdy? — Clarke postarała się powiedzieć to odpowiednio zdziwionym tonem. Przypuszczała, że Sol próbuje tej sztuczki wobec każdego napotkanego policjanta.

— Ciągle jeszcze chodzi w mundurze, ale już niedługo. Todd był zawsze bystrym kolesiem. Robił w rodzinie za białą owcę. — Parsknął śmiechem i Clarke pomyślała, że to pewnie następna wyćwiczona odzywka.

— Nieźle — pochwaliła Hawes, powiedziała to jednak tak, żeby nie było wątpliwości, że uważa dokładnie odwrotnie. Śmiech zamarł Solowi w gardle.

— Dobra, wszystko jedno. — Pociągnął nosem. — Tamtego wieczoru mnie tu nie było. Wypisali mnie dopiero następnego dnia po południu.

— Nancy odwiedziła pana w szpitalu?

— Co za Nancy?

— Pańska dziewczyna Nancy. Szła do pana, kiedy natknęła się na ciało. Miał jej pan sprzedać trochę towaru dla koleżanki.

— Nie jest żadną moją dziewczyną — oświadczył. Widać błyskawicznie uznał, że nie warto się zapierać co do czegoś, o czym i tak już wiedzą.

— Ona chyba myśli, że jest.

— No to się myli.

— Czyli jest pan tylko jej dealerem, tak?

Skrzywił się, jakby zabołało go takie pomówienie.

— Jestem, pani sierżant, ofiarą napaści nożownika. A środki przeciwbólowe, którymi się faszuję, powodują, że wątpliwe, aby cokolwiek, co powiem, mogło być użyte przeciw mnie w sądzie.

— Spryciarz — powiedziała Clarke z udawanym podziwem. — Zna się pan na kruczkach prawnych.

— Uczyłem się ich na sobie samym.

Clarke wolno pokiwała głową.

— Słyszałam, że zaczynał pan od stajni Dużego Gera Caffer-ty'ego. Nadal macie kontakt?

— Nie wiem, o kim pani mówi.

— To ciekawe, bo nigdy dotąd nie słyszałam, żeby rana kluta ujemnie wpływała na czyjaś pamięć... — Spojrzała na Hawes, jak-  
by szukała u niej potwierdzenia.

— Myśli pani, że się dam skołować, tak? No to mam dla pani niespodziankę.

Sol Goodyear huknął im przed nosem drzwiami i po chwili usłyszały ze środka kroki na schodach i towarzyszącą im wiązaną obelg. Hawes uniosła brwi.

— Dziwki i lesbijki — powtórzyła. — Zawsze fajnie do-wiedzieć się czegoś nowego o sobie.

— Prawda?

— To skoro jeden brat jest zamieszany, pewnie drugiego mu-simy odsunąć od sprawy.

— O tym zdecyduje inspektor Macrae.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś, że brat pracuje u nas?

— Zgodnie z zasadą „mów tyle, ile musisz”. — Obrzuciła Ha-wes badawczym spojrzeniem. — A co, chciałabyś jak najszybciej pozbyć się posterunkowego Goodyeara?

— Chciałabym, żeby pamiętał, że jest posterunkowym. Teraz, kiedy wydział się zaludnił, troszkę za bardzo szpanuje tymi cywil-nymi ciuchami.

— Co masz na myśli?

— Niektórzy z nas musieli się dobrze napracować, żeby zrzucić z siebie mundur.

— Wydział śledczy to według ciebie zamknięta sitwa, tak? — Clarke odwróciła się plecami i ruszyła przed siebie. Dotarła jednak tylko do narożnika i się zatrzymała. Z tego punktu do miejsca zna-lezienia Todorowa było niecałe dwadzieścia metrów.

— Coś ci przyszło do głowy? — spytała Hawes.

— Pomyślałam o Nancy. Przyjeliśmy, że znalazła ciało, idąc do mieszkania Sola. Ale przecież mogła tu już być wcześniej, parę razy nacisnąć dzwonek, może nawet raz i drugi załomotać w drzwi...

— Nie mogła wiedzieć, że został ranny w bójce.

— Właśnie.

— A w tym czasie Todorowowi udało się przywlec z parkingu...

Clarke pokiwała głową.

— Zmierzasz do tego, że mogła coś widzieć? — upewniła się Hawes.

— Widzieć albo słyszeć. Mogła tkwić za narożnikiem, a w tym czasie zabójca Todorowa przyszedł za nim i zadał śmiertelny cios.

— A powodem, dla którego nic nam o tym nie powiedziała...

— Mógł być strach.

— Ze strachem zawsze tak jest — zgodziła się Hawes. — Jak to szło w tym wierszu Todorowa...?

— „Odwrócił wzrok, by nie musieć świadczyć”.

— Coś, czego Nancy mogła się nauczyć od Sola Goodyeara.

— To prawda — zgodziła się Clarke. — Mogła.



Rebus siedział w samochodzie i pogryzając chipsy z torebki, raz jeszcze słuchał kompaktu Gentry'ego. Dźwięk był tylko z nazwy stereo, bo jeden z jego głośników nie działał, tyle że w przypadku solisty grającego na gitarze nie miało to większego znaczenia. W żołądku Rebusa znajdowały się już pierwsza paczka chipsów i francuska zapiekanka z jarzynowym curry. Wszystko to kupił w narożnym sklepiku w Polwarth i popił butelką niegazowanej wody mineralnej, co miało zbilansować posiłek. Zaparkował na końcu uliczki Cafferty'ego, z dala od ulicznych latarni. Tym razem chodziło mu o to, żeby gangster go nie wypatrzył. Tyle że nie miał nawet pewności, czy Cafferty jest w ogóle w domu. Wprawdzie jego samochód stał na podjeździe, ale to o niczym nie świadczyło. W domu paliło się kilka świateł, lecz mogły tylko służyć do odstraszania nieproszonych gości. Nie było też widać śladu obecności ochroniarza zamieszkującego starą wozownię w głębi ogrodu. Cafferty niemal nigdy z niego nie korzystał i Rebus podejrzewał, że gangster zatrudnia go bardziej z próżności niż rzeczywistej potrzeby. Siobhan przysłała mu parę SMS-ów rzekomo z pytaniem, czy miałby ochotę zjeść z nią kolację któregoś wieczoru, ale czuł, że tak naprawdę próbuje się dowiedzieć, co on znów kombinuje.

Spędził w samochodzie dwie godziny właściwie bez sensu. Piętnastominutowa przerwa, jaką zrobił sobie w narożnym sklepiku, pozwoliłaby Cafferty'emu wymknąć się niepostrzeżenie z

domu. Gangster mógł też korzystać dziś ze swego pokoju w Caledonian. Z punktu widzenia sztuki inwigilacji to, co robił Rebus, było śmiechu warte, tyle że nie był nawet pewien, czy to w ogóle można nazwać inwigilacją. Równie dobrze można to było uznać za sposób na niewracanie do domu, gdzie nie czekało na niego nic poza kompaktową reedycją płyty Johny'ego Casha *Live At San Quentin*, której nie zdążył jeszcze posłuchać, bo wciąż zapomniał zabrać ją do samochodu. Ciekawe, jak zabrzmiał przez jeden głośnik. W jego pierwszym w życiu stereo jeden z głośników wysiadł już po miesiącu użytkowania. Na płycie Velvet Underground był jeden numer, w którym cały podkład instrumentalny szedł na jednym kanale, cały zaś wokół na drugim, przez co nie dało się ich słuchać równocześnie. Przymiarki do kupna pierwszego odtwarzacza kompaktów trwały całe wieki, ale nawet teraz wołał słuchać winyli. Siobhan uważała, że Rebus jest „zawziętym uparciuchem”.

— Albo to, albo po prostu brak mi instynktu stadnego — odrzekł wtedy. Siobhan szła z prądem i ostatnio przerzuciła na odtwarzacz MP3, do którego kupowała nagrania w Internecie. Chcąc jej dokuczyć, prosił o pokazanie okładki albo wydrukowanych tekstów utworów.

— Tracisz całościowy obraz — tłumaczył jej. — Dobry album to coś więcej niż tylko suma poszczególnych składników.

— Jak robota policyjna? — domyśliła się z uśmiechem. Powstrzymał się od uwagi, że właśnie do tego zmierzał..

Opróżnił torebkę z chipsami i złożył w wąski pasek tak, by go można było zawiązać w supełek. Sam nie wiedział, dlaczego to robi — ot, wydawało mu się, że tak będzie porządniej. Robił tak jeden z kolegów z wojska i Rebus przejął ten zwyczaj od niego. Postępowali tak zamiast przytykania zapalniczki do pustego opakowania i obserwowania, jak torebka gwałtownie się kurczy do miniatutki, czegoś w stylu domku dla lalek. Takie sobie proste przyjemności, podobne do siedzenia nocą w samochodzie zaparkowanym w cichej uliczce, słuchania muzyki i rozkoszowania się uczuciem sytości. Posiedzi jeszcze z godzinę. Jak już znudzi mu się Gentry, puści sobie *Endless Wire* zespołu The Who. Nie doszedł jeszcze, co znaczy ten tytuł, ale ponieważ kupił fabryczny kompakt, przynajmniej będzie mógł poczytać teksty.

Zauważył, że w oddali z jednego z domów wyjeżdża tyłem jakiś samochód. Z powodu odległości nie był pewien, ale wyglądało to na dom i samochód Cafferty'ego. Za kierownicą musiał siedzieć ochroniarz, bo na tylnym siedzeniu widać było palącą się lampkę do czytania, która podświetlała zarys łysej czaszki, podobnej z kształtu do głowy Cafferty'ego. Zdawało się, że pasażer przegląda jakieś papiery. Rebus zeszywniał. Samochód ruszył w jego stronę, a to oznaczało, że będzie musiał przejechać tuż obok niego. Osunął się na siedzeniu i odczekał, aż auto go minie. Kierowca włączył prawy migacz, Rebus uruchomił silnik, zawrócił na trzy na wąskiej uliczce i ruszył za Caffertym. Na skrzyżowaniu z Granville Terrace samochód Cafferty'ego wcisnął się na siłę przed nadjeżdżający autobus, który Rebus musiał przepuścić i odczekać na dziurę w strumieniu pojazdów. Wiedział jednak, że aż do Leven Street Cafferty i tak nic nie wymyśli. Przez chwilę trzymał się za autobusem, a gdy ten włączył migacz sygnalizujący, że staje na przystanku, detektyw go wyprzedził. Między nim a samochodem jadącym przed nim utworzyła się mniej więcej stumetrowa przerwa, w końcu jednak rozbłysły na nim światła stopu, sygnalizując, że jego kierowca hamuje przed światłami przy King's Theatre. Rebus podjechał bliżej i dopiero wtedy zobaczył, że coś jest nie w porządku.

To nie był wóz Cafferty'ego.

Stanął tuż za nim i wyciągnął szyję. Samochód stający przed nim pod czerwonym światłem też nie należał do Dużego Gera. Nie było mowy, żeby kierowca Cafferty'ego zdołał wyprzedzić oba i przeskoczyć na zielonym przed zmianą światła. Jazda za autobusem trwała nie dłużej niż dwie minuty. Po drodze było wprawdzie skrzyżowanie z Viewforth, ale mijając je, Rebus rozejrzał się w obie strony i nie dojrzał samochodu Cafferty'ego. Widocznie musiał nagle skrócić w jedną z odchodzących w bok wąskich uliczek, pytanie tylko: w którą? Raz jeszcze zawrócił na trzy, co spowodowało poirytowane trąbienie taksówkarza, który jadąc Gilmore Place, musiał przyhamować. Przy ulicy stało kilka pensjonatów, których ogródki frontowe utwardzono i zamieniono w parkingi, na żadnym jednak nie było widać bentleya Cafferty'ego.

— Najpierw siedzisz na dupie przez dwie godziny, a potem gubisz go na pierwszej przeszkodzie — warknął pod nosem,

W jednym z budynków mieścił się klasztor, a jego brama stała otworem, ale Rebus nie wyobrażał sobie, żeby gangster akurat tam się schował. W lewo i w prawo rozchodziły się kolejne uliczki, żadna jednak nie wyglądała obiecująco. Na światłach przy Viewforth raz jeszcze zawrócił, włączył lewy migacz i ruszył w dół wąskiej, jednokierunkowej uliczki w stronę kanału. Uliczka była niezbyt dobrze oświetlona i o tej porze zupełnie wymarła, a to znaczyło, że jego samochód musi się rzucać w oczy. Dlatego gdy tylko dojrzał wolne miejsce przy chodniku, zatrzymał się i wjechał w nie tyłem. Uliczka kończyła się przerzuconym przez kanał mostkiem dla rowerzystów i pieszych. Rebus wszedł na niego i dopiero stąd dojrzał bentleya. Stał na pustym placyku tuż nad kanałem, w pobliżu widać było kilka zacumowanych na noc barek, z komina jednej z nich wydobywał się dym. Rebus od lat nie był w tych stronach. W pobliżu wyrosły nowe bloki mieszkalne, ale wiele mieszkań wyglądało tak, jakby stały puste, i dopiero po chwili detektyw zauważył tablicę reklamującą „serwisowane apartamenty”. Zwodzony most Leamington miał konstrukcję żelazną i był wyłożony drewnianą nawierzchnią. Podnoszono go, by przepuścić przepływające barki i jachty, ale zwykle pozostawał opuszczony, wiążąc oba brzegi kanału. Na środku stało dwóch mężczyzn, których cienie rzucane przez ogromną tarczę księżyca w pełni padały na nurt kanału. Jeden z mężczyzn mówił coś z ożywieniem, mocno gestykulując. Był nim Cafferty, a obiektem jego zainteresowania zdawał się przeciwny brzeg kanału. Od ulicy Fountainbridge ciągnęło się przejście dla pieszych, które docierało do granicy zabudowy i ginęło w jej gąszczu. Kiedyś był to strasznie zaniedbany rejon, ale teraz pobudowano tu nowe drogi, a wody kanału doprowadzono do stanu takiej czystości, jakiej Rebus nigdy wcześniej nie widział. Za przejściem wyrastał wysoki mur, a za nim ciągnął się jeden z opuszczonych terenów przemysłowych Edynburga. Jeszcze rok temu mieścił się tu browar, ale teraz budynki popadały w ruinę, a stalowe kadzie fermentacyjne zdemontowano i wywieziono. Dawniej w mieście funkcjonowało trzydzieści czy czterdzieści browarów, teraz — ile się nie mylił — został już tylko

jeden, zresztą niedaleko stąd, przy Slatford Road.

Mężczyzna słuchający Cafferty'ego odwrócił się i Rebus rozpoznał charakterystyczną twarz Sergieja Andropowa. W tym momencie otworzyły się drzwi samochodu Cafferty'ego i wysiadł z niego kierowca, jednak tylko po to, by zapalić. Sekundę później Rebus usłyszał trzaśnięcie drugich drzwi samochodowych. Udając przechodnia spieszącego do domu, wsadził ręce do kieszeni, wcisnął głowę w ramiona i ruszył przed siebie. Zaryzykował zerknięcie przez ramię i stwierdził, że za samochodem Cafferty'ego stoi drugi samochód, którego kierowca postanowił pójść w ślady pierwszego i też wysiadł na papierosa. Ochroniarz Andropowa. Zatopieni w rozmowie Cafferty i Rosjanin zdążyli już zejść z mostu i Rebus pomyślał z żalem, że powinien był pomyśleć o mikrofonie kierunkowym — dźwiękowiec Riordana na pewno mógłby mu to załatwić. A tak nie tylko nie miał pojęcia, o czym rozmawiają, ale co gorsza, coraz bardziej się od nich oddalał. Wiedział, że gdyby nagle zawrócił i zaczął iść w przeciwnym kierunku, na pewno zwróciłby na siebie uwagę. Minął zamknięty na noc warsztat samochodowy, za którym zaczynał się ciąg bloków mieszkalnych. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby wejść do środka, dostać się na górę i podjąć obserwację z okna klatki schodowej, ostatecznie jednak zatrzymał się, zapalił papierosa i wyciągnąwszy z kieszeni telefon, udał że rozmawia. Po chwili ruszył w dalszą drogę. Szedł powoli, wiedząc, że znajduje się w polu widzenia mężczyzn na drugim brzegu i że ci mogą go obserwować. Andropow gwizdnął i dał ręką znak kierowcom, że mają zostać na miejscu. Rebus zbliżał się już do końca kanału, który dalej rozszerzał się w niedawno utworzony zalew. Stało na nim kilka zacumowanych barek, z których jedna miała na nadbudówce tablicę z napisem „Na sprzedaż”. Tu też wyrosły wokół nowe budynki, w których mieściły się liczne biura, kilka restauracji i jedna winiarnia. Bar miał przeszklone ściany i wystawione na zewnątrz stoły, z których o tej porze korzystali tylko zawzięci palacze. Jeden z lokali wciąż jeszcze czekał na najemcę, ale czynne już restauracje świeciły pustkami. Na ścianie budynku znajdował się bankomat. Rebus zatrzymał się przy nim i zaryzykował kolejne zerknięcie do tyłu.

Obaj mężczyźni zniknęli.

Zajrzał przez szybę i zobaczył, że Andropow i Cafferty są w środku i zdejmują płaszcze. Z wnętrza dobiegała głośna muzyka i widać było kilka włączonych telewizorów. Klientela winiarni sprawiała wrażenie młodzieżowo-studenckiej i wejściem obu mężczyzn zainteresowała się tylko kelnerka, która podeszła do stolika i z uśmiechem przyjęła zamówienie. W środku było dość luźno i Rebusowi nie udało się wejść i pozostać niezauważonym. A nawet gdyby, to i tak nie miałby szans słyszeć, o czym rozmawiają tamci dwaj. Cafferty wiedział, gdzie przyjść, i nawet Riordan byłby tu bez szans. Mężczyźni mogli rozmawiać bez obawy, że ktoś ich tu podsłucha. Więc co teraz...? W okolicy było wystarczająco dużo ciemnych zakamarków, gdzie mógłby się schować i czekać na ich wyjście, odmrażając sobie tyłek. Mógł też wrócić do samochodu i tam poczekać. Obaj w końcu wyjdą i też skierują się do swoich wozów. Podjął z bankomatu sto funtów i wybrał czekanie w samochodzie. Poszedł wzdłuż kanału, mostem Leamington przeszedł na drugą stronę i nucąc pod nosem, ruszył przez pusty plac. Obaj kierowcy zajęci byli rozmową i nawet na niego nie spojrzeli. Trudno było podejrzewać człowieka Cafferty'ego o mówienie po rosyjsku, co znaczyło, że kierowca Andropowa musi sobie radzić z angielskim.

Wsiadł do saaba i pomyślał, że chętnie uruchomiłby silnik, żeby się trochę rozgrzać, uznał jednak, że stojący samochód z pracującym silnikiem może się wydać podejrzany. Poprzestał na zatarciu rąk i ciałniejszym otuleniu się płaszczem. Przez następne dwadzieścia minut nic się nie działo, potem nagle oba samochody ruszyły z miejsca, choć ani Cafferty, ani Andropow nie pojawili się w polu widzenia. Rebus pojechał za nimi do Gilmore Place, gdzie na skrzyżowaniu z Viewforth oba skrzyły w prawo i po chwili znów w prawo w Dundee Street. Zaraz potem oba zajęły pod bar, którego okna z jednej strony wychodziły na deptak nad kanałem, drugą zwrócone były na Fountainbridge. Tu panował znacznie większy ruch i stało wiele zaparkowanych samochodów. Rebus znalazł wolne miejsce pod starym budynkiem zakładu pogrzebowego i zaparkował. Na całym terenie trwała generalna przebudowa i z jednego z budynków została już tylko frontowa ściana, za którą

wznoszono zupełnie nową konstrukcję. W nowych budynkach panoszyły się siedziby banków i firm ubezpieczeniowych, co mu przywiodło na myśl sir Addisona, Janneya i Andersona — ludzi związanych z bankiem First Albannach. W lusterku wstecznym widział czekające na ulicy oba samochody, których kierowcy nie raczyli nawet zgasić silników i wyłączyć świateł. Rebus pomyślał, że pewnie za parę lat miałby prawo aresztować obu za łamanie przepisów o emisji dwutlenku węgla. Tyle że za parę lat już go tu nie będzie...

— Bingo — mruknął pod nosem na widok wychodzących Cafferty'ego i Andropowa. Wsiedli do swych samochodów, które od razu ruszyły i minąwszy Rebusa, skierowały się w stronę Lothian Road. Detektyw znów ruszył za nimi, wiedząc, że teraz będzie im trudniej go zgubić. Zbliżali się do wylotu King's Stables Road i Rebus aż ścierpł na myśl, że mogą wjechać na parking. Oba śledzone auta pojechały jednak dalej, skręciły w Princess Street, przejechały przez Charlotte Square i skręciły w Queen Street. Mijając Young Street, Rebus nie powstrzymał się od zerknięcia w głąb, w stronę baru Oxford.

— Nie dzisiaj, moja miłości — szepnęła pieszczotliwie i przesłał całusa.

Na końcu Queen Street wybrali lewą odnogę przechodzącą w Leith Walk, minęli Gayfield Square i jadąc cały czas prosto, przejechali Great Junction Street, North Junction Street i dotarli do nabrzeża w zachodnim Leith. Tu też trwały prace budowlane, a na miejscu doków i starych ruder przemysłowych wyrastały nowe bloki mieszkalne.

— To rejon o małych walorach turystycznych, Siergiej — mruknął pod nosem Rebus, gdy oba samochody zatrzymały się obok wozu z włączonymi światłami awaryjnymi. Rebus minął ich i pojechał dalej. Ruch był bardzo mały i nie było mowy o zatrzymaniu się. Skręcił w pierwszą z brzegu przecnicę w lewo, wykonał manewr zawrócenia na trzy, co powoli stawało się jego specjalnością wieczoru, i powoli wrócił do skrzyżowania. Włączył prawy migacz i przejechał obok stojących samochodów. Scena Przypominała tę znad kanału — Cafferty stał obok Andropowa i perorował coś z szeroko rozłożonymi ramionami, jakby chcąc objąć nimi całą okolicę — różniła się jednak obecnością dwóch

nowych osób: Stuarta Janneya i Nikołaja Stachowa. Dyplomata w papasze na głowie i rękawiczkach na dłoniach stał z rękami zarzucenymi do tyłu. Janney miał ręce złożone na piersiach i w zadumie potakująco kiwał głową.

— No i proszę, cała banda na miejscu — mruknął Rebus.

Kawałek dalej znajdowała się otwarta stacja benzynowa. Rebus podjechał pod dystrybutor, zatankował kilka litrów bezołowiowej i wszedł do środka zapłacić. Kupił też paczkę gumy do żucia i po wyjściu stanął obok samochodu z komórką w ręku, udając, że odczytuje wiadomości na wyświetlaczu. Kasjer przyglądał mu się podejrzliwie i Rebus czuł, że nie uda mu się długo tego pociągnąć. Zerknął w głąb ulicy, ale nie dojrzał niczego nowego. Wyglądało na to, że Cafferty wciąż coś mówi, a wszyscy pozostali go słuchają. Na stację podjechał jakiś samochód, ustawił się za Rebusem i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden chwycił końcówkę węża, drugi przeciągnął się i ruszył w stronę sklepiku, potem jakby zmienił zamiar i zawrócił w stronę Rebusa.

— Dobry wieczór — powiedział. Był dużo tęższy od Rebusa, a zapięty na ostatnią dziurkę pasek od spodni sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał pęknąć. Mężczyzna miał czaszkę ogoloną przy skórze, ale było na niej widać sine plamy siwizny. Jego pucułowata twarz wyglądem przypominała przekarmionego niemowlaka, który nie daje się odstawić od piersi. Rebus kiwnął głową i pstryknął do kosza opakowanie po gumie.

Grubas przyjrzał się jego samochodowi.

— Trochę przechodzony — powiedział. — Nawet jak na saaba.

Rebus obrzucił wzrokiem samochód intruza. Vauxhall vectra w kolorze czarnym.

— Ale przynajmniej jest mój — mruknął.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową na znak, że rzeczywiście, jego to samochód służbowy.

— Chce z panem porozmawiać — dodał, wskazując głową vectrę.

— Czyżby? — Wyglądało na to, że Rebusa bardziej interesuje żucie gumy.

— Może powinien pan jednak z nim porozmawiać, inspektorze Rebus. — Błysk w oku mężczyzny świadczył, że nie uszło jego



uwadze wrażenie, jakie wywołały jego słowa: nagłe znieruchomienie szczęki Rebusa.

— A wy co za jedni? — sapnął Rebus.

— On panu powie. Ja muszę iść zapłacić za benzynę. —

Mężczyzna odwrócił się i ruszył do kasy. Rebus przez chwilę stał nieruchomo, a kasjer z wyraźnym zainteresowaniem przyglądał się całej scenie. Mężczyzna przy vectrze obserwował licznik odmierzający paliwo. Rebus postanowił zaryzykować.

— Chciał pan ze mną mówić.

— Wierz mi, Rebus, że jesteś ostatnią osobą, z którą chciałbym teraz rozmawiać. — Mężczyzna nie był ani za wysoki, ani za niski; ani za gruby, ani za chudy. Miał brązowe włosy, a jego zielonobrązowe oczy tkwiły w pozbawionej wyrazu twarzy. Sprawiał wrażenie kogoś, kto potrafi wmieszać się w tłum, a jego wygląd natychmiast ulatuje wszystkim z głowy. Krótko mówiąc, wyglądał na kogoś stworzonego do prowadzenia inwigilacji.

— Domyślam się, że jesteście ze śledczego — powiedział Rebus. — Ale nie znam was, a to znaczy, że nie jesteście stąd.

Mężczyzna puścił dźwignię na pistolecie w chwili, gdy licznik pokazał równiutko trzydzieści funtów. Wyraźnie zadowolony wyjął końcówkę z baku i wetknął w gniazdo na dystrybutorze. Potem metodycznie zakręcił korek, wytarł dłonie w chusteczkę i dopiero wtedy przeniósł wzrok na stojącego przed nim Rebusa.

— Jesteś detektyw inspektor John Rebus — oznajmił. — Przydział służbowy: komisariat przy Gayfield Square, Okręg B, Edynburg.

— Czekaj, zapiszę sobie, na wypadek gdybym zapomniał. — Rebus ostentacyjnie sięgnął do kieszeni po notes.

— Masz wieczne problemy ze zwierzchnikami — mówił dalej mężczyzna — i dlatego wszyscy się cieszą, że przechodzisz na emeryturę. Niewiele brakowało, żeby z tej okazji na Fettes ogłosili święto.

— Wygląda na to, że wiesz o mnie wszystko co możliwe — kiwnął głową Rebus. — Ja zaś wiem o tobie tyle, że jeździsz chujomobilem z nadwyżką mocy, co imponuje gliniarzom pewnego gatunku... zwykle takim, którzy najbardziej kochają wtykać nos w sprawę innych gliniarzy.

— Myślisz, że jesteśmy ze Skarg?  
— Może nie, ale wygląda na to, że się na nich wyznajesz.  
— Bo parę razy sam im podpadłem — przyznał mężczyzna. — Ale bez tego nie jest się prawdziwym gliną.  
— To znaczy, że jestem prawdziwy. — Rebus kiwnął głową.  
— Wiem — powiedział cicho mężczyzna. — A teraz wsiadaj i porozmawiajmy poważnie.  
— Ale mój samochód... — Obejrząwszy się, Rebus stwierdził, że grubasowi z buźką niemowlaka udało się już jakimś cudem wcisnąć za kierownicę saaba i że właśnie uruchamia silnik.  
— Spokojnie. Andy zna się na samochodach.  
Otworzył drzwiczki vectora i usiadł za kierownicą, Rebus obszedł samochód i siadł na fotelu pasażera, na którym widniało wyraźne wgniecenie po potężnym cielsku Andy'ego, i poszukał wzrokiem jakichś szczegółów, które mogłyby podpowiedzieć, z kim ma do czynienia.  
— Podoba mi się twój sposób myślenia. — Nieznajomy się uśmiechnął. — Ale jak się działa potajemnie, to człowiek stara się niczym nie zdradzić.  
— Czyli zważywszy na to, jak łatwo udało się wam mnie namierzyć, nie jestem w tym najlepszy.  
— Nie, nie najlepszy.  
— Tylko że gdyby twój koleś Andy miał nawet wypisane na czole „gliniarz”, to i tak nie rzucałby się bardziej w oczy.  
— Niektórzy biorą go za bramkarza z nocnego klubu.  
— Jak na bramkarza trochę brak mu ogłady.  
Mężczyzna wziął do ręki telefon komórkowy.  
— Mam mu to przekazać, póki jeszcze siedzi w twoim samochodzie?  
— Może później. No więc kim jesteście?  
— Jesteśmy z SAZ. — Tak w skrócie nazywano SAZPN, Szkocką Agencję Zwalczenia Przestępczości i Narkotyków. — Detektyw inspektor Stone.  
— A Andy?  
— Detektyw sierżant Prosser.  
— Zatem co mogę dla was zrobić, detektywie inspektorze Stone?  
— Możesz zacząć od mówienia mi Calum. Mam nadzieję, że ja mogę ci mówić John.

— Czyli serdecznie i po przyjacielsku, Calum, czy tak?  
— Zaczniemy od „przyjaźnie” i zobaczymy, jak nam to pójdzie.  
Jadący przed nimi saab włączył migacz na znak, że zaraz będzie skręcał. Chwilę potem wjechali na parking przed kasynem w pobliżu oceanicznego terminalu. Saab stanął, Stone zaparkował obok.  
— Wygląda na to, że Andy zna te strony.  
— Tylko trakty futbolowe. Jest kibicem Dunfermline i przyjeżdża tu na mecze swojej drużyny z Hibsami i Heartsami.  
— Zważywszy na to, jak się ostatnio wiedzie Parsom, to pewnie już niedługo...  
— Jego czuły punkt.  
— Zapamiętam...  
Stone obrócił się na siedzeniu i spojrzał Rebusowi w oczy.  
— Będę z tobą zupełnie szczery, bo myślę, że inaczej mógłbyś się nastroszyć. Mam nadzieję, że odpłacisz mi tym samym. — Zamilkł na chwilę. — Dlaczego tak się interesujesz Caffertym i Rosjanami?  
— W związku ze sprawą, nad którą pracuję.  
— Zabójstwo Todorowa?  
— Ostatniego drinka przed śmiercią wypił w towarzystwie Cafferty'ego. W barze był też Andropow.  
— I pomyślałeś, że ci dwaj coś knuli?  
— Nie wiedziałem tylko co.  
— A teraz już wiesz?  
— Andropow przymierza się do kupna dużych nieruchomości w Edynburgu — rzekł Rebus. — A Cafferty jest jego pośrednikiem.  
— To możliwe — zgodził się Stone.  
Rebus spojrzał przez szybę w stronę swego samochodu. Wyglądało tak, jakby Prosser kopał w uszkodzony głośnik.  
— Coś mi się widzi, że Andy nie podziela moich gustów muzycznych — mruknął.  
— To zależy, czy słuchasz czegoś poza strathspey'em...[Strathspey — szkocka muzyka i taniec ludowy; słowo pochodzi od regionu Szkocji o tej samej nazwie]

- Może być z tym problem.  
Stone udał, że parska śmiechem.
- Trochę to nietypowe, nie uważasz? Śledzenie podejrzanych w pojedynkę? Czy tutejszy wydział śledczy cierpi na aż tak poważne braki kadrowe?
- Nie wszyscy chcą pracować po nocach.
- Nie musisz mi mówić. Czasami moje pojawienie się w domu tak zaskakuje żonę, że mam wrażenie, jakby trzymała kogoś w szafie.
- Nie nosisz obrączki.
- Nie, nie noszę. A ty jesteś rozwiedziony i masz dorosłą córkę.
- Jak tak ciebie słucham, to mi się wydaje, że głównie chodzi ci o mnie, nie o Andropowa.
- Mam gdzieś Andropowa. Władze w Moskwie są o krok od dopadnięcia go za wszystko co możliwe: malwersacje, oszustwa, korupcję...
- Nie wygląda na zbyt przejętego. Może dlatego, że ma zamiar się tu przenieść?
- Poczekamy, zobaczymy. W każdym razie z tego, co wiemy, powody jego wizyty są całkowicie legalne.
- Nawet jego kontakty z Caffertym?
- Problem ze ściganiem aferzystów polega na tym, John, że dziewięćdziesiąt procent ich poczynań jest w pełni zgodne z prawem.
- Rebusowi znów przemknęło przez myśl to słowo: nadzieie.
- Więc nie o Andropowa wam chodzi...
- Na celowniku mamy twojego kumpla Cafferty'ego i tym razem go załatwimy. Właśnie dlatego w naszym śledztwie pojawiło się twoje imię, przez te wasze ciągłe potyczki na przestrzeni lat. Ale on jest nasz, John. Od siedmiu miesięcy sześciu naszych ludzi, łącznie ze mną, dzień i noc zajmuje się tylko nim. Dysponujemy nagraniami z podsłuchu telefonicznego, zeznaniami świadków i mnóstwem innych dowodów i planujemy wsadzić go wkrótce za kratki z takim hukiem, że jego cały majątek przejdzie na rzecz skarbu państwa. — Mówiąc to, Stone miał rozanielony wyraz twarzy i tylko jego oczy błyszczały zimno jak dwa okruchy marmuru. — Jedyne, co mogłoby nam w tym przeszkodzić, to gdyby ktoś

zaczął nam bruździć. Gdyby ktoś upierał się przy swoich nierozważnych pomysłach i próbował wyrównywać rachunki. — Stone wolno pokręcił głową. — Nie możemy do tego dopuścić, John.

— Czyli, mówiąc prościej, weź się odpieprz.

— Podejrzewam, że gdybym ci powiedział coś takiego, zrobiłbyś dokładnie odwrotnie, choćby tylko z przekory.

W saabie nie było widać głowy Prossera, który zgięty walczył z okładziną drzwi.

— O co chcecie go oskarżyć?

— Może handel narkotykami, może pranie brudnych pieniędzy... zawsze sprawdza się unikanie płacenia podatków. Nie wie, że znamy jego rozliczne interesy offshore'owe...

— Wspominałeś o jakichś świadkach.

— Są na tyle ważni, że muszą pozostać anonimowi. Inaczej od razu by wyznaczono ceny za ich głowy.

— Pewnie tak. — Rebus się zamyślił. — Czy coś z tego wiąże Cafferty'ego i Andropowa z Aleksandrem Todorowem?

— Tylko tyle, że Andropow znał go z Moskwy.

— Todorowa?

— Sprzed lat... Chodzili do tej samej szkoły czy byli razem na studiach, coś w tym rodzaju.

— Czyli wiesz co nieco o Andropowie... Powiedz mi, co go łączy z Caffertym? Bo przecież on gra w zupełnie innej lidze, prawda?

— Zastanów się, co mówisz, John... sześćdziesiątka na karku, a wesolutki niczym szczenię. — Stone znów się roześmiał, ale tym razem jego śmiech zabrzmiał zupełnie szczerze. — Chcesz wsadzić Cafferty'ego, co do tego nie ma wątpliwości. Ale jeśli pragniesz sobie sprawić taki prezent pożegnalny, to najbardziej pomożesz, zostawiając nam całą sprawę. Cafferty nie trafi za kratki dlatego, że za nim jeździsz. Pójdzie siedzieć za to, co ma w papierach: firmy wydmuszki, przekrety na VAT, banki na Bermudach i Litwie, drogie prezenty i łapówki, kreatywna księgowość...

— I dlatego go śledzicie?

— Wiemy z jego rozmowy telefonicznej z adwokatem, że go przesłuchiwałeś. Adwokat go namawiał, żeby złożył oficjalną skargę

o nękanie. Ale Cafferty się nie zgodził. Powiedział nawet, że mu to trochę pochlebia. I to nas martwi, John. Nie chcemy mieć za rogiem samotnego kowboja, kiedy szykujemy się do frontalnego ataku. Wiemy, że prowadzisz obserwację jego domu, widzieliśmy cię na własne oczy. Ale jestem gotów się założyć, że ty nigdy nie widziałeś nas.

— To dlatego, że jesteście o tyle lepsi ode mnie.

— I mam nadzieję, że mówisz to poważnie. — Stone oparł się plecami o oparcie fotela, co musiało być jakimś sygnałem dla Prossera, bo grubas wysiadł z saaba i otworzył drzwi vectry po stronie pasażera.

— Co z moimi głośnikami? — zapytał Rebus.

— Grają jak nowe.

Rebus przeniósł wzrok na Stone'a.

— Bądź grzeczny — powiedział detektyw, wręczając mu wizytówkę. — Zostaw podchody zawodowcom.

— Zastanowię się — mruknął Rebus.

Wsiadł do saaba i włączył muzykę. Zepsuty głośnik ożył, a na desce rozdzielczej i okładzinie drzwi nie było śladu grzebania. Szczerze mówiąc, zaimponowało mu to, ale zachował kamienną twarz. Wyjechał tyłem z miejsca parkingowego i skierował się do wyjazdu na ulicę. Mógł stąd skręcić w lewo w stronę miasta lub w prawo, gdzie zostawił Cafferty'ego i Andropowa. Włączył lewy migacz i odczekał na przerwę w ruchu.

Potem skręcił w prawo.

Okazało się jednak, że wszystkie trzy samochody już odjechały i Rebus zaklął pod nosem. Mógł się jeszcze pokręcić po mieście albo zajrzeć do Caledonian. Mógł też podjechać pod dom Cafferty'ego i sprawdzić, czy wrócił.

— Po prostu jedź do domu, John — powiedział cicho do siebie.

I tak też zrobił. Przejechał przez Canonmills, Nowe Miasto, Stare Miasto i park The Meadows, potem skręcił w lewo w Marchmont i wreszcie w Arden Street. Czekają na niego wolne miejsce parkingowe — drobny prezent od losu za jego wysiłki — i dwa piętra schodów. Dotarł do drzwi i nawet się zbyt nie zasapał. Wszedł do kuchni, nalał szklankę wody i jednym haustem ją wypił, potem nalał jeszcze dwa centymetry i zabrał szklankę do pokoju.

Dolał tyle samo whisky, włączył płytę Johnny'ego Casha i dopiero wtedy opadł na fotel. Ale Człowiek w Czerni [Człowiek w Czerni — przydomek Johnny'ego Casha] mu nie leżał. Czując lekki wyrzut sumienia, wysunął jego kompakt. O ile pamiętał, korzenie Casha sięgały Fife. Rebus widział w gazecie jego zdjęcia, które zrobiono mu podczas wizyty w rodzinnych stronach w Falkland. Zamiast Casha nastawił Johna Martyna — jedną z jego wielkich płyt *Grace and Danger*. Mroczną i posępną, wręcz idealną w nastroju.

— Kurwa — powiedział głośno, podsumowując tym jednym słowem wydarzenia minionego dnia. Nie bardzo wiedział, co ma myśleć o tych z SAZ. To prawda, chciał, żeby Cafferty na dobre zszedł ze sceny. Ale nagle zaczynało mu jeszcze bardziej zależeć na tym, żeby to on osobiście zadał ostateczny cios. Nie chodziło więc tylko o samego Cafferty'ego. Chodziło też o sposoby i metody. Od lat użerał się z tym draniem, a teraz nowoczesna technika i jakiś gryziپیórek w okularkach mogą dokończyć dzieła zniszczenia. Bez jego udziału i bez zamętu, rozgłosu, rozlewu krwi.

Powinien być zamęt. Powinien być rozgłos.

John Martyn śpiewał o jakichś wariatach. Za chwilę wykona tytułowe *Grace and Danger*, potem *Johnny Too Bad*.

— Wyśpiewuje historię mojego życia — oświadczył Rebus szklance z whisky. Co on, u diabła, robi ze sobą, kiedy Cafferty zniknie mu z oczu? Jeśli Stone'owi i jego ludziom rzeczywiście uda się po cichu i bezboleśnie usunąć gangstera?

Przecież powinien być zamęt. Powinien być rozgłos. Powinien być rozlew krwi...

**DZIEŃ SIÓDMY**

**Czwartek,**

**23 listopada 2006**



Rebus zaparkował po drugiej stronie Gayfield Square, skąd miał dobry widok na kłębiący się pod komisariatem tłumek przedstawicieli mediów. Niektóre ekipy telewizyjne już związały sprzęt, inne dopiero się instalowały. Kręcący się po chodniku reporterzy z telefonami komórkowymi przy uchu zachowywali przyzwoitą odległość od kolegów po fachu, unikając pokusy podsłuchiwania. Fotoreporterzy próbowali coś wycisnąć z nieciekawej elewacji budynku komisariatu, szukając w swych ujęciach choć odrobiny dramatyzmu. Niektórych wchodzących do budynku — na przykład Raya Reynoldsa — Rebus rozpoznał z daleka, inni byli mu zupełnie nieznanymi, co zapewne znaczyło, że należą do posiłków sprowadzonych do wydziału śledczego. Rebus włożył do ust ostatni kęs kupionej po drodze kanapki i zaczął wolno żuć. W tym samym sklepie zaopatrzył się też w kartonik soku pomarańczowego, kawę w styropianowym kubku i poranną gazetę. W gazecie natrafił na kolejne doniesienia o ciężko chorym Litwinience, którego sposób otrucia wciąż był nieznanym. Nie było już ani słowa o Todorowie i zamieszczono tylko krótką notatkę na temat śmierci Charlesa Riordana. Na jej końcu znajdował się jednak odsyłacz do kolumny kulturalnej, na której zamieszczono wspomnienie o zmarłym. Wynikało z niego, że w latach osiemdziesiątych Riordan uczestniczył w trasach wielu zespołów rockowych, w tym Big Country i Deacon Blue. Zacytowano też wypowiedź jednego z muzyków, który powiedział, że „Charlie umiał zmiksować odjazdowe brzmienie

nawet w lotniczym hangarze”. Jeszcze wcześniej był muzykiem nagraniowym i pojawiał się na płytach Nazareth, Frankiego Millera i Sutherland Brothers. Znaczyło to, że w płytotece Rebusa są pewnie płyty, w których nagraniu Riordan brał udział.

— Szkoda, że nie wiedziałem — mruknął pod nosem.

Obserwował tłumek pod komisariatem, zastanawiając się, kto mógł puścić farbę, że śmierć Todorowa i Riordana coś łączy. Nie miało to wprawdzie większego znaczenia, bo prędzej czy później i tak to powiązanie musiało wyjść na jaw, ale pozbawiło go to możliwości przehandlowania wiadomości. Potrzebował pomocy i byłoby fajnie móc w zamian zaoferować taki przeciek... Osoba, na którą czekał, wciąż się jeszcze nie pojawiła, za to właśnie zajeżdżał oficjalnie wyglądający samochód, z którego wysiadł Corbyn. Ubrany był w elegancki mundur, lśniąca nowością czapkę i czarne skórzane rękawiczki i na moment znieruchomiał, pozując fotoreporterom. Jego wizyta odbywała się w ramach akcji podbudowania morale podwładnych, Rebus czuł jednak, że powiadomiono go o zainteresowaniu mediów, a nic nie cieszyło Corbyna bardziej niż możliwość stanięcia twarzą w twarz z głodnymi wiadomości reporterami, którzy będą jeść mu z ręki. Rebus wyjął komórkę i zadzwonił do Siobhan.

— Uwaga, nadchodzi! — rzucił.

— Kto i gdzie?

— Corbyn we własnej osobie. Pozuje fotoreporterom, za dwie minuty będziesz go miała na głowie.

— Czyli jesteś gdzieś w pobliżu...

— Nie martw się, nie zobaczy mnie. Co słyszeć?

— Trzeba będzie znów porozmawiać z Nancy Sievwright.

— Ten z banku wciąż nie daje jej żyć?

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Przerwała i po chwili dodała:

— No to czym się jeszcze zajmujesz poza czatowaniem pod komisariatem?

— Szczerze ci powiem, że wolę czatować, niż wchodzić do środka... Nie chciałbym mieć do czynienia z typami w rodzaju Dupy Wołowej Reynoldsa.

— To nie miej.

— Zdawało mi się też, że widziałem młodego Todda w czyścikim ubranku...

— Tak.

— Myślałem, że z niego zrezygnowałaś, skoro zamieszany jest w to jego brat.

— Phyl też uważa, że powinnam, tylko Todd ma do przesłuchania około dwustu godzin nagrań Riordana z komisji parlamentarnej. Nie będzie miał czasu mieszać się do czegoś innego.

— I powiadomiłaś o wszystkim szefa?

— To moja sprawa, nie twoja.

Rebus cmoknęła uspokajająco, patrząc, jak Corbyn macha na pożegnanie w stronę reporterów i wchodzi do komisariatu.

— Jest już w budynku — powiedział do słuchawki.

— Pewnie lepiej będzie, jak okażę zaskoczenie.

— Radosne zaskoczenie, Shiv. W ten sposób zarobisz dodatkowy punkt.

— Porozmawiam z nim o twoim zawieszeniu.

— Szkoda zachodu.

— Mimo wszystko... — Słysząc było, jak gwałtownie wciąga powietrze. — O wilku mowa... — szepnęła i przerwała połączenie.

Rebus zamknęła klapkę komórki i zaczęła bębnić palcami w koło kierownicy.

— Mairie, gdzie ty się podziewasz? — mruknął niecierpliwie. Niemal w tym samym momencie zza rogu East London Street wyłoniła się sylwetka Mairie Henderson. Kobieta ruszyła różnym krokiem w stronę komisariatu. W jednej ręce miała notes, w drugiej długopis i dyktafon, z ramienia zwisała jej duża czarna torba. Rebus nacisnęła klakson, ale nie uniosła głowy. Ponowił próbę i znów bezskutecznie. Nie chcąc ściągać na siebie uwagi innych, detektyw dał spokój, wysiadł z samochodu i stanął obok z rękami w kieszeniach. Henderson wdała się w rozmowę z którymś z kolegów, potem odnalazła fotoreportera, pewnie po to, by się dowiedzieć, co mu się udało złapać. Rebus znał tę twarz. Pamiętał, że mężczyzna nazywa się Mungo czy jakoś tak i że pracował już z Mairie jako fotograf. Jej komórka zasygnalizowała nadejście SMS-a i Mairie, nie przerywając rozmowy, zerknęła na wyświetlacz. Potem wybrała jakiś numer i z telefonem przy uchu odeszła kilka kroków w stronę skweru, którym porośnięty był cały środek placu.

Na trawniku leżały puste butelki po winie i opakowania po fast foodach i widać było, jak kobieta krzywi się ze wstrętem. W pewnej chwili uniosła wzrok i dostrzegła Rebusa, a ten się do niej uśmiechnął. Skończyła rozmowę i ruszyła przez trawnik w jego kierunku. Rebus schował się w samochodzie, nie chcąc, by ktoś inny go dojrzał. Mairie usiadła obok niego i ułożyła sobie na kolanach swoją czarną torbę.

— Co jest? — rzuciła.

— Ja też cię serdecznie witam, Mairie. Co słysząc w biznesie gazetowym?

— Ledwie dyszy. Ludzie mają pod ręką Internet i bezpłatne gazетки, więc coraz niechętniej wydają forsy na prawdziwe gazety.

— A firmy coraz niechętniej się reklamują — domyślił się Rebus.

— A to oznacza redukcje — westchnęła.

— Czyli dla wolnych strzelców jak ty jest coraz mniej roboty, tak?

— Tematów nie brakuje, John. Problem w tym, że wydawcy nie chcą za nie płacić. Nie widziałeś apeli w tabloidach? Zwracają się do czytelników, żeby im nadsyłali opisy zdarzeń i fotografie... — Oparła głowę o zagłówek i na chwilę przymknęła oczy.

Rebus poczuł przyptyw współczucia. Znał ją od lat i zawsze ze sobą współpracowali, wymieniając się strzępami informacji, ale nigdy wcześniej nie widział u niej takiego zniechęcenia.

— Może będę mógł jakoś pomóc — powiedział.

— Todorow i Riordan? — Otworzyła oczy i zwróciła ku niemu twarz.

— Właśnie.

— A jakim cudem siedzisz tu, zamiast być tam w środku? — Pokazała ręką na budynek komisariatu.

— Bo chcę cię poprosić o przysługę.

— Znaczy chcesz, żebym coś dla ciebie wygrzebała.

— Wiesz o mnie wszystko, Mairie.

— Wiem tyle, że w przeszłości wyświadczyłam ci całe mnóstwo przysług, ale niewiele na tym skorzystałam.

— Tym razem może być inaczej.

— To też zawsze powtarzasz — parsknęła niechętnie.

— No dobrze, uznajmy to za twój prezent pożegnalny na moje odejście.

Przyjrzała mu się nieco przyjaźniej.  
— Zapomniałam, że już jesteś na wylocie.  
— Już wyleciałem. Corbyn mnie zawiesił.  
— W takim momencie? Dlaczego?  
— Bo byłem niegrzeczny dla jego kumotra, sir Michaela Addisona.  
— Tego bankiera? — Jej głos wyraźnie się ożywił.  
— Między nim a Todorowem istnieje jakiś związek, choć pewnie dość luźny.  
— Jak bardzo luźny?  
— Pełne sześć stopni.  
— Ale i tak ciekawe.  
— Wiedziałem, że tak pomyślisz.  
— I opowiesz mi całą historię?  
— Opowiem tyle, ile będę mógł — poprawił ją Rebus.  
— W zamian za co?  
— Za faceta nazwiskiem Andropow.  
— Tego rosyjskiego przemysłowca?  
— Właśnie.  
— Niedawno odwiedził miasto w składzie rosyjskiej delegacji handlowej.  
— Wszyscy inni wyjechali, on został.  
— Tego nie wiedziałam. — Wydęła usta. — A czego chciałbyś się dowiedzieć?  
— Kim jest i na czym zbił majątek. Jego też coś łączy z Todorowem.  
— Choćby to, że obaj są Rosjanami.  
— Słyszałem, że znali się w zamierzchłej przeszłości.  
— No i?  
— No i tego wieczoru, kiedy zabito Todorowa, starzy kumple szkolni spotkali się wcześniej w pewnym barze.  
Mairie Henderson cicho gwizdnęła.  
— I nikt inny tego nie ma?  
— Jest jeszcze dużo więcej — zapewnił ją Rebus.  
— Ale jeśli coś napiszę, twoi szefowie od razu się domyśla źródła tego przecieku.  
— Źródło za parę dni przechodzi do cywila.  
— I nie będzie żadnych powrotów?

— Żadnych powrotów — potwierdził.  
Mairie zmrużyła oczy.  
— Założę się, że mógłbyś ujawnić dużo innych brudów.  
— Wstrzymam się z tym do napisania wspomnień, Mairie.  
Znów uważnie mu się przyjrzała.  
— Będzie ci do tego potrzebny murzyn. Z jej tonu wynikało, że wcale nie żartuje.



Redakcja gazety „Scotsman” mieściła się w nowoczesnym budynku przy końcu Holyrood Road, naprzeciw BBC i gmachu parlamentu. Mimo że Mairie Henderson kilka lat wcześniej zrezygnowała z etatu w gazecie, jej twarz wciąż tu pamiętano, a ona sama zachowała ważną przepustkę.

— Jak ci się to udało wykombinować? — zdziwił się Rebus, wpisując się w recepcji do księgi gości. W odpowiedzi postukała palcem w bok nosa i poczekała, aż detektyw upnie na sobie plakietkę z napisem „Gość”. Dział redakcyjny mieścił się w dużym otwartym pomieszczeniu, w którym było zaledwie osiem czy dziewięć stanowisk. Rebusa to zdziwiło, ale Henderson orzekła, że żyje wspomnieniami.

— W dzisiejszych czasach nie potrzeba tak wielu rąk do robienia gazety — powiedziała.

— Nie mówisz tego z entuzjazmem.

— Stara siedziba miała charakter. Podobnie jak dawny newsroom, po którym biegało się z obłądem w oku, żeby tylko zdążyć z materiałem na czas, i gdzie redaktor prowadzący w koszuli z podwiniętymi rękawami wściekał się i rzucał przekleństwami. I gdzie kopający jak kominy dziennikarze starali się wymyślać do swych tekstów jakieś żarty słowne... Makiety były cięte i wyklejane ręcznie, a teraz wszystko zrobiło się takie... — przerwała, szukając właściwego słowa — ...takie bezbłędne.

— Praca gliniarza w dawnych czasach też była fajniejsza — zapewnił ją Rebus. — Ale jednocześnie popełniało się dużo więcej pomyłek.

— W twoim wieku masz prawo podchodzić do tego nostalgicznie.

— Ale ty nie?

Wzruszyła ramionami i usiadła przy wolnym komputerze, dając mu ręką znak, żeby przysunął sobie krzesło. Przeszedł obok nich mężczyzna w średnim wieku z krzaczastą brodą i połówkami okularów na nosie, spojrzał na Henderson i rzucił „dzień dobry”.

— Cześć, Gordon. Możesz mi przypomnieć hasło?

— Connery.

Podziękowała i odprowadzając go wzrokiem, lekko się uśmiechnęła.

— Połowa ludzi myśli — wyjaśniła szeptem — że wciąż jeszcze jestem tu na etacie.

— To fajnie móc się tak wpasować.

Henderson wpisała hasło, potem nazwisko „Andropow” i kliknęła „szukaj”.

— Jak ma na imię? — spytała.

— Siergiej.

Uzupełniła nim nazwisko i liczba znalezionych linków zmalała o połowę.

— Do Internetu można było wejść gdziekolwiek indziej — bąknął Rebus.

— To nie jest zwykły Internet. To baza danych z wiadomości prasowych.

— Które ukazały się w „Scotsmanie”?

— I w każdej innej gazecie, która ci przyjdzie do głowy. — Stuknęła palcem w ekran. — Ponad pięćset trafień.

— To strasznie dużo.

Spojrzała na niego z ukosa.

— To pestka. Chcesz, żeby ci to wszystko wydrukować, czy wystarczy, jak przejrzymy to na ekranie?

— Zacznę od przejrzenia i zobaczę, co z tego wyjdzie.

Wstała i odsunęła krzesło, robiąc Rebusowi miejsce przed ekranem.

— Przejdę się trochę po redakcji i posłucham najnowszych plotek.

— Co mam powiedzieć, jeśli ktoś zapyta, co tu robisz?

Przez chwilę się zastanawiała.

— Powiedz, że jesteś ekspertem od gospodarki.

— Może być.

Zostawiła go i poszła schodami piętro wyżej, Rebus rozsiadł się przed ekranem i zaczął przywoływać na ekran kolejne notki prasowe. Kilka pierwszych dotyczyło działalności biznesowej Andropowa. Pierestrojka spowodowała rozluźnienie kontroli państwa nad przemysłem, co takim jak Andropow pozwoliło wejść w przemysł wydobywczy i hutniczy. Jego specjalnością stały się cynk, miedź i aluminium, potem doszły jeszcze węgiel i stal. Próby rozszerzenia działalności na gaz i ropę naftową nie powiodły się, za to w swych koronnych surowcach Rosjanin odniósł spektakularny sukces. Może nawet zbyt spektakularny, bo władze zaczęły domyślać się korupcji. Zależnie od nastawienia piszącego Andropowa przedstawiano albo jako hochsztaplera, albo jako ofiarę reżimu. Po dwudziestu minutach czytania Rebus postanowił zawęzić pole poszukiwań i do imienia i nazwiska dodał słowo „przeszłość”. W rezultacie uzyskał skrócony życiorys Andropowa: urodził się w roku 1960, tym samym co Aleksander Todorow, w dzielnicy Moskwy Żdanow, również tej samej co Todorow.

— No, no — mruknął pod nosem.

Brak było informacji na temat szkół i uczelni, do których uczęszczał. Wyglądało na to, że wczesny okres życia Andropowa nikogo nie interesował. Rebus spróbował poszukać związków Andropowa z Todorowem, ale komputer niczego nie wykrył. Liczba odniesień do Todorowa wynosiła natomiast siedemnaście tysięcy w skali całego świata i Rebus pomyślał, że Mairie miała rację, nazywając pięćset linków Andropowa „pestką”. Korzystając z listy na ekranie, postanowił dowiedzieć się czegoś bliższego na temat kariery uniwersyteckiej poety. W bazie znajdowały się teksty kilku jego wykładów, nie było natomiast ani słowa o usunięciu go z uczelni za problemy ze studentkami. Może Andropow próbował wprowadzić go w błąd?

— Witam — odezwał się ten sam brodacz. Widać wracał do swego biurka i tym razem się zatrzymał.

— Dobry — mruknął Rebus.

Człowiek nazwany przez Mairie Gordonem stanął za jego plecami i spojrzął na ekran monitora.

— Myślałem, że Todorowa ma Sandy — zauważył.

— Tak — potwierdził Rebus. — Ja tylko uzupełniam dane z jego przeszłości.



— Aha — pokiwał głową Gordon, jakby to wyjaśnienie w pełni go satysfakcjonowało. — Znaczy Sandy wciąż jeszcze sterczy na Gayfield Square.

— Z tego, co wiem, to tak — potwierdził Rebus.

— Chcesz się założyć, że gliny znowu wszystko skopią?

— Nie byłbym taki pewien — burknął Rebus trochę opryskliwie.

— Jasne, wszyscy tam harują jak dzikie osły... — Gordon parsknął śmiechem i poszedł dalej.

— Kutas. — Rebus powiedział to na tyle głośno, żeby tamten go dosłyszał. Mężczyzna stanął, nie odwrócił się jednak i Po chwili zastanowienia ruszył w dalszą drogę. Musiał dojść do wniosku, że się przesłyszał albo że nie warto wszczynać burdy, Rebus skupił uwagę na ekranie, powrócił do listy linków Andropowa i niemal natychmiast natknął się na znajome nazwisko: Roddy Denholm. Wyglądało na to, że rosyjscy bogacze lubią wydawać pieniądze na sztukę. Ceny osiągnęte na aukcjach były wszelkie rekordy, a tamtejszy plutokrata nie był prawdziwym plutokratą, póki nie stał się właścicielem obowiązkowego Picassa czy Matisse'a. Rebus ściągnął na ekran treść kilku notatek prasowych. Towarzyszyły im fotografie z aukcji sztuki w Moskwie, Nowym Jorku i Londynie. Tu pięć milionów, tam dziesięć... O Andropowie wspomniano tylko mimochodem jako o miłośniku najnowszej sztuki, głównie brytyjskiej, który zachowywał rozsądek i ograniczał zakupy wyłącznie do galerii i wernisaży, unikając instytucji w rodzaju Sotheby's czy Christie's. Wśród jego ostatnich nabytków znalazły się dwa obrazy Alison Watt, a także prace Calluma Innesa, Davida Macha, Douglasa Gordona i Roddy'ego Denholma. Siobhan wymieniła nazwisko tego ostatniego, wspominając o osobie, której powierzono przygotowanie pokazu w parlamencie i która korzystała z usług studia Riordana. Autor notatki zauważył, że „ponieważ wszyscy wymienieni artyści są Szkotami, może to oznaczać, że Andropow chce się specjalizować w naszej sztuce”. Rebus zapisał nazwiska, które pojawiły się w notatkach prasowych, i rozpoczął dalsze poszukiwania. Piętnaście minut później zjawiała się Mairie Henderson z dwiema kawami.

— Z mlekiem, bez cukru — powiedziała.

- Może być — bąknął Rebus zamiast podziękowania.
- Coś ty nagadał Gordonowi? — Przynęła sobie krzesło i usiadła obok.
- A bo co?
- Bo poczuł się urażony.
- Niektórzy bywają strasznie przewrażliwieni.
- Nie wiem, co mu powiedziałaś, ale uznał, że jesteś kimś z szefostwa.
- Zawsze uważałem, że mam coś w sobie... — Rebus oderwał wzrok od ekranu, spojrzał na nią i puścił oko. — Gdybym teraz nacisnął „drukuj”, to gdzie pojawią się wydruki?
- Widzisz tam drukarkę? — Pokazała ręką na róg pomieszczenia.
- I trzeba przejść taki kawał, żeby je zebrać?
- Jesteś z szefostwa, John. Zawsze możesz komuś kazać, żeby to zrobił za ciebie...

Reporterzy się rozeszli i plac przed komisariatem opustoszał — może dlatego, że zbliżała się już pora lunchu, a może pojawił się jakiś nowy temat. Dobiegło też końca spotkanie Siobhan Clarke ze starszym inspektorem Macrae i komendantem Corbynem. Mimo gorących namów ze strony Macrae, Corbyn nie był zachwycony pomysłem zostawienia jej nadzoru nad śledztwem.

— Sprowadźmy lepiej inspektora Starra z Fettes — upierał się.

— Tak jest, panie komendancie — zgodził się w końcu Macrae, kapitulując.

Później powiedział Clarke z westchnieniem, że komendant miał rację, i w jej obecności poprosił o połączenie z Derekiem Starrem. Pół godziny później Starr — świeżo ostrzyżony i ubrany w koszulę z mankietami na spinki — zjawił się w wydziale śledczym przy Gayfield Square i od razu zwołał cały zespół na „odprawę zapoznawczą”.

— Zapoznawcze to były wieczorki na wczasach — mruknęła pod nosem Hawes, patrząc znacząco na Clarke, która odwdzięczyła się uśmiechem na znak, że docenia jej lojalność.

Mając za sobą tylko dość pobieżny briefing w gabinecie Macrae, Starr skoncentrował się głównie na kwestii „związków na siłę” między dwoma przypadkami śmierci. Podkreślił, że na tym „wczesnym etapie” nie należy doszukiwać się czegoś specjalnego. Postanowił też podzielić zespół na dwie ekipy, z których jedna zajmie się Todorowem, druga Riordanem.

— A wy, sierżant Clarke — powiedział, zwracając się do niej — będziecie ogniwem scalającym obie grupy. Gdyby się okazało, że coś jednak łączy obie sprawy, przejmiecie na siebie koordynację.

Potoczył wzrokiem po zebranych i spytał, czy wszyscy mają jasność co do jego koncepcji pracy zespołu. Ponad szmer ogólnych potakiwań wybiło się długie beknięcie Raya Reynoldsa.

— *Chili con carne* — rzekł tytułem wyjaśnienia, a siedzący w pobliżu zaczęli wachlować sobie twarze kartkami. Na biurku Clarke zadzwonił telefon. Przytknęła słuchawkę do ucha i zatknęła palcem drugie, by nie słyszeć reszty wywodów Starra.

— Sierżant Clarke — zgłosiła się.

— Jest tam inspektor Rebus?

— W tej chwili go nie ma. Ale może ja mogę w czymś pomóc?

— Mówi Stuart Janney.

— A tak, pamiętam pana. Detektyw sierżant Clarke, poznaliśmy się w budynku parlamentu.

— Tak, pani sierżant. Rebus prosił o wyciągi z konta bankowego Aleksandra Todorowa...

— I co, ma je pan?

— Wiem, że to trochę trwało, ale istnieją pewne procedury...

Clarke zauważyła spojrzenie Hawes.

— Gdzie pan teraz jest, panie Janney?

— W centrali banku.

— Czy dwoje moich kolegów mogłoby do pana wpaść i odebrać te wyciągi?

— Nie widzę przeszkód. Zaoszczędzi mi to jazdy do was. — Janney pociągnął nosem.

— Bardzo panu dziękuję. Będzie pan u siebie jeszcze przez jakąś godzinę?

— Nawet jeśli nie, dokumenty będą w kopercie u mojej asystentki.

— To bardzo uprzejme z pańskiej strony.

— Jak posuwa się śledztwo?

— Robimy postępy.

— Cieszę się. Dzisiejsze gazety piszą, że łączycie śmierć Todorowa z tym pożarem.

— Niech pan nie wierzy we wszystko, co piszą.  
— Ale to i tak zaskakujące.  
— Skoro tak pan uważa. Raz jeszcze dziękuję. — Clarke odłożyła słuchawkę i spojrzała na Phyllidę Hawes. — Chciałabym, żebyście ty i Colin się tym zajęli. Jedźcie do centrali First Albanach, zgłóście się do faceta, który nazywa się Stuart Janney, i odbierzcie od niego wyciągi bankowe Todorowa.  
— Dzięki — powiedziała Hawes samym ruchem warg.  
— Ja też się w tym czasie czymś zajmę. Pewnie na mój widok Nancy Sievewright dostanie zawału...  
Starr klasnął w dłonie na znak, że spotkanie dobiegło końca, „chyba że ktoś ma jakieś głupie pytania”, po czym powiódł posepnym wzrokiem po sali. Nikt nie podniósł ręki.  
— No dobra — prychnął. — To do roboty!  
Hawes wzniosła oczy ku górze, przepchnęła się przez tłumek otaczający Starra i podeszła do Colina Tibbeta, na którym mowa Starra wyraźnie zrobiła wrażenie. Do Clarke zbliżył się Todd Goodyear.  
— Myśli pani, że inspektor Starr będzie chciał się mnie pozbyć? — zapytał cicho.  
— Trzymaj się na boku i nie rzucaj się w oczy.  
— Ale jak mam to zrobić?  
— Przesłuchujesz nagrania z komisji, tak? — Goodyear przytaknął. — Więc rób to nadal, a jak cię zapyta, co tu robisz, powiedz, że jesteś jedynym, który podjął się tak niewdzięcznego zadania.  
— Tylko ja naprawdę nie wiem, po co to robię i czego w nich szukam.  
— Ani ja — przyznała Clarke. — Ale nigdy nic nie wiadomo.  
— No tak — powiedział Goodyear bez przekonania. — A pani będzie łączniczką między połówkami śledztwa, tak?  
— Słyszałeś: będę ogniwem scalającym.  
— Czy to znaczy, że będzie pani zwoływać konferencje prasowe?  
Clarke parsknęła śmiechem.  
— Derek Starr nikogo innego nie dopuści przed kamery.  
— Na moje oko to on jest bardziej marketingowcem niż detektywem.

— I nie mylisz się. — Clarke kiwnęła głową. — A przedmiotem jego marketingu jest on sam. Chodzi o to, że jest w tym cholernie dobry.

— Nie jest pani zazdrosna? — Po sali kręcili się nowi członkowie zespołu, starając się zaklepać sobie miejsce pracy, które będą mogli uznać za swoje.

— Detektyw inspektor Starr daleko zajdzie — oświadczyła tylko.

Goodyear patrzył, jak bierze do ręki torbę i wiesz ją sobie na ramieniu.

— Dokądś się pani wybiera — skonstatował.

— Nic się przed tobą nie ukryje.

— Może mógłbym się do czegoś przydać?

— Masz do przesłuchania te wszystkie taśmy, Todd.

— A co się dzieje z inspektorem Rebusem?

— Jest w terenie. — Clarke uznała, że im mniej ludzi wie o jego zawieszeniu, tym lepiej.

Zwłaszcza jeśli Rebus pomimo zawieszenia — a może właśnie z tego powodu — w dalszym ciągu czynnie zajmuje się śledztwem.

Usłyszawszy głos Clarke w domofonie, Nancy Sievewright nie próbowała ukryć rozdrażnienia. Mimo to zeszła na dół i oświadczyła, że ma ochotę na gorącą czekoladę.

— Na końcu ulicy jest jedno takie miejsce — dodała.

Usiadły w łoży na skórzanych kanapkach, po przeciwnych stronach stołu. Sievewright wyglądała na mocno niedospaną. Ubrana była w krótką postrzępioną spódniczkę i cienką dżinsową kurtkę, na nogach miała grube czarne rajstopy, na dłoniach włóczkowe rękawiczki bez palców. Poprosiła o czekoladę z dodatkową porcją bitej śmietany i irysów, po czym objęła kubek dłońmi i zaczęła z niego siorbać i żuć.

— Anderson jeszcze cię nachodzi? — Sievewright zbyła pytanie Clarke krótkim pokręceniem głową. — Rozmawiałam z Solem Goodyearem. Nie powiedziałas nam, że mieszka przy tej ulicy, na której znalazłaś ciało.

— A po co?

Clarke wzruszyła ramionami.

— Nie wygląda na to, żeby się uważał za twojego chłopaka.  
— Bo mnie chroni — burknęła Sievewright.  
— Przed czym? — spytała Clarke, ale dziewczyna sprawiała wrażenie, że nie ma zamiaru odpowiedzieć. W kawiarni grała głośna muzyka, a jeden z rozmieszczonych w suficie głośników znajdował się bezpośrednio nad ich głowami. Walił z niego pulsujący rytmem numer dyskotekowy i Clarke zaczynała już łupać w głowie. Podeszła do bufetu i poprosiła o ściszenie, a ekspedientka spełniła prośbę, ale zrobiła to niechętnie i z minimalnym skutkiem.  
— Dlatego lubię tu przychodzić — oznajmiła Sievewright.  
— Z uwagi na opryskliwą obsługę?  
— Z uwagi na muzykę. — Dziewczyna uniosła wzrok znad kubka i wlepiła go w Clarke. — To co Sol o mnie powiedział?  
— Tylko tyle, że nie jesteś jego dziewczyną. Ale rozmawiając z nim, zaczęłam się zastanawiać...  
— Nad czym?  
— Nad tym wieczorem, kiedy się to wydarzyło.  
— Jakiś świr w pubie.  
— Nie mówię o Solu. Chodzi mi o tego poetę. Bo szłaś wtedy do Sola po towar. Więc natknęłaś się na ciało albo w drodze do niego, albo jak wracałaś...  
— A co za różnica? — Nogi Sievewright zaczęły drgać, a mina, z jaką na nie spojrzała, świadczyła o tym, że dziewczyna nad nimi nie panuje.  
— Tak naprawdę to bardzo duża. Pamiętasz, jak byłam u ciebie pierwszy raz?  
Sievewright skinęła głową.  
— Coś mi wtedy powiedziałaś... Podczas mojej wczorajszej rozmowy z Solem przypomniałam to sobie, a może nawet bardziej sposób, w jaki to powiedziałaś.  
— Co powiedziałam?  
— Powiedziałaś wtedy: „ja nic nie widziałam”. Tylko że mówiąc to, zaakcentowałaś słowo „widziałam”, podczas gdy większość w tej sytuacji położyłaby nacisk na „nic”. I tak się zastanawiam, czy nie zrobiłaś tego po to, żeby nie powiedzieć prawdy, ale żeby jednocześnie uniknąć powiedzenia zupełnej nieprawdy.

— Nic nie kapuję. — Kolana Sievewright pracowały już jak dwa tłoki.

— Myślę, że mogłaś dojść do drzwi Sola, zadzwonić i chwilę odczekać. Wiedziałaś, że się ciebie spodziewa, więc może nawet postąpiłaś trochę pod drzwiami, w nadziei że się zaraz zjawi. Mogłaś też dzwonić pod jego numer komórkowy, ale nikt nie odbierał.

— Bo go w tym czasie ciachali nożem.

Clarke pokiwała wolno głową.

— Więc stoisz tak pod jego mieszkaniem i nagle słyszysz jakiś hałas od strony ulicy. Podchodzisz do narożnika i wyglądasz.

Sievewright gwałtownie potrząsnęła głową.

— Dobra, więc nie podchodzisz i nic nie widzisz. Ale coś słyszysz, prawda?

Dziewczyna przez chwilę siedziała ze wzrokiem utkwionym w twarzy Clarke, potem spuściła oczy i siorbnęła kolejny łyk czekolady. W końcu podniosła wzrok i powiedziała coś, co całkowicie zagłuszyły dźwięki muzyki.

— Nie dosłyszałam — odparła łagodnie Clarke.

— Powiedziałam: „tak”.

— Coś słyszałaś?

— Samochód osobowy. Podjechał i... — Przerwała, wzniosła wzrok ku sufitowi i zamyśliła się, potem znów spojrzała na Clarke. — Najpierw usłyszałam jęk. W pierwszej chwili pomyślałam, że to pewnie jakiś pijak, który będzie rzygał. Stękał jakieś słowa, ale nic nie rozumiałam. Może to było po rosyjsku. Bo to by mogło pasować, nie? — Spojrzała na Clarke z nadzieją, a ta dla zachęty przytaknęła.

— I co z tym samochodem...? — przypomniała.

— Zatrzymał się. Drzwi się otworzyły i usłyszałam jakiś hałas. Jakby głucho uderzenie i wtedy te jęki ucichły.

— Skąd możesz wiedzieć, że to był samochód osobowy?

— Bo dźwięk silnika nie pasował do ciężarówki ani vana.

— Ale nie wyjrzałaś?

— Kiedy doszłam do narożnika, już go nie było. Pod ścianą leżało tylko to ciało.

— Domyślam się, dlaczego wtedy krzyknęłaś. Pomyślałaś pewnie, że to Sol, tak?



— Początkowo tak. Ale podeszłam bliżej i zobaczyłam, że to nie on.

— Dlaczego wtedy nie uciekłaś?

— Bo nadeszli ci dwoje. Próbowałam odejść, ale ten gość się uparł, że powinnam zostać. Wiedziałam, że jak zwiję, to mogę mieć tyły, nie? Mógłby wam podać mój rysopis.

— To prawda — przyznała Clarke. — A dlaczego myślałaś, że to mógł być Sol?

— Jak się handluje dragami, to się ma wrogów.

— Mianowicie?

— Takich jak ten skurwiel pod pubem.

Clarke w zamyśleniu pokiwała głową.

— Kogoś jeszcze?

Dopiero teraz do niej dotarło, do czego Clarke zmierza.

— Myśli pani, że mogli tego poetę zabić przez pomyłkę?

— Sama nie wiem.

No bo jak by to miało być? Ślady krwi ciągnęły się aż od parkingu, a to znaczyło, że ten, kto go tam zaatakował, musiał wiedzieć, że to nie Sol Goodyear. A co do ostatecznego ciosu... Cóż, mógł go zadać napastnik z parkingu, ale niekoniecznie. Sievewright trafiła w sedno — dealerzy mają wrogów. Może powinna zapytać o to Sola, może ten zechce podać jakieś nazwiska. Ale dużo bardziej prawdopodobne, że ich nie wyjawią — choćby po to, żeby samemu się z nimi rozprawić. Wyobraziła sobie Sola pocierającego szwy, jakby chciał je z siebie zetrzeć. Wyobraziła sobie też dwóch dorastających braci, których dziadek umiera w więzieniu, a rodzice się rozchodzą. W którym momencie swego dorastania Todd postanowił się wyrwać i zostawić brata? I czy Sola to obezłło?

— Mogłabym dostać jeszcze jedną — spytała Sievewright, wskazując pusty kubek.

— Teraz twoja kolej.

— Ale ja nie mam kasy.

Clarke westchnęła i wręczyła jej pięć funtów.

— I zamów dla mnie jeszcze jedno cappuccino — mruknęła.

— Jest typem, za którym trudno nadażyć — powiedział Terence Blackman, nerwowo zacierając ręce.

Był właścicielem galerii sztuki współczesnej przy William Street, w zachodniej części miasta. Galeria mieściła się w dwóch salkach z białymi ścianami i podłogą z desek, jej kościsty właściciel miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, lekko wystający brzuch i był ubrany w stylu kogoś o trzydzieści lub czterdzieści lat młodszego. Głowę zdobił mu pukiel brązowych włosów wyglądających na farbowane, które równie dobrze mogły być kosztującą majątek treską. Skórę twarzy rozciągały mu liczne kolczyki i szpilki, przez co repertuar min miał dość ograniczony. Rebus wyczytał w Internecie, że Blackman występuje też w roli agenta Roddy'ego Denholma.

— No i gdzie jest teraz? — spytał, obchodząc dookoła rzeźbę przypominającą płataninę powyginanych drucianych wieszaków.

— Chyba w Melbourne. Ale może też być w Hongkongu.

— Ma pan tu jakieś jego obrazy?

— Na jego prace jest lista oczekujących. Paru klientów, dla których cena nie gra roli.

— Rosjanie? — domyślił się Rebus.

Blackman wlepił w niego wzrok.

— Przepraszam, panie inspektorze, ale właściwie w jakiej sprawie chciał się pan widzieć z Roddym?

— Pracuje nad zamówieniem dla parlamentu.

— Okropnie upierdliwy klient — westchnął Blackman.

— Pan Denholm zamówił do niego pewne nagrania i człowiek, który je dla niego realizował, poniósł śmierć.

— Co?

— Nazywał się Charles Riordan.

— Nie żyje?

— Niestety. Był pożar i...

Blackman przycisnął sobie dłonie do policzków.

— A co z taśmami? Taśmy w porządku?

Rebus obrzucił go spojrzeniem.

— To miło, że się pan tak przejął.

— Och, no tak, oczywiście, straszna tragedia dla rodziny i... tego...

— Myślę, że nagrania nie ucierpiały.

Blackman westchnął z ulgą, potem spytał, co to ma wspólnego z malarzem.

— Riordan został zamordowany, proszę pana. Zastanawiamy się, czy powodem nie było to, że nagrał coś, czego nie powinien był nagrywać.

— Ma pan na myśli parlament?

— Czy wie pan, dlaczego Denholm wybrał do nagrań Komisję Rewitalizacji Miasta?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Rozumie pan więc, dlaczego muszę z nim porozmawiać. Może ma pan jego numer komórkowy?

— Często nie odbiera.

— Ale można mu przynajmniej zostawić wiadomość.

— Pewnie tak. — W głosie Blackmana brak było entuzjazmu.

— Więc gdyby mógł pan podać mi ten numer... — Rebus nie pozwolił się zbyć i w końcu mężczyzna westchnął i dał znak detektywowi, że ma iść za nim. Otworzył kluczem drzwi na tylnej ścianie, za którymi znajdowało się maleńkie zaplecze służące za podręczny magazynek. Środek pomieszczenia zajmowały nieoprawione płótna i ramy do obrazów, na stoliku leżała podłączona do ładowarki komórka. Blackman wziął ją do ręki i odnalazł numer Denholma, Rebus przepisał go do swojej komórki i spytał o ceny osiągane przez prace artysty.

— Zależy od wielkości, materiałów, wkładu pracy...

— Ale tak z grubsza.

— Między trzydzieści a pięćdziesiąt.  
— Tysięcy funtów...? — Rebus zawiesił głos i odczekał na potwierdzenie.

— A ile sztuk rocznie udaje mu się sprzedać?  
— Już panu mówiłem. Jest lista oczekujących.  
— A który z obrazów trafił do Andropowa?  
— Siergiej Andropow ma dobre oko. Udało mi się zdobyć jedną z wczesnych prac Roddy'ego w oleju, prawdopodobnie namalowaną w roku, w którym skończył Akademię Sztuki w Glasgow.  
— Blackman wziął z biurka pocztówkę z reprodukcją obrazu. — Nazywa się *Beznadzieja*.

W opinii Rebusa obraz nie różnił się od dziecinnych bohomazów. Wyjątkowo trafny tytuł, pomyślał w duchu.

— Uzyskał rekordową cenę jak na pracę Roddy'ego sprzed okresu wideo — powiedział z dumą agent.

— A ile pan na tym zarobił, panie Blackman?  
— Swoją prowizję, inspektorze. A teraz zechce mi pan wybaczyć, ale...

Rebus nie miał zamiaru dać się łatwo spławić.

— Fajnie wiedzieć, że moje podatki znajdują drogę do pańskiej kieszeni.

— Jeśli chodzi panu o zamówienie dla parlamentu, to niepotrzebnie się pan martwi. Całość kosztów pokrywa First Albannach z własnych środków.

— To znaczy płaci?

Blackman ze złością kiwnął głową.

— Naprawdę muszę już pana przeprosić...

— To bardzo wspaniałomyślne z ich strony.

— FAB jest znanym mecenasem sztuki.

Przyszła kolej na Rebusa, by kiwnąć głową.

— Jeszcze tylko kilka pytań, proszę pana. Wie pan może, skąd to zainteresowanie Andropowa szkockim malarstwem?

— Bo mu się podoba.

— Czy to samo da się powiedzieć o wszystkich pozostałych rosyjskich milionerach i miliardach?

— Niewątpliwie niektórzy traktują to jako inwestycję, inni robią to dla przyjemności.

— A jeszcze inni po to, żeby cały świat widział, jacy są bogaci.

— Być może. — Blackman pozwolił sobie na cień uśmiechu  
— To tak jak z właścicielami jachtów na Karaibach: mój jest większy niż twój. Albo z londyńskimi rezydentami, albo z biżuterią kupowaną dla żon...

— Zapewne ma pan rację.

— Ale to wciąż nie tłumaczy ich zainteresowania Szkocją.

Wyszli już z zaplecza i stali w pomieszczeniu galerii.

— Istnieją pewne tradycyjne więzy, inspektorze. Na przykład Rosjanie wysoko cenią Roberta Burnsa. Być może odnajdują w nim ideały komunizmu. Nie pamiętam, który to z ich przywódców, może nawet sam Lenin, powiedział, że gdyby w Europie miała wybuchać rewolucja, to najpewniej zaczęłaby się od Szkocji.

— Tylko że już wszystko się zmieniło. Teraz mamy do czynienia z kapitalistami, nie z komunistami.

— Ale więzy pozostały. Może nadal liczą, że kiedyś dojdzie do rewolucji. — Blackman uśmiechnął się przy tym nostalgicznie i Rebus pomyślał, że właściciel galerii pewnie należał kiedyś do komunistów. I w porządku.

Rebus dorastał w Fife, rejonie o silnych tradycjach robotniczych i górniczych, pełnym kopalń i wielkiego przemysłu. Mieszkańcy Fife wybrali pierwszego, może wręcz jedyne go posła do brytyjskiego parlamentu z partii komunistycznej. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych było tam wielu radnych komunistów. Rebus był za młody, aby uczestniczyć w Wielkim Strajku, ale znał opowieści ciotki o barykadach i odciętych od świata miasteczkach i wioskach. Wyglądało to tak, jakby ludzie jednostronnie ogłosili deklarację niepodległości i powołali do życia Ludowe Królestwo Fife. Uśmiechnął się w duchu do wspomnień, spojrzał na Blackmana i pokiwał głową.

— Mówiąc o rewolucji, ma pan na myśli niepodległość, prawda?

— Trudno sobie wyobrazić, żeby mogło być gorzej niż pod rządami tej bandy. — Zadzwoił telefon i Blackman sięgnął do kieszeni. Przytknął aparat do ucha i odszedł parę kroków, machając ręką, żeby gość już sobie poszedł.

— Dzięki za pański czas — rzucił Rebus i ruszył do wyjścia.

Stojąc na chodniku, wybrał numer malarza, ale jego telefon tylko dzwonił i dzwonił, aż w końcu odezwał się automatyczny komunikat, proszący o zostawienie wiadomości. Rebus spełnił prośbę, potem wybrał inny numer. Tym razem połączył się od razu.

— Dobrze ci na wolności? — spytała Clarke.

— Lepiej mi powiedz, czy to, co słyszę, to ekspres do kawy?

— Musiałam się wymknąć z biura. Corbyn ściągnął z powrotem Dereka Starra.

— Wiedzieliśmy, że tak się to skończy.

— No, to prawda — przyznała. — Uciełam sobie pogawędkę z Nancy Sievewright. Właśnie mi powiedziała, że tego wieczoru, kiedy zabito Todorowa, poszła do Sola po towar. Tylko że, jak wiemy, Sol akurat miał co innego na głowie. Kiedy stała pod jego domem, usłyszała podjeżdżający samochód, z którego ktoś wyskoczył i walnął poetę w głowę.

— Czyli napadnięto go dwukrotnie?

— Na to wychodzi.

— Myślisz, że oba razy zrobił to ten sam człowiek?

— Tego nie wiem. Ale zaczynam się zastanawiać, czy to nie Sol miał być celem tej drugiej napaści.

— To możliwe.

— Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

— Nancy jest gdzieś obok?

— Wskoczyła do kibelka.

— No więc zastanówmy się nad czymś takim: Todorow zostaje napadnięty na parkingu, to już wiemy. Zataczając się, wychodzi na zewnątrz, napastnik czy napastniczka spokojnie wsiada do samochodu, jedzie za nim i kawałek dalej kończy dzieło.

— Sugerujesz, że ten samochód znajdował się na parkingu?

— Niekoniecznie... mógł stać na ulicy pod parkingiem. Może warto jeszcze raz odwiedzić magistrat i przejrzeć nagrania z monitoringu. Dotąd interesowali nas tylko piesi...

— Można by poprosić twójgo specja od monitoringu o wykaz numerów rejestracyjnych wszystkich samochodów, które w tym czasie wyjechały z King's Stables Road. — Wyglądało na to, że pomysł ją zainteresował. — Problem w tym, że Starr chce koniecznie powrócić do wersji z przypadkowym napadem rabunkowym.

— Nie powiedziałaś mu jeszcze o tym samochodzie?  
— Jeszcze nie.  
— A powiesz? — spytał z przekorą w głosie.  
— Bo mogłabym to zachować dla siebie, czyli postąpić w twoim stylu. A gdyby się potem okazało, że wyszło na moje, a on się mylił, zebrać laury.  
— Szybko się uczysz.  
— Będę musiała pomyśleć. — Rebus czuł, że jest już na wpół zdecydowana. — A ty gdzie się podziewasz? Słyszę jakiś ruch uliczny.  
— Chodzę sobie i oglądam wystawy.  
— Już to widzę. — Przerwała i dodała cicho: — Wraca Nancy. Musimy kończyć...  
— Powiedz mi, czy Starr zaserwował na początek jedną ze swoich gadek?  
— A jak myślisz?  
— Założę się, że Goodyear był zachwycony.  
— Nie byłabym taka pewna. Ale Colinowi się podobało... Wyśłałam go z Phyl do First Albannach. Zadzwoił Janney, że ma dla nas wyciągi z konta Todorowa.  
— Długo się z tym kokosił.  
— Cóż, ostatnio był bardzo zajęty. Musiał godnie podejmować Rosjan w Gleneagles...  
Nie mówiąc o nocnych spotkaniach w Granton z Caffertym i Andropowem, pomyślał Rebus. Na głos ograniczył się tylko do pożegnania i się rozłączył. Rozejrzał się po otaczających go wystawach niewielkich sklepów, głównie butików dla kobiet. Uprzymnił sobie, że jest parę kroków od hotelu Caledonian.  
— A właściwie dlaczego by nie? — zapytał głośno. I sam sobie odpowiedział w myślach: nie widzę przeszkód.  
W recepcji poprosił o połączenie z pokojem Andropowa, nikt jednak się nie odezwał. Recepcjonista zapytał, czy chce zostawić wiadomość, ale Rebus potrząsnął głową i ruszył w stronę baru. Za kontuarem zamiast Freddiego stała młoda blondynka ze wschodnioeuropejskim akcentem. Spytała, czego się napije, a gdy poprosił o Highland Park, zapytała, czy z lodem. Pomyślał, że musi być nowa w tej pracy i w ogóle w Szkocji, i pokręciwszy przecząco głową, zapytał, skąd jest.

— Z Krakowa — odparła. — Z Polski.

Rebus pokiwał głową. Jego przodkowie wywodzili się z Polski, ale jego wiedza na tym praktycznie się kończyła. Usiadł na stołku i sięgnął do miseczki z orzeszkami.

— Proszę — powiedziała, stawiając przed nim szklanę.

— I poproszę jeszcze trochę wody.

— Tak, oczywiście. — Wyglądała na speszoną tym, że zrobiła coś nie tak, i postawiła przed nim półlitrowy dzbanek z wodą z kranu. Rebus dolał sobie parę kropel i zakręcił zawartością szklanki.

— Jest pan z kimś umówiony? — spytała.

— Przyszedł zobaczyć się ze mną. — Rebus odwrócił głowę.

Stał przy nim Andropow, który widać musiał siedzieć przy swoim zwykłym stoliku, tym, którego nie było widać z tego końca baru. Na jego twarzy błąkał się lekki uśmiech, ale oczy pozostały zimne.

— Sam? Bez swojego goryla? — zapytał Rebus.

Andropow zignorował pytanie.

— Jeszcze jedną wodę — powiedział do barmanki. — Tym razem bez lodu.

Kiwnęła głową, wyjęła z lodówki butelkę mineralnej, otworzyła i nałala do szklanki.

— A więc, inspektorze? — Andropow odwrócił się do Rebusa. — Czy na pewno mnie pan szuka?

— Po prostu byłem w pobliżu. Zajrzałem do galerii Terence'a Blackmana.

— Interesuje się pan sztuką? — Andropow uniósł brwi.

— Interesuję się bardzo Roddym Denholmem. Zwłaszcza jego wczesnym okresem, kiedy brał przedszkolaki do malowania bohomazów.

— Rozumiem, że pan sobie kpi. — Andropow wziął do ręki szklanę. — Proszę to dopisać do mojego rachunku — rzucił do barmanki, potem spojrział na Rebusa. — Zapraszam do mojego stolika.

— Ten sam co zawsze, prawda? — rzucił Rebus, kiedy usiedli.

— Nie bardzo rozumiem.

— Siedział pan przy nim tego wieczoru, kiedy był tu Aleksander Todorow.



- Nawet nie wiedziałem, że tu był.
- Cafferty zapłacił za jego drinka, a po jego wyjściu dosiadł się do pana. — Rebus zrobił krótką przerwę. — Do pana i pana ministra rozwoju gospodarczego.
- Imponuje mi pan — powiedział z podziwem Andropow. — Naprawdę. Widzę, że nie wolno pana nie doceniać.
- I kupić też się mnie nie da.
- Nie mam co do tego wątpliwości. — Rosjanin się uśmiechnął i jego uśmiech znów nie sięgnął oczu.
- Więc o czym rozmawiał pan z Jimem Bakewellem?
- Może pan nie uwierzy, ale rozmawialiśmy o rozwoju gospodarczym.
- Myśli pan o inwestowaniu w Szkocji?
- To taki przyjazny kraj.
- Ale nie mamy nic z tego, co pana interesuje. Ani gazu, ani węgla, ani stali...
- Wręcz przeciwnie, macie i gaz, i węgiel. I oczywiście ropę naftową.
- Na jakieś dwadzieścia lat eksploatacji.
- Na Morzu Północnym, zgoda. Ale zapomina pan o podwodnych złożach na zachód stąd. Pod Atlantykiem tkwi mnóstwo ropy, panie inspektorze, a my w końcu opanujemy technologię wydobywania. Ponadto istnieją alternatywne źródła energii: wiatr, fale morskie.
- Niech pan nie zapomina o temperaturze obrad w parlamencie. — Pociągnął ze swojej szklaneczki, smakując moc alkoholu. — Tylko to nie tłumaczy pańskiego zainteresowania opuszczonymi zakładami w Edynburgu.
- Rzeczywiście, nic nie uchodzi pańskiej uwadze.
- Taki mój zawód.
- Chodzi panu o Cafferty'ego?
- Niewykluczone. A skąd wy się znacie?
- Z kręgów biznesowych, panie inspektorze. Zapewniam, że stu procentowo legalnych.
- I dlatego władze w Moskwie szykują się, żeby pana zamknąć?
- Względy polityczne. — Andropow skrzywił się boleśnie. — I odmowa smarowania pewnych ważnych dłoni.

— Chcą z pana zrobić przykład dla innych?  
— Sprawy potoczą się swoim torem... — Uniósł szklankę do ust.

— W rosyjskich więzieniach siedzi wielu bogaczy. Nie obawia się pan, że może pan do nich dołączyć? — Andropow milcząco wzruszył ramionami. — Na szczęście zaprzyjaźnił się pan tu z wieloma politykami i to nie tylko laburzystami, lecz także tymi z SNP. Musi być miło czuć takie zainteresowanie swoją osobą. — Rosjanin nadal milczał i Rebus postanowił zmienić temat. — Proszę opowiedzieć mi coś o Todorowie.

— Co by pan chciał wiedzieć?

— Powiedział pan, że usunięto go z uczelni za niewłaściwe relacje ze studentkami.

— No i?

— Nie znajduję na ten temat żadnej wzmianki w dotyczących go materiałach.

— Sprawę zatuszowano, ale w Moskwie wiedziało o tym mnóstwo ludzi.

— Zabawne, że o tym mi pan powiedział, ale zapomniał dodać, że wiele was łączyło. Rówieśnicy z tej samej dzielnicy...

Andropow obrzucił go spojrzeniem.

— Raz jeszcze muszę przyznać, że mi pan imponuje.

— Jak blisko się znaliście?

— Prawie wcale. Obawiam się, że w jego oczach reprezentowałem to wszystko, czym on gardził. Pewnie on nazwałby to „chciwością” i „brakiem skrupułów”, podczas gdy ja wolałem to nazywać „samodzielnością” i „dynamizmem w działaniu”.

— Był zagorzałym komunistą?

— Zna pan angielskie slangowe słowo „bolszy”? Wywodzi się od rosyjskiego słowa „bolszewicy”. Bolszewicy byli ludźmi w dużej mierze pozbawionymi skrupułów, ale w dzisiejszym znaczeniu bolszy to ktoś trudny we współżyciu, zawzięty... I taki właśnie był Aleksander.

— Wiedział pan, że mieszka w Edynburgu?

— Chyba czytałem coś w gazecie.

— Spotkaliście się tutaj?

— Nie.

— To dziwne, że zaczął pijać akurat w tym barze...

— Tak pan sądzi? — Andropow znów wzruszył ramionami i pociągnął kolejny łyk wody.

— I pomyśleć, że dwaj ludzie, którzy razem się wychowywali i którzy zdobyli sławę w swoich dziedzinach, przebywają równocześnie w Edynburgu i nie przychodzi im nawet do głowy, żeby się spotkać.

— Nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia. — Andropow zrobił krótką przerwę. — Ma pan ochotę na jeszcze jednego drinka, inspektorze?

Rebus dopiero teraz zauważył, że jego szklaneczka jest pusta. Pokręcił głową i uniósł się z siedzenia.

— Nie omieszkam wspomnieć Bakewellowi o pańskiej wizycie — oznajmił Andropow.

— I Cafferty'emu też, jeśli pan chce. Na pewno potwierdzi panu, że jak już raz się w coś wgryzę, to nie popuszczę.

— A przecież wydajecie się bardzo do siebie podobni... Miło było z panem pogawędzić, inspektorze.

Rebus stanął na chodniku i próbując zapalić papierosa w dującym wietrze, skulił głowę i wetknął ją pod połę marynarki, przez co wysiadający z taksówki Megan Macfarlane i Roddy Liddle nawet go nie zauważyli. Przeszli obok ze wzrokiem utkwionym w wejście do hotelu, a spowitego chmurą dymu Rebusa zdjęła ciekawość, czy Siergiej Andropow również im nie omieszka wspomnieć o swym niedawnym gościu...

Wkraczającą do długiego, wąskiego pomieszczenia wydziału śledczego komisariatu West End Siobhan Clarke powitały brawa. Wprawdzie z sześciu stojących tu biurek zajęte były tylko dwa, ale siedzący za nimi mężczyźni wylewnie okazywali jej wdzięczność.

— Nie spiesz się z oddawaniem Reynoldsa, Shiv. Trzymaj go, jak długo chcesz — powiedział z uśmiechem detektyw inspektor Shug Davidson i przedstawił kolegę, detektywa Adama Bruce'a. Zrobił to, nie wstając z odchylonego do tyłu fotela i nie zdejmując nóg z biurka.

— Fajnie cię widzieć przy ciężkiej pracy — stwierdziła Clarke.  
— A gdzie reszta?

— Pewnie na świątecznych zakupach. A ja dostanę od ciebie coś pod choinkę?

— Pomyślałam, że obwiążę wstążką Reynoldsa i odeślę ci go w prezencie.

— Ani mi się waź. Fajnie było z Solem Goodyearem?

— Nie jestem pewna, czy słowo „fajnie” jest najwłaściwsze.

— Skurwiel z niego, nie? Już bardziej nie można się różnić od brata. Wiesz, że Todd w każdą niedzielę chodzi do kościoła?

— Mówił mi.

— Można powiedzieć, ogień i woda... — Davidson pokręcił wolno głową.

— Wolałabym porozmawiać o Larrym Fintrym.

— Mianowicie?

- Jest na warunkowym?
- Cele pękają w szwach, Shiv. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.
- Czyli wyszedł za kaucją?
- W dzisiejszych czasach wszystko poniżej ludobójstwa i kanibalizmu kwalifikuje się do kaucji.
- To gdzie go mogę znaleźć?
- W ośrodku w Bruntsfield.
- Co to za ośrodek?
- Dla nałogowców. Ale wątpię, żeby tam był o tej porze. — Rzucił okiem na zegarek. — Prędej na Hunter Square albo w parku The Meadows.
- Właśnie wracam z kawiarni koło Hunter Square.
- I nie widziałaś żadnych włóczęgów w okolicy?
- Nie, ale widziałam paru ludzi ulicy — poprawiła go. Zauważyła, że Bruce nie odrywa wzroku od ekranu monitora, na którym widoczna była plansza gry w sapera.
- Sprawdź ławki na tyłach starego szpitala — powiedział Davidson. — Czasem lubi tam przesiadywać. Tylko że teraz może być trochę za zimno. Ewentualnie jeszcze świetlice na Grassmarket i Cowgate... A do czego ci potrzebny?
- Zaczynam się zastanawiać, czy za głowę Sola Goodyeara nie wyznaczono ceny.
- Davidson parsknął pogardliwie.
- Na takiego szmondaka?
- Mimo wszystko...
- A jeśli nawet, to nikt przy zdrowych zmysłach nie nasłabły na niego Larry'ego Wariata. Na pewno chodziło o to, że Sol upomniał się o dług, a kiedy powiedział Larry'emu Fintry'emu, że bez kasy koniec z prochami, wywalił jeden z jego nielicznych bezpieczników.
- Kolesiowi należałoby wymienić całą instalację — mruknął detektyw Bruce, nie odrywając wzroku od ekranu.
- Jak chcesz się uganiać za Larrym Wariatem — ciągnął Davidson — to się uganiaj, tylko nie licz na to, że coś z niego wyciągniesz. I nadal nie mięści mi się w głowie, żeby na Sola Goodyeara ktoś wystawił kontrakt.
- Przecież musi mieć wrogów.

— Ale i przyjaciół.  
Clarke przymrużyła oczy.  
— Co masz na myśli?  
— Mówią, że wrócił do stajni Dużego Gera. Może nie dosłownie dla niego pracuje, ale za jego wiedzą i błogosławieństwem.  
— Mamy na to jakieś dowody?  
Davidson potrząsnął głową.  
— Po naszej ostatniej rozmowie wykonałem parę telefonów i tyle z nich wynika. Ale powiem ci coś więcej...  
— Co?  
— Ptaszki ćwierkają, że z Fettes znów ściągnęli Dereka Starra, żeby przejął twoje śledztwo. — Od biurka Bruce'a dało się słyszeć ciche cmoknięcie. — Trochę ci podesrali, nie?  
— To oczywiście, że Derek przejmuje sprawę. Przewyższa mnie stopniem.  
— Ale kiedy chodziło o ciebie i pewnego inspektora nazwiskiem Rebus, to jakoś im to nie przeszkadzało.  
— Zobaczysz, że ci naprawdę odeślę Reynoldsa — obruszyła się.  
— Tylko najpierw będziesz musiała spytać Starra.  
Przewierciła go spojrzeniem, a on parsknął śmiechem.  
— Śmieję się, póki możesz — mruknęła, ruszając do wyjścia.  
Wsiadła do samochodu i zaczęła dumać, co jeszcze mogłaby wymyślić, żeby opóźnić powrót na Gayfield Square. Odpowiedź: niewiele. Rebus wspominał o stacji monitorowania. Może mogłaby podjechać do magistratu i poprosić o udostępnienie nagrań. Albo mogłaby zadzwonić do Megan Macfarlane i umówić kolejne spotkanie, tym razem żeby porozmawiać o Riordanie i jego nagraniach z obrad jej komisji. No i pozostaje jeszcze rozmowa z Jimem Bakewellem — Rebus chciał, żeby go wypytać o barowe spotkanie z Andropowem i Gerem Caffertym.  
Cafferty...  
Zdawało się, że ten człowiek rzuca cień na całe miasto, choć niewielu mieszkańców Edynburga wiedziało o jego istnieniu. Rebus poświęcił pół swej kariery policyjnej na próby rozprawienia się z gangsterem, a teraz, po jego przejściu na emeryturę, cała sprawa spadnie na nią. Nie dlatego, że tego chciała; po prostu była pewna,

że Rebus nie odpuści. Będzie chciał, żeby dokończyła za niego to, co jemu się nie udało. Pomyślała o długich wieczorach spędzonych wspólnie w biurze, podczas których wyciągał stare, niezakończone sprawy. I co ona właściwie ma zrobić z tym swoistym spadkiem po nim? Ciężko jej to jak zbędny bagaż. Miała w domu parę okropnych cynowych świeczników, które dostała w spadku po ciotce. Nie mogąc się zdobyć na to, żeby je wyrzucić, upchnęła je w głębi jednej z szuflad. Czuła, że tak samo powinna potraktować starocie Rebusa.

Zadzwoiła jej komórka. Dzwonił ktoś z numeru zaczynającego się od 556 — ktoś z Gayfield Square. Pomyślała, że chyba wie kto.

— Halo?

Rzeczywiście, głos Dereka Starra.

— Zwiąłaś przede mną. — Starał się, by pretensja zabrzmiała na w pół żartobliwie.

— Musiałam pojechać na West End i pogadać.

— O czym?

— O Solu Goodyearze.

Zapadła cisza.

— Przypomnij mi.

— Mieszka w pobliżu miejsca, gdzie zamordowano Todorowa. Ciało znalazła przyjaciółka Sola.

— No i?

— Chciałam ustalić parę szczegółów.

Musiał czuć, że nie mówi mu wszystkiego, ona zaś wiedziała, że on nie może nic w tej sprawie zrobić.

— No to kiedy możemy się was spodziewać z powrotem w naszym szacownym gronie, sierżant Clarke?

— Muszę jeszcze po drodze wstąpić do magistratu.

— Na stację monitorowania? — domyślił się.

— Tak. Ale zajmie mi to nie więcej niż pół godziny.

— Miałaś jakieś wiadomości od Rebusa?

— Ani słowa.

— Starszy inspektor Macrae poinformował mnie, że go zawieszono.

— Coś w tym rodzaju.

— Jak na pożegnalną pieśń to cienko śpiewa.

— Masz coś jeszcze do mnie, Derek?  
— Jesteś moim numerem dwa, Siobhan. I tak będzie, dopóki się nie zorientuję, że ze mną pogrywasz.  
— Co chcesz przez to powiedzieć?  
— Nie chcę, żebyś przejmowała od Rebusa jego złe zwyczaje. Nie mogła tego dłużej słuchać, więc się rozłączyła.  
— Nadęty palant — mruknęła pod nosem, przekręcając kluczyk w stacyjce.



— To co robiłeś wczoraj wieczorem? — spytała Hawes. Siedziała po stronie pasażera, Colin prowadził.  
— Byłem z kolegami na drinku. — Zerknął na nią spoде łba. — A co, jesteś zazdrosna?  
— Zazdrosna o ciebie i twoich koleżków od gorzały? No jasne, Col.  
— Tak myślałem. — Uśmiechnął się.

Jechali w stronę południowo-wschodnich krańców miasta i wiaduktu przerzuconego nad pierścieniem zieleni. Kiedy FAB uzyskał zgodę na budowę nowej siedziby na biegnącym wokół miasta chronionym pasie, nikt zbyt nie zdziwił. Przeniesiono norę borsuka w inne miejsce i sprzedano bankowi dziewięciodołkowe pole golfowe do wyłącznego użytku pracowników. Ogromny, obłożony taflami szkła budynek znajdował się w odległości zaledwie półtora kilometra od nowej Lecznicy Królewskiej i Hawes pomyślała, że to wygodne sąsiedztwo dla opatrywania palców pokaleczonych liczeniem tych wszystkich banknotów. Choć wcale by jej nie zdziwiło, gdyby się okazało, że w kompleksie FAB istnieje własna przychodnia BUPA [BUPA — British United Provident Association — prywatna organizacja ubezpieczenia zdrowotnego], specjalnie dla pracowników banku.

— A skoro pytasz, to ja siedziałam w domu — mruknęła, przypatrując się, jak Colin zwalnia daleko przed czerwonymi światłami. Stosował się do zaleceń instruktorów z kursów nauki jazdy, którzy zabraniają raptownego hamowania i każą stopniowo zmniejszać szybkość, kolejno redukując biegi. Wszyscy jej znajomi



zapominali o tym przykazaniu nazajutrz po odebraniu prawa jazdy, ale nie Colin. Była gotowa się założyć, że prasuje też swoje gatki.

Zaczynała ją wkurzać, że mimo tak wielu głęboko zakorzenionych wad, jakie u niego dostrzegała, wciąż ją rajcował. Może na zasadzie zawijania do byle jakiej spokojnej przystani na czas sztormu? Była wściekła na siebie, że nie potrafi wytrwać bez chłopa na podórzedziu, ale tak to zaczynało wyglądać.

— Było coś ciekawego w telewizji? — zapytał.

— Film dokumentalny o tym, jak mężczyźni stają się kobietami. — Znów na nią zerknął, niepewny, czy się z niego nabija. — Naprawdę. Ten cały estrogen w kranówce. Żłopiecie ją a potem wyrastają wam piersi.

Na chwilę się zadumał.

— A skąd się bierze estrogen w wodzie z kranu?

— Mam ci to narysować? — Wykonała gest spuszczenia wody w toalecie. — A poza tym te wszystkie konserwanty w mięsie. Wpływają na bilans chemiczny organizmu.

— Nie chcę, żeby mi coś wpływało na bilans chemiczny organizmu.

Parsknęła śmiechem.

— Ale to może tłumaczyć twoje zachowanie — dodała z przekorą w głosie.

— Jakie zachowanie?

— Twoje zalecanie się do Dereka Starra. — Skrzywił się, a ona znów się roześmiała. — Widziałam, jak na niego patrzyłeś w czasie tej jego mowy... Jakby to był Russell Crowe w *Gladiatorze* albo Mel Gibson w *Walecznym sercu*.

— Byłem na *Walecznym sercu* w kinie. Publiczność zerwała się z miejsc, zaczęła wznosić okrzyki i bokсовать powietrze. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego.

— To dlatego, że Szkoci nieczęsto mają okazję, żeby być z siebie dumni.

— Myślisz, że powinniśmy dążyć do niepodległości?

— Może. — Kiwnęła głową. — Byle tylko takie First Albannachy nie wyniosły się wtedy na południe.

— Jaki mieli zysk w zeszłym roku?

— Osiem miliardów, coś koło tego.

- Chciałaś powiedzieć osiem milionów?
- Osiem miliardów — powtórzyła.
- To niemożliwe.
- Zarzucasz mi kłamstwo? — Nie wiedziała, jakim cudem udało mu się zmienić temat rozmowy tak, że nawet tego nie zauważyła.
- Jak się słyszy coś takiego, to się człowiek zaczyna zastanawiać — zadumał się.
- Nad czym?
- Kto tu trzyma prawdziwą władzę. — Oderwał na chwilę wzrok od drogi i spojrzął na nią. — Masz jakieś plany na wieczór?
- Wspólnie z tobą?
- Otwierają dziś jarmark świąteczny — powiedział, wzruszając ramionami. — Moglibyśmy wpaść.
- Moglibyśmy.
- A potem wstąpić gdzieś coś zjeść.
- Zastanowię się.

Włączył migacz, szykując się do skrętu w główną bramę kompleksu First Albannach Bank. Przed nimi wyrastała czteropiętrowa budowla, ciągnąca się daleko wzdłuż ulicy. Z portierni przy bramie wyszedł strażnik i zapisał ich nazwiska i numer rejestracyjny samochodu.

— Miejsce parkingowe sześćset osiem — poinformował, po czym Hawes ze złością obserwowała, jak jej partner posłusznie szuka miejsca numer 608, po drodze mijając wiele wolnych miejsc znacznie bliżej wejścia.

— Nie przejmuj się mną—powiedziała, gdy w końcu zaciągnął hamulec. — Jakoś dam radę stąd dojść.

Droga do wejścia wiodła wzdłuż szpaleru eleganckich samochodów sportowych, wielkich limuzyn i modnych SUV-ów 4x4. Prace porządkowe na terenie kompleksu wciąż jeszcze trwały, a za rogiem jednego z budynków dojrzeli pas kolcolistu, za którym zaczynało się pole golfowe. Drzwi wejściowe się rozsunęły i znaleźli się w centralnym atrium o wysokości trzech kondygnacji. Za umieszczoną w centrum recepcją ciągnął się rząd punktów handlowych: apteka, supermarket, kawiarnia, sklep z prasą i książkami. Strzałki pokazywały drogę do żłobka, sali gimnastycznej i basenu. Schodami ruchomymi wjeżdżało się na poziom pierwszego

piętra, skąd pięły się przeszklone szyby wind. Recepcjonistka powitała ich promiennym uśmiechem.

— Witamy w FAB — powiedziała. — Gdyby zechcieli państwo się tu wpisać i okazać mi jakiś dokument ze zdjęciem...

Wykonali polecenie, po czym recepcjonistka poinformowała ich, że wprawdzie pan Janney jest zajęty, ale jego sekretarka ich oczekuje.

— Trzecie piętro. Będzie czekała na państwa przy windzie.

Wręczyła im laminowane plakietki dla gości i obdarzyła kolejnym uśmiechem. Strażnik przepuścił ich przez bramkę wykrywacza metali, a oni wyjęli z pojemników swoje klucze, telefony i bilon.

— Spodziewacie się jakichś kłopotów? — zagadnęła go Hawes.

— Obowiązuje najniższy zielony stopień — odparł strażnik.

— No i chwała Bogu.

Winda zawiozła ich na trzecie piętro, gdzie już czekała na nich młoda kobieta w czarnym spodniemie. Wręczyła Hawes trzymaną w ręce dużą kopertę, po czym bez słowa skinęła głową, obróciła się i ruszyła w głąb korytarza, który zdawał się nie mieć końca. Tibbet nie zdążył nawet wyjść z windy, gdy już było po wszystkim. Hawes dołączyła do niego, drzwi się zasunęły i winda ruszyła w dół. Po upływie niecałych trzech minut od wejścia do budynku znaleźli się znów na zewnątrz, lekko oszołomieni tempem zdarzeń.

— To nie jest biurowiec — syknęła Hawes. — To jakaś cholerna machina.

Tibbet tylko gwizdnął przez zęby, co miało oznaczać, że jest tego samego zdania, potem rozejrzał się po parkingu.

— Gdzie my stoimy?

— Na końcu wszechświata — mruknęła, ruszając przed siebie.

W samochodzie usiadła na fotelu pasażera, otworzyła kopertę i wyjęła kilkanaście arkuszy papieru — fotokopii wyciągów bankowych. Do pierwszej z wierzchu doklejona była żółta karteczka z odręczną uwagą, że Todorow musiał też mieć jakieś inne konto, co zresztą wynikało z wypełnionego przez niego wniosku o otwarcie rachunku w Albannach. W pliku kopii znajdowało się tylko jedno

polecenie przelewu do banku w Moskwie, autoryzowane przez Stuarta Janneya.

— Całkiem nieźle to wygląda — zauważyła Hawes. — Sześć kawałków na rachunku bieżącym i osiemnaście na oszczędnościowym. — Rzuciła okiem na daty operacji: nie odnotowano znaczących wpłat ani wypłat w dniach poprzedzających śmierć Todorowa i żadnych operacji po tej dacie. — Wygląda na to, że napastnik ani razu nie użył jego karty.

— A mógł mu całkiem wyczyścić konta. — Skinął głową Tibbet. — Dwadzieścia cztery patole... jak na biednego artystę, całkiem nieźle.

— Widać przymieranie głodem na mansardach wyszło już z mody. — Hawes zadzwoniła do Clarke i w skrócie przekazała wynik wizyty. — W dniu śmierci podjął stowę — zakończyła.

— Gdzie?

— W bankomacie na dworcu Waverley — powiedziała to i nagle zmarszczyła czoło. — Dlaczego wyjechał z Edynburga z jednego dworca, a wrócił na inny?

— Był umówiony z Riordanem. Zdaje się, że Riordan upodobał sobie hinduską knajpę w pobliżu.

— Już tego niestety nie zweryfikujemy.

— Niestety — zgodziła się Clarke. Jej głos rozbrzmiewał na tle gwaru rozmów, ale znacznie bardziej stonowanych niż zgiełk panujący na Gayfield Square.

— Gdzie jesteś, Shiv?

— W magistracie, chcę sprawdzić nagrania z monitoringu.

— Kiedy wracasz?

— Za jakąś godzinę.

— Słyszę po twoim głosie, jak cię to martwi. Odezwał się do ciebie nasz ulubiony detektyw inspektor?

— Zakładając, że chodzi ci o Rebusa, a nie o Starra, odpowiedź brzmi: nie.

— Opowiedz jej o banku — wtrącił Tibbet.

— Colin chce, żebym ci opowiedziała o naszych wrażeniach z First Albannach.

— Ful wypas, co?

— Bywałam w gorszych kurortach. Poza zjeżdżalniami wodnymi mają wszystko.

Widziałaś się z Janneyem?

— Był zajęty. Prawdę mówiąc, wszystko odbywa się jak na taśmie produkcyjnej. Wchodzisz, wychodzisz, następny, proszę.

— Muszą dbać o interesy udziałowców. Kiedy twoje zyski ocierają się o dziesięć miliardów, nie możesz sobie pozwolić na żadne niedoróbki.

Hawes spojrzała na Tibbeta.

— Siobhan mówi, że ich ubiegłoroczny zysk wyniósł dziesięć miliardów.

— Mniej więcej — potwierdziła Clarke.

— Mniej więcej — powtórzyła Hawes.

— Człowiek zaczyna się zastanawiać — dodał Tibbet, wolno kręcąc głową.

Hawes nie odwróciła wzroku. Całuśne usta, przemknęło jej przez głowę. Młodszy od niej i mniej doświadczony. Materiał, nad którym da się popracować. Właściwie to można by zacząć już tego wieczoru.

— To na razie — rzuciła do słuchawki.

Doktor Scarlett Colwell czekała na Rebusa w swym pokoju przy George Square. Pokój mieścił się na jednym z wyższych pięter budynku i gdyby nie okna zaparowane wilgocią przedostającą się między podwójne szyby, roztaczałby się z niego wspaniały widok na miasto.

— Strasznie to irytujące, prawda? — powiedziała przepraszająco. — Budynek zbudowany ledwie czterdzieści lat temu, a praktycznie nadaje się już tylko do rozbiórki.

Rebusa jednak bardziej interesowała półka pełna rosyjskich książek, wciśniętych między gipsowe popiersia Marksa i Lenina. Na przeciwległej ścianie wisiało kilka plakatów i fotografii prasowych, wśród nich wycięte z gazety zdjęcie tańczącego prezydenta Jelcyna. Pod oknem stało biurko Colwell zwrócone przodem na pokój, którego środek zajmowały dwa zsunięte stoliki i stłoczone wokół nich osiem krzeseł. Colwell przykucnęła nad stojącym na podłodze czajnikiem i wsypała do dwóch kubków granulki kawy rozpuszczalnej.

— Z mlekiem? — spytała.

— Tak, poproszę — odrzekł Rebus, wpatrując się w gęstwinę jej kasztanowych włosów. W tej pozycji jej spódniczka była mocno naprężona i ściśle opinała biodra.

— Cukier?

— Tylko mleko.

Woda w czajniku się zagotowała, Colwell zalała nią kawę, podała mu kubek i dopiero wtedy się wyprostowała. Przez moment stali

bardzo blisko siebie, Colwell bąknęła coś przepaszająco na temat ciasnoty i wycofała się na swoje miejsce za biurkiem. Rebus przy-siadł na krawędzi stolika.

— Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas.

— Nie ma sprawy — powiedziała, dmuchając w kawę. — Wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci Riordana.

— Znała go pani z Biblioteki Poetyckiej?

Skinęła głową i odgarnęła sobie włosy z twarzy.

— I z Word Power — dodała.

Tym razem Rebus kiwnął potakująco.

— To ta księgarnia, gdzie Todorow czytał swoje wiersze, prawda?

Colwell pokazała ręką na ścianę. Rebus podążył za nią wzrokiem i dopiero teraz dostrzegł fotografię Aleksandra Todorowa. Uchwycono go w poetyckiej emfazie z jedną ręką uniesioną w dramatycznym geście i ustami otwartymi jak do krzyku.

— Nie wygląda mi to na wnętrze księgarni — zauważył.

— Przenieśli imprezę do większego pomieszczenia. Wynajęli kawiarnię przy Nicolson Street, ale i tak było tłoczno.

— Wygląda, jakby był w swoim żywiole. — Rebus przez chwilę przyglądał się fotografii. — To pani zrobiła to zdjęcie, pani doktor?

— Nie jestem w tym najlepsza — powiedziała przepaszająco.

— Jestem ostatnim, który ma prawo to osądzać — uśmiechnął się Rebus. — Riordan nagrał także i to spotkanie, czy tak?

— Tak. — Zawahała się. — Właściwie to szczęśliwie się złożyło, że pan do mnie zadzwonił, inspektorze...

— Tak?

— Bo właśnie się zbierałam, żeby do pana zadzwonić i poprosić o przysługę.

— Czym mogę służyć, pani doktor?

— Jest takie czasopismo „London Review of Books”. Prze-czytali w „Scotsmanie” moje wspomnienie o Todorowie i postanowili zamieścić jeden z jego wierszy.

— Jak dotąd, wszystko jasne. — Rebus uniósł kubek do ust.

— Chodzi im o jego najnowszy wiersz po rosyjsku, który recy-tował na spotkaniu w Bibliotece Poetyckiej. — Zaśmiała się — Zdaje się, że napisał go tego samego dnia. Niestety, ja go nie mam i nie jestem pewna, czy ktokolwiek inny go ma.

— Sprawdziła pani w jego koszu na śmieci?  
— Czy wyjdę na zimną materialistkę, jeśli przyznam, że tak?  
— Ależ skąd. I nie znalazła pani?  
— Nie... Dlatego zadzwoniłam do studia Riordana. Rozmawiałam tam z jakimś sympatycznym pracownikiem...  
— Pewnie z Terrym Grimmem.  
Znów kiwnęła głową i znów musiała odgarnąć sobie włosy.  
— Powiedział mi, że zachowało się jedno nagranie.  
Rebus pamiętał godzinę spędzoną w samochodzie Siobhan, kiedy oboje wsłuchiwali się w głos denata.  
— I chce je pani wypożyczyć? — domyślił się.  
Pamiętał, że Todorow rzeczywiście niektóre wiersze recytował po rosyjsku.  
— Chciałabym go przetłumaczyć. Byłoby to czymś w rodzaju mojego pomnika dla niego.  
— Nie widzę problemu.  
Jej twarz się rozpromieniła i Rebus pomyślał nawet, że gdyby nie dzielące ich biurko, pewnie rzuciłaby mu się na szyję. Zamiast tego spytała tylko, czy będzie musiała słuchać taśmy w komisariacie, czy pozwolą jej zabrać nagranie do siebie. W komisariacie... W jedynym miejscu, w którym nie mógłby jej towarzyszyć.  
— Mogę to pani dostarczyć — powiedział. Skwitowała to jeszcze bardziej promiennym uśmiechem, który zaraz ustąpił jednak miejsca wyrazowi zaszewienia.  
— Tylko że ostateczny termin mija w przyszłym tygodniu — powiedziała niepewnie.  
— Nie ma problemu — zapewnił ją. — I przykro mi, że nie złapaliśmy jeszcze zabójcy pana Todorowa.  
Jej twarz jeszcze bardziej sposepniała.  
— Wierzę, że robicie wszystko co możliwe.  
— Dzięki za zaufanie. — Zamilkł i po chwili dodał: — Wciąż mnie pani nie spytała, po co tu przyszedłem.  
— Uznałam, że sam pan mi powie.  
— Zajrzałem do życiorysu Todorowa w poszukiwaniu jakichś wrogów.  
— Jego głównym wrogiem było państwo, panie inspektorze.  
— Wierzę. Ale słyszałem też, że usunięto go ze stanowiska wykładowcy za zbyt bliskie relacje ze studentkami. Możliwe jednak,



że ten, kto to powiedział, chciał tylko namieszać mi w głowie.

Colwell pokręciła głową.

— Kiedy to akurat prawda. Mówił mi o tym sam Aleksander. Oczywiście oskarżenia były zmyślane, bo szukali sposobu na to żeby się go pozbyć. — Powiedziała to tonem współczucia.

— Proszę wybaczyć, że spytam... czy kiedykolwiek przystawiał się do pani, doktor Colwell?

— Jestem w stałym związku, inspektorze.

— Z całym szacunkiem, pani doktor, ale jest pani piękną kobietą, a on chyba był wielkim miłośnikiem płci pięknej. Coś mi się zdaje, że by go skutecznie zniechęcić, pani partner musiałby być mistrzem walk wschodnich.

Znów promiennie się uśmiechnęła i na dowód skromności spuściła rzęsy.

— No cóż — powiedziała. — Oczywiście ma pan rację. Po paru drinkach jego libido wyraźnie się uaktywniało.

— Ładnie powiedziane. To też jego tekst?

— To już wyłącznie moja inwencja, inspektorze.

— Chyba uważał panią za przyjaciółkę, bo inaczej by się pani nie zwierzał.

— Nie jestem pewna, czy on w ogóle miał prawdziwych przyjaciół. Czasem pisarze tacy bywają. Traktują wszystkich jak materiał źródłowy dla swej pracy. Czy wyobraża pan sobie pójście z kimś do łóżka ze świadomością, że on to potem wszystko opisze? Że świat będzie czytał o waszych najintymniejszych chwilach?

— Całkowicie panią rozumiem. — Rebus odchrząknął. — Ale musiał mieć jakieś sposoby... zaspokajania tego swojego libido.

— Och, oczywiście miewał kobiety, panie inspektorze.

— Studentki? Tu w Edynburgu?

— Nie mam pojęcia.

— A ta Abigail Thomas z Biblioteki Poetyckiej? Odniosłem wrażenie, że pani zdaniem była nim zainteresowana.

— Ale pewnie bez wzajemności. — Machnęła lekceważąco ręką. Zamilkła i po chwili dodała: — Naprawdę pan sądzi, że Aleksander zginął z rąk kobiety?

Rebus wzruszył ramionami. Próbował wyobrazić sobie Todorowa tamtego wieczoru. Jak mu szumi w głowie wypity alkohol, jak chwiejnym krokiem podąża King's Stables Road i jak nagle z cienia wyłania się kobieta, która nie bawiąc się w ceregiele, oferuje mu seks. Czy byłby skłonny pójść z kimś całkiem obcym? Pewnie tak. Ale jeszcze łatwiej z kimś znajomym...

— Czy Todorow wspomniał kiedyś o jakimś Andropowie? — zapytał.

Poruszyła wargami, bezgłośnie powtarzając nazwisko i grzebiąc w pamięci, potem pokręciła głową.

— Przykro mi, ale nie.

— A jeszcze jeden strzał w ciemno: Cafferty.

— Nie na wiele się panu przydadają. — Uśmiechnęła się i przecząco pokręciła głową.

— Czasem to, co da się wykluczyć, jest dla poznania prawdy równie ważne, jak to, co pozostaje.

— To teoria Sherlocka Holmesa, prawda? Jak się wyeliminuje wszystko to, co... — Zmarszczyła czoło i zamilkła. — Nigdy nie mogę zapamiętać tego cytatu, ale pan na pewno go zna.

Przytaknął, by nie wyjść w jej oczach na nieoczytanego. Co dzień rano w drodze do pracy mijał stojący na rondzie przy Leith Street pomnik Sherlocka Holmesa. Postawiono go w miejscu, gdzie niegdyś stał dom, w którym Conan Doyle spędził dzieciństwo.

— To jak on brzmi? — spytała niecierpliwie.

— Mam ten sam kłopot co pani. — Wzruszył ramionami. — Nigdy nie mogę dokładnie go zapamiętać...

Wysunęła się zza biurka i przycisnęła obok, ocierając się spodniczką o jego nogi. Podeszła do regału i zdjęła z półki jedną z książek. Napis na grzbiecie informował, że zawiera antologię cytatów. Znalazła sekcję z cytatami z Doyle'a i powiodła palcem po stronicy.

— „Jeśli wyeliminujemy wszystko, co niemożliwe — przeczytała na głos — to, co zostanie, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdziwe”. — Zmarszczyła czoło. — Nie tak to pamiętałam. Zdawało mi się, że chodziło o eliminowanie tego, co możliwe, a nie odwrotnie.

— Mmm — mruknął Rebus, w nadziei że doktor Colwell uzna to za wystarczającą reakcję, i odstawił pusty kubek na stolik. — No więc skoro udało mi się wyświadczyć pani przysługę, pani doktor...

— Coś za coś, tak? — Zatrzasnęła książkę z takim impetem, że aż uniósł się obłok kurzu.

— Chciałem spytać, czy mógłbym pożyczyć klucze do mieszkania Todorowa.

— Tak się składa, że akurat ma pan szczęście. Ktoś z administracji miał się po nie zgłosić, ale jak dotąd się nie zjawił.

— Co mają zamiar zrobić z jego rzeczami?

— Konsulat zgłosił chęć ich przejęcia. Przecież Aleksander musiał mieć w Rosji jakąś rodzinę. — Wróciła za biurko i wyjęła z szuflady pęk kluczy na kółku. Rebus wziął je i skłonił głowę w niemej podzięk. — Na dole w naszym budynku urzęduje gospodarz, więc gdyby mnie nie było, to proszę zostawić klucze u niego. — Zrobiła przerwę. — I nie zapomni pan o tym nagraniu?

— Proszę mi zaufać.

— Bo ten człowiek w studiu jest przekonany, że macie jedyną ocalałą kopię. Biedny Riordan. Co za okropna śmierć...

Po wyjściu z budynku Rebus poszedł w dół schodami z George Square do Buccleuch Place. Po drodze minął kilku studentów, którzy sprawiali wrażenie... nie przyszło mu do głowy nic, poza określeniem „zatopieni w nauce”. Zatrzymał się, by zapalić papierosa, uznał jednak, że zrobiło się zbyt chłodno i że lepiej będzie zapalić już w środku.

Na początku wydało mu się, że od jego pierwszej wizyty nic się tu nie zmieniło poza tym, że kartki z kosza zostały przez kogoś — zapewne przez Colwell szukającą zaginionego wiersza — rozprostowane i rozłożone na biurku. Rebus zdążył już zapomnieć o swych sześciu egzemplarzach *Astapowo Blues* i pomyślał teraz, że musi znaleźć kogoś z kontem na eBayu i pchnąć tomiki do sprzedaży. Po dokładniejszym przyjrzeniu się doszedł jednak do wniosku, że ktoś usunął z pokoju część księgozbioru poety. Czyżby to również Colwell? A może ktoś z obsługi? Zastanowił się, czy może to oznaczać, że ktoś go już ubiegł i że obfitość pamiątek po poecie podetnie ich ceny. W tym momencie zadzwonił jego telefon. Rebus sięgnął do kieszeni, ale numer dzwoniącego był mu

nieznany. Zauważył tylko, że poprzedza go zagraniczny numer kierunkowy.

— Detektyw inspektor Rebus — zgłosił się.

— Halo, tu Roddy Denholm. Odpowiadam na pański tajemniczy telefon. — Denholm mówił po angielsku ze szkockim akcentem człowieka wykształconego.

— Nie było w nim nic tajemniczego. Ale miło mi, że zechciał pan oddzwonić.

— Ma pan szczęście, inspektorze, że ze mnie taki nocny marek.

— Mamy środek dnia...

— Ale nie w Singapurze.

— Blackman powiedział, że jest pan albo w Melbourne, albo w Hongkongu.

Denholm parsknął gardłowym rechotem palacza.

— Właściwie mógłbym być wszędzie. Równie dobrze tuż obok pana. Cudowne urządzenia te telefony komórkowe...

— Jeśli jest pan tuż obok mnie, to taniej będzie porozmawiać bezpośrednio.

— Albo może pan wsiąść w pierwszy samolot do Singapuru.

— Staram się nie uczestniczyć w zanieczyszczaniu atmosfery.

— Wypuścił kłęb dymu tytoniowego ku sufitowi.

— No więc gdzie pan teraz jest, inspektorze?

— Buccleuch Place.

— Ach, wiem. Dzielnica uniwersytecka.

— Stoję w mieszkaniu martwego artysty.

— Chyba jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszałem. — W głosie malarza zadźwięczało coś na kształt podziwu.

— Tylko że nie był z pańskiej branży. Nazywał się Aleksander Todorow i był poetą.

— Coś mi się obilo o uszy.

— Trochę ponad tydzień temu został zabity i w prowadzonym przez nas śledztwie pojawiło się pańskie nazwisko.

— Zamieniam się w słuch. — Z brzmienia jego głosu można było wnioskować, że leży rozciągnięty na hotelowym łóżku. Rebus także usiadł na kanapie i podparł się łokciem o kolano.

— Pracuje pan nad projektem na zamówienie parlamentu. Na pańskie zlecenie pewien dźwiękowiec wykonywał do niego nagrania...

— Charlie Riordan.  
— Niestety, także nie żyje. — Rebus usłyszał ciche gwizdnięcie. — Ktoś podpalił jego dom.  
— A co z nagraniami?  
— O ile nam wiadomo, wszystko w porządku, proszę pana. Denholm musiał dosłyszeć nutę sarkazmu w głosie Rebusa.  
— Pewnie pytając o to, wychodzę na sukinsyna bez serca — powiedział.  
— Niech się pan nie przejmuj. Pański agent też od razu o to spytał.  
— Biedaczysko... — zachichotał Denholm.  
— Znał go pan?  
— Poznałem dopiero przy okazji zamówienia dla parlamentu. Wydawał mi się sympatyczny i kompetentny... Ale nasze kontakty były dość ograniczone.  
— No cóż, Riordan wykonywał też pewne prace dla Aleksandra Todorowa.  
— Chryste, czy to znaczy, że ja jestem następnym na liście? Rebus nie był pewien, czy to miał być żart.  
— Nie sądzę, proszę pana.  
— Więc nie dzwoni pan po to, żeby mnie ostrzec?  
— Po prostu wydało mi się to interesującym zbiegiem okoliczności.  
— Tyle że nigdy w życiu nie widziałem Todorowa na oczy.  
— Pan może nie, ale jeden z pańskich wielbicieli tak. Niejaki Siergiej Andropow.  
— Znam to nazwisko...  
— Kolekcjonuje pańskie prace. Rosyjski biznesmen, rówieśnik Todorowa, z którym razem dorastali. — W słuchawce znowu rozległo się gwizdnięcie. — Jego też pan nigdy nie poznał?  
— W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. — Na moment zapadła cisza. — Myśli pan, że poetę zabił ten Andropow?  
— Rozważamy różne możliwości.  
— Tu też użyto jakiegoś zmyślnego izotopu, jak w przypadku tego faceta w Londynie?  
— Najpierw ciężko go pobito, potem ktoś mu rozwalił czaszkę.  
— Trudno to nazwać działaniem nadmiernie wyrafinowanym.

— Raczej trudno. Proszę mi powiedzieć, panie Denholm, jak to się stało, że do swojego projektu wybrał pan akurat Komisję Rewitalizacji Miasta?

— To oni wybrali mnie, inspektorze. Zapytaliśmy, kto byłby zainteresowany uczestnictwem w projekcie, i wtedy zgłosiła się przewodnicząca tej komisji.

— Megan Macfarlane?

— Trudno tej pani odmówić poczucia ważności. A mówi to panu ktoś, kto się na tym wyznaje.

— Nie wątpię, proszę pana. — W słuchawce rozległ się dźwięk przypominający dzwonek do drzwi.

— To pewnie ktoś z obsługi hotelowej — domyślił się Denholm.

— To nie będę zabierał panu więcej czasu. Dzięki za odzewienie.

— Nie ma sprawy.

— Tylko jeszcze jedno... — Rebus zrobił na tyle długą przerwę, by mieć pewność, że malarz go słucha. — Zanim otworzy pan drzwi, proszę się upewnić, że to na pewno tylko obsługa hotelowa.

Zatrzasnął kłapkę na telefonie i pozwolił sobie na uśmiezek.

— To chyba nie może być zbyt długie, skoro mieści się na czymś takim — zauważyła Siobhan Clarke. Wróciła już na Gayfield Square i korzystając z tego, że starszy inspektor Macrae gdzieś się wyniósł, zajęła jego gabinet na spotkanie z Terrym Grimmem. Siedząc za biurkiem szefa, przyglądała się pod światło przenośnej pamięci w przezroczystej plastikowej obudowie.

— Zdziwi się pani — powiedział Grimm. — Na moje oko jest tu jakieś szesnaście godzin nagrań. Mógłbym zmieścić nawet więcej, gdybym miał co. Niestety z powodu wysokiej temperatury większość materiału jest nie do ugryzienia.

Przyniósł odzyskane kasety w plastikowych torebkach i choć wszystkie były szczelnie zamknięte, wciąż roztaczały wokół woń spalenizny.

— Czy coś wpadło panu w oko? A właściwie powinnam chyba powiedzieć: „w ucho”.

Grimm pokręcił głową.

— Za to powiem pani, co mi się udało... — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kompakt w plastikowej koszulce. — Charlie nagrał tego rosyjskiego poetę na jakimś innym spotkaniu kilka tygodni wcześniej. Przypadkiem natknąłem się na to w studiu, więc przegrałem to pani na oddzielną płytę.

— Dzięki.

— Odezwała się też do mnie jakaś kobieta z uniwersytetu. Szukała nagrania z ostatniego występu poety, ale z tego, co wiem, jedyna ocalała kopia jest u was.

— Doktor Colwell?

— O, właśnie. — Przyjrzał się swoim dłoniom. — Jesteście już bliżsi wykrycia tego podpalacza?

Wyciągnęła rękę w stronę widocznej przez szybę głównej sali wydziału.

— Jak pan widzi, nie próżnujemy.

Kiwnął głową, ale nie spuścił z niej wzroku.

— To tylko zgrabne uniknięcie odpowiedzi na pytanie — powiedział.

— Kluczem do sprawy jest odpowiedź na pytanie „Dlaczego?”, proszę pana. Jeśli może pan rzucić na to nieco światła, będziemy ogromnie wdzięczni.

— Długo się nad tym zastanawiałem. Rozmawiałem też z Hazel. Ale wciąż jest to dla mnie niepojęte.

— No cóż, jeśli jednak przyjdzie panu coś do głowy... — Wstała zza biurka, dając mu do zrozumienia, że ich spotkanie dobiegło końca. Z krzątanimy w głównej sali wynurzył się Todd Goodyear, ruszył w ich stronę, zapukał i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

— Jeśli naprawdę mam coś wydobyć z tych nagrań z komisji, to muszę się przenieść gdzieś indziej — powiedział tonem pretensji. — Tam się zrobiło jak w małpiarni. — Poznał Grimma i skinął głową na powitanie.

— Taśmy z parlamentu? — domyślił się Grimm. — Wciąż się przez nie przekopujesz?

— Wciąż się przekopuję. — Goodyear podał Clarke przyniesiony pod pachą plik kartek z przepisаныmi na komputerze szczegółowymi konspektami przesłuchanych taśm. Zrobił z nich prawdziwe elaboraty i Clarke pomyślała, że w początkach swej kariery policyjnej też była tak skrupulatna... Dopiero Rebus nauczył ją chodzenia na skrót.

— Dzięki — powiedziała. — A to dla ciebie... — Podała mu memory stick w plastikowej obudowie. — Pan Grimm mówi, że jest na tym około szesnastu godzin nagrań.

Goodyear głęboko westchnął i spytał Grimma, jak sobie radzą w studiu.

— Jakoś leci, dziękuję.

Clarke rzuciła okiem na zapisane kartki.



— Czy coś z tego cię zastanowiło? — zwróciła się do Goodyeara.

— Nic a nic — odparł.

— To wyobraźcie sobie, co myśmy czuli, tkwiąc tam całymi dniami i słuchając mendzenia panów polityków — mruknął Grimm.

Goodyear potrząsnął głową na znak, że w ogóle sobie tego nie wyobraża.

— A to, co tu do was trafiło, to już tylko wybrane fragmenty — dodał Grimm.

Clarke zauważyła, że zamieszanie na sali się skończyło i zrobiło się trochę luźniej. — O co tam chodziło? — spytała Goodyeara.

— Doszło do awantury w sprawie jazdy do kostnicy — odparł, podrzucając przenośną pamięć i łapiąc ją w powietrzu. — Ktoś zgłosił się po ciało Todorowa i inspektor Starr spytał, kto tu jest najszybszym kierowcą. — Kolejny podrzut i chwyt w powietrzu. — Detektyw Reynolds zaoferował, że może tam pojechać, ale nie wszyscy chcieli się z tym zgodzić, więc... — Dopiero teraz zauważył wbity w siebie wzrok Clarke i głos zamarł mu w gardle. — Powinienem być od razu to pani powiedzieć...

— Powinieneś być — burknęła ze złością. — Posterunkowy Goodyear odprowadzi pana do wyjścia — dodała, kierując wzrok na Grimma. — Jeszcze raz dziękuję za przyjście.

Ruszyła do wyjścia i zbiegła schodami na parking, następnie wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i wyjechała na ulicę. Chciałaby spytać Starra, dlaczego nic jej nie powiedział... dlaczego z nią tego nie skonsultował. Dlaczego powierzył zadanie komuś innemu, i to w dodatku Reynoldsowi! Czy dlatego, że wyszła z biura bez powiadomienia go? Czy chciał jej dać do zrozumienia, że na przyszłość ma pilnować swojego miejsca w szeregu?

Tak naprawdę chciałyby detektywa inspektora Starra zapytać o wiele różnych rzeczy.

Na końcu Leith Street skręciła w lewo, jeszcze raz ostro w lewo na North Bridge, potem prosto przez Tron. Skręciła w prawo w Blair Street i ponownie przejechała koło mieszkania Nancy Sieve-wright. Jeśli Talking Heads naprawdę uważają Londyn za „małe

miasto”, powinni przyjechać do Edynburga. Od wyruszenia z Gayfield Square minęło nie więcej niż osiem minut, a już wjeżdżała na parking miejskiej kostnicy, na której stał samochód Reynoldsa. Była ciekawa, czy pobiła jego wynik. Na parkingu stał też inny samochód — duży czarny mercedes, zaparkowany między dwoma nieoznakowanymi białymi transitami kostnicy. Clarke przeszła obok, skierowała się do wejścia oznaczonego „Tylko dla persone-lu” i weszła do środka. Korytarz i służbówka były puste, choć z dzióbka czajnika dobywał się obłoczek pary świadczący o tym, że przed chwilą ktoś gotował w nim wodę. Przeszła przez pomieszczenie zaplecza i po otwarciu następnych drzwi znalazła się w kolejnym korytarzu, którym dotarła do schodów. Weszła nimi na górę i wkroczyła do poczekalni, do której wchodziło się głównym wejściem dla odwiedzających. Tu zbierali się ludzie przybyli w celu identyfikacji zwłok swych bliskich i tu mieściło się biuro wystawiające niezbędne dokumenty. Zazwyczaj panowała tu głucho, posępna cisza, przerywana tylko tłumionym szlochem. Dziś jednak było inaczej.

Bez trudu rozpoznała Nikołaja Stachowa. Był ubrany w ten sam długi czarny płaszcz, w którym przyszedł za pierwszym razem. Obok niego stał drugi mężczyzna — z wyglądu też Rosjanin, ale o jakieś pięć lat młodszy i dobre dziesięć centymetrów wyższy i szerszy w barach. Stachow przemawiał po angielsku do Starra, który stał z uniesionymi rękami i lekko rozstawionymi nogami, jakby szykował się do bójki. Obok niego Clarke dostrzegła Reynoldsa, z tyłu za nimi czterech pracowników kostnicy.

— Mamy do tego prawo — mówił Stachow. — Prawo konstytucyjne... prawo moralne.

— Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa — upierał się Starr. — Ciało musi tu pozostać, bo możemy potrzebować dalszych badań.

Stachow spojrział w bok i dostrzegł Clarke.

— Proszę nam pomóc — powiedział. Clarke zrobiła parę kroków do przodu.

— A w czym problem?

Starr obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem.

— Konsulat chce przejąć zwłoki Todorowa i wywieźć z kraju — burknął.

— Aleksandrowi należy się pochówek w ojczystej ziemi — rzekł z naciskiem Stachow.

— Czy jest w tej sprawie jakiś zapis w jego testamencie? — spytała Clarke.

— To nie ma znaczenia. Jego żona jest pochowana w Moskwie...

— A właśnie, już dawno chciałam o to spytać — przerwała mu Clarke.

Stachow cały zwrócił się ku niej, co wyraźnie zirytowało Starra.

— Co właściwie stało się z jego żoną?

— Zmarła na raka — odparł Stachow. — Mogli ją operować, ale wtedy straciłaby dziecko, które nosiła. Postanowiła donosić ciążę. — Stachow wzruszył ramionami. — Dziecko i tak urodziło się martwe, ale jej zostało już wtedy tylko parę dni życia.

Po słowach Stachowa w poczekalni zapadła głucha cisza. Clarke w milczeniu pokiwała głową.

— Ale skąd to nagłe przyspieszenie, proszę pana? Aleksander zmarł osiem dni temu... Dlaczego czekaliście z tym aż do teraz?

— Aby uszanować jego międzynarodowy status, chcemy jak najszybciej przewieźć jego zwłoki do kraju.

— Nie sądziłam, że Rosja tak wysoko ocenia jego status. Czy to nie pan powiedział, że w dzisiejszej Rosji Nagroda Nobla nie cieszy się zbyt dużym szacunkiem?

— Rządy czasami zmieniają stanowisko.

— Czyli działa pan na rozkaz Kremla?

Wzrok Stachowa pozostawał nieprzenikniony.

— Zmarły nie miał najbliższej rodziny i państwo przejęło na siebie ten obowiązek. Zostałem oficjalnie upoważniony do odebrania jego zwłok.

— Ale my nie jesteśmy upoważnieni do ich wydania — wtrącił Starr. Obszedł Clarke i ustawił się tak, by znaleźć się na linii wzroku Stachowa. — Jest pan dyplomatą więc musi pan wiedzieć, że obowiązuje protokół.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć to, że ciało denata zostanie tu do chwili, aż sąd zadecyduje o jego wydaniu.

— To skandal. — Stachow zaczął wygładzać sobie rękawy płaszcza. — Nie wyobrażam sobie, żeby tego rodzaju sprawę udało się ukryć przed opinią publiczną.

— To proszę iść na skargę do gazet — burknął Starr. — Zobaczmy, dokąd to pana zaprowadzi...

— Niech pan rozpocznie oficjalną procedurę — poradziła Clarke. — Nic więcej nie może pan teraz zrobić.

Stachow spojrział na nią, wolno pokiwał głową i bez słowa ruszył do wyjścia, w ślad za nim podążył jego kierowca. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Starr chwycił Clarke za rękę.

— Skąd ty się tu wzięłaś? — syknął.

— Jestem tam, gdzie powinnam być od początku — mruknęła, wrywając rękę z jego uścisku.

— Zostawiłem na twojej głowie całe Gayfield Square.

— Wyszedłeś bez słowa.

Widać Starr uznał, że nie może tego wygrać, bo popatrzył po twarzach słuchających rozmowy i jego głos złagodniał.

— Porozmawiajmy o tym kiedy indziej — powiedział pojednawczo.

Clarke już wcześniej zdecydowała, że nie będzie się upierać przy swoim, postanowiła mu jednak dać nauczkę i przez chwilę milczała, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Dobrze — przystała w końcu.

Starr kiwnął głową i zwrócił się do pielęgniarki.

— Słusznie postąpiliście, dzwoniąc do nas — pochwalił ich. — Gdyby jeszcze czegoś próbowali, wiecie, gdzie nas szukać.

— Myśli pan, że będą go chcieli wykraść w nocy? — odezwał się któryś.

— Od ostatniego takiego numeru trochę już minęło, co nie, Davie? — zachichotał inny.

Clarke uznała, że lepiej nie pytać o szczegóły.

Zebrali się wokół stołu w tylnej salce baru Oxford. Wcześniej dano cynk, że Rebusowi zależy na zachowaniu poufności spotkania, dzięki czemu byli jedynymi gośćmi w tej części pubu, ale i tak rozmawiali półgłosem. Rebus zaczął od wyjaśnienia okoliczności swego zawieszenia i uprzedził, że przebywanie w jego towarzystwie może być dla obecnych niebezpieczne. Clarke w milczeniu sączyła sam tonik bez ginu, Colin Tibbet czekał na stanowisko Phyllidy Hawes.

— Jeśli mam wybierać między tobą a Starrem, to nie ma o czym mówić — oświadczyła.

— Nie ma o czym — powtórzył Tibbet, choć z jego tonu wynikało, że chyba nie jest do końca przekonany.

— A co oni mi mogą zrobić? — spytał Todd Goodyear. — Odeślą mnie do służby mundurowej w West Endzie? I tak mnie to czeka. — Spojrzał na Rebusa i uniósł mały kufel w geście toastu.

Potem przystąpili do omówienia wydarzeń dnia. Chcąc podkreślić, że pamięta o swoim zawieszeniu, Rebus starał się zbytnio nie angażować.

— Nadal nie rozmawiałaś jeszcze z Megan Macfarlane ani z Jimem Bakewellem? — zapytał Clarke.

— Byłam zajęta, John.

— Bardzo przepraszam — wtrącił Goodyear szybko, niemal zachłystując się łykiem piwa — ale właśnie przypomniałem sobie, że jak pojechała pani do kostnicy, to zadzwonili z biura Bakewella. Spotkanie jest jutro w południe.

— Dzięki za szybką informację, Todd.

Goodyear się skrzywił, a Hawes zaczęła pospiesznie mówić, jak cieszy ją każda okazja do wymknięcia się z biura.

— Tam nie ma miejsca, żeby się rozprostować — potwierdził Tibbet. — Otworzyłem dziś szufladę w biurku i znalazłem czyjaś niedojejzona kanapka.

— Zaprosili was w banku na lunch? — zapytał Rebus.

— Tak, ale tylko dwie bułeczki z *foie gras* — parsknęła Hawes. — Jeśli mam być szczerą, to ten bank przypomina mi halę produkcyjną. Bardzo nowoczesną i sprawną, ale nadal halę z taśmą produkcyjną.

— Dziesięć miliardów zysku. — Tibbetowi wyraźnie nie mieściło się to w głowie.

— Więcej niż PKB niektórych krajów — dodał Goodyear.

— Miejmy tylko nadzieję, że jeśli ogłosimy niepodległość, to się na nas nie wypną — powiedział Rebus. — Oni plus ich największy konkurent i mamy całkiem niezły start, jak na mały, biedny kraj.

— Myślisz, że Stuart Janney właśnie dlatego łązi za Megan Macfarlane?

— Nacjonalistom na pewno zależy na tym, żeby firmy w rodzaju FAB nagle się nie spakowały i nie wyniosły z kraju. A to daje bankowi uprzywilejowaną pozycję, umożliwia pociąganie za sznurki.

— Nie zauważyłam, żeby od Megan Macfarlane prowadziły jakieś sznurki.

— Ale uosabia sobą przyszłość, prawda? A banki zarabiają prawdziwe pieniądze tylko na długofalowych projektach, czasem nawet bardzo długofalowych. — Rebus się zamyślił. — I pewnie nie oni jedni...

Jego telefon zaczął wibrować i Rebus rzucił okiem na wyświetlacz, numer dzwoniącego jednak był mu zupełnie nieznanym. Otworzył klapkę.

— Halo?

— Wypłosz... — usłyszał nadane mu przez Cafferty'ego wiele lat temu przezwisko, którego geneza ginęła w mrokach niepamięci. Zerwał się od stołu i ruszył w stronę głównej sali. Zszedł po paru schodkach, przeszedł obok baru i wyszedł na zewnątrz.

— Zmieniłeś numer — powiedział z pretensją.  
— Zmieniam co parę tygodni. Ale przed przyjaciółmi się nie ukrywam.  
— Miło z twojej strony. — Skorzystał z okazji i zapalił papierosa.  
— Te papierochy kiedyś cię zabiją, zobaczysz.  
— Wszyscy musimy kiedyś wykorkować. — Rebus pamiętał słowa Stone'a o podsłuchu na telefonie Cafferty'ego. Ciekawe, czy to samo dotyczy komórek. Może właśnie dlatego tak często zmienia numer?  
— Chcę się z tobą zobaczyć.  
— Kiedy?  
— Teraz, oczywiście.  
— Jakiś konkretny powód?  
— Po prostu przyjedź nad kanał.  
— Gdzie nad kanał?  
— Przecież wiesz — chrząknął gangster i połączenie zostało przerwane.

Rebus przez chwilę wpatrywał się w telefon, potem zamknął klapkę, zszedł na jezdnię i zaczął dumać. O tej porze nie powinno być problemu — ruch był na tyle mały, że jeśli na Young Street pojawią się jakieś samochody, od razu to usłyszy. Palił w zamysleniu, stojąc twarzą do Charlotte Square. Jeden z bywalców baru poinformował go, że znajdujący się u wylotu ulicy okazały budynki z czasów króla Jerzego stanowią rezydencję pierwszego ministra. Ciekaw był, jakie myśli przychodzą do głowy przywódcy kraju na widok palącej hałastry pod barem Oxford...

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Siobhan Clarke, zmagając się z rękawami swego płaszcza. Zza jej pleców wychynął Todd Goodyear, dla którego jedno małe piwo najwyraźniej stanowiło wieczorną miarę.

— Dzwonił Cafferty — powiedział Rebus. — Chce się ze mną zobaczyć. A wy gdzie się wybieracie?

— Jestem umówiony z dziewczyną — odrzekł Goodyear. — Wybieramy się na oglądanie świątecznych iluminacji.

— Przecież jest dopiero listopad.

— Włączyli je dziś o szóstej wieczorem.

— A ja chyba pójdę do domu — dodała Clarke.

Rebus pogroził im palcem.  
— Nie powinniście tak razem wychodzić z pubu. Ludzie zaczną gadać.  
— A czego Cafferty chce od ciebie? — spytała Clarke.  
— Nie powiedział.  
— I co, pójdziesz?  
— Nie widzę powodu, żeby nie pójść.  
— A gdzie to spotkanie? Mam nadzieję, że przynajmniej w jakimś dobrze oświetlonym miejscu.  
— Nad kanałem, koło winiarni nad zalewem przy Fountain-bridge... A co z Phyl i Colem?  
— Wybierają się do Princess Street Gardens — odrzekł Goodyear. — Diabelski młyn i lodowisko już działają.  
— A co, chcesz może wsparcie? — spytała.  
Mina Rebusa wystarczyła za odpowiedź.  
— No to... — Goodyear spojrział w niebo i podniósł kołnierz — do zobaczenia rano...  
— Tylko uważaj na siebie — rzucił Rebus, patrząc za oddalającym się młodzieńcem. — W porządku chłopak, nie uważasz?  
Ale Clarke nie pozwoliła się spławić.  
— Nie możesz iść sam na spotkanie z Caffertym.  
— Nie będzie pierwsze.  
— Ale każde może być ostatnie.  
— Jak mnie znajdą w kanale, to przynajmniej będziesz wiedziała, kogo wziąć za dupę.  
— Ani mi się waż tak żartować!  
Położył jej dłoń na ramieniu.  
— Siobhan, nie przejmuj się. Może się jednak okazać, że w tym miodzie pływa jakaś mucha. Mogą go mieć na oku ci z SAZ.  
— Kto?  
— Nadziałem się na nich wczoraj w nocy. — Widząc jej minę, zabrał dłoń i machnął nią uspokajająco. — Później ci to wyjaśnię. Chodzi o to, że chcą, żebym się trzymał z daleka.  
— No to powinienes ich posłuchać.  
— Absolutnie. — Kiwnął głową i wręczył jej wizytówkę Stone'a. — Ja zaś bym chciał, żebyś zadzwoniła do tego Stone'a i przekazała mu, że inspektor Rebus ma do niego pilną sprawę.



— Co?  
— Tylko zadzwoń z Ox. Nie chcę, żeby namierzyli twoją komórkę. Nie przedstawiaj się i powiedz tylko, że Rebus chce się spotkać na stacji benzynowej. Potem od razu się rozłącz.  
— Rany boskie, John... — Spojrzała na wizytówkę.  
— Spokojnie, jeszcze czterdzieści osiem godzin i będziesz mnie miała z głowy.  
— Zawiesili cię, ale ja cię wciąż mam na głowie.  
— Jak kołtun, którego nie możesz rozczesać, co? — powiedział z uśmiechem.  
— Już prędej jak zepsuta lokówkę — burknęła, ale posłusznie zawróciła i poszła zadzwonić.



— Coś długo ci to zajęło — powiedział Cafferty zamiast powitania. Stał na tym samym mostku nad kanałem, ręce trzymał w kieszeniach płaszcz z wielbłądziej wełny.  
— Gdzie twój samochód? — spytał Rebus, rozglądając się po pustym placyku.  
— Przyszedłem pieszo. To tylko dziesięć minut spacerem.  
— Bez ochroniarza?  
— Nie jest mi potrzebny.  
Rebus zapalił kolejnego papierosa.  
— Więc wiedziałeś, że tamtej nocy tu byłem?  
— Rozpoznał cię kierowca Siergieja. — Ten, który go sztyletował wzrokiem w hotelowym holu. — Pojechałeś za nami aż do Granton?  
— Miły wieczór na przejażdżkę. — Rebus spróbował dmuchnąć dymem w twarz Cafferty'ego, ale przeszkodził mu w tym wiatr.  
— Wszystko jest legalne, więc możesz sobie jeździć za nami, ile chcesz.  
— Dzięki za pozwolenie, skorzystam.  
— Wszystko sprowadza się do tego, że Siergiej jest zachwycony Szkocją. Jego ojciec czytywał mu *Wyspę skarbów* i musiałem go nawet zawieźć do Queen Street Gardens. Podobno nad tamtejszym stawem Robert Louis Stevenson wpadł na pomysł powieści.

— Fascynujące. — Rebus spojrział na lśniąca w światłach wodę w kanale. Jej głębokość zapewne nie przekraczała metra, ale widywał tu już topielców.

— Rozważa przeniesienie tutaj swoich interesów — powiedział Cafferty.

— Nie wiedziałem, że mamy aż tyle kopalń cyny i cynku.

— No to może nie wszystkich.

— Nie bardzo to rozumiem. Może myśli, że nie mamy podpisanej z Rosją umowy o ekstradycji?

— A jesteś pewien, że mamy? — Cafferty uśmiechnął się wyzywająco. — Za to na pewno mamy zwyczaj udzielania azylu zbiegom politycznym, czyż nie?

— Tylko nie wiem, czy ten twój koleżka się kwalifikuje. — Cafferty znów się uśmiechnął. — A skoro o nim mowa. Pamiętasz tamten wieczór w barze hotelowym, najpierw w towarzystwie Todorowa, potem Andropowa i ministra Bakewella... O co w tym wszystkim chodziło?

— Myślałem, że już to wyjaśniłem. Nawet nie wiedziałem, komu stawiam drinka.

— I nie wiedziałeś też, że Todorow i Andropow byli rówieśnikami i razem dorastali?

— Nie.

Rebus strzasnął popiół, który natychmiast rozwiął się na wietrze.

— To o czym rozmawialiście z panem ministrem rozwoju gospodarczego?

— Założę się, że o to samo pytałeś Siergieja.

— I jak myślisz, co mi odpowiedział?

— Pewnie ci powiedział, że rozmawialiśmy o rozwoju gospodarczym. I tak się składa, że to prawda.

— Coś mi się zdaje, że interesują cię duże nieruchomości w mieście. Andropow daje pieniądze, a ty odgrywasz rolę pośrednika, tak?

— Wszystko całkowicie zgodnie z prawem.

— A on zna twoją reputację właściciela nieruchomości? Wie o twoich zatłoczonych mieszkaniach, w których ignoruje się przepisy przeciwpożarowe i zabiera lokatorom zasilek...?

— Naprawdę szukasz po omacku, czego by się czepić. Zupelnie jakbyś tkwił tam na dole. — Cafferty wyciągnął palec w stronę kanału.

— Mieszkanie przy Blair Street, wynajmowane przez Nancy Sievewright i Eddiego Gentry'ego, należy do ciebie. — Rebus dopiero teraz uzmysłowił sobie, że dwoje lokatorów w mieszkaniu było jak na Cafferty'ego i jego przeludnione nory czymś niezwykłym. — Nancy przyjaźni się z Solem Goodyearem — ciągnął. — Przyjaźni do tego stopnia, że to on dostarcza jej prochy. I tak się dziwnie składa, że tego samego wieczoru, kiedy Sola dźgają nożem na Haymarket, parę kroków od jego mieszkania Nancy potyka się o zwłoki Todorowa. — Rebus zbliżył twarz do twarzy gangstera. — Kapujesz, do czego zmierzam? — syknął.

— Właśnie nie bardzo.

— A teraz jeszcze ludzie z konsulatu chcą wywieźć Todorowa do Rosji.

— Co do szukania po omacku, Rebus, to jest tego tyle, że zaczynam się już gubić.

— Niczego nie muszę szukać, Cafferty, bo trzymam w ręku sznury. Możesz zgadywać, wokół czyjej szyi się zaciskają.

— Spokojnie. Ale skoro tak ci dobrze idzie z metaforami, może powinieneś pomyśleć, żeby samemu zacząć pisać poezje.

— Niestety, problem w tym, że jedyne, co mi się rymuje z nazwiskiem Cafferty, to „kryminalista” i „łajdak”.

Gangster odstąpił w uśmiechu swe kosztowne uzębienie, wciągnął powietrze nosem i ruszył w stronę przeciwległego brzegu.

— Niedaleko stąd spędziłem dzieciństwo, wiedziałeś o tym? — powiedział.

— Myślałem, że w Craigmillar.

— Ale w Gorgie miałem ciotkę i wujka. Opiekowali się mną, kiedy mama była w pracy. Tata się zmył na miesiąc przed moim urodzeniem. — Spojrzył na Rebusa. — Ty się chyba nie chowałeś w mieście, co?

— W Fife — odrzekł Rebus.

— No to nie pamiętasz tutejszej rzeźni. Czasami zdarzało się, że bykowi udawało się uciec. Wyły wtedy syreny i dzieciaki zagania-no do domów. Musieliśmy czekać, aż ściagną specjalnego snajpera.

Pamiętam, jak któregoś razu siedziałem w oknie i wszystko widziałem. Rozjuszoną bestię, toczącą pianę i buchającą parą z nozdrzy, której zapachniała pieprzona wolność i która zaczęła szaleć. — Zamilkł na chwilę. — Trwało to do chwili, gdy snajper przykleknął na jedno kolano, wycelował i strzelił jej prosto w łeb. Nogi się pod nią ugięły, ślepi straciły blask. Przez pewien czas odnosiłem to do siebie, ostatniego wolnego byka.

— Ta bycza dzikość została ci do dziś — mruknął Rebus.

— Powiem ci — rzekł Cafferty, uśmiechając się niemal ze smutkiem — że teraz chyba bardziej ty do tego pasujesz. To ty się wściekasz, parskasz i szalejesz, bo nie możesz się pogodzić z myślą, że wszystko, co robię, jest zgodne z prawem.

— Bo na myśli się to kończy. — Zamilkł i pstryknął niedopałek papierosa do wody. — Po jaką cholere mnie tu ściągnąłeś, Cafferty?

Gangster wzruszył ramionami.

— Ostatnio nie mamy zbyt wielu okazji do takich spokojnych pogawędek. A kiedy Siergiej mi powiedział, że tamtej nocy nas śledziłeś... cóż, może po prostu szukałem okazji.

— Jestem wzruszony.

— Mówili w wiadomościach, że do prowadzenia śledztwa ściągnęli inspektora Starra. Ciebie spisali już na straty, co? Na szczęście będziesz miał przyzwoitą emeryturę...

— I w pełni zasłużoną.

— Siobhan będzie miała okazję zabłysnąć.

— Z tobą sobie poradzi.

— Poczekamy, zobaczymy.

— Pod warunkiem że będę miał miejsce tuż przy ringu.

Cafferty przeniósł wzrok na wysoki mur z cegieł, za którym rozciągał się pusty plac.

— Miło się z tobą rozmawia, Rebus. Takie odejście w stronę zachodzącego słońca.

Ale Rebus nie miał zamiaru się poddawać.

— Słyszałeś o tym Litwinience w Londynie? Trzeba uważać, z kim się człowiek zadaje.

— Nikt nie ma zamiaru mnie truć, Rebus. Siergiej i ja myślimy tak samo. Za parę lat Szkocja będzie niepodległym krajem, nie mam

co do tego cienia wątpliwości. Do swojej dyspozycji będzie miała trzydziestoletnie złoża ropy naftowej na Morzu Północnym i Bóg wie jak wielkie pod Atlantykiem. W najgorszym razie trzeba będzie dogadać się z Londynem i zadowolić się osiemdziesięcio- czy dziewięćdziesięcioprocentowym udziałem w złożach. — Cafferty wzruszył obojętnie ramionami. — A wtedy będziemy mogli zająć się wydawaniem kasy na to, co lubimy najbardziej: gorzałę, narkotyki i hazard. W każdym mieście otworzymy superkasyno i będziemy tylko liczyć szmal...

— Kolejna cicha inwazja, co?

— Sowietci zawsze uważali, że to w Szkocji wybuchnie rewolucja. Ale dla ciebie to obojętne. Ty już na dobre będziesz wtedy za burtą.

Cafferty pomachał ręką na pożegnanie i ruszył przed siebie.

Rebus przez chwilę stał nieruchomo. Czuł, że już nic się nie wydarzy, mimo to zwlekał z odejściem. Tamtej nocy Cafferty był jak aktor na scenie, który ma do pomocy rekwizyty — samochód i kierowcę. Dziś miał do czynienia z zupełnie innym Caffertym, znacznie bardziej refleksyjnym. W szafie Dużego Gera musi być wiele masek... każda na inną okazję. Przez chwilę Rebus zastanawiał się nawet, czy nie zaproponować mu odwiezienia do domu, ale właściwie po kiego diabła miałby to zrobić? Zawrócił i ruszył w stronę samochodu, zatrzymując się po drodze i zapalając kolejnego papierosa. Opowieść gangstera o byku zrobiła na nim wrażenie. Czy tak właśnie odbędzie się jego rozstanie z pracą? Zakosztowanie obcej, niepokojącej i brutalnie krótkiej wolności?

Żadnego Leonarda Cohena po powrocie do domu, upomniał się w myślach. I bez tego masz wystarczająco pośpejny nastrój.



Nastawił sobie Rory'ego Gallaghera: *Big Guns* i *Bad Penny*, *Kickback City* i *Sinnerboy*. Whisky weszła mu gładko — trzy duże porcje mniej więcej pół na pół z wodą. Po Rorym przyszła kolej na Jackiego Levena, potem jeszcze na Page'a i Planta. Pomyślał, czyby nie zadzwonić do Siobhan, ale się powstrzymał. Niech ma chwilę spokoju od udręk nękających Johna Rebusa. Od dawna nic nie jadł, ale nie czuł głodu.

Gdy zadzwonił telefon, musiał spać już blisko od godziny.

Szklanka z whisky wciąż stała na poręczy fotela, a jego dłoń nadal ją obejmowała.

— I nie rozlałeś ani kropli, stary — pogratulował sobie po cichu, sięgając wolną ręką po telefon. — Cześć, Shiv — rzekł, odczytując jej numer na wyświetlaczu. — Sprawdzasz mnie?

— John... — Powiedziała to tak ponurym głosem, jakby coś się stało. Coś bardzo złego.

— Mów — rzucił, wstając z fotela.

— Cafferty jest na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. — Zawiesiła głos i Rebus odruchowo przeczesał sobie włosy palcami wolnej ręki. A potem uprzytomnił sobie, że nie powinien mieć wolnej ręki. Szklanka leżała na wykładzinie, buty miał spryskane whisky.

— Co się stało?

— To ja chcę o to zapytać — prawie krzyknęła. — Co się tam, u diabła, stało nad tym kanałem?

— Nic. Rozmawialiśmy.

— Rozmawialiście?

— Słowo honoru.

— No to musiała to być wyjątkowo ostra rozmowa, skoro leży z pękniętą czaszką, połamanymi kośćmi i mnóstwem innych obrażeń...

Rebus przymknął oczy.

— I znaleziono go nad kanałem?

— A gdzieżby indziej.

— I tam teraz jesteś?

— Shug Davidson był na tyle miły, że mnie zawiadomił.

— Będę tam za pięć minut.

— Nie, nie będziesz... piłeś, John. Po czterech czy pięciu drinkach zawsze zaczynasz mówić przez nos.

— To przyślij po mnie samochód.

— John...

— Przyślij mi ten pierdolony samochód, Siobhan! — Znów przeczesał sobie włosy, chwycił za nie garścią i pociągnął. Ktoś go wyraźnie wrabiał.

— John, zastanów się. Shug nie pozwoli ci się zbliżyć. Z jego punktu widzenia jesteś w tej sprawie podejrzanym. Gdyby dopuścił podejrzanego do miejsca przestępstwa...

Dobrze, w porządku, absolutnie. — Rebus spojrzął na zegarek. — Od naszego rozstania minęły trzy godziny. Kiedy go znalezione?

— Dwie i pół godziny temu.

— To niedobrze. — W głowie mu wirowało. Ruszył w stronę kuchni. Może wiadro wody z kranu pomoże.

— Sprzedałaś Stone'owi kit o tym naszym spotkaniu?

— Tak.

— Cholera.

— Już wrócił i jest tu ze swoim partnerem.

Rebus zacisnął powieki.

— Nie rozmawiaj z nimi.

— Trochę za późno na takie rady. Zjawili się, kiedy rozmawiałam z Shugiem. Stone się przedstawił i może chcesz wiedzieć, jakie były jego pierwsze słowa?

— Coś w rodzaju: „Kurczę, masz głos strasznie podobny do głosu kobiety, która wpuściła mnie w maliny, wysyłając na stację benzynową w Granton”?

— Mniej więcej.

— Musisz im powiedzieć prawdę, Shiv. To ja kazałem ci zadzwonić.

— A ja, dzwoniąc, wykonałam polecenie oficera zawieszzonego w obowiązkach służbowych, o czym doskonale wiedziałam.

— Chryste Panie, przepraszam, Siobhan...

Odkręcona woda z kranu wciąż się lała i w zlewie zebrało się już ze dwadzieścia centymetrów. Rebus wiedział jednak, że można utonąć w jeszcze płytszej wodzie.

Gdy taksówka dowiozła go do mostu Leamington, Siobhan czekała, stojąc z rękami założonymi na piersiach niczym ochroniarz strzegący wejścia do ekskluzywnego klubu.

— Nie wolno ci tam podchodzić — syknęła przez zaciśnięte zęby.

— Wiem — kiwnął głową.

Wokół zebrał się już tłumek przechodniów wracających do domów po wieczornych wyjściach i mieszkańców okolicznych bloków. Jakaś para stojąca na pokładzie zacumowanej łodzi trzymała w dłoniach kubki parującej cieczy.

— Dlaczego masz mokre włosy? — spytała Clarke.

— Nie miałem czasu wysuszyć — odparł. Miał stąd dobry widok i wcale nie musiał podchodzić bliżej. Ekipa techników z latarkami w dłoniach kręciła się po dróźce na drugim brzegu kanału, rozstawiono też lampy łukowe i podłączono do gniazd na stanowiskach przeznaczonych dla cumujących łodzi. Liczna ekipa wykonująca w ciszy i skupieniu swoje zadania. Wokół jednego miejsca zgromadziło się kilka osób.

— To tam go znaleźli? — upewnił się. — Czyli prawie dokładnie tam, gdzie go widziałem po raz ostatni.

— Natknęła się na niego para wracająca do domu. Wezwali pogotowie i jeden z ratowników go rozpoznał. Od razu powiadomiono West End, a Shug uznał, że powinnam o tym wiedzieć.

Kilka osób brodziło po pas w wodzie kanału. Wszyscy byli ubrani w wędkarskie stroje ochronne, łącznie z ceratowymi spodniami na szerokich szelkach.



— Znajdą mojego peta — mruknął Rebus. — Chyba że zniósł go prąd albo połknęła kaczka.

— Fajnie będzie, jak zidentyfikują DNA — powiedziała Clarke.

Odwrócił się do niej i wziął za rękę.

— Przecież się nie zapieram, że tu byłem. Twierdzą tylko, że w chwili naszego rozstania był cały i zdrowy. — Nie podniosła na niego wzroku i puściła rękę. — Nie myśl tego, co myślisz.

— Nie wiesz, co myślę!

Znów odwrócił głowę i spojrzał na Shuga Davidsona, który wydawał właśnie jakieś polecenia swojej ekipie z West Endu. Tuż obok stali pogrążeni w rozmowie Stone i Prosser.

— Lada chwila cię zauważą — ostrzegła Clarke.

Kiwnął głową, cofnął się parę kroków i zagłębił w tłumek gapiów. Clarke ruszyła za nim i oboje przepchnęli się do ostatniego rzędu. Znaleźli się blisko miejsca, gdzie zostawił samochód podczas próby śledzenia Cafferty'ego. W głowie mu huczało.

— Masz może aspirynę? — zapytał.

— Nie.

— Nie szkodzi, wiem, gdzie ją znaleźć.

Dotarło do niej, co ma na myśli.

— Chyba żartujesz? — parsknęła.

— W życiu nie mówiłem bardziej serio.

Przewierciła go wzrokiem, spojrzała w stronę kanału i podjęła decyzję.

— Zawiozę cię — powiedziała. — Mam samochód na Gilmore Place.

W drodze do szpitala Western General prawie nie rozmawiali. Cafferty'ego zabrano tam nie tylko dlatego, że znajdował się bliżej niż lecznica, lecz także dlatego, że szpital specjalizował się w urazach głowy.

— Widziałaś go? — zapytał, gdy dotarli do szpitalnego parkingu.

Clarke potrząsnęła głową.

— Shug był pewien, że dzwoni do mnie z dobrą nowiną.

— Wie, że mam z Caffertyem stare porachunki — pokiwał głową Rebus.

— Ale od razu wyczuł, że coś jest nie tak.

— Powiedziałaś mu, że pojechałem się z nim spotkać? Znow pokręciła głową.

— Nikomu nic nie wspominałam.

— Trzeba było. Tylko w ten sposób możesz uniknąć obryzania przez to szambo. Stone bardzo szybko się zorientuje, co jest grane.

— Poczekaj, jak się dowiedzą, że stamtąd zwiałam. — Znalazła wolne miejsce i zgasiła silnik. Potem obróciła się w fotelu i zajrzała mu w oczy. — No dobra, mów.

Wytrzymał jej spojrzenie.

— Nawet go nie tknąłem.

— O czym rozmawialiście?

— O Andropowie i Bakewellu... o Sievewright i Solu Goodyearze. — O rzeźni i byku postanowił nie wspominać. — Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Omal mu nie zaproponowałem, że go podwiozę do domu.

— Szkoda, że tego nie zrobiłeś — powiedziała to nieco łagodniejszym tonem.

— Czy to znaczy, że mi wierzysz?

— A co mam zrobić? Po wszystkim, co razem przeszliśmy... jeśli miałabym ci teraz nie wierzyć, to co by mi, u diabła, zostało?

— Dziękuję — rzekł cicho i ścisnął jej rękę.

— Ale nadal należy mi się historia twojego zderzenia z SAZPN. — Usunęła dłoń spod jego ręki.

— Prowadzili inwigilację Cafferty'ego, dowiedzieli się, że ja też go obserwuję, i postanowili mnie zniechęcić. — Wzruszył ramionami. — Mniej więcej do tego się to sprowadza.

— A ty w zgodzie ze swoją byczą naturą postąpiłeś dokładnie odwrotnie.

Nagle stanął mu przed oczami ten obraz: wierzgający nogami byk, którego trafia kulka wycelowana między oczy... Otrząsnął się i spojrzął na Clarke.

— Chodźmy zobaczyć, jak to wygląda.



Pierwsze pytanie zadane im w recepcji szpitalnej brzmiało: „Czy państwo są rodziną?”

— To mój brat — oświadczył Rebus i widać to starczyło, bo wpuszczono ich do zupełnie pustej o tej porze poczekalni Usiedli i Rebus wziął do ręki jedno z kolorowych czasopism! Wszystkie strony pełne były plotek o znanych ludziach, ponieważ jednak ten numer pochodził sprzed sześciu miesięcy, istniało duże prawdopodobieństwo, że wielu z nich już się do tej kategorii nie zalicza. Podał gazetę Clarke, ale ta pokręciła przecząco głową.

— Brat? — prychnęła.

Rebus wzruszył tylko ramionami. Jego rodzony brat zmarł półtora roku temu, ale przez te wszystkie lata Rebus poświęcił mu znacznie mniej uwagi niż Cafferty'emu... Pewnie nie tylko uwagi, lecz i czasu.

Rodziny się nie wybiera, pomyślał w duchu, ale można wybierać sobie wrogów.

— A jeśli on umrze? — zastanowiła się Clarke, składając ręce na piersiach. Siedziała osunięta nisko na krześle, z wyciągniętymi przed siebie i skrzyżowanymi w kostkach nogami.

— Aż na tyle szczęścia nie liczę — odparł. Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

— To kto, według ciebie, jest w to zamieszany?

— Myślę, że właściwsza byłaby liczba mnoga.

— Jak bardzo mnoga?

— Zależy, czy się naraził swoim rosyjskim przyjaciółom.

— Andropow?

— Na przykład. Ludzie z SAZ twierdzą, że są bliscy dopadnięcia Cafferty'ego. Może być wielu takich, którzy nie chcą do tego dopuścić.

Przerwał na widok nieprzyzwoicie młodego lekarza w tradycyjnym białym kitlu, który pchnął drzwi wahadłowe i z plikiem kartek w ręce i długopisem w zębach ruszył w ich stronę. Wyjął długopis z ust i wsadził go do kieszonki fartucha.

— Pan jest bratem pacjenta? — Rebus milcząco skinął głową.

— No cóż, panie Cafferty. Chyba nie muszę panu mówić, że natura obdarzyła Morrisa wyjątkowo twardą czaszką.

— Mówimy na niego Ger — powiedział Rebus. — Czasami Duży Ger.

Lekarz zajął do notatek i pokiwał głową.

— Ale czuje się dobrze? — spytała Clarke.

— Daleko mu do tego. Rano zrobimy następną tomografię. Jest

wciąż nieprzytomny, ale mózg wykazuje wystarczającą aktywność dla podtrzymania życia. — Zamilkł, jakby się zastanawiał, ile jeszcze należy im powiedzieć. — Kiedy czaszka doznaje potężnego urazu, mózg automatycznie się wyłącza, jakby chciał się w ten sposób bronić albo przynajmniej ograniczyć pole uszkodzeń. Niekiedy występują problemy z ponownym włączeniem.

— Coś jak zresetowanie zawieszzonego komputera? — podrzuciła Clarke, a lekarz kiwnął głową.

— Jest jeszcze za wcześnie, żeby ocenić rozległość urazu mózgu pani stryja — powiedział. — Na razie nie stwierdziliśmy żadnych zakrzepów, ale więcej będzie wiadomo jutro.

— Nie jest moim stryjem — burknęła, a Rebus poklepał ją po ręce.

— Bardzo się tym przejęła — wyjaśnił. Clarke zabrała rękę, ale jego to nie speszyło. — Czyli dostał silny cios w głowę, tak?

— Dwa albo trzy ciosy — poprawił lekarz.

— Został zaatakowany od tyłu?

Widać było, że lekarz jest coraz bardziej zniecierpliwiony.

— Ciosy zadano mu w tył czaszki, tak.

Rebus spojrzał porozumiewawczo na Clarke. Todorow też otrzymał ciosy w tył głowy — na tyle silne, że pozbawiły go życia.

— Czy moglibyśmy go zobaczyć, panie doktorze?

— Jak już mówiłem, w tej chwili jest nieprzytomny.

— Ale mimo wszystko... — Wyraz zaniepokojenia na twarzy lekarza wcale Rebusa nie zniechęcił. — Czy jest z tym jakiś problem?

— Powiedziano mi, kim jest pan Cafferty... Wiem, że w Edynburgu ma określoną reputację.

— I co z tego?

Lekarz zwilżył językiem spierzchnięte wargi.

— No bo jest pan jego bratem... i tak mnie pan wypytuje. Więc chciałbym usłyszeć zapewnienie, że nie ma pan zamiaru odegrać się na tym, kto tak urządził pana Cafferty'ego. — Uznał, że dobrze będzie podeprzeć się dodatkowym argumentem. — I bez tego mam tu wystarczający tłok — dodał z bładym uśmiechem.

— Chcielibyśmy go tylko zobaczyć, nic więcej. — Rebus klep-  
nął młodzieńca po ramieniu.

— Zobaczę, co się da zrobić. Jak chcecie, to poczekajcie tutaj.

Rebus posłusznie usiadł i odprowadził wzrokiem lekarza, który odwrócił się i zniknął za wahadłowymi drzwiami na oddział. Nie zdążyły jeszcze znieruchomieć, gdy w okrągłym okienku jednej z połówek pojawiła się nowa twarz.

— O Chryste — jęknął Rebus. Drzwi się otworzyły i do pocze-  
kalni wkroczył detektyw inspektor Calum Stone w towarzystwie  
detektywa sierżanta Andy'ego Prossera. — Masz im powiedzieć  
całą prawdę, Shiv. A jeśli nie, ja to zrobię. — Kiwnęła głową, że  
rozumie.

— No proszę — powiedział Stone, podchodząc z rękami w kie-  
szeniach. — I cóż was tu sprowadza, inspektorze Rebus?

— Pewnie to samo co was — odparł Rebus, unosząc się z krze-  
sła.

— Czyli jesteśmy w komplecie — mówił dalej Stone, kołyszac  
się na piętach. — Ty żeby sprawdzić, czy ofiara jeszcze dyszy, my  
żeby się przekonać, czy kilka tysięcy godzin ciężkiej pracy nie  
idzie właśnie na marne.

— Szkoda, że spuściliście go z oka — mruknął Rebus.

Twarcz Stone'a poczerwieniała ze złości.

— Bo to ty chciałeś się nas pozbyć! — Wycelował palec w  
Clarke. — Kazałeś tej swojej panience, żeby nas wysłała do Gran-  
ton.

— Nie zaprzeczam — powiedział cicho Rebus. — Poleciłem  
sierżant Clarke, żeby do ciebie zadzwoniła.

— I po co to zrobiłeś? — warknął Stone, przewiercając Rebusa  
wzrokiem.

— Bo Cafferty chciał się ze mną spotkać. Nie powiedział po co,  
ale nie chciałem, żebyście się wtedy kręcili w pobliżu.

— Dlaczego?

— Bo bym się za wami rozglądał, próbował was wypatrzeć i  
Cafferty mógłby to zauważyć. Jest bardzo czujny.

— Ale nie na tyle czujny, żeby się nie dać napaść — wtrącił  
Prosser.

Trudno było temu zaprzeczyć.

— Powtórzę wam to, co już powiedziałem detektyw sierżant Clarke — ciągnął Rebus. — Gdybym miał zamiar załatwić Cafferty'ego, po co miałbym ją informować o spotkaniu? Albo ktoś mnie wrabia, albo mamy do czynienia z przypadkowym zbiegiem okoliczności.

— Przypadkowy zbieg okoliczności?

— Ktoś i tak miał zamiar go załatwić i tylko przypadkiem się to zbiegło...

Stone zwrócił twarz do swojego partnera.

— Kupujesz coś z tego, Andy? — Prosser wolno pokręcił głową i Stone wrócił wzrokiem do Rebusa. — Andy tego nie kupuje i ja też nie. Chciałeś Cafferty'ego dla siebie. Nie mogłeś się pogodzić z tym, że to my go wykończymy. Twój pożegnalny złoty zegarek jest już na wyciągnięcie ręki, więc uznałeś, że musisz działać. Spotykasz się z nim, żeby porozmawiać, coś się wydarza... i tracisz panowanie nad sobą. Chwilę później on leży bez życia, a ty masz kłopot.

— Tylko że wcale tak nie było.

— A jak?

— Porozmawialiśmy, rozeszliśmy się, wróciłem do domu i już się nie ruszyłem.

— A co on miał takiego pilnego, że musiał się z tobą zobaczyć?

— Właściwie to nic specjalnego.

Prosser ironicznie prychnął, Stone cicho zachichotał.

— Wiesz, co ci powiem, Rebus? Dla ciebie ten kanał nie będzie zwykłym kanałem.

— A czym?

— Strumieniem płynnego gówna! — parsknął triumfalnie Stone.

Rebus popatrzył na Clarke.

— No popatrz! A mówią, że wodewil się już przeżył.

— Nie przeżył się — odparła, tak jak tego oczekiwał — tylko jakoś dziwnie pachnie.

Stone wycelował w nią palec.

— Niech wam się nie zdaje, sierżant Clarke, że ujdzie wam to na sucho!

— Już ci powiedziałem — wtrącił Rebus. — Całą odpowiedzialność biorę na siebie...

— Proszę, proszę — syknął Stone. — Chronienie panienki powinno być twoim najmniejszym zmartwieniem.

— Nie jestem jego panią. — Clarke poczuła, jak czerwienieje jej kark.

— No to jesteś jego bezwolną współniczką, a to wcale nie lepiej.

— Stone — warknął Rebus. — Przysięgam Bogu, że zrobię... — Przerwał, zaciskając obie dłonie w pięści.

— Jedyne, co teraz zrobisz, Rebus, to złożysz zeznanie i będziesz się modlił, żeby się znalazł jakiś zdesperowany adwokat, który podejmie się twojej obrony.

— Calum — powiedział Prosser ostrzegawczo. — Uważaj, bo ten drań się na ciebie rzuci... — Zrobił krok do przodu, jakby chcąc przyjąć pierwszy cios, po czym wszyscy czworo zastygli w bezruchu, bo w tym momencie otworzyły się wahadłowe drzwi i stanęła w nich pielęgniarka. Patrzyła na nich z wyraźną niechęcią, ignorując błagalne spojrzenie Rebusa, którym chciał ją skłonić do milczenia.

— Pan Cafferty? — spytała, kierując wzrok wprost na niego. — Jeśli skończyliście, to mogę pana teraz zaprowadzić do brata...

**DZIEŃ ÓSMY**

**Piątek,**

**24 listopada 2006**



Obudziło go natarczywe brzęczenie domofonu. Przekreślił się na łóżku i spojrzął na budzik — do siódmej brakowało jeszcze paru minut. Za oknem panowała ciemność, a nastawiony na siódmą zegar nie zdążył jeszcze włączyć centralnego ogrzewania. W mieszkaniu było zimno i drepcąc w stronę drzwi wejściowych, czuł ciągnący od podłogi chłód.

— Lepiej, żeby to było coś ważnego — burknął do słuchawki domofonu.

— Zależy, co dla kogo ważne. — Rebus znał ten głos, ale nie potrafił go zidentyfikować. — Otwieraj, John — powiedział głos. — Shug Davidson.

— Wstajesz ze skowronkami, Shug?

— Jeszcze się nie położyłem.

— Trochę wcześniej, jak na towarzyską wizytę.

— Też tak myślę. Więc może byś mnie wpuścił.

Palec Rebusa zawisł nad przyciskiem zwalniającym blokadę drzwi. Detektyw czuł, że nie powinien go naciskać, bo to może spowodować, że jego cały świat się zmieni, i to zapewne nie na lepsze. Ale czy ma jakiś wybór?

Nacisnął przycisk.

Detektyw inspektor Shug Davidson należał do tak zwanych swoich gliniarzy. W policji występowała skłonność do dzielenia wszystkich na dwa obozy: swoich i nie swoich. Davidson dosłużył się paru wrogów i wielu przyjaciół. Był sumiennym realistą, pełnym wyrozumiałości i współczucia dla ludzkich przywar, dziś

jednak patrzył na Rebusa ze zdecydowanie ponurą miną, co tylko częściowo można było tłumaczyć niedospaniem. Nie bez znaczenia był też fakt, że towarzyszył mu umundurowany policjant. Rebus zostawił im otwarte drzwi i wycofał się do sypialni, żeby coś na siebie włożyć. Krzyknął do Davidsona, że może sobie zrobić herbatę, ale obaj przybysze nie ruszyli się z holu i idąc do łazienki, Rebus musiał ich obejść. Czyszcząc zęby, wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze uważniej niż zwykle i nie przestał nawet w trakcie wycierania ust ręcznikiem. Przechodząc przez hol, mruknął: „Buty” i wrócił po nie do sypialni, gdzie leżały porzucone obok krzesła.

— Czy mam rozumieć — stęknął, walcząc ze sznurowadłami — że West End chce skorzystać z moich wybitnych talentów detektywistycznych?

— Stone nam powiedział o twoim spotkaniu z Caffertym — mruknął Davidson. — A Siobhan wspomniała o niedopałku. Ale w kanale znaleźliśmy nie tylko to...

— Tak?

— Znaleźliśmy też plastikowy ochraniacz na but. Wygląda na to, że nogą na nim był ślad krwi.

— Ochraniacz, jakiego używają technicy z kryminalnego?

— Tak, taki, jakiego używają technicy. Ale także my, John.

Rebus pokiwał głową.

— Rzeczywiście, wożę ich trochę w bagażniku.

— Ja swoje trzymam w schowku na rękawiczki.

— To chyba najwłaściwsze miejsce. — Rebus widać uznał, że buty są wreszcie dobrze zawiązane, bo uniósł głowę i spojrzał na Davidsona. — Czy to znaczy, Shug, że jestem podejrzany?

— Myślę, że krótka rozmowa wszystkim nam się przyda.

— Jestem do dyspozycji, inspektorze Davidson.

Rebusowi zostało jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Musiał znaleźć klucze i telefon i wybrać płaszcz, który da się włożyć na marynarkę, ale zaraz potem był już gotów do wyjścia. Zamknął drzwi na klucz i ruszył po schodach za Davidsonem. Pochód zamykał policjant.

— Słyszałeś o tym nieszczęśniku w Londynie? — spytał Davidson.

— O Litwinience?

- Właśnie zmarł. Wykluczili tal jako przyczynę śmierci chociaż nie bardzo wiem, co to może znaczyć...

W samochodzie policjant siadł za kierownicą, obaj detektywi zajęli miejsca z tyłu. Jazda z Marchmont na Torphichen Place zajęła im niecałe dziesięć minut. Poranny szczyt na Melville Drive jeszcze się nie zaczął, w parku The Meadows majaczyły pojedyncze sylwetki miłośników porannego joggingu, których odbłaskowe paski na butach jarzyły się w światłach reflektorów. Na skrzyżowaniu z Tollcross musieli się zatrzymać i poczekać na zmianę świateł, potem jednokierunkowymi uliczkami wydostali się na Fountainbridge i wkrótce przejechali obok winiarni nad kanałowym zalewem. To tu Rebus czekał na wyjście Cafferty'ego i Andropowa i stąd wyruszył za nimi do Granton. Próbował sobie uzmysłować, czy nad kanałem były jakieś kamery monitoringu, uznał jednak, że raczej nie. Mogło zaś coś być na budynku winiarni i to, że tego nie zauważył, jeszcze niczego nie przesądzało. Mało prawdopodobne, by kamery mogły zarejestrować jego kręcenie się w pobliżu, ale nigdy nic nie wiadomo. Po zwodzonym moście Leamington rzadko ktoś przechodził po zmroku, ale niekiedy z niego korzystano. Czasami zbierali się tu uzbrojeni w butelki pijacy; zdarzało się, że przechodzili nim młodzi ludzie w drodze do klubów. Czy ktoś mógł coś zauważyć? Na przykład kogoś uciekającego? No i byli też mieszkańcy bloku przy Leamington Road, gdzie pierwszego wieczoru parkował samochód... Gdyby któryś z nich we właściwym momencie wyjrzał przez okno...

— Myślę, Shug, że ktoś chce mnie zrobić — powiedział Rebus, przyglądając się, jak kierowca pokonuje ciasny łuk Gardner's Crescent i na skrzyżowaniu z Morrison Street włącza lewy kierunkowskaz. Znów wjechali w system jednokierunkowych uliczek, z którego dopiero po paru skrętach w prawo udało się wypłatać i dotrzeć do siedziby komendy Okręgu C.

— Wielu uzna — odezwał się Davidson — że należy mu się medal... znaczy temu, kto załatwił Cafferty'ego. — Przerwał i wlepił wzrok w Rebusa. — Dla porządku chcę zaznaczyć, że ja do nich nie należę.

— Shug, ja tego nie zrobiłem.

— No to nic ci nie grozi, prawda? Jesteśmy obaj gliniarzami i wiemy, że prawda zawsze wychodzi na wierzch...

Po tych słowach zapadło milczenie i chwilę później radiowóz zajechał pod wejście do komendy. Rebus z przyjemnością odnotował, że pod drzwiami nie czekają żadni reporterzy, za to w środku natknął się na Dereka Starra, który stał ze Stone'em, szepcząc mu coś do ucha.

— Dobry dzień na lincz — rzucił w ich stronę Rebus, jednak Davidson się nie zatrzymał, więc nie pozostało mu nic innego jak podążyć za nim.

— *À propos* — rzucił przez ramię Davidson. — Zdaje się, że „skargi” też coś na ciebie mają.

Skargi: wydział spraw wewnętrznych... gliniarze, którzy najbardziej uwielbiają wyzywać się na swoich...

— Podobno parę dni temu cię zawiesili — dodał Davidson — a ty specjalnie się tym nie przejąłeś. — Zatrzymał się przed jednym z pokoi przesłuchań. — Tutaj, John. — Jak zwykle drzwi otwierały się na zewnątrz, co miało uniemożliwić przesłuchiwanemu zabarykadowanie się od środka. Pokój był wyposażony w stół i parę krzeseł, a także dwukasetowy magnetofon i przytwierdzoną nad drzwiami kamerę wideo, której obiektyw zwrócony był w stronę stołu.

— Zakwaterowanie bez zarzutu — mruknął Rebus — ale co ze śniadaniem?

— Może uda mi się zorganizować bułkę z bekonem.

— I brązowym sosem.

— Kawa czy herbata?

— Herbatkę z mleczkiem poproszę, *garçon*. Bez cukru.

— Zobaczę, co się da zrobić. — Davidson wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Rebus usiadł przy stole i oparł głowę na rękę. No i co z tego, że znaleźli ochraniacz buta? Przecież mógł go zgubić ktoś z ich ekipy. A rzekome ślady krwi mogą się okazać plamami rdzy lub od kory. W kanale nie brakuje ani jednego, ani drugiego. Ochraniaczy używają technicy z kryminalnego i śledczy, ale nie oni jedni. Stosuje się je w szpitalach... może też w kostnicy... wszędzie tam, gdzie chodzi o zachowanie sterylności. Pomyślał o zamku w klapie bagażnika saaba, który od dawna domagał się naprawy. Klapę dawało się zatrzasać, ale trzeba się było przy tym namęczyć, za to przy

najmniejszym nacisku łatwo odskakiwała. Cafferty znał jego samochód. Znali go także Stone i Prosser. Czy tamtego dnia pod magistratem mógł go też zauważyć kierowca Andropowa? Nie, bo wtedy korzystali z samochodu Siobhan. Za to saab stał bez dozoru na ulicy, kiedy Rebus poszedł za Caffertym i Andropowem do winiarni... stworzył obu ochroniarzom idealną okazję do wyjęcia z bagażnika wszystkiego, co chcieli. Przecież Cafferty sam potwierdził, że to kierowca Andropowa go rozpoznał... Ochroniacz buta ze śladami krwi. Jakie są szanse na to, żeby mogli go powiązać właśnie z nim? Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć.

— Twoje ostatnie dni w roli gliniarza, John — powiedział do siebie. — Ciesz się nimi...

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła policjantka z polityrenowym kubkiem w dłoni.

— Herbata? — domyślił się, pociągając nosem.

— Skoro pan tak mówi — odparła i się wycofała. Spróbował jeden łyk, skrzywił się, ale postanowił nie grymasić. Po chwili drzwi znów się otworzyły i stanął w nich Davidson z dodatkowym krzesłem w ręce.

— To najdziwniejsza buła z bekonem, jaką w życiu widziałem — zauważył Rebus.

— Kanapki doniosą.

Shug usiadł przy stole i postawił krzesło obok siebie. Potem wyciągnął z kieszeni dwie nowe kasety, rozpieczętował i włożył do magnetofonu.

— Shug, czy potrzebny mi adwokat?

— Jesteś detektywem, więc ty mi powiedz — odrzekł Davidson.

Drzwi raz jeszcze się otworzyły i do pomieszczenia wkroczył detektyw inspektor Calum Stone. W rękę trzymał teczkę z papierami, miał marsową minę.

— To on tu teraz rządzi? — zdziwił się Rebus, patrząc pytająco na Davidsona.

Zamiast niego odpowiedział Stone.

— SAZ ma zawsze pierwszeństwo.

— To nie krępuj się i przejmij też parę spraw ode mnie — mruknął Rebus.

Stone tylko cierpko się uśmiechnął i sięgnął do dokumentów.

Teczka miała ośle uszy, plamy po kawie i sprawiała wrażenie często używanej. Widać posługiwano się nią w miarę uzyskiwania nowych informacji o Caffertym. Jak na ironię, była bliźniaczo podobna do teczki, którą Rebus sam trzymał w domu...

— A zatem, inspektorze Davidson — powiedział Stone. Poprawił na sobie marynarkę, wyciągnął mankiety od koszuli i usadowił się na krześle. — Włączajmy ten magnetofon i zabierajmy się do roboty...

Pół godziny później doniesiono dwie porcje kanapek. Stone wstał od stołu i zaczął krążyć po pokoju. Widać było, że czuje się urażony pominięciem go przy zamówieniu. Bekon był zimny, sos bardziej pomidorowy niż brązowy, ale Rebus i tak rzucił się na jedzenie z ostentacyjnym zapalem.

— Mmm, pyszne — pomrukiwał co jakiś czas, uzupełniając to uwagami w rodzaju: „I do tego z prawdziwym masłem!”. Davidson zaproponował Stone'owi, że się z nim podzieli swoją porcją, ale ten tylko machnął lekceważąco ręką. — Przydałaby się jeszcze jedna herbatka — dodał Rebus, a Davidson z ustami pełnymi jedzenia potakująco kiwnął głową. Doniesiono następne kubki herbaty, Rebus ze smakiem popił ostatnie kęsy bułki, zamaszyście wytarł sobie usta i dopiero wtedy oświadczył, że jest gotów „do drugiej rundy”.

Znów włączono magnetofon i Rebus powrócił do roli obrońcy Siobhan Clarke i jej udziału we wczorajszych wydarzeniach.

— Ona zrobi wszystko, co jej każecie — upierał się Stone.

— Obecny tu inspektor Davidson zapewne potwierdzi, że sierżant Clarke jest bardzo niezależną kobietą... — Zawiesił głos i odczekał, aż Davidson kiwnie głową. — Detektyw inspektor Davidson kiwa głową — powiedział głośno do mikrofonu. Potem potarł palcem grzbiet nosa i oświadczył: — Posłuchajcie mnie, bo to ważne. Nie próbuję niczego przed wami ukrywać. Oświadczam, że wczoraj wieczorem widziałem się z Caffertym. Spotkałem się z nim nad kanałem, ale nie zaatakowałem go.

— Ale przyznajecie, że celowo odciągnęliście funkcjonariuszy SAZ od waszego miejsca spotkania?

— I przyznaję, że było to głupie.

— I to wszystko, co zrobiliście?

— To wszystko, co zrobiłem.

Stone porozumiał się wzrokiem z Davidsonem, potem spojrzął na Rebusa.

— Zatem nie będziecie mieć nic przeciwko wizycie w laboratorium?

Rebus przewiercił go wzrokiem.

— Czy to znaczy, że stawiacie mnie w stan oskarżenia?

— Chcemy tylko, żebyś się poddał badaniu daktyloskopijnemu — wyjaśnił Davidson.

— I badaniu DNA — dodał Stone.

— Tylko w celu eliminacji, John.

— A jeśli odmówię?

— Ale dlaczego ktoś niewinny miałby odmawiać? — zdziwił się Stone. Na jego twarzy znów zagościł złośliwy uśmieszek.

Siobhan Clarke była pewna, że na parkingu policyjnym Gayfield Square nie znajdzie wolnego miejsca, bo dodatkowi śledczy przyjeżdżający do pracy z różnych stron miasta powodowali, że parking był wiecznie zapchany. Z domu do pracy miała tylko pięć minut spacerkiem, jej samochód stał na ulicy w miejscu zarezerwowanym dla mieszkańców, postanowiła więc pójść piechotą. Do torebki wsadziła stary przenośny odtwarzacz kompaktów, który niedawno znalazła pod łóżkiem, pokryty grubą warstwą kurzu. Wymieniła baterie i stwierdziła, że wtyczka słuchawek od jej iPod'a pasuje do gniazdka słuchawkowego. Po drodze wstąpiła do kawiarni przy Brougliton Street i zamówiła kawę na wynos. Miała wrażenie jakby od spotkania z Toddem Goodyearem minęły wieki. Wyglądało na to, że Derek Starr wciąż go jeszcze nie wypatrzył. W wydziale śledczym było mnóstwo nowych twarzy i Todd miał szansę jeszcze przez jakiś czas uchodzić jego uwadze.

Na miejscu stwierdziła, że przy jej biurku już ktoś siedzi. Bez słowa zdjęła z ramienia torebkę i postawiła na podłodze tuż obok swego krzesła, w nadziei że intruz zrozumie aluzję. Był zajęty rozmową przez telefon i nawet nie podniósł na nią wzroku, chwyciła go więc za ucho i pociągnęła. Spojrzał na nią zaskoczony, a ona pokazała mu ręką, że ma się wynosić. Wyraźnie go to nie ucieszyło, ale posłusznie wstał i nie przerywając rozmowy, oddalił się od biurka. Chwilę później stanął przed nią Goodyear z plikiem konspektów z przesłuchanych taśm z obrad Komisji Rewitalizacji Miasta.



— Wygląda, jakby się tu trochę przeluźniło — zauważyła. Przez szybę gabinetu Macrae widać było Starra, który z zapalem referował coś szefowi.

— Bo zabraliśmy dwa pokoje przesłuchań. Jedynekę i dwójkę. Podobno w trójce jest za zimno. — Zamilkł i po chwili dodał: — Co to za historia z Caffertym?

— Słyszałeś od swojej dziewczyny? — Pociągnęła łyk cappuccino.

— Wezwali ją do tej akcji nad kanałem.

— Czyli nici z waszych planów na wieczór.

— Taka praca. — Wzruszył ramionami. — Panią też tam widziała. Jak pani chce to rozegrać?

W pierwszej chwili nie rozumiała pytania, a jego sens dotarł do niej dopiero wówczas, gdy sobie uprzytomniła, że Todd stał z nimi pod pubem i słyszał zapowiedź Rebusa o spotkaniu z Caffertym.

— Jeśli ktoś cię zapyta, niczego nie ukrywaj. Inspektor Rebus na pewno poinformował już o wszystkim prowadzących śledztwo.

Goodyear wyraźnie odetchnął.

— I co, jest podejrzany?

Potrząsnęła głową, choć nie miała wątpliwości, że rozmowa w gabinecie Macrae właśnie tego dotyczy. Gdy Goodyear odszedł, wyjęła z torebki odtwarzacz i włożyła kompakt z szuflady biurka z nagraniem wieczoru poetyckiego Todorowa dla klientów księgarni Word Power. Nałożyła słuchawki, podkreśliła głośność i przyknęła oczy.

Gwar kawiarniany, dochodzący z oddali syk ekspresu do kawy. Riordan musiał siedzieć tuż przy podium, bo słychać było, jak Todorow odchrząkuje, szykując się do recytacji. Ktoś w imieniu księgarni powitał publiczność i wygłosił kilka słów wprowadzenia. Clarke знаła to miejsce. Kawiarnia mieściła się w pobliżu dawnego kina Odeon, ciesząc się popularnością wśród młodzieży studenckiej jako jeden z lokali z wygodnymi siedzeniami i nastrojową muzyką, w których każdy zamawiający coś nieorganicznego lub pozbawionego logo Fairtrade kłuje w oczy. Wprawdzie dla poety nie przewidziano oddzielnego nagłośnienia, ale mikrofon Riordana wystarczająco dobrze ściągał. Gdy w pewnej chwili nagrywający zmienił jego kierunek, wyraźne stały się odgłosy publiczności:

kaślanie, pociąganie nosem, szmery i szepty. Zdawało się, że te przypadkowe dźwięki interesują Riordana równie bardzo, jak główna atrakcja wieczoru. Ale to już wiedziała: facet uwielbiał podsłuchiwać.

Słuchając występu poety, stwierdziła, że jego treść niemal słowo w słowo pokrywa się z prezentacją w Bibliotece Poetyckiej. Rzucił kilka tych samych żarcików, obliczonych na przełamanie lodów, i powtórzył komplement pod adresem Szkotów, których uważał za ludzi pełnych serdeczności. Clarke wyobraziła sobie, że mówi to, wodząc wzrokiem po twarzach słuchaczek i szukając gotowej do okazania mu jeszcze większej serdeczności. W pewnym momencie odbiegł jednak od scenariusza wieczoru w Bibliotece Poetyckiej i oznajmił, że chciałby przeczytać wiersz Roberta Burnsa. Wiersz miał tytuł *Pożegnanie z naszą szkocką sławą* i Todorow przeczytał go po angielsku ze swym silnym rosyjskim akcentem. Przeprosił też słuchaczy za wymawianie słów „w angielskiej, a nie szkockiej manierze”.

*Żegnaj nam, szkocka sławo! Ot,  
Żegnajcie, chwały dawne.  
Swe miano nawet żegna Szkot,  
Tak w dziejach wojen sławne.  
Dziś płynie Sark przez piasków krzem,  
A Tweed ku morskiej wodzie,  
Jedną z angielskich znacząc ziem:  
Taka garstka łajdaków w narodzie!*

[Ze zbioru *Z wierszy szkockich* w przekładzie Stanisława Kryńskiego, wyd. PIW 1956]

Todorow odczytał jeszcze dwie zwrotki, z których każda kończyła się identyczną skargą na „łajdaków w narodzie”. Recytację nagrodzono oklaskami i paroma okrzykami, po czym poeta przeszedł do odczytania kilku wierszy ze zbioru *Astapowo Blues*. Występ zakończył informacją, że egzemplarze jego książki są do nabycia przy wyjściu. Oklaski ucichły i Riordan wmieszał się ze swym mikrofonem w publiczność, jak zwykle podsłuchując prywatne rozmowy.

- I co, masz zamiar kupić?
- Dycha to trochę dużo... zresztą i tak większość już słyszeliśmy.
- Do którego pubu się wybierasz?
- Chyba do Pear Tree.
- I co o tym myślisz?
- Trochę to napuszone.
- Widzimy się w sobotę?
- Zależy od dzieciaków.
- Pada już?
- Zostawiłam w samochodzie psa.

Słychać dzwonek telefonu komórkowego przzerwany w połowie sygnału, bo jego właściciel odbiera...

Mówi chyba po rosyjsku, ale słychać tylko parę słów, bo potem rozmawiający zasłania sobie usta. Czy poeta miał telefon komórkowy i czy to jego głos? O ile Siobhan wiedziała, Todorow nie korzystał z komórki. Zatem ktoś z publiczności...? Tak, bo mikrofon oddala się od rozmawiającego i kieruje na poetę, któremu przedstawicielka księgarni raz jeszcze dziękuje.

— Czy zechce pan później podpisać trochę egzemplarzy...? — słychać jej pytanie.

— Tak, oczywiście. Z przyjemnością.

— A potem zapraszam na drinka do pubu Pear Tree... Na pewno nie skuszę pana kolacją?

— Staram się unikać pokus, moja droga. Dla poety w moim wieku to niezdrowe. — Potem nagle zmienionym tonem. — A, pan Riordan, prawda? Jak poszło nagranie?

— Doskonale, dziękuję.

Przemknęło jej przez głowę, że słucha rozmowy dwóch nieboszczyków, zaraz jednak mikrofon został wyłączony i wszystko ucichło. Minutnik na odtwarzaczu pokazywał, że nagranie trwało niemal godzinę. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że gabinet Macrae jest już pusty, a Starra nie ma nigdzie w pobliżu. Zdjęła słuchawki i rzuciła okiem na wyświetlacz komórki, ale nie było na nim żadnych wiadomości. Zadzwoiła pod numer domowy Rebusa, zgłosiła się jednak tylko jego automatyczna sekretarka. Clarke spróbowała na komórkę, ale też jej nie odebrał. W zamyśleniu wydeła

wargi i postukała w nie aparatem. W tym momencie znów pojawił się przed nią Todd Goodyear.

— Miałem właśnie wiadomość od dziewczyny — oświadczył.

— Przypomnij mi, jak ona ma na imię?

— Sonia.

— I cóż ci Sonia powiedziała?

— W kanale znaleźli ochraniacz na but. Wie pani, taki plastikowy woreczek z gumką wokół kostki.

— Żeby nie zaśmiecać miejsca przestępstwa...

— Nie, nie należał do nikogo z ekipy. Znaleźli na nim ślady krwi, przynajmniej na to wygląda.

— Podejrzewają, że należał do napastnika?

Typowy strój techników dokonujących oględzin miejsca przestępstwa składał się z kombinezonu, czapki, ochraniaczy na obuwie, jednorazowych rękawiczek... wszystko po to, by nie nanieść obcych śladów. Tyle że działało to w obie strony. Wprawdzie śledczy nie zostawiają żadnych śladów ingerujących w obraz miejsca przestępstwa, ale jednocześnie ktoś ubrany w taki strój może podjąć atak bez obaw, że zostaną na nim ślady jego czynu w postaci krwi ofiary, jej włosów czy włókienek ubrania. Potem wystarczy pozbyć się stroju — wyrzucić go albo jeszcze lepiej spalić — i szanse udowodnienia czegokolwiek znacznie maleją.

— Tylko nie myśl tego, co myślisz — powiedziała ostrzegawczo, mimo woli powtarzając słowa, jakich Rebus użył wobec niej. — To nie ma nic wspólnego z inspektorem Rebusem.

— Przecież nie mówię, że ma. — Wyglądał na dotkniętego jej uwagą.

— Co jeszcze ci powiedziała? — spytała, ale wzruszył tylko ramionami.

Clarke pstryknęła palcami, pokazując coś za sobą. Odwróciwszy głowę, Todd zobaczył, że ktoś skorzystał z jego nieobecności i zdążył już zająć jego biurko, więc bez słowa ruszył do boju o swoje miejsce. Clarke zabrała torebkę i płaszcz, zeszła na dół i głównym wyjściem wyszła na Gayfield Square. W zaparkowanym przy chodniku samochodzie siedział Rebus. Popatrzyła na niego z bladym uśmiechem, otworzyła drzwi i wsiadła do środka.

— Masz wyłączony telefon — mruknęła.  
— Jeszcze nie miałem czasu włączyć.  
— Słyszałeś? Znaleźli ochraniacz na but.  
— Shug już mnie w tej sprawie przemaglował — powiedział, wpisując PIN do telefonu. — Włączył do tego Stone'a, żeby mógł się rozkoszować każdą cholerną minutą przesłuchania.  
— I co im powiedziałaś?  
— Prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.  
— Sprawa jest poważna, John.  
— Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Ale prawdziwe problemy zaczną się dopiero wówczas, kiedy powiążą ten ochraniacz z bagażnikiem mojego samochodu.  
— Jeśli? — powtórzyła z naciskiem.  
— Zastanów się, Shiv. Podrzucono go tylko po to, żeby mnie jeszcze bardziej umoczyć w całą sprawę. Zamek w bagażniku od miesiący jest popsuty, a w środku nie mam nic poza odzieżą ochronną.  
— I parą starych traperek — przypomniała.  
— Mhm. I gdyby te buty pasowały im do planu, możesz być pewna, że też by je zabrali.  
— To kim są ci „oni”? Wciąż podejrzewasz Andropowa?  
Rozmasował sobie twarz, co jeszcze bardziej uwydatniło jego przekrwione, mocno podkrążone oczy i siwy jednodniowy zarost.  
— Udowodnienie tego byłoby strasznie trudne — powiedział w zadumie.  
Clarke pokiwała głową i w samochodzie zapadło milczenie. Przerwał je Rebus, pytając, co słyhać w wydziale.  
— Starr i Macrae zaczęli dzień od długiej nasiadówki w cztery oczy.  
— Pewnie jednym z tematów byłem ja.  
— A ja spędziłam poranek na słuchaniu nagrania poprzedniego wieczoru poetyckiego Todorowa.  
— Miło słyszeć, że pracujesz w pocie czoła.  
— Mikrofon Riordana wyłapał trochę rozmów publiczności. Wydaje mi się, że słyhać głos jakiegoś Rosjanina.  
— Oo?  
— Pomyślałam, że zajrzę do Word Power i ich podpytam.

- Podwieźć cię?  
— Pewno.  
— Ale przedtem zrób coś dla mnie. Potrzebne mi jest ostatnie nagranie Todorowa.  
— Po co?  
Opowiedział jej o wizycie u Scarlett Colwell i ostatnim wierszu poety.  
— Widzę, że nie przestajesz się koło niej kręcić.  
— Nie gadaj tyle, tylko idź i przynieś.  
Otworzyła drzwi i się zawahała.  
— Na tym wieczorze dla Word Power Todorow czytał wiersz Burnsa *Pożegnanie z naszą szkocką sławą* — powiedziała.  
— Znam go — pokiwał głową Rebus. — Mówi o Anglikach, którzy nas wykupują. Cały majątek Szkocji poszedł na walkę o tereny w Panamie i wtedy Anglia zaproponowała unię obu krajów.  
— I cóż w tym złego?  
— Wciąż zapominam, że jesteś Angielką... Przestaliśmy być narodem, Siobhan.  
— I staliście się garstką łajdaków?  
— Według Burnsa tak.  
— Coś mi się zdaje, że Todorow był po trosze szkockim nacjonalistą.  
— A może tylko patrzył na nasz kraj przez pryzmat losów swojego... kupiony i sprzedany za złoto, cynę, cynk, gaz...  
— Czyli wracamy do Andropowa? Rebus wzruszył ramionami.  
— Idź już po ten kompakt — mruknął.

Księgarnia była niewielka i wypełniona towaram; Rebus obawiał się, że wystarczy jeden nieostrożny ruch i z pewnością coś przewróci. Kasjerka z nosem wetkniętym w czasopismo „Labirynt” poinformowała ich, że pracuje tu tylko na pół etatu i że nie było jej na wieczorze autorskim Todorowa.

— Ale mamy w sprzedaży kilka jego tytułów — dodała, pokazując ręką.

— Z autografami? — zainteresował się Rebus, rozglądając się po regale. Clarke dała mu kuksańca i spytała, czy tamtego wieczoru były robione zdjęcia. Kobieta przytaknęła i odesłała ich do strony internetowej księgarni.

— Od tego należało zacząć — mruknęła Clarke, patrząc z wyrzutem na Rebusa.

Pod jej domem Rebus oświadczył, że woli zaparkować w drugiej linii, niż jeździć i szukać wolnego miejsca.

— Dawno u ciebie nie byłem — zauważył, podążając za nią wąskim przedpokojem. Jej mieszkanie przypominało jego, tyle że wszystko w nim było mniejsze.

— Nie tylko ty — odparła. — Po prostu rzadko zapraszam gości.

Na dywaniku przed kanapą leżało kilka papierków po czekoladkach, obok stał pusty kieliszek do wina, na kanapie siedział wielki, dostojnie wyglądający pluszowy miś. Rebus wziął go do ręki.

— To oryginalny Steiff [światowej sławy niemiecki producent zabawek pluszowych] — wyjaśniła Clarke. — Mam go od dziecka.

— Ma jakieś imię?

— Ma.

— Powiesz?

— Nie.

Podeszła do stolika pod oknem i włączyła laptopa. Stało przed nim specjalne krzesło wygięte w kształcie litery S, co podobno ma dobrze wpływać na kręgosłup, jednak Clarke usiadła na nim, opierając stopy na podpórce przeznaczonej na kolana. Wyszukanie strony internetowej Word Power zajęło jej kilkanaście sekund. Kliknęła na zakładkę „Ostatnie wydarzenia”, potem na „Fotogalerię” i zaczęła przesuwając po ekranie zamieszczone w niej fotografie. Na jednym ze zdjęć widać było Todorowa na tle publiczności. Słuchacze siedzieli na podłodze i stali oparci o ściany, a ich twarze pełne były uwielbienia.

— Jak mamy poznać, że ktoś tu jest Rosjaninem? — spytał Rebus, pochylając się nad ekranem. — Będzie miał uszankę albo dzidę na niedźwiedzia?

— Właściwie nigdy nie przyjrzelśmy się tej liście.

— Jakiej liście?

— Tej od Stachowa. Wykazowi rosyjskich rezydentów w Edynburgu. Umieścił tam nawet swoje nazwisko, pamiętasz? Ciekawe, czy znajdziemy tam także jego kierowcę? — Postukała palcem w ekran. Widoczna była tylko twarz poety rozpartego na brązowej skórzanej kanapie, przed nim tłoczyli się siedzący na podłodze i kucający słuchacze. Autor zdjęcia nie był zawodowcem i wszyscy mieli czerwone oczy. — Pamiętasz aferę w kostnicy, kiedy Stachow przyjechał po zwłoki Todorowa? Jestem prawie pewna, że był z nim wtedy ten człowiek. — Znowu postukała w ekran.

Rebus nachylił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

— To kierowca Andropowa — rzekł. — Spotkałem się z nim twarzą w twarz w holu hotelu Caledonian.

— Widać pracuje dla dwóch panów, bo kiedy Stachow wsiadł do swojego starego mercedesa, to on usiadł za kierownicą. — Odwróciła twarz i spojrzała na Rebusa. — Myślisz, że będzie chciał z nami porozmawiać?

— Może się powołać na immunitet dyplomatyczny. — Rebus wzruszył ramionami.



— A wtedy w barze też był z Andropowem?  
— Nikt o nim nie wspomniał.  
— Ale mógł czekać w samochodzie. — Clarke spojrzała na zegarek.

— To co dalej? — spytał Rebus.  
— O dwunastej mam spotkanie z posłem Jimem Bakewellem.  
— Gdzie się z nim spotykasz?  
— W budynku parlamentu.  
— Powiedz mu, że chcesz się napić kawy. Usiądę przy sąsiednim stoliku.

— Nie masz nic lepszego do roboty?  
— Na przykład co?  
— Na przykład spróbować się dowiedzieć, kto stoi za napaścią na Cafferty'ego.

— Nie sądzisz, że to się wiąże?

— Tego nie wiemy.

— Ale chętnie bym wypił parlamentarne espresso.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

— No już dobrze, dobrze — zgodziła się. — I któregoś wieczoru naprawdę zaproszę cię do siebie na kolację, przyrzekam.

— Tylko nie zapomnij mnie powiadomić z odpowiednim wyprzedzeniem. Mój terminarz spotkań będzie na pewno pękał w szwach.

— Dla niektórych emerytura stanowi początek nowego życia.

— Mogę cię zapewnić, że nie mam zamiaru siedzieć i kręcić młynka palcami.

Clarke podniosła się z krzesła i przez nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia sekund stała tuż przed nim z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i wzrokiem utkwionym w jego twarzy. Magiczną chwilę pierwszy przerwał Rebus w poczuciu, że właśnie odbyli ze sobą długą rozmowę. Taką, w trakcie której wszelkie słowa są zbędne.

— Chodźmy już — powiedział i uśmiechnął się.



Z samochodu zadzwonili do szpitala z pytaniem o stan Cafferty'ego.

— Jeszcze nie odzyskał przytomności — powiedział Rebus, powtarzając głośno wiadomość. — Będzie miał dziś drugą tomografię i podają mu leki przeciwwzkrzepowe.

— Myślisz, że powinniśmy mu posłać kwiaty?

— Na wieniec jeszcze trochę za wcześnie...

Pojechali na skróty przez Calton Road i zaparkowali na jednej z cichych uliczek przy Abbeyhill. Clarke poprosiła, by poczekał pięć minut, co dało mu okazję do zapalenia papierosa. Wszędzie kręciły się grupki turystów. Niektórzy przyglądali się budynkom parlamentu, większość okazywała jednak żywsze zainteresowanie Pałacem Holyrood po drugiej stronie ulicy. Na twarzach turystów widać było zaskoczenie na widok pionowych bambusów w oknach parlamentu.

— Witajcie w klubie — mruknął pod nosem Rebus. Zgasił niedopałek i ruszył do wejścia. Przed przejściem przez wykrywacz metali opróżnił kieszenie i zapytał strażnika o te pręty bambusowe w oknach.

— Nie mam zielonego pojęcia — odrzekł strażnik.

— Czyli tak jak ja.

Po przejściu przez bramkę zabrał z tacy swoje skarby i ruszył w kierunku baru kawowego. Clarke stała już w kolejce do bufetu i Rebus ustawił się tuż za nią.

— A gdzie Bakewell? — zapytał.

— Już schodzi. Nie jest miłośnikiem kawy, ale go przekonałam, że ja jestem. — Zamówiła cappuccino i sięgnęła po pieniądze.

— Dla mnie może być espresso — powiedział Rebus. — Tylko poproś o podwójne.

— Wypić też mam za ciebie?

— To może być ostatecznie espresso, jakie mi stawiasz — obruszył się.

Znaleźli dwa sąsiednie wolne stoliki i usiedli. W Rebusie to ogromne, dudniące echem pomieszczenie wciąż budziło wątpliwości i gdyby ktoś mu powiedział, że znajduje się w hali dworcowej, bez trudu by mu uwierzył. Nie bardzo umiał dojść, co miało przekazywać to wnętrze. Pamiętał artykuł prasowy sprzed paru lat, którego autor dowodził, że budynek w swym obecnym kształcie jest zbyt monumentalny na aktualną funkcję i że tak naprawdę to „parlament czekający na niepodległość”.

Biorąc pod uwagę to, że autor projektu architektonicznego był Katalończykiem, brzmiało to przekonująco.

— Detektyw sierżant Clarke? — Jim Bakewell uściśnął jej dłoń, a ona spytała, czy może coś dla niego zamówić. — Nie a z tą pani kawą możemy się przenieść do mnie do biura.

— Tak, ale skoro już tu jesteśmy... — Bakewell westchnął, usiadł przy stoliku i poprawił okulary. Ubrany był w tweedową marynarkę i tweedowy krawat do kraciatej koszuli. — To nie potrwa długo — zapewniła go. — Chciałam tylko zadać panu kilka pytań dotyczących Aleksandra Todorowa.

— Bardzo mnie poruszyła wiadomość o jego śmierci — oświadczył Bakewell, nie przestając wyrównywać sobie kantów spodni.

— Wziął pan z nim udział w programie *Question Time*.

— Istotnie.

— Czy mogłabym spytać o pańskie ogólne wrażenie na jego temat?

Patrzył na nią oczami o mlecznoniebieskiej barwie i nim zaczął mówić, kiwnięciem głowy odpowiedział na ukłon przechodzącego obok portiera.

— Dotarłem na miejsce dość późno, bo po drodze utknąłem w korku. Ledwie starczyło czasu na przywitanie się i zaraz nas wprowadzono na salę. Pamiętam, że nie życzył sobie żadnego make-upu. — Zdjął okulary i zaczął przecierać je chusteczką. — Początkowo zachowywał się dość obcesowo, ale gdy tylko włączono kamery, od razu złagodniał. — Włożył okulary i wepchnął chustkę do kieszeni spodni.

— A po programie? — spytała Clarke.

— O ile pamiętam, zaraz się zgubił. Zresztą nikt długo nie zostaje, bo trzeba by wdawać się w głupkowate rozmowy o niczym.

— I bratać się z wrogiem — domyśliła się.

— Coś w tym rodzaju.

— I tym właśnie jest dla pana Megan Macfarlane?

— Megan to urocza kobieta...

— Ale nie wpadacie do siebie na pogawędki?

— Niespecjalnie. — Na twarzy Bakewella pojawił się nikły uśmiešek.

— Pani Macfarlane, jak się zdaje, uważa, że SNP wygra w majowych wyborach.

— Absurd.

— Nie sądzi pan, że Szkocja będzie chciała się odegrać na Blairze za Irak?

— Nie ma w ogóle zapotrzebowania na niepodległość — oświadczył Bakewell ponuro.

— Podobnie jak na brytyjskiego Tridenta.

— W maju laburzyści dobrze sobie poradzą, pani sierżant. Proszę się o nas nie martwić.

Clarke na moment zamilkła, jakby zbierała myśli.

— A to wasze ostatnie spotkanie?

— Nie bardzo rozumiem.

— Tego dnia, kiedy go zabito, Todorow wcześniej wstąpił na drinka do baru w hotelu Caledonian. Pan też tam był, panie pośle.

— Byłem? — Bakewell zmarszczył brwi, jakby próbował sobie przypomnieć.

— Siedział pan w jednej z łóż w towarzystwie pewnego biznesmena, niejakiemu Andropowa.

— To było właśnie wtedy? — Spojrzał pytająco na Clarke, a ta wolno pokiwała głową. — No cóż, wierzę pani na słowo.

— Panowie Andropow i Todorow byli rówieśnikami z jednej dzielnicy Moskwy.

— To dla mnie nowość.

— I w barze nie widział pan Todorowa?

— Nie widziałem.

— Na drinka zaprosił go miejscowy gangster, Morris Gerald Cafferty.

— Pan Cafferty rzeczywiście dosiadł się do naszego stolika, ale nikogo ze sobą nie przyprowadził.

— Znał go pan już wcześniej?

— Nie.

— Ale znał pan jego reputację?

— Wiedziałem, że jest... no cóż, „gangster” to chyba za mocne słowo, pani sierżant. I z tego, co wiem, to człowiek nawrócony. — Polityk zawiesił głos. — Czyżby miała pani dowody na to, że jest inaczej?

— O czym panowie rozmawiali?

— O handlu... o międzynarodowym klimacie dla handlu. — Bakewell wrzucił ramionami. — O niczym szczególnie fascynującym.

— A gdy Cafferty do panów dołączył, nie wspomniał o Todrowie?

— Niczego takiego nie pamiętam.

— O której pan wyszedł z tego baru, panie pośle?

Bakewell wydał policzki, by okazać, ile wysiłku kosztuje go przypomnienie sobie.

— Kwadrans po jedenastej... coś koło tego.

— Andropow i Cafferty jeszcze zostali?

— Tak.

Clarke chwilę się zastanowiła.

— Na ile Cafferty był zaprzyjaźniony z Andropowem?

— Nie umiem powiedzieć.

— Ale to nie było ich pierwsze spotkanie?

— Firma Cafferty'ego reprezentuje interesy Andropowa w pewnych projektach inwestycyjnych.

— Dlaczego wybrał akurat Cafferty'ego?

— Niech go pani sama spyta. — W parsknięciu Bakewella słychać było rosnącą irytację.

— Ale pytam pana, panie pośle.

— Odnoszę wrażenie, panie sierżant, że próbuje mnie pani w coś wrobić, i to w niezbyt subtelny sposób. Jako minister rozwoju gospodarczego mam obowiązek omawiać plany rozwoju z poważnymi inwestorami.

— Zatem towarzyszyli panu pańscy ludzie? — zdziwiła się Clarke. Nie spuszczać wzroku, widziała w jego oczach, jak intensywnie szuka odpowiedzi. — Bo skoro był pan tam oficjalnie, to sądzę, że wspierało pana grono pańskich doradców.

— Spotkanie było nieformalne.

— Czy w pańskiej działalności zawodowej często zdarzają się takie nieformalne spotkania?

Bakewell siedział z rękami wpartymi w kolana, jakby szykował się do kontrataku lub rejterady. Z konieczności podjęcia decyzji wybawiła go Megan Macfarlane, której wołanie do nich dotarło.

— Jim, gdzie ty się podziewasz? — Podeszła bliżej, obrzuciła

spojrzeniem towarzyszkę Bakewella i twarz jej spochmurniała. — A, to pani.

— Magluje mnie w sprawie Todorowa — mruknął Bakewell.  
— Oraz Andropowa.

Macfarlane obrzuciła Clarke wściekłym spojrzeniem i widać było, że już szykuje się do reprimendy, ale Clarke ją ubiegła.

— Świetnie, że panią widzę, pani poseł — powiedziała spokojnie — bo chciałam panią spytać o Charlesa Riordana.

— O kogo?

— Nagrywał obrady pani komisji do programu o parlamencie.

— Ma pani na myśli projekt Roddy'ego Denholma? — W tonie Macfarlane pojawił się cień zainteresowania. — No i co w związku z tym?

— Pan Riordan był zaprzyjaźniony z Aleksandrem Todorowem i obaj teraz nie żyją.

Jeśli Clarke miała nadzieję, że to jej stwierdzenie wystarczy do odwrócenia uwagi Macfarlane, srodze się zawiodła. Kobieta zauważyła Rebusa, wycelowała w niego palec, i warknęła:

— A ten co tu robi?

Bakewell odwrócił głowę, ale twarz mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stoliku nic mu nie mówiła.

— Nic z tego nie rozumiem — bąknął.

— To jej szef— wyjaśniła Macfarlane. — Coś mi się zdaje, Jim, że twoja pogawędka w cztery oczy miała więcej świadków.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Bakewella zamienił się w grymas wściekłości.

— To prawda? — zwrócił się do Clarke.

Macfarlane nie dopuściła jej jednak do głosu. Wyczuła jakąś intrygę i wyraźnie ją to ucieszyło.

— Co więcej, podobno jest zawieszony w obowiązkach aż do odejścia na emeryturę.

— Od kogo to pani słyszała, pani Macfarlane? — odezwał się Rebus.

— Miałam wczoraj spotkanie z pańskim komendantem i w rozmowie padło pańskie nazwisko. — Cmoknęła z udawaną troską. — Pewnie go ta historia zbytnio nie uraduje, co?

— To oburzające — prychnął Bakewell, zrywając się od stolika.

— Jak chcesz, mogę ci dać numer Jamesa Corbyna — Macfarlane machnęła komórką w stronę posła. Obok niej jak spod ziemi wyrósł Roddy Liddle z plikiem teczek z dokumentami

— To oburzające! — powtórzył Bakewell na tyle głośno by kilka głów odwróciło się w ich stronę. Zainteresowanie okazali też dwaj członkowie straży, którzy zdecydowanym krokiem ruszyli w ich stronę.

— To co, idziemy? — zwróciła się Clarke do Rebusa.

W jego filiżance zostało jeszcze pół niedopitego espresso uznał jednak, że zasady dobrego wychowania nie pozwalają mu puścić kobiety samej.

- I co dalej? — spytał Rebus w drodze na Gayfield Square.
- Trzeba chyba pogadać z tym kierowcą Stachowa.
- Myślisz, że konsulat na to pozwoli?
- A masz lepszy pomysł?
- Przyszło mi do głowy, że może byłoby lepiej zgarnąć go z ulicy. — Rebus wzruszył ramionami.
- A jeśli nie mówi po angielsku?
- Myślę, że mówi. — Miał w pamięci scenę nad kanałem: samochody Cafferty'ego i Andropowa i ich kierowcy pogrążeni w rozmowie. — A nawet jeśli nie, to znamy jedną zaprzyjaźnioną tłumaczkę. — Pokazał ręką na tylne siedzenie z leżącym na nim kompaktem dla Colwell. — I będzie miała wobec nas dług wdzięczności.
- Czyli mam go zgarnąć z ulicy i zawieźć na przesłuchanie, tak? — Spojrzała na niego ponuro. — W ile jeszcze kłopotów chcesz mnie wpakować?
- Rebus przejechał skrzyżowanie z Regent Road i wjechał w Royal Terrace.
- A ile jeszcze wytrzymasz? — zapytał.
- Boję się, że już niedużo. Myślisz, że Bakewell poskarży się komendantowi?
- Pewnie tak.
- To pewnie dowiesz mnie do ciebie.
- Rebus spojrział na nią z ukosa.
- Ale byłby ubaw.



— Coś mi się widzi, John, że zaczynasz rozrabiać jak żołnierz przed odejściem do cywila.

Za nimi pojawił się błyskający światłami radiowóz policyjny.

— Chryste, co znowu? — jęknął Rebus. Zjechał na bok przed kolejnym rondem i wysiadł z samochodu.

Policjant zaczął pieczołowicie układać sobie czapkę na głowie. Jego twarz była Rebusowi zupełnie nieznaną.

— Detektyw inspektor Rebus? Mam rozkaz pana dowieźć.

— Dowieźć gdzie?

— Na West End.

— Shug Davidson zorganizował dla mnie przyjęcie-niespodziankę?

— Tego nie wiem.

Policjant mógł nie wiedzieć, ale Rebus wiedział aż za dobrze. Znaleźli coś, w co chcą go ubrać, a bukmacherzy przyjmą zakład milion do jednego, że nie chodzi o medal. Spojrzał na Clarke, która też wysiadła i stała z rękami opartymi o dach. Paru przechodniów zatrzymało się, by się przyjrzeć policji w akcji.

— Weź mój samochód — powiedział. — I dopilnuj, żeby to nagranie dotarło do doktor Colwell.

— A co z tym szoferem?

— O pewnych sprawach będziesz musiała decydować sama.

Rebus zajął miejsce na tylnym siedzeniu radiowozu.

— No to żywo, chłopcy — rzucił. — Nie możemy dopuścić, żeby Shug Davidson na nas czekał.

Na Torphichen Place to jednak nie Davidson na niego czekał. Wprowadzono go do pokoju przesłuchań, gdzie za stołem siedział już detektyw inspektor Calum Stone, w rogu z rękami w kieszeniach stał detektyw sierżant Prosser.

— Czuję się jak gwiazdor z własnym fanklubem — burknął Rebus, siadając naprzeciwko Stone'a.

— Mam dla ciebie nowinę — powiedział Stone. — Na tym ochraniaczu były ślady krwi Cafferty'ego.

— Badanie DNA zwykle trwa dużo dłużej.

— No dobrze, więc krwi tej samej grupy co jego.

— Czuję w twoim głosie jakieś „ale”...

— Brak odcisków możliwych do identyfikacji — przyznał niechętnie Stone.

— Czyli nie możecie udowodnić, że ochraniacz pochodzi z bagażnika mojego samochodu? — Rebus klasnął w dłonie i zaczął wstawać z krzesła. — Miło z waszej strony, że mnie powiadomiliście...

— Siadaj, Rebus.

Rebus chwilę pomyślał i usiadł.

— Cafferty wciąż jest nieprzytomny. Nie nazywają tego jeszcze śpiączką, ale wiem, że na to się zanosi. Lekarze mówią, że już do końca życia może być rośliną. — Zmrużył powieki. — Czyli wygląda na to, że jednak może nam się nie udać pozbawić cię powodu do dumy.

— Wciąż myślicie, że to ja?

— Ja nie myślę! Ja wiem, że to ty.

— I poprosiłem o pomoc sierżant Clarke, bo chciałem, żeby zadzwoniła i odciągnęła cię od miejsca spotkania? — Rebus nie spuszczał wzroku ze Stone'a, który powoli i z namysłem skinął głową.

— Użyłeś stroju ochronnego, aby uniknąć pobrudzenia krwią — warknął Prosser z narożnika. — Wiatr zwiął ochraniacz do kanału, a ty nie mogłeś ryzykować, żeby go szukać.

— Już to wszystko przerobiliśmy! — odwarknął Rebus.

— I niewątpliwie przerobimy jeszcze nie raz — wtrącił Stone — jak tylko zakończymy czynności śledcze.

— Już nie mogę się doczekać. — Tym razem Rebus wstał już na dobre. — To wszystko, co do mnie macie?

Stone skinął głową, odczekał, aż Rebus dotrze do drzwi, i dopiero wtedy wypalił:

— Policjanci, którzy cię tu przywieźli, powiedzieli, że w samochodzie była jakaś kobieta. Domyślam się, że chodzi o sierżant Clarke.

— Oczywiście, że nie.

— Kłamiesz — prychnął Prosser.

— Nadal jesteś zawieszony, Rebus — ciągnął Stone. — Ją też chcesz pociągnąć za sobą?

— To zabawne, bo nie dalej jak pół godziny temu zadała mi to samo pytanie...

Otworzył drzwi i wyszedł, ostatecznie schodząc z linii ognia.



Siobhan Clarke zastała doktor Scarlett Colwell przy komputerze. Jej zdaniem młoda kobieta nieco nadużywała makijażu i bez niego wyglądałaby dużo lepiej. Włosy miała ładne, choć można się było domyślać, że nie są całkowicie wolne od farby.

— Przyniosłam pani kompakt z nagraniem tego wieczoru poezji — oświadczyła, kładąc płytkę na biurku.

— Och, bardzo dziękuję. — Colwell wzięła ją do ręki i zaczęła oglądać.

— Chciałabym też prosić, żeby rzuciła pani na coś okiem.

— Oczywiście.

— Musiałabym skorzystać z pani komputera...

Kobieta gestem ręki zaprosiła ją do biurka. Clarke precyzyjnie się obok niej i usiadła, Colwell stanęła za jej plecami. Siobhan weszła na stronę księgarni Word Power, otworzyła fotogalerię i ściągnęła zdjęcia z wieczoru w kawiarni.

— To zdjęcie — powiedziała, wskazując głową fotografię Todorowa na ścianie. — Czy oprócz tego robiła mu pani jakieś inne?

— Tak, ale były tak niedobre, że je skasowałam. Nie znam się na fotografii.

Clarke kiwnęła głową i dotknęła palcem ekranu.

— Pamięta go pani? — spytała. Colwell przyjrzała się twarzy szofera.

— Tak, pamiętam.

— Ale nie wie pani, kim jest?

— A powinnam?

— Todorow z nim nie rozmawiał?

— Nie wiem. A kto to jest?

— Rosjanin... z ich konsulatu.

Colwell przyjrzała się dokładniej twarzy kierowcy.

— Wie pani — powiedziała — on chyba był też w Bibliotece Poetyckiej.

Clarke spojrzała na nią badawczo.

— Jest pani pewna?

— On i jeszcze ktoś drugi... — Zaczęła kręcić głową. — Choć właściwie to nie jestem taka pewna.

— Proszę się zastanović, nie ma pośpiechu.

Colwell przeczesła sobie włosy palcami obu dłoni i się zamyśliła.

— Naprawdę nie jestem pewna — przyznała po dłuższym namyśle. Odjęła dłonie od głowy i włosy znów opadły jej na twarz. — Niewykluczone, że bezwiednie scałam oba wieczory. Wie pani, co mam na myśli?

— Interpoluje go pani na jednym, wiedząc, że był na drugim.

— Właśnie... Ma pani jeszcze jakieś inne jego zdjęcia?

— Nie, ale zaraz... — Clarke wpisała do wyszukiwarki nazwisko „Nikołaj Stachow”, program go nie odnalazł, opisała więc jego wygląd słowami.

— Z niczym mi się to nie kojarzy — powiedziała Colwell przepraszać.

Clarke podjęła jeszcze jedną próbę i opisała wygląd Andropowa, ale kobieta znów bezradnie rozłożyła ręce. Potem weszła do portalu „Evening News”, wyszukała numer, w którym opisywano wystawną ucztę Rosjan, i pokazała palcem twarz jednego z uczestników.

— Ten wygląda mi znajomo — powiedziała niepewnie Colwell.

— Z Biblioteki Poetyckiej?

Kobieta rozłożyła ręce i głęboko westchnęła. Clarke zapewniła ją, że nie ma się czym przejmować, i zadzwoniła z komórki do Biblioteki Poetyckiej.

— Pani Thomas? — spytała, słysząc kobiecy głos.

— Dziś jej nie ma. Mogę w czymś pomóc?

— Tu detektyw sierżant Clarke. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Aleksandra Todorowa i chciałam ją o coś spytać.

— Została dziś w domu. Ma pani jej numer?

Clarke zanotowała numer, zadzwoniła i zapytała Abigail Thomas, czy ma dostęp do Internetu. Poprowadziła ją najpierw na stronę Word Power, potem do portalu gazety.

— Mm, tak — powiedziała Thomas po chwili zastanowienia.

— Myślę, że obaj tam byli. Siedzieli gdzieś z przodu, chyba w drugim rzędzie.

— Jest pani pewna?— W miarę pewna.  
— Tak dla formalności, pani Thomas... czy tamtego wieczoru nikt nie robił zdjęć?  
— Może po kryjomu, aparatem w telefonie.  
— I w pomieszczeniach biblioteki nie ma kamer przemysłowych?  
— Proszę pani, to jest biblioteka — obruszyła się Thomas.  
— Pomyślałam tylko, że... Bardzo dziękuję za pomoc. — Clarke się rozłączyła.  
— Ale dlaczego to takie ważne? — spytała Colwell, wrywając Clarke z zadumy.  
— Może nie jest — przyznała Clarke. — Ale w dniu zabójstwa Todorow i Andropow przez jakiś czas pili w jednym barze.  
— Sądząc z tego artykułu, ten Andropow to jakiś rekin biznesu.  
— Dorastali w tej samej dzielnicy Moskwy. Inspektor Rebus twierdzi, że się znali.  
— Aha.  
Clarke poczuła, że jej słowa coś w Colwell poruszyły.  
— A o co chodzi? — spytała.  
— Bo to mogłoby co nieco tłumaczyć — zadumała się.  
— Co takiego, pani doktor? Kobieta wzięła do ręki kompakt.  
— Chodzi mi o ten improwizowany wiersz Aleksandra. Podeszła do regału i ukucnęła. Na dolnej półce stało przenośne radio z odtwarzaczem. Umieściła w nim płytkę i nacisnęła klawisz „play”. Z głośników popłynęły gwar rozmów i pokastywanie publiczności.  
— To było gdzieś tak w połowie — wyjaśniła Colwell, naciskając przycisk wyszukiwania. Nagranie dobiegło końca i zapadła cisza. — Zapomniałam, że to wszystko jeden ciąg, bez żadnych przerw — powiedziała przepaszajaco. Wróciła do początku i tym razem użyła funkcji szybkiego przewijania do przodu.  
— Kiedy słuchałam tego po raz pierwszy — wtrąciła Clarke — zauważyłam, że niektóre wiersze czytał po angielsku, inne po rosyjsku.

— Ten jego nowy wiersz jest tylko po rosyjsku — przytaknęła Colwell. — O, mam.

Podbiegła do biurka po notatnik i długopis i zaczęła w skupieniu coś pisać. Potem poprosiła Clarke o cofnięcie i obie zaczęły od nowa wsłuchiwać się w głos poety. Clarke kilkakrotnie nacisnęła pauzę, widząc, że Colwell nie nadąża z pisaniem.

— Naprawdę potrzebuję więcej czasu — oznajmiła zrezygnowana. — To nie są warunki do przekładania poezji...

— Uznajmy to za pierwszą wersję na brudno — zachęciła ją Clarke. Colwell raz jeszcze przeczesła sobie włosy i wróciła do pracy. Po dwudziestu minutach odłożyła długopis i się wyprostowała. Z głośnika popłynął głos Todorowa, który zapowiadał po angielsku, że następny wiersz pochodzi ze zbioru *Astapowo Blues*.

— Nie wspomniał ani słowem o swoim najnowszym wierszu — zastanowiła się Clarke.

— Nie — potwierdziła Colwell.

— I nawet go nie zapowiedział.

Colwell potrząsnęła głową, co spowodowało, że znów musiała odgarnąć włosy.

— Nie jestem nawet pewna, czy ktoś się zorientował, że czyta coś zupełnie nowego.

— A dlaczego pani sądzi, że to taka nowość?

— W jego mieszkaniu nie było żadnych brudnopisów, a ja dość dobrze znam wszystko, co opublikował.

Clarke pokiwała ze zrozumieniem głową i wyciągnęła rękę.

— Można?

Colwell jakby się zawahała, w końcu jednak podała notatnik.

— To bardzo robocza wersja... nawet nie wiem, gdzie powinny być podziały na wersy...

Clarke pominęła milczeniem jej obiekcje i zaczęła czytać.

Jęzor zimy liże dzieci Żdanowa... Jęzor diabła liże Matkę Rosję, zostawiając jej w ustach posmak szlachetnych metali... Nienasycony apetyt... Chciwe trzewia niezające sytości ani miłości. Żądza dojrzewa po to tylko, by paść łupem zaraży. W gorączce głodu są kąski dla każdego, z nadejściem zimowego mroku pokuta dla każdego... co za banda łotrów w moim kraju.

Clarke przeczytała przekład jeszcze dwukrotnie, potem podniosła wzrok na Colwell.

— To chyba nie najlepsze, nie sądzi pani?

— To pierwsza przymiarka, jeszcze toporna — obruszyła się tłumaczka.

— Nie mam na myśli pani przekładu — zapewniła ją Clarke.

— Ale czuje się w tym złość. — Kiwnęła głową, udobruchana.

Clarke przypomniała sobie słowa profesora Gatesa, które wypowiedział po sekcji: „Czuje się w tym jakąś furię”.

— Tak... I te aluzje do jedzenia...

Colwell od razu skojarzyła.

— Myśli pani o tym artykule? Ale ten artykuł ukazał się już po jego śmierci.

— To prawda, ale samo przyjęcie odbyło się parę dni wcześniej, więc mógł o nim słyszeć.

— Sądzi pani, że wiersz dotyczy tego biznesmena?

— Napisał go na kolanie, żeby mu dopiec. A Andropow zbił fortunę właśnie na „metalach szlachtetnych”, o których wspomina Todorow.

— Czyli to on ma być tym diabłem?

— Nie wygląda pani na zbyt przekonaną.

— Powtarzam, że to bardzo toporny przekład... Niektórych sformułowań tylko się domyślam. Naprawdę muszę jeszcze nad tym posiedzieć.

Clarke pokiwała wolno głową, potem coś sobie nagle przypomniała.

— Czy mogłybyśmy przez chwilę posłuchać czegoś innego?

Znalazła w torebce kompakt i ukłękła przy regale z radiem.

Znowu chwilę potrwało, nim odnalazła interesujący ją fragment. Gwar rozmów publiczności w Word Power i na koniec wychwycony przez mikrofon Riordana głos mężczyzny mówiącego po rosyjsku.

— O, jest — ucieszyła się.

— To tylko parę słów — powiedziała Colwell. — Rozmawia przez telefon. Mówi tylko „halo” i „tak”.

— No cóż, nie zaszkodziło spróbować — westchnęła Clarke, wyjmując kompakt i podnosząc się z kolan. Potem sięgnęła po notatnik z tłumaczeniem. — Czy mogę to zabrać? Pani i tak na pewno będzie chciała zrobić nowy przekład.

- Czy Aleksander i ten biznesmen się nienawidzili?
- Nie jestem tego pewna.
- Ale to mógłby być motyw, prawda? A jeśli potem spotkali się w tym barze...
- Clarke powstrzymała ją, ostrzegawczo unosząc rękę.
- Nie mamy dowodu na to, że się tam w ogóle spotkali. Dlatego byłabym wdzięczna, gdyby zechciała pani zachować te informacje dla siebie, pani doktor. W przeciwnym razie mogłoby to wpłynąć ujemnie na dobro śledztwa.
- Rozumiem. — Colwell pokiwała głową.
- Clarke wydarła z notatnika stroniczkę i złożyła na cztery.
- Na koniec jeszcze jedna uwaga — powiedziała, chowając tłumaczenie. — Ostatnia linijka wiersza to cytat z Roberta Burnsa. Burns w swoim wierszu mówi o „garstce łajdaków w narodzie”... nie o „bandzie łotrów”.



Rebus siedział przy łóżku Morrisa Geralda Cafferty'ego.

Wylegitymował się i zapytał dyżurną pielęgniarkę, czy Cafferty'ego ktoś odwiedzał. Pielęgniarka pokręciła przecząco głową.

Nikt, bo wbrew złośliwościom rzucanym pod adresem Rebusa, Cafferty nie miał żadnych przyjaciół. Żona już nie żyła, syna zamordowano wiele lat temu, a jego wieloletni adiutanci „zniknęli” po serii nieporozumień. Został mu już tylko jeden — mieszkający w ogrodzie ochroniarz, którego główną troską było teraz to, u kogo się upomnieć o najbliższą wypłatę. Zapewne pracował dla niego sztab księgowych i prawników — Stone na pewno będzie umiał do nich dotrzeć — ale tacy ludzie nie mają czasu na chodzenie po szpitalach. Cafferty'ego wciąż trzymano na OIOM-ie, ale z podsłuchanej rozmowy dwóch członków personelu wynikało, że brakuje im tu miejsca, a to mogło znaczyć, że go niedługo przeniosą na zwykłą salę lub — jeśli uda się dobrać do jego funduszy — do separatki. Na razie leżał jednak w płataninie rurek i przewodów i w otoczeniu migocących ekranów. Do głowy miał podłączone sondy mierzące aktywność mózgu, do żyły na ramieniu wkłuto mu wenflon z kroplówką. Był ubrany w coś w rodzaju kaftana osłaniającego klatkę piersiową, jednak Rebus podejrzewał, że jego plecy pozostawały gołe. Ramiona miał odsłonięte i pokrywające je włoski sterczały jak srebrzyste druciki. Rebus wstał z krzesła i nachylił się nad twarzą, ciekaw, czy monitor zarejestruje jakąś reakcję na jego bliskość, ale na ekranie nic nie drgnęło. Podążył wzrokiem za

przewodami ciągnącymi się od ciała Cafferty'ego do urządzeń kontrolnych i dalej do gniazdek zasilających. Lekarz zapewnił go, że pacjent nie jest umierający, co stanowiło dodatkowy powód do zabrania go z OIOM-u. W końcu jak intensywnej opieki potrzebuje roślina? Spojrzał na knykcie i paznokcie palców dłoni, masywne przeguby i pokryte wyschniętym białym naskórkiem łokcie. Cafferty rzeczywiście był zwalistym mężczyzną, tyle że niezbyt umięśnionym. Wokół szyi biegly linie zmarszczek, niczym słoje na świeżo ściętym drzewie. Szczęka zwisała mu bezwładnie, bo w otwartych ustach tkwiła rura, na brodzie widać było smugę zaschniętej śliny. Leżąc tak z zamkniętymi oczami, Cafferty wyglądał całkiem niegroźnie, a żałosne resztki włosów na głowie domagały się umycia. Adnotacje na tabliczce w nogach łóżka nic Rebusowi nie mówiły — poza tym, że w jego oczach równały się zredukowaniu pacjenta do serii liczb i wykresów. Nie miał pojęcia, czy to, że wykres zagina się ku górze, to coś dobrego, czy złego...

— Przebudź się, ty stary draniu. Gra się skończyła — wyszeptał do ucha gangstera. — Nic ci nie pomoże chowanie się w tym twardym czerepie. Ja na ciebie czekam tutaj. — Brak reakcji.

Nic poza chrapliwym rżeniem, które dobywało się z gardła Cafferty'ego w niemal regularnych, trzydziestosekundowych odstępach. Rebus opadł z powrotem na krzesło. Jedna z pielęgniarek spytała go wcześniej, czy jest bratem pacjenta.

— Czy to ważne? — odpowiedział pytaniem.

— No bo jest pan do niego bardzo podobny — parsknęła i odpłynęła.

Warto by mu o tym opowiedzieć, pomyślał detektyw, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, w kieszonce koszuli poczuł gwałtowne wibrowanie. Wyciągnął komórkę i rozejrzał się na boki, czy ktoś nie zaprotestuje.

— Co się dzieje, Shiv?

— Na wieczorze w Bibliotece Poetyckiej był Andropow ze swoim kierowcą. Todorow zaimprovizował wiersz i chyba zaatakował w nim Andropowa.

— Ciekawe.

— Puścili cię na przerwę?

Chwilę trwało, zanim się zorientował, o czym mówi.

— Już mi dali spokój. Na ochraniaczu były ślady krwi tej samej grupy co Cafferty'ego, ale nic więcej.

— To gdzie teraz jesteś?

— Z wizytą u pacjenta.

— Chryste, John, co ty wyprawiasz?

— Nie mam zamiaru dusić go poduszką.

— A co będzie, jak odjedzie w twojej obecności?

— Rozsądna uwaga, sierżant Clarke.

— No to wynoś się stamtąd.

— Gdzie chcesz się spotkać?

— Muszę wracać na Gayfield Square.

— Myślałem, że mamy się zająć szoferem.

— My na pewno nie.

— Chcesz powiedzieć, że włączysz w to Starra?

— Tak.

— Siobhan, on nie zna tej sprawy tak szczegółowo jak my.

— Przecież jak dotąd nie mamy absolutnie nic.

— Nie zgadzam się. Zaczynają się rysować różne układy... Nie mów mi, że tego nie dostrzegasz. — Wstał z krzesła, ale tylko po to, by znów pochylić się nad Caffertym. Któreś z urządzeń głośno zapiszczało i ze słuchawki dobyło się głębokie westchnienie Clarke.

— Wciąż tam przy nim siedzisz — jęknęła.

— Zdawało mi się, że mrugnął powiekami. No to gdzie się spotykamy?

— Najpierw omówię to ze Starrem i Macrae.

— To już lepiej przekaż to Stone'owi. Zapadła chwila ciszy.

— Chyba się przesłyszałam.

— SAZ ma większą siłę przebicia. Sprzedaj mu ten układ między Todorowem a Andropowem.

— Dlaczego?

— Bo to mu może pomóc w dopadnięciu Cafferty'ego. Andropow jest biznesmenem... biznesmeni potrafią negocjować.

— Wiesz przecież, że to jest bez szans.

— To po co ja strzępię język?

— Bo uważasz, że powinnam zaskarbić sobie przychylność Stone'a. Ubzdurał sobie, że pomogłam ci załatwić Cafferty'ego, i

jedynym sposobem na udowodnienie mu, że było inaczej, jest sprzedanie mu tego układu.

— Czasami byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś nie była taką mądrałą. — Zrobił przerwę. — Ale nadal uważam, że powinnaś go w to włączyć. Jeśli konsulat zacznie się powoływać na immunitet dyplomatyczny, SAZ ma większe szanse, żeby się z tym uporać.

— To znaczy?

— To znaczy dojdzie do służb specjalnych i ich agentów.

— Zaczynasz mnie brać na Jamesa Bonda?

— James Bond jest tylko jeden, Shiv — powiedział. Liczył na to, że Clarke się roześmieje, ale się zawiódł.

— Zastanowię się — powiedziała pojednawczym tonem — jeśli ty mi przyrzekniesz, że za pięć minut nie będzie cię już w tym szpitalu.

— Już jestem w drodze do wyjścia — skłamał.

Czuąc suchość w ustach, uznał, że pacjent nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli łyknie jego wody. Na szafce przy łóżku stał przezroczysty plastikowy dzbanek z plastikową szklanką. Wypił dwie pełne szklanki, potem pomyślał, że dobrze byłoby zajrzeć do szafki.

Nie liczył na to, że znajdzie w niej zegarek, klucze i portfel Cafferty'ego, skoro już jednak były, postanowił zajrzeć do portfela. W środku było pięć banknotów dziesięciofuntowych, dwie karty kredytowe i kilka karteczek z numerami telefonów, z których żaden nic Rebusowi nie mówił. Zegarkiem był oczywiście rolex i Rebus zważył go w dłoni, ciekaw, czy nie jest podróbką. Na koniec wziął do ręki pęk kluczy. Było ich aż sześć i Rebus z cichym brzękiem przesunął je między palcami.

Klucze do domu Cafferty'ego.

Nie przestając nimi pobrzękiwać, wlepił wzrok w twarz Dużego Gera.

— Masz coś przeciwko temu? — spytał cicho. Odczekał chwilę, po czym kiwnął głową. — Tak też myślałem.



Szczyście mu dopisywało: nikt nie pomyślał o włączeniu alarmu, a ochroniarza Cafferty'ego nie było w domu. Natychmiast po

otwarciu drzwi Rebus rozejrzał się po kątach pod sufitem w poszukiwaniu kamer. Nie znalazł żadnych i ruszył do salonu. Dom pochodził z epoki wiktoriańskiej i pokój był wysoki z sufitem obwiedzionym bogato zdobionymi sztukateriami. Najwidoczniej Cafferty zaczął kolekcjonować malarstwo, bo ściany pełne były intensywnie kolorowych obrazów, od których aż bolały oczy. Detektyw był ciekaw, czy są wśród nich też dzieła Roddy'ego Denholma. Kotary były zaciągnięte i Rebus nie próbował ich odsłaniać, zapalił za to światło. Telewizor, wieża hi-fi i trzy sofy. Na stoliku z marmurowym blatem leżały jedynie para okularów i kilka starych gazet — właściciel szkielec był zbyt próżny, by ich używać gdziekolwiek poza domowym zaciszem. Na prawo od kominka Rebus dostrzegł drzwi, za którymi znajdował się schowek na butelki tak obszerny, że mieściły się w nim podwójna lodówka, kilka stelaży na wino i półki na wysokoprocentowe alkohole. Detektyw zwalczył w sobie pokusę, zamknął drzwi i wrócił do holu. Inne drzwi prowadziły do ogromnej kuchni, oranżerii ze stołem bilardowym, pralni, łazienki, gabinetu i drugiego, mniejszego saloniku. Zastanowił się, czy gangsterowi naprawdę odpowiada samotne objanie się po tak ogromnym wnętrzu.

— Oczywiście, że tak — odpowiedział sam sobie.

Schody wiodące na górę były szerokie i pokryte dywanową wykładziną. Dwie sypialnie — każda z własną łazienką — i kino domowe z płaskim, czterdziestodwucalowym ekranem plazmowym na ścianie, a także rupieciarnia wypełniona kartonami i pudełkami, w większości pustymi. Na szafce leżały damski kapelusz i kilka albumów z fotografiami, wewnątrz zaś stały buty. Rebus pomyślał, że to pewnie wszystko, co zostało po zmarłej pani domu. Na jednej ze ścian wisiała tarcza do gry w strzałki, wokół było aż gęsto od śladów po niecelnych rzutach. Zapewne od chwili zmiany przeznaczenia tego pomieszczenia nikt już do tej tarczy nie rzucał.

Za ostatnimi drzwiami na końcu korytarza kryły się wąskie kręte schodki prowadzące na poddasze, na którym znajdowały się kolejne dwa pokoje. W jednym stał przykryty pokrowcem stół do snookera, drugi mieścił wypełnioną książkami bibliotekę. Widok stojących pod ścianami regałów był mu znany, bo kupił w IKEA

identyczne. Stało na nich mnóstwo zakurzonych książek, głównie w wydaniu kieszonkowym — sensacyjnych dla pana i romansów dla pani domu. Było też trochę książek dla dzieci, zapewne należących kiedyś do syna Cafferty'ego. Biblioteka wyglądała na rzadko odwiedzaną i podłoga w wielu miejscach skrzypiała. Rebus podejrzewał, że to samo dotyczy całego poddasza.

Wrócił na parter i zajrzał do gabinetu. Pomieszczenie było przestronne, a duże okno wychodziło na ogród za domem. Tu też kotary były zaciągnięte, ale tym razem zaryzykował i lekko je rozchylił, by rzucić okiem na wozownię w głębi ogrodu. Widać było zaparkowane przed nią dwa samochody — bentleya i audi — ale ani śladu ochroniarza. Rebus zasłonił okno i zapalił światło. Na środku stało ogromne antyczne biurko z blatem zarzuconym papierami — z wyglądu głównie rachunkami. Usiadł na skórzanym fotelu i przystąpił do otwierania szuflad. Od razu w pierwszej natknął się na masywny pistolet z wytłoczonym na lufie napisem, chyba po rosyjsku.

— Prezencik od koleżki? — mruknął pod nosem Rebus.

Magazynek był jednak pusty, a detektyw nigdzie w szufladzie nie znalazł amunicji. Rebus już od dawna nie trzymał w ręku broni palnej. Ujął pistolet w dłoń, ocenił wyważenie, potem wytarł go chusteczką i odłożył na miejsce. Kolejna szuflada wypełniona była dokumentacją finansową. Wynikało z niej, że Cafferty ma szesnaście tysięcy na rachunku bieżącym i ćwierć miliona zainwestowane na rynku finansowym. Pakiet posiadanych akcji wart był kolejne sto tysięcy. Rebus nie natknął się nigdzie na dowody spłat hipotecznych, co musiało znaczyć, że dom jest wolny od obciążeń i w całości należy do Cafferty'ego. Taki dom w tej części miasta to co najmniej półtora miliona funtów, pomyślał Rebus. A majątek gangstera zapewne na tym się nie kończył. Stone wspominał coś o firmach wydmuszkach i off-shore'owych holdingach. Do Cafferty'ego należały też bary, kluby i agencje wynajmu lokali, a także hala ze stołami do snookera. Mówiło się również o udziałach w firmie taksówkowej. W rogu pokoju stało coś jeszcze: staromodny sejf z szyfrową tarczą. Sejf nosił ślady długiego użytkowania, a z tabliczki wynikało, że został wyprodukowany w Kentucky. Rebus podszedł bliżej i nacisnął dźwignię, ale jak było do przewidzenia,

drzwiczki nawet nie drgnęły. Jediną kombinacją, która mu przyszła do głowy, była data urodzenia Cafferty'ego: osiemnaście dziesięć czterdzieści sześć. Nastawił ją na tarczy, nacisnął dźwignię i masywne drzwi się otwały.

Rebus uśmiechnął się w duchu. Zupełnie nie wiedział, dlaczego postanowił zapamiętać tę datę, ale najwyraźniej wysiłek się opłacił.

W środku znalazł dwa pudełka amunicji kalibru 9 milimetrów, cztery pokaźne paczki banknotów dwudziesto- i pięćdziesięciofuntowych, księgi handlowe, dyskiety komputerowe i kasetkę z biżuterią — naszyjnikami i kolczykami zmarłej żony Cafferty'ego. Wziął do ręki paszport i zajrzał do środka: żadnych stempli z Rosji. W teczce z dokumentami osobistymi znajdowały się też akt urodzenia Cafferty'ego oraz akty urodzenia i zgonu żony i syna. Ze świadectwa ślubu wynikało, że zawarł go w 1973 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego w Edynburgu. Rebus odłożył teczkę z dokumentami i wziął do ręki dyskietki. Były pozbawione etykiet i nieopisane w żaden sposób. Zresztą w gabinecie i tak nie było komputera... Detektyw uprzytomnił sobie, że nie zauważył komputera w żadnym innym miejscu w domu. Na dnie sejfu leżało niewielkie kartonowe pudełko. Rebus wyjął je i otworzył. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt srebrzystych krążków. W pierwszym odruchu uznał je za kompakty, jednak ustawivszy do światła, odczytał fabryczny opis: DVD-R, 4,7 GB. Rebus nie był zbyt biegły w technice, pomyślał jednak, że czym by te płyty nie były, na pewno da się je odtworzyć na sprzęcie na górze. Nie umieszczono na nich żadnych opisów, jednak oznakowano je barwnymi naklejkami: niektóre zielonymi, inne niebieskimi, jeszcze inne czerwonymi lub żółtymi.

Zamknął sejf, obrócił tarczę i zgasiwszy światło, ruszył na górę z pudełkiem krążków. Okna w salce kina domowego zaopatrzone były w żaluzje, przed ekranem znajdował się rząd odchylanych skórzanych foteli, z tyłu pod ścianą stały dwie dwumiejscowe kanapy. Kucnął przed szafką z aparaturą i wsunął płytkę do odtwarzacza DVD, potem włączył ekran i zasiadł na jednym z foteli. Do uruchomienia całości — ekranu, odtwarzacza i głośników — musiał użyć aż trzech różnych pilotów. Udało się i na ekranie pojawił

się obraz przypominający nagranie z kamery przemysłowej...

Wnętrze jakiegoś pokoju, jakby salonu. Bałagan, podłoga zasłana ciałami. Dwa z nich wstają i trzymając się za ręce, gdzieś odchodzą. Nagła zmiana planu i te same dwie postaci w innym wnętrzu, chyba sypialni. Zaczynają się wzajemnie rozbierać i obmacywać. Para migdałących się nastolatków. Ani ich twarze, ani otoczenie nic Rebusowi nie mówiły — poza tym, że nie działo się to w domu Cafferty'ego. Widoczne na ekranie wnętrza były dużo skromniejsze.

No dobrze, więc gangster gustuje w amatorskim porno... Włączył przesuwanie do przodu, ale na ekranie widać było cały czas tę samą uprawiającą seks parę, którą kamera pokazywała raz od góry, raz z boku. Kolejne cięcie i widać wnętrze łazienki, w której ta sama dziewczyna siedzi na sedesie, potem wchodzi pod prysznic. Dziewczyna jest szczupła, wręcz chuda, i ma sińce na ramionach. Rebus przesunął do przodu, ale na scenie w łazience nagranie się kończyło.

Następna płytka — tym razem z niebieskim znaczkiem, a nie z zielonym jak poprzednia. Inne, ale bardzo podobne wnętrze; inna, ale bardzo podobna zawartość.

— Cafferty, ty zboczony łajdaku — mruknął Rebus.

Wysunął płytkę z odtwarzacza i wybrał inną z oznaczonych na zielono. Te same osoby co na pierwszej. Zaczynała wyłaniać się prawdziwość... Płytką z czerwonym znaczkiem: jeszcze inne wnętrze — tym razem tonąca w narkotykowych oparach komuna. Dziewczyna się kąpie, chłopak w sypialni się onanizuje.

Po płytce z żółtym znaczkiem Rebus nie spodziewał się już żadnych sensacji i nie omylił się. Na ekranie pojawiły się znów podobne pomieszczenia i podobne sceny, ale zjedną zasadniczą różnicą. Tym razem Rebus znał zarówno wnętrze, jak i jego mieszkańców.

Nancy Sievewright, Eddie Gentry i należące do Agencji Wynajmu MGC mieszkanie przy Blair Street.

— No, no — mruknął pod nosem. Na ekranie widać było towarzyską imprezę w dużym pokoju. Młodzi ludzie tańczyli, pili, palili trawkę i dzielili się czymś wyglądającym na kokę. W łazience jakaś para uprawiająca seks oralny, w przedpokoju



nagła szamotanina. Na następnej „zóltej” płytce nagrano towarzyską wizytę Sola Goodyeara, która zakończyła się igraszkami w łóżku Nancy i w ciasnej kabinie prysznicowej. Potem widać, jak po odejściu Sola Nancy rozsiada się w pokoju i robi sobie wielkiego skręta z zostawionego przez niego haszu. Sceny z dużego pokoju, łazienki, jej sypialni, przedpokoju.

— Zewsząd poza kuchnią — uzmysłowił sobie Rebus. — Poza kuchnią i pokojem Gentry'ego... — poprawił się.

Biorąc do ręki ostatnią płytkę, czuł się już tak znużony, jakby oglądał monotony telewizyjny reality show. A właściwie bardziej, bo zabrakło rozbijających monotonię przerw reklamowych. Ostatni dysk był jednak jakiś inny. Nie oznaczono go żadnym kolorem i nagrano z dźwiękiem. Na ekranie widać było pomieszczenie, w którym Rebus właśnie siedział; na fotelach rozsiadła się grupa mężczyzn palących cygara i sączących wino z kryształowych kieliszków. Rozgadanych i roześmianych widzów uczestniczących w seansie kina domowego.

— Kolacja była pyszna — mówił któryś z nich, a inni skwapliwie potwierdzali. Spowite dymem twarze patrzyły prosto w kamerę, a więc... Rebus wstał z fotela i podszedł do ekranu. W ścianie tuż nad jego górnym narożnikiem znajdował się maleńki otworek. Był praktycznie nie do zauważenia, a gdyby nawet, to bez trudu mógł uchodzić za pomyłkę montażysty kina domowego. Rebus przyłożył do niego oko, ale niczego nie zobaczył. Otworzył drzwi w rogu sali i znalazł się w łazience. Na ścianie wielkie lustro i typowa szafka, w środku pusta. Ani śladu kamery czy kabli, i tylko coś w rodzaju wizjera. Przyłożył oko i ujrzał wewnątrz sali kinowej. Utrwalone na DVD miny widzów i robione przez nich komentarze nie zostawiały cienia wątpliwości co do treści oglądanego pokazu.

— Szkoda, że moja żona tego nie robi.

— Może jakbyś ją napoił czymś innym niż chardonnay...

— Pewnie warto spróbować...

— Morris, oni w ogóle nie wiedzą, że ich oglądasz?

— Nie mają pojęcia. — Twarzy Cafferty'ego nie było widać, ale jego pełen dumy głos dochodził gdzieś z głębi sali.

— Czy to nie Chuck Berry narobił sobie smrodu za coś podobnego?

— Roger, to może teraz podrzucisz swojej pani jakieś nowe pomysły?

— Jesteśmy już dwadzieścia parę lat po ślubie, Stuart.

— Czyli rozumiem z tego, że nie podrzucisz...

Rebus ukląkł przy ekranie i wpatrzył się w twarze. Roger i Stuart najpierw obficie ugoszczeni przy stole, teraz z cygarem i kieliszkiem w dłoniach zażywający innego typu gościnności.

Roger Anderson.

Stuart Janney.

Jasne punkty we wszechświecie First Albannach...

— Michael będzie niepokieszony, że go to ominęło — parsknął Janney. Michael, czyli zapewne sir Michael Addison. Tyle że Stuart się mylił. Rebus wysunął płytkę i wrócił do nagrania z imprezy przy Blair Street. Scena seksu oralnego w łazience. Uczestnicząca w niej dziewczyna była aż nadto podobna do Gili Morgan — marzącej o aktorskiej karierze rozpuszczonej pasierbicy sir Michaela Addisona. Ta sama głowa pochylała się wcześniej nad kreską koki w pokoju. Rebus wrócił do nagrania widzów kina domowego. Był ciekaw, czy uda mu się wydedukować, którą z płytek DVD oglądano. Wlepił wzrok w twarze obu bankowców, szukając oznak świadczących o rozpoznaniu pasierbicy szefa. Czy coś takiego mogłoby dać powód do zemsty na Caffertym? Być może. Ale skąd oni się tu w ogóle wzięli? Rebusowi przychodziło do głowy kilka możliwych odpowiedzi. Z dokumentów bankowych wiedział, że Cafferty swoje zamorskie interesy prowadził właśnie przez FAB. Dodatkowo pojawiła się teraz możliwość podrzucenia bankowi nowego bogatego klienta, Siergieja Andropowa. A może obaj mieli zamiar związać się z FAB i zaciągnąć potężny kredyt na sfinansowanie planowanych inwestycji w Edynburgu.

Andropow myślał o emigracji. Chciał się wynieść z Rosji, by uciec przed grozącymi mu tam kłopotami. Może liczył na to, że uda mu się wpłynąć na szkocki parlament, by ten odmówił zgody na jego ekstradycję. A może już próbował wkupić się w łaski przyszłej niepodległej Szkocji. Małego kraju, w którym łatwo wyrosnąć na wielkiego oligarchę...

Z pomocą Cafferty'ego, umiejącego smarować odpowiednie tryby.

Urządzającego wystawne przyjęcia... i potajemnie nagrywającego gości. Dla własnej satysfakcji? Czy po to, żeby ich później szantażować? Pewnie na takich jak Janney czy Anderson nie zrobiłoby to większego wrażenia, ale z tylnego rzędu dobiegi go właśnie jakiś nowy głos. Wyglądało na to, że mówiący jako jedyny z gości siedział z Caffertym na sofie pod ścianą.

— Łazienka? — powiedział głos.

— W korytarzu, po drugiej stronie — odparł gospodarz. Oczywiście! Cafferty nie mógł ryzykować, że któryś z gości natknie się na kamerę w łazience za ścianą.

— Nie odważę się spytać, Jim, w jakim celu się tam udajesz — parsknął Stuart Janney, wywołując rubaszny rechot gości.

— W żadnym zdrożnym, Stuart — odkrzyknął mężczyzna nazywany Jimem, ruszając do drzwi.

Jim Bakewell, minister rozwoju gospodarczego. A więc okłamał Siobhan, zapewniając ją, że wcześniej nie znał Cafferty'ego.

— Spróbuj teraz pójść na skargę do komendanta, ty palancie. — Rebus wycelował palec w Bakewella na ekranie.

Do końca nagrania nic specjalnego się nie działo i po pół godziny oglądania widzowie wyglądali już na znużonych. Było wśród nich jeszcze trzech mężczyzn, których Rebus nigdy wcześniej nie widział. Wszyscy trzej mieli ogorzałe twarze i pokaźne brzuchy i wyglądali na przedsiębiorców. Budowlańcy? Przemysłowcy? Może nawet radni... Rebus pomyślał, że pewnie dałoby się to ustalić, ale musiałby w tym celu zabrać nagranie. Mógł to bez trudu zrobić, nie chciał jednak, żeby się wydało, że coś z domu zniknęło. Gdyby jego odwiedziny wyszły na jaw, obrońcy Cafferty'ego mieliby używanie.

— Tak myślisz, John? Czyli jacy obrońcy? — powiedział na głos.

Bo niby w jakiej sprawie mają go bronić? Podglądania wynajmowanych mieszkań? Małe piwo. Sędzia grodzki najpierw z zainteresowaniem obejrzy nagrania, potem go ukaże jakąś śmieszna grzywną. Rebus sprawdził, czy wszystko dobrze wyłączył i czy zatarł po sobie wszelkie ślady, potem zszedł na dół i włożył do sejfu pudełko z dyskami DVD, z wyjątkiem jednego, który wylądował w jego kieszeni. Przez wyłożony białym marmurem hol dotarł do wyjścia, zamknął za sobą drzwi i zanurzył się

w słodko pachnące powietrze. Będzie musiał podrzucić klucze Cafferty'emu, ale najpierw chciał to wszystko przemyśleć. Z furtki skrzył w lewo, potem jeszcze raz w lewo w stronę Bruntsfield Place, gdzie miał nadzieję znaleźć wolną taksówkę.



Drzwi otworzył Eddie Gentry. Miał jak zwykle umalowane oczy i czerwoną bandanę na głowie.

— Nancy nie ma — burknął.

— Pogodziliście się?

— Dokonaliśmy szczerzej wymiany poglądów.

— Wpuścisz mnie do środka, Eddie? — powiedział Rebus z uśmiechem. — A tak przy okazji: podobał mi się twój kompakt.

Gentry przez chwilę się zastanawiał, potem obrócił się na pięcie i zostawiwszy otwarte drzwi, ruszył w stronę pokoju. Rebus podążył za nim.

— Eddie, oglądałeś kiedyś *Big Brothera*? — spytał Rebus. Wsadził ręce w kieszenie i zaczął krążyć po pokoju.

— Życie jest na to za krótkie.

— To prawda. Wiesz, jak byłem tu pierwszy raz, to czegoś nie zauważyłem.

— Czego?

Rebus spojrział w górę.

— Macie tu podwieszane sufity.

— Taa?

— Założono je, zanim się tu wprowadziliście?

— Pewnie tak.

— Na właściwym suficie mogą być jakieś ozdoby: rozety, sztukaterie... Jak myślisz, dlaczego właściciel chciał je schować?

— Ze względów oszczędnościowych?

— To znaczy?

— No bo jak pokój jest niższy, to łatwiej go ogrzać, nie? — Gentry wzruszył ramionami.

— I we wszystkich pomieszczeniach jest tak samo? Podwieszane sufity?

— Nie jestem architektem.

Rebus przyjrzał się młodzieńcowi, którego usta lekko drgały.

Eddie Gentry wyglądał na speszzonego. Rebus gwizdnął przeciągle.

— Więc ty o tym wiesz, tak? — powiedział. — Od początku wiedziałeś.

— Co wiedziałem?

— Że Cafferty was nagrywa. Że w suficie i ścianach są poutykane kamery. — Wyciągnął ręką w stronę narożnika. — Widzisz ten otvorek? Wygląda, jakby ktoś zaczął wiercić, ale się rozmyślił. — Na twarzy Gentry'ego nie było widać emocji. — W środku tkwi wycelowany w nas obiektyw. Ale sam wiesz najlepiej. Może do twoich obowiązków należy nawet włączanie kamer. — Gentry splótł ręce na piersi. — Ta twoja sesja nagraniowa w CR Studios. Założę się, że musiała nieźle kosztować. To Cafferty ją sfinansował? Należało to do umowy? Trochę kasy w kieszeni... obniżony czynsz... stosunkowo luźno... a za to wszystko miałeś tylko organizować imprezy. — Rebus mówił dalej, jakby głośno myśląc. — Prochy dostarczane przez Sola Goodyeara. Założę się, że też po obniżonej cenie. A wiesz dlaczego?

— Dlaczego?

— Bo Sol też pracuje dla Cafferty'ego. On jako dealer, ty jako alfons...

— Pierdol się.

— Uważaj, synu. — Rebus wyciągnął palec w stronę młodzieńca. — Wiesz, co spotkało Cafferty'ego?

— Słyszałem.

— Może komuś się nie spodobało to, co robi. Pamiętasz tę imprezę, na której była Gili Morgan?

— No i co z tego?

— To jedyne nagranie, jakie z nią macie?

— Nie mam pojęcia. — Rebus spojrzął na niego z niedowierzaniem. — Nigdy nic nie oglądałem.

— Tylko przekazywałeś dalej, tak?

— Chyba nie ma w tym nic złego.

— Nie uważam, żeby osąd należał do ciebie. Nancy też wie?

Gentry potrząsnął głową.

— Tylko ty, tak? Cafferty powiedział ci, że to samo robi w innych mieszkaniach?

— Sam pan wspomniał *Big Brothera*. No to jaka to różnica? Rebus zrobił krok do przodu i stanął tuż przed chłopakiem.

— Różnica jest taka: tamci wiedzą, że są podglądani. Naprawdę nie wiem, który z was jest bardziej obrzydliwy: ty czy Cafferty. On ogląda zupełnie obcych sobie ludzi, ale ty, Eddie, nagrywałeś swoich kumpli.

— I co, może to zakazane?

— Och, jestem pewien, że znajdzie się jakiś paragraf. Ile było tych nagrań?

— Trzy, najwyżej cztery.

Bo potem Cafferty'emu się znudziło i przeniósł się z kamerami do innego miejsca z nowymi mieszkańcami, nowymi twarzami, nowymi ciałami... Rebus wyszedł do przedpokoju i bez trudu odszukał wywiercony otworek. Podobnie w sypialni Nancy: podwieszony sufit i kolejny dyskretny otworek. To samo w łazience. Wrócił do przedpokoju i natknął się na Gentry'ego. Stał pod ścianą ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i wojowniczo wysuniętą brodą.

— Gdzie są te kamery? — spytał Rebus.

— Pan C je zabrał.

— Kiedy?

— Parę tygodni temu. Mówiłem, to było tylko trzy albo cztery razy.

— Nie jest przez to mniej odrażające. Zajrzyjmy do twojego pokoju.

Nie czekając na reakcję, Rebus otworzył drzwi do sypialni Gentry'ego i spytał, gdzie są kable.

— Wychodziły z sufitu i były podłączone do nagrywarki DVD. Ja miałem tylko włączać nagrywanie, jakby się działo coś ciekawego.

— A potem wszystko zostało przeniesione do innego mieszkania, żeby twój gospodarz mógł zabawiać swoich gości nową porcją amatorskiego porno. — Rebus pokręcił głową. — Nie chciałbym być na twoim miejscu, jak się Nancy dowie...

Gentry nawet nie mrugnął powieką.

— Myślę, że powinien pan już wyjść — wycodził. — Przedstawienie skończone.

Rebus zajrzał mu prosto w oczy.

— Nawet nie wiesz jak bardzo się mylisz, Eddie. To konkretne przedstawienie dopiero się zaczyna. — Przeszedł przez przedpokój i zatrzymał się przy drzwiach. — A tak przy okazji, to cię okłamałem. Ta twoja muzyka jest do kitu. Po prostu brak ci talentu, kolego.

Wyszedł na klatkę, na moment stanął na podeście schodów i sięgnął po papierosy.

Zadanie wykonane, pomyślał.

Wydział śledczy przy Gayfield Square równie dobrze mógłby być basenem, bo wszyscy jego pracownicy bezradnie pływali po powierzchni, bijąc tylko pianę. Derek Starr zdawał sobie z tego sprawę, ale nie bardzo potrafił ich zmotywować. Po prostu nie mieli nic do roboty. Nie pojawił się żaden nowy trop w sprawach Todorowa i Riordana. Laboratorium znalazło wprawdzie częściowy odcisk palca na buteleczce z płynem czyszczącym, ale udało się tylko ustalić, że odcisk nie należał ani do Riordana, ani do kogoś notowanego w bazie danych. Od Terry'ego Grimma wiedzieli, że dom nieboszczyka był raz w tygodniu sprzątany przez ekipę z agencji sprzątającej i choć Riordan najczęściej nie pozwalał im sprzątać salonu przerobionego na studio, odcisk palca mógł należeć do kogoś ze sprzątających. W każdym razie nikt nie odważył się stwierdzić, że należy do podpalacza, i cała sprawa z odciskiem wyglądała na kolejny ślepy zaułek. To samo dało się powiedzieć o komputerowej podobiznie kobiety w kapturze. Wywiadowcy obchodzili z owym portretem mieszkania w całej okolicy, ale jedynym rezultatem ich wysiłków były obolałe nogi.

Po uruchomieniu oficjalnej procedury Starr wydobył w końcu nagrania z kilku kamer monitoringu miejskiego w rejonie Portobello, nikt jednak nie liczył na rewelacje. Wszystko, co było na nich widać, to zapis ruchu ulicznego we wczesnych godzinach porannych. Nikt nie wiedział, w jaki sposób podpalacz dotarł do domu Riordana, i ten trop po raz kolejny okazał się szukaniem igły



w stogu siana. Ze spojrzeń, jakimi Starr obrzucał Siobhan Clarke, można się było domyślić, że ją podejrzewa o ukrywanie czegoś przed nim. Dwa razy w ciągu ostatniej półgodziny zapytał ją, nad czym obecnie pracuje.

— Przeglądam taśmy Riordana — odparła, kłamiąc w żywe oczy.

To Todd Goodyear siedział nad spisywaniem ostatniej porcji taśm, mając przy tym minę człowieka kompletnie zniechęconego. Co chwilę przerywał i się zamyślał, wbijając wzrok w sufit, jakby tam szukał wyjścia z sytuacji. Clarke naprawdę czekała na telefon od Stone'a, któremu zostawiła wiadomość w poczcie głosowej komórki. Wciąż nie była pewna, czy włączenie go będzie dobrym pomysłem, zwłaszcza że Stone i Starr przypadli sobie do gustu i można się było spodziewać, że wszystko, co powie jednemu, dotrze też do drugiego. A Starr jak dotąd nic nie wiedział o obecności Andropowa i jego kierowcy na wieczorze w Bibliotece Poetyckiej.

Pod komisariatem nie kręcili się już żadni przedstawiciele mediów. Ostatnią wzmianką w sprawie dwóch niewyjaśnionych śmierci była jednoszpaltowa notatka na jednej ze środkowych stron „Evening News”. Starr ponownie siedział u starszego inspektora Macrae i można było oczekiwać, że wkrótce podejmą ostateczną decyzję o rozdzieleniu obu śledztw. Brak było dowodów, że cokolwiek łączy morderstwo Todorowa ze śmiercią Riordana, to zaś mogło spowodować, że ekipa śledcza zostanie zredukowana i sprawa Riordana wróci do wydziału śledczego w Leith.

Chyba że Clarke uda się coś zrobić, żeby temu zapobiec.

Przez następne dziesięć minut zmagiała się z myślami. Starr w dalszym ciągu siedział u Macrae, zabrała więc płaszcz i podeszła do biurka Goodyeara.

— Wychodzi pani? — Spojrzał na nią ze smutkiem.

— A ty ze mną — odparła i ujrzała, jak rozjaśnia mu się twarz.

Podróż zajęła im tylko dziesięć minut. Konsulat mieścił się w dużym szeregowcu z czasów króla Jerzego, z widokiem na katedrę episkopalną. Ulica była na tyle szeroka, że dało się wygospodarować rząd miejsc parkingowych wzdłuż środkowej osi jezdni. Jedno z miejsc tuż przed nimi się zwolniło i Goodyear wysiadł, by wrzucić

pieniądze do parkometru. Clarke przyjrzała się samochodowi zaparkowanemu obok. Dostojny czarny mercedes z przyciemnioną tylną szybą, bardzo podobny do tego, którym Andropow zajeżdżał pod budynek magistratu i który przywiózł Stachowa do kostnicy. Tablice rejestracyjne nie należały do korpusu dyplomatycznego, Clarke zadzwoniła więc do komisariatu i poprosiła o sprawdzenie. Okazało się, że samochód jest zarejestrowany na niejakiego Borisa Aksanowa, zamieszkałego w Cramond. Zanotowała dane i się rozłączyła.

— Myśli pani, że pozwolą nam z nim porozmawiać? — zapytał Goodyear.

— Chodźmy się przekonać — odparła, wruszając ramionami.

Przeszli przez jezdnię, weszli po trzech kamiennych schodkach i Clarke nacisnęła dzwonek przy drzwiach. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta z przyklejonym do twarzy uśmiechem osoby profesjonalnie zajmującej się witaniem gości. Clarke wyciągnęła ku niej otwartą legitymację służbową.

— Chciałabym się widzieć z panem Aksanowem — oświadczyła.

— Z panem Aksanowem? — Uśmiech nie opuszczał twarzy kobiety.

— Waszym kierowcą. — Clarke pokazała głową do tyłu. — Tam jest jego samochód.

— Niestety, nie ma go — powiedziała z uśmiechem recepcjonistka.

Clarke przewierciła ją wzrokiem.

— Jest pani pewna?

— Oczywiście.

— A pan Stachow?

— W tej chwili też go nie ma.

— Kiedy będzie z powrotem?

— Myślę, że dość późno.

Clarke zajrzała ponad ramieniem kobiety do środka. Hol był ogromny, ale mocno zapuszczony. Miejscami widać było odłazającą farbę i wypłowiałą tapetę na ścianach. W głębi zaczynały się idące w górę łukowate schody z niewidocznym stąd górnym podestem.

— A pan Aksanow?

— Tego nie wiem.

— Czy to znaczy, że nie pojechał z panem Stachowem?  
Uśmiech na twarzy kobiety zaczynał blednąć.  
— Obawiam się, że nie mogę państwu pomóc...  
— To znaczy, że Aksanow jeździ z Andropowem, tak?  
Kobieta ujęła dłonią krawędź drzwi i Clarke pomyślała, że szykuje się, żeby je im zamknąć przed nosem.  
— Nie mogę państwu pomóc — powtórzyła.  
— Czy pan Aksanow jest pracownikiem konsulatu? — Kobieta rzeczywiście wolnym, ale zdecydowanym ruchem pociągnęła drzwi. — Jeszcze tu wrócimy — zdążyła rzucić Clarke.  
Drzwi zatrzasnęły się i Clarke przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w ich gładką powierzchnię.  
— Miała wystraszone oczy — powiedział Goodyear. — I szkoda forsy. Zapłaciłem za pół godziny.  
— Wpisz to w koszty śledztwa. — Oderwała się od drzwi i ruszyła w stronę samochodu, jednak po drodze zatrzymała się koło mercedesa i zerknęła na zegarek. Wrócili do auta i Goodyear spytał, czy w takim razie pojedą teraz na Gayfield Square.  
— Straż miejska w tym rejonie jest bardzo skrupulatna — odparła, kręcąc głową. — Opłata parkingowa za tego merca kończy się równo za siedem minut.  
— Czyli ktoś będzie musiał przyjść i nakarmić parkomat? — domyślił się.  
Clarke znów pokręciła głową.  
— To wbrew przepisom, Todd. Jeśli nie chcą dostać mandatu, ktoś musi nim odjechać.  
Przekręciła kluczyk w stacyjce.  
— Myślałem, że ambasady i tak nie płacą mandatów.  
— To prawda... o ile mają rejestrację dyplomatyczną. — Clarke włączyła bieg i ruszyła, ale tylko po to, by kilkadziesiąt metrów dalej stanąć przy krawężniku. — Warto trochę poczekać, nie sądzisz?  
— Zwłaszcza jeśli dzięki temu nie muszę wracać do ślęczenia nad taśmami.  
— Czyżby praca w śledczym zaczynała tracić urok?  
— Myślę, że jestem już gotów wrócić do munduru. — Poruszył ramionami, rozciągając sobie mięśnie. — Wiadomo coś o inspektorze Rebusie?

- Znów go wezwali na rozmowę.  
— Chcą mu postawić zarzuty?  
— Wezwali go po to, żeby mu powiedzieć, że nie mają żadnych dowodów.  
— Na tym ochraniaczu nic nie znaleźli?  
— Nic.  
— A mają kogoś innego na celowniku?  
— Todd, do cholery, skąd ja mam to wiedzieć? — W samochodzie zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili Clarke głośno wypuściła powietrze. — Słuchaj, przepraszam cię...  
— To ja powinienem przeprosić — uspokoił ją. — Nie mogę się powstrzymać, żeby nie wtykać nosa.  
— Nie, to ja... Bo mogę mieć kłopoty.  
— W jaki sposób?  
— SAZ prowadziło obserwację Cafferty'ego, a John mnie namówił, żeby ich odciągnąć.  
Oczy młodzieńca zrobiły się okrągłe.  
— O jasna cholera! — sapnął.  
— Nie przeklinaj.  
— Prowadzili obserwację Cafferty'ego... To stawia inspektora Rebusa w paskudnym świetle.  
Clarke wzruszyła ramionami.  
— Obserwowali Cafferty'ego... — powtórzył, kręcąc w zadumie głową.  
Uwagę Clarke przyciągnął ruch parę domów dalej. Drzwi konsulatu się otworzyły i wyłonił się z nich jakiś mężczyzna.  
— Zaczyna się nieźle — mruknęła.  
Mężczyzna okazał się tym samym człowiekiem, który towarzyszył Stachowowi w kostnicy i którego Siobhan widziała na fotografii ze spotkania w Word Power. Boris Aksanow podszedł do swego samochodu i wsiadł do środka. Clarke postanowiła poczekać i sprawdzić, co zrobi: przestawi wóz w inne miejsce czy gdzieś odjedzie? Gdy minął trzecie z rzędu wolne miejsce, stało się jasne, jak brzmi odpowiedź.  
— Jedziemy za nim? — spytał Goodyear, zapinając pas.  
— Brawo za czujność.  
— I co dalej?  
— Spróbujemy go zatrzymać pod jakimś pretekstem...

— Czy to rozsądne?

— Jeszcze nie wiem. Zobaczymy, jak się to rozwinie. Mercedes włączył lewy kierunkowskaz, sygnalizując skręt w Queensferry Street.

— Wyjeżdża z miasta? — zastanowił się Goodyear.

— Aksanow mieszka w Cramond. Może jechać do domu. Queensferry Street wkrótce przeszła w Queensferry Road.

Szybkościomierz w samochodzie Clarke wskazywał niestety, że Aksanow ściśle przestrzega ograniczeń prędkości. Na kolejnych światłach trafił na czerwone i zahamował, jednak wszystkie jego światła stopu zadziały. Jeśli rzeczywiście jedzie do Cramond, pewnie pojedzie prosto aż do ronda w Barnton i tam skręci w prawo, pytanie tylko, czy chcą, żeby ich wyprowadził aż tak daleko. Na Queensferry Road co kilkaset metrów były światła i gdy mercedes zatrzymał się na kolejnych czerwonych, Clarke stanęła tuż za nim.

— Todd, sięgnij za siebie — powiedziała. — Z tyłu na podłodze...

Musiał odpiąć pas, by móc się odpowiednio wychylić do tyłu.

— O to pani chodzi?

— Wsadź wtyczkę do tego gniazda i opuść szybę — poleciła.

— W podstawie jest magnes, tak? — domyślił się.

— Zgadłeś.

Wystarczyło wetknąć wtyczkę, by niebieska lampa zaczęła od razu błyskać. Goodyear wyciągnął rękę i położył ją na dachu. Światła na skrzyżowaniu nadal były czerwone. Clarke nacisnęła klakson, obserwując, jak kierowca mercedesa przygląda się jej w lusterku. Pokazała mu ręką, że ma zjechać na bok, a on po zapaleniu się zielonych przejechał skrzyżowanie i posłusznie wjechał dwoma kołami na krawężnik. Clarke wyprzedziła go i zrobiła to samo. Jadący ulicą nieco zwolnili, zaciekawieni policyjną akcją, ale nikt się nie zatrzymał. Kierowca mercedesa wysiadł. Był ubrany w garnitur i koszulę z krawatem, na nosie miał słoneczne okulary. Obszedł samochód i stanął na chodniku, czekając na Clarke. Podeszła do niego z otwartą legitymacją służbową.

— Coś się stało? — Mówił po angielsku, choć z wyraźnym rosyjskim akcentem.

— Pan Aksanow? Poznaliśmy się w kostnicy...  
— Spytałem, czy coś się stało.  
— Będzie pan musiał towarzyszyć nam na komisariat.  
— A co zrobiłem? — Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. — Zaraz zadzwonię do konsulatu.  
— Nic to panu nie pomoże. Pański samochód nie jest zarejestrowany na konsulatu, więc pewnie pracuje pan na zlecenie jako osoba prywatna. Nie chroni pana immunitet dyplomatyczny, panie Aksanow.  
— Jestem kierowcą konsulatu.  
— Ale nie tylko. Proszę do samochodu. — W jej głosie zadźwięczała stal. Aksanow stał nadal z telefonem w dłoni, ale do tej pory go nie użył.  
— A jeśli odmówię?  
— Odpowie pan za stawianie oporu władzy... i ze wszystkich innych paragrafów, jakie mi tylko przyjdą do głowy.  
— Nie zrobiłem nic złego.  
— I tylko to chcemy usłyszeć. Ale pragniemy to usłyszeć w komisariacie.  
— A co z moim samochodem?  
— Zostawimy go tutaj. Potem tu pana odwieziemy. — Uśmiechnęła się przyjaźnie. — Obiecuję.



— Jak to się stało, że zaczął pan jeździć z Siergiejem Andropowem? — zaczęła Clarke.  
— Jeżdżę z różnymi ludźmi. Tak zarabiam na życie.  
Siedzieli sami w pokoju przesłuchań w komisariacie West End, bo Clarke nie miała ochoty pokazywać Rosjanina na Gayfield Square, a Goodyear poszedł po kawę. Na stole stał magnetofon, ale Clarke go nie włączyła. Nie położyła też przed sobą notatnika, a na prośbę Aksanowa pozwoliła mu nawet zapalić.  
— Mówi pan dobrze po angielsku. Słyszę nawet pewne lokalne naleciałości.  
— Moja żona jest z Edynburga. Mieszkam tu już prawie pięć lat. — Zaciągnął się i wypuścił dym w stronę sufitu.  
— Ona też jest miłośniczką poezji? — Aksanow wlepił w nią wzrok, jakby nie rozumiał pytania. — No więc jak, jest?

— Czyta książki... głównie powieści.  
— Czyli tylko pan tak kocha poezję. Czytał pan coś ostatnio Seamusa Heaneya? Albo może Roberta Burnsa?  
— Dlaczego mnie pani pyta?  
— Bo w ciągu dwóch tygodni widziano pana na dwóch wieczorach poetyckich. A może lubi pan szczególnie wiersze Aleksandra Todorowa?  
— Mówią, że to największy rosyjski poeta.  
— Pan też tak uważa? — Aksanow wzruszył ramionami i wpatrzył się w czubek papierosa. — Kupił pan jego ostatni tomik?  
— Nie rozumiem, co to panią obchodzi.  
— Pamięta pan jego tytuł?  
— Nie muszę w ogóle z panią rozmawiać.  
— Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch morderstw, panie Aksanow.  
— A co to ma wspólnego ze mną? — Głos Rosjanina stawał się coraz bardziej zadziorny, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wkroczył Goodyear z dwoma kubkami.  
— Czarna z podwójnym cukrem — powiedział, stawiając styropianowy kubek przed Aksanowem. — Biała bez cukru — dodał, podając drugi Siobhan. Kiwnęła głową i dała mu dyskretny sygnał oczami. Goodyear zrozumiał go bezbłędnie, cofnął się w głąb pokoju i złożywszy ręce na piersiach, oparł się o ścianę. Aksanow zdusił niedopałek i zaczął się szykować do zapalenia następnego papierosa.  
— Za drugim razem — powiedziała Clarke — zabrał pan ze sobą Siergieja Andropowa.  
— Tak?  
— Tak mówią świadkowie. — Ponowne wzruszenie ramion, uzupełnione tym razem pogardliwym wykrzywieniem ust. — Twierdzi pan, że tak nie było?  
— Nic nie twierdzę.  
— Zaczynam się zastanawiać, co pan stara się ukryć. Pracował pan tego wieczoru, kiedy zginął Todorow?  
— Nie pamiętam.  
— Pytam pana o coś, co się zdarzyło niewiele ponad tydzień temu.

- Czasem pracuję w nocy, czasem nie.
- Andropow był wtedy w hotelu. Miał spotkanie w barze...
- Nie mam pani nic do powiedzenia.
- Po co pan chodził na te wieczory poetyckie, panie Aksanow? — spytała cicho Clarke. — Andropow pana o to prosił? Sam kazał się tam zawieźć?
- Jeśli popełniłem jakieś przestępstwo, to już, niech mnie pani oskarży!
- Chciałby pan tego?
- Chciałbym się stąd wydostać. — Palce trzymające papierosa zaczynały lekko drżeć.
- Pamięta pan wieczór w Bibliotece Poetyckiej? — Clarke mówiła spokojnym, pozbawionym emocji głosem. — I tego człowieka, który to wszystko nagrywał? Jego też zamordowano.
- Całą noc spędziłem w hotelu.
- W pierwszej chwili go nie zrozumiała.
- W Caledonian?
- W Gleneagles — wyjaśnił. — Mam na myśli noc, kiedy wydarzył się ten pożar.
- Dokładnie było to wcześniej rano.
- W nocy... rano... Cały czas tam byłem.
- W porządku — powiedziała, zastanawiając się, co tak nagle wywołało u niego pełen agresji ton. — I z kim pan tam pojechał? Z Andropowem czy ze Stachowem?
- Z jednym i drugim. Pojechali razem. Byłem z nimi cały czas.
- Już pan to mówił.
- Bo tak było.
- Za to nie pamięta pan, czy w noc zabójstwa Todorowa pan pracował, czy nie.
- Nie.
- Ale to bardzo ważne, panie Aksanow. Sądzimy, że zabójca Todorowa prowadził samochód...
- Nie miałem z tym nic wspólnego. Uważam, że takie pytania są niedopuszczalne!
- Doprawdy?
- Niedopuszczalne i bez sensu.
- Zapadła długa, piętnastosekundowa cisza.



— Już pan go skończył? — Clarke w końcu przerwała milczenie. Aksanow zmarszczył brwi. — Mam na myśli papierosa Bo dopiero co go pan zapalił.

Rosjanin spojrzął na popielniczkę, na której widniał długi słupek popiołu po papierosie, którego niedopałek machinalnie zdusił...



Clarke poszła zorganizować radiowóz dla odwiezienia Aksanowa na Queensferry Road, potem ruszyła korytarzem w stronę miejsca, gdzie Goodyear stał zatopiony w rozmowie z dwoma policjantami. Nim zdążyła do nich dojść, zadzwoniła jej komórka. Numer dzwoniącego wydał się jej zupełnie nieznanym.

— Halo? — powiedziała, odwracając się plecami do rozmawiających.

— Detektyw sierżant Clarke?

— Witam panią doktor. Miałam zamiar do pani dzwonić.

— Tak?

— Myślałam, że będzie mi potrzebna tłumaczka. Ale okazało się, że to fałszywy alarm. Czym mogę służyć?

— Słuchałam tego nagrania od pani.

— Nadal zmaga się pani z wierszem?

— Od tego zaczęłam... ale potem odsłuchałam całość.

— Zrobiłam dokładnie to samo — przyznała. Pamiętała spędzoną z Rebusem godzinę w jej samochodzie...

— Na samym końcu — ciągnęła Colwell — już po serii pytań i odpowiedzi...

— Tak?

— Mikrofon wychwycił pewien fragment rozmowy.

— Pamiętam. Poeta chyba sam coś do siebie mruczy, prawda?

— Początkowo też tak pomyślałam. Trudno to zrozumieć, ale to nie głos Aleksandra.

— A czyj?

— Nie mam pojęcia.

— Ale mówi po rosyjsku?

— Och, bez wątpienia po rosyjsku. I po paru próbach chyba już wiem, co mówi.

Clarke wyobraziła sobie Riordana, który jak zwykle wtyka swój wszędobylski mikrofon, gdzie się tylko da, i rejestruje na gorąco komentarze widowni.

— I cóż on takiego mówi?

— Coś w rodzaju: „Wolałbym, żeby nie żył”. Clarke zeszywniała.

— Zechciałaby to pani powtórzyć?

Spotkali się z Rebusem w gabinecie Colwell i wszyscy troje zasiedli do słuchania.

— Nie brzmi to jak głos Aksanowa... — zaczęła Clarke, ale w tym momencie zadzwoniła jej komórka. Skrzywiła się i spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił detektyw inspektor Calum Stone.

— Chciała pani ze mną rozmawiać.

— Pozwoli pan, że oddzwonię. — Rozłączyła się i spojrzawszy na Rebusa, pokręciła głową na znak, że to nic ważnego. Rebus skinął głową i poprosił o ponowne odtworzenie końcowego fragmentu nagrania.

— Osobiście stawiałbym na Andropowa — mruknął po wysłuchaniu. Siedział pochylony do przodu, miał łokcie oparte o kolana i splecione dłonie. Tak bardzo skoncentrował się na nagraniu, że ani razu nie spojrzał na przykucniętą przy odtwarzaczu Scarlett Colwell, której twarz przysłaniała kaskada włosów.

— I wie pani na pewno, co te słowa znaczą? — upewniła się Clarke.

— Absolutnie — odrzekła Colwell. Powtórzyła je po rosyjsku, po czym podała Clarke notatnik z zapisanym tłumaczeniem na angielski. Był to ten sam notatnik, w którym wcześniej zapisała przekład wiersza.

— „Wolałbym, żeby nie żył” — upewnił się Rebus. — Na pewno nie „Chcę, żeby go zabito” albo „Ja go zabiję”?

— Nie, mniej kategorycznie.

— Szkoda — mruknął. — Ale i tak jest się nad czym zastanawiać — dodał, spoglądając na Clarke.

— Jest — zgodziła się. — Bo założmy, że to Andropow... Do kogo to mówi? Bo chyba nie do Aksanowa?

— A ty go właśnie wypuściłaś.

— Zawsze możemy go znów zwinąć. Jest tu już mocno zasymilowany.

— Co nie gwarantuje, że ci z konsulatu nie wsadzą go w pierwszy samolot do Moskwy. — Wlepił w nią spojrzenie. — Wiesz, co ci powiem? Myślę, że Andropow chciał mieć kogoś wewnątrz konsulatu. Mógł w ten sposób na bieżąco kontrolować swoją sytuację w kraju. Gdyby mieli zamiar go zamknąć, konsulat wiedziałby o tym jako jeden z pierwszych.

— Aksanow w roli jego oczu i uszu? — Clarke pokiwała głową. — Brzmi sensownie. Pytanie tylko, czy grał jeszcze jakąś rolę?

— Wykonawcy wyroków? — Zamilkł i zadumał się, potem jednak dostrzegł łzę na policzku Colwell. — Przepraszam. Wiem, że to dla pani niełatwe.

— Bylebyście złapali tego łajdaka, który zabił Aleksandra — powiedziała, ocierając policzek wierzchem dłoni. — Proszę, tylko go złapcie.

— Dzięki pani pomocy jesteśmy o krok bliżej — zapewnił ją, rzucając okiem na przekład wiersza Todorowa. — Andropow musiał się wściec. Todorow nazywa go tu „zaraza” i zalicza do „garstki łajdaków”.

— Wściekł się do tego stopnia, że wolałby, żeby poeta nie żył — zgodziła się Clarke. — Jednak czy to znaczy, że to zrobił?

Rebus znów wlepił w nią spojrzenie.

— Może powinniśmy go o to zapytać — powiedział.



Wprowadzenie inspektora Dereka Starra we wszystkie szczegóły śledztwa zajęło Clarke dobrze ponad godzinę. Następne piętnaście minut trwały jego pretensje, że nie był przez nią utrzymywany „w kursie sprawy”, w końcu jednak zgodził się wezwać Siergieja Andropowa na przesłuchanie. Wcześniej musieli opróżnić pokój przesłuchań z trzech śledczych, którzy urządzili tu sobie biuro

i którzy nie omieszkali dać wyraz swemu niezadowoleniu, że muszą przenosić wszystkie swoje rzeczy

— Śmierdzi tu, jak w gaciach rugbisty po meczu — zauważył Starr.

— Wierzę ci na słowo — odparła Clarke z krzywym uśmiechem. Wcześniej musiała wysłuchać pretensji Goodyeara, który narzekał, że go porzuciła na West Endzie. Istotnie tak było, bo telefon od Colwell tak ją zelektryzował, że od razu popędziła do samochodu i zostawiła go zatopionego w rozmowie z dwoma policjantami. Mimo to obrzuciła młodzieńca chłodnym spojrzeniem i obojętnym tonem wyskandowała: „Przyzwyczaj się do tego”, na co on zareagował stwierdzeniem, że właściwie mógłby już wrócić do Torphichen i pracy w mundurze.

Wysłali do hotelu Caledonian radiowóz, który po czterdziestu minutach przywiózł mocno naburmuszonego pasażera. Dochodziła ósma, niebo było już zupełnie czarne i robiło się coraz zimniej.

— Czy mam prawo do adwokata? — Tak brzmiało pierwsze pytanie Andropowa.

— Uważa pan, że będzie panu potrzebny? — odparował Starr.

Przyniósł odtwarzacz CD i obojętnie postukiwał w niego palcem.

Andropow przez chwilę się zastanawiał, potem bez słowa zdjął płaszcz, powiesił go na oparciu krzesła i usiadł. Clarke zajęła miejsce obok Starra i położyła przed sobą notatnik i telefon komórkowy. Miała tylko nadzieję, że siedzący w samochodzie Rebus będzie się zachowywał odpowiednio cicho.

— Możecie zaczynać, sierżant Clarke — oświadczył Starr, składając dłonie jak do modlitwy.

— Rozmawiałam dziś z Borisem Aksanowem — zaczęła.

— Tak?

— Mówiliśmy o wieczorze poezji w Szkockiej Bibliotece Poetyckiej... O ile wiem, pan też tam był.

— On to pani powiedział?

— Mamy wystarczającą liczbę świadków, proszę pana. — Zrobiła przerwę. — Wiemy też, że znał pan Aleksandra Todorowa w Moskwie i że nie można nazwać panów przyjaciółmi.

— Znow muszę zapytać, skąd to pani wie?

Clarke zignorowała pytanie.

— Pojechał pan tam z Aksanowem i musiał wysłuchać najnowszego wiersza poety. — Zajrzała do kartki z tłumaczeniem. — „Nienasycony apetyt”... „Chciwe trzewia nieznanące zaspokojenia”... „taka garstka łajdaków”... Trudno to uznać za wyrazy miłości, prawda?

— To tylko wiersz.

— Ale adresowany do pana, panie Andropow. Jest pan przecież jednym z „dzieci Żdanowa”, prawda?

— Tak jak tysiące innych — parsknął śmiechem Andropow.

Wpatrywał się w Clarke z błyskiem w oczach.

— Właściwie powinnam była zacząć od wyrazów współczucia...

— Z jakiego powodu? — Twarz mu spochmurniała, oczy straciły blask.

— Z powodu tego, co spotkało pańskiego przyjaciela. Odwiedził go pan w szpitalu?

— Chodzi pani o Cafferty'ego? — Powiedział to z zupełnie obojętną miną. — Wyliże się.

— Będzie co świętować.

— O co jej, do diabła, chodzi? — Pytanie Andropowa było skierowane do Starra, ale odpowiedziała Clarke.

— Zechce pan czegoś posłuchać, panie Andropow. — Starr bez słowa nacisnął przycisk odtwarzania i pokój przesłuchań wypełnił się gwarem publiczności na zakończenie wieczoru Todorowa. Słychać było szuranie krzesłami i głosy dzielących się opiniami o wieczorze i umawiających na drinki i kolacje... potem króciutką wypowiedz po rosyjsku.

— Poznaje to pan? — spytała, gdy Starr nacisnął klawisz stop.

— Nie.

— Na pewno? Może chciałby pan, żeby inspektor Starr jeszcze raz to odtworzył...?

— Słuchajcie, o co wam chodzi?

— Dysponujemy nowoczesnym laboratorium kryminalistycznym, panie Andropow. Mają na swoim koncie nie lada osiągnięcia w zakresie identyfikacji ludzkich głosów...

— A co mnie to obchodzi?

— Powinno obchodzić, bo w nagraniu słyhać pański głos mówiący do Borisa Aksanowa, że pragnie pan śmierci Aleksandra Todorowa. Poety, który przed chwilą pana upokorzył i który występuje przeciwko wszystkiemu, co pan sobą reprezentuje.

Znów znacząco zawiesiła głos. — I zaraz następnego wieczoru ten człowiek rzeczywiście umiera.

— Czyli to ja go zabiłem? — Tym razem śmiech Andropowa był głośniejszy i trwał dłużej. — I niby kiedy to zrobiłem? Wyskoczyłem na chwilę z baru? Zahipnotyzowałem waszego ministra, żeby nie zauważył mojej nieobecności?

— Mógł pan to zlecić komuś, kto zrobił to w pańskim imieniu — oświadczył lodowato Starr.

— No cóż, będziecie mieli poważny problem, żeby to udowodnić, bo tak się składa, że to nieprawda.

— Po co pan poszedł na ten wieczór poezji? — zapytała Clarke.

Andropow przez chwilę mierzył ją wzrokiem, uznał jednak, że udzielenie odpowiedzi w niczym mu nie zaszkodzi.

— Boris powiedział mi, że parę tygodni wcześniej był na innym jego wieczorze. Zaciekawilo mnie to, bo nigdy wcześniej nie widziałem Aleksandra publicznie recytującego swoje wiersze.

— Pan Aksanow nie zrobił na mnie wrażenia miłośnika poezji.

Andropow wzruszył ramionami.

— Może dostał polecenie z konsulatu, żeby tam pójść.

— Dlaczego konsulatu miałby się do tego mieszać?

— Żeby wiedzieć, jakich kłopotów mogą się spodziewać z racji pobytu Aleksandra Todorowa w tym mieście. — Andropow poprawił się na krześle. — Todorow był zawodowym dysydemem. Z tego żył. Sięgał do kieszeni ckliwych zachodnich liberałów.

Clarke wyczekała, czy powie coś więcej, potem spytała:

— A ten jego ostatni wiersz?

Tym razem wzruszenie ramion było mniej obcesowe.

— Ma pani rację, że mnie to zezłościło. Bo właściwie co poeci dają światu? Czy dzięki nim jest więcej miejsc pracy, energii, surowców? Nie... wyłącznie więcej słów, za które często są dobrze wynagradzani. Na pewno lepiej niż na to zasługują. Wie pani, dlaczego Todorowa tak hołubiono na Zachodzie? Ponieważ jego twórczość pozwalała wierzyć, że Rosja jest krajem przeżartym korupcją i przestępczością. — Andropow zwinął prawą

dłoń w pięść, jednak w ostatniej chwili powstrzymał się od walnięcia w stół. Zacerpnął tylko głęboko powietrza i ze świstem wypuścił je przez nos. — I rzeczywiście powiedziałem, że wolałbym, żeby nie żył, ale to też były tylko słowa.

— Boris Aksanow mógł je jednak potraktować poważnie i przystąpić do działania.

— Poznaliście Aksanowa? To nie jest typ zabójcy. To dobroduszny miś.

— Niedźwiedzie miewają pazury. — Uwaga Starra wywołała pełne pogardy spojrzenie Andropowa.

— Dzięki za informację. Jako Rosjanin mogłem nie mieć o tym pojęcia.

Starr poczerwieniał i by odwrócić od siebie uwagę, ponownie nacisnął przycisk odtwarzania. Raz jeszcze rozbrzmiały rozmowy publiczności, potem Starr nacisnął pauzę i postukał palcem w odtwarzacz.

— Uważam, że mamy podstawy do postawienia pana w stan oskarżenia — oświadczył.

— Czyżby? Zobaczmy, co na to powie jeden z waszych słynnych edynburskich baristerów.

— W Szkocji nie mamy baristerów — warknął Starr.

— Nazywamy ich tu adwokatami — pospiesznie wyjaśniła Clarke. — Ale tak naprawdę potrzebny jest panu radca prawny... i to tylko jeśli postawimy panu zarzut. — Druga część zdania była wyraźnie skierowana do Starra, by już tego nie ciągnął. Przynajmniej na razie.

— No więc? — Andropow widać bezbłędnie odczytał sygnał Clarke, bo skierował swe pytanie do Starra. Ten wykrzywił usta w grymasie, ale zachował milczenie. — Zatem mogę już sobie iść, tak? — Tym razem zwrócił się do Clarke, ale odpowiedzią było wściekłe warknięcie Starra.

— Tylko nie wolno opuszczać kraju!

Andropow raz jeszcze parsknął śmiechem.

— Ani mi w głowie opuszczać wasz piękny kraj, inspektorze.

— A co, w Rosji szykują panu ciepłutki gułag? — rzuciła cierpko Clarke.

— Uwaga poniżej pani poziomu. — W głosie Andropowa słychać było zawód.



— Wybiera się pan do szpitala? — odcięła się. — Dziwne jak wielu pańskich znajomych umiera albo zapada w śpiączkę

Andropow wstał z krzesła i zdjął z oparcia płaszcz. Starr i Clarke spojrzeli po sobie, jednak nie przyszedł im do głowy żaden pretekst pozwalający zatrzymać go dłużej. Za drzwiami czekał Goodyear, mający odprowadzić Andropowa do wyjścia.

— Jeszcze porozmawiamy — warknął groźnie Starr.

— Już się na to cieszę, inspektorze.

— I chcemy, żeby pan zdał swój paszport — rzuciła na koniec Clarke. Andropow skłonił głowę i ruszył do wyjścia. Starr wstał z miejsca i zamknął drzwi za wychodzącym. Potem wrócił do stołu i wlepił wzrok w Clarke, która udając, że sprawdza SMS-y przerwała połączenie z Rebusem.

— Jeśli to któryś z nich, to z pewnością, ten kierowca — zawyrokował. — Ale przydałyby się nam silniejsze dowody.

Clarke schowała notatnik i komórkę do torebki.

— Myślę, że Andropow miał rację. Aksanow nie jest typem zabójcy.

— No to trzeba jeszcze raz się przyjrzeć ruchom w hotelu. Sprawdzić, czy jest możliwe, żeby Andropow mógł jednak pójść za Todorowem.

— Nie zapominaj, że był tam też Cafferty.

— Więc albo jeden, albo drugi.

— Problem w tym — westchnęła — że jest też ktoś trzeci. A Bakewell już oświadczył, że wszyscy trzej siedzieli w barze jeszcze dobrze po jedenastej... a o tej porze Todorow już nie żył.

— To co, wracamy do punktu wyjścia? — Starr nie próbował ukryć irytacji.

— Nie, potrząsamy klatką. — Zamilkła i po chwili dodała: — Dzięki, Derek, że się zgodziłeś.

To go od razu udobruchało.

— Trzeba było wcześniej z tym przyjść, Siobhan. Tak samo jak ty chcę, żeby nam się udało.

— Wiem. Ale i tak masz zamiar podzielić to na dwa niezależne śledztwa, prawda?

— Starszy inspektor Macrae uważa, że tak będzie lepiej.

Pokiwała głową, jakby ją to przekonało.

— Jutro pracujemy? — spytała.

- Mamy zgodę na nadgodziny w czasie weekendu.
- To ostatni dzień pracy Rebusa — powiedziała cicho.
- *À propos* — rzucił, jakby nie słysząc jej ostatniej uwagi. — Ten chłopak, który poszedł odprowadzić Andropowa... to jakiś nowy członek zespołu?
- Przyszli go z West Endu — skłamała bez zająknięcia. Starr pokręcił głową.
- Wydział śledczy z roku na rok młodnieje — mruknął.



- Jak mi poszło? — spytała Clarke, siadając na fotelu pasażera.
- Trzy punkty na dziesięć możliwych.
- Rany, piękne dzięki — skrzywiła się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Samochód Rebusa stał zaparkowany tuż przed komisariatem. On sam siedział ze wzrokiem utkwionym przed siebie, nerwowo bębniąc palcami w kierownicę.
- Niewiele brakowało, żebym tam wparował. Jak mogłaś to przegapić?
- Co przegapić?
- Dopiero teraz raczył na nią spojrzeć.
- Tego wieczoru w Bibliotece Poetyckiej Andropow siedział raptem dwa rzędy od podium. Nie ma mowy, żeby mógł nie zauważyć mikrofonu.
- No i?
- Zadawałaś mu nie te pytania, które powinnaś była zadać. Wściekł się na Todorowa i chlapanął, że mu życzy śmierci. No i wielkie rzeczy, zwłaszcza że jedynym Rosjaninem w pobliżu jest jego kierowca. Tylko że potem Todorow naprawdę umiera, więc nasz pan Andropow zaczyna się denerwować...
- Z powodu nagrania?
- Rebus przytaknął.
- Bo jeśli kiedykolwiek usłyszemy i przetłumaczymy jego słowa...
- Zaraz, moment. — Potarła nos palcami obu rąk i przymknęła oczy. — Masz może aspirynę?
- Zobacz w schowku.
- Zajrzała i znalazła blister z dwiema tabletkami, Rebus podał jej napoczętą butelkę wody mineralnej.

— Jeśli nie masz nic przeciwko paru zarazkom — dodał z uśmiechem.

Ruchem głowy dała znak, że nie ma. Połknęła obie tabletki i pokręciła trochę szyją.

— Aż stąd słyszę, jak ci chrzęści — powiedział Rebus ze współczuciem.

— Nieważne. Chcesz przez to powiedzieć, że to nie Andropow zabił Todorowa?

— Jeśli przyjmujemy, że to nie on, to co by go najbardziej gryzło? — Dał jej chwilę do namysłu, potem sam odpowiedział. — Bałby się, że my uznamy go za winnego.

— Opierając się na dowodzie w postaci nagrania jego słów.

— Co nas prowadzi do Charlesa Riordana.

W głowie Clarke zaczynało się coraz bardziej przejaśniać.

— Kiedy pytałam o to Aksanowa, wyraźnie się zmieszał. Kilkakrotnie powtórzył, że całą noc spędził w Gleneagles.

— Może się zląkł, że będziemy chcieli go w to wrobić.

— Myślisz, że Andropow mógł...

Rebus wzruszył ramionami.

— To zależy, czy uda nam się udowodnić, że w ciągu nocy albo wcześniej rano opuścił Gleneagles.

— Czy nie byłoby prościej, gdyby zadzwonił do Cafferty'ego i zazaądał, żeby się tym zajął?

— Być może — przyznał Rebus, wciąż bębniąc palcami w kierownicę. Zapadła cisza i oboje przez blisko minutę zmagali się ze swymi myślami. — Pamiętasz, z jakim trudem wydobyliśmy z Caledonian dane dotyczące gości? Boję się, że w Gleneagles będzie podobnie.

— Ale tu dysponujemy tajną bronią. Pamiętasz konferencję G-Osiem? Kolega inspektora Macrae był szefem ochrony całego hotelu. Zaprosił go nawet do siebie z wizytą.

— Zmierzasz do tego, że mógł wtedy poznać dyrektora? Na pewno warto sprawdzić.

Znów zapadło milczenie.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, co to naprawdę znaczy? — spytała w końcu Clarke.

Rebus pokiwał głową.

— Że nadal nie wiemy, kto zabił Todorowa.

— Bo jak by nie było, Andropow powiedział głośno, że życzyłby sobie jego śmierci...

— Ale to jeszcze nie znaczy, że zamienił swoje słowa w czyn. Gdyby wszyscy, których gorąco przeklinam, padali nagłą śmiercią, w Edynburgu zostałoby niewielu studentów i rowerzystów, a pewnie całej reszty też.

— A ja bym jeszcze żyła?

— Niewykluczone — przyznał.

— Mimo tych trzech punktów na dziesięć możliwych.

— Nie szarżujcie, sierżant Clarke.

— A Todd Goodyear do nas nie dołączy? — zapytał Rebus.

— Przekonałeś się do niego?

Siedzieli w barze Kay's w wyniku zawartego kompromisu. Karmiono tu przyzwyczajone, do piwa też nie było zastrzeżeń. Lokal był nieco większy niż Oxford, a jednocześnie stwarzał wrażenie pewnej intymności. Dominującą barwą wystroju wnętrza była czerwień, na czerwono pomalowano nawet filary oddzielające stoliki od części barowej. Clarke zamówiła dla siebie chili, Rebus oświadczył, że jemu wystarczą słone orzeszki.

— Udało ci się go ukryć przed radarowym wzrokiem Starra? — odpowiedział pytaniem na jej pytanie.

— Detektyw inspektor Starr sądzi, że Todd jest pracownikiem wydziału śledczego — odparła, podkradając mu kolejnego orzeszka.

— Jak przyniosą twoje chili, to też mam wsadzić do niego pacłuchy?

— Odkupię ci całą paczkę.

Przełknął kolejną garść i spojrzał na jej szklanekę. Piła podejrzanie wyglądającą miksturę soku z limonki z wodą sodową.

— Masz jakieś plany na jutro? — zapytał.

— Wydział ma całodzienny dyżur.

— Żadnych pożegnalnych przyjęć dla starego?

— Nie życzyłeś sobie żadnych przyjęć.

— Czyli dorzuciłaś się tylko do jakiegoś ładnego prezentu, tak?

— Musiałam się zdrowo zapożyczyć w moim banku... O której kończy się twoje zawieszenie?

— Chyba gdzieś koło południa.

Rebus powrócił myślami do sceny w gabinecie Corbyna... Wypadający jak burza sir Michael Addison, ojczym Gill Morgan. Gill Morgan zaprzyjaźniona z Nancy Sievewright. Nancy, Gili i Eddie podglądani przez kamery i oglądani później przez Rogera Andersona, Stuarta Janneya i Jima Bakewella. Jakby wszystko w Edynburgu było ze sobą powiązane. W trakcie swej policyjnej kariery nieraz miał okazję odnieść takie wrażenie. Wszystko i wszyscy. Todorow z Andropowem, Andropow z Caffertym, podziemie z naziemiem. Sol Goodyear znający Nancy i jej grono przyjaciół, a jednocześnie będący bratem Todda Goodyeara, przez którego ma związek z Siobhan i nim samym. To jak zmiana partnerów w trakcie jednego z tych tanecznych maratonów. Jak się nazywał ten film? Coś z zabijaniem koni. Tańcz i nie przestawaj, bo tylko to się liczy.

Chodzi o to, że Rebus właśnie się szykował, żeby za chwilę przestać. Przyniesiono zamówione chili i Rebus patrzył, jak Siobhan rozkłada sobie na kolanach papierową serwetkę. Pojutrze detektyw znajdzie się już poza tanecznym parkietem. Po paru tygodniach odsunie się jeszcze bardziej i dołączy do grona widzów, którzy sami nie uczestniczą w przedstawieniu. Pamiętał, jak to wyglądało w przypadku innych gliniarzy odchodzących na emeryturę. Wszyscy się zarzekali, że utrzymają kontakt, ale każde odwiedziny u dawnych kumpli tylko podkreślały, jak niewiele ich już łączy. Zaczynało się od spotkań przy drinku i pogawędkach raz w miesiącu, potem umawiali się co parę miesięcy, a w końcu już wcale.

Ktoś go nawet przekonywał, że najzdrowsze jest raptowne cięcie. Siobhan spytała, czy ma ochotę na trochę jej chili.

— Idź po widelec i się przyłącz — zachęciła go.

— Nie, dziękuję — odrzekł.

— Przez chwilę byłeś myślami w innym świecie.

— To przywilej mojego wieku.

— Przyjdiesz jutro w porze lunchu?

— Tylko bez żadnych niespodzianek, tak?

Pokiwała twierdząco głową.

- I na zakończenie domkniemy wszystkie sprawy.
- Oczywiście, że tak.
- Wiesz, będzie mi cię brakowało. — Powiedziała to, nie unosząc wzroku znad talerza.
- Może przez chwilę. — Uśmiechnął się i uniósł pustą szklankę.
- Czas na drugą kolejkę.
- Pamiętaj, że prowadzisz.
- Pomyślałem, że mogłabyś mnie odwiedzić.
- Twoim samochodem?
- Zamówię ci potem taksówkę.
- Strasznie jesteś hojny.
- Wcale nie powiedziałem, że zapłacę.



Jednak to zrobił. Wcisnął jej w dłoń dziesiątkę i powiedział, że zobaczą się jutro. Znalazła miejsce dla saaba przy końcu Arden Street i już miał ją zaprosić na górę, gdy akurat napatoczyła się czarna miejska taksówka z podświetlonym napisem na dachu. Siobhan zamachała ręką i wręczyła Rebusowi kluczyki do saaba.

— Ale mi się udało — ucieszyła się.

Właśnie wtedy podał jej dziesięciofuntowy banknot, a ona po chwili wahania go przyjęła.

— Tylko prosto do domu — upomniał ją.

Patrząc za odjeżdżającą taksówką, zastanowił się, czy jego to też dotyczy. Dochodziła dziesiąta, ale temperatura była dobrze powyżej zera. Ruszył w dół ulicy w stronę domu, nie odrywając wzroku od wykuszowego okna w swoim salonie. Okno było ciemne i nikt za nim nie czekał, by go powitać. Rebus pomyślał o Caffertym. Ciekaw był, jakie gangster ma teraz sny. Czy kiedy jest się w śpiączce, miewa się w ogóle jakies sny? Czy w tym stanie do człowieka w ogóle cokolwiek dociera? Rebus pomyślał, że mógłby go odwiedzić i przy nim posiedzieć. Może któraś z pielęgniarek poczęstuje go herbatą. Może okaże się dobrą słuchaczką. Czaszka Aleksandra Todorowa została zgruchotana od tyłu. Cafferty'ego też napadnięto od tyłu, ale zadano mu tylko czyste ciosy, Todorowa zaś najpierw strasznie sponiewierano. Przebiegł w myślach wiążące ich nitki. Oczywiście łącznikiem był Andropow. Biznesmen z

możnymi przyjaciółmi, takimi jak Megan Macfarlane i Jim Bakewell. Ten sam Bakewell, którego Cafferty podejmował w gronie bankowców na męskich imprezach... Andropow szykujący się do przeniesienia swoich interesów do Szkocji, gdzie nowi przyjaciele będą go hołubić i ochraniać. W końcu biznes to biznes: cóż to ma za znaczenie, że w ojczystym kraju chcą go wsadzić za korupcję? Rebus zdał sobie sprawę z tego, że wciąż nie odrywa wzroku od swego ciemnego, nieprzyjaźnie wyglądającego okna.

— Fajny wieczór na spacer — mruknął do siebie.

Minał wejście do kamienicy i z rękami w kieszeniach poszedł dalej. Marchmont było opustoszałe, na Melville Drive ruch niemal całkiem zamarł, na prowadzącej przez park The Meadows Jawbone

Walk [Jawbone (ang.) — dosł. kość szczękowa, zuchwa] widać było pojedynczych przechodniów — głównie młodzież wracającą do domów po wieczornych uciechach. Przeszedł pod łukiem zrobionym z prawdziwych szczek wieloryba i nie po raz pierwszy zastanowił się nad sensem tej konstrukcji. Kiedyś, gdy jego córka była jeszcze dzieckiem, przychodzili tu na spacer i udawali, że połyka ich wieloryb jak Jonasza czy Pinokia... Z oddali niosły się pijackie śpiewy dwóch siedzących na ławce włóczęgów, których cały do-  
czesny dobytek mieścił się w leżących obok plastikowych torbach. Stare budynki szpitalne za murem przechodziły gruntowną modernizację na apartamentowce, co miało istotnie zmienić panoramę tego fragmentu miasta. Idąc cały czas prosto, Rebus dotarł aż do Forrest Road, ale zamiast pójść dalej w stronę The Mound, przy Bobbym [Greyfriars Bobby — pomnik szkockiego teriera, który po śmierci swego pana, policjanta Johna Graya, przez 14 lat warował przy jego grobie] wybrał lewą odnogę i wkroczył na Grassmarket. Wiele pubów wciąż jeszcze było otwartych, przy noclegowniach dla bezdomnych zbierały się grupki pensjonariuszy. Gdy po raz pierwszy przyjechał do Edynburga, całe Grassmarket zdawało się jedną wielką rudera. Zresztą w tamtych czasach niemal całe Stare Miasto wymagało gruntownego remontu. Gdy patrzyło się na nie teraz, aż trudno było uwierzyć, jak kiedyś wyglądała ta okolica. Niektórzy twierdzą, że Edynburg nigdy się nie zmienia, ale to zupełna bzdura — miasto zmienia się bez przerwy. Grupki pałaczy sterczały przy



wejściach do pubów Beehive i Last Drop; przed smażalnią oferującą rybę z frytkami utworzyła się kolejka. Przechodząc obok, Rebus poczuł wiszącą w powietrzu woń smażonego tłuszczu i głęboko odetchnął, smakując znany zapach. Niegdyś Grassmarket szczyliło się stojącą na środku szubienicą na której straciły życie dziesiątki wyznawców siedemnastowiecznego Przymierza Narodowego. Może duch Todorowa się z nimi spotka. Na następnym rozwidleniu detektyw wybrał prawą odnogę i skręcił w King's Stables Road. Przechodząc obok parkingu, na moment się zatrzymał. Na parterze stał już tylko jeden samochód i Rebus pomyślał, że jego kierowca będzie się musiał pośpieszyć, bo najdalej za piętnaście minut parking zostanie zamknięty na noc. Samochód stał tuż obok miejsca napaści na Todorowa, nigdzie zaś nie było śladu oferującej seks kobiety w kapturze. Rebus zapalił papierosa i poszedł dalej, nie bardzo wiedząc, dokąd idzie. Za chwilę King's Stables Road skończy się na Lothian Road, a on stanie twarzą w twarz z hotelem Caledonian. Czy Andropow wciąż tam jeszcze jest? I czy on, Rebus, ma ochotę na jeszcze jedną konfrontację?

— Na to też fajny wieczór — powtórzył w duchu.

Ale zaraz potem przypomniał sobie masę pubów przy Grassmarket i pomyślał, że rozsądniej będzie zawrócić, wstąpić do któregoś na strzeziennego, potem złapać taksówkę i pojechać do domu. Zawrócił i ruszył tą samą drogą. Podchodząc do parkingu, dostrzegł, że ów ostatni samochód właśnie z niego wyjeżdża. Stał na jezdni i patrzył, jak kierowca wysiada, podchodzi do wyjazdu i uruchamia stalowe żaluzje, które z elektrycznym bzykiem zaczynają jechać w dół. Nie czekając na ich zjazd do samego dołu, mężczyzna wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Grassmarket.

Przystojniak Gary Walsh. Zaparkował swój samochód na poziomie zero... Czy nie zapewniał Rebusa, że zawsze parkuje piętro wyżej, w pobliżu swojej dyżurki? Żaluzje były już opuszczone, ale w jednej z nich na wysokości klatki piersiowej widniało niewielkie okienko inspekcyjne. Rebus pochylił się i zajrzał do środka. Wnętrze było nadal oświetlone — być może wcale nie gaszono światła na noc. W narożniku dostrzegł kamerę monitorującą. Pamiętał, jak zmiennik Walsh powiedział, że jedna kamera patrzyła dokładnie

w to miejsce, ale od czasu do czasu ją przestawiają”... Właściwie to zrozumiałe, pomyślał. Jak się pracuje na wielopoziomym parkingu, to się zostawia swój samochód w miejscu pilnowanym przez kamerę. Pieprzyć innych, byle mój samochód był bezpieczny...

Jak to powiedział Macrae: „Sprawa jest prostsza, niż się wydaje”. Te wszystkie wątki... Cath Mills zwana Babą-Jagą, podpytująca Rebusa o przygody na jedną noc i flirty w pracy... Aleksander Todorow wracający z całodniowej wycieczki do Glasgow i spotykający się w knajpie z Charlesem Riordanem, pijący za pieniądze Cafferty'ego i mający ślady spermy na bieliźnie...

Kobieta w kapturze.

Prostsze, niż się wydaje.

*Cherchez la femme...*

Poeta i jego libido. Leonard Cohen nagrał kiedyś płytę zatytułowaną *Death of a Ladies' Man* — Śmierć kobieciarza. W jednej z piosenek śpiewa: „Nigdy nie wracaj do domu, kiedy ci stoi”. W innej: „Prawdziwa miłość nie zostawia śladów”.

Tu było mnóstwo śladów: krew na parkingu, olej na ubraniu ofiary, plamy po nasieniu...

*Cherchez la femme.*

Odpowiedź była tak blisko, że Rebus niemal czuł jej smak na języku.

**DZIEŃ DZIEWIĄTY**

**Sobota,**

**25 listopada 2006**

Tuż po otwarciu Rebus pobrał bilet z automatu i odczekał, aż szlaban się uniesie i umożliwi wjazd. Wjeżdżając od strony Castle Terrace, znalazł się od razu na najwyższym piętrze parkingu i kierując się strzałkami, zjechał na pierwszy poziom. Zaparkował na jednym z wolnych miejsc obok dyżurki i podszedł do drzwi. Wprawdzie zapukał, ale nie czekając na odzew, pociągnął i otworzył.

— Co jest? — burknął Joe Wills. Siedział z kubkiem herbaty w obu dłoniach i niechętnie przypatrywał się intruzowi. Rozpoznał go i zmrużył oczy.

— Witam ponownie, panie Wills. Kolejna ciężka noc, co? — Parkingowy miał jednodniowy zarost, mętne zaczerwienione oczy i był bez krawata.

— Trochę popiłem — powiedział ponuro — ale Baba-Jaga zadzwoniła na komórkę i powiedziała, że Bill Prentice poszedł na chorobowe i żebym wziął za niego ranną zmianę.

— A pan się zgodził. To się nazywa sumienność! — Na stoliku leżała poranna gazeta, której tytuł na pierwszej stronie informował, że powodem śmierci Litwinienki był polon 210. Rebus nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał.

— A w ogóle to czego pan chce ode mnie? Myślałem, żeście już skończyli. — Rebus zauważył, że na kubku widnieje logo miejscowej stacji radiowej, Talk 107. — Pewno nie ma pan przypadkiem trochę mleka, co?

Rebus zignorował pytanie i spojrzał na ekrany monitoringu.

— Jeździ pan do pracy samochodem, panie Wills?  
— Czasami.  
— Pamiętam, jak pan mówił o starym rzęchu.  
— Ale ciągle jeździ.  
— Przyjechał pan nim dzisiaj?  
— Nie.  
— A dlaczego? — Rebus uniósł palec. — A, już wiem! Bo jakby trzeba było dmuchać, to mogłoby być źle, co? — Wills przytaknął. — Bardzo rozsądnie, panie Wills. Ale założę się, że jak pan nim przyjeżdża do pracy, to stawia go pan gdzieś na widoku, prawda?  
— Pewno. — Wills wypił łyk smolistej herbaty i się skrzywił.  
— Czyli w miejscu pilnowanym przez którąś z kamer, tak? — Pokazał głową na zestaw monitorów. — Zawsze w tym samym?  
— Zależy.  
— A pański zmiennik? O ile wiem, kolega woli parkować na parterze.  
— Skąd pan wie?  
Rebus znów pominął pytanie milczeniem.  
— Pamięta pan, jak tu byłem pierwszy raz, następnego dnia po morderstwie...?  
— Pamiętam.  
— ...kamery na dole nie widziały miejsca, w którym nastąpił atak. — Pokazał ręką jeden z monitorów. — Powiedział pan wtedy, że jedna z kamer jest skierowana w tamtą stronę, ale że ją od czasu do czasu przestawiają. Widzę, że znów ją przestawiono i że teraz pilnuje... niech zgadnę: miejsca parkowania Walsha?  
— To wszystko do czegoś zmierza?  
Rebus wykrzywił twarz w sztucznym uśmiechu.  
— Tak się zastanawiam, panie Wills, kiedy ją znów przestawiono? — Pochylił się nad parkingowym. — Bo jestem gotów się założyć, że podczas ostatniej pańskiej zmiany przed morderstwem kamera była ustawiona dokładnie tak jak teraz. I tylko potem ktoś się nią bawił.  
— Już mówiłem: czasami ją przestawiają.  
Rebus przybliżył twarz do twarzy Willsa na nie więcej niż dziesięć centymetrów.

— Ty wiesz, prawda? Może nie należysz do najbystrzejszych, ale doszedłeś do prawdy wcześniej niż my, co? Z kimś się tym podzieliłeś czy należysz do milczków? Bo może do szczęścia wystarczy ci tylko tankowanie wieczorem i odrobina mleka do porannej herbaty. A może nie chcesz wsypać kolegi, co? Ale oto moja rada, Wills, i we własnym interesie lepiej jej posłuchaj. — Zawiesił głos, by jeszcze bardziej przykuć jego uwagę. — Ani jednego, kurwa, słowa koledze. Bo jeśli piśniesz choćby słówko, a ja się o tym dowiem, to nie jego tylko ciebie wsadzę do pierdła, zrozumiano?

Wills zamarł w bezruchu i tylko kubek w jego dłoniach lekko drżał.

— Czy dobrze się rozumiemy? — powtórzył Rebus.

Parkingowy leciutko skinął głową, Rebus jednak jeszcze nie skończył.

— Adres — powiedział, kładąc notatnik na stoliku. — Zapisz mi tu adres. — W milczeniu patrzył, jak Wills odstawia kubek i spełnia polecenie. Prześlizgnął się wzrokiem po leżącej obok stercie kompaktów Walsh'a i pomyślał, że pewnie Wills nie będzie miał z nich pożytku. — I na koniec jeszcze jedno — burknął, zamykając notatnik. — Jak zobaczysz, że podjeżdżam pod szlaban, masz go otworzyć. Te wasze opłaty na tym parkingu to kryminał.



Dzielnica Shandon mieściła się w zachodniej części miasta i była wciśnięta między kanał a Slateford Road. Rebus pomyślał, że dojazd na miejsce nie zajmie mu więcej niż piętnaście minut, szczególnie w ruchu weekendowym. Włączył odtwarzacz i z głośników popłynęło promocyjne nagranie Eddiego Gentry'ego. Wyjął płytkę, rzucił na tylne siedzenie i nastawił kompakt Toma Waitsa, jednak chropowaty głos artysty okazał się zbyt natrętny i ostatecznie detektyw zdecydował się na ciszę. Dom Walsh'a miał numer 28 i należał do szeregowej zabudowy jednej z wąskich uliczek. Rebus zaparkował saaba tuż obok samochodu Walsh'a i zamknął go na klucz. Okno na piętrze było zasłonięte, ale trudno było się temu dziwić: jak się pracuje do późna wieczorem, to pewnie późno się wstaje. Postanowił nie korzystać z dzwonka i tylko lekko zapukał

do drzwi. Otworzyła kobieta w pełnym makijażu na twarzy i z wymyślną fryzurą na głowie. Wyglądało na to, że szykuje się do wyjścia, brakowało jej tylko szpilek na nogach.

— Pani Walsh? — upewnił się.

— Tak.

— Detektyw inspektor Rebus. — Podał jej swoją legitymację i w czasie gdy ją studiowała, on przyglądał się jej. Miała mniej więcej czterdzieści lat — czyli jakieś dziesięć lat więcej od męża, który wyglądał przy niej jak chłopak — jednak nazwanie jej przez Willsa „fajną laską” było w pełni uzasadnione. Była zadbana, tryaskała życiem i gdyby Rebus miał dla niej znaleźć jakieś określenie, powiedziałaby: „kobieta dojrzała”. Tyle że nic, co dojrzała, nie trzyma się wiecznie i lata jej urody były już pewnie policzone.

— Mogę wejść?

— A o co chodzi?

— O morderstwo, pani Walsh. — Jej zielone oczy zrobiły się okrągłe. — To, które się wydarzyło w miejscu pracy pani męża.

— Gary nic mi nie mówił.

— Rosyjski poeta. Znalezione go martwego u wylotu Raeburn Wynd.

— Czytałam coś w gazetach...

— Napadnięto go najpierw na parkingu. — Jej wzrok zaczynał się rozmazywać. — Stało się to w poprzednią środę wieczorem, tuż przed końcem pracy męża... — Zamilkł i po krótkiej przerwie dodał: — Naprawdę nic pani nie wie?

— Nic mi nie powiedział.

Mimo makijażu widać było, że twarz kobiety nieco przybladła. Rebus sięgnął do notatnika i wyciągnął wycinek z gazety. Zawierał zdjęcie poety, przedrukowane z obwoluty jednego z jego tomików poezji.

— Nazywał się Aleksander Todorow... — zaczął, ale pani Walsh obróciła się nagle na pięcie i ruszyła w głąb domu, zostawiając niedomknięte drzwi. Rebus na moment się zawahał, potem pchnął je i wszedł do środka. Przedpokój był nieduży, na wieszakach obok schodów wisiało kilka płaszczy. Znajdujące się w

przedpokoju drzwi prowadziły do kuchni, drugie do pokoju. Siedząc na kanapie, upinała wokół kostek paski od pantofli na wysokim obcasie.

— Spóźnię się — mruknęła, nie podnosząc głowy.

— A gdzie pani pracuje? — spytał, rozglądając się po pokoju. Duży telewizor, duża wieża hi-fi, półki wypełnione po brzegi kompaktami i kasetami.

— W dziale kosmetyków.

— Chyba pięć minut pani nie zbawi...

— Gary teraz śpi. Niech pan przyjdzie później. Tylko że ma pojechać z samochodem do serwisu. Muszą naprawić odtwarzacz... — Głos jej zamarł.

— O co chodzi, pani Walsh? — Podniosła się z kanapy i stała tak, nerwowo zacierając dłonie i lekko się chwiejąc. Rebus wąpił, by powodem były jej wysokie obcasy. — A tak przy okazji, bardzo ładny ten pani płaszcz z lodenu. — Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby zagadał do niej w obcym języku. — Ten na wieszaku w przedpokoju. Czarny z kapturem... Wygląda na dość ciepły. — Uśmiechnął się smutno. — Jest pani gotowa mi o tym opowiedzieć?

— Nie mam nic do opowiadania. — Rozejrzała się po pokoju, jakby szukając drogi ucieczki. — Musimy dać samochód do serwisu...

— Już to pani mówiła. — Zmrużył powieki i wyjrzał przez okno na stojącego pod domem forda escorta. — Co pani sobie przypomniała, pani Walsh? A może powinniśmy obudzić Gary'ego?

— Muszę iść do pracy.

— Ale przedtem musi pani odpowiedzieć na kilka pytań. — „Sprawa jest prostsza niż się wydaje”. Wciąż kołatały mu się po głowie słowa Macrae. Śmierć Todorowa nakierowała go na Cafferty'ego i Andropowa, a on się ich uczepił, bo tak naprawdę to oni go interesowali. Bo chciał żeby się okazało, że maczali w tym palce. Doszukiwał się drugiego dna tam, gdzie go wcale nie było. Andropow spanikował po swoich nierozważnych słowach, ale to jeszcze nie znaczyło, że zabił poetę...

— Jak się pani dowiedziała o Garym i Cath Mills? — spytał cicho. Pamiętała, jak podczas popijawy w winiarni Mills powiedziała,



że „w zasadzie” dała już sobie spokój z przygodami na jedną noc.

Pani Walsh spojrzała na niego przerażonym wzrokiem, opadła na kanapę i wcisnęła twarz w dłonie, rozsmarując swój doskonały makijaż. Potem parę razy wymamrotała przez palce: „O mój Boże” i w końcu uniosła głowę.

— Zapewnił mnie, że to był tylko jeden raz... Tylko jeden raz. I że popełnił błąd. Straszny błąd.

— Ale pani mu nie uwierzyła, prawda? — Tak, musiała wiedzieć, że Gary Walsh znów da się skusić i znów wykona skok w bok. Był młody, świetnie zbudowany, przystojny niczym gwiazdor rocka i miał świadomość, że jego żona z każdym dniem robi się coraz starsza i że nawet najlepszy makijaż nie wygra z czasem. — Ale wpadła pani na naprawdę rozpaczliwy pomysł — powiedział cicho. — Kręcenie się po ulicy w kapturze na głowie, tak żeby musiał panią zauważyć, i oferowanie seksu przypadkowym przechodniom...

Po obu policzkach płynęły jej łzy, ramionami wstrząsał szloch.

I do tego wszystkiego Aleksander Todorow, który ma pecha być w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Atrakcyjna kobieta oferuje mu seks bez żadnych zobowiązań, idzie z nim na parking i prowadzi do miejsca, o którym wie, że jest dobrze widoczne na ekranie monitora. Świadczy o tym samochód Gary'ego — tyle że Todorow nie ma o tym pojęcia. A potem na oczach męża rżnie się z dopiero co spotkanym mężczyzną. Niech łądjak wie, jak boli niewierność...

— Robiliście to na samochodzie? — zapytał Rebus. — Na masce?

Znów spojrział na stojącego pod domem escorta. Mogą na nim być jeszcze odciski palców, ślady krwi, może nawet nasienia.

— W środku — powiedziała prawie szeptem.

— W środku?

— Miałam zapasowe kluczyki.

— Oni też...? — Nie musiał kończyć zdania. Kiwnęła głową, że Walsh i Baba-Jaga zrobili to w tym samym miejscu.

— Nie ja to wymyśliłam — powiedziała to tak cicho, że Rebus musiał wytężyć słuch, by ją usłyszeć.

— A ten pani partner...? To on chciał wejść do środka, tak?

Kolejne kiwnięcie głową.

— Zawsze to trochę przyjemniej — powiedział i w tym momencie go olśniło. Ten brakujący kompakt... Ostatni występ Todorowa, nagrany przez Riordana... „Samochód do serwisu”... „trzeba naprawić odtwarzacz”... — A co się stało z odtwarzaczem, pani Walsh? — zapytał cicho. — To przez ten jego kompakt, prawda? Chciał go słuchać w czasie, kiedyście...

Spojrzała na niego poprzez rozmazany tusz do rzęs.

— Zaklinował się w środku. Ale ja nie wiedziałam, nie wiedziałam...

— Nie wiedziała pani, że został potem zabity?

Gwałtownie pokręciła głową i Rebus pomyślał, że chyba jej wierzy. Chodziło jej o obojętnie jakiego mężczyznę. Kogoś, kogo by potem po prostu wyrzuciła z pamięci. Nawet go nie spytała o imię czy narodowość. Może nawet nie spojrzała mu w twarz. Może przedtem wypijała kilka drinków dla kurażu.

A jej mąż nie chciał do tego wracać... i dlatego nic jej nie powiedział.

Rebus stał przy oknie, zatopiony w myślach. Tak wiele rodzinnych awantur. Tylu małżonków, którzy wzajemnie się atakują, okłamują i zdradzają, dają się ponieść furii i wzajemnym urazom. „Czuje się w tym jakąś furie”... Tyle wybuchającej nagle lub wzbierającej latami agresji, wzajemnego osaczania się, walki o władzę. I miłości, która z biegiem lat wygasa lub, co gorsza, zamienia się w nienawiść...

Na podeście schodów stanął zaspany, przecierający oczy Gary Walsh. Zawołał do żony: „Jeszcze jesteście?”, zszedł na dół i wszedł do pokoju. Był boso, bez koszuli, w samych tylko spranych dżinsach. Jedną ręką czochrał się po pozbawionej owłosienia klatce piersiowej, drugą zawzięcie tarł oczy. Zamrugał nimi i dopiero wtedy dojrzał, że w pokoju jest ktoś jeszcze... Spojrzał na żonę pytająco... Miała twarz wykrzywioną grymasem cierpienia, czarne od tuszu łyzy skapywały jej z brody... Gary przeniósł wzrok na intruza i dopiero w tym momencie rozpoznał Rebusa. Odruchowo spojrzał na drzwi, jakby sprawdzając drogę ucieczki.

— Na bosaka, Gary? — zaśmiał się Rebus.

— Nawet w butach nurka będę od ciebie szybszy, ty spasiona świnię — prychnął Walsh.

— A oto przykład niekontrolowanej furii, o jaki nam chodziło — rzekł Rebus z bladym uśmiechem. — Może opowiesz teraz żonie, co się stało z Aleksandrem Todorowem, kiedy go dostałeś w swoje łapy.

— On zasnął w samochodzie — powiedziała cicho pani Walsh, jakby odtwarzała w myślach tamtą scenę. Oczywiście miała zaczerwienione i nabrzmiałe łzami, ale nie odrywała ich od męża. — Zdałam sobie sprawę z tego, że jest pijany... Nie mogłam go dobudzić, więc go zostawiłam.

Gary stał oparty plecami o framugę drzwi. Miał głowę odrzuconą do tyłu, ręce splecione za sobą.

— Nie wiem, o czym ona mówi — burknął. — Naprawdę nie wiem.

Rebus wyjął komórkę i wybrał na klawiaturze numer, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Gary'ego. Walsh też go bacznie obserwował i było po nim widać, że nie porzucił myśli o ucieczce.

— Siobhan? Mam dla ciebie dobrą wiadomość. — Zaczął jej dyktować adres i w tym momencie Walsh wykonał gwałtowny obrót i wyrzuciwszy przed siebie rękę, szarpnął za klamkę. Drzwi odskoczyły i w szparze znaczącej drogę ku wolności pojawił się obraz sennej uliczki. Mężczyzna nie zdążył zrobić kolejnego ruchu, bo w tym samym momencie Rebus całym swym ciężarem docisnął go do framugi z taką siłą, że Walshowi zaparło dech i zachwiał się na nogach. Rebus zatrzasnął drzwi i puścił Walsha, który osunął się na kolana, krztusząc się krwią z rozbitego nosa. Jego żona nawet tego nie zauważyła. Siedziała na krawędzi kanapy z twarzą ukrytą w dłoniach, pogrążona we własnej rozpacz. Rebus podniósł komórkę z pokrytej wykładziną podłogi. Czuł, jak wali mu serce, rozprawdzając po całym ciele potężną porcję adrenaliny. Tego przywileju swojej pracy też mu będzie brakowało...

— Przepraszam — powiedział do słuchawki — ale właśnie na kogoś wpadłem...

Ekipa techników przyjechała po forda escorta i wyjęcie zaklinowanego kompaktu zajęło jednemu z nich tylko parę minut. Jak się okazało, płytka nie została uszkodzona i bez trudu można ją było odsłuchać na odtwarzaczu przy Gayfield Square. Nie miała żadnej etykiety i tak jak kopia sporządzona dla nich wcześniej przez Riordana, nosiła tylko jego nazwisko. Pomyślną wiadomością było też to, że wewnątrz bagażnika wyglądało obiecująco. Wprawdzie Walsh obmył z krwi ciężki młotek z pazurem do wyciągania gwoździ, ale na innych przedmiotach pozostało mnóstwo śladów. Wiadomo było, że cały samochód — z zewnątrz i od wewnątrz — zostanie szczegółowo przebadany w laboratoriach w Howdenhall przez ludzi Raya Duffa i nawet Derek Starr musiał przyznać, że udało się osiągnąć „wynik”. Tym bardziej mile go to zaskoczyło, że jedynym efektem pracy w sobotę, jakiego się spodziewał, była lista płac za nadgodziny. Niemal podskakując z radości, natychmiast podzielił się dobrą nowiną z samym komendantem, do którego zadzwonił do domu, nim ktokolwiek miał szansę go ubiec. Nie uradował tym starszego inspektora Macrae, którego zawiadomił dopiero w drugiej kolejności.

Gary'ego Walsha posadzono w PP1, Louise Walsh w PP2 i poddano oddzielnym przesłuchaniom. Walsh szedł w zaparte i wszystkie się wypierał, jednak w miarę przedstawiania mu coraz to nowych dowodów i poszlak jego upór stopniowo się kruszył: młotek w bagażniku, ślady krwi, przestawienie kamery, żeby wyglądało,

że nie mógł być świadkiem napaści. Wystawiono nakaz rewizji i śledczy spytali, czy mają oczekiwać, że w domu lub miejscu pracy Walsh natkną się na przedmioty skradzione Todorowowi, jednak ten zaprzeczył.

— Nie chciałem go zabić, tylko wyrzucić z mojego samochodu... Przeleciał mi żonę i spał sobie w najlepsze, cuchnąc gorzałą potem i jej perfumami... Trochę go potarłosłem i położył sobie w noc... Wsiadłem w samochód i wyjechałem z parkingu, ale zaraz zauważyłem, że mi spieszył coś w odtwarzaczu, bo w ogóle nie chciał grać... i to było jak ostatnia kropla... zobaczyłem go w tej ślepej uliczce no i dostałem szału... po prostu mi odbiło i straciłem panowanie, ale to wszystko przez nią... Pomyślałem, że jak mu zabiorę parę rzeczy, to będzie wyglądało na napad rabunkowy... Wszystko leży pod Skatą Zamkową bo wszystko rzuciłem za mur...

— Czyli — powiedziała z goryczą Siobhan, poznawszy wersję wydarzeń — po tylu naszych wysiłkach wychodzi na to, że mamy do czynienia ze zwykłym konfliktem rodzinnym. — W jej głosie dało się słyszeć zawód, jakby nie mogła w to uwierzyć. Rebus wzruszył ramionami. Znalazł się w wydziale śledczym przy Gayfield Square dzięki osobistej decyzji inspektora Starra, który wyraził zgodę na jego powrót. Oświadczył też, że wszelkie konsekwencje swej decyzji bierze na siebie.

— Bardzo to wspaniałomyślne — oznajmił wtedy Rebus.

— Zdarza mu się skok w bok — ciągnęła Clarke, zwracając się bardziej do siebie niż do Rebusa — i przyznaje się do tego żonie, która postanawia się zemścić. W rezultacie wpada w szal i nieszczęsny podpity frajer, który dał się namówić na seks, trafia do kostnicy? — Pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Zimna, oczyszczająca śmierć — powiedział Rebus.

— To fraza z wiersza Todorowa. I nie widzę w niej nic „oczyszczającego”.

Rebus wzruszył ramionami.

— Andropow od razu powiedział: *cherchez la femme*. Próbował w ten sposób zamydlić oczy, ale jak się okazuje, miał rację.

— Kompan od kieliszka Cafferty... nagrywający wieczory poezji Riordan... Andropow, Stachow, Macfarlane, Bakewell...? — Odliczała nazwiska na palcach.

— Nie mieli z tym nic wspólnego. — Rebus pokiwał głową. — Okazuje się, że wszystko sprowadza się do zaklinowanego kompaktu i faceta, któremu odbija.

Stojąc na korytarzu koło pokoiów przesłuchań, rozmawiali przyciszonymi głosami, oddzieleni tylko drzwiami od Walsh'a i jego żony. Mimo to Clarke parsknęła głośnym śmiechem na widok zbliżającej się postaci w mundurze, w której Rebus rozpoznał Todda Goodyeara.

— Znowu poszedłeś w kamasze? — Goodyear się uśmiechnął.

Goodyear strzepnął niewidoczny paproch z bluzy munduru.

— Dali mi weekendową służbę na West Endzie, ale jak tylko usłyszałem, to nie mogłem wytrzymać, żeby tu nie wpaść. To prawda?

— Na to wychodzi — westchnęła Clarke.

— Parkingowy? — Odczekał, aż Siobhan potwierdzi ruchem głowy. — Czyli te wszystkie godziny, które prześlęczałem nad taśmami Riordana...?

— Należały do procesu śledczego — zapewnił go Rebus i poklepał młodzieńca w ramię.

Goodyear spojrział na niego badawczo.

— Już pana odwiesili — bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Nic nie umyka twojej uwadze, chłopcze.

Goodyear podał mu rękę.

— Cieszę się, że dali panu spokój z tą sprawą Cafferty'ego.

— Nie jestem pewien, czy już całkiem mnie sobie odpuścili, ale dziękuję.

— Powinien pan naprawić ten bagażnik w samochodzie. Rebus zachichotał.

— I tu masz rację, synu. Jak tylko znajdę wolną chwilę...

Przeniósłszy wzrok na Clarke, Goodyear uściśnął jej dłoń i podziękował za pomoc.

— Fajnie się sprawiłeś, kolego — odparła z udawanym amerykańskim luzem.

Kark mu poczerwieniał, raz jeszcze skłonił głowę i odwróciwszy się na pięcie, ruszył z powrotem.

— Bóg jeden wie ile pracy włożył w te parlamentarne taśmy — powiedziała półgłosem. — I wszystko na próżno.

— To są uroki życia, Shiv.

— Ale ty naprawdę powinieneś się zająć tym swoim samochodem.

Ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

— To już nie ma teraz większego znaczenia — oświadczył. — Za parę godzin i tak zdam odzież ochronną, razem ze wszystkim innym.

— Ale zanim to zrobisz...

Spojrzał na nią wyczekująco.

— Tak?

— Zaprezentowałeś mi swój show, więc powinieneś też zobaczyć mój.

Skrzyżował ręce na piersi i zakotłosał się na piętach.

— Wyjaśnij.

— Wczoraj powiedzieliśmy sobie, że na zakończenie chciałibyśmy wszystko domknąć.

— Tak powiedzieliśmy.

— To chodźmy na salę sprawdzić, co się udało załatwić inspektorowi Macrae.

Jej propozycja go zaintrygowała i bez słowa sprzeciwu ruszył za nią. Sala była pusta, jakby wszystkich gdzieś wymiotło. Ekipa śledcza w sprawie Todorowa/Riordana opuściła swe stanowiska.

— Nawet nie ma z kim wypić piwa — mruknął z żalem.

— Trochę wcześniej na piwo. A poza tym nie chciałeś żadnych pożegnań.

— Myślałem o toaście za sukces w sprawie Todorowa...

— Ty to nazywasz sukcesem?

— W każdym razie mamy wynik.

— Tylko co tak naprawdę dają nam te „wyniki”?

Pogroził jej palcem.

— Dobrze, że stąd odchodzę. Jeszcze parę tygodni i zgorzkniejesz tak, że już cię nic nie uratuje.

— Ale byłoby fajnie mieć świadomość, że jednak coś udało nam się osiągnąć, nie sądzisz? — spytała, wzdychając.

— Myślałem, że właśnie to mi chciałaś pokazać.

W końcu uśmiechnęła się i usiadła przy komputerze.

— Zrobiłam wszystko zgodnie z regułami. Zwróciłam się do inspektora Macrae, żeby poprosił kolegę o wstawienie się za nami w dyrekcji Gleneagles. Obiecali, że z samego rana przyślą mi maila z informacjami.

— Z informacjami na jaki temat?

— Na temat gości, którzy opuścili hotel późnym wieczorem lub wcześniej rano w dniu śmierci Riordana. Tych, którzy wyjechali, i tych, którzy potem wrócili.

Mówiąc to, nie przestawała klikać myszką. Rebus podszedł bliżej, stanął za jej plecami i wpatrzył się w ekran.

— Na kogo stawiasz: Andropow czy jego kierowca? — zapytał.

— W każdym razie jeden albo drugi.

Potem jednak treść e-maila wyświetliła się na ekranie i Clarke ze zdumienia aż otworzyła usta.

— No, no — powiedział Rebus.



Dopięcie wszystkiego zajęło im całe przedpołudnie i znaczną część popołudnia. Mając w ręku informacje otrzymane z Gleneagles, spróbowali szczęścia i poprosili jeszcze o numery rejestracyjne samochodów gości hotelowych. Po otrzymaniu listy Rebus wyciągnął Graeme'a MacLeoda z sobotniej partii golfa i gdy spotkali się w Centralnej Stacji Monitorowania, raz jeszcze przejrzel nagrania z kamer na Joppa i Portobello. Tym razem mieli ułatwione zadanie, bo szukali już konkretnego samochodu. Nim zdążyli wrócić do komisariatu, Walshowi postawiono formalne zarzuty, jego żonę zaś zwolniono. Rebus zagłębił się w protokoły przesłuchań obojga, Clarke zdawała się bardziej zainteresowana radiową transmisją z meczu w rugby na Murrayfield, w którym Australia roznosiła Szkocję.

Gdy wreszcie wkroczyli do PP1 i zwolnili mundurowego, mówiąc mu, że może już iść do domu, była piąta po południu. Pół godziny wcześniej Rebus wyszedł na papierosa i ze zdumieniem stwierdził, że jest już całkiem ciemno. Okazało się, że cały dzień przemknął gdzieś niepostrzeżenie, i detektyw pomyślał, że tego też mu będzie brakowało po rozstaniu się ze służbą... Ale na razie czekała ich jeszcze dobra zabawa. Zanim drzwi w PP1 się zamknęły, Rebus szepnął Clarke na ucho, że chciałby z podejrzanym spędzić dwie minuty sam na sam. Dodał też, że obiecuje nie popełnić żadnego głupstwa. Zawahała się, ale uległa. Upewniwszy się, że dobrze zamknęła za sobą drzwi,



Rebus podszedł do stołu i przyciągnął sobie krzeselko na metalowych nóżkach, nie zapominając zgrzytnąć nimi po podłodze najgłośniej, jak się dało.

— Cały czas się zastanawiałem — zaczął — o co tak naprawdę chodziło w tym pańskim obskakiwaniu Andropowa, i w końcu doszedłem do wniosku, że chodziło tylko o jego pieniądze. I panu, i pańskiemu bankowi jest obojętne, w jaki sposób do nich doszedł...

— Nie prowadzimy interesów z aferzystami, panie inspektorze — zachnął się Stuart Janney. Był ubrany w granatowy kaszmirowy golf, jasnozielone spodnie z samodziału i brązowe mokasyny. Jego weekendowy strój był zbyt wystudiowany i pieczołowicie dobrany, żeby go można było nazwać swobodnym.

— Ale zdobycie dla banku multimilionera z jego całym majątkiem zatknęłoby kolejne pióro w pańskim pióropuszu, prawda? Interesy FAB idą jak burza, panie Janney. Zyski banku liczą się w miliardach, ale wśród jego pracowników nadal trwa wyścig szczurów i wzajemne podgryzanie się i pożeranie. I dlatego trzeba pilnować, żeby własne nazwisko lśniło jak najjaśniejszym blaskiem...

— Nie bardzo rozumiem, do czego to wszystko zmierza. — Widać było, że Janney jest już zniecierpliwiony.

— Sir Michael Addison uważa cię pewnie za jedną ze swoich gwiazd. Ale to już nie potrwa długo, Stuart. Chciałbyś wiedzieć dlaczego?

Janney rozparł się wygodniej na krześle. Wyglądał na zupełnie zrelaksowanego i niezbyt zainteresowanego tym, co Rebus ma mu do powiedzenia.

— Widziałem to nagranie — powiedział Rebus niemal szeptem.

— Jakie nagranie? — Wzrok Janneya powędrował ku twarzy Rebusa i już jej nie opuścił.

— Nagranie, na którym widać, jak oglądasz inne nagranie. Może trudno w to uwierzyć, ale Cafferty miał założony podgląd w swojej sali projekcyjnej. I sfilmował, jak się ślinisz przy oglądaniu amatorskiego porno. — Rebus wyjął z kieszeni płytkę DVD.

— To rzeczywiście wielki brak dyskrecji z jego strony.

— Dla dużej części gości pewnie tak, ale nie dla ciebie. — Rebus uśmiechnął się zimno, pilnując, by promień światła odbitego od srebrzystej powierzchni płytki padł prosto w oczy Janneya i zmusił go do zmruczenia powiek. — Bo widzisz, Stuart, w twoim przypadku wykracza to daleko poza zwykłą „niedyskrecję”. — Rebus wsparł się na łokciach i pochylił nad stołem. — Ta cała impreza? Ta scena w łazience? Wiesz, kim była ta lodziara, ta naćpana lodziara? To niejaka Gili Morgan, coś ci to mówi? Oglądałeś w akcji ukochaną pasierbicę szefa: najpierw jak ciągnie kokę, potem jak komuś robi loda. Jak się teraz zachowasz na następnym firmowym śniadaniu w obecności sir Mike'a?

Krew odpłynęła z twarzy Janneya tak gwałtownie, jakby się gdzieś otworzył kranik odpływowy. Rebus wstał, schował płytkę DVD do kieszeni i podszedł do drzwi. Siobhan Clarke spoglądała na niego pytająco, ale uznawszy, że nic z jego twarzy nie wyczyta, ruszyła do stołu. Usiadła na krześle Rebusa i położyła przed sobą teczkę z dokumentami i plik fotografii. Rebus patrzył, jak przez chwilę się skupia, potem unosi głowę, spogląda w jego stronę i się uśmiecha. Odpowiedział uśmiechem i potakująco kiwnął głową.

Co znaczyło: „Teraz twoja kolej”.



— Poniedziałkową noc z dwudziestego na dwudziestego pierwszego listopada — zaczęła — spędził pan w hotelu Gleneagles w Perthshire. Zdecydował się pan jednak bardzo wcześniej wyjechać... Dlaczego, panie Janney?

— Bo chciałem być wcześniej w Edynburgu.

— I tylko dlatego postanowił pan o trzeciej nad ranem poprosić o rachunek?

— W biurze czekała na mnie masa roboty.

— Ale nie aż tyle — wtrącił Rebus — żeby to panu przeszkodziło podrzucić nam wykaz Rosjan od Stachowa.

— To prawda — przyznał Janney. Widać było, że wciąż próbuje przetrwać wiadomość usłyszaną od Rebusa. Nie umknęło to też uwadze Clarke, która pomyślała, że Rebus musiał mu powiedzieć coś takiego, co go całkiem wytrąciło z równowagi...

451

— A ja myślę, że przywiózł pan nam ten wykaz po to, żeby się zorientować, co wiemy o sprawie Charlesa Riordana.

— Co?

— Słyszał pan o psach, które wracają do własnych wymiocin?

— To chyba Szekspir, prawda?

— Ściśle mówiąc, Biblia — poprawił Rebus, — Księga Przysłów.

— To nie to samo co powrót do miejsca przestępstwa — ciągnęła Clarke — ale okazja do zadania paru pytań. Sprawdzenia, co się dzieje...

— Nadal nie rozumiem, do czego państwo zmierzają.

Clarke zrobiła kilkusekundową przerwę, potem zajrzała do teczki z dokumentami.

— Mieszka pan w Barnton, panie Janney?

— Tak.

— Ma pan dobry dojazd mostem na Forth Road.

— Rzeczywiście.

— I tamtędy pan wrócił z Gleneagles?

— Chyba tak.

— Bo można by też przez Stirling i autostradą M dziewięć — podsunęła Clarke.

— Albo na upartego — wtrącił Rebus — można pojechać mostem Kincardine.

— Ale niezależnie od wariantu — ciągnęła Clarke — do miasta wjeżdża się zawsze od zachodu albo od północy, dzięki czemu łatwo dotrzeć panu do domu. — Znowu zawiesiła głos. — I dlatego zachodzimy w głowę, próbując zrozumieć, dlaczego półtorej godziny po wyjeździe z Gleneagles pańskie srebrne porsche carrera znalazło się nagle na Portobello High Street. — Przesunęła po stole odbitkę obrazu z kamery monitorującej. — Jak pan widzi, na zdjęciu widnieje dokładna data i godzina, a pańskie porsche jest jedynym z niewielu pojazdów na drodze. Zechciałby pan nam wyjaśnić, panie Janney, co pan tam robił?

— To z pewnością jakaś pomyłka... — Janney patrzył jednak gdzieś w bok, jakby był bardziej zainteresowany podłogą niż obrazem z kamery.

— I to pan powie w sądzie? — parsknął Rebus. — Pański nieludzko drogi adwokat wstanie i oświadczy sądowi, że to z pewnością jakaś pomyłka, tak?

— Może nie chciało mi się od razu wracać do domu — bąknął Janney.

Rebus radośnie klasnął w dłonie.

— To już lepiej! — wykrzyknął. — Jak się ma taki samochód, to człowiek ma ochotę nim pojeździć widokową szosą wzdłuż wybrzeża. Może zapuścić się nawet aż pod samą granicę...

— My jednak, panie Janney, sądzimy, że było całkiem inaczej — przerwała Clarke. — Siergiej Andropow zamartwiał się pewnym nagraniem... — Na wzmiankę o nagraniu Janney poszukał wzrokiem spojrzenia Rebusa, a ten powoli i z teatralną przesadą puścił do niego oko. — Może sam panu o tym wspomniał, może zrobił to za niego jego kierowca — ciągnęła Clarke. — Andropow martwił się, że jego uwaga o życzeniu Todorowowi śmierci została nagrana i teraz, po śmierci Todorowa, obawiał się, że jeśli to nagranie dostanie się w nasze ręce, on będzie pierwszym podejrzanym. W rezultacie mógłby zostać zmuszony do wyjazdu, a może nawet deportowany. A Szkocja miała stać się jego nową ojczyzną, bezpiecznym azylem na przyszłość. Jedyne, co go czeka w Moskwie, to głośny proces. No i opuszczenie Szkocji oznaczałoby, że jego wszystkie ambitne plany opuszczają ją wraz z nim. I dlatego zdecydował się pan pojechać do Riordana i namówić go do zniszczenia nagrania. Nie udało się, doszło do rękoczynów i gospodarz padł nieprzytomny na podłogę...

— Ja nawet nie znałem Riordana!

— To dziwne — wtrącił Rebus sztucznie obojętnym tonem — bo pański bank jest głównym sponsorem instalacji artystycznej w parlamencie, w której przygotowaniu Riordan uczestniczył. Myślę, że jak popytamy, to natrafimy na kogoś, kto potwierdzi, że się z sobą kontaktowaliście...

— Sadzę, że nie miał pan zamiaru go zabijać — wtrąciła Clarke, starając się nadać swojemu głosowi współczujący ton. — Chciał pan tylko pozbyć się tego nagrania. I dlatego powalił go pan, żeby spokojnie poszukać taśmy. Okazało się jednak, że było to jak szukanie igły w stogu siana... Dom Riordana był zawalony tysiącami taśm i dysków. I wtedy wymyślił pan ten pożar. Nieduży.

Taki, który nie spali całego domu i nikogo w środku nie usmaży. Chodziło panu tylko o taśmy. Było ich zbyt wiele, żeby je stamtąd wywozić, i miał pan za mało czasu, żeby je wszystkie przejrzeć. Wetknął pan więc papier w butelkę z rozpuszczalnikiem, podпалиł i sobie poszedł.

— To jakies brednie! — wykrzyknął Janney. Głos aż mu się łamał ze zdenerwowania.

— Niestety okazało się — ciągnęła Clarke, nie zważając na protesty — że wszystkie akustyczne zastawki, którymi wyłożone było studio, wykonano z łatwopalnego materiału... Po śmierci Riordana zaczęliśmy szukać podejrzanego już w dwóch zabójstwach i wtedy okazało się, że Andropow pasuje do obu. Cały pański trud, panie Janney, poszedł na marne. Charles Riordan stracił życie za nic.

— Ja tego nie zrobiłem!

— I mówi pan prawdę?

Janney potwierdził ruchem głowy, choć nadal unikał wzroku obojga detektywów.

— No to skoro tak, to w porządku — powiedziała Clarke, zamykając teczkę i zbierając fotografie. — To nie ma się pan czym martwić. — Janney przyglądał się z niedowierzaniem, jak Siobhan wstaje od stołu i szykuje się do wyjścia. — To w zasadzie kończy sprawę. Przejdziemy jeszcze tylko przez laboratorium i będzie pan wolny.

Janney też się podniósł i stał teraz wsparty o blat stołu, jakby nie bardzo dowierzał swym nogom.

— Laboratorium?

— To czysta formalność, proszę pana — zapewnił go Rebus. — Musimy tylko pobrać od pana odciski palców.

Janney nawet nie drgnął.

— Po co odciski?

— Na buteleczce po rozpuszczalniku znaleźliśmy odcisk palca — wyjaśniła spokojnie Clarke. — Musi należeć do tego, kto wywołał pożar. — Ale to nie może być twój odcisk, prawda? Ty w tym czasie jechałeś wzdłuż naszego pięknego wybrzeża, rozkoszując się czystym, chłodnym powietrzem przed świtem...

— Odcisk palca. — Te dwa krótkie słowa wymknęły mu się z ust jakby ukradkiem. Jak zwierzątko, które chce szybko się ukryć.

— Sam też lubię pojeździć — ciągnął Rebus. — Dziś przechodzę na emeryturę, więc będę mógł poświęcić temu dużo więcej czasu. Może nawet poproszę, żebyś mi pokazał tę trasę, którą jechałeś... Stuart, dlaczego znów siadasz?

— Czy możemy panu zaproponować coś do picia, panie Janney? — spytała Clarke z troską w głosie.

Janney spojrział na nią przeciągle, potem przeniósł wzrok na Rebusa, by ostatecznie zdecydować, że najciekawiej jest na suficie. Gdy się wreszcie odezwał, jego gardło było tak ściśnięte, że żadne z dwojga detektywów nie było pewne, czy go dobrze usłyszeli.

— Zechciałby pan powtórzyć? — powiedziała grzecznie Clarke.

— Możecie mi wezwać adwokata — wydusił Janney.

— Kiedy na filmach ktoś odchodzi na emeryturę albo rezygnuje z pracy — powiedziała Siobhan Clarke — to prawie zawsze pokazują, jak wynosi z budynku pełne pudło.

— No, to prawda — potwierdził Rebus. Właśnie skończył przegląd zawartości swego biurka i nie znalazł w nim nic osobistego. Wyszło na to, że nie miał nawet własnego kubka i pijał z tego, co akurat było pod ręką. Skończyło się na tym, że schował do kieszeni dwa tanie długopisy i jedną saszetkę lemsipu [Środek przeciw-grypowy, podobny w stosowaniu i działaniu do gripeksu], którego data przydatności do spożycia minęła rok wcześniej.

— Miałeś grypę w grudniu zeszłego roku — przypomniała mu Clarke.

— Ale i tak włókłem do pracy moje nieszczęsne cielsko.

— Po to tylko, żeby przez tydzień kichać i użalać się nad sobą — wtrąciła Phyllida Hawes, biorąc się pod boki.

— I częstować mnie swoimi zarazkami — dodał Colin Tippet.

— Ach, to były czasy! — powiedział Rebus z westchnieniem. Inspektora Macrae nie było w biurze i tylko na jego biurku leżała odręcznie napisana kartka, że Rebus ma zostawić swoją legitymację służbową. Inspektor Starr też już wyszedł. Minęła szósta, co znaczyło, że siedzi pewnie teraz w klubie albo jakiejś winiarni i próbuje podrywać na opowieść o swym dzisiejszym sukcesie.

Rebus rozejrzał się po biurkach.

— Wyście mi naprawdę nic nie kupili, wy żałosne kreatury.

— Wiesz, ile teraz kosztują złote zegarki? — parsknęła Clarke.

— Za to mamy na wieczór zarezerwowaną tylną salkę w Ox i stu-funtowy kredyt w barze. To, czego nie wypijemy dziś, zostanie do twojej dyspozycji na później.

— Czyli wychodzi na to — powiedział Rebus w zamyśleniu — że w podzięce za wszystkie wspólnie spędzone lata chcecie, żebym się zapił na śmierć.

— A na dziewiątą mamy stolik w Cafe St Honore, kawał drogi z Ox.

— I jeszcze większy z powrotem — dodała Hawes.

— Tylko my czworo? — spytał Rebus.

— Może się zdarzyć, że ktoś jeszcze zajrzy. Macrae obiecał, że wpadnie... Tam Banks i Ray Duff... profesor Gates i doktor Curt... Todd z dziewczyną...

— Prawie ich nie znam — odrzekł.

Clarke złożyła ręce na piersiach.

— Musiałam ich długo namawiać — prychnęła — więc nie myśl sobie, że będę teraz wszystko odkręcać!

— Czyli impreza moja, ale reguły twoje, tak?

— I Shug Davidson też coś przebąkiwał, że przyjdzie — przypomniała Hawes.

— Przecież wciąż jeszcze jestem podejrzany w sprawie napadu na Cafferty'ego! — wykrzyknął Rebus, groźnie wywracając oczami.

— On tak nie uważa — powiedziała Clarke.

— A Calum Stone?

— Nie sądzę, żeby chciał przyjść.

— Przecież wiesz, o co pytam.

— To co, możemy się już zmywać? — spytała Hawes. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Rebusa, a ten kiwnął potakująco głową. Tak naprawdę chciałby przez pięć minut zostać sam i po swojemu pożegnać się z tym miejscem, pomyślał jednak, że chyba nie ma to większego sensu. Gayfield Square było tylko jednym z wielu komisariatów, w których przyszło mu pracować. Jego nieżyjący już od lat stary przyjaciel zakonnik powiedział kiedyś, że policjanci są jak księża, tylko ich konfesjonałem jest cały świat.



Stuarta Janneya taka spowiedź dopiero czekała, a noc spędzona w areszcie powinna mu pomóc w przemyśleniu wszystkich wariantów. Jutro albo w poniedziałek usiądzie w pokoju przesłuchań i mając przy sobie adwokata i Siobhan Clarke naprzeciwko siebie, zaprezentuje swoją wersję wydarzeń. Rebus nie sądził, by Siobhan uważała siebie za kogoś w rodzaju spowiednika. Patrzył, jak spokojnie wkłada płaszcz i metodycznie sprawdza, czy ma w torebce wszystko, czego potrzebuje. Ich spojrzenia się spotkały i wymienili się przelotnymi uśmiechami. Potem Rebus wszedł na chwilę do gabinetu inspektora Macrae i na skraju biurka położył swoją legitymację. Przez myśl przemknęły mu adresy komisariatów, w których przyszło mu pracować: Great London Road, St Leonard's, Craigmillar, Gayfield Square. Pomyślał o ludziach, z którymi się przez te lata stykał: wielu na emeryturze, niektórzy od dawna nie żyją. Sprawy doprowadzone do końca i zostawione bez rozwiązania; dni spędzone w sądach i godziny czekania na złożenie zeznań. Robota papierkowa, prawnicze sztuczki i różnego rodzaju wpadki. Zroszone łzami zeznania ofiar i ich rodzin. Gniewne fochy oskarżonych i wypieranie się wszystkiego. Obnażanie ludzkich przywar, z których dałoby się stworzyć cały katalog biblijnych grzechów śmiertelnych, plus parę ekstra na dokładkę.

Czekał go poniedziałkowy poranek, kiedy po raz pierwszy nie będzie musiał nastawiać budzika. Będzie mógł spędzić cały dzień przy śniadaniu. Będzie mógł schować do szafy swój garnitur i wyjmować go już tylko z okazji pogrzebów. Znał na pamięć wszystkie przerażające opowieści o ludziach, którzy w jednym tygodniu zegnali się z pracą po to, by w następnym pożegnać się z życiem. O ludziach, dla których rozstanie się z pracą równało się utracie sensu istnienia. Wielokrotnie już zastanawiał się, czy jedynym rozsądnym rozwiązaniem nie byłoby wyniesienie się z miasta. Za pieniądze ze sprzedaży mieszkania mógłby kupić całkiem przyzwoitej wielkości dom gdzieś na prowincji — na przykład na wybrzeżu w Fife albo na zachodzie w krainie gorzelnicy, albo na południu w krainie zbójników z pogranicza. Ale nie potrafił sobie wyobrazić życia z dala od Edynburga. Miasto było potrzebne jego krwi jak tlen i wciąż kryło w sobie tajemnice czekające na zbadanie. Mieszkał w nim od początku pracy w policji, przez co oba te

pojęcia — praca i miasto — spłoty się w jego umyśle w całość. Każde nowe przestępstwo wzbogacało jego wiedzę o mieście, jednocześnie uświadamiając Rebusowi, że nigdy nie pozna go do końca. Zbroczona krwią przeszłość Edynburga mieszała się z krwawą teraźniejszością. Miasto spiskowców i kupców, banków i burdeli, zasług i badziewia...

Miasto, w którym podziemie stykało się z nadziemiem...

— Grosik za twoje myśli. — Siobhan stała w drzwiach, gotowa do wyjścia.

— Wyrzuciłabyś pieniądze w błoto — odrzekł.

— Jakoś mi się nie wydaje. To co, jesteś gotów? — dodała, zakładając torebkę na ramię.

— Nie mogę być bardziej.

Przyszło mu do głowy, że akurat to jest chyba prawdą.



Na początku w barze Oxford byli tylko we czwórkę. Tynną salkę rzeczywiście wyłączono z normalnego użytkowania, co właściciele baru zaznaczyli, odgradzając ją policyjną taśmą, używaną do oznakowania miejsca przestępstwa.

— Fajny pomysł — przyznał Rebus, unosząc do ust pierwszy kufel tego wieczoru. Po blisko godzinie przenieśli się do sąsiedniej restauracji, gdzie na Rebusa czekała torba z podarkami. Od Siobhan dostał iPoda, na co od razu zaprotestował, mówiąc, że i tak nigdy nie nauczy się go obsługiwać.

— Już ci do niego wgrałam wszystko, co trzeba — pocieszyła go. — Stonesi, The Who, Wishbone Ash... co tylko chcesz.

— A John Martyn? A Jackie Leven?

— Nawet Hawkwind.

— Moje pożegnalne bluesy — powiedział Rebus z błogim wyrazem twarzy.

Od Hawes i Tibbeta dostał butelkę dwudziestopięcioletniej whiskey Malt i album o spacerach po historycznym Edynburgu. Ucałował butelkę, pogłaskał z czułością album i uparł się, że pierwszą część posiłku spędzi ze słuchawkami na uszach.

— Nie macie szans konkurować z głosem Jacka Bruce'a — wyjaśnił.

Do jedzenia wypili dwie butelki wina i wrócili do Ox, gdzie czekali już Gates, Curt i Macrae przy szampanie serwowanym przez barmana. Jako ostami zjawili się Todd Goodyear z dziewczyną. Dochodziła jedenasta i Rebus kończył właśnie swoje czwarte duże piwo. Colin Tibbet chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz, by zacerpnąć świeżego powietrza. Towarzysząca mu Hawes z pełnym poświęceniem zajęła się masowaniem mu pleców.

— Nie wygląda najlepiej — zauważył Goodyear.

— Jak człowiek ma w sobie siedem podwójnych koniaków, to trudno dobrze wyglądać.

W barze nie było muzyki, ale właściwie nie była nikomu potrzebna. Wszyscy się rozluźnili i prowadzone wokół stołu rozmowy iskrzyły anegdotami, w których szczególnie brylowali obaj patolodzy. Macrae serdecznie uścisnął Rebusowi rękę i oświadczył, że musi już iść do domu.

— I pamiętaj, że masz nas odwiedzać — rzucił na pożegnanie.

Stojący w kącie Derek Starr perorował coś Shugowi Davidsonowi, który słuchał go wyraźnie znudzony. Sama obecność Starra musiała znaczyć, że podryw w winiarni znów mu nie wyszedł. Ponure spojrzenia rzucane przez Shuga Rebus kwitował współczującym puszczeniem oka. Gdy przyniesiono kolejną tacę z drinkami, Rebus znalazł się nagle ramię w ramię z Sonią.

— Todd mi mówił, że pracujesz w ekipie techników — zagał.

— To prawda.

— Przepraszam, że cię nie kojarzę.

— Zwykle mam na głowie kaptur — odrzekła z nieśmiałym uśmiechem. Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, krótko przystrzyżone blond włosy i zielone oczy. Jej sukienka wyglądała na japońską i świetnie pasowała do jej filigranowej sylwetki.

— Jak dawno jesteście z Toddem?

— Trochę ponad rok.

Rebus odwrócił głowę i spojrzał na Todda, który właśnie rozosił drinki.

— Czyli musi coś w sobie mieć.

— Och, wie pan, on jest naprawdę bardzo inteligentny. Na pewno niedługo przeniosą go na stałe do wydziału śledczego.

— Akurat zwalnia się miejsce. A jak tobie podoba się praca w kryminalnym?

— W porządku.

— Słyszałem, że byłaś na Raeburn Wynd po morderstwie Todorowa.

— I nad kanałem też. — Kiwnęła głową. — Miałam dyżur na telefon.

— No to zrujnowało to wam plany z Toddem — powiedział ze współczuciem.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

— Co pan ma na myśli?

— Nic, nieważne. — Zrejerował, w obawie że może zaczyna już trochę bełkotać.

— To ja znalazłam ten ochraniacz. — Zdała sobie nagle sprawę ze swojej niezręczności, wytrzeszczyła oczy i zakryła usta dłonią.

— Nic się nie przejmuj — uspokoił ją. — Podobno nie jestem już na celowniku.

Odrpężyła się i nawet lekko zaśmiała.

— Ale to dobrze świadczy o Toddzie, nie sądzi pan?

— Absolutnie.

— Jak coś w tym miejscu wpadnie do kanału, to jest duża szansa, że się zaczepi gdzieś pod mostkiem. To jego słowa.

— I miał rację.

— Dlatego wydział śledczy byłby głupi, gdyby go do siebie nie ściągnął.

— Nasza mądrość często bywała kwestionowana.

— Ale z Todorowem wam się udało.

— Tak, udało się — potwierdził ze zmęczonym uśmiechem.

Goodyear rozmawiał z Clarke i coś, co do niej powiedział, spowodowało, że parsknęła śmiechem. Rebus uznał, że najwyższa pora zrobić sobie przerwę na papierosa. Sięgnął po rękę Sonii i ucałował jej dłoń.

— Boże, jaki džentelmen — zachichotała.

— Żebyś ty tylko wiedziała, dziecko... — mruknął pod nosem i ruszył do wyjścia.

Hawes i Tibbet stali kawałek dalej w głębi uliczki. Tibbet opierał się plecami o mur, Hawes odgarniała mu z twarzy opadające włosy.

Obserwowało ich kilkoro stojących przed barem palaczy.

— Już dawno mi się coś takiego nie przytrafiło — powiedział któryś.

— Ale co? — spytał jego towarzysz. — Pawiowanie czy baba głaszcząca po twarzy?

Rebus dołączył do wybuchu śmiechu i zapalił papierosa. Na końcu uliczki wznosiła się oświetlona rezydencja pierwszego ministra. Od dewolucji zawsze stanowiła siedzibę władzy laburzystów, a teraz groziło jej przejęcie przez nacjonalistów. Rebus nie pamiętał ani jednych wyborów w Szkocji, w których laburzyści nie zdobyliby większości. On sam głosował tylko trzy razy w życiu, za każdym razem na inną partię, ale jeszcze przed referendum w sprawie dewolucji całkowicie stracił zainteresowanie polityką. Miał okazję zetknąć się z wieloma politykami — Megan Macfarlane i Jim Bakewell byli tylko ich ostatnimi przykładami — i nie mógł się opędzić od myśli, że połowa bywalców baru Oxford okazałaby się lepszymi ustawodawcami. Politycy w rodzaju Bakewella i Macfarlane byli i będą zawsze, a choć Stuart Janney wylądował w więzieniu, zapewne w żaden sposób nie zaszkodzi to pozycji First Albannach. Bank nie zrezygnuje ze współpracy z ludźmi pokroju Siergieja Andropowa czy Morrisa Geralda Cafferty'ego i nadal będzie zgarniał pieniądze, bez skrupułów mieszając brudne z czystymi. Liczą się ogólny dobrobyt i miejsca pracy, większości zaś nie interesuje, skąd się one biorą i jak są utrzymywane. Cały Edynburg powstał na bankowości i firmach ubezpieczeniowych — tak zwanych niewidzialnych przemysłach — i nikomu nie przeszkadzało, że ich sprawne funkcjonowanie wymagało smarowania odpowiednich trybów. Dlaczego miałyby przeszkadzać, że paru facetów spotyka się obejrzyć sfilmowane z ukrycia sceny? Andropow narzekał, że poeci uważają się za nieformalnych przywódców, ale przecież tak naprawdę tytuł ten należał się mężczyznom w eleganckich garniturach w prążki.

— Myślisz, że jej to pomaga w całowaniu? — zastanowił się któryś z palaczy.

Hawes i Tibbet stali teraz objęci, wtulając w siebie twarze. No i najlepszego, pożyczyl im w myślach Rebus. Praca w policji wbiła

się klinem w jego własne małżeństwo, rozsadzając je i rujnując, ale przecież nie musi tak być. Znał wielu gliniarzy, których małżeństwa przetrwały. Zdarzało się nawet, że oboje małżonkowie pracowali w policji, a jakoś im się udawało.

— Dobrze sobie radzi — pochwalił drugi z palaczy.

Drzwi za ich plecami otworzyły się i stanęła w nich Siobhan Clarke.

— A, tu jesteś — powiedziała.

— Tu jestem.

— Myśleliśmy, że już się zmyłeś.

— Zaraz do was przyjdę. — Machnął palącym się papierosem.

Objęła się rękami, osłaniając przed przenikliwym chłodem.

— Nic się nie martw — powiedziała. — Nie będzie żadnych przemówień ani nic takiego.

— Czytasz mi w myślach, Shiv. Dzięki.

Przyjęła pochwałę z lekkim grymasem na ustach.

— A co u Colina?

— Chyba Phyl go cuci metodą usta-usta. — Wskazał głową dwie sylwetki, które splotły się już tak ciasno, jakby stanowiły jedność.

— Mam nadzieję, że nie będą mieć porannego kaca moralnego — mruknęła.

— Czymże byłoby życie bez paru kaców? — rzucił sentencjonalnie któryś z palaczy.

— Każę sobie zrobić taki napis na nagrobku — wtrącił jego towarzysz.

Rebus i Clarke znów przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Wracaj do ciepła — powiedziała w końcu.

Rebus wolno pokiwał głową, przydeptał niedopałek i posłusznie ruszył za nią.



Gdy taksówka zajechała pod wejście do szpitala Western General, było już dobrze po północy. W połowie korytarza prowadzącego na oddział Cafferty'ego, Rebus natknął się na jedną z pielęgniarek.

— Pił pan alkohol — powiedziała z pretensją w głosie.

— Od kiedy to siostry diagnozują?  
— Będę musiała wezwać ochronę.  
— A po co?  
— Nie wolno odwiedzać pacjentów w środku nocy. A już na pewno nie w takim stanie.  
— Dlaczego nie?  
— Bo pacjenci śpią.  
— Nie mam zamiaru grać na perkusji.  
Pokazała palcem na sufit, Rebus spojrział w górę i zobaczył, że zamontowana na suficie kamera patrzy prosto na nich.  
— Jest pan na podglądzie — powiedziała. — Lada chwila zjawi się tu ochroniarz.  
— Och, na litość boską...  
Drzwi prowadzące na oddział Cafferty'ego się otworzyły i stanął w nich jakiś mężczyzna.  
— Ja się tym zajmę — powiedział do pielęgniarki.  
— A pan co za jeden? — zachnęła się, obrzucając go złym spojrzeniem. — I kto panu pozwolił...  
Pokazał legitymację i to zamknęło jej usta.  
— Detektyw inspektor Stone. Znam tego człowieka. Dopilnuję, żeby już nie zakłócał porządku. — Stone wskazał głową rząd krzeseł na korytarzu i Rebus uznał, że właściwie nie ma nic przeciwko temu, żeby usiąść. Inspektor dał znak pielęgniarce, że wszystko jest już pod kontrolą, i kobieta się oddaliła. On sam też usiadł, zostawiając między sobą a Rebusem jedno wolne krzesło.  
— Kiedyś też taką miałem — mruknął Rebus, patrząc, jak Stone chowa swoją legitymację.  
— Co jest w tej torbie?  
— Wyprawka emeryta.  
— To wiele tłumaczy.  
Rebus próbował skupić wzrok na jego twarzy.  
— Na przykład co?  
— Na przykład ilość wypitego alkoholu.  
— Sześć dużych piw, trzy szybkie i pół butelki wina.  
— I jeszcze stoisz na nogach? — Stone z niedowierzaniem pokręcił głową. — To co cię tu przywiodło? Gryzie cię, że nie dokończyłeś dzieła?

Rebus sięgnął po papierosy, wyjął jednego i dopiero wtedy przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

— Do czego pijesz?

— Chciałeś odłączyć Cafferty'emu parę rurek?

— To nie ja go załatwiłem nad kanałem.

— Zakrwawiony ochraniacz mówi co innego.

— Od kiedy to przedmioty umieją mówić? — Rebus wrócił pamięcią do niedawnej rozmowy z Sonią.

— Posługują się swoim własnym językiem, Rebus. A laboratorium kryminalistyczne pełni funkcję tłumacza.

No tak, pomyślał Rebus, czując, jak rozjaśnia mu się w głowicę. A natykają się na nie technicy kryminalistyczni... tacy jak Sonia.

— Mam rozumieć, że ty też przyszedłeś w odwiedziny?

— Próbujesz zmienić temat?

— Tak się tylko zastanawiam.

Stone niechętnie potaknął.

— Cała akcja została zawieszona, do czasu aż Cafferty odzyska przytomność. To znaczy, że rano wracam do domu. Będę czekał na wiadomość od inspektora Davidsona.

— Myślę, że lepiej mu rano nie zadawać trudnych pytań. Ostatnio widziano go, jak się oddalał zakosami po Young Street,

— Wezmę to pod uwagę — burknął Stone, wstając. — Chodź, odwiozę cię do domu.

— Mieszkam na drugim końcu miasta. Lepiej zadzwonię po taksówkę.

— No to poczekam, aż przyjedzie.

— Ale nie dlatego, inspektorze Stone, że mi nie ufacie, prawda?

Stone nie odpowiedział i Rebus ruszył w stronę drzwi na oddział, ale ograniczył się do zajrzenia przez jedno z okrągłych, okienek. Nie był pewien, które łóżko należy do Cafferty'ego, zresztą i tak większość była osłonięta parawanami.

— A jeśli ty mu właśnie odłączyłeś parę rurek? — spytał. — W końcu masz we mnie idealnego kozła ofiarnego.

Ale Stone pokręcił głową i jak pielęgniarka wskazał na sufit.

— Zapis z kamery świadczyłby, że ani na chwilę nie przekroczyłeś progu oddziału. Nie znasz powiedzenia: „Kamera nie kłamie”?



— Gdzieś to słyszałem, ale za mądry jestem, żeby w to wierzyć.

Zabrał z podłogi torbę i ruszył za Stone'em w stronę wyjścia.

— Z Caffertym znacie się od lat — odezwał się Stone.

— Będzie ze dwadzieścia.

— Pierwszy raz zeznawałeś przeciw niemu w Sądzie Najwyższym w Glasgow.

— Tak było. Jego cholerny obrońca pieprzył coś, że swoją postawą wypłaszam jego świadków, i od tej pory Cafferty nazywa mnie Wypłoszeni.

— Jak z *Czarodzieja z krainy Oz*?

— Czyżby udało mi się powiedzieć coś, czego nie masz w swojej dokumentacji?

— Wyobraź sobie, że ci się udało.

— Miło wiedzieć, że wciąż mam w zanadru jakieś nowe karty.

— Coś mi się widzi, że mu nie odpuścisz.

— Cafferty'emu? — Rebus spojrział na Stone'a, a ten skinął głową.

— Chyba że ustawiłeś sierżant Clarke tak, żeby przejęła pałeczkę po tobie. — Zawiesił głos, czekając na odpowiedź, ale Rebus chyba nie miał nic do powiedzenia. — Odchodzisz w przeswiadczeniu, że zostaje po tobie dziura, której nikt już nie wypełni?

— Nie jestem aż tak zadufany.

— I to samo dotyczy Cafferty'ego. Bo jak w końcu wykorkuje, miejsce po nim nie zostanie długo wolne. W mieście jest wystarczająco dużo młodych, ambitnych, żądnych władzy opryszków...

— To już nie mój problem.

— Czyli jedyne, co ci psuje humor, to sam Cafferty.

Dotarli do głównego wyjścia i Rebus wyciągnął komórkę, żeby zadzwonić po taksówkę.

— Naprawdę chcesz tu ze mną czekać? — spytał.

— Nie mam nic lepszego do roboty. Ale oferta zawiezienia cię do domu jest wciąż aktualna. O tej porze możesz mieć kłopot ze znalezieniem taksówki.

Walka ze sobą nie trwała dłużej niż pół minuty. Kiwnął twierdząco głową, sięgnął do torby i wyciągnął butelkę speyside...

**Poniedziałek,  
27 listopada 2006**

## Epilog

Na postoju pod dworcem Haymarket czekał rząd taksówek, ale Rebus wcisnął saaba na miejsce tuż obok, potem nacisnął klakson i opuścił szybę. Obok wyjścia z hali dworcowej stało dwóch umundurowanych policjantów. Poniedziałkowy poranek był słoneczny, ale chłodny i policjanci mieli na sobie czarne watowane kurtki włożone na ochronne kamizelki. Rebus ponownie zatrąbił, ale żaden nawet nie odwrócił głowy. Chwilę później napatoczył się jednak strażnik miejski, który wypatrzył saaba na podwójnej żółtej linii. To z kolei zwróciło uwagę policjantów, jeden z nich powiedział coś do kolegi i ruszył w stronę Rebusa.

— Ja już się tym zajmę — oznajmił strażnikowi i przykucnął, a jego głowa znalazła się na wysokości okna samochodu.

— Pewnie nie wolno mi już zwracać się do pana per inspektorze Rebus, prawda? — odezwał się Todd Goodyear.

— Już nie.

— Oboje z Sonią świetnie się czuliśmy na pańskiej imprezie. Trochę gorzej było rano.

— Nie zauważyłem, żebyś w ogóle coś pił. Wiem, że chodziłeś ze szklanką w rękę, ale ani razu nie widziałem, żebyś ją podnosił do ust.

— Nie brakuje panu zmysłu spostrzegawczości — uśmiechnął się Goodyear.

— Powiem ci synu, że brakuje mi za to mnóstwa różnych rzeczy.

— Na przykład pracy w wydziale śledczym?

— Akurat nie to miałem na myśli. — Rebus zerknął nad ramieniem Goodyeara w stronę jego kolegi. — Jest szansa, żeby cię porwać na pół godziny?

Goodyear spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Ale po co? — zapytał.

— Chciałem o czymś porozmawiać.

— Jestem na służbie.

— Wiem. — Ton Rebusa był tak stanowczy, jakby to uciñało wszelką dyskusję.

Goodyear się wyprostował, podszedł do kolegi i zamieniwszy z nim parę zdań, wrócił, zdjął czapkę i wsiadł do samochodu.

— A tobie jej brakuje? — zapytał Rebus.

— Myśli pan o pracy w wydziale śledczym? To było... ciekawe doświadczenie.

— Mile wspominał pogawędkę z twoją Sonią.

— To świetna dziewczyna.

— Też tak myślę. — Zamilkł, wyplątał samochód z postoju i włączył się do ruchu.

— Dokąd jedziemy?

— Słyszałeś o Andropowie? — podjął, ignorując pytanie Todda. — Odsyłają go do kraju jako osobę „niepożądaną”. Dowiedziałem się od Siobhan. Była wczoraj w pracy, żeby dać Janneyowi okazję do przyznania się. Ta dziewczyna nigdy nie odpuszcza... Powiedziała też, że Stachow jest w porządku. Miał Andropowa na oku, bo nie chciał, żeby narozrabiał w Szkocji tak jak w Rosji. I cały czas był w kontakcie ze Stone'em... — Zawiesił głos. — Ale ty chyba w ogóle nie poznałeś inspektora Stone'a, prawda? — Spojrzął na Goodyeara, który milcząco potrząsnął głową. — To ten, który prowadził obserwację Cafferty'ego.

— Mhm. — Wyglądało na to, że Goodyear nie bardzo wie, co powiedzieć.

— Andropowa czeka w Moskwie proces o korupcję — ciągnął Rebus. — Aż trudno w to uwierzyć, ale podobno miał zamiar ubiegać się o azyl polityczny. Liczył na poparcie wszystkich swoich możliwych znajomych. Zresztą jego życie w Rosji może naprawdę być zagrożone. — Zaśmiał się. — Ale to już nie nasz problem.

— Dokąd jedziemy? — powtórzył Goodyear, ale Rebus znów nie zareagował.

— Wiesz, co robiłem wczoraj, w czasie kiedy Siobhan harowała? Pojechałem na oxgangi [Oxgang — tradycyjna szkocka jednostka miary powierzchni, wynosząca między 6 a 8 hektarów (różnica w przeliczeniu na hektary wynikała z żyzności gruntu); tu w znaczeniu placów budowy] i przyglądałem się, jak rozwalają dwa mieszkalne wysokościowce. Wiem, że kiedyś dokonałem tam paru aresztowań, ale szczegółów już nie pamiętam. Pewnie to najlepiej świadczy o tym, że mój czas już minął. Czytałem w gazecie, że za niepodległością Szkocji opowiada się więcej Anglików niż Szkotów. — Zwrócił ku niemu głowę. — To daje do myślenia, nie?

— To mi daje do myślenia, że chyba pan jeszcze dobrze nie wytrzeźwiał po sobocie.

— O, przepraszam, Todd. Trochę gładzę, co? Ale przy okazji grzebania w starych sprawach wylazło parę rzeczy, które powinienem był wcześniej zauważyć.

— Jakich rzeczy?

— Todd, nie myślę się, że jesteś człowiekiem wierzącym, prawda?

— Przecież pan wie, że jestem.

— Tylko że są różni wierzący... powiedziałbym, że ty bardziej wierzysz w wersję starotestamentową. Wiesz, oko za oko i takie tam.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— I nie mogę powiedzieć, żebym miał ci to za złe. Też jestem zwolennikiem Starego Testamentu... podziału na dobro i zło, kiedy wszystko jest jasne jak słońce.

— Chciałbym już wrócić na Haymarket.

Ale Rebus miał inne plany.

— Sobota rano, korytarz przy pokoju przesłuchań, pamiętasz? Byłeś już w mundurze i przyszedłeś się pożegnać.

— Pamiętam.

— Powiedziałeś wtedy, że powinienem naprawić bagażnik w samochodzie. — Rebus zwrócił ku niemu głowę. — Tak nawiasem mówiąc, jeszcze się do tego nie zabrałem.

- Choć czasu już panu nie brakuje.  
Rebus parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.
- I tak zacząłem się zastanawiać... skąd o tym wiedziałeś?
- O czym wiedziałem?
- O zepsutym zamku w klapie bagażnika. Pytałem o to Siobhan, ale ona nie pamięta, żeby ci o tym wspominała. Ja też jestem pewien, że podczas żadnej z naszych rozmów nie było o tym mowy.
- Pierwszego wieczoru, na miejscu zabójstwa Todorowa — powiedział Goodyear.
- Rebus pokiwał wolno głową.
- Doszedłem dokładnie do tego samego. Bo kiedy przyjechaliliśmy z Shiv, ty już tam byłeś. Czyli wiedziałeś, jak wyjmuję odzież ochronną z bagażnika i jak walczyć z klapą, żeby ją zamknąć.
- I co z tego?
- Sam nie jestem pewien. Ale powiem ci, czego jestem pewien. Przyczyniłem się do posadzenia twojego dziadka, a jego śmierć w więzieniu doprowadziła do rozpadu twojej rodziny. Tego rodzaju bolesne wspomnienie potrafi tkwić w człowieku całymi latami. Z kolei twój brat Sol stoczył się przy wydatnej pomocy Dużego Gera Cafferty'ego. Słyszałeś różne opowieści o mnie i Caffertym... Siobhan mi mówiła, że ją o to wypytywałeś. Zresztą bardzo żałuje, że dała się naciągnąć na tę rozmowę...
- Dlaczego?
- Bo uważa, że niepotrzebnie ci wtedy powiedziała, jak serdecznie nienawidzę Cafferty'ego, i od tego się wszystko zaczęło. W twoim mniemaniu robiło to ze mnie kandydata na kogoś, kto może napaść na Dużego Gera. Aha, no i Siobhan trochę żałuje, że cię w ogóle przyjęła do naszego grona. Uważa, że ją podszedłeś, bo udało ci się ukryć przed nią prawdziwy powód.
- Dokąd my jedziemy? — Goodyear położył rękę na przyczepionej do pagonu krótkofalówce, z której dobywały się trzaski statycznych zakłóceń.
- Omówiłem to wszystko z Clarke — ciągnął Rebus — i ona też uważa, że to ma ręce i nogi.
- Co ma ręce i nogi?

— W sobotę wieczorem porozmawiałem sobie z Sonią...  
— Już pan to mówił.  
— Tego wieczoru, kiedy go napadnięto, powiedziałeś, że jesteście umówieni. — Znów zawiesił głos. — Ona jednak tego nie pamięta. Pamięta natomiast, że to był twój pomysł, żeby szukać pod mostkiem.  
— Co?  
— Znalazła ten ochraniacz, bo jej powiedziałeś, gdzie ma go szukać.  
— Zaraz, chwileczkę...  
— Tylko chodzi o to, Todd, że ciebie w ogóle tam z nią nie było. Zapewne Sonia zadzwoniła do ciebie, żeby zawiadomić, że jedzie na miejsce napadu nad kanałem, a ty jej wtedy powiedziałeś, żeby poszukała pod mostkiem. Bo wiedziałeś, że tam jest mostek i co pod nim znajdzie.  
— Niech pan zatrzyma samochód.  
— A co, oskarżysz mnie o uprowadzenie? — Rebus uśmiechnął się zimno. — Detektyw inspektor John Rebus i Duży Ger Cafferty to według ciebie dwaj najwięksi wrogowie twojej rodziny... I nagle wpadłeś na pomysł, jak ich obu dopaść: załatwić jednego i oskarżyć o to drugiego. Miałeś nadzieję, że na ochraniaczu będą moje odciski palców. Mogłeś w każdej chwili wyjąć ochraniacze z bagażnika. Tamtej nocy pod Ox byliśmy w trójkę: ty, ja i Siobhan. Wszyscy troje wiedzieliśmy, dokąd się wybieram... ale nikt poza nami. Pojechałeś za mną, odczekałeś, aż Cafferty zostanie sam i zaszedłeś go od tyłu. Siobhan mi powiedziała, jak się przejąłeś wiadomością o obserwacji Cafferty'ego. Gdyby nie to, że się wtedy pozbyłem Stone'a, przyskrzyniłby cię od razu na miejscu.  
— Bzdura — prychnął Goodyear.  
— Nie ma to niestety większego znaczenia, bo niczego nie mogę ci udowodnić. — Zwrócił ku niemu twarz. — Gratuluję, Todd. Wyjdiesz z tego bez szwanku. A to pewnie musi znaczyć, że jesteś pod szczególną opieką Wszchemogącego.  
— Sam się sobą opiekuję, Rebus. Sobą i swoją rodziną. — Jego głos i wyraz oczu gwałtownie zhardziały. — O dopadnięciu Cafferty'ego myślałem już od dawna, ale od czasu jak Sola pokroili, wszystko nabrało tempa. Jak zupełnie inaczej wyglądałoby życie

mojej rodziny, gdyby nie ten łajdak. Wiedziałem, że jesteś blisko Cafferty'ego, więc ja musiałem się zbliżyć do ciebie. — Patrzył prosto przed siebie. — A potem sam mi powiedziałeś, że byłeś świadkiem w sprawie dziadka i że zrobiłeś wszystko, żeby go posadzić. I wtedy nagle wszystko zaskoczyło. Mogłem za jednym zamachem załatwić i ciebie, i Cafferty'ego.

— Czyli jak powiedziałem: oko za oko. — Ruch samochodowy przed nimi zgęstniał i Rebus zdjął nogę z gazu. — Musisz się teraz nieźle czuć: oczyszczony, pomszczony. Sprawiedliwości stało się zadość...

— Jam jest z grzechów oczyszczony.

— Kolejny biblijny cytat? — Rebus pokiwał głową w zadumie. — Wszystko pięknie, ale to jeszcze za mało, żeby się ocalić. O wiele za mało.

— Czerwone — powiedział Goodyear. Zbliżali się do skrzyżowania i widać było, że będą musieli się zatrzymać na czerwonym świetle. Samochód stanął i Goodyear otworzył drzwi.

— Planowałem odwiedzić u Cafferty'ego — rzekł Rebus. — Pomyślałem, że może chciałbyś go jeszcze raz zobaczyć. Lekarze mówią, że jego stan się poprawia.

Goodyear zdążył już wysiąść, ale Rebus go zawołał. Cofnął się i wetknął głowę w otwarte drzwi.

— Kiedy Cafferty odzyska przytomność — powiedział Rebus — pierwszą twarzą, którą zobaczy, będzie moja... i zgadnij, co wtedy ode mnie usłyszysz? Lepiej pilnuj swojego tyłka, a właściwie przodu, bo o Caffertym można powiedzieć dużo różnych rzeczy, ale na pewno nie to, że jest tchórzem, który napada od tyłu.

Goodyear walnął drzwiami i dokładnie w tym samym momencie światła zmieniły się na zielone. Rebus nacisnął pedał gazu i patrzył w lusterku, jak Goodyear nakłada czapkę i odprowadza wzrokiem oddalający się samochód. Westchnął głęboko i lekko opuścił szybę w oknie. Zdążył już wstąpić do serwisu, gdzie jego nowego iPoda podłączono do samochodowego stereo. Nacisnął „play” i podkręcił głośność.

Rory Gallagher i jego *Sinner Boy* starczył na całą drogę do szpitala.





Siobhan Clarke czekała na niego przy łóżku.

— I co, rozmawiałeś z nim? — spytała.

Potwierdził ruchem głowy, nie spuszczać wzroku z nieruchomej postaci. Gdyby nie regularne popiskiwanie i mruganie światełek aparatury, można by pomyśleć, że już nie żyje. Gangstera przeniesiono z Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej i wraz z nim przywędrowała cała aparatura monitorująca i podtrzymująca życie.

— Słyszałem, że twoi zremisowali — powiedział Rebus.

— A do pieprzonej siedemdziesiątej minuty prowadzili dwiema bramkami... ale i tak dużo z tego nie widziałam.

— Miałeś trochę roboty z Janneyem. I co, przyznał się?

— Nie, ale się przyzna. — Zamilkła i po chwili dodała: — A co z Goodyearem? Powie prawdę?

— Todd nie jest taki głupi.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że...

— Chrzańć to, Shiv. Skąd mogłaś wiedzieć? — Rebus usiadł obok niej na krześle. — Jeśli w ogóle szukać w kimś winy, to we mnie.

Przyjrzała mu się uważnie.

— Mało ci jeszcze ciężarów na barkach?

— Mówię poważnie. Problemy Todda i jego rodziny zaczęły się w chwili, kiedy jego dziadek trafił za kraty. A ja walnie się do tego przyczyniłem.

— Ale to nie... — przerwała, widząc jego wzrok.

— W pubie znaleziono najtwardsze dragi, Shiv, tylko że dziadek Todda nie handlował niczym nawet w połowie tak groźnym.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Rebus wbił wzrok w ścianę.

— W tamtych czasach Cafferty miał przekupionych gliniarzy. Ludzi ze śledczego, którzy byli gotowi zrobić wszystko, czego sobie zażyczył. Na przykład coś podrzucić.

— Ty...?

Pokręcił przecząco głową.

— Niemniej dzięki za wiarę we mnie.

— Ale wiedziałeś, jak było naprawdę.

— I nic w tej sprawie nie zrobiłem. — Wolno pokiwał głową. — Tak to wtedy wyglądało. Cafferty zajmował się dealerką i nie był zachwycony, że ktoś w pubie Harry'ego Goodyeara oferuje niższe ceny. — Wydał policzki i powoli wypuścił powietrze. — Niedawno spytałaś mnie o mój pierwszy dzień w śledczym. Skłamałem, mówiąc, że nie pamiętam. Naprawdę wyglądało to tak, że pierwszym miejscem, do którego trafiłem prosto z akademii policyjnej, była stołówka, gdzie na dzień dobry mi powiedziano, że mam zapomnieć o wszystkim, czego mnie uczono. „Od teraz zaczyna się prawdziwa gra, synu, i biorą w niej udział tylko dwie drużyny: my i oni”. — Odważył się na kolejne zerknięcie jej w oczy. — Należało kryć kolegów, którzy wypili za dużo podczas lunchu... albo dali się ponieść nerwom w trakcie aresztowania i aresztant spadał ze schodów albo zderzał się ze ścianą... kryło się wszystkich swoich. Zeznając jako świadek, miałem świadomość, że kryję kolegę, który umyślnie wrabia starego.

Ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

— Po co mi to teraz mówisz? Co ja mam z tym, do cholery, zrobić?

— Coś wymyślisz.

— Jakie to typowe, John! Stara sprawa sprzed lat, ale ty nie mogłeś jej zachować dla siebie. Musiałeś ją zrzucić na mnie.

— W nadziei na rozgrzeszenie.

— No to trafiłeś pod niewłaściwy adres! — Zamilkła i przez chwilę siedziała ze zwieszoną głową i smętnie opuszczonymi ramionami. Potem głęboko westchnęła i uniosła głowę. — Pielęgniarka mi powiedziała, że przyszedłeś tu prosto po przyjęciu. Śmierdziałeś jak gorzelnia.

— I co z tego?

— I że był tu jeszcze ktoś z policji...

— Tak, Stone. Chciał być pewien, że nie wyciągnę jakiejś wtyczki od aparatury.

— W tobie nie ma nawet za grosz subtelności, nie sądzisz?

— Chcesz powiedzieć, że jestem jak byk w składzie porcelany?

— A jak myślisz?

Przez chwilę się zastanawiał nad odpowiedzią.

— A może ten byk urwał się spod rzeźnickiego noża — powiedział w końcu, wstając z krzesła. Clarke zrobiła to samo i przyglądała się w milczeniu, jak tkwi pochylony nad łóżkiem, jakby chciał się woli wymóc na Caffertym przebudzenie.

— Chcesz mu naprawdę powiedzieć o Goodyearze? — spytała.

— A co innego mógłbym zrobić?

— Zostawić całą sprawę mnie. — Ruszyli oboje w stronę wyjścia. — Temu gówniarzowi nie ujdzie to na sucho. Czasy się zmieniły, John. Nikt już nikogo nie kryje, nie odwraca wzroku i nie patrzy w inną stronę...

— A tak na marginesie, odwiedziłem wczoraj Andersonów.

Spojrzała na niego badawczo.

— Oczywiście nie omieszkaleś ich poinformować, że już nie jesteś w czynnej służbie.

— Widziałem ich córkę. Przyjechała z college'u. Naprawdę jest podobna do Nancy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wziąłem Andersona na bok i powiedziałem, że moim zdaniem tamtego wieczoru rozpoznał Nancy. Że skojarzył ją z tym nagraniem DVD i to mu dało poczucie władzy nad nią. Świadomość, że coś na nią ma, a ona o tym nie wie. I dlatego ją nachodził. Nie był zachwycony, kiedy wspomniałem, że może to mieć związek z jej podobieństwem do córki. — Uśmiechnął się na wspomnienie tej sceny. — I wtedy mu jeszcze dołożyłem, mówiąc, kim była ta dziewczyna w łazience...

Napotkał wzrok Clarke i raptownie zamilkł. Wiedział z góry, co teraz usłyszy, i nie zawiódł się.

— Z jakim nagraniem DVD?

Dłuższą chwilę zajęło mu odchrząkiwanie gardła.

— Zapomniałem ci powiedzieć.

Otworzył przed nią drzwi, ale nie drgnęła.

— To mi powiedz teraz.

— To by cię jeszcze bardziej obarczyło, Shiv. Uwierz mi, lepiej, żebyś nie wiedziała.

— Mimo to powiedz.

Rebus już otwierał usta, gdy zza ich pleców rozbrzmiał głośny sygnał alarmowy. Nie był ekspertem w kwestiach medycznych, ale świdrujące w uszach piszczenie mogło oznaczać tylko jedno:

ustanie funkcji życiowych pacjenta. Pędem zawrócił w stronę łóżka, usiadł okragiem nad nieruchomo rozciągniętą postacią i zaczął ugniatać rękami pierś Cafferty'ego.

— Usta-usta! — wykrzyknął w stronę Clarke. — Co trzecie naciśnięcie!

— Zaraz tu ktoś będzie. Powinniśmy to im zostawić.

— Szlag mnie trafi, jeśli ten bydlak wyzionie teraz ducha. — Kropelki jego śliny prysnęły na czoło Cafferty'ego, ale on nałożył na siebie obie dłonie i głośno licząc, nie przestawał ugniatać jego klatki piersiowej. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Znał przypadki, że reanimacja sercowo-płucna okazywała się skuteczna, tylko pacjenci wychodzili z niej z pękniętymi żebrami.

Mocniej, mocniej, zachęcał się w myślach.

— Ani mi się, kurwa, waż! — syknął przez zaciśnięte zęby.

Kątem oka dojrzał odskakującą w bok pielęgniarkę, która widać przyjęła jego słowa do siebie.

Nie dla ciebie taka cicha, spokojna śmierć, myślał gorączkowo. W uszach słyszał ogłuszające dudnienie krwi.

Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy.

Po wszystkim, co razem przeszliśmy, nie może cię wykończyć jakiś Todd Goodyear paroma zwykłymi walnięciami w głowę...

Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy.

Twojej śmierci muszą towarzyszyć zamęt... rozgłos... i krew.

— John?

Raz, dwa, trzy.

— John? — Głos Siobhan docierał jakby z daleka. — Już wystarczy. Możesz już przestać.

Aparatura ożyła i zaczęła wydawać z siebie jakieś piski. Rebus miał oczy zalane potem, w uszach mu huczało. Nie wiedział, czy piski oznaczają coś dobrego, czy złego, więc trwał w bezruchu. Potrzeba było wysiłków dwóch lekarzy, pielęgniarki i sanitariusza, żeby go w końcu odciągnąć od łóżka Cafferty'ego.

— Wylize się z tego? — usłyszał własny głos. — Powiedzcie mi, że się wylize...

## Spis treści

DZIEŃ PIERWSZY — Środa, 15 listopada 2006.....	7
DZIEŃ DRUGI — Czwartek, 16 listopada 2006 .....	27
DZIEŃ TRZECI — Piątek, 17 listopada 2006 .....	63
DZIEŃ CZWARTY — Poniedziałek, 20 listopada 2006.....	117
DZIEŃ PIĄTY — Wtorek, 21 listopada 2006 .....	167
DZIEŃ SZÓSTY — Środa, 22 listopada 2006.....	219
DZIEŃ SIÓDMY — Czwartek, 23 listopada 2006 .....	285
DZIEŃ ÓSMY — Piątek, 24 listopada 2006.....	359
DZIEŃ DZIEWIĄTY — Sobota, 25 listopada 2006.....	435
EPILOG — Poniedziałek, 27 listopada 2006 .....	467